

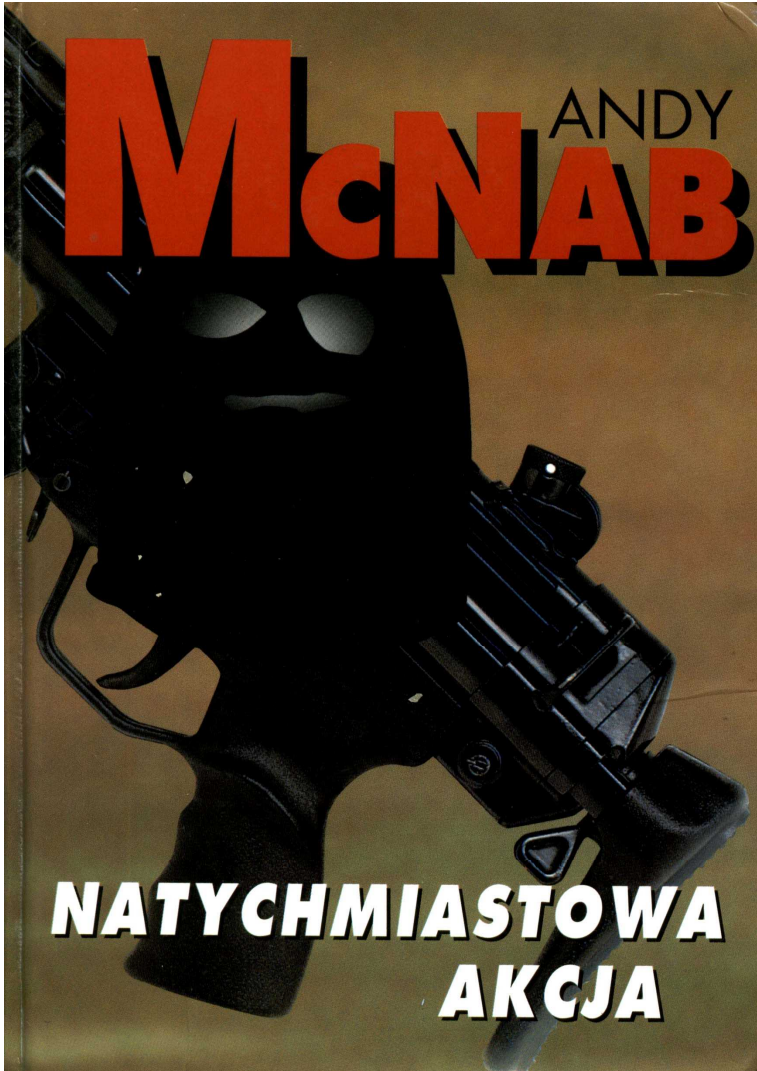
Andy McNab

Natychmiastowa  
akcja



Tytuł oryginału:  
**Immediate Action**

Przekład:  
**Grzegorz Woźniak**



*Nickowi, Ałowi, Andy'emu  
Joemu i Paulowi –  
ku wspólnej pamięci*



# 1

Drzwi i okna zabito deskami i dodatkowo zabezpieczono drutem kolczastym, co dla nas nie było żadną przeszkodą, zwłaszcza że blacha, taka falista, którą przybito na bocznych drzwiach, zdążyła się obluzować ze starości. Wetknąłem więc kawał drąga w szparę i napałem z całej siły. Gwoździe puściły, a kilka par niecierpliwych rąk odciągnęło blachę, odsłaniając otwór, przez który dało się wślizgnąć do środka.

Wnętrze było przepastne, wysokie na jakieś dziesięć metrów i puste, jeśli nie liczyć złomu, który walał się na betonie. Zresztą w mroku niewiele było widać, bo też z tych sześciu czy siedmiu świetlików w dachu dochodziło niewiele światła. Cuchnęło pleśnią, przegniłym drewnem i zgrzybiałym tynkiem. Panowała głęboka, wręcz niesamowita cisza i my też byliśmy cicho, bo najmniejszy szmer odbiłby się w tej czeluści stokrotnym echem, czego pewnie nikt na zewnątrz nie usłyszałby, my jednak woleliśmy nie ryzykować. Zerknąłem na chłopaków, dając znak, że trzeba pójść w stronę schodów na drugim końcu budynku. Ruszyłem przodem i oczywiście natknąłem się na jakąś starą puszkę, która z łomotem poleciała po betonie i wylądowała w kupie złomu. Za moimi plecami któryś z chłopaków zaklął szeptem.

Schodami dostaniemy się najpierw do pomieszczeń biurowych na półpiętrze, a stamtąd do wjazdu, przez który można wyjść na dach, a oto nam chodziło, bo na dachu – wiadomo – jest fajnie i można robić różne rzeczy.

Na wysokości trzech pięter było znacznie chłodniej niż na dole; unosiły się kłęby pary. Zacząłem się trząść. Dach był płaski, podszedłem do skraju, spojrzałem w dół na ulicę, gdzie pod latarniami widniały jaśniejsze kręgi.

Ulica była pusta, nikt nas nie widział.

I nikt nie usłyszał brzęku tłuczonego szkła.

Odwrociłem się na pięcie. Przy świetliku majaczyły trzy postaci. Powinny być cztery.

Zaraz potem z głębi budynku dobiegł głuchy odgłos.

– John! – krzyknął któryś z chłopaków przerażonym półgłosem. – John!

A ja już wiedziałem, że John nie żyje, nawet nie musiałem patrzeć przez rozbity świetlik, choć oczywiście wszyscy wybałuszyliśmy ślepią, by po chwili, bez jednego słowa, popędzić w dół.

John leżał nieruchomy z twarzą na betonie. Już nie jęczał. W mroku połyskiwała ciemna, mokra plama, płynąca z martwych ust.

– Dajemy nogę – powiedział któryś i wszyscy rzuciliśmy się do wyjścia. A ja marzyłem tylko, żeby być w domu i schować się pod kołdrę, bo tam mnie nikt ani nie zobaczy, ani nie złapie. Jak się ma osiem lat, to tak się właśnie myśli.

Nazajutrz po obiedzie u wszystkich zjawiała się policja. Oczywiście namówiliśmy się przedtem, że każdy będzie mówił to samo, bo w naszym przekonaniu byliśmy mordercami.

Jeszcze nigdy tak się nie bałem. Po raz pierwszy w życiu widziałem trupa, ale nawet nie to napawało mnie przerażeniem. Bałem się, co się stanie, jeśli nas złapią. Napatrzyłem się na różne historie w telewizji i wyobrażałem sobie, że zamkną mnie i będę siedział do końca życia. Myślałem, że chyba lepiej umrzeć, niż pójść do pierdła.

Wcześniej miałem całkiem zwykłe dzieciństwo. Nikt mnie nie maltretował, nikt nie bił, w ogóle nic z tych rzeczy. Życie toczyło się po prostu normalnie. Oprócz mnie był jeszcze starszy brat, adoptowany zresztą, ale dawno już opuścił dom. Zaciągnął się do wojska. Moi rodzice, jak chyba wszyscy z naszego osiedla w Bermondsey, często gęsto byli na bezrobociu i nigdy nie śmierdzili groszem.

Za to ostatnio matka dostała dwie roboty naraz. Przez pięć dni tyrała w fabryce czekoladek, a w weekendy – w pralni. Stary nocami jeździł taksówką, a w ciągu dnia łapał, co się dało. Głównie naprawiał ludziom samochody i nie było dnia, żeby przed domem nie stał jakiś piętnastoletni ford perfect czy inny hillman, w którym ojciec grzebał.

Ciągle przeprowadzaliśmy się z miejsca na miejsce, zawsze tam, gdzie była praca. W sumie mieszkałem pod dziewięcioma różnymi adresami i chodziłem do siedmiu różnych szkół.

Gdy byłem mały, ojciec z mamą przeprowadzili się do Herne Bay, ale się nie udało i znów trzeba było wrócić do mieszkania z kwaterunku. Mama

akurat zaszła w ciążę i urodziła braciszka, a mnie na rok wysłali do ciotki Nell, co zresztą nie było takie złe. Ciotka Nell okazała się wspaniała, mieszkała w Catford, zaraz obok szkoły, ale najlepsze było to, że wieczorami dawała mi gorące mleko z biszkoptami, co było niesłychanym luksusem.

A my ciągle mieszkaliśmy w komunalnych blokach. Przez kilka następnych lat – właśnie na osiedlu w Bermondsey. Wtedy to umarł mąż ciotki Nell – George – który coś tam zapisał mojej matce. Mama postanowiła kupić kawiarnię, czy raczej jadłodajnię, i przeprowadziliśmy się do Peckham. Firma upadła, bo ani mama, ani ojciec nie nadawali się do interesu, nawet własna księgowia zdołała ich oskubać.

Tymczasem zamieszkaliśmy na swoim, to znaczy wynajęliśmy połowę domu. Na górze mieszkał wuj Bert. Po czynsz przychodził inkasent, złodziej jak się okazało, bo nie odprowadzał pieniędzy do właściciela, więc znów nas wyeksmitowano i wylądowaliśmy w tak zwanym komunalnym mieszkaniu zastępczym.

Z forszą zawsze było krucho. Żywiliśmy się czymś, co mama nazywała „owsianką misia”, a więc chlebem na mleku z cukrem. Kiedyś odcięto nam gaz i musieliśmy używać starego grzejnika elektrycznego. Mama kładła go na podłodze w dużym pokoju, spiralą do góry, że niby siedzimy przy ognisku na kempingu. Trzymała nad „ogniskiem” rondel i gotowała tę naszą „misiową owsiankę”. Bardzo mi się to podobało.

Przystąpiłem do pierwszej bandy chłopaków. Przywódca wyglądał jak wokalista z zespołu Rubettes, a jeden z chłopaków uchodził między nami za bogacza, bo jego ojciec miał komis ze starymi samochodami w Belham, a co więcej, był nawet w Hiszpanii na wakacjach. Inny znowu chłopak z naszej bandy uszkodził sobie wzrok w wypadku i musiał nosić okulary, więc wszyscy ciągnęli z niego łacha. Tacy to byli moi kolesie, najważniejsi w całym osiedlu, a ja chciałem tylko być taki jak oni.

Bawiliśmy się najchętniej w lejach bombowych, jak nazywaliśmy domy, które rozbierano. Czasami zakradaliśmy się do opuszczonych budynków, jak na przykład do pralni Maxwella przy Long Lane, gdzie śpiewając taki jeden numer Beatlesów – „Bang, bang, srebrnym młotkiem Maxwella” – tłukliśmy, co się dało i czym się dało. Oczywiście na wszystkich opuszczonych domach były napisy „wejście wzbronione”, drzwi i okna pozabijano dechami i blachą – taką falistą jak już wiecie – i zabezpieczono drutem kolczastym, co naturalnie tylko nas kusilo i każdy chciał się popisać. Więc włączyliśmy na dachy, wspinaliśmy się po świetlikach i było fajnie, aż jeden chłopak spadł i się zabił.

Wtedy przystąpiłem do innej bandy. Na początek – żeby pokazać, co jestem wart – musiałem przyłożyć palącą się zapalkę do ramienia i trzymać, aż skóra zaskwierczała. Byłem dumny jak paw, że mi się udało, ale kiedy mama

wróciła z pralni i zobaczyła oparzelinę, wściekła się. Nie rozumiałem dlaczego.

Zawlokła mnie do domu przywódcy, tego niby wokalisty od Rubettesów, i zrobiła piekło jego starej. Ta też zaczęła wrzeszczeć i awanturowały się tak na schodach, podczas gdy ja chichotałem jak głupi w kącie, bo dla mnie najważniejsze było, że przeszedłem próbę i należę do bandy, a stare niech się klóć, jak chcą.

W miarę jak zwiększał się krąg moich znajomych, zacząłem zdawać sobie sprawę, że mam mniej forsy od innych. Zaczynała się właśnie moda na skinheadów i wszyscy szaleli za portkami Docker Greena i butami Cherry Red. Udawałem, że ani jedno, ani drugie wcale mi się nie podoba.

Raz na tydzień chodziliśmy na basen, a zaraz potem cała banda szła na lody z biskoptami. Ponieważ nigdy nie miałem pieniędzy, więc co najwyżej udawało mi się skubnąć biskopta od któregoś z chłopaków. Lodów, a kupowało się zawsze firmy Love Heart, w ogóle nie znałem. Któregoś dnia ubierałem trochę pieniędzy i wybrałem się specjalnie na lody, ale wtedy się okazało, że love heartów nie ma, bo ich nie robią. Kupiłem sobie wtedy batona Aztek i czułem się bardzo dorosły, lecz byłem sam, więc przed nikim nie mogłem się popisać.

Kiedyś zgłosiłem się do zuchów, i też niewiele z tego wyszło. Co tydzień trzeba było płacić składkę, ale z tym to jeszcze jakoś mi się udawało. Gorzej, że we wtorki trzeba było mieć pepegi, bo graliśmy w piłkę. Ja pepogów nie miałem, więc zwyczajnie gwizdnałem komuś, ale złapali mnie i zaczęli pouczać, że „kraść nie wolno, bo to brzydko”, i tak się skończyło z zuchami.

Wiedziałem już, że starsi kumple zarabiają, więc ja też zacząłem molestować mleczarza z osiedla i któregoś niedzieli wziął mnie do pomocy. Dał mi pół korony, za co zaraz kupiłem sobie magazyn z komiksami, butelkę coca-coli i baton Mars. Zostało mi ledwie sześć pensów, ale nie żałowałem, bo warto było. Cola i marsy to były już takie dorosłe rzeczy i ja też czułem się dorosły, przynajmniej przez ten jeden dzień.

Był taki chłopak w naszej bandzie, co miał błyszczące, odlotowe buty. Włosy też miał lśniące, jakby dopiero co wyszedł z wanny. U nas kąpiel urządzano raz w tygodniu, a u niego codziennie, co wydawało mi się szalenie dziwne. Często zresztą chodziliśmy do niego i kiedyś, gdy jak zwykle bawiliśmy się w jego pokoju, zauważyłem, że ma dziesięć szylingów w skarbonce. Z mojego punktu widzenia chłopak był dziany, więc oczywiście nie przegapiłem okazji i gwizdnałem mu tę dychę. Nikt nie powiedział ani słowa.

Kradłem coraz częściej. Mama zwykle kupowała na kredyt w pobliskiej spółdzielni i kiedy wysyłała mnie po mleko i inne drobiazgi, zawsze brałem coś jeszcze dla siebie, nie mówiąc jej ani słowa. Wiedziałem, że i tak nie



będzie sprawdzać rachunku przy płaceniu.

Starszy brat nie mieszkał z nami. Pamiętam tylko, że przyjeżdżał czasami z wojska i przywoził jakieś prezenty. Mało go znałem, on mnie też, ale kiedyś, gdy przyjechał na urlop, zauważył, że prawie nie umiem czytać, więc zaczął mnie uczyć. Miałem wtedy osiem, może dziewięć lat i nie nauczyłem się jeszcze alfabetu. Kazał mi usiąść na tyłku i nie pozwolił ruszyć z miejsca, aż się nauczyłem. Byłem dumny, że poświęca mi tyle uwagi. Ale jedna lekcja to za mało, żeby cokolwiek zmienić. Jeszcze na początku szkoły średniej czytałem z trudem, jak siedmiolatek z pierwszej klasy.

Kiedyś spóźniłem się do szkoły. Szedłem właśnie korytarzem, gdy zahaltował mnie dyrektor.

– A dokąd to? – spytał.

– Do klasy.

– A gdzie masz buty?

Spojrzałem na pepegi nie rozumiejąc, o co mu chodzi. Wreszcie mnie olśniło.

– Nie stać nas w tym roku.

Kazał mi pójść do kancelarii po specjalny formularz w sprawie pomocy, do wypełnienia przez rodziców, i tak zacząłem dostawać darmowe bilety na autobus i darmowe obiady w szkole. Dla takich jak ja – darmowych – była w stołówce specjalna kolejka, wcale nie miała. Nasz rejon obejmował Brixton i Peckham, a to – wiadomo – bieda, więc sporo dzieciaków miało podobną sytuację. Była to jedyna „banda”, w której wolałbym nie być.

A tymczasem kradliśmy coraz więcej. Najpierw drobiazgi, jakieś długopisy w centówce Woolwortha, na własny zresztą użytek, ale rychło zaczęliśmy kraść dla pieniędzy. Był w pobliżu komis z meblami. Właściciel wystawiał je na chodniku i czasami wśród staroci trafiało się coś całkiem nowego. Kiedyś wpadł mi w oko niewielki, okrągły barek, więc biegnąc pędem z chłopakami, zwyczajnie go poderwałem i zaraz zanieśliśmy mebel do innego komis, gdzie dali nam dziesięć szylingów, które z miejsca wydaliśmy na kawę i ciastka w kawiarni Rossa.

Któregoś dnia okradłem sąsiadkę ciotki Nell. Poleciałem do cukierni i nakupowałem słodyczy za całego funta. Nie zauważyłem, że zaraz za mną stoi ciotka. Nic mi nie powiedziała, ale zadzwoniła do szkoły.

Wezwano mnie do dyrektorki.

– Skąd masz tyle pieniędzy? – dopytywała się.

– Znalazłem takie stare lustro, psze pani, wyczyściłem, pomalowałem ramę i sprzedałem za dwa funty.

Upiekło mi się. Jestem sprytny – tak myślałem – a wszyscy inni to dupy, skoro dają się tak załatwić.

Miałem dużo swobody, bo mama z ojcem ciężko pracowali.

Odwdzięczałem się tak, że gorzej nie można. Kiedyś mama złamała nogę. Siedziała w pokoju i oglądała telewizję, a w domu nie było już nic do zjedzenia poza ostatnią pomarańczą.

– Nie ruszaj jej, Andy – prosiła – to będzie mój obiad.

Ze złamaną nogą nie mogła mi nic zrobić, więc jak ostatni wał wziąłem pomarańczę i zacząłem sobie obierać, wyrzucając skórki przez okno. Matka się wściekła, a ja zeżarłem wszystko na jej oczach. Wtedy zjawił się ojciec, chciałem uciec, ale poślizgnąłem się na skórcie i zламаłem rękę.

Po szkole albo na wagarach wyprawialiśmy się na złodziejskie wycieczki do innych dzielnic – Bulwich Village i Penge – bo tak nam się podobało.

Okradaliśmy babcię w parku. Leciąco się biegiem i łapało torebkę z ławki. Załatwialiśmy także samochody, gdy ktoś zostawił wóz na chwilę, bo na przykład kupował dziecku lody czy coś takiego. Sięgaliśmy błyskawicznie przez otwartą szybę i kradliśmy, co popadło. Zwracaliśmy specjalną uwagę na auta wynajęte lub z zagraniczną rejestracją, bo w takich zawsze coś było w bagażniku, a otworzyć bagażnik to drobiazg.

Gdy wychodziliśmy ze szkoły na złodziejskie wyprawy w czasie przerw obiadowych, zdejmowaliśmy szkolne kurtki, żeby nikt nas nie poznał. Wydawało nam się, że jesteśmy sprytni. Nawet nam do głowy nie wpadło, że w całej okolicy jest tylko jedna szkoła i wiadomo, gdzie szukać młodych ludzi. Kiedyś włamaliśmy się do auta, w którym leżała cała paka listów, jak się okazało – z czekami. Byliśmy zachwyceni, bo jeszcze za głupi, żeby zdać sobie sprawę, że nic z tego nie będziemy mieć.

Innym razem włamaliśmy się do sklepu sportowego na Forest Hills. Weszliśmy we trójkę, przez dach. I znów nie bardzo wiedzieliśmy, co dalej. Z tego wszystkiego zabraliśmy sobie tylko odznaki pływackie, każdy tyle, że mógł uchodzić za mistrza w pływaniu. A jeden z nas, też z głupoty, nawalił kupę do patelni na wystawie, gdzie urządzono taki niby biwak.

W wieku czternastu lat, gdy zaczął się okres pokwitania i hormony dały o sobie znać, oszalałem na punkcie higieny uważając, że w ten sposób zrobię wrażenie na dziewczętach. Na bazarze w Peckham sprzedawali pięć par skarpetek za funta, w bajecznych kolorach, od żółci po lila. Czyniłem, co tylko mogłem, żeby wszyscy wiedzieli, że zmieniam skarpetki codziennie. Zacząłem też chodzić każdego dnia do łaźni Goose Green. Za prysznic i ręcznik płaciło się pięć pensów, za mydło – dwa i tyleż za szampon.

Nosiłem więc czyste skarpetki i sam też byłem czysty, że hej, ale miałem przy tym nadwagę i dziewczyny jakoś nie chciały się garnąć do tłuszczochwa z pomarańczowych skarpetkach. I wtedy właśnie zaczęło się szaleństwo z Bruce'em Lee – wszyscy podziwiali karate i w ogóle wschodnie style walki.

Tłumy waliły wieczorami do kina, a po seansie każdy wyobrażał sobie, że jest Karate Kid. Na ulicach Peckham pełno było takich Bruce'ów Lee.

Ja podszedłem do sprawy poważnie i zapisałem się na treningi trzy razy w tygodniu. Było wspaniale. Na treningi przychodzili nie tylko rówieśnicy, ale i dorośli. Schudłem. Zacząłem też biegać.

W szkole w dalszym ciągu było źle. Nauka mi nie szła. Tymczasem poznałem takiego jednego Petera. Stroił się. Nosił wykładane kohnierzyki, wielkie mankiety i workowate spodnie, bo takie były modne. Któregoś dnia zapytał, czy nie zechciałbym popracować trochę u jego ojca. Oczywiście!

Stary miał firmę przewozową. Ładowaliśmy z Peterem sprzęt elektroniczny i dostarczaliśmy do klientów. Zarobiliśmy kupę pieniędzy, bo gdy tylko kierowca nie patrzył, kradliśmy – a to radia, a to głośniki i w ogóle, co się dało.

W ciągu miesiąca zarobiłem więcej niż mój stary. Nawet dorośli uznaliby to za całkiem dobrą robotę, ja zaś myślałem wtedy tylko o tym, żeby rzucić szkołę w diabły, bo na chuj mi szkoła, znaleźć jakąś pracę i zarabiać pieniądze. Nie zdawałem sobie sprawy, jakie to jest złudne. Nauczyciele też uczynili niewiele, żeby roztoczyć przede mną inne widoki. Zbyt dużo wysiłku wkładali w utrzymanie nas w ryzach, nie mówiąc już o nauce, i zwyczajnie nie mieli szans na przekonanie nas, że świat nie kończy się na osiedlu czy dzielnicy. Skąd więc miałem wiedzieć, że w życiu można wybierać, a zresztą nic mnie to nie obchodziło.

W tym naszym małym światku dobra robota to praca w drukarni lub w porcie. Niżej plasowała się posada motorniczego w metrze lub blacharza. Poza tym można było pracować na własną rękę.

Tymczasem znalazłem niemal stałe zatrudnienie w firmie transportowej. W lecie woziliśmy lemoniadę i różne napoje orzeźwiające. Zawsze załatwiałem sobie dodatkową paletę towaru i sprzedawałem w pubach na własny rachunek.

Zimą woziliśmy węgiel. Miałem się za mądrusa. Zrzuciałem węgiel do piwnic, ale korzystałem z zaproszeń podstarzałych bab, które obiecywały filiżankę herbaty, jak im zaniosę kubek do mieszkania. Uważałem, że wiem wszystko, co powinienem wiedzieć, i gardziłem idiotami, którzy siedzą w szkole i nic z tego nie mają, bo ja zarabiałem sporo szmalu. Miałem wszystko, co chciałem mieć jeszcze dwa lata temu.

Dziewictwo straciłem w wieku piętnastu lat w pewne niedzielne popołudnie, z siedemnastoletnią siostrą kumpla. Była pod ręką, chętna i strasznie tłusta, więc nie wiem, kto komu zrobił dobry uczynek. A zresztą wszystko odbyło się byle jak, w pośpiechu. Kazała mi przyrzec, że nikomu nic nie powiem. Przyrzekłem, ale zaraz przy pierwszej okazji wszystkim wypaplałem – taki byłem gówniarz.

Robota w transporcie skończyła się i wylądowałem w nowej restauracji McDonalda w Catford. Wszystko tam działo się w pośpiechu. Co piętnaście minut musiałem zmywać podłogę. Owszem, były przerwy, ale za jedzenie trzeba było płacić, nic nie dało się zwędzić, bo wszystko było perfekcyjnie zorganizowane. Nienawidziłem tej roboty, a i zarabiałem nędznie, niewiele więcej niż na bezrobociu, ale McDonald był bliżej niż biuro zatrudnienia, więc dlatego się zdecydowałem.

Zacząłem znikać z domu. Pewien mój kumpel obrobił licznik gazowy w mieszkaniu swojej ciotki i wybraliśmy się promem do Francji. Załodze powiedzieliśmy, że tam czekają na nas rodzice. W drodze powrotnej gwizdaliśmy pas ratunkowy i próbowaliśmy sprzedać go w Dover.

Dla rodziców nie miałem ani szacunku, ani litości. Bywało, że wracałem o czwartej rano. Matka odchodziła od zmysłów. Czasami zjawiała się u nas policja, ale nic mi nie mogli zrobić, co najwyżej pogrozić, a mnie się wydawało, że jestem niezwykle ważną figurą, bo przed domem stoi radiowóz.

Zacząłem staczać się coraz bardziej. Upadłem tak nisko, że zakradałem się nawet do ubikacji publicznych, żeby ukraść komuś torebkę czy teczkę. Któregoś dnia, gdy z dwoma kumplami opuszczaliśmy po włamaniu pewne mieszkanie w suterenie w Dulwich, natknęliśmy się na policję. Uciekaliśmy, ale poszli za nami z psem i dopadli na dworcu kolejowym.

W suce udawałem jeszcze chojraka z uwagi na kumpli, którzy nie okazywali strachu, lecz bałem się jak diabli i gdy tylko na komisariacie rozdzielili nas, rozmazałem się licząc, że policja się ulituje. Chciałem pokazać, że wcale nie jestem zły, tylko mnie sprowadzono na złą drogę.

Komisariat mieścił się w wiekowym budynku. Pomieszczenia były wysokie, ściany tłuste od farby, podłogi lśniące. Siedziałem czekając na przesłuchanie, nad słuchując kroków na korytarzu.

Chciałem, żeby ktoś się mną zajął, bym mógł go przekonać, że to nie moja wina, że owszem, wlałem w gówno, ale to kumple mnie wciągnęli.

Serce waliło mi młotem, chciałem do mamy i w ogóle ścisnęło mnie w dołku tak jak wtedy, kiedy uciekałem do domu z pralni Maxwella. Oczami wyobraźni widziałem, jak zamykają mnie w poprawczaku albo nawet w więzieniu, a jeszcze wcześniej gwałcą w areszcie. Na swój sposób zazdrościłem facetom, którzy siedzieli w więzieniu, bo wydawało mi się, że to twardziele, teraz jednak zdałem sobie sprawę, że musieli przeżywać to samo co ja i że wszystko, co mówią o „twardzielach”, to tylko taka gadka. Za kratami nie było nic takiego szczególnie, było po prostu okropnie.

Wezwano oczywiście rodziców. Widząc wstyd i rozpacz w oczach mamy, pomyślałem, że w końcu się dograłem i tak już będzie do końca życia. Przeraziłem się, gdy zamknęli mnie w celi. Okropnie się bałem, ale bardziej podziałała na mnie mama. Nigdy nie widziałem jej w takim stanie. Czulem

się okropnie.

Wtedy to postanowiłem, że trzeba się zmienić. Czekać na przesłuchanie myślałem, że muszę wreszcie coś ze sobą zrobić.

Był taki krótki moment w szkole, kiedy przyłożyłem się do nauki, zwłaszcza do angielskiego. Dostałem piątkę za wypracowanie na temat wyprawy Scotta. Byłem bardzo dumny, ale zaraz potem przestało mnie to interesować. Tak samo było z historią. Też zafrapowała mnie na chwilę. Wykonałem nawet model prehistorycznej wioski. Pomyślałem, że może da się coś jeszcze zrobić. Nie chciałem kończyć jak inne chłopaki, którym się wydaje, że jak kupią odlotowe auto i powieszą złoty łańcuch na szyi, to mają cały świat.

Ale co robić? Przy moim wykształceniu, a raczej jego braku, nie było mowy o dobrej pracy w Londynie, a nie chciałem być zwykłym robotem.

W głębi duszy zawsze myślałem o wojsku. Słyszałem, jak wuj Bert opowiadał mamie o wojsku, kiedy mieszkaliśmy we wspólnym domu. Zaciągnął się tuż przed drugą wojną światową, bo w wojsku dawali regularnie jeść. Wiedziałem też, że w wojsku można się tego i owego nauczyć, bo mama mi opowiadała, że brat pokończył jakieś szkoły czy kursy, a dorośli zawsze napomykali, że „w wojsku zrobią z ciebie ludzi”.

Widziałem wiele reklam zachęcających do wstąpienia do wojska. Zwykle przedstawiano chłopaków na windsurferach i słonecznych plażach sugerując, że mają forszę, jeżdżą po świecie i w ogóle. Ale najważniejsze, że czegoś się nauczę, więc czemu się nie zgłosić na trzy lata – myślałem – i zobaczyć, jak to naprawdę jest. Skoro bratu podobało się w armii, to może i mnie się spodoba, a przynajmniej wyjadę gdzieś z Londynu.

Więc gdy tylko wzięli mnie na przesłuchanie, zaraz zacząłem błagać, że nie chcę iść do pierdła, bo wybieram się do wojska.

– To włamanie, to nie był mój pomysł – skamlałem. – Chłopcy mnie zaciągnęli. A zresztą stałem na czujce, pilnowałem, a gdy wyszli z tego mieszkania i rzucili się do ucieczki, to ja za nimi – tak mówiłem.

Trzy dni siedziałem w areszcie, czekając na rozprawę. Nienawidziłem każdej minuty i przyrzekałem sobie, że jak wyjdę, to już nigdy, ale to nigdy nie pozwolę, żeby coś podobnego się powtórzyło. W głębi duszy czułem, że muszę coś postanowić i coś uczynić, bo inaczej spieprzę sobie całe życie. Zostanę w Peckham i tyle.

Moi kumple dostali kuratora, ja tylko ostrzeżenie. Byłem wolny. Mogłem wrócić na dawną drogę albo pokazać wszystkim, łącznie z sobą, że tym razem muszę poważnie.

Wskoczyłem do autobusu i pojechałem do punktu werbunkowego.

## 2

„Chcę latać na śmigłowcach – powiedziałem sierżantowi w biurze werbunkowym – więc chciałbym do lotnictwa”.

Kazali rozwiązać prosty test z angielskiego i matmy. Obląłem. „Odczekaj miesiąc i zgłoś się jeszcze raz – poradził sierżant – test będzie taki sam”.

Zapisałem się do biblioteki i zacząłem przerabiać arytmetykę. Jak się nauczę mnożyć – tak sobie mówiłem – to już nigdy nie usłyszę szczerku zamykanych drzwi w pierdlu.

No i po czterech tygodniach znów poszedłem do biura werbunkowego. Dostałem ten sam test i... zdałem dwoma punktami. Sierżant wręczył mi cały plik formularzy.

– No i gdzie chcesz pójść? – spytał ojciec.

– Do lotnictwa.

– Dobrze, że nie do gównianej piechoty, bo w piechocie niczego się nie nauczysz.

Dostałem zlecenie na bilet kolejowy i pojechałem na trzy dni do Sutton Coldfield, gdzie odbywał się cały proces wcielenia. Przechodziliśmy badania lekarskie, jakieś sprawdziany sportowe i rozwiązywaliśmy proste testy na inteligencję: „Jeśli ten tryb obraca się w tę stronę, to w którą stronę kręci się tamten?” Pokazywali nam sporo filmów o takiej broni, o siakiej, o tym, gdzie w świecie stacjonują oddziały armii brytyjskiej i w ogóle. Bardzo mi się to podobało, zwłaszcza że wyglądało na to, iż lotnictwo jest wszędzie. Pomyślałem sobie, że na początek dobry byłby Cypr albo – powiedzmy – Hongkong.

Zacząłem uświadamiać sobie brutalną prawdę, że nie ma sposobu, abym został pilotem. O niebo mądrzejszych ode mnie facetów, z mózgami jak stąd do Londynu, brali ledwie na kursy specjalistów pirotechników na przykład – albo kartografów, a musiałbym im co najmniej dorównać, żeby dostać się na kursy pilotażu, a tymczasem nie miałem żadnego wykształcenia. Jak tonącemu, tak mnie stało przed oczami całe zmarnowane życie: węgiel i lemoniada, to, co woziłem, zamiast się uczyć, i po raz pierwszy w życiu zdałem sobie sprawę, że jest coś, czego nie da się ani zwęździć, ani gwizdnąć.

I tak doszło do decydującej rozmowy.

– Oczywiście, możesz pójść do wojsk lotniczych – wyjaśniał oficer, który analizował moje papiery – wyszkolisz się i będziesz tankował samoloty, ale to chyba nie najlepsze rozwiązanie dla ciebie, McNab. Wolałbyś, żeby coś się działo, prawda?

– Chyba tak.

– I pewnie chciałbyś trochę pojeździć po świecie.

– Właśnie.

– A zastanawiałeś się, czy nie wstąpić do piechoty? Tam są takie możliwości. Bataliony przenoszą się w różne miejsca co dwa, trzy lata. Młodzi to lubią. Są wolne miejsca w Royal Green Jackets.

– Niech będzie. Spróbuję.

Byłem bardzo z siebie dumny. Miałem się za dorosłego. Przyjęli mnie do wojska. Nie mogłem się doczekać, żeby opowiedzieć o wszystkim rodzicom.

– No więc, gdzie będziesz służył? – stary spojrzal znad gazety.

– W Royal Green Jackets.

– Co to takiego?

– Brygada w składzie Lekkiej Dywizji – odparłem z dumą – piechota!

– Ty baranie! – wrzasnął stary, rzucając gazetę na podłogę. – Niczego się nie nauczysz, będziesz tylko latał cały dniami z plecakiem na grzbiecie.

Ja jednak nie zmieniłem zdania. Parę dni później, gdy już wszyscy wiedzieli, że powziąłem nieodwołalne postanowienie, matka dała mi kopertę.

– Myślę – powiedziała – że powinieneś wiedzieć.

Otworzyłem. W kopercie był dokument adopcji. Nie przeżyłem szoku. Wiedziałem już, że brat był adoptowanym dzieckiem i jakoś zawsze myślałem, że ja pewnie też, więc nie był to dramat.

„Poznałam twoją matkę, gdy miałaś roczek – opowiedziała mi mama. – Pracowała wtedy u pewnego Greka, imigranta z lat pięćdziesiątych. Przewadził nocny lokal na West End. Sprzedawała tam papierosy. Miała siedemnaście lat, gdy zaszła z nim w ciążę. Ani ona, ani tym bardziej on nie chcieli dziecka, więc zostawiła cię w nosidełku na schodach w szpitalu...”

Z moimi przybranymi rodzicami byłem więc niemal od początku. „...i w ogóle nie interesowała się tobą – ciągnęła mama – powiedziała mi, że jakby co, to urodzi sobie drugie dziecko”.

We wrześniu 1976 roku ostrzygłem się tak krótko, jak nigdy w życiu, wsiadłem do pociągu i pojechałem do Folkestone West. Na dworcu czekały już autobusy, żeby zabrać nas – rekrutów – do koszar Junior Leaders Battalion – batalionu szkolnego w Shorncliffe. Zaraz po przyjeździe, a było nas w sumie tysiąc stu, kazali nam iść do fryzjera i ostrzygli prawie na pałę. Zostawili tylko kępkę na czubku głowy. Od razu zniechęciłem się do tego miejsca.

Przez kilka pierwszych dni panował straszny burdel, pobieraliśmy sprzęt i coś tam jeszcze. Nie wolno było chodzić w cywilnych ciuchach, bo niby nie wypada, i stale trzeba było stawać na baczność, nawet przed szeregowcami.

Miałem się za twardziela, ale ani się umywałem do facetów z ramionami wytatuowanymi od dołu do góry, co to palili skręty i ciągle szukali zaczepki, a jak nie znajdowali, to tłukli się między sobą. Kurwa – pomyślałem – jeśli tu tak jest, to jak będzie w jednostce? Zatręknęłem do domu.

Tymczasem bez przerwy nas ganiłi. Marsze, biegi, ćwiczenia w sali gimnastycznej, skoki i znowu biegi. W istocie nawet mi się to podobało. Okazało się, że jestem niezły w biegach, i w ogóle zacząłem wsiąkać w sport.

Sport zresztą miał wielkie znaczenie. W tamtych czasach przykładano do tego wagę, szczególnie do boksu. Ustawiano cztery ławki na kształt ringu i kazano chłopakom walczyć. No i walczyliśmy. Większość machała rękami bez ładu i składu, ale byli i tacy, zwłaszcza z Glasgow i z Sheffieldu, co pokazywali niezłą technikę, ale – ku mojemu zdziwieniu – najlepsi byliśmy my – z Peckham. Zanim się zorientowałem, znalazłem się w reprezentacji kompanii.

W wojsku warto być sportowcem. Po pierwsze zwalniają człowieka z ćwiczeń, a po wtóre cały dzień można się szwendać w dresach, brązowych zresztą, i udawać waźniaka.

Wygrałem swoje dwie walki, a moja kompania zdobyła mistrzostwo batalionu. Dostaliśmy się nawet do finału krajowego, a ja zdobyłem tytuł w wadze lekkośredniej. Wydawało mi się, że przyszłość mam zapewnioną. Pójdę do batalionu sportowców w pierwszym pułku Royal Green Jackets, będę boksował przez trzy lata, a potem do cywila. Co ważniejsze, pierwszy pułk miał właśnie wyjechać do Hongkongu.

A jednak w jednostce nie bardzo lubiano zawodników. Może nie podobał się kolor dresów, a może facetów wnerwiało to, że do stołówki wchodziłyśmy bez kolejki, bo taki był przywilej.

Kiedyś po treningu przyszliśmy na obiad i stanęliśmy na początku kolejki,



ku niezadowoleniu pozostałych.

– Pierdol się – odezwał się taki jeden z Glasgow.

Nic nie odpowiedziałem, tylko roześmiałem mu się w twarz i odwróciłem się na pięcie, bo za chwilę mieli otworzyć stołówkę.

A ten nachylił mi się do ucha i zapytał:

– Wiesz, jaka jest różnica między zawartością twoich majtek i twojego dresu?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie ma żadnej. I tu chuj, i tam chuj – warknął i z całej siły wbił mi widelec w udo.

Zachwiałem się, cofnąłem o krok. Widelec utkwiał w udzie po rękojeść. Próbowalem wyciągnąć, ale dostałem skurczu i nie dawałem rady. Musiałem się mocno przyłożyć. Widelec był czerwony od krwi. Zawróciłem na pięcie bez słowa, bo co mogłem zrobić. Dopiero za rogiem wrzasnąłem z bólu, zasłoniwszy usta dłonią.

Tak skończyło się boksowanie. Wróciłem do plutonu, mając przed sobą co najmniej sześć miesięcy szkolenia. A tymczasem byłem opóźniony w stosunku do reszty. Obsługi broni – na przykład – ledwie liźnąłem i nie miałem czasu, żeby wszystko przyswoić. Zdałem sobie sprawę, że inni wiedzą więcej niż ja, i czułem się tak, jakby mnie kto oblał kubłem zimnej wody. Ale przyłożyłem się i nawet mnie awansowano. Na trzy miesiące przed końcem szkolenia nadawano nam stopnie od kaprała-elewa po chorążego-elewa, co w sumie i tak gównie znaczyło.

W piątki urządzano przełaje na dziesięciokilometrowej trasie. Biegał cały batalion z dowódcą i kto nie zdołał go wyprzedzić – wszystko jedno, czy zwykły żołnierz, czy ktoś z kadry – musiał pokonywać całą trasę ponownie w niedzielę.

Zaraz po przełaju szliśmy na poligon, żeby się hartować, nauczyć znosić zimno, wilgoć i głód. Nawet mi się to podobało, bo przynajmniej wychodziliśmy z koszar, a poza tym nabierałem kondycji, z czego byłem zadowolony.

Utrwalił się pewien rytuał towarzyszący powrotom z poligonu. Otóż na powitanie wychodził sam dowódca warty i wszystkim salutował. Po raz pierwszy okazywano nam jaki taki szacunek. Do koszar wracaliśmy złachani, brudni, śmierdzący i obszarpani, a ten facet wychodził nam naprzeciw i salutował!

„Dobra robota, byle tak dalej!” – grzmiał.

Przyznam, że dawało mi to nie znane do tej pory poczucie dumy, zwłaszcza że ten sam facet zwykł z nas szydzić.

Potem czyściliśmy broń, co zajmowało czas od soboty rano do wieczora, a czasami przeciągało się do niedzielnego ranka. Potem mieliśmy wolne, ale w tym czasie zabraniano nam jeździć do domu. Mieliśmy przepustki tylko do dziesiątej i tylko w miejscu postoju. Dla miejscowych facetów stanowiliśmy zagrożenie, bo byliśmy dziani. Za trzy funty, a tyle dostawaliśmy tygodniowo, można było niezłe się zabawić z dziewczyną. Poznałem wtedy taką jedną Christine i zaczęliśmy się spotykać.

Z wolna oswajałem się z nowym życiem, a przede wszystkim nauczyłem się zasady, żeby nie margać, tylko robić, co każą, jeśli nawet to, co każą, jest idiotyczne, bo jedynie w ten sposób człowiek nie podpada. Zaczęło mi się podobać w wojsku, a im bardziej mi się podobało, tym byłem lepszy.

Tymczasem aplikowano nam coraz cięższe ćwiczenia. Zrywano nas w nocy co najmniej dwa razy w tygodniu, a na koniec pojechaliśmy na dwutygodniowy obóz w warunkach niemal bojowych, gdzie ćwiczyliśmy różne sytuacje, i to z użyciem ostrej amunicji, dzięki czemu zrozumiałem wreszcie, na czym sprawa polega. Przedtem wygrzebywałem dziurę w ziemi i włożyłem do niej, bo tak kazali, teraz pojąłem, po co każą kopać dziury.

Co osiem tygodni dostawaliśmy parę dni wolnego. Kiedyś, gdy pojechałem do Peckham, spotkałem się z kumplami. Ale to już nie było to. Zmieniłem się, choć minęło przecież niewiele czasu. Oni wciąż zajmowali się takimi samymi głupstwami, jak ja przed pójściem do woja. Krótko mówiąc, objali się. Nie chcę przez to powiedzieć, że uznawałem się za kogoś lepszego, co to, to nie, a jeśli już, to raczej miałem kompleks niższości, bo wydawało mi się, że coś tracę. W niedzielę, kiedy chłopaki umawiali się na wypad, ja wbijałem się w mundur wyjściowy i maszerowałem do kościoła garnizonowego i nie mogłem się doczekać, kiedy wrócę do jednostki.

Po zakończeniu szkolenia promowano mnie z honorami. Dostałem nawet pochwałę i nagrodę: „szablę Lekkiej Dywizji” oraz pisemne gratulacje od dowódcy, który „wierzy, iż będę służył z honorem”.

Nie bardzo wiedziałem, co to takiego ta „szabla Lekkiej Dywizji”. Okazało się, że każdy pułk ma własną nagrodę dla najbardziej obiecującego kota. Okazało się także, że w związku z wyróżnieniem musiałem cały dzień ćwiczyć: podejście do promocji, salutowanie, powrót do szeregu. Na promocji batalion w komplecie, a dowódca udzielał pochwał wszystkim kompaniom.

Szabla bardzo mi się podobała i już ją sobie wyobrażałem na ścianie w sypialni, ale gdy z szablą w ręku opuściłem podium, sierżant zaraz mi ją zabrał i dał w zamian pamiątkowy kubek cynowy. Szabla wróciła do pułkowego muzeum.

Defilada na promocji była odlotowa. Przyjechali rodzice, przyjechał też brat z rodziną, co było dziwne, bo nigdy nie poświęcali mi specjalnej uwagi,

a rodzice nie chodzili nawet na wywiadówki do szkoły. W istocie po raz pierwszy spotkaliśmy się całą rodziną.

I był to chyba dzień, kiedy naprawdę poczułem się żołnierzem. Dostaliśmy odznaki i pasy batalionu szkolnego – Infantry Junior Leaders Battalion – a zaraz po defiladzie wolno nam było założyć berety Green Jackets.

Musieliśmy jednak zdać do magazynu paradne buty z dużymi nosami. Tylko chłopcy z kompanii honorowej mogli je zatrzymać na oficjalne występy. Więc wszyscy zaczęliśmy ciskać butami o ziemię i trzeć o chodnik, żeby żaden skurwysyn, co przyjdzie po nas, nie miał lekko.

### 3

Po dwutygodniowym urlopie zameldowałem się zgodnie z przydziałem w Rifle Depot w Winchesterze. Jedenastu z Folkestone trafiło do tego samego plutonu na sześciotygodniowe przeszkolenie w jednostce. Byłem i podniecony, i trochę wystraszony, myśląc, jak to będzie.

W porównaniu z batalionem młodocianych, dyscyplina w zwykłej jednostce była – powiedzmy – gówniana. Na przykład tutaj po służbie można przebierać się w cywilne ciuchy i ruszać w miasto bez żadnej przepustki.

Po skończeniu kursu szkoleniowego w jednostce dostawało się stałe przydziały. Jak się miało znajomości, to załatwiano się przydział do konkretnego batalionu, a jak nie, to składało się tylko deklarację, gdzie się chce pójść, i zaciskało kciuki, żeby się udało. Trzeci RGJ, czyli trzeci batalion Royal Green Jackets, miał ksywę „Kowboje”, pierwszy to „Walczący wieśniacy”, a drugi stacjonował właśnie w Gibraltarze i miał niedługo wrócić, aby z kolei wyjechać do Irlandii Północnej.

Poprosiłem o przydział do pierwszego batalionu, trochę ze względu na boks, a trochę dlatego, że jedynekę miano wkrótce przenieść do Hongkongu. Oczywiście wysłano mnie do dwójki, z czego nie byłem zadowolony, zwłaszcza gdy się dowiedziałem, że drugi batalion przezywają „Torebkami”.

– Skąd pochodzisz? – spytał mnie czarnoskóry sierżant. Staliśmy na placu apelowym w Gibraltarze, w pełnym, śródziemnomorskim słońcu.

– Z Londynu.

- To wiem, bałwanie, a konkretnie?
- Z Peckham.
- W porządku, pójdiesz do Kompanii B.

Pluton strzelców, do którego mnie przydzielono, składał się z szesnastu ludzi. Mówiono nam, że w batalionie będą nas jeszcze uczyć w ramach „ciągłego szkolenia” i w ogóle zapoznają z obyczajami i służbą, ale okazało się, że batalion miał strasznie dużo najrozmaitszych zadań – służbę na granicy, udział w różnych ceremoniach, wystawianie wart – i nie było czasu, żeby się nami zająć, więc nowi przez parę tygodni zwyczajnie się objali.

Wkrótce po przyjeździe wybrałem się do miasta. Poszedłem do śródmieścia, gdzie pełno było sklepów z tanimi zegarkami i marokańskimi dywanami. Handlowali głównie Azjaci i Arabowie. Za piątkę kupiłem mamie wspinały dywan w pawie, do czego sprzedawca dorzucił jeszcze parę kapci. Uważałem więc, że zrobiłem naprawdę dobry interes, i byłem z siebie dumny, że choć jestem tu ledwie parę dni, a już wiem, jak się targować z Arabami.

Po roku ciągłego szkolenia byłem podniecony i aż się paliłem do wszystkiego. Uznałem, że jednak dostałem fantastyczny przydział, no bo Morze Śródziemne, plaże, słońce... A w ogóle to po raz pierwszy w życiu znalazłem się za granicą, jeśli nie liczyć jednodniowych wypadów promem do Francji, i w dodatku dostawałem za to pieniądze. Dziwili mnie więc „dziadkowie”, którzy na wszystko mówili „gówno” i „szajs”, choć do pewnego stopnia mieli chyba rację. Co pewien czas ten i ów oznajmiał, że „idzie załatwić sprawę”, a ja dopiero po pewnym okresie zorientowałem się, o co chodzi.

Większość nastolatków zaciągających się do wojska miała do czynienia z narkotykami. To część ich kultury i tę kulturę zabierali ze sobą do koszar. Mnie narkotyki nigdy nie pociągały, głównie dlatego, że nie znosiłem palić. Nigdy nie wziąłem trawki ani niczego takiego do ręki, no i teraz, gdy problem narkotyków objawił mi się w całej pełni, wystraszyłem się, bo było to coś zupełnie obcego.

Opowiadano mi, że narkotyki zawsze były problemem. Kiedyś, gdy batalion wracał do kraju ze służby za granicą, nagle o wpół do trzeciej nad ranem zaczął się nalot „czarnej brygady”, znaczy policji. Szukali narkotyków. Nie znaleźli, ale dorwali pewnego oficera, który właśnie zabawiał się z jednym kapralem z plutonu moździerzy w sposób, który prawo wojskowe traktuje niezwykle surowo.

Niby żyliśmy w latach siedemdziesiątych, ale wojsko wciąż trwało w tradycji lat pięćdziesiątych, jakby w czarno-białym filmie, z cyklu tych, które wyświetlają w telewizji w soboty po południu. Oto przykład: codziennie rano dawano nam kubek *screecha* – „mordokrzywki” – napoju sporządzonego z proszku cytrynowego. Dowódca naczytał się widać o kapitanie Cooku i

uważał, że dzięki mordokrzywce nie zapadniemy na szkorbut. Słyszałem też o pewnym oficerze; który wstąpił do Irish Guard, Gwardii Irlandzkiej. Adiutant dowódcy pułku wziął go zaraz na bok i objaśnił o prawach panujących w pułku: „Po pierwsze nie wolno nosić brązowych garniturów, po drugie nie wolno mówić »metro«, trzeba mówić »kolejka podziemna«, po trzecie nie wolno podróżować czerwonymi autobusami, po czwarte zawsze trzeba mieć melonik i parasol i wreszcie po piąte nie wolno nosić paczek owiniętych w szary papier”. Tyle mu tylko powiedział, ani słowa o tym, jak postępować względem podległych żołnierzy.

Latem do Gibraltaru przyjeżdża pełno turystów. Batalion, jak już wspominałem, pełnił wiele ceremonialnych funkcji: trzymaliśmy warty honorowe i w ogóle. Wiadomo: za mundurem panny sznurem. Ja przynajmniej tak sobie wyobrażałem, gdy któregoś dnia wybrałem się na spacer po cywilnemu, zadowolony, pewny siebie, pan całego Gibraltaru. Zaszedłem do kafejki. Nazywała się – jak dziś pamiętam Capri. W środku – sztuczna palma i półokrągłe łóże ze stolikami, przyćmione światło. Wytwornie. Też postanowiłem być elegancki i wytworny i zamówiłem likier Southern Comfort oraz lemoniadę, co ówczesnie było bardzo modne.

Siedziałem sobie, słuchając zespołów Stylistic – pamiętacie? i Chi-lites. Widziałem, że chłopcy z batalionu przyglądają mi się ciekawie przez okno.

Przysiadł się do mnie właściciel kafejki, Brytyjczyk zresztą. Lekko siwiejący, wyglądał na czterdziecę, ale nosił się, jakby ciągle jeszcze miał ledwie siedemnaście. Ubrany był w niebieski pulower z wielką czerwoną gwiazdą.

– Cześć – przywitał się, siadając na kanapce obok mnie – jest pan w marynarce?

– Nie, w batalionie.

– Niedawno pan przyjechał?

– Ano.

Było całkiem przyjemnie, gawędziliśmy sobie, aż weszła pewna Chinka. Wyglądała naprawdę ekstra w rozszerzanych dołem spodniach i szpilkach. Mój towarzysz zerwał się z miejsca na powitanie. Przysiadła się do nas.

– Marynarz?

– Nie, służę w batalionie.

Po chwili przysunęła się nieco bliżej. Dobra nasza – pomyślałem – pewnie zwróciła uwagę na to, co piję. Taka elegancka dama od razu pozna, że ma do czynienia z człowiekiem bywałym. Tymczasem w barze zrobiło się tłoczno. Ktoś wrzucił parę centów do szafy grającej i rozległy się dźwięki pościelowy Donny Osmonda.

Z wolna drinki zaczynały uderzać mi do głowy, ale się nie przejmowałem, aż w pewnej chwili moja nowa przyjaciółka nachyliła się do mnie.

– Mów mi Pierre.

Oślupiałem. Dla mnie Pierre to francuskie imię chłopaka, a tu okazuje się, że moja Chinka to też Pierre. Powoli zacząłem kapować. Rozejrzałem się, w barze siedziały same chłopcy. Spojrzałem jeszcze raz na moją Pierre i struchlałem.

– Muszę do toalety – usprawiedliwiłem się, odsuwając jej czy raczej jego rękę z mojego uda.

No i oczywiście uciekłem ścigany kpiącym wzrokiem chłopaków, którzy widzieli wszystko przez okno. Przez kilka dni śmiałem się jak wariat i tłumaczyłem kumplom, że najlepsze hiszpańskie omlety dają w Capri. Goście tam co prawda dziwni, ale żarcie fantastyczne.

W listopadzie batalion wracał do Anglii i zaraz miał udać się do South Armagh. Beze mnie jednak, bo byłem za młody. Do Irlandii Północnej nie wysyłano przed skończeniem osiemnastu lat, gdyż zginęło tam zbyt wielu młodocianych, co wzburzyło opinię publiczną. Podniesiono więc limit wieku, przez co musiałem czekać w jednostce do osiemnastych urodzin.

Zabrano nas do Lydd i Hythe na szkolenie. Ćwiczyliśmy MUF *Marksmanship Under Fire* – strzelanie w warunkach bojowych, i przerabialiśmy wiele różnych sytuacji, typowych dla Irlandii.

„Będziemy stacjonować w South Armagh – objaśniał dowódca kompanii – to rejon, gdzie operują bandyci. Kompania B uda się do miasta Crossmaglen, a tam jest najgorzej pod tym względem”.

Dali nam plany miasta i okolic i kazali „nauczyć się” całego South Armagh, gdzie akurat doszło do strzelaniny. Po raz pierwszy w życiu zacząłem poświęcać więcej czasu na gazety niż telewizję.

Pod koniec szkolenia przydzielili nam celowniki optyczne. Nigdy takich nie widziałem, choć oczywiście wiedziałem, że są takie urządzenia. Poczulem się jak snajper klasy międzynarodowej.

W ówczesnej piechocie umundurowanie było nader skąpe. Nie mieliśmy na przykład ani ciepłych, ani tym bardziej nieprzemakalnych ciuchów. Trzeba było sobie samemu kupować, bo w jednostce fasowaliśmy tylko grube, polarne skarpetki i nic więcej.

Skończyłem osiemnaście lat i od blisko dwóch lat służyłem w wojsku, ale po raz pierwszy miałem wziąć udział w działaniach operacyjnych, co wydawało mi się czymś naprawdę wspaniałym. Wszystko było wspaniałe:

byłem w batalionie, uważałem się za twardziela, miałem dość szmalu, żeby kupić auto i w ogóle wszystko, co nam się zechce, mnie i Christine, po moim powrocie z Irlandii.

Crossmaglen – XMG po naszymu – żyje z hodowli bydła i jest miastem granicznym, co oznacza, że terroryści mogą przygotowywać się do akcji po drugiej stronie, a więc w Dundalk w Irlandii, i w stosownym momencie przenikać na naszą stronę. W środku miasta jest spory rynek, zabudowa niska, a przed domami żelazne poręcze, czy jak to nazwać, do wiązania bydła. Nad placem wznosi się stalowa wieża wartownicza imienia Barukiego, tak nazwana na cześć pewnego spadochroniarza, którego zwyczajnie wysadzono w powietrze. Sto metrów dalej znajduje się baza sił bezpieczeństwa, czyli nasze koszary. Na wieży, w blaszanej budce, mieliśmy trzy GPMG – *General Purpose Machine Gun* – karabiny maszynowe ogólnego przeznaczenia, granatnik M79, granaty dymne, radiostację, a co najważniejsze: manierki z herbatą i kanapki, bo siedzieliśmy tam w nieskończoność. Umieszczono także grzejnik elektryczny. Na wieży było okropnie zimno i strasznie nudno. Służbę pełniliśmy parami, a zmiana warty odbywała się biegiem. Ci na górze trzymali karabiny maszynowe w pogotowiu, dwójka zmienników zasuwała pędem z koszar, a potem para schodząca ze służby też pędziła do bazy.

Któregoś dnia siedziałem na wieży z pewnym kapralem, którego nazywaliśmy Bob – to skrót od *Billy One Bollock* – Billy Jednojajowiec. Nie bardzo wiem, skąd się wzięła taka ksywa, bo na oko niczego mu nie brakowało. Od strony bazy dały się słyszeć pośpieszne, jak zawsze, kroki pieszego patrolu, po czym nastąpiło coś dziwnego. Usłyszałem mianowicie dziwne trzaski: klik, klik, klik. Co to jest, do cholery? – zastanawiałem się. Zerknąłem przez szczelinę. Niedaleko wieży stał sobie największy spryciarz w jednostce i pozował do zdjęć dla gazety batalionowej.

– To Johnny Dwugrzebieniowiec – wyjaśnił Bob – pochodzi z Midlandu, środkowej Anglii, uwielbia piłkę nożną. Gra w reprezentacji batalionu. Wygląda niezłe, co nie?

Miał rację. W XMG nie nosiliśmy dystynkcji i nie przejmowaliśmy się wyglądem. Zwykle byliśmy przemarznięci, przemoczeni, ubłoceni i wyglądaliśmy gówniano. Tymczasem na Johnnym połyskiwały kapraleskie belki, mundur miał jak spod igły. Średniego wzrostu, niebieskooki, o starannie zaczesanych blond włosach, szczerzył w śmiechu pełen garnitur zębów.

– Kiedyś, gdy nasza drużyna grała w pucharze – ciągnął Bob chłopaki zaczęli rzucać grzebienie na boisko. Johnny spokojnie podniósł jeden, zaczesał włosy, zapytał, czy w porządku, i grał dalej. Chyba strzelił wtedy zwycięskiego gola.



Przyglądałem się tymczasem, jak Johnny kryguje się przed kamerą, jakby sam jeden wygrał wojnę.

– Strasznie się stara – mówił dalej Bob – ma chorążego jak w banku.

Mieszkaliśmy, to znaczy nasza kompania strzelecka, na terenie bazy sił bezpieczeństwa w tak zwanych łodziach podwodnych, długich barakach z trzypiętrowymi łózkami bez szafek. Było ciasno. Rzeczy trzymaliśmy na łózkach lub pod nimi. Spałem z Reggie – plutonowym – dowódcą mojego patrolu, i Gazem – szeregowcem, który właśnie się ożenił i trzymał pod poduszką album ze zdjęciami.

Reggie miał dwadzieścia pięć lat i był kapitanem kompanijnej drużyny rugby. Wysoki, dobrze zbudowany, o mocnych nogach, poruszał się jak kulturysta. Miał czarne, kręcone włosy, wielką dupę, chyba największą w świecie, i śmierzący oddech, za co ciągle przepraszał w towarzystwie.

Gaz miał około dwudziestki. Gdyby nie poszedł do wojska, byłby pewnie modelem. Przystojny, o doskonałej sylwetce, marzył, żeby zostać PTI – *Physical Training Instructor* – instruktorem wychowania fizycznego. Rano wyskakiwał z łóżka i wołał: dwa razy dookoła mojej pięknej osoby: marsz!

Bazę zbudowano na planie koła. Od środka promieniście ustawiono łodzie podwodne. Pododdziały pomocnicze i kompanie liniowe, które nie mieściły się w łodziach podwodnych, kwaterowano w barakach porozrzucanych po całym terenie. Między budynkami zrobiono rodzaj pomostów z desek, bo inaczej trzeba by brodzić po kostki w błocie. Wszystko razem wyglądało jak plac budowy, tyle że od góry osłonięty siatką zabezpieczającą przed granatami.

Nad bazą stale unosił się dym, woń smażonych jajek, zapach frytury oraz odór przemoczonych ubrań i wilgotnej podłogi. Ogrzewanie działało fatalnie, więc albo marzliśmy, albo pociliśmy się z gorąca, a okien nie było.

Pod koniec lat siedemdziesiątych służba w South Armagh oznaczała głównie łażenie na patrole, jak nie po mieście, to po okolicy, w błocie, deszczu, z plecakami, po kilka dni bez przerwy, tyle, ile trzeba na wykonanie zadania. Jako „kot” – nowy – musiałem oczywiście dzwigać GPMG.

Przez miesiąc, czy coś koło tego, byłem tym wszystkim bardzo podniecony, później zacząłem się nudzić. Czuję, że stoję w miejscu, niczego się nie uczę, bo nic się nie działo. Szkolono nas długo i starannie, uczono, żeby uważać na każdy krok, bo zawsze coś może się zdarzyć, ćwiczono, jak reagować, a tu nic się nie działo, a przynajmniej tak to wyglądało. Chodziliśmy na patrole, prowadziliśmy obserwację, kontrolowaliśmy samochody, zakładaliśmy VCP – *Vehicle Checkpoint* – punkty kontroli drogowej, przeszukiwaliśmy domy i tyle.

Na nogi wkładaliśmy kalosze, bo błoto było, że aż hej. Patrol trwał zwykle cztery dni. Lecieliśmy śmigłowcem, łaziliśmy po polach, a na

następne cztery dni przenoszono nas do miasta. Wtedy zamienialiśmy kalosze na zwykłe obuwie. Kolejne cztery dni to służba na wieży, a oprócz tego sprzątanie terenu i takie różne głupoty, żeby wojsko miało co robić, czego najlepszym i pamiętnym przykładem było polecenie, jakie wydał mi kiedyś sierżant, szef kompanii:

„Weźcie się do roboty, McNab, i pozamiatajcie kałuże!”

Całe zaopatrzenie – jedzenie, amunicję – listy, a także ludzi przywożono śmigłowcami. Lądowisko z desek znajdowało się tuż za bazą. Kiedy śmigłowiec miał przylecieć, wszyscy musieli być w pogotowiu. Niedaleko było osiedle mieszkaniowe i bandyci strzelali do wszystkiego, co się rusza. Helikopter siadał błyskawicznie. Najlepsi piloci byli z marynarki. Latali wessexami. Odważnie, a co najważniejsze punktualnie, bo jak się kończył patrol, to wszystkim zależało, by jak najszybciej znaleźć się w koszarach.

Któregoś dnia miałem służbę przy wejściu do bunkra obok lądowiska. Gdy śmigłowiec siadał i wybiegali zeń ludzie, otwierałem drzwi, a oni wpadali do środka. Wszystko działo się błyskawicznie, ludzie pędzili pochyleni, tak że nie wiedziało się, kto biegnie. No i właśnie pewnego dnia do bunkra wpadł zgięty facet z całym plikiem papierów w reklamówce, jak baba z zakupami.

– Ktoś ty? – zapytał.

– McNab.

– Jestem Corden-Lloyd – zafundował mi piątkę i „poleciał” zwykłym tekstem starszych oficerów wobec szeregowców: – Wszystko w porządku? Listy dostajecie? Jedzenie dobre? Macie skargi?

No właśnie. Sam pułkownik zafundował mi piątkę! I pieprzył jak najęty.

Na patrole po okolicy nie wysyłano żadnych wozów bojowych, bo sporo ich utracono na skutek ostrzału z moździerzy. Natomiast w mieście mieliśmy dwa transportery opancerzone Saracen. Nazywaliśmy je „puszkami”. Oba wyposażone były w specjalne siatki zabezpieczające przed pociskami przeciwpancernymi. Pocisk eksploduje w zetknięciu z siatką i nie przebija pancerza. Korzystaliśmy z nich – jak powiadam – wyłącznie w mieście, na przykład do rozwożenia wojska na stanowiska, co nie było sprawą bagatelną, zwłaszcza gdy lało. Załogom nie było czego zazdrościć. Gówniana służba. Kierowca cały czas siedział na dupie, a działonowy sterczał jak wał. Wozy odgrywały zasadniczą rolę w czasie poważniejszych potyczek, bo karabiny maszynowe na wieżyczkach zapewniały sporą siłę ognia. Ale największy plus „puszek” polegał na czymś zupełnie innym i owo coś wisiało z tyłu, na pancerzu. Były to tak zwane norweskie, dwugalonowe pojemniki na herbatę, z plastikowymi kubkami na łańcuszku. Przed wyruszeniem w teren załogi napełniały kontenery i zawsze można było się napić. Oczywiście po paru godzinach zawartość stygła i stawała się do niczego, ale rano był to po prostu

nektar.

Wczesną wiosną 1978 roku trwała „wojna na flagi”. Jedni wywieszali trójbarwne flagi republikańskie, a drudzy je ściągali. Ci drudzy to my. Zadanie nie było wcale takie proste, jakby się wydawało. Należało działać ostrożnie, bo zdarzało się, że przy takiej fładze podkładano ładunki wybuchowe. Czasami je maskowano, a czasami przeciwnie mocowano tak, żeby każdy widział, a to po to, by wystawić nas na strzał.

I właśnie wczesną wiosną 1978, w czasie rutynowego patrolu, zauważyliśmy trójkolorową flagę na słupie telefonicznym przy kościele na skraju miasta, gdzie na łagodnych zboczach rozciągały się pola uprawne, poprzedzielane tu i ówdzie żywopłotami.

Nasz pluton wystawiał tego dnia cztery patrole.

„Najpierw ściągamy flagę” – rozkazał dowódca przez radio. Zadanie miał wykonać jeden z patroli.

Nasz szykował się właśnie do wyjścia w teren. Było zimno, mżyło ulice mokre, mnóstwo kałuż. Mieliśmy wyłożone nylonem kamizelki kuloodporne, na których chłopaki powypisywali sobie grupę krwi, a ja pod mundurem miałem jeszcze całkiem cywilną kurtkę z dywetyny.

Przed wyjściem odbyła się krótka odprawa.

„Wy zabezpieczacie centrum miasta, wy na lewo, wy na prawo, a wy ściągacie flagę. Później zaczynamy normalną służbę patrolową”. W sumie nic wielkiego. Nie pierwsza flaga, którą trzeba ściągnąć.

Poszliśmy do bramy, załadowaliśmy broń. Dowódca warty uprzedził przez radio załogę wieży – pamiętacie? wieża imienia Barukiego że patrole właśnie wyruszają. Chłopcy na wieży mieli nas osłaniać. Kolejno, patrol za patrolem, ruszyliśmy w teren. Też nic specjalnego. Rutyna. Trzy godziny w mieście, powrót do bazy, cztery godziny odpoczynku i znów trzy godziny służby patrolowej.

Moja sekcja zabezpieczała centrum miasta, a sąsiednia miała się zająć flagą.

Fizycznie miał ją zdjąć niejaki Nicky Smith, chłopak, który przeszedł stosowne przeszkolenie saperskie. Wiedział, jak się to robi i jakie środki ostrożności trzeba zachować. Nasz patrol, jako najbliższy, osłaniał operację. Plan zaś polegał na tym, że Nicky wejdzie na „puszkę”, sprawdzi, czy przy fładze nie ma niczego trefnego, i ściągnie ją w dół. W sumie nic trudnego. Robił to dziesiątki razy.

Tymczasem zrobiliśmy blokadę na drogach. Nasz patrol sprawdzał samochody wyjeżdżające z miasta. Prawo jazdy, rejestracja, dokąd jadą i skąd. Tym zajmowało się dwóch chłopaków, a ja ich osłaniałem, będąc cały czas w ruchu, zgodnie z taktyką operacyjną. Chodzi o to, aby nie stanowić nieruchomego celu. To bardzo ważne.

Nie zwracałem specjalnej uwagi na Nicky'ego Smitha i jego ludzi, interesowało mnie tylko, by załatwili sprawę możliwie szybko, bo im rychlej skończą, tym szybciej będziemy wolni i być może znajdzie się chwila na herbatę z norweskiego pojemnika.

„Puszka” podjechała pod słup, z którego zwisała flaga. Cekaemista obserwował pola, bo przecież nie można było wykluczyć, że gdzieś tam zasadził się snajper, a flaga miała być jedynie przynętą. Kierowca też pilnie uważał.

Nicky wlaź na górę, obejrzał wszystko uważnie, pociągnął za flagę. Pieprznięło strasznie.

Byłem osiemnastoletnim „kotem” i nigdy jeszcze nie słyszałem tak przerażającego huku. Stało się to tak niespodziewanie, że przez chwilę nie wierzyłem własnym uszom i oczom. To nie może być – przemknęło mi przez myśl. Nie wiedziałem, co robić, rozglądałem się bezradnie za jakąkolwiek wskazówką. Reggie sprawdzał właśnie jakieś auto, grzebiąc w bagażniku. Poderwał się i też zaczął się rozglądać. Tylko cywile w aucie z miejsca się zorientowali, co jest grane. Mieli znacznie więcej doświadczenia ode mnie, jeśli idzie o takie niespodziewane wybuchy.

Reggie zatrzaskał bagażnik, auto odjechało pełnym gazem. Krzyknął na nas i poleciliśmy na miejsce wypadku. Dowódca nieszczęsnego patrolu ścigał już zwłoki na ziemię, a z wnętrza „puszki” dobiegały przeraźliwe wrzaski. Otworzono tylne drzwi transportera i starano się uspokoić załogę.

Resztki Nicky'ego, bo niewiele zeń zostało, leżały na ziemi za transporterem. Głowę odcięło mu jakoś ukosem od karku, stóp nie było. Korpus w zasadzie zachował się w całości – posiekany jak sito, ale cały. Na siatce ochronnej pełno było resztek ciała i oporządzenia, łącznie z kamizelką kuloodporną. Pancierz saracena spływał krwią.

„Dajcie pałatkę!” – zawołał dowódca patrolu.

Po drugiej stronie drogi, na wzgórzu, rozciągał się miejscowy cmentarz. Było tam nawet sporo ludzi. Nie reagowali. Nadjeżdżające samochody zawracały z miejsca. Nikt nie chciał się w nic mieszać, a zresztą z doświadczenia wszyscy wiedzieli, że jak zaczną gwizdać kule, to można samemu oberwać.

Najważniejsze pytanie brzmiało: Czy była to mina, czy też ładunek został zdalnie zdetonowany przez kogoś, kto ukrywa się w pobliżu? Zatrzeszczały nadajniki radiowe, padały rozkazy, a ja wciąż nie wiedziałem, co robić. Byłem zwyczajnie wystraszony i pocieszałem się tylko tym, że przynajmniej inni wiedzą, jak się postępuje w takich sytuacjach.

W jednym z patroli był facet, który wszystkim dawał się we znaki. Wychodził na lewiznę, dajmy na to w poniedziałek rano i wracał dopiero we wtorek wieczorem, niczym się nie przejmując. Bez przerwy się objął, ale

tego dnia – przeciwnie. Nie czekając na nic, zaczął ostrzeliwać żywopłoty, bo tylko tam mógł się kryć ktoś, kto odpalił zdalnie ładunek przy fladze. Facet, o którym mowa, był wałem, zawsze podpadał, ale jak przyszło co do czego, to wiedział, co robić.

Z bazy wyskoczył pododdział szybkiego reagowania. Błyskawicznie zablokował drogi wokół miasta.

Kawałki ciała Nicky’ego leżały w promieniu pięćdziesięciu, może sześćdziesięciu metrów. Zbieraliśmy co większe do pałatki, żeby jak najszybciej zabrać je do bazy.

Zgarniałem więc resztki faceta, z którym jeszcze przed chwilą, przy śniadaniu, narzekaliśmy na żarcie. Byłem zły i wystraszony i nie ma się czemu dziwić. Życie dało mi pierwszą wielką lekcję.

A miejscowi wylegli z pubów i domów, klaszcząc i krzycząc z radości. Cieszyli się, że szlag trafił brytyjskiego szweja. Wkurwiłem się jak nigdy.

We czterech wzięliśmy zwłoki Nicky’ego, reszta nas osłaniała. Pałatka zaraz przesiąkła krwią. Ja też miałem ręce czerwone po łokcie. Zanieśliśmy go do bazy i wróciliśmy, żeby oczyścić teren. Z Bessbrook nadleciały śmigłowce po rannych. Wszyscy byliśmy zmęczeni, przepoceni i pokrwawieni. Miotłami zgarnęliśmy do worka krwawe resztki z pancerza. Miotły spaliliśmy potem na podwórzu. Trzeba było jeszcze przejrzeć cały teren, bo ciągle brakowało jednej stopy Nicky’ego. Znalaziono ją daleko od miejsca wypadku, niemal na drugiej ulicy.

Na podeszwach butów mieliśmy zaschniętą krew kumpla. Tak samo na rękach, za paznokciami i w ogóle wszędzie. Ja na przykład zauważyłem plamę krwi na mapie, którą miałem w kieszeni.

Nicky Smith miał ledwie dwadzieścia lat. Był fajny. Miał mamę i dziewczynę. Tydzień temu pisał w liście: „Jeszcze czterdzieści dwa dni i wracam do domu”.

Wojsko kojarzyło mi się na początku z forszą, podróżami i podobnymi rzeczami, które zapamiętałem z reklam. Idę na plażę, świeci słońce i w ogóle jest ekstra. Być może Nicky również tak sobie myślał. Irlandia Północna też podniecała, bo przecież mieliśmy przeżyć coś nowego. Pomyślałem, że warto by wywiesić w punktach werbunkowych parę plakatów z trupami na pałatce.

O chłopakach, którzy giną w Irlandii Północnej, pisze się w gazetach krótko: „w dniu wczorajszym żołnierz brytyjskich sił zbrojnych...” i tylko tyle. Przyrzekłem sobie, że zawsze będę pamiętał Nicky’ego Smitha. Wytnę i schowam to, co napiszą w prasie. Zachowam też mapę splamioną jego krwią.

Prześladał mnie obraz oderwanych stóp i „puszki” zlanej krwią, jak dziecinny malunek. Wkurwiało mnie to i chciałem sam jeden zrobić porządek w świecie, żeby ludzie zaczęli być odpowiedzialni. Ja przynajmniej tak właśnie się poczułem, bo nie chodzi o jakąś tam zasaną politykę, nie chodzi

o szmal i odkładanie na samochód, chodzi o to, żeby coś zrobić dla chłopaków.

## 4

Saracen zakopał się w błocie za miastem i mnie z Gilem, kumplem z kompanii, postawiono na straży.

Osiedla komunalne w Irlandii Północnej, zwłaszcza w wiejskich okolicach, są całkiem niezłe. Składają się z dość przyjemnych bungalowów, finansowanych w części przez Unię Europejską (wtedy Wspólny Rynek oczywiście) i właśnie w pobliżu jednego z takich osiedli w budowie saracen utknął i ani drgnie. Próbowali go właśnie wyciągnąć za pomocą drugiego transportera, a naszą kompanię wezwano do osłony. Zajęliśmy pozycje po dwóch lub trzech w dwóch kręgach: zewnętrznym i wewnętrznym, wokół obu maszyn. Pola ostrzału poszczególnych par czy grup zajął się, tak że w razie potrzeby mogliśmy razić ogniem w zasięgu trzystu sześćdziesięciu stopni.

Gdy przyszła nasza zmiana, poprzednicy pokazali, co do nas należy, objaśnili sytuację i położenie w stosunku do pozostałych grup. Leżeliśmy z Gilem w krzakach i obserwowaliśmy teren. Było chłodno i mokro. Portki mi przesiąkły, nogi zaczęły drętwieć z zimna, ręce też. Na łeb nic nie mogłem włożyć, bo trzeba było nadstawiać uszu i czuwać. Nudziłem się jak mops, byłem zdechły i przez dwie godziny słałem joby facetom z „puszek” za to, że tak się wkopali.

Ówczesne SLR – *Self-Loading Rifle* – samopowtarzalne karabiny maszynowe, miały podpórkę na lufie, przypominającą trochę nożyce. Było to niezbędne, bo karabin, chociaż lekki, swoje ważył, zwłaszcza z wielkim celownikiem noktowizyjnym, przez który właśnie obserwowałem okolicę.

Nastał świt. Omiotłem teren przez celownik i wydawało mi się, że widzę jakiś ruch. Skorygowałem ostrość i spojrzałem jeszcze raz. Widziałem wyraźnie, ale nie dawałem wiary własnym oczom.

– Ty – szepnąłem do Gila – od żywopłotu idzie na nas dwóch facetów.

– Pieprzysz – odparł Gil nieufnie.

– Mówię ci, dwóch facetów. Sam popatrz.

Skradali się akurat w naszym sektorze, jakieś sto metrów od nas, a więc całkiem blisko.

– Kurwa mać, masz rację.

Gdy podeszli bliżej i znaleźli się dokładnie na naszej wysokości, zobaczyłem, że jeden z facetów dźwiga karabin.

– I co mamy robić, do kurwy nędzy? – szepnął Gil.

Nie miałem pojęcia. Czy próbować ich zatrzymać? Równie dobrze mogli to być nasi. Tymczasem nie mieliśmy kontaktu z dowództwem. Byliśmy zwykłymi „kotami”, a takim nie daje się radiostacji. Krzyk też nic nie da, wywoła tylko zamieszanie. Co więc robić? Chyba to, czego nas uczono: wezwać podejrzanych do zatrzymania się, a w razie potrzeby dać ognia.

Łatwo powiedzieć, gorzej wykonać. Najpierw trzeba zarepetować broń, wprowadzić nabój do komory, odciągnąć zamek. Taki był regulamin. Broń niby w pogotowiu, ale nie zarepetowana. Teraz więc trzeba wykonać trzy czynności jednocześnie: wezwać obcych do zatrzymania, zarepetować i wymierzyć.

„Stać, nie ruszać się. Patrol wojskowy!” – krzyknąłem, odciągając zamek.

Zawrócili na pięcie i rzucili się do ucieczki. Zaczęliśmy strzelać.

Chłopcy z posterunków w wewnętrznym kręgu zauważyli smugę i pomyśleli, że to my znaleźliśmy się pod ostrzałem, więc skierowali ogień w naszą stronę w przekonaniu, że właśnie z tego miejsca ktoś strzela do nas. Po raz pierwszy w życiu strzelałem do ludzi i po raz pierwszy ludzie strzelali do mnie, i nie miało znaczenia, że swoi.

W czasie szkolenia uczono nas czegoś, co w skrócie nazywa się „trzask-prask”. Otóż pod ostrzałem trzeba wytężać słuch – trzask to wystrzał, prask to uderzenie pocisku o ziemię. Z różnicy czasu między jednym a drugim można obliczyć odległość. Sekunda to mniej więcej sto metrów. Tyle, jeśli chodzi o teorię. Gorzej jest z praktyką. Nie słyszałem trzasków, czyli huku wystrzału. Słyszałem tylko głuche uderzenia pocisków wokół nas. Wcisnęliśmy z Gilem łby w ziemię i zaczęliśmy wrzeszczeć do chłopaków, żeby przestali strzelać.

Ogień tymczasem się nasilił. Reggie wspiął się na piętro budynku w budowie, żeby lepiej widzieć. Sprawdził kierunek ostrzału i dał serię z automatu, prosto na nas.

Po chwili, która wydawała się wiecznością, zapadła śmiertelna cisza, a zaraz potem rozpełtało się piekło. Kto żyw, starał się przystąpić do walki. W



bazie prowadzono oczywiście nasłuch radiowy i jak tylko chłopcy usłyszeli, co się dzieje, popędzili w stronę granicy, aby dwóm podejrzanym odciąć drogę ucieczki.

Zewsząd rozlegały się strzały. Strzelano do krów, drzew i do siebie. Zapanował absolutny chaos. Widziałem pociski śmigające w powietrzu. Jeśli kula trafiała w coś twardego, to oczywiście odbijała się rykoszetem i leciała dalej, Bóg jeden wie gdzie.

No i zaczęło się na całego. Zaraz dostarczono śmigłowcami psy, żeby podjęły trop. Za nimi ruszyła cała grupa: ja, Gil, dowódca kompanii, jego ochrona i oczywiście przewodnik psa. Brnęliśmy przez pola, strumienie i bagna.

Psy podjęły trop, ale przeciwnicy nie byli palcem robieni.

„Z psami najlepiej poradzić sobie na otwartej przestrzeni. Nad rzekami, w dolinach zapach utrzymuje się dłużej i jest wyraźniejszy wyjaśniał przewodnik. – Brodzenie w wodzie, przejście przez strumień, żeby zmylić trop, nic nie daje. Pies pokręci się na drugim brzegu i wpadnie na ślad. Natomiast na otwartej przestrzeni zapach wietrzeje. Warto też kluczyć, bo to zwalnia pogoń, ponieważ psu trudniej iść tropem” – tłumaczył, ciężko dysząc od biegu.

Chwilami psy się gubiły. Kręciły się w kółko bezradnie. Przewodnik kierował je dalej do przodu. Po chwili znów trafiały na trop, biegły dalej, my za nimi, jak na polowaniu z chartami. Działo to na wyobraźnię i wyzwalało pierwotne instynkty.

W ogóle czułem się podniecony, że biorę udział w czymś ważnym i dużym, o większym zakresie niż działania kompanii. Towarzyszyły nam dwa śmigłowce. Omiatały okolicę potężnymi reflektorami. Z ziemi wytyczano im kurs. Podjęto naprawdę zmasowany wysiłek, żeby przechwycić owych dwóch podejrzanych, a cała akcja zaczęła się ode mnie. Byłem z tego dumny.

Krażyliśmy całą noc. Wróciliśmy świtem z pustymi rękami, za to w postrzępionych portkach. Zdarliśmy je, przełaząc przez ogrodzenia z drutu kolczastego na pastwiskach. Byłem przemoczony, przemarznięty, zgłodniały i upieprzony, a tymczasem od rana znów normalka: patrole i służba wartownicza. Wcale mnie to jednak nie martwiło. Wreszcie coś się działo, robiłem to, po co mnie tu przysłano.

Dwa dni później do jednego ze szpitali po drugiej stronie granicy zgłosił się facet z raną postrzałową na nodze. Dostał kulę, kaliber 7,62. Byliśmy z Gilem zachwyceni i przez parę dni chodziliśmy w glorii bohaterów. Mieliśmy swoje pięć minut, wzięliśmy udział w prawdziwej walce.

Wkrótce potem zaczęły się dyskusje, komu zaliczyć celny strzał. Obaj z Gilem byliśmy dość gównianymi snajperami, cud boski, że w ogóle trafiliśmy.

Reszta służby w Irlandii Północnej wyglądała podobnie. Kiedyś w nocy podłożono bombę pod naszą strażnicę imienia Barukiego. Zrobiono to wedle znanego schematu. Pod wieżę podeszło dwóch miejscowych, zaczęli wrzeszczeć na chłopaków na górze, pokazywać tyłki i nie tylko tyłki, krótko mówiąc, robili wszystko, by skupić na sobie uwagę. W tym czasie trzeci człowiek podszedł niepostrzeżenie z tyłu i podłożył ładunek. Mina miała eksplodować w czasie zmiany warty, gdy otworzą się drzwi do pomieszczenia na wieży. Faceci w środku nie mieli pojęcia, co im grozi. Na szczęście ładunek odkryto na czas i zdetonowano w sposób kontrolowany.

Nasz dowódca – Corden-Lloyd – miał zajoba na punkcie naszego wyglądu, chciał, żeby wszyscy wyglądali tak samo. Był zdania, że wojsko musi mieć jednakowe ubrania, bo łatwiej wtedy rozpoznać w czasie akcji, kto swój, a kto nie. Pod spodem mogliśmy sobie nosić, co kto chciał.

Teoretycznie powinna to być fasowana odzież, jak na przykład grube wełniane koszule, które jednak nie nadawały się do niczego. Lepsze były koszule typu ONZ-owskiego, ale piekielnie drogie. Corden-Lloyd umówił się więc z producentami i przeprowadził głosowanie w oddziale.

„Jeśli każdy kupi dwie koszule ONZ, to wejdą w skład umundurowania po powrocie do Anglii” – oświadczył. Trzeba będzie wysupłać po szesnaście funtów, ale się opląci.

Niestety do transakcji nie doszło, bo pułkownik Corden-Lloyd zginął w katastrofie śmigłowca Gazelle. IRA zaraz ogłosiła, że helikopter został zestrzelony przez jej bojówki. Nasze Ministerstwo Obrony oświadczyło, że stało się to na skutek awarii maszyny. Jak było, tak było, szkoda tylko, że zginął najlepszy oficer, jakiego znałem w życiu.

Kiedy trafiłem do batalionu jeszcze w Gibraltarze, poznałem paru chłopaków, którzy przygotowywali się do Selekcji. Ćwiczyli biegi w terenie. Byłem szczeniakiem i nie miałem pojęcia, o co chodzi. Później dowiedziałem się, że chłopcy ubiegają się o przyjęcie do SAS. Jeszcze później, ale to znacznie później, dowiedziałem się, że w SAS nigdy nie używa się tego skrótów. Mówi się zwyczajnie – Regiment, czyli Pułk.

W XMG, w bazie, był niejaki Rob. Zajmował malutki pokoik, nie większy niż szafa. Czasami zerkałem do środka i widziałem, że bez przerwy majstruje coś w radiach. Miał też pełno map South Armagh. W rzeczy samej ten jego pokój wyglądał jak śmietnik. Leżały tam jakieś plecaki, zasobniki i różne takie rzeczy. Czasami Rob znikał na długie tygodnie, a nikt nic nie mówił.

Kiedyś natknąłem się na niego w umywalni. Popatrzyłem z ciekawości.

Nie był ani wysoki, ani barczysty, jak się spodziewałem, ale zwyczajny, średniego wzrostu, nic specjalnego. Miał na sobie spodnie, podkoszulek i klapki. Przyniósł jedynie szczoteczkę do zębów i kawałek mydła w plastikowym kubku. Umył się i wyszedł. Takie to było moje pierwsze, bezpośrednie spotkanie z Pułkiem.

Któregoś dnia ogłoszono, że za dziesięć minut będzie lądował śmigłowiec i kto żyw, ma się zgłosić do wylądunku. Chodziło o to, aby śmigłowiec stał jak najkrócej na ziemi, i nieważne, co przywoził: żarcie, sprzęt, ludzi.

Mnie, „kotu”, wydano proste polecenie:

„Zaraz będzie lądował śmigłowiec. Przywiezie coś w plastikowych workach. Idź, weź te worki i przynieś do bazy”.

Śmigłowiec siadał, kiedy otwieraliśmy żelazną bramę do bazy. Pędziliśmy na lądowisko, zabieraliśmy co trzeba i galopem wracaliśmy. Złapałem dwa worki. W środku były chyba karabiny maszynowe Armalite. Z helikoptera wyskoczyło czterech czy pięciu zarośniętych typów, z potężnymi baczkami niczym Kris Kristoferson, ubranych w dywetynowe kurtki, dzinsy i *dessies* – buty pustyńne.

„Koty” takie jak ja miały za zadanie wziąć ładunek i przenieść do bazy. Nie wolno było rozmawiać z przybyszami i pętać się pod nogami. A zresztą i tak nie chciało nam się z nimi gadać, bo nie mieliśmy pojęcia, jak zareagują. Wiedzieliśmy, że są to faceci z SAS – Special Air Service – twarde skurczybyki, które w każdej chwili mogą nas opieprzyć. Ja – osiemnastolatek – nie miałem zamiaru ryzykować.

W bazie mieliśmy tylko jeden telewizor. Stał w baraku-magazynie, gdzie było dość ciasno, więc na telewizję chodziło się możliwie wcześniej, żeby zająć miejsce. Bywało, że zasypialiśmy w czasie programu, ale zawsze budziliśmy się na listę przebojów.

Kuchnia w bazie nie była większa od kuchni w zwykłym, cywilnym domu. Braliśmy tace, szliśmy do kuchni, dostawaliśmy po cztery duże pajdy chleba i herbatę, wracaliśmy do magazynu, czyli pokoiku telewizyjnego, i wyklócaliśmy się o miejsca. Jedni przychodzili z umywalni, wymyć i wypucowani, inni prosto z pola, ubłoceni, przepoceni. Siedzieliśmy wszyscy na kupie. Śmierdziało papierosami, potem błotem krowim łajnem i talkiem.

Wtedy to, zaraz po Bożym Narodzeniu 1978 roku, na czele listy przebojów były: Debbie Harry i Kate Bush. Debbie śpiewała piosenkę *Denis*, a Kate Bush *Wuthering Heights* („Wichrowe wzgórze”). Kiedy Kate Bush pokazywała się na ekranie, cała kompania krzyczała: „na stos czarownicy”.

Przyszli też chłopcy z SAS. Pomyślałem, że to jednak normalni faceci, skoro słuchają Debbie Harry i Kate Bush. Nie pchali się, nie rozpychali ani w ogóle nic z tych rzeczy. Zaskoczyło mnie ich zachowanie. Byli naprawdę w porządku.

Zazdrościłem im swobody. Wychodzili i wracali, kiedy chcieli. Pomyślałem, że to naprawdę fajne życie. Przylatuje się, robi co trzeba i wraca do siebie, ale taki zwykły „kot” jak ja chyba w życiu nie zajdzie tak daleko.

## 5

W Tidworth – naszej nowej bazie w hrabstwie Wiltshire – stacjonowało osiem batalionów piechoty. Była to straszna dziura: trzy puby (jeden z nich zamknięty dla wojska), dwie frytkarnie, pralnia i bank, ot i całe miasto.

Wojsko dokładało starań, aby wpoić w nas żołnierskie cnoty, a zwłaszcza napastliwość. Chodziliśmy do miasta, dawaliśmy sobie w szyję i z nudów wyładowywaliśmy agresję, tłukąc się między sobą, za co surowo nas karano, jakbyśmy robili nie wiadomo co.

Życie biegło swoim rytmem: musztra, ćwiczenia, jak to w jednostce, ale wkrótce zaczęły się przygotowania do kolejnego wyjazdu do Irlandii Północnej. Szykowały się wszystkie bataliony. Każdy miał odsłużyć w Irlandii rok. Traktowałem to jako doskonałą okazję, żeby zaoszczędzić trochę szmalu. Za rok pobytu w Irlandii mogłem, jako szeregowiec, odłożyć okrągły kafel – tysiąc funtów – bo „za wodą”, jak nazywaliśmy Irlandię, czekało jeszcze mniej pokus niż w Tidworth. Były jeszcze inne korzyści. Po pierwsze, płacili nam dziennie pięćdziesiąt pensów ekstra; po wtóre, w sraczach wisiał miękki papier toaletowy, nie taki jak w garnizonach w Anglii. Miękki papier do dupy traktowano zresztą jak dodatkową zachętę: „...i pamiętajcie mówiono że za wodą jest lepszy papier”. Po trzecie wreszcie, wyjazd z Tidworth to sama przyjemność. Tak więc plan na następne trzy lata układał się prosto: ćwiczenia, bania w Tidworth i Andover oraz „wyjazdy za wodę”.

Chłopaki wracali „zza wody”, przywozili po kaflu, ale długo się nie cieszyli, bo kupowali auta, a te z miejsca zaczynały się sypać. Jeden facet, na przykład, kupił sobie za dziewięćset funtów ręcznie malowanego na brąz i

beż forda capri, który w dwa dni kompletnie się rozkraczył. Ja też myślałem o fordzie capri, ale nic z tego nie wyszło, bo ubezpieczenie chciało ode mnie więcej, niż auto było warte.

W dalszym ciągu chodziłem z Christine. Mieszkała w Ashford, z rodzicami. Jeździłem do niej na weekendy i kiedy tylko mogłem. Za Chiny nie zgadzała się zamieszkać w Tidworth, bo w Ashford miała pracę i rodziców. Byliśmy zakochani, a przynajmniej tak nam się wydawało, i patrzyliśmy w świetlaną przyszłość.

Tymczasem zaczęło się mówić, że batalion wyjedzie na pięć lat do Niemiec. Dla mnie i Christine wiązało się to z pewnym problemem. Jeśli ma się legalną żonę, to wojsko zapewnia stosowną kwatery, jeśli zaś chce się żyć z „narzeczoną”, to wojsko umywa ręce. Chcesz bracie mieszkanie, to sobie sam załatw. Za moją gażę nie stać by nas było na płacenie czynszu w Niemczech, więc pomyślałem sobie: tam do diabła, lepiej się ochajtnąć. Ślub był cichy. Christine została na razie w Ashford, ale planowaliśmy, że po moim powrocie z Irlandii wynajmiemy mieszkanie w Tidworth.

Tuż przed wyjazdem „za wodę” dostałem kaprała. W Irlandii stacjonowaliśmy, jak przedtem, w South Armagh. Zostałem dowódcą patrolu. Miałem pod sobą czterech ludzi. Po każdym patrolu musiałem pisać stosowny raport: co widzieliśmy, co zrobiliśmy, co powinno się zrobić. Pewnego wieczoru, kiedy udawałem się właśnie do pokoju operacyjnego, nadjechało auto z trzema czy czterema facetami w pełnym oporządzeniu. Wiedziałem, że chłopcy ci coś tam robią w rejonach, które na naszych mapach zaznaczono jako zakazane. Pomyślałem sobie: podczas gdy my, zające z piechoty, żyjemy się tu na miejscu, oni robią coś zupełnie innego. Wracając z patrolu człowiek był zadowolony, że wykonał zadanie, że w porządku, ale tak naprawdę wszystko to było takie sześć na dziewięć, bez jaj – taki nasz mały świat. Na widok tych facetów przemknęła mi przez głowę myśl, że ci to dopiero wykonują prawdziwe zadania, i to takie, o jakich pewnie nigdy się nie dowiem. Poczulem zazdrość.

Poszedłem do sali odpraw po formularz raportu. Leżała tam cała kupa rozmaitego sprzętu. Zwróciłem zwłaszcza uwagę na karabin Armalite, pomalowany na cudowne, maskujące kolory. U nas, w piechocie, czegoś takiego nie wolno było robić, bo broń to święta rzecz. Można ją czyścić i nic więcej. Tymczasem ten armalite miał jeszcze coś latarkę przymocowaną do kolby kawałkiem taśmy klejącej. Wspaniała sztuka, jak buty od Guccio. Chciałbym mieć takie cacko.

Wychodziłem właśnie, gdy stanąłem twarzą w twarz z jednym z tych facetów z Pułku. Ścisłej rzecz biorąc, zobaczyłem przed sobą jego tyłek, bo był goluśienki jak niemowlę i wypinał się dupą w moją stronę, wkładając portki. Mógł zaimponować opalenizną, pewnie właśnie wrócił z ciepłych

krajów. Obejrzał się w moją stronę.

- Coś się stało?
- Halo – odparłem.
- Możesz już przejść.
- Właśnie, śpieszę się.

Był to oczywiście facet z SAS i znów zaskoczyło mnie to, co spostrzegłem: chudy był jak kościotrup. Nigdy przedtem nie widziałem człowieka, który miał żyły na skórze, a nie pod nią.

Którejś soboty poszliśmy na patrol w podwójnym składzie – dwie czteroosobowe sekcje. Całością dowodził Dave – plutonowy – ja byłem zastępcą i dowódcą jednej z sekcji.

Dave'a znałem z XMG, ale niewiele miałem z nim do czynienia, jako że był w innym plutonie. Po awansie przydzielono mnie do szóstego plutonu i zostałem jego zastępcą. Dave był typem samotnika i bez przerwy podpadał. Ciągłe groziła mu degradacja i kary pieniężne. Pochodził z Londynu, z East End – dość ubogiej dzielnicy – i utrzymywał ścisły kontakt z rodziną i znajomymi. Miał jakieś dwadzieścia pięć lat i ręce całe w tatuażach. W Londynie czekała na niego co prawda dziewczyna, ale im bliżej go poznawałem, tym bardziej dochodziłem do przekonania, że zostanie starym kawalerem, takim, wiecie, co to rozbija auto raz na dwa miesiące i zadaje się z dziwnymi typami. Tymczasem polubiliśmy się i zostaliśmy dość bliskimi przyjaciółmi.

Ruszaliśmy na patrol o szóstej wieczorem. Przedtem odbyła się krótka odprawa. Dave podał kierunki, określił, gdzie idziemy i którą – czy przez główną bramę, czy boczną – opisał sytuację w mieście i wszystko, co potrzeba. Zebrał wcześniej stosowne informacje od patrolu, który właśnie wrócił z terenu.

„Po mieście szwenda się więcej ludzi niż zwykle – mówił. – Coś się dzieje w melinie przy rogu Liam Gardens. Sprawdźmy po drodze”. Na ogół unikaliśmy pijaków i nędzarzy z uwagi na bezpieczeństwo.

Wiadomo, że w melinach dość łatwo zastawić pułapkę. Chłopcy z patrolu, który właśnie wrócił, twierdzili, że w melinie jest coś dziwnego. Nie wiadomo, czy chodziło o stary burdel, czy też chciano nas zwabić.

Łałowaliśmy broń w punkcie przy bramie i czekaliśmy na rozkaz wyjścia. Zapadał leniwy, ciepły, letni wieczór, śpiewały ptaki, ruch na ulicy był niewielki. Słuchaliśmy w radiu raportów innych patroli w mieście. Mówili szyfrem, bo nasze środki łączności nie były kodowane, a bojówkarze prowadzili nasłuch.

Z bazy takiej jak nasza, a więc z bazy sił bezpieczeństwa, nikt nie

wychodzi tak sobie. Z bazy wybiega się, wypada pędem, szybko jak błyskawica. Zasada jest taka, że przez dwadzieścia pięć metrów leci się na łeb, na szyję i dopiero w pewnej odległości od bazy patrol ustawia się w stosownym szyku. Brama jest najniebezpieczniejszym miejscem pod słońcem, a przynajmniej najbardziej nadającym się do podłożenia bomby czy zastawienia pułapki, bo wiadomo, że przez bramę żołnierze muszą przejść.

Tak więc wypadliśmy na ulicę, ale nie skierowaliśmy się prosto do miasta. Postanowiliśmy zrobić krąg, przejść obrzeżami przez ugory. Zależało nam bowiem na tym, aby korzystając z naturalnej rzeźby terenu, ukryć się przed oczami obserwatorów IRA, bo nigdy nie wiadomo, czy czegoś nie szykują.

Unikaliśmy też utartych szlaków – jak wydeptanych ścieżek, uczęszczanych przejść w żywopłotach – gdzie łatwo byłoby nas namierzyć. Mieliliśmy jeszcze inną żelazną zasadę: nie dotykaliśmy żadnych przedmiotów mających związek z wojskiem, jak na przykład części oporządzenia czy czegoś podobnego, co mogło leżeć na ziemi. Niejeden „kot” wyleciał w powietrze, gdy schylił się po – dajmy na to – manierkę, sądząc, że zgubił ją któryś z chłopaków z poprzedniego patrolu.

Doszliśmy do niewielkiej rzeczki, strumyka raczej. Nie była to wielka przeszkoda. Przeszliśmy na drugą stronę, na tyły osiedla mieszkaniowego, idąc cały czas ugorami. Ciągnęły się aż do granicy. Po jej drugiej stronie wznosiły się zabudowania miasteczka Castle Blaney.

Był sobotni wieczór i na ulicach pełno było autobusów, którymi miejscowi wyprawiali się do Castle Blaney na ubaw i w ogóle. Wracali zwykle koło drugiej nad ranem, na chwiejących się nogach. Wcale im się nie dziwiłem. Też bym polazł, żeby dać sobie w szyję, bo co innego robić w takim Keady.

Szliśmy ugiem, w ukryciu. Nikt nas nie widział, my też nie widzieliśmy żywej duszy. Wiedziałem jednak, a przynajmniej spodziewałem się, że bliżej osiedla sytuacja się zmieni, że pewnie spotkamy tłum. Oczywiście omiemy go bokiem, żeby nie prowokować. Nasz plan był prosty. Okrążyć osiedle i sprawdzić, co się dzieje.

Więcej informacji zbiera się stojąc w miejscu niż w czasie marszu. Nazywa się to „stać na cynku”. Dochodzi się w określone miejsce i czeka. Miejsca mogą być różne, na przykład podwórko przy którymś z domów na osiedlu. Chowamy się w cieniu, stoimy, nadśluchujemy, obserwujemy, co się dzieje. Czasami bywa rozrywkowo – widzi się różne rzeczy, kłótnie w domu albo młodych migdałących się w salonie, podczas gdy starzy siedzą w kuchni.

Dave ze swoimi ludźmi szedł jakieś sto pięćdziesiąt metrów na prawo od nas. Nie widzieliśmy się wzajemnie, bo rozdzielało nas wyrzucenie terenu. Nieważne, nie musieliśmy nawet rozmawiać przez radio. Zналиśmy się jak łyse konie, współdziałaliśmy od kilku miesięcy i rozumieliśmy się bardzo



dobrze. Było jasne, że możemy na siebie liczyć.

Podeszliśmy jeszcze bliżej osiedla. Teraz osłaniał nas rząd parterowych sklepów, więc z osiedla wciąż byliśmy niewidoczni. Skręciliśmy w prawo, wzdłuż sklepów, doszliśmy w ten sposób do płotu z bramą. Ugór zamienił się śmietnisko, gdzie wałały się jakieś stare porozbijane auta, blaszane kubły i worki ze śmieciami. Wypuszczano tu także konie i kozy, dlatego ziemia była skopana i zasrana. Ponieważ padało co najmniej raz na tydzień, więc grunt zrobił się grząski, a woda stała w kałużach.

Doszliśmy do płotu i jakoś odechciało mi się przechodzić na drugą stronę, gdzie trzeba by kluczyć po śmietniku. Wybrałem prostszą drogę.

Zaraz za bramą ujrzelśmy niezły tłum na osiedlowej ulicy. Zewsząd dobiegały krzyki, wrzaski i przekleństwa, co nie było takie zwyczajne. Zwykle słyszało się co najwyżej rozmówki, przekomarzania i śmiechy osiłków pachnących wodą kolońską Brut i dupencji w świeżo odprasowanych bluzkach.

Patrząc na tłum, zdałem sobie raptem sprawę, że coś się dzieje ludzie krzyczeli, ciągnęli dzieciaki jak w panice. Nie rozumiałem jeszcze dlaczego. Zacząłem pilniej obserwować. Panika była wyraźna. Tłum liczył może sto pięćdziesiąt osób. Czekali na autobusy, ale okazywali niepokój na mój widok. Spojrzałem jeszcze raz, najpierw na drogę, potem w lewo, na sklepy, przeszedłem na drugą stronę szosy. Stały tam trzy, może cztery samochody i ciężarówka do przewożenia bydła. Zwykła rzecz w tym regionie.

A jednak zobaczyłem coś jeszcze: grupkę postaci w maskach, z bronią w ręku. Ten, który pierwszy rzucił mi się w oczy, trzymał w ręku armalite i wymachiwał nim niczym Che Guevara, wznosząc jakieś okrzyki. Byłem ledwie dwadzieścia metrów od niego. Widział szeroko otwarte oczy pod kominiarką. Zaczął krzyczeć i szykować broń. Wrzasnąłem i zarepetowałem swój karabin. On nie musiał repetować, był gotów, więc strzelał jak szalony. Ja też, celując w niego i pozostałych. Kątem oka zauważyłem, że zza ciężarówki wyskoczył jeszcze jeden typ, z bronią skierowaną w moją stronę. Byli pewnie wystraszeni tak jak ja, rozpaczliwie starali się wsiąść do ciężarówki i zbiec.

Jakiś chłopak wspiął się na skrzynię samochodu i strzelał stamtąd, podczas gdy inni ładowali się do środka. Jednego trafitem. Zakwiczał jak świnia, zwalając się na ziemię. Z wnętrza ciężarówki też dobiegały dzikie wrzaski zranionych ludzi.

W tym czasie Scouse, chłopak z mojego patrolu, podszedł do płotu, ale nie mógł przejść na drugą stronę ze względu na ostrzał. Rozpoczął więc ogień zza parkanu. Dwaj pozostali członkowie patrolu byli jeszcze w strefie martwego kąta, kompletnie zdezorientowani, bo nie widzieli niczego i nie wiedzieli, co się dzieje.

Tymczasem potyczka trwała przy wtórce wrzasków i krzyków. Strzelałem z pozycji kłęczącej. Magazynek, w które byliśmy wyposażeni, zawierały po dwadzieścia naboje. Na początek ładowałem zawsze dwa naboje z pociskami smugowymi, a to dlatego, że gdyby doszło do starcia na otwartym terenie, mógłbym w ten sposób wskazać cel pozostałym chłopakom. Również jako dziesiąty umieszczałem w magazynku nabój z pociskiem smugowym, aby wiedzieć, że właśnie wyczerpałem połowę amunicji. No i jeszcze dwa ostatnie naboje zawierały pociski smugowe i też z uwagi na praktyczną korzyść. Gdy pojawiał się czwarty, a więc przedostatni pocisk smugowy, wiedziałem, że podajnik wsunął do komory ostatni nabój; wtedy zmieniałem magazynek. Ćwiczyłem wszystkie czynności po wielokroć i nabrałem takiej wprawy, że mogłem zmieniać magazynek z zawiązanymi oczami. Teraz jednak rutyna i staranne przygotowania na nic się nie zdały. Byłem zbyt blisko celu, ładunek smugowy nie odpalał. W ferworze walki, strzelając jak oszalały i pewny swego „sposobu” nie liczyłem naboje. No i stało się to, co musiało się stać.

Bang, bang, trzask – szczęk iglicy uderzającej w pustkę, szczęk śmierci.

W komorze nie było naboju. Jeśli powiem, że dostałem pietra, to powiem stanowczo za mało. Przyłgnałem do ziemi i zacząłem wrzeszczeć: zacięcie, zacięcie!, aby dać znać chłopakom, że żyję, że nie dostałem, ale nie mogę dalej strzelać. Wokół grzmiała najprzeróżniejsza broń. Samopowtarzalne SLR huczały głębokim baseril. Armalite były cichsze i strzelały seriami.

Starałem się wyciągnąć zapasowy magazynek z zasobnika i miałem wrażenie, że wszystko nagle uległo zwolnieniu, jak na filmie. W istocie wszystko działo się błyskawicznie, ale czułem się tak, jakbym spoglądał na siebie z boku i obserwował, jak sobie dają radę z rutynowymi czynnościami.

Doskonale wiedziałem, co należy robić, lecz im bardziej się śpieszyłem, tym bardziej wszystko pieprzyło mi się w rękach. Poczulem się niemal dokładnie tak jak wtedy, gdy doszło do wypadku na dachu, kiedy jeden z moich kolegów spadł na ziemię. Także i teraz pragnąłem jedynie schować się pod coś, zasłonić głowę, niczego nie widzieć i po prostu przeczekać. Całą uwagę skupiłem na magazynku. Nie podnosiłem wzroku, nie patrzyłem, co się dzieje, jakby wierząc, że jeśli nie będę widział, to nic złego nie nastąpi.

Powinienem był zająć taką pozycję, jaka pozwoli mi obserwować przeciwnika. Uczyłem się zmieniać magazynek na ślepo i powinienem to zrobić bez trudu. Tymczasem nic mi się nie udawało. Nie mogłem otworzyć zasobnika. Gmerałem w środku jak głupi i to był błąd. Musiałem odwrócić magazynek do góry nogami, odciągnąć zamek. Trwało to kilka chwil, które wydały mi się wiecznością. Słyszałem strzały, słyszałem krzyki, ale najdonioślejsze wrzaski rozlegały się w mojej własnej głowie. Wymyślałem sobie od najgorszych.

– Muszę to zrobić, wiem, że muszę.

Zdawałem sobie sprawę, że leżąc beczynn timer, ledwie dwadzieścia metrów od przeciwnika, pewnie zginę. Jeśli zacznę strzelać, wszystko będzie w porządku. Dyszałem ciężko, z trudem łapałem oddech. Wiedziałem, co muszę zrobić, wiedziałem, że nie mogę tak sobie leżeć.

Przekręciłem się na brzuch i dałem ognia. Przerwa trwała nie więcej niż trzy, może pięć sekund.

Opróżniłem magazynek.

Bang, bang i znów szczęk iglicy uderzającej w pustkę.

W tym czasie ciężarówka ruszyła już z miejsca, a Scouse ostrzeliwał kabinę, licząc na to, że uda się wyeliminować kierowcę. Nie mogło się udać. Kabiny w tego typu pojazdach są wzmocnione stalowymi blachami.

Po tej stronie płotu w dalszym ciągu byłem sam. Gdy ciężarówka ruszyła, poderwałem się i popędziłem do przodu.

Nie miałem pojęcia, czy został ktoś z pasażerów ciężarówki, czy też wszystkim udało się zbiec, a jeśli tak, to gdzie? Uciekli w głąb osiedla czy może skryli się w sklepach? Pobiegli w stronę skrzyżowania, które było ledwie dziesięć metrów dalej? A stamtąd w lewo czy w prawo wzdłuż starych torów kolejowych? Któż to może wiedzieć? Ja przynajmniej nie miałem zielonego pojęcia, gdzie mogli zbiec.

Kątem oka dostrzegłem grupkę ludzi w jednym ze sklepów. Leżeli na podłodze, ale jakiś mężczyzna właśnie się poderwał. Mógł mieć broń; nie mogłem tego wykluczyć. Obróciłem się więc i posłałem kilka kul w tamtą stronę, dając znać, że to nie przelewki. Mierzyłem ponad głowę. Szybka wystawowa trzasnęła, posypało się szkło, mężczyzna padł na podłogę.

„Nie ruszać się!” – krzyknąłem. Nie wiem, kto był bardziej wystraszony, czy ja, czy ludzie w sklepie. Zrobiłem głupio, strzelając w szybę wystawową, ale też nie wiedziałem, co innego powinienem zrobić. Byłem tak oszołomiony, że we wszystkim, co się rusza, widziałem śmiertelne zagrożenie.

Popędziłem w stronę skrzyżowania, które – jak powiadam – było ledwie dziesięć metrów od miejsca potyczki. W czasie ćwiczeń do znudzenia uczono nas, jak prowadzić obserwację zza rogu. Są dwa sposoby; albo podchodzi się blisko i zerka zza rogu domu, albo przeciwnie, utrzymuje się większą odległość, przechodzi na drugą stronę ulicy i z wolna wysuwa w pole widzenia. W jednym i drugim wypadku chodzi o to, żeby stanowić możliwie najmniejszy cel. W czasie ćwiczeń wszystko szło jak po maśle. Człowiek wiedział, że za rogiem nie kryje się przeciwnik z armalite gotowym do strzału. Tu i teraz mogło być inaczej. Nabrałem powietrza w płuca, padłem na brzuch i z palcem na spuście zerknąłem za róg. Nikogo nie było. Poderwałem się, wybiegłem kilka metrów dalej, aby sprawdzić, czy w tę stronę nikt nie

ucieka. Po chwili zawróciłem na miejsce potyczki.

Jakiś facet, cywil najpewniej, jeden z gapiów, czołgał się po jezdni w stronę osiedla. Był kaleką. Wypadł, czy zsunął się z wózka inwalidzkiego. Przewrócony wózek leżał na jezdni. Biedak krzyczał przeraźliwie. Ludzie śpieszyli mu na pomoc.

Słyszałem krzyki matek nawołujących dzieci, szcęk zatraskiwanych drzwi, pośpieszne kroki tych, którzy zbiegali z miejsca zdarzenia. Jakaś kobieta w sklepie krzyczała: „tu nikogo nie ma, nikogo nie ma!” Wszyscy doskonale wiedzieli, że w takich sytuacjach, gdy ma się do czynienia z podnieconym wojskiem, łatwo stać się ofiarą.

Tymczasem Scouse i dwaj pozostali chłopcy dołączyli do mnie. Podeszedłem do jednego z nich, tego, który dźwigał LMG. Kopnąłem go. „Gdzieś ty, kurwa, był?!“ – zacząłem wrzeszczeć.

Nie panowałem nad sobą, miotałem się jak oszalały. Chciałem, żeby ktoś był ze mną w krytycznym momencie, ale nie doczekałem się. Nie była to wina chłopców, żadną miarą bowiem nie mogli dotrzeć do mnie.

Ruszyliśmy do przodu, szukając zbiegów, a jednocześnie połączyliśmy się z bazą, aby poinformować o potyczce, co zresztą nie było konieczne, bo przecież w bazie słyszano strzały. Mieli tylko jedno pytanie: „czy są ofiary?” Ja tymczasem nie byłem w stanie na nie odpowiedzieć, bo nie miałem pojęcia, czy ktoś z naszych dostał. Chłopcy z patrolu, który znajdował się na północ od nas, biegli jak wariaci w naszą stronę, z bazy też biegli nam na pomoc. Nadjeżdżały land rovery z chłopcami ściągniętymi w trybie alarmowym, w kamizelkach kuloodpornych na dresach.

Zaczynała się zmasowana akcja. W ciągu paru minut zostały zablokowane drogi, zjawili się przewodnicy z psami. Trzeba było zawiadomić policję, opisać ciężarówkę. To zadanie otrzymałem ja. Niewiele mogłem powiedzieć. Zapamiętałem tylko, że była to stara, żółta ciężarówka do przewozu bydła, cała zablocona. Ale na jeden szczegół zwróciłem uwagę – a to dlatego, że patrzyłem na pojazd z poziomu jezdni – a mianowicie na to, że miała dach z włókna szklanego.

Na wszystkich samochodach, które parkowały w pobliżu, widać było ślady kul. Kaliber 5,56 – po bojówkarzach, 7,62 – po naszej broni. Wokół wałało się pełno łusek.

Jeden z chłopców, który akurat miał służbę w bunkrze osłaniającym bazę, zameldował, że widział kogoś, kto biegł wzdłuż nieczynnych torów kolejowych.

Pies trafił na trop. Przewodnik dał znak, że idziemy.

Ruszyliśmy; ja, dowódca plutonu, przewodnik z kundlem i jeszcze dwóch chłopaków. Wszyscy byli napięci. Nasze zadanie polegało na osłanianiu przewodnika. Nie wiedzieliśmy jednak, jaka naprawdę jest sytuacja i czego

możemy oczekiwać. Nie można było wykluczyć, że ktoś się zasadził i czeka tylko na sposobną okazję, aby poczęstować nas ogniem.

Posuwaliśmy się polem. Na wzniesieniu znajdował się opuszczony chlew. Pies wyraźnie się ożywił.

– Coś tam jest – rzekł przewodnik.

– Ktoś pewnie kryje się w środku – dorzucił dowódca plutonu. Przewodnik z psem, a także dwóch chłopców do ochrony zostali na miejscu. Ja z oficerem zaczęliśmy podchodzić do chlewu.

– Wyłazić chuj, bo was wykurzymy! – zawołał stary. Cisza, żadnej odpowiedzi.

– W porządku, przygotuj się i skocz do środka – otrzymałem rozkaz:

Dobre sobie – pomyślałem – nie ma to jak dzielić się zadaniami. W czasie ćwiczeń przerabialiśmy FIBUA – *Fighting in Built-up Areas* – taktykę walki w terenie zabudowanym, ale co innego ćwiczenia, a co innego rzeczywistość. Odbezpieczyłem broń i trzymając ją na biodrze, kopnąłem drzwi do chlewu i wpadłem do środka. Pomieszczenie było puste.

Obeszliśmy z psem spory kawał terenu, ale nie wpadł na trop. Gdy wróciliśmy do miasta, wszystko było już pod kontrolą. Miejsce zdarzenia zostało odcięte od reszty. Przybyły ekipy śledcze i gruntownie badały całą okolicę. Wyły syreny, warczały silniki śmigłowców. Działo się wiele rzeczy naraz.

Gdy zjawił się dowódca ze swoją świtą, usłyszeliśmy przez radio, że do szpitala Monaghan po drugiej stronie granicy przywieziono właśnie dwóch rannych i jednego zabitego. Zaraz też wszyscy zaczęli komentować: „O kurwa, dobra robota”.

Kilka dni później poznaliśmy szczegóły wydarzenia. W akcji brały udział dwa auta – ciężarówka i ford granada. Bojówkarze przyjechali foldem, a w miasteczku mieli się, przesiąść na ciężarówkę i z niej zaatakować patrol, a konkretnie ten pod dowództwem Dave’a, następnie zaś zbiec za granicę.

Kiedy doszło do wymiany strzałów, bojówkarze byli zdezorientowani. Facet, który strzelał do mnie, miał właśnie wyjaśnić pozostałym szczegóły zamierzonej akcji. Z wysokości ciężarówki wyraźnie widzieli Dave’a i jego ludzi idących w ich kierunku, przez strumień, w odległości dwustu metrów. Dave zaczął biec w naszą stronę, ale nie mógł strzelać ze względu na nas. Faceci na ciężarówce nie spostrzegli naszej grupki. Gdyby się stało inaczej, załatwiliby nas bez trudu.

Jak wiadomo, udało im się zbiec z miasta. Zatrzymali się przed domem należącym do byłego klawisza – strażnika więziennego. Chcieli zabrać mu auto, ale – przytomniak – pogroził im bronią, więc pojechali dalej, dotarli do Monaghan, gdzie zostawili poległego i obu rannych.

Po raz pierwszy w życiu zabiłem człowieka. Miałem dziewiętnaście lat i

żadnych wyrzutów sumienia. Strzelano do mnie, więc musiałem zrobić to samo. Wykonałem to, czego mnie uczono. W piechocie nie ma znaczenia tak zwana specjalność. Można być telegrafistą albo kierowcą, albo Bóg wie czym jeszcze, ale i tak zasadnicze zadanie polega na tym, żeby w stosownym momencie i stosownym miejscu podnieść broń do ramienia, wymierzyć i zabić.

Uczono mnie tego przez wiele miesięcy. Poznałem zasady, byłem skuteczny. Kiedy jednak wpadłem w szambo, myślałem tylko o jednym: chcą mnie zabić. Wiedziałem też, że muszę się ostrzeliwać. Miałem szczęście i przeżyłem. Właśnie szczęście, bo tak naprawdę to ważniejsze jest szczęście, a nie umiejętności.

## 6

Po powrocie do Anglii poszedłem na kurs dla podoficerów. Zdałem na piątkę i natychmiast awansowałem do stopnia plutonowego, dzięki czemu zostałem najmłodszym żołnierzem w tej randze w całej piechocie.

Potem był kurs „Junior Brecon” – ośmiotygodniowe szkolenie dla dowódców drużyn na poligonie w Sennybridge – poważna sprawa. Taktyka i ćwiczenia, ćwiczenia i taktyka i tak w kółko... Harowaliśmy przez dwa miesiące, mnóstwo zajęć kondycyjnych, cały czas w warunkach zbliżonych do bojowych, zawsze w pełnym oporządzeniu. Nauka wydawania właściwych rozkazów. Było naprawdę ciężko, ale skończyłem z wyróżnieniem.

Zrobił się ze mnie prawdziwy żołnierz. Wojsko stało się dla mnie najważniejsze, ważniejsze nawet od żony. Byłem niedojrzały i głupi. Przyjeżdżałem do domu z kursu w sobotę rano, mówiłem cześć i zaraz leciałem pobiegać. W niedzielę rano, ledwie wstałem, robiłem to samo. Dbałem o formę, nie przegapiałem żadnego kursu, zgłaszałem się na wszystkie.

Dla młodych żon życie w takim garnizonie jak Tidworth jest piekielnie trudne i nudne. Ciężko o pracę, gdyż wszyscy ewentualni pracodawcy wiedzą, że taka pracownica nie zabawi długo na posadzie, bo męża łąda moment mogą gdzieś przenieść. Batalion co prawda starał się tworzyć i rozwijać rodzinną atmosferę, co jednak nie bardzo wychodziło, jeśli idzie o małżonki. W wojsku obowiązuje określona hierarchia, a baby lubią się z tym obnosić i nie omieszkują podkreślać: „Jestem Georgina Smith, małżonka sierżanta Smitha”.

Okolo roku 1980 moje małżeństwo zaczęło się zwyczajnie sypać. Christine, owszem, mieszkała w Tidworth, ale tak naprawdę to czekała tylko na wyjazd do Niemiec i śmiertelnie się nudziła. Któregoś dnia w czasie śniadania dała mi ultimatum:

– Albo wyjeżdżamy, albo zostajesz sam w tym cholernym Tidworth.

Nie dyskutowałem.

– Zostaję, a ty masz wolną drogę.

No i rozstaliśmy się, a ja nawet okiem nie mrugnąłem. Pograżyłem się w życiu jednostki. Miałem kumpli, nie widziałem życia poza wojskiem. Po co mi żona? I wcale nie byłem w tym odosobniony. Było wielu takich jak ja.

W każdy wtorek NAAFI – *Navy, Army and Air Force Institutes* – stowarzyszenie garnizonowych klubów wojskowych, organizowało dyskotekę w bazie RAF w Wroughtonie niedaleko Swidonu. Wielki dzień dla nas. Jeździliśmy z kumplami, w szóstkę, siódmkę, odprasowani, wymuskani i w ogóle.

Pewnego razu poznałem tam telefonistkę imieniem Debbie i zaraz wszelkie śluby, że co tam baba, wywietrzały mi z głowy.

Tymczasem okazało się, że w Winchesterze potrzebują plutonowego do szkolenia rekrutów. Zgłosiłem się. Niemcy mogą poczekać. Wedle pragmatyki plutonowy w kompanii szkolnej należy do tak zwanych funkcji E i warto coś takiego mieć w życiorysie. Po zakończeniu mogłem liczyć na awans na sierżanta.

Plutonem dowodził porucznik. Miał pod sobą sierżanta, któremu z kolei podlegaliśmy my – trójka plutonowych – instruktorów wyszkolenia. W skład drużyn, za które odpowiadaliśmy, wchodziło od dwunastu do piętnastu rekrutów.

W drużynie trafiał się jeden, a co najwyżej dwóch chłopaków do rzeczy, którzy rozumieli, co to jest wojsko i mogli liczyć na jakiś awans. Reszta była zwyczajnie zbyt tępa, aby być czymś więcej niż szeregowcami. W rzeczy samej ja też nie byłem lepszy.

Większość chłopców nawet nie zdawała sobie sprawy, co czyni wstępując do woja. Skusiły ich barwne reklamy przedstawiające żołnierzy na nartach bądź na plaży w otoczeniu zachwyconych dziewcząt. Wydawało im się, że trzy lata służby upłyną jak w bajce, a po odejściu do cywila będą mogli przebierać w ofertach pracy dla panów z wojska.

Tymczasem trzeba ich było uczyć najprostszych rzeczy – mycia, golenia, posługiwania się szczoteczką do zębów. Chodziłem więc z nimi do umywalni, pokazywałem, jak się bierze prysznic: „Popatrzcie, biorę prysznic. Mam na sobie skarpetki, które nosiłem cały dzień. Ułatwiam sobie życie, używając ich



jak myjki, bo piorą się automatycznie”.

Musiałem im pokazywać dosłownie wszystko: jak używa się szamponu, jak myje się palanta – trzeba odciągnąć napletek i nie żałować mydła.

Żądałem, aby każdy z moich podopiecznych robił dokładnie to, co ja: mył uszy, zęby i nie zapominał o posprzątaniu umywalni po sobie. Pokazywałem im, jak należy obcinać paznokcie u nóg. Wielu w ogóle nigdy nie obcinało, a niektórzy zwyczajnie zrywali narosły paznokieć pazurami, przez co uszkadzali sobie stopy, a w piechocie – wiadomo – najpierw cierpią nogi, a potem cała reszta.

Zdarzali się wśród nich i tacy – i to wcale nierzadko – którzy w życiu niczego sobie nie wyprasowali. Trzeba ich było uczyć, jak posługiwać się żelazkiem. Wkrótce jednak chłopcy nauczyli się wszystkiego, a co ważniejsze, zrozumieli, dlaczego postępuje się tak, a nie inaczej.

Generalna zasada szkolenia rekrutów polega na tym, aby utrzymać ich w napięciu, a jednocześnie nie znudzić. Plutonowy prowadzący szkolenie musi robić wszystko, czego wymaga od podopiecznych, inaczej mówiąc – dawać przykład. Jednocześnie staraliśmy się stworzyć atmosferę zdrowej rywalizacji. Poczucie sukcesu, że coś się osiągnęło, cementuje drużynę i sprzyja działaniom zespołowym.

Wyniki drużyny rzutowały na nasze oceny, co stanowiło dla nas dodatkowy bodziec do nieszczędzenia wysiłków. Mnie jednak wszystkie te sprawy wciągnęły tak bardzo, że żaden dodatkowy bodziec nie był mi potrzebny.

Nie należałem do zwolenników dawania w kość. Jak ktoś nie nadażał, poświęcałem mu więcej czasu. Uważałem, że tak jest lepiej, niż dobierać się facetowi do skóry. Zachęcałem chłopaków z drużyny do okazywania pomocy tym, którym szkolenie szło trudniej. „Jest w drużynie – wywodziłem – i wspólnie za niego odpowiadamy, tak ja, jak i wy.

Kiedy rekrut trafia do jednostki liniowej, pierwsze pytanie, jakie mu zadają, brzmi: „Kto cię szkolił?” Gdybyśmy więc posyłali do jednostek oferny i łamagów, odbiłoby się to na nas samych.

Nie było mowy o znęcaniu się, o tak zwanych kaprałskich metodach. Jeśli coś takiego się zdarzało, to raczej sporadycznie i było absolutnym wyjątkiem. Ja przynajmniej z niczym takim się nie spotkałem. Jeśli prawidłowo podejść do procesu szkolenia rekrutów, to dawanie w kość okaże się niepotrzebne. Nie ma sensu wymyślać, bić, kopać. Najlepiej dawać dobry przykład, nie nudzić, stosować system zachęt, a wyniki przyjdą same. Jednocześnie trzeba pamiętać, że wojsko przysposabia do surowego życia i wyzwala agresję. Wojsko to ciężka fizyczna praca i surowa egzystencja. Nie jest to jednak równoznaczne z dawaniem w kość. Ale ci, którzy nie potrafią się zaadaptować, przetrwać ciężkich warunków, powinni odchodzić. Jest wiele

prawdy w znanym powiedzeniu, że im więcej potu na ćwiczeniach, tym łatwiej w polu, i odwrotnie: im mniej potu na poligonie, tym więcej trupów w walce.

W jednostce to normalne, że jak się nie nadaża, to człowieka spotyka kara. Mnie też się to zdarzało, ale po pewnym czasie pojąłem racje położonych. Jeśli zaś idzie o to, co opisałem – o prysznic i naukę korzystania z proszku do czyszczenia – osobiście przez to nie przechodziłem. Ominęła mnie także wojskowa inicjacja, nie byłem ani ofiarą, ani świadkiem czegoś takiego. W moim otoczeniu ludzie mieli ważniejsze sprawy na głowie niż oddawanie się podobnym głupstwom. Chcieli jak najszybciej zakończyć robotę, iść do miasta i dać sobie w szyję.

W dalszym ciągu lubiłem wojsko, ale pewne sprawy, drobne zresztą, zaczęły mnie zniechęcać. Kiedyś wybrałem się po zakupy do miasta. Poszedłem z kumplem, też plutonowym, lecz starszym ode mnie. Miał koło trzydziestki, żonaty, ojciec dzieciom, poważny i odpowiedzialny. Chciał sobie kupić garnitur – solidny, trzyczęściowy. Wybrał, przymierzył, był zdecydowany. Usiadł z kierownikiem sklepu, żeby omówić warunki spłaty, bo zamierzał kupić na raty. Kierownik, owszem, przyjął czek na zaliczkę, ale dodał:

– Przykro mi, lecz jeśli idzie o kredyt, musi pan przedstawić zezwolenie podpisane przez pańskiego przełożonego.

– Nie rozumiem.

– Tu, na tym formularzu, musi być podpis pańskiego dowódcy.

– Żartuje pan!?

– Nie. Takie są przepisy dotyczące wojskowych.

Spróbujcie to sobie wyobrazić. Oto facet – dorosły, odpowiedzialny, z rodziną, domem i w ogóle – nie może kupić sobie ubrania z kamizelką na raty bez udania się na rozmowę do jakiegoś młodzika, który pewnie tonie w długach po same uszy, a musi przeprowadzić tak zwaną rozmowę uświadamiającą: „Zastanów się, czy stać cię na taki wydatek? Pomyśl, czy dasz radę? Pomyśl o odpowiedzialności”.

Jeśli żołnierz zwleka ze spłatą rat, to kredytodawca nie interweniuje u niego, nie upomina go, jak w cywilu, tylko zwraca się bezpośrednio do dowódcy. Ten zaś wydaje rozkaz i biedakowi ściągają dług bezpośrednio z gaży.

Raz tylko miałem debet w banku i to na ledwie dwa i pół funta.

Zdarzyło się to, gdy miałem dziewiętnaście lat. Zaraz przyszedł oficjalny list do jednostki. Wezwali mnie do raportu i musiałem się tłumaczyć za te marne dwa i pół funta przed kimś, kto pewnie zadłużony był w banku na co

najmniej połowę swojej rocznej pensji.

Poprosiłem Debbie, żeby przeniosła się do Winchesteru, powiedziałem jej, że wynajmiemy mieszkanie. Na wynajem też musiałem mieć zgodę dowódcy.

Zacząłem się zastanawiać, czy nie wystartować do Selekcji, marzyły mi się siły specjalne. Niewiele wiedziałem, ale słyszałem, że faceci z garnizonu w Herefordzie, gdzie stacjonuje SAS, mają nieco łatwiejsze życie. Wydawało mi się, że gdzieś jak gdzieś, ale w Special Air Service żaden dwudziesto- czy dwudziestodwuletni porucznik nie wtrąca się, gdy trzydziestoletni sierżant zgłasza się z formularzem kredytowym do pułkownika.

Na wszelki wypadek zacząłem ćwiczyć marsze w pełnym obciążeniu, tylko po to, aby się przekonać, jak to jest. Okazało się, że daję sobie radę, i to wcale nieźle.

Mieszkaliśmy z Debbie sześć czy siedem miesięcy. Miałem doskonałe stosunki z jej rodziną, aż do czasu, gdy skierowano mnie z powrotem do batalionu. Pojawił się problem, czy ma pojechać ze mną na trzy lata do Niemiec, czy zostać w Anglii. Wypisz, wymaluj jak poprzednio. Pomyślałem sobie, a co mi tam, weźmiemy ślub. Tak też się stało. Pobraliśmy się w sierpniu 1982 roku. Od razu przydzielili mi kwaterę.

## 7

Znalazłem się w Niemczech i natychmiast zacząłem marzyć, żeby się stamtąd wyrwać.

Nasz 2. Batalion Royal Green Jackets został przeformowany na jednostkę zmechanizowaną, ale nie było się z czego cieszyć. Niby byłem dowódcą drużyny, a nie wiedziałem nawet, jak się wsiada do APC – *Armoured Personnel Carrier* – opancerzonego transportera piechoty, nie mówiąc już o dowodzeniu czymś takim. Miałem ledwie tydzień na urządzenie się w nowym miejscu, bo zaraz batalion wysłano na ćwiczenia do Kanady. Były to ćwiczenia na szczeblu „grupy bojowej” – jednostki taktycznej składającej się z pięciu mniej więcej kompanii czołgów i piechoty. Przez dwa miesiące uganiałem się po wielkich preiach kanadyjskich, ćwicząc przeróżne warianty działań z użyciem ostrej amunicji. Były to zapewne ważne ćwiczenia, mnie jednak nie rajcowały, nie znosiłem zwłaszcza wożenia się w wiekowych, sypiących się machinach z przełomu stulecia. Ten sprzęt to dosłownie złom i połowę czasu przeznaczanego na ćwiczenia spędziliśmy, racząc się herbatą, podczas gdy specjaliści z REME – *Royal Electrical and Mechanical Engineers* – oddziałów inżynierskich, ciągle majstrowali w wozach. Bez żadnej przesady można powiedzieć, że z czterech wozów naszego plutonu co najmniej jeden nie zdołał ruszyć w teren. Załogi po parę dni leżały w rowach, czekając na pomoc.

W trzy, może cztery tygodnie po przyjeździe do Niemiec dostałem kwaterę i ściągnąłem Debbie. Zaraz też zaczęła się cała seria dwu i trzytygodniowych ćwiczeń. Wyruszyliśmy w pole, zajmowaliśmy pozycje,

okopywaliśmy się, a po paru dniach znów to samo, to znaczy wskakiwaliśmy do wozów, ruszaliśmy na nową pozycję, okopywaliśmy się i przez kilka dni nic się nie działo. Śmiertelne nudy i wszystko pozbawione sensu. Przynajmniej dla mnie. Nikt zresztą nie zadał sobie trudu, aby nam – prostym żołnierzom – wyłożyć, na czym polega generalny plan i jaki jest cel naszego wysiłku.

Podobnie jak w Kanadzie, większość czasu spędzaliśmy beczynnie. Jeśli nie psuły się wozy, to czekaliśmy na zakończenie weekendu, bo Niemcy nie zezwalali na ruch pojazdów pancernych w soboty i niedziele. Było to wygodne dla miejscowej ludności, ale nie dla nas, bo jak się tkwi w polu, dziesięć kilometrów od wygód, to naprawdę można kota dostać.

I w ogóle było do dupy, burdel straszny, zaczynałem mieć naprawdę dość. Jak nie wyprawy w podstarzałych transporterach, to pieprzenie w garnizonie. Najmarniej pięć razy w miesiącu miałem służbę wartowniczą w batalionie, a poza tym służbę w pułku i w brygadzie. Po dwadzieścia cztery godziny za każdym razem.

Wchodziliśmy w skład Brytyjskiej Armii Renu, więc musieliśmy się prezentować jak należy. Zapowiedziano kiedyś wizytację księżniczki Anny i pojawił się problem, co zrobić z pożółkłą trawą w miejscach, gdzie stały jakieś skrzynie czy coś w tym rodzaju. Dowództwo kazało malować trawę na zielono. Pomyślałem sobie wtedy, że członkowie rodziny królewskiej obracają się wyłącznie w świecie, w którym unosi się zapach świeżej farby, pasty do podłogi i szuwaksu do butów.

Ćwiczyliśmy, żeby ćwiczyć, bez żadnego pojęcia, co nas tylko wkurwiała. Z daleka perspektywa służby w Niemczech wydawała się atrakcyjna, no bo specjalny dodatek zagraniczny, auto bez podatku, dodatek benzynowy i tak dalej. W rzeczywistości prosty żołnierz miał gorzej niż w Anglii. Nie było czasu na podróże i zwiedzanie, nie było mowy o wyjazdach na narty w czasie weekendów, bo bez przerwy wypadała jakaś służba – jak nie malowanie trawy, to stanie na bramie.

Pobyt w Niemczech okazał się także nieprzyjemny z innych względów. Były konflikty międzybatalionowe i ciągłe awantury z Turkami, którzy prowadzili większość burdeli, barów i dyskotek. A i w batalionie też się pierdoliło. Gdy tylko wyruszaliśmy z jednostki, kawalerowie szli jak w dym do naszych żon. One też były przy apetycie. W oknach pojawiały się pudełka proszku OMO, znak, że *Old Man Out* – starego nie ma. Nie bardzo mi się to podobało, żadnemu zresztą z żonatych chłopaków.

Miało się wrażenie, że armia namawia do palenia i picia, bo jedyną atrakcją w klubach garnizonowych były tanie usługi i tania gorzała. Gdyby zorganizowano nam na przykład siłownię, wielu na pewno by z nich korzystało, nawet nie dlatego, że żołnierz powinien mieć kondycję, ale z

przyczyn znacznie bardziej fundamentalnych z punktu widzenia młodych ludzi. Wiadomo, jak się ma klatę i sylwetę, to więcej się rwie.

Czułem, że zaczynam kapcanieć, a moje morale schodzi na psy. Zacząłem się zastanawiać, czy żyć tak dalej, czy pierdolnąć to wszystko. Z jednej strony powodziło mi się całkiem dobrze i szybko powinienem dostać stopień sierżanta, ale z drugiej miałem po dziurki w nosie malowania trawy na zielono, zamiatania kałuż i czyszczenia wozów, które i tak się rozpadały. Musiałem coś zadecydować.

Debbie tymczasem udało się dostać pracę w miejscowym szpitalu, z czego była ogromnie zadowolona. Mieliśmy jednak coraz mniej czasu dla siebie. Jak ona miała wolne, ja przygotowywałem się do Selekcji i wracałem późno w nocy. A w ogóle to nie bardzo nam to nasze małżeństwo wychodziło. Życie towarzyskie mieliśmy – owszem – udane. Zaprzyjaźniliśmy się z Kevami. Kev był plutonowym jak ja, tyle że w Kompanii B. Jego żona pracowała w tym samym szpitalu co Debbie.

Do batalionu wrócił także Dave i on również należał do naszej paczki. Kev uwielbiał piłkę nożną i w soboty najchętniej chodził na mecze, a potem na piwo. Sam też nieźle grał. Był w reprezentacji batalionu razem z Johnnym Dwugrzebieniowcem. Wstąpił do wojska dość późno. Miał już dwadzieścia pięć lat, mieszkanie, samochód i niezłą pracę. W moim przekonaniu zaciągnął się dla draki.

Mnie zaś opanowała jedna obsesja – dostać się do Pułku. W przyszłości byłoby to z korzyścią dla naszego małżeństwa. Tak przynajmniej przekonywałem Debbie. Pułk stacjonuje na stałe w Herefordzie, moglibyśmy więc kupić dom, ustabilizować się i w ogóle. Debbie mogłaby znaleźć przyzwoitą pracę. Tak jej to tłumaczyłem. W istocie myślałem tylko o sobie.

Napisałem stosowny raport i zacząłem pracować nad swoją kondycją. Zrazu nikomu nic nie mówiłem, tylko Kewowi. „Ja też o tym myślałem – rzekł. – Idę z tobą”.

Zwierzyłem się jeszcze Dave’owi. „Chuj z tym – powiedział. Jestem z wami”.

No i zaczęliśmy. Ładowaliśmy plecaki na grzbiet, ćwiczyliśmy biegi i tor przeszkód. Dave zapoznał nas z pewnym kapitanem, Kanadyjczykiem Maxem, który też myślał o Pułku. Spędził niedawno dwa lata jako doradca w Omanie. Poznał tam facetów z SAS i nabrał apetytu. Jego rodzina miała farmę w Winnipegu. Mówił z wyraźnym kanadyjskim akcentem. Miał zamiar odbyć dwie rotacje w Pułku, a potem iść do Akademii Sztabu Generalnego i dalej robić karierę w wojsku, a na koniec wrócić na farmę. Był żonaty, trzeźwo myślący, rozsądny, wcale nie jak oficer. Dla nas mogła to być pożyteczna znajomość. Max wiele mógł załatwić, na przykład treningi w stosownych miejscach.

Wypytywaliśmy o Selekcję, kogo tylko się dało. Rozmawialiśmy z ludźmi, którzy sami coś wiedzieli albo znali kogoś, kto coś wiedział. Radziliśmy się, co jest najlepsze na wzmocnienie stóp, jaką zastosować dietę, co pić.

„Taki jeden z trzeciego batalionu był kiedyś na Selekcji i powiada, że na nogi najlepsza jest oliwa Neat Feet” – brzmiała najcenniejsza odpowiedź.

Stosowaliśmy się do tej recepty przez dwa tygodnie, po czym wróciliśmy do spirytusu salicylowego.

Gdy w batalionie rozeszło się, że będziemy startować, zgłosił się do nas pewien facet – Bob. Pochodził z Londynu, był murarzem, do wojska wstąpił dość późno. Dobrze zbudowany, metr osiemdziesiąt z kawałkiem, silny, niczym się nie przejmował. Cały czas na luzie.

„Jak nie zdam – mówił – to wynoszę się z wojska. Mam dość, wracam na budowę”.

Co ważniejsze, Bob miał pamiętnik, zapiski niejakiego Jeffa, który przeszedł pomyślnie Selekcję i w wieku dwudziestu jeden lat został jednym z najmłodszych ludzi w Pułku. Między innymi opisał trasy, na których odbywają się próby w Brecon Beacons. Jego zapiski stały się naszą biblią.

Kapitan, o którym już wspominałem, miał więcej szmalu od nas i postanowił kupić volkswagena-campera, czyli furgonetkę w wydaniu turystycznym, abyśmy mogli jeździć do Anglii na treningi. Składaliśmy się na benzynę. Wielce pomógł nam Alex, dowódca plutonu, który służył w Pułku i właśnie wrócił do batalionu. Zorganizował nam trzytygodniowe ćwiczenia w Walii, głównie po to, abyśmy mogli potrenować w górach. Wyruszyliśmy na noc, świtem byliśmy na promie, a na śniadanie dotarliśmy do jednego z obozów przejściowych w pobliżu Brecon.

Johnny Dwugrzebieniowiec przystępował już raz do Selekcji. Zdawał razem z Jeffem, ale nie przeszedł. Postanowił jednak ponownie próbować. Ćwiczył sam. Dużo wiedział o Selekcji.

„Na nogi najlepsza jest maść jarzębinowa – powiadał – a na pęcherze jodyna”.

Nie było takiego środka na nogi, którego nie wypróbowałibyśmy. Od babcinych recept, po Bóg wie co. Niektórzy, jak nam mówiono, owijali stopy bandażem elastycznym. Wszyscy szukali jakiegoś czarodziejskiego sposobu. Nogi i stopy są najważniejsze. W razie otarcia czy czegoś podobnego nie będzie czasu na gojenie.

Wreszcie, po wielu trudach, przekonaliśmy się, że najlepsze są najprostsze rozwiązania: dwie pary skarpetek i dobre buty. Najpierw wkłada się cienką skarpetkę, na nią grubą wełnianą i nie ma mowy o otarciach.

Bez przerwy też kombinowaliśmy z plecakami – co zrobić, żeby było wygodnie.

Johnny radził, żeby w środku wyłożyć go karimatą.

Spróbowałem, nie wydało mi się to wygodne i nie zapobiegało otarciom, dość bolesnym zresztą i coraz bardziej dokuczliwym. Szukaliśmy innych sposobów. Bandażowaliśmy klatkę piersiową i plecy, podkładaliśmy coś miękkiego pod szelki – też bez skutku. Ja sam próbowałem uelastyczyć szelki gąbką. Rezultat był taki, że w czasie marszu gąbka przesuwiała się, a taśma klejąca, którą ową gąbkę usiłowałem przymocować, uciskała w ramiona. I znów okazało się, że najlepiej nie robić nic. Przyzwyczać się i tyle.

Był problem z piciem. Chodziło o to, by uniknąć częstego przystawiania, ściągania plecaka i w ogóle. Różne były pomysły, niektóre rzeczywiście niezwykle. Celował w tym Max. Wymyślał przedziwne ustrojstwa. Któregoś dnia włożył sobie do plecaka kolarski bidon, zamiast zwykłej słomki wziął spory kawał gumowej rurki, którą przymocował taśmą do szelek plecaka. Zrobiłem tak samo, ale gówno z tego wyszło. Rurka wysuwała się z butelki, woda wylewała się i były same kłopoty. Żaden z dziwnych pomysłów nie okazał się skuteczny. Koniec końców zastosowałem prostą metodę: manierka przy pasku i zapasowy pojemnik z wodą w plecaku.

Nie wiedzieliśmy także, jak zabezpieczyć mapę i gdzie najlepiej ją chować. Max nosił mapnik na szyi. Spróbowałem również, ale nie był to dobry sposób. Mapnik pętał się, utrudniał marsz. W rezultacie wymyśliłem coś innego: pakowałem mapę w przezroczystą, plastikową torebkę i wsuwałem w kieszeń na udzie.

Próbowaliśmy wiele różnych płynów regeneracyjnych, między innymi wodę mineralną z mikroelementami i coś tam jeszcze. Uznałem w końcu, że gatunek nie jest najważniejszy, byle tylko była to ciecz, bo chodzi o uzupełnienie poziomu płynów w organizmie, ale ze względu na smak wypijałem litry lucozade, takiej, wiecie, lemoniady.

W jednej tylko sprawie panowała jednomyślność, a mianowicie, wszyscy byliśmy zgodni, że trzeba mieć środki przeciwbólowe i zapas brufenu przeciw opuchliznie. Co do mnie, to zakładałem, że jeśli zajdzie taka konieczność, to będę łykał całymi garściami i niech się dzieje, co chce.

Pogoda w górach była podła: jak nie deszcz, to mgła, niskie chmury i zimno, ale przy wysiłku, jakiego wymagały marsze, nie musieliśmy wkładać zbyt dużo na siebie. Nabieraliśmy kondycji i pewności. Dawałem sobie radę z obciążeniem i coraz lepiej poznawałem teren. Mapę miałem w głowie, najmniejsze szczegóły. Z czytaniem mapy nie powinienem mieć żadnych kłopotów. Całą uwagę skupiłem na osiągnięciu limitów czasowych, obowiązujących w próbach terenowych.

Czas przeznaczony na zapoznanie się z terenem nigdy nie jest czasem straconym. Bez wątplenia dobrze zrobiliśmy, jeżdżąc do Brecon Beacons.



Oswoiiliśmy się z okolicą, poznaliśmy teren, nabraliśmy pewności siebie, dzięki czemu się nie pogubimy, gdyby nawet panowała najgorsza pogoda. Przed wyjazdem do Walii przestudiowałem na mapie góry w pobliżu Pen-y-Fan i Fan-Fawr. Wiedziałem więc, że wzniesienia są bardzo strome, ale dopiero na miejscu przekonałem się jak bardzo. Po trzech tygodniach uporaliśmy się z tymi trudnościami i nie wydawały nam się aż takie straszne. Niezależnie od pogody i wysiłku mieliśmy też sporo zabawy. Z poprzedniego pobytu w Brecon, na kursie podoficerskim, znałem wszystkie puby w okolicy. Spotykaliśmy mnóstwo znajomych, a co najważniejsze, nie ślęczeliśmy w jednostce w Niemczech. Było wspaniale.

Po powrocie do Niemiec w dalszym ciągu trenowaliśmy w każdej wolnej chwili. Selekcja stała się dla mnie zasadniczą sprawą. Kładąc się spać, myślałem o Pen-y-Fan i wszystkich innych miejscach, które zdeptaliśmy własnymi nogami. Jak tylko otwierałem oczy, zastanawiałem się, co będzie, jeśli nie zdam. Im bardziej zastanawiałem się nad przyszłością w batalionie, tym goręcej chciałem się wyrwać.

Między Minden a Osnabruckiem jest pasmo dość stromych wzgórz. Łaziliśmy tam niemal codziennie. Gdy któraś z kompanii w batalionie miała BFT – *Basic Fitness Test* – sprawdzian kondycyjny, zgłaszaliśmy się na ochotnika. Bez przerwy lataliśmy na tor przeszkód. Wszystko po to, aby mieć dobrą kondycję. Wiedzieliśmy, że pierwszy miesiąc na Selekcji jest zabójczy, odpada osiemdziesiąt procent kandydatów.

Zdawałem sobie sprawę, że oszukuję i siebie, i Debbie, tłumacząc jej, że w przyszłości służba w Pułku będzie korzystna dla naszego małżeństwa. Podobało jej się w Niemczech. Miała niezłą pracę, przyjaciół, stabilizację. Jeśli przejdę przez Selekcję, będę wyjeżdżał z domu przynajmniej na siedem miesięcy w roku.

Pewnego słonecznego, gorącego dnia, w lipcu 1983 roku, we czwórkę załadowaliśmy się do starego volkswagena-campera i, mając nadzieję, że to już po raz ostatni, ruszyliśmy do Herefordu.

## 8

Oczywiście nie poinformowano nas, jak się dojeżdża do Stirling Lines. Specjalnie. Jeśli ktoś sam nie wykombinuje, jak dojechać do jednostki, to nie ma co ubiegać się o przyjęcie. Szkoda czasu i atlasu. Więc trzeba było sobie radzić. Kilku kandydatów przybyło z opóźnieniem. Przyjechali pociągiem, wysiedli na stacji w Herefordzie i zaczęli pytać o drogę. Nikt z miejscowych pary z gęby nie puścił. Całe miasto wie, co to są zasady bezpieczeństwa, a policja od razu ma oko na takiego, co za dużo pyta.

Na miejsce dotarliśmy w niedzielę. Jeśli pominąć wysokie ogrodzenie zwieńczone drutem kolczastym i posterunek żandarmerii przy bramie, jednostka wyglądała niczym miasteczko akademickie w czasie ferii. Wyobrażałem sobie, że wszystko tu będzie tętnić życiem jak w ulu, a tymczasem jednostka wydawała się wymarła. Natknęliśmy się na jednego, może dwóch facetów w spodniach od dresu i podkoszulkach. Biegali po koszarowych uliczkach i tyle. Nawet nie zwrócili na nas żadnej uwagi.

Zameldowaliśmy się gdzie trzeba, wypełniliśmy zwykły plik formularzy: imię, nazwisko, data urodzenia, specjalność, stopień, po czym posłano nas do magazynów po sorty i sprzęt. Dostaliśmy plecaki, śpiwory, manierki, żelazne racje, maszyny do gotowania i niezbędniki.

– W górach – powiedział kwatermistrz – będziecie nosić w plecakach tylko to, co naprawdę niezbędne: jedzenie, wodę, śpiwory, zapasowe ubranie. Mineły czasy, kiedy ładowano cegły, żeby zwiększyć obciążenie. Obuwie – ciągnął – tylko wojskowe, żadne inne. Chodzi o zasadę, bo, powiedzmy, ładujecie na trzy miesiące w dżungli i obuwie szlag trafia. Nie dostaniecie

tam niczego wymyślnego, tylko zwykłe buty wojskowe. Trzeba się przyzwyczajać.

Wszystkich kandydatów rozmieszczono w ośmioosobowych salach, w porządku alfabetycznym. Musieliśmy się więc rozstać, my – czwórka z Green Jackets. „Do zobaczenia” i każdy ruszył w swoją stronę.

W mojej sali było już dwóch facetów. Powiedzieliśmy sobie „cześć” i ani słowa więcej. Rozpakowując swoje graty, zerknąłem ciekawie na bagaże moich współlokatorów. Okazało się, że nie tylko ja zadbałem o napoje regeneracyjne, maść na nogi i środki przeciwbólowe.

Wyszedłem poszukać swoich, jak zresztą większość przybyłych. Prawie każdy po rozpakowaniu rzeczy starał się szukać bratniej duszy. Tu i ówdzie grały radia.

Wszystkich nas przemieszano i nikt nie wylądował w jednej sali z kumplem. Wokół sami obcy. Wszyscy skupieni, nieskorzy do rozmów. Było zupełnie inaczej niż w zwyczajnych jednostkach, gdzie zaraz zaczynają się pogaduchy i przepychanki. Atmosfera wydawała się wyraźnie napięta. Oczywiście zawsze musi minąć trochę czasu, zanim człowiek oswoi się z nowym otoczeniem, ale tu było jeszcze coś. Wszyscy się pilnowali, nikt nie paplał, jak bokserzy we wspólnej szatni przed wyjściem na ring. Jeśli o mnie chodzi, to na Selekcję patrzyłem trochę inaczej. Uważałem, że mam tylko jednego przeciwnika – siebie i tylko ze sobą muszę wygrać.

W poniedziałek, zaraz z rana, zebrano nas – stu osiemdziesięciu kandydatów – w sali gimnastycznej. Przed właściwą Selekcją trzeba zaliczyć zwykły, ogólnowojskowy test sprawnościowy BFT – bieg na pięć kilometrów w mundurze polowym.

„Macie piętnaście minut na pierwsze dwa i pół kilometra – uprzedzili faceci z DS, *Directing Staff*, czyli z komisji prowadzącej Selekcję – reszta nie ma znaczenia, ale nie radzimy kończyć biegu na ostatnim miejscu”.

Ruszyliśmy z kopyta. Bieg bez oporządzenia to bułka z masłem, i nikt, kto choć trochę ćwiczył, nie powinien mieć z tym kłopotów. Nie powinien się nawet spocić. Nie wierzyłem więc własnym oczom, widząc facetów, którzy bez tchu padali na pobocze, trzymając się za boki. Znałem baby, co miały więcej kondycji. BFT obowiązuje w całym wojsku i teoretycznie nawet najbardziej spasiony szef kuchni powinien go zaliczyć. Faceci z DS spisywali oferty i z miejsca odsyłali do domu, zanim jeszcze zaczęła się właściwa Selekcja. Ci, co odpadali, naczitali się widać „bondów” i mieli zupełnie opaczne pojęcie o SAS. Zszokowało ich to, że trzeba przebiec pięć zboliałych kilometrów.

Przez parę następnych dni doskonaliliśmy czytanie map.

„To trzeba umieć – pouczali faceci z DS – bo gdybyście utknęli gdzieś w górach i przyszło załamanie pogody, to gotowa katastrofa. Nie chcemy żadnych dramatów, po pierwsze ze względu na koszty, po drugie kompania dyżurna ma parę innych, ważniejszych zajęć niż uganianie się po górach w poszukiwaniu ofiar, a po trzecie wreszcie, nie zależy nam, abyście obłali”.

Choć trudno w to uwierzyć, to jednak znaleźli się wśród kandydatów tacy, co nie odróżniali północy od południa. Część kursu z topografii odbywaliśmy w terenie, w górach, z plecakami, co miało nas przygotować do następnego etapu. I znów dziwiłem się, ilu facetów zaczynało mieć dość. Pewnie w ogóle nie mieli pojęcia, na czym polega Selekcja.

Nie widywałem ani Keva, ani pozostałych chłopaków, jeśli nie liczyć przelotnych spotkań w czasie posiłków, co zresztą wystarczyło, żeby dowiedzieć się, iż chłopcy dają sobie radę.

Odbywaliśmy wiele „przełajów”, na ogół na osiem kilometrów, w grupach dwudziesto-, trzydziestooosobowych. Po lekcji topografii bieg w terenie, a ci, którzy właśnie kończyli przełaj, spływając potem, zasiadali do map. Cały czas trwała selekcja przez małe „s”. Kto nie dawał rady, odpadał.

Tymczasem wytyczano nam coraz cięższe trasy i zwiększano wymagania. Bieg na osiem lub jedenaście kilometrów i zaraz potem seria przysiadów i pompek, a do tego jeszcze sprinty na sto metrów, z kolegą na plecach, i ćwiczenia „strażackie” z wnoszeniem ofiar pod górę. I znów wielu kandydatów odpadało. Wyglądało na to, że DS chce wyeliminować wszystkich słabeuszy przed pierwszym poważnym sprawdzianem, tak zwanym Fan Dance – tańcem na górze Fan – zapowiedzianym na koniec tygodnia.

Typowy sprawdzian przygotowawczy to bieg w górach. Trzeba go było ukończyć przed upływem godziny. Wykombinowałem sobie, że najlepiej trzymać się facetów z DS, to powinno wystarczyć. Inni, czemu się raczej dziwiłem, byli ambitniejsi i koniecznie chcieli być szybsi. Ich sprawa.

Zarządzano coraz więcej biegów na orientację, z plecakami. Dobiłem kiedyś do punktu kontrolnego, usiadłem przy wozach, czekając na resztę chłopaków, popijałem herbatę. Obok siedział facet z DS. Pilnie obserwował kończących bieg. Był wśród nich taki wysoki przystojniak, oficer kawalerii, jak słyszałem, z przepaską na czole i na przegubach, a w dodatku z apaszką na szyi. Wyglądał, jakby wybierał się na partię squasha, a nie na bieg podczas Selekcji. Facet z DS wstał i poszedł poszeptać coś ze swoimi. Wszyscy zerkali na przystojniaka. Było jasne, że właśnie o nim rozmawiają. Wtedy to zaświtała mi w głowie myśl, że w SAS ważne jest również, by człowiek nie zwracał na siebie uwagi. Trzeba umieć wtopić się w otoczenie. Przystojniak miał chyba przechłapanie.

Fan Dance – taniec na górze Fan – to bieg na dwadzieścia cztery

kilometry, z plecakami, w grupach trzydziestoosobowych pod opieką facetów z DS, bez czytania mapy. Zaczyna się u stóp Pen-y-Fan. Trasa wiedzie w górę, na sam szczyt – najwyższy zresztą punkt w całej okolicy – potem w dół, wokół góry zwanej Crib – kołyska – i dalej wzdłuż starej drogi do Torpanto, pamiętającej rzymskie czasy, do punktu kontrolnego, a stamtąd z powrotem do miejsca startu.

Jedni rozpoczynali bieg z Torpanto, inni – w tym moja grupa -spod góry Fan, z ośrodka pogotowia górskiego. Powinniśmy się mijać na szczycie.

Plecak ważył siedemnaście kilo. Nie podano nam limitu czasu, ale oczywiście istniało określone minimum, czego można było się domyślać z pewnej rady, udzielonej nam przez facetów z DS: „Jeśli nadążycie za nami, w porządku. Jeśli nie, łapiecie spóźnienie”.

Nasz opiekun z DS ruszył z kopyta. W pięć minut grupa rozciągnęła się jak wąż. Zauważyłem kilka nowych twarzy, facetów naprawdę z parą, bo z łatwością mnie prześcigali. Byli to chłopcy z regularnych kompanii SAS. Fan Dance jest imprezą otwartą dla wszystkich ochotników z jednostki. Przyjeżdżali na punkty startowe land roverami, brali plecaki na grzbiet i ruszali. Byłem w niezłej kondycji, w pełni sił, ale ci faceci okazali się znacznie lepsi, zwłaszcza w marszu pod górę. Nie powiem, wkurwiało mnie, gdy widziałem, jak po drodze plotkują z naszym deesowcem, a potem dodają gazu i w parę chwil znikają za horyzontem.

Dyszałem ciężko, lecz złapałem wreszcie drugi oddech. Wtedy, dla odmiany, zacząłem pocić się jak mysz. Pot zalewał mi oczy i drażnił skórę na plecach. W dwadzieścia minut zrobiłem się mokry, ale oddech się wyrównał i czułem się całkiem dobrze. Orientowałem się w terenie, pogoda też była w porządku, tylko ziemia grząska.

Do Torpanto dotarłem w niezłej formie, zdyszany, ale pewny swego. Nie było zbyt gorąco, więc nie musiałem często przystawać, żeby się czegoś napić. Podałem nazwisko facetowi na punkcie kontrolnym i ruszyłem w drogę powrotną, nucąc w myślach melodię w stylu rap. Właśnie zaczynała się moda na ten rodzaj muzyki. Wcale mi się nie podobała, ale to właśnie nuciłem.

Tymczasem wszystko sprowadzało się do tego, żeby szybko biec w dół i potem po płaskim terenie i możliwie szybko wspinać się pod górę. Proste jak budowa cepa. Wymachy rąk, solidny krok. Minąłem Maxa. Szło mu nieźle, tyłko gumowa rurka, z tego urzędzenia do picia, majtała mu się na plecach.

Ze stu osiemdziesięciu kandydatów, którzy zgłosili się na Selekcję, na Fan Dance wyruszyła setka, z tego trzydziestu nie zaliczyło próby. Fan Dance, jak nam powiedziano, to dopiero początek. Kto nie potrafi uporać się z Fan, ten nie ma na co liczyć.

Wieczorem zjawił się Peter, szef deesowców – instruktorów. Obszedł wszystkie pokoje. Był średniego wzrostu, wszyscy go lubili. Obejrzał te

cudowne płyny regeneracyjne, których pełno było w szafkach, i wolno, jak to on, wyraźnym akcentem z okolic Birmingham zauważył: „To wszystko gówno. Chcecie pić to pijcie, ale po mojemu nie ma nic lepszego niż parę kufli guinnessa i podwójna porcja frytek”.

Posłusznie poszliśmy do miasta, wypiliśmy po dwa piwa i wsunęliśmy po torbie frytek.

Trzeba było opatrzyć nogi. Każdy miał swoją cudowną receptę. Ja też. Jeśli idzie o pęcherze, to wiem z doświadczenia, że najlepiej przekłuć świństwo igłą opaloną w ogniu, wycisnąć i nałożyć plaster.

Zaczął się drugi tydzień eliminacji. Znowu biegi i marsze. Któregoś dnia, po wyjątkowo ciężkiej trasie, zrobiłem sobie przegląd dolegliwości. Bolały mnie stopy i łydki, uda rznąły, ramiona paliły od plecaka, a stawy barkowe miałem niemal wykręcone. Bolało mnie w krzyżu. To od dzwigania ciężkiego plecaka pod górę, bo jak się człowiek wspina, to musi pochylać się do przodu. Gdy po marszu zdjąłem plecak, miałem wrażenie, że unoszę się w powietrze. Włożyłem dres i w drodze powrotnej – wracaliśmy do bazy ciężarówkami raczyłem się herbatą.

W czasie jazdy mięśnie nam drętwiały i na miejscu wysiadaliśmy jak gromada pensjonariuszy z domu starców. Dowlekliśmy się do pokojów, ciągnąc za sobą śpiwory. Spojrzałem w lustro. Wyglądałem tak, jak się czułem, czyli okropnie. Łeb zmierzwiiony, ciało spocone, cały w błocie i liściach.

Plecaki trzymaliśmy obok łóżek. Jeśli idzie o ciuchy, to ich pranie nie miało sensu, bo dzień w dzień działo się to samo – pot, błoto, wilgoć. Wieszaliśmy przemoczone ubrania w suszarni, a potem układaliśmy na plecakach przy łóżku, żeby rano były pod ręką.

Po jakimś czasie zaczęły się pogaduchy w pokojach. Temat był jeden – Selekcja. Po powrocie z każdego kolejnego marszobiegu dowiadywałem się, ilu znowu odpadło. Im więcej – myślałem – tym lepiej dla mnie. Ucieszyłem się w duchu, że po Fan Dance skreślono aż trzydziestu, bo oznaczało to – tak mi się przynajmniej wydawało – że w porównaniu z innymi dają sobie nieźle radę.

Codziennie marsze i biegi odbywały się teraz na trasach od piętnastu do sześćdziesięciu czterech kilometrów. Zaczęły się także marsze nocne. Zbieraliśmy się o oznaczonej godzinie przy samochodach, jechaliśmy w teren i wyruszyliśmy na trasę. Wieczorem wracaliśmy do jednostki, zrzucaliśmy plecaki, suszyliśmy ubrania. Potem prysznic lub kąpiel i jeszcze coś na ruszt i uderzyliśmy w kimono. Nie było mowy o wyprawach na piwo z frytkami.

Nie uprzedzano nas o planach na następny dzień. Nigdy nie wiedzieliśmy, co nas czeka, gdzie wyznaczono trasę, jaki będzie limit czasu. Nasza rola sprowadzała się do tego, żeby jak najszybciej wykonać zadanie, to znaczy

przebiec od jednego wyznaczonego punktu do drugiego. Przydała się też umiejętność czytania mapy. Powiedzmy, że po dojściu do jakiegoś miejsca muszę rozpocząć nowy etap. Wówczas nie mam obowiązku schodzić w dół i znowu wspinać się. Mogę sprawdzić mapę i zdecydować, czy nie będzie szybciej, jeśli obejdem dolinę szczytami. Być może nadrobię drogi, ale zyskam na czasie.

Panowała niebywała dyscyplina. Mówiono nam: zbiórka o szóstej na placu. Wyczytywano listę, ładowaliśmy się na ciężarówkę i jazda. Większość chłopaków wyciągała śpiwory i dosypiała po drodze. Na miejscu wyskakiwaliśmy z wozów, a deesowcy wywoływali wszystkich po kolei i wysyłali w trasę.

Instruktorzy trzymali gęby na kłódkę. W końcu to nam, a nie im, zależało na tym, żeby zaliczyć. Traktowali nas – powiedziałbym obojętnie. Oto trasa – zdawali się mówić – chcecie to idźcie, nie chcecie, to nie.

- Czerwony, piętnaście?
- Jestem – wołam i podchodzę do instruktora.
- Nazwisko?
- McNab.
- Pokaż, gdzie się znajdujesz.

Na to *dictum* musiałem pokazać na mapie położenie, i to dokładnie, nie paluchem, bo wtedy wskazuje się obszar o średnicy co najmniej pół kilometra, a jak ktoś ma grube paluchy, to i więcej. Trzeba było pokazać punkt bardzo dokładnie, używając do tego gałązki lub źdźbła trawy.

- Udajesz się do kwadratu cztery-cztery jeden-trzy-pięć-trzy. Pokaż.

Wskazałem stosowne miejsce na mapie.

– A stąd, w którą to stronę? – Obliczyłem azymut i podałem kierunek. – Dobrze. Ruszaj, czas ucieka.

Był w mojej grupie niejaki Trev, strasznie napalony, a zarazem znerwicowany facet. Bez przerwy pieprzyły mu się kierunki, zamiast na północ potrafił biec – na przykład – na południe.

Któregoś dnia Trev ruszył właśnie z punktu kontrolnego, ale instruktor, widząc, co się święci, zawołał go z powrotem.

- Pokaż na mapie położenie. – Trev wykonał polecenie.
- Gdzie masz się udać?

Trev bezbłędnie wskazał kierunek na mapie, ale ruszył w zupełnie przeciwną stronę.

– Gdzie on, do cholery, leci? – mruknął deesowiec. Odczekał, aż Trev oddalił się na jakieś sto metrów, a potem krzyknął: – Wróć no! Gdzie ty, chuju, zapierdalas? Wskaż azymut.

Trev pokazał całkiem prawidłowo.

- No widzisz. To gnaj w tę stronę. Straciłeś już trzy minuty.

Jak to w górach nieraz bywa, z daleka cel był dobrze widoczny, a droga stawała się jakby coraz dłuższa. Człowiek biegł i biegł, i wydawało się, iż wcale nie zbliża się do mety. Czasami zaczynałem podśpiewywać w myślach głupie piosenki albo melodie z reklam telewizyjnych, których zresztą nie nosiłem.

Zjawiałem się na punkcie kontrolnym, zziębnięty, zmęczony. Pochylałem się do przodu, wspierając ręce na kolanach, aby dać wytchnienie plecom i ramionom.

„Pokaż, gdzie jesteś” – to wszystko, co słyszałem na powitanie. Natychmiast otrzymywałem następne polecenie: „Udasz się do kwadratu trzy-cztery-pięć-sześć-siedem-osiem. Pokaż kierunek”... i już mnie nie było.

Bywało, że na punkt kontrolny przywożono wagę. Sprawdzano, czy w plecaku mamy odpowiedni ciężar. Powiedzmy, że tego dnia plecak powinien ważyć dwadzieścia kilogramów. Jeśli waga wykazywała mniej, natychmiast pakowali do środka solidny kawał skały, oznaczając go stosownie, żeby nie było nieporozumień. Od razu łączyli się przez radio z następnymi punktami kontrolnymi, uprzedzając, że na przykład Niebieski dwadzieścia siedem ma mieć kamień w plecaku, bo skurwysyn chciał odstawić numer. Efekt był taki, że nieszczęśnik miał dźwigać obowiązkowe dwadzieścia kilogramów, targał dwadzieścia pięć albo i więcej. Pięć kilogramów różnicy to dodatkowe siódme poty i nowe odparzenia.

Sprawa zaś sprowadzała się do tego, że owymi dwudziestoma kilogramami trzeba się było wykazać na mecie, a nie na starcie. Popelniali więc błąd ci, którzy z rana ważyli plecak z wodą i jedzeniem. Wystarczyło bowiem wypić trochę wody z zapasu i już była niedowaga.

Po marszu, kiedy doprowadzaliśmy się do porządku, przychodzili instruktorzy i zaczęli wyczytywać nazwiska. Dość szybko się zorientowaliśmy, że jest to równoznaczne z odesłaniem do domu albo z ostrzeżeniem. Zjawiał się sierżant sztabowy i wołał, że ci i ci mają się u niego zameldować.

„Nie wyszło wam, chłopcy, najlepiej – mówił. – Ostrzegam was: albo weźmiecie się w garść, albo was wypierdolimy. To jest podwójne ostrzeżenie; pierwsze i ostatnie”.

I rzeczywiście. Gdy kogoś wywoływali po raz drugi, to wiadomo było, że zacznie się żegnać.

Jeśli po zakończonym marszu wracałem pierwszym transportem do koszar, wiedziałem, że jest w porządku. Jeśli załapywałem się na drugi – nie byłem do końca pewny, ale raczej spokojny. Jeśli przyszło mi wracać trzecim kursem, srałem w portki ze strachu, ale tak zdarzyło się tylko raz. Na ogół plasowałem się w pierwszej grupie i nie bez satysfakcji patrzyłem, jak blond drągale, przystojniacy o głowę wyżsi ode mnie, dostają kopniaka w dupę.



„Jaka szkoda” – współczułem im głośno, a w głębi duszy po prostu cieszyłem się. Każdy odpowiada za siebie.

„Czas się liczy – tłumaczył instruktor – bo nieraz spotkacie się z taką sytuacją, że każą wam, na przykład za sześć godzin i czterdzieści pięć minut, wyjść na określoną pozycję i osłaniać ogniem z kaemów jakąś akcję. Wystarczy trzydzieści sekund spóźnienia i po ptakach. Akcja rozpoczyna się bez waszej osłony, bo grupa atakująca nie może czekać, gdyż jej działania wiążą się z działaniami jeszcze innej grupy, która operuje w zupełnie innym miejscu. Trzeba być na czas, bo od tego może zależeć życie wielu ludzi”.

Instruktorzy zawsze wyruszali z nami na trasę i stosownie do warunków korygowali założony czas marszu. Jeśli – powiedzmy – wiał silny, przeciwny wiatr, to brali to pod uwagę, ale też oczekiwali, że na trasie nie będziemy gorsi od nich.

Mieliśmy takie powiedzenie: „Peron czwarty”. Wzięło się ono stąd, że pociągi z Herefordu do Londynu odjeżdżały właśnie z peronu czwartego. „Idziesz na czwórkę” znaczyło dokładnie to samo, co „dziękujemy, do widzenia”.

Macierzystą jednostkę zawiadamiano, że kandydat doznał kontuzji... Ja jednak uważam, że nikt, kto dostał „czwórkę”, nie powinien się wstydzić, bo sam fakt, iż przystąpił do eliminacji, świadczył, że ma solidniejsze jaja niż ci, którzy chcieliby mu zagrać na nosie.

Pewne fory w eliminacjach mieli chłopcy z korpusu łącznościowców. Było bowiem tak, że „drucików”, zgłaszających swoje kandydatury do Pułku, przydzielano najpierw do 264. Kompanii Royal Signals, która stacjonowała właśnie w Herefordzie, więc chłopcy mieli czas oswoić się z otoczeniem, a co ważniejsze – mogli trenować w górach do woli. Do Black Mountains – Czarnych Gór – gdzie odbywały się sprawdziany, mieli ledwie trzy kwadransy pociągiem. Zrazu wydawało mi się, że to nie jest sprawiedliwe. Później jednak zmieniłem zdanie, bo w czasie eliminacji nie było żadnej taryfy ulgowej. Wszystkich traktowano jednakowo. Wkładaj, bracie, kamasze i szoruj w góry.

Z ciekawością przyglądałem się facetom, którzy już raz przechodzili przez eliminacje, a odpadli na kolejnych etapach, zwanych Kontynuacją, na przykład w czasie szkolenia i sprawdzianów w dżungli. Zyczyłem im powodzenia, chciałem, żeby jednak zdali, bo wtedy – jeśli mnie się też uda – mógłbym korzystać z ich doświadczenia w czasie Kontynuacji.

Niektórzy faceci mogli zaimponować formą i sprawnością. Klata, sylweta, mięśnie – tylko im zazdrościć. Wśród instruktorów był taki jeden – Andy Baxter. Kiedyś pobiegł z moją grupą. Po drodze trzeba było robić przysiady i pompki. Jak się rozebrał, widać było same mięśnie. Był przy tym naprawdę przystojny, jak na okładkę „Playgirl”. W batalionie uchodziłem za niezłe

zbudowanego, ale z nim nie miałem żadnych szans. Zastanawiałem się, czy mógłbym być taki jak on. Facet w ogóle nie pękał. Kiedy my po marszu wlekleśmy się z wywieszonymi ozorami, po nim nic nie było widać. My waliliśmy się na łóżka, on żartował, gadał, popijał herbatę i w ogóle. W porównaniu z nim i innymi facetami z Pułku wyglądałem jak worek gówna i miałem powody do kompleksów. Lecz powtarzałem sobie cały czas, że nie z nimi rywalizuję, ale ze sobą, nie ich muszę pokonać; ale siebie.

Jeśli wcześniej myśl o Selekcji była moją obsesją, to teraz, w Stirling Points, dostałem zupełnego pierdolca. Im dłużej to trwało, tym goręcej pragnąłem załapać się na stałe. Atmosfera w Pułku była zupełnie inna niż w piechocie. Nikt tu nie wymuszał dyscypliny, bo każdy wiedział, co do niego należy. Wszyscy byli po imieniu. Nikt nikogo nie musiał popędzać. Wystarczyło powiedzieć: „zbiórka o dwunastej” i wszyscy zjawiali się punktualnie. Jeśli ktoś nie przyszedł, to znaczy, że nie chciał, a skoro tak, to wolna droga. A ja co wieczór powtarzałem sobie, że właśnie tu chciałbym być, że to jest miejsce, o jakim marzę.

Jeśli nie przejdę eliminacji, pójdę do cywila. Nie wyobrażałem już sobie przyszłości w batalionie. Zobaczyłem, że można w wojsku żyć inaczej. W Pułku było wszystko, od biblioteki po basen. Ambulatorium otwarte całą dobę. Poszedłem kiedyś na opatrunek po marszu. Było zupełnie inaczej niż u nas, w batalionie. Po pierwsze nie kazano czekać, po drugie potraktowano mnie jak człowieka, a nie jak żołdaka. Wróciłem do swojego pokoju i powiedziałem sobie: „albo tu, albo nigdzie”.

Chłopcy z Green Jackets zaczęli się wykruszać dopiero po trzecim tygodniu eliminacji. Pierwszy odpadł Bob. Nie zmieścił się w limicie czasu, ale nie wyglądał na specjalnie zmartwionego, gdy pakował się do wyjazdu.

Nazajutrz, kiedy odpoczywaliśmy w leśnej bazie po porannym marszu, a czekał nas jeszcze nocny sprawdzian, Dave poczuł się źle. Miał już na koncie ostrzeżenie. Siedzieliśmy przy grzejniku, opatrując obolałe stopy, czekając na hasło do wymarszu.

– Wkurwia mnie – powiedział Dave – że nie mówią prosto z mostu: „nie nadajesz się, bracie, i tyle”. Rano może się na przykład okazać, że udupiłem się w nocy zupełnie niepotrzebnie.

Miał rację. Nazajutrz, a było to praktycznie pod sam koniec trzeciego tygodnia Selekcji, dostał „czwórkę”. Nie zmieścił się w czasie. Max, po którym widać było ogromne zmęczenie, zarobił ostrzeżenie.

„To dlatego – tłumaczył mi Dave – że mam za małe nogi, siódmkę, bez przerwy się przewracam”.

Pożegnaliśmy się i Dave wyjechał. Będzie mi brakować głupiego sukinkota.

Parę dni później, w czwartym już tygodniu, schodziłem właśnie z Fan-

Fawr, gdy natknąłem się na Maxa. Był spóźniony, zaczynał się dopiero wspinać. Słynna rurka do picia majtała mu się przy plecaku, na wąsach miał pełno gilów, był złachany do imentu.

– Złe ze mną, Andy – dyszał – nie daję rady z tempem.

To prawda. Wyglądał okropnie, jak pijany, tyle że facet nawalony bywa weselszy.

– Głupia sprawa – powiedziałem, bo co miałem powiedzieć. Sam zresztą też goniłem resztkami sił.

Wieczorem odesłano go na „czwarty peron”. Na trzy dni przed końcem z szóstki z Green Jackets została tylko trójka.

Następnego dnia odpadł Kev, ale, jak to on, wcale się nie przejął.

– No cóż – oznajmił – nie wyszło. Przynajmniej nie będę o tym więcej myślał. Wystarczy mi piłka – grał w reprezentacji batalionu i „co nieco” na mieście w Longbridge.

Żałowałem, że wyjeżdża. Przyjaźniliśmy się i w ogóle lubiłem tego gadułę.

Został Johnny Dwugrzebienowiec i według mnie powinien zdać w cuglach. Niewiele go zresztą widywałem. Kwaterowaliśmy w różnych blokach, nie odwiedzaliśmy się. Ja zwyczajnie nie miałem siły. Po marszu waliłem się na łóżko i zaraz zasypiałem.

Byle tak dalej – powtarzałem sobie w duchu – a najważniejsze to nie nabawić się jakiejś kontuzji.

Nazajutrz dostałem ostrzeżenie.

Miałem fatalny dzień, a trzeba było akurat iść trzydzieści pięć kilometrów w dolinie Elan. Choć nic mi nie dokuczało, było mi strasznie ciężko. Wydawało mi się, że ciało chciałoby mknąć sto na godzinę, a nogi nie więcej niż pięćdziesiąt. Po prostu odmawiały posłuszeństwa. Pamiętam, że jako dziecko miałem takie sny, że niby gdzieś uciekam cały rozgorączkowany, ale nogi poruszają się jakby w zwolnionym filmie. No i właśnie coś takiego zdarzyło mi się teraz na jawie. Po marszu załapałem się dopiero na drugi transport do bazy.

Rankiem czekaliśmy na sygnał do wyjazdu w teren, gdy zaczęli wyczytywać nazwiska. Wśród nich – moje. „Nie zmieściłeś się wczoraj w czasie – ostrzegł mnie instruktor – zostały ci jeszcze dwa dni. Musisz się spiąć, bo inaczej »peron czwarty«!”

Zgnębił mnie, ale pocieszałem się, że zostały już tylko dwa sprawdziany: marsz według szkicu i marsz na wytrzymałość.

To pierwsze zadanie polegało na tym, że zamiast zwykłej mapy dostawało się odręczny szkic topograficzny. Na jego podstawie trzeba było odnaleźć określone punkty kontrolne na trasie trzydziestu pięciu kilometrów. Nie powinienem z tym mieć żadnych problemów. Znałem teren, bo specjalnie

chodziłem na zwiad. Więc wydawało mi się, że sprawę mam w kieszeni.

No i ruszyłem. U podnóża Fan znajduje się taki młodnik jodłowy, a właściwie szkółka. Niewielka, wszystkiego kilometr kwadratowy, ale gęsta. Powinienem był obejść ją skrajem, ale patrząc z daleka, dostrzegłem przesiekę biegnącą przez środek i postanowiłem iść na skróty. Zagłębiłem się między drzewa. Przez pierwsze dwieście metrów było w porządku, ale dalej straciłem orientację. Co parę minut musiałem przystawać i sprawdzać azymut. Byłem zły na siebie jak jasna cholera. Przedzierałem się przez gęstwinę na czworakach, bo inaczej się nie dało. Wyzywałem się głośno od ostatnich. Zawracać nie było sensu, bo zaszedłem już za daleko, ale im dalej, tym gorzej. Zacząłem pojmować, że nie zdążę. Byłem już tak blisko, przedostatni sprawdzian, i wszystko spierdoliłem.

Gdy wreszcie przedarłem się przez jodły, byłem cały podrapany; sphywałem krwią, ale nie rezygnowałem. Szedłem dalej. Może jest jeszcze szansa.

Następny punkt kontrolny znajdował się na szczycie Pen-y-Fan. Nie czułem nóg, brakowało mi powietrza, byłem ubłocony, spocony, pokrwawiony. Najbardziej jednak ucierpiała moja ambicja. Wiedziałem już, że spieprzyłem sprawę przez własną głupotę, przez to, że poczułem się zbyt pewnie.

Dzień był słoneczny i gorący. Na szlaku zrobiło się tłumnie, jakby pół Walii wybrało się na wycieczkę w góry. Szły całe rodziny z dziećmi. W sandałach, koszulkach, z butelkami picia, szli nieśpiesznie, podziwiając widoki. A ja złačhany snułem się między nimi, wkurwiony na siebie, próbowałem nadrobić stracony czas.

Deesowiec rzucił tylko okiem na podrapaną twarz i podarte ubranie.

– Nic ci nie jest? – upewnił się.

– Nic, tylko trudno było.

– W porządku, idź do wozu. To następny punkt kontrolny.

Na szczyt wszedłem jako ostatni. W dół puściłem się pędem. Biegłem szybciej niż kiedykolwiek, ale i tak ledwie zdążyłem na trzeci, ostatni transport.

Wieczorem usłyszałem swoje nazwisko. Nazajutrz miał się odbyć ostatni już sprawdzian – marsz na wytrzymałość. Byłem prawie na mecie i odpadłem. Z własnej winy. Zbyt szybko nabrałem pewności. Wydawało mi się, że już mam sprawę zaliczoną. Powinienem był jednak iść wokół lasu i cały czas sprawdzać położenie.

Zanim człowiek uda się na „peron czwarty”, trzeba zdać sprzęt, który się miało na stanie, i pójść na rozmowę z kierownikiem szkolenia. Do eliminacji można przystąpić tylko dwa razy, chyba że zdarzy się jakiś wypadek losowy.

Nie tylko ja czekałem na rozmowę. Razem siedziało nas ośmiu na ławce

w korytarzu. Poczulem się jak w szkole, gdy wzywano mnie do dyrektora, albo jeszcze gorzej, jak wtedy, gdy zabrano mnie na komisariat. Tymczasem na korytarzu kręciła się masa ludzi. Każdy coś załatwiał. Nikt nie zwracał na nas najmniejszej uwagi.

Było mi głupio i obco. Nie należałem już do tego otoczenia, to nie było moje miejsce.

Major spojrział zza biurka.

– Co się stało? Skąd to opóźnienie na samym końcu?

– Pewność siebie. Poszedłem przez las, zamiast dookoła, i straciłem tempo.

– No właśnie – uśmiechnął się – następnym razem pójdziesz po bożemu, prawda?

– Taaak.

– Więc może się jeszcze zobaczymy.

– Mam nadzieję.

Po godzinie byłem już na „czwórce”.

Z paroma chłopakami wsiedliśmy do pociągu na Paddington Station. Z Londynu pojedę na lotnisko wojskowe Brize Norton, a stamtąd transportowcem RAF do siebie, do Minden.

Rzucając bagaż na półkę, zerknąłem przez okno na wielki napis: Hereford. Nigdy w życiu nie byłem tak stłamszony, a zarazem tak zdecydowany na powrót.

## 9

Czułem się, jakbym spadł z konia, tyle że porażka bolała znacznie dotkliwiej niż upadek. Byłem i zły na siebie, i przygnębiony. Wiedziałem jednocześnie, że jeśli od razu nie ponowię próby, to później już nigdy tego nie zrobię.

Debbie nie była zachwycona, gdy znów napisałem raport, a w batalionie zareagowali jeszcze gorzej. Nie dali mi żadnych ulg na treningi, twierdząc, że jest wiele pilniejszych zajęć. Pieprzenie w bambus musztra i takie tam ćwiczenia, które nic nikomu nie dawały i tyle.

Podjąłem decyzję: jeśli nie przejdę przez Selekcję, to wyniosę się z wojska. Zacząłem nawet wysyłać oferty do różnych firm, głównie mających kontrakty na Bliskim Wschodzie. „...umiem obsługiwać moździerz” – podkreślałem. W świętej naiwności zająca z piechoty wydawało mi się, że kogoś, kto umie walić z moździerza, przyjmą z otwartymi rękami. Dziwiłem się więc, kiedy uprzejmie odpowiadano mi, bym się pocałował w dupę.

Alex – kapitan, który wielce nam pomógł poprzednim razem wziął mnie któregoś dnia na bok. „Wiesz – powiedział – codziennie rano przy gołeniu pisałem sobie mydłem na lustrze: »batalion – nie, Pułk – tak«,„.

No i udało mu się – pomyślałem, co dodało mi otuchy.

W każdej wolnej chwili trenowałem jak wariat. Ćwiczyłem podobnie jak poprzednio: marsz z obciążeniem, tor przeszkód, biegi. Pracowałem nad wytrzymałością nie tylko fizyczną, lecz także psychiczną.

Do Beacons mogłem pojechać jedynie w czasie urlopu bożonarodzeniowego, co oczywiście wnerwiło Debbie do ostateczności.

Zaczęły się awantury. Z naszego małżeństwa i tak już pozostała jedynie nazwa. Któregoś dnia doszło do zasadniczej rozmowy.

– Prawie nigdy nie jesteśmy razem – zaczęła Debbie – a jeśli już, to mówisz tylko o Selekcji.

– Bo jestem wkurwiony na siebie, że spieprzyłem sprawę.

– A ja na ciebie.

Odpaliłem jej na to, że nic nie rozumie, że nie pojmuję, co to dla mnie znaczy i że jeśli nie podejść do sprawdzianów jeszcze raz, to cała przyszłość stanie pod znakiem zapytania, bo rzucę wojsko w diabły, a cholera wie, jak będzie z pracą w cywilu.

Kłóciliśmy się całą noc. Od trzaskania drzwiami, wydzierania się i wrzasków pół bloku nie mogło zmużyć oka. Nie potrafiłem pogodzić się z porażką, złościło mnie, że nie dostałem się do Pułku i wszystkie żale wylałem na Debbie, mając jej za złe, że niczego nie rozumie. Chciałem do Pułku, niczego więcej nie pragnąłem, a jeśli ona tego nie rozumie, to znaczy, że jest przeciwko mnie. Mówiłem jej, że przesadza i że wszystko się ułoży i będzie jak dawniej, jeśli tylko dostanę się do Pułku. Ale Debbie nie była głupia i doskonale czuła, co się święci.

Oszalałem na punkcie Pułku. W batalionie olewałem wszystko poza sportem. Jeśli idzie o zajęcia fizyczne, to wszędzie byłem pierwszy, traktując to jako formę przygotowań do Selekcji.

Myślałem tylko o sprawdzianach. W ogóle nie zastanawiałem się nad następnym etapem, czyli Kontynuacją – dalszym szkoleniem kandydatów do Pułku. Nic bowiem na ten temat nie wiedziałem, więc i tak nie mogłem się w żaden sposób przygotować. Co innego eliminacje. O nich wiedziałem wszystko, wiedziałem też, jak mam przysposobić się do nich, a co ważniejsze – wiedziałem, że jestem w stanie zdać. Byłem o tym święcie przekonany.

Na Boże Narodzenie Debbie pojechała do rodziny, a ja do Crickhowell – ośrodka szkoleniowego Dywizji Księcia Walii. Codziennie rano ładowałem plecak do auta i ruszałem w góry.

Miałem stare renault piątkę. Grat był straszny, z odpadającym błotnikiem, przywiązany sznurkiem, i łysymi oponami. Ledwo dyszał. Bywało, że nie dojeżdżałem na górę, skąd zaczynałem codzienne marsze, a kiedyś, w czasie gołoledzi, wylądowałem zwyczajnie w rowie.

W górach spędzałem cały dzień, dając sobie mocno w kość. Potem wracałem do Crickhowell, szedłem na piwo z frytkami. Wypijałem też mnóstwo płynów regeneracyjnych i przygotowywałem się do kolejnego dnia.

W Boże Narodzenie postanowiłem parę godzin odpoczywać. Zostałem w bazie, obejrzałem listę starych przebojów w TV, potem poszedłem na świąteczną kolację i zadzwoniłem do Debbie. Nie podniosła słuchawki.

Następnego dnia ruszyłem na trasę Fan Dance, z plecakiem oczywiście.

Po drodze na Pen-y-Fan spotkałem grupkę czterech czy pięciu chłopaków w dresach, z chlebakami. Mijając mnie, a znów ciężko dyszałem i w ogóle wyglądałem jak worek gówna, zapytali, czy przygotowuję się do stycziowych eliminacji. Życzili mi powodzenia.

Byłem przekonany, że zimowe sprawdziany będą znacznie trudniejsze niż letnie. Po pierwsze ze względu na zimno, po wtóre w śniegu znacznie trudniej maszerować niż po suchej ziemi. Wreszcie w warunkach ograniczonej widoczności mogą być kłopoty z orientacją w terenie. W czasie zimowych eliminacji zdarzały się wypadki śmiertelne. Kiedyś nawet zginęło w górach kilku wyższych oficerów Pułku. Opowiadano mi też o pewnym majorze, który zimą wybrał się w góry z plecakiem pełnym cegieł, bo chciał mieć stosowne obciążenie. Nie wziął natomiast ciepłych ciuchów na zapas. Tymczasem pogoda się załamała i facet utknął na zboczu. Zaraz wysłano kompanię dyżurną. Chłopcy znaleźli ciało, ale sami mieli trudności z zejściem, bo pogoda była naprawdę podła. Rozłożyli się biwakiem, a z zamrzniętych zwłok zrobili sobie osłonę od wiatru. Później, gdy pogoda się poprawiła, zrobili z trupa tobogan. Załadowali nań plecaki i spuścili w dół.

W połowie stycznia znów stanąłem w Stirling Lines. Wśród kandydatów czuło się znacznie większe napięcie niż latem, a na pewno ja byłem bardziej napięty.

Pogoda okazała się tym czynnikiem, który wyrównywał szanse wszystkich kandydatów. We mgłę i w zamieci bardziej liczyła się orientacja niż siły. Poruszaliśmy się wolniej, trzeba było polegać na busoli i o wszystkim decydowała umiejętność określenia położenia i obliczenia azymutu. Co do mnie, to z każdym dniem czułem się pewniej.

W drugim i trzecim tygodniu eliminacji padał gęsty śnieg. Naszym celem były kwadraty o boku stu metrów. W zamieci strasznie trudno na takim obszarze znaleźć punkt kontrolny.

Któregoś dnia widoczność spadła do dwudziestu metrów. Dotarłem właśnie do wyznaczonego kwadratu i latałem w kółko, próbując zlokalizować kontrolera. W końcu się udało. Znalazłem zielony śpiwór z goretexu. Zapukałem. Lokator rozsunał zamek błyskawiczny. Byłem spocony, brudny i zaczynałem drzeć z zimna, bo nawet na mrozie ubierałem się lekko: spodnie, buty, podkoszulek i wiatrówka.

Z wnętrza śpiwora buchnęło świeżą kawą.

Chciałem jak najszybciej załatwić sprawę, po pierwsze ze względu na czas, a po wtóre dlatego, że stojąc w miejscu zaczynałem marznąć. Pochyliłem się nad śpiworem. Pot leciał ze mnie ciurkiem.

„Przestań na mnie kapać, chuju” – skarcił mnie kontroler, spokojnie popijając kawę. Podał mi namiar na następny punkt kontrolny. „Do zobaczenia” – rzucił i zamknął się w śpiworze.



Obróciłem się na pięcie i ruszyłem w drogę.

Do kolejnego punktu dotarłem jednocześnie z dwoma oficerami, którzy pokonywali trasę z przeciwnej strony.

– Punkt nie jest we właściwym miejscu – jeden z nich zwrócił uwagę deesowcowi.

Śpiwór leżał na takim nieznacznym wzniesieniu. Kontrolerem był akurat Peter – główny instruktor.

– A gdzie, waszym zdaniem, powinien być? – zapytał niby to obojętnie.

– A tu – pokazał oficer na mapie. Ten drugi miał inne zdanie i zaczęli się kłócić. Różnica sprowadzała się do stu, może dwustu metrów i według mnie nie było o czym mówić.

– Pokaż, gdzie jesteś? – polecił mi Peter.

Pokazałem stosowne miejsce na mapie. Nie miałem zamiaru dyskutować.

– W porządku. Jeśli zaś o was chodzi – zwrócił się do owej dwójki – możecie sobie myśleć, co wam się podoba. Tu macie dane następnego punktu.

Ruszyli, a Peter podał mi mój namiar.

– Nie rozumiem tych facetów – pokiwał głową. – Niby przyjechali tu, aby starać się o przyjęcie do jednostki, w której ja już jestem, a co więcej, nadzoruję sprawdzian, który oni chcieliby zdać, a tymczasem kłócą się ze mną. Gdybym nawet się mylił, to kłótnia ze mną nie ma sensu.

Nigdy już bohaterów tego zdarzenia nie widziałem. Następnym razem, jeśli taki w ogóle będzie, postarają się nie wymądrzać i głęboko schowają swoją oficerską pychę. Na tym etapie eliminacji instruktorzy nie zadawali sobie trudu zapamiętywania nazwisk, chyba że ktoś podpadł. Na razie my – kandydaci – mieliśmy się wykazać wytrzymałością, wytrwałością i zdecydowaniem, bo na tym polegała wstępna selekcja i wszystkich gówno obchodziła wiedza i zdolności. To sprawdzać się będzie później.

Razem ze mną kwaterował pewien Szkot. Zajmował sąsiednie łóżko. Codziennie wieczorem, gdy wszyscy złachani do ostateczności wracaliśmy z gór, on przebierał się i leciał do miasteczka na dyskotekę. „Chyba skoczę gdzieś na drinka” – powiedział nieodmiennie.

Wracał nad ranem, śmierdząc gorzałą. Walił się do łóżka i zasypiał. Budziłem go rano.

– Śniadanie.

– Ach, tak – odpowiadał. Zrywał się z wyra świeży jak skowronek, brał sprzęt, przygotowywał sobie górę grzanek i ładował się ze wszystkimi do wozu. Co do mnie, to nie miałem siły na codzienną balangę, a jeśli już zachodziłem do miasta, to najwyżej na piwo i frytki.

Pod koniec drugiego tygodnia zaczęły się naprawdę ciężkie sprawdziany, w dolinie Elan oczywiście. Wyruszaaliśmy świtem. W samochodzie można

było się zdrzemnąć i popić herbaty, co mi się podobało. Ale wszystko ma swój koniec, a ten następował, gdy milkły silniki i trzeba było wysiadać.

Z letniej Selekcji zapamiętałem dolinę Elan jako odludzie pełne dzikich stawów i kęp rosnących traw, sięgających po kolana, a czasami niemal po szyję. Teren był podmokły i w istocie nie dało się zejść na dół, trzeba było przedzierać się przez okalające dolinę wzgórza i właśnie tam chodziliśmy na nocne marsze. Nienawidziłem tego miejsca. Pamiętam, że bez przerwy o coś się potykałem i padałem na pysk.

Tym razem kazano nam dźwigać nie tylko plecaki, ale także broń. Co więcej, broń trzeba było cały czas trzymać w ręku. Dali nam, szczerze mówiąc, tylko SLR – samopowtarzalne karabiny – ale swoje ważyły, a poza tym nie miały pasów nośnych, więc nie można ich było ani zarzucić na ramię, ani przymocować do plecaka. Broń szalenie utrudniała życie. Po pierwsze, zajmowała ręce i nie można było „pompować” ramionami, co zwykle ułatwia marsz. Po wtóre, trasy wyznaczano tak, że musieliśmy pokonywać wiele przeszkód, przechodzić przez płoty i w ogóle, a broni nie wolno wypuścić z rąk. Jak ktoś przechodząc przez płot, przerzucał najpierw broń, to podpadał z wiadomym skutkiem.

Niektóre marsze dłużyły się w nieskończoność. Bywało tak, że ze szczytu widać było następny punkt kontrolny położony jakieś dziesięć kilometrów dalej. Brało się namiar, schodziło w dolinę, w nadziei że zaraz dotrze się do celu, a tymczasem szło się i szło. W dolinie Elan wykruszyła się cała gromada chłopaków. I jeszcze jedno: ponieważ dolina znajdowała się spory kawał od bazy, trzeba było wstawać wcześniej, a powrót następował znacznie później.

Mój Szkot w dalszym ciągu zdawał się wszystko olewać. Zwierzył mi się, że prawie półtora roku nie mógł jebać, bo dostał jakichś kurzajek na kutasie, więc teraz nadrabia przymusowy post uznając, że jest to czynność ważniejsza od Selekcji. Ściągnął nawet portki i pokazał mi co i jak. Rzeczywiście miał palanta dziobatego, jak po ospie.

Codziennie uganiał się po górach. Pogoda była straszna. W czasie jednego ze sprawdzianów szliśmy po pas w śniegu, a w dodatku dystans był wyjątkowo długi – trzydzieści pięć kilometrów. Co więcej, całą okolicę pokryła mgła, widoczność spadła do stu metrów i wszyscy pobłądzili, nikt nie zgłosił się do punktu kontrolnego na czas. Spotkałem na trasie pięciu chłopaków, też spóźnionych, i dalej szliśmy razem. W końcu któryś z nas dostrzegł śpiwór deesowca. Zaczęliśmy się usprawiedliwiać i w ogóle, ale okazało się, że dowództwo już się orientowało w sytuacji i wprowadziło odpowiednie poprawki czasowe. Do następnego punktu na trasie wysłano nas całą grupą.

Jeśli idzie o czas, to plasowałem się mniej więcej w połowie stawki. Byłem wyczerpany po brnięciu w śniegu po pas, ale miałem szczęście, bo

akurat trafił się taki jeden Kanadyjczyk, który nie miał nic przeciwko temu, żeby prowadzić grupę. Szedł przodem jak taran, ja zaraz za nim, a za mną reszta.

Na koniec sprawdzianów na wytrzymałość odbył się Tydzień Prób – marsze na dystansach od dwudziestu do sześćdziesięciu czterech kilometrów, na trasach, które już przerabialiśmy. Zaczęły dawać o sobie znać różne kontuzje i w efekcie zostało nas tylko czterdziestu, z czego – nie powiem – byłem zadowolony, już choćby dlatego, że zmniejszyły się kolejki po żarcie. Sam czułem się lepiej i pewniej z każdym dniem. Znałem teren i z własnego doświadczenia wiedziałem, czego można się spodziewać.

Jak na razie nie załapałem ostrzeżenia, więc uznałem, że jeśli nawet spieprzę coś w czasie Tygodnia Prób, to jeszcze jakoś to będzie. Najważniejsze, że nie doznałem żadnych kontuzji, nie miałem też pęcherzy na nogach. Owijałem jednak kostki bandażem elastycznym, bo wysiłek był rzeczywiście ogromny.

Łąkowałem zawsze w tym samym wozie co niejaki George. Okazało się, że służył w Crossmaglen w tym samym czasie co ja. Był w oddziale saperów i właśnie jego jednostka budowała słynne „łodzie podwodne”. Później go przeniesiono, a ostatnio był w 59. batalionie saperów Royal Engineers – przydzielonym do Commando Brigade – brygady komandosów. Pasjonował się wspinaczką górską i miał cały potrzebny sprzęt. Nie powiem, wpędzał mnie w kompleksy, bo za każdym razem gdy docierałem do wozu po marszu, on leżał już w śpiworze i żarł sobie pomarańcze. Siadywaliśmy milcząc przyjaźnie i czekaliśmy na resztę chłopaków. George był wysoki, szczupły. Na jednej nodze miał tak potężne zylaki, że łydka wyglądała jak mapa plastyczna Pirenejów.

Nadszedł wreszcie dzień, kiedy mieliśmy iść według szkicu zamiast mapy. Na tym właśnie padłem poprzednim razem. Teraz będzie inaczej – przyrzekałem sobie. I rzeczywiście wszystko poszło dobrze. Wyruszyliśmy o czwartej rano, do bazy wróciliśmy o trzeciej po południu. O dziesiątej wieczorem zaczynał się marsz na wytrzymałość.

Czasu było niewiele, tyle, ile potrzeba, by sprawdzić sprzęt, ogarnąć się, umyć. Zwykle przedkładałem prysznic nad kąpiel w wannie, ale zauważyłem, że paru chłopaków sypie sobie do wanny radox – taką specjalną sól mineralną. Pomyślałem, że coś takiego może i mnie dobrze zrobić przed nocnym sprawdzianem. Nasypałem więc kryształków do wanny, ale chyba przesadziłem, bo woda zrobiła się gęsta jak w Morzu Martwym. Nie miałem pojęcia, jakie będą fizyczne skutki eksperymentu, wierzyłem, że dobre.

No i pojechaliśmy nad jezioro Talybont. Gdy tylko zarzuciłem plecak na grzbiet, zaczęły mi drętwieć ręce i ramiona. W ogóle z trudem udało mi się to zrobić, a po chwili zaczęła mnie palić skóra pod szelkami, a po dziesięciu

minutach marszu zaczęło mnie swędzić całe ciało, pocilem się jak mysz, nogi mi zeszywniały. Wszystko przez tę sól. Może po kwadransie złapałem jednak drugi oddech, wyluzowałem się i było fajnie. Nawet nuciłem sobie w myślach melodie z reklam. Było strasznie zimno i chwilami zrywał się silny wiatr. Także z tego powodu na początku szło się fatalnie, zwłaszcza że przez półtorej godziny jazdy na miejsce startu wylegiwałem się w ściworze.

Większą część dystansu na wytrzymałość pokonuje się w kompletnych ciemnościach, szczególnie w zimie, kiedy rozwidnia się późno. Wszyscy byli podnieceni i niespokojni. Ja czułem się stosunkowo pewnie. Nie miałem kontuzji, tylko jakieś tam niewielkie odparzenia od plecaka.

Instruktorzy odczytali nazwiska i zaczęło się. Miałem w plecaku od dwudziestu czterech do dwudziestu siedmiu kilogramów, znacznie więcej niż do tej pory i więcej niż wynosił limit, bo zapakowałem dodatkową wałówkę i wodę. Wodę zawsze brałem z bazy, bo miałem pewność, że nie jest zanieczyszczona. Nie lubię nabierać z przypadkowych źródeł, bo co z tego, że wrzuci się parę pastylek oczyszczających, skoro wystarczy pójść kilka metrów w górę potoku czy strumienia i zobaczyć, że w tej samej wodzie gnije jakaś padła owca lub coś podobnego. Jeśli idzie o wodę, nigdy nie ryzykuję. Nie ma nic gorszego niż bóle brzucha. Człowiek traci czas. Już lepiej wrzucić sobie trochę dodatkowego ciężaru na grzbiet.

Nie wolno nam było korzystać z dróg i utartych szlaków. Jeśli nawet punkt kontrolny znajdował się przy drodze, musieliśmy podchodzić do niego bezdrożami, cały czas na przełaj – taka jest zasada odnośnie marszów w terenie. Czasami na punkt kontrolny przywożono pojemniki z wodą. Można było sobie nabrać, czekając na odprawę. Jeśli nie kazali czekać, machałem ręką na wodę i szedłem dalej, bo liczył się czas.

Na trasie nie można sobie pozwalać na pogawędki, gdy się kogoś spotka. Mówi się „cześć” i każdy idzie w swoją stronę. Mnie interesowało zawsze to, czy facet ma dobry czas, czy ma opóźnienie. Jeśli się spóźniał, myślałem sobie, że to dobrze. Jeżeli na pytanie o czas odburkiwał mi, bym się odpierniczył, byłem jeszcze bardziej zadowolony, bo wiedziałem, że rzeczywiście jest do tyłu. Nie znaczy to, że widząc kłopoty kolegów, zaraz przyspieszałem. Co to, to nie. Szedłem swoim tempem, ale czułem się pewniej i lepiej.

No i zapychałem do przodu, nucąc to i owo, dobywając z pamięci szczegóły mapy. „Jeśli będziesz przystawał co pięć minut nawet na krótkie trzydzieści sekund, żeby zerknąć na mapę – mawiał Max – to stracisz sześć minut z każdej godziny”. Mapę sprawdzałem w marszu.

Miałem w chlebaku zapas batonów, które specjalnie odłożyłem na sprawdzian na wytrzymałość, a nawet poszedłem do miasta i dokupiłem jeszcze trochę. No i teraz co pewien czas wsuwałem po kawalku.

Był to drugi z kolei nocny marsz. Jakieś pięć, może sześć kilometrów przed ostatnim punktem kontrolnym wyczerpały mi się baterie w latarce. Pamiętałem jednak, że niebawem mam schodzić w dół, obejść jezioro idąc w prawo i kierować się na most, na którym był właśnie punkt kontrolny.

W ciemności nie mogłem jednak sprawdzić niczego na mapie. Kląłem jak szewc ze złości. Obok jeziora znajdował się las. Zacząłem szukać przesieki, klnąc jeszcze mocniej, pamiętając; co się stało w lesie poprzednim razem.

Znalazłem wreszcie przecinkę. Dość szeroką. Zagłębiłem się w las i zaczęło się. Drogę utrudniały ścięte czy też zwalone drzewa. Co chwila trzeba było ściągać plecak, przerzucać przez pień, przelażać samemu, odszukiwać plecak w ciemności, zarzucać go na grzbiet, a po kilku minutach znowu to samo. Byłem zdruzgotany. Cała moja przyszłość stanęła pod znakiem zapytania i to tylko dlatego, że po raz wtóry popełniłem ten sam błąd.

Ulżyło mi trochę, gdy wyszedł księżyc. Dotarłem do jeziora, skręciłem w prawo. Resztę trasy biegłem kłusem.

Pokonałem cały dystans w dwadzieścia jeden i pół godziny. Byłem z siebie dumny, ale George był szybszy. Jak zawsze.

Zauważyłem wyraźną zmianę w stosunku deesowców do nas. Jakbyśmy wyszli już na prostą. Nikt nikogo nie chwalił, co to, to nie, ale pytali, czy wszystko w porządku, radzili, by zrzucić na moment plecaki z grzbietów i zapraszali na herbatę do wozów.

Można było też pójść do lekarza, gdyby ktoś potrzebował pomocy, ale podniecenie okazało się silniejsze i nikt się nie przejmował urazami.

Zjawił się nawet chorąży z szefostwa. Przyniósł żarcie i herbatę z rumem. Później się dowiedziałem, że w Pułku jest taka tradycja, zgodnie z którą po szczególnie męczących ćwiczeniach dostaje się setę rumu, tak zwaną salwę. Specjalnie oszczędza się rum na takie właśnie okazje. Osobiście nie znoszę rumu, ale nie wypadało o tym mówić. Nie lubię też puddingu z chleba, a coś takiego przywiózł chorąży. Nie narzekałem jednak. Wpieprzyłem, i to sporo.

Jeden z oficerów zapytał mnie, czy miałem jakieś kłopoty przy jeziorze.

Opowiedziałem mu, jak było.

– Właśnie – skwitował moje wyjaśnienia – słyszałem, jak rzucałeś mięsem. Cały czas tylko: „kurwa” i „kurwa”.

Okazało się, że on też szedł przecinką, równoległe do mnie, i miał podobne problemy.

Po raz ostatni załadowaliśmy się do samochodów, byliśmy szczęśliwi, ale milcząco i zamyśleni. W drodze powrotnej nikt nie drzemał.

W bazie zrobiłem sobie kąpiel z solą, gadałem z George'em i odlepiłem plastry z nóg. Skorzystałem z nich na wszelki wypadek. Zdejmowanie wcale nie było łatwe. Bolało jak cholera. Razem z plastrami zerwałem pewnie wszystkie włosy z nóg.

Zjawił się facet z DS i powiedział, że mamy się zebrać w czytelnicy o ósmej rano.

Byłem pewny, że dobrze mi poszło. Kilku chłopaków szwendało się po łąkach w niepokoju. No cóż, wkrótce wszyscy dowiemy się prawdy. Gdy tylko deesowiec zaczął odczytywać według listy tych, którzy mają się zgłosić do majora, wiedziałem, co się święci. Jeśli nie wymieni mojego nazwiska, to znaczy, że przeszedłem.

Podał dziesięć nazwisk. Mojego nie.

„A co się tyczy pozostałych – powiedział po przeczytaniu listy to jeśli mają rany albo kontuzje, niech zgłoszą się do ambulatorium”. Tymczasem musiałem jeszcze załatwić drobną sprawę. Trzeba było odwieźć na stację jednego z kolegów, który niestety odpadł na skutek – jak twierdził – niefortunnego zbiegu okoliczności. Otóż – tak mi przynajmniej opowiadał – szło mu całkiem nieźle. W nocy dotarł jak należy do punktu kontrolnego wysoko w górach, gdzie go zatrzymano, gdyż był tam pewien oficer kompletnie wyczerpany i kazano mu sprowadzić go w dół. Tak też zrobił, doprowadził faceta do punktu w dolinie, ale był już spóźniony.

„Zatrzymano mnie na górze” – wyjaśnił deesowcowi. „Masz chłopie zasrane szczęście” – usłyszał w odpowiedzi. Kazano mu pomóc facetowi dojść do następnego punktu kontrolnego, gdzie mieli samochód. Chłopak zrobił, co mu polecono, ale się spóźnił. Nie wzięto jednak po uwagę jego raportu. Dlaczego – nie wiem. Być może zaszła pomyłka. Tak czy owak chłopak był ugotowany. Płakał, gdy go odwoziłem na dworzec. Było to już jego drugie podejście, więc miał całkiem przechłapano. Wyobrażałem sobie, jak się czuje.

Dostaliśmy wolne na cały weekend. Przydało się. Nogi miałem tak spuchnięte, jakbym miał *elephantiasis*. Nie mogłem włożyć żadnych butów. W końcu wyciąłem nożyczkami dziury w tenisówkach i jakoś łąziłem.

Chciało mi się krzyczeć, pragnąłem, żeby wszyscy wiedzieli, że udało mi się przejść przez Selekcję, że jestem już, że tak powiem, dorosły. Tymczasem w bazie nikogo to nie obchodziło. Cóż to dla nich taki marsz na wytrzymałość. Niejeden zalicza go raz albo dwa razy w roku dla czystej przyjemności... Albo chce dać przykład. I dobrze, że tak się dzieje. Im więcej ludzi na trasie, tym bezpieczniej, choć i tak nie obywat się bez wypadków. Dwa tygodnie po naszym marszu nie wrócił do bazy chłopak z Kompanii R. Poderwano kompanię dyżurną i zaczęto poszukiwania. Znaleźli go w na wpół zasuszonej szpiworze. W jednej ręce trzymał nie dojeżdżonego suchara, w drugiej – maszynkę spirytusową. W takiej pozycji zastała go śmierć.

## 10

Tak więc miałem za sobą eliminacje, co wcale nie znaczy, że już byłem w Pułku. Eliminacje to ledwie wstęp, o tyle zresztą prosty, że w jakiejś mierze ma się nad nim kontrolę. Dalej zaczyna się wielka niewiadoma – myślałem, wchodząc w poniedziałek rano do sali wykładowej.

Głos zabrał starszy sierżant sztabowy.

„Zaczynacie nowy etap szkolenia, czyli Kontynuację. Czeka was wiele pracy. Na początek radzę uważnie słuchać i pamiętać, że pozytywny wynik eliminacji jeszcze o niczym nie przesądza”.

Ze stu osiemdziesięciu kandydatów zakwalifikowało się nas ledwie dwudziestu czterech, niemal każdy skądinąd. Byli wśród nas łącznościowcy, saperzy, piechociarze, artylerzyści i chłopcy z piechoty morskiej. Różniliśmy się stażem w wojsku, poziomem wyszkolenia i doświadczeniem, więc jako grupa musieliśmy zaczynać naukę od początku.

Pierwszy krok to poznanie i obsługa wszystkich rodzajów broni znajdującej się w Pułku.

„W kompaniach liniowych – mówił instruktor – nie będzie już czasu na naukę. Tam od razu przystąpicie do wykonywania zadań, a to wymaga solidnej znajomości różnych rodzajów broni”.

Każdemu stawiano inne wymagania w tym zakresie, w zależności od doświadczenia. Ja jako plutonowy i piechociarz powinienem wiedzieć więcej o broni aniżeli – dajmy na to – kapral z intendentury, który pewnie nie widział w życiu nic poza karabinem, nie miał pojęcia o GPMG, o technice strzelania i takich sprawach, jak na przykład ogień ciągły. Taki facet będzie

musiał bardziej przysiąc fałdów, co wcale nie znaczy, że okaże się gorszy ode mnie. Jak wyjaśnił nam deesowiec, oceny zależały od tego, jak kto pracuje. Jeśli ktoś z mniejszym doświadczeniem osiągnie przyzwoity poziom, choć niekoniecznie równy komuś z większym doświadczeniem, oznaczać to będzie, że czyni postęp, a to wystarczy.

Przypominało mi to biblijną przypowieść o bogaczu, który przyniósł do świątyni sześć worków złota. Wszyscy go podziwiali i chwalili. Ale do świątyni przydreptała też pewna starowina i złożyła w darze dwie skromne monety, bo więcej nie miała. W istocie kobieta owa dała więcej niżli bogacz, dla którego sześć worków złota to tyle co nic. Nasi instruktorzy stosowali wobec nas taką właśnie miarę. Brali pod uwagę wcześniejsze przygotowanie i doświadczenie i wedle tego wystawiali oceny. Na tym etapie opuścił nas pewien starszy mat z Royal Marines, bo w opinii naszych dowódców nie wykazał się należyłą wiedzą, jak na swój stopień i formację, w zakresie obsługi broni.

Analizowano także nasze cechy osobowościowe. Tak przynajmniej wnosilem ze sposobu, w jaki kadra DS nas obserwowała. Zwracano uwagę, czy jesteśmy skorzy do pomocy, czy doświadczeni pomagają mniej doświadczonym, czy tylko popisują się wiedzą, zerkając na deesowców, próbując zaskarbić sobie ich względy. Selekcja trwała cały czas. Zadanie DS polegało na tym, aby ci, którzy dostaną stałe przydziały do kompanii, byli rzeczywiście najlepsi. Chodziło także o to, że instruktorzy po pewnym czasie wracali do zwykłych kompanii i dowodzili ludźmi, których sami szkolili, więc w swoim własnym interesie niczego nie olewali i niczego nie lekceważyli.

Uczyliśmy się obsługi wszystkich rodzajów broni osobistej, w jakie wyposażony był Pułk. Większość ceniła sobie karabiny M 16, kaliber 5,56, z granatnikami 203, głównie ze względu na siłę ognia. Byli i tacy, co woleli karabiny SLR, kaliber 7,62. Ci jednak byli w mniejszości. W czasie patrolu nie oplaca się dźwigać dwóch różnych rodzajów amunicji.

W skład wyposażenia poszczególnych patroli mogły wchodzić także erkaemy Minimi, kaliber 5,56. Spotykało się też GPMG, standardową broń w wojsku brytyjskim. Niektórzy faceci w Pułku przedkładali GPMG nad minimi, zwłaszcza w czasie wykonywania określonych zadań. Na GPMG można polegać i ma sporą siłę ognia.

Zapoznawaliśmy się także z pistoletami typu Browning i Colt 45 i jeszcze innymi modelami broni półautomatycznej. Większość wołała browningi, choć do pewnych zadań bardziej odpowiednie mogą być inne rodzaje broni strzeleckiej.

Mieliśmy również możliwość zapoznania się ze strzelbami, między innymi z modelem Federal, przeznaczonym specjalnie do rozpraszania tłumów. Doskonała broń ze składaną kolbą. Oprócz tego poszczególne kompanie były



wyposażone w zestaw moździerzy – 81, 60 i 40 mm – jak również rusznice przeciwpancerne Milan. Do standardowego uzbrojenia należały rusznice przeciwpancerne LAW 90 z pociskami raketowymi 84 mm. Były też amerykańskie stingery – samonaprowadzające rakiety przeciwlotnicze.

„Stingery pojawiły się po raz pierwszy w czasie wojny o Falklandy – opowiadał deesowiec – i nikt nie wiedział, jak się tym posługiwać. »Macie tu te cuda i sami spróbujcie« – tyle nam powiedziano – wspominał. Chłopaki usiedli w trawie, zaczęli czytać instrukcje i kombinować, gdy nagle pojawił się klucz samolotów Puccara. Na to poderwał się jeden facet z Kompanii D. Przymierzył się do stingera. Nacisnął to i owo, jak dziecko, które ogląda nową zabawkę, i nagle draństwo wystrzeliło. Co więcej – trafiło w puczarę jak nic. Tak więc stingery przeszły chrzest właśnie na Falklandach, w rękach naszych chłopaków, przeciwko Argentynie”.

Ale to nie koniec opowieści, bo jakieś dwa lata później Kompania D pojechała do Niemiec do amerykańskiego ośrodka szkoleniowego, gdzie uczono obsługiwać stingery. Szkolenie odbywało się na symulatorach, bo broń jest piekielnie droga, tak że nawet amerykańscy instruktorzy odpalali najwyżej jeden pocisk rocznie, a nie było wśród nich nikogo, kto miałby doświadczenie bojowe.

„To naprawdę wspaniała broń – pysznił się jeden z jankesów czy któryś z was widział już coś takiego?” – pytał.

Podniosła się w górę jedna ręka.

„Pewnie w symulatorze” – zaśmiał się instruktor. „Nie, zestrzeliłem tym samolot”.

Poza brytyjskim i amerykańskim sprzętem ćwiczyliśmy także obsługę broni pochodzącej z tak zwanego bloku wschodniego. Należą do niej między innymi AK47 produkcji rosyjskiej, czeskiej i chińskiej, a także moździerze, broń przeciwpancerna. Wśród najprzeróżniejszych pistoletów maszynowych poznaliśmy także austriackie Steyry. Powtarzano nam, że w czasie wykonywania zadań nie zawsze będziemy strzelać z naszej broni, że może się zdarzyć, iż w jakimś kraju trzeba będzie skorzystać z tego, co się znajdzie pod ręką.

Rodzina kałasznikowów to znakomita broń. Stosuje się do nich skrócone naboje kaliber 7,62, które ważą mniej od zwykłych, dzięki czemu można brać ze sobą większy zapas. Karabinek Kałasznikowa ma prostą konstrukcję i jest niezawodny. Jediną jego wadą jest duży magazynek na trzydzieści nabojów. Wystaje w dół, przez co trudno strzelać z pozycji leżącej, bo magazynek opiera się o ziemię. Na podstawie pewnych szczegółów konstrukcji kałasznikowa można wiele powiedzieć o założeniach taktycznych obowiązujących na Wschodzie. Weźmy na przykład przełącznik rodzaju ognia. Gdy się go odciąga do pierwszego położenia, rozpoczyna się ogień

seryjny, a w następnym położeniu ogień pojedynczy. Wniosek jest oczywisty: najpierw przyładować. W zachodnich konstrukcjach jest odwrotnie, najpierw uruchamia się ogień pojedynczy, a dopiero później seryjny.

Ostre strzelania odbywaliśmy w Sennybridge, ćwicząc taktykę ataku. Uczono nas różnych rzeczy, a pewne zalecenia – na przykład sposób trzymania broni – były zaprzeczeniem tego, czego niektórzy z nas nauczyli się w macierzystych jednostkach. Ćwiczyliśmy kiedyś strzelanie ze stu metrów z pozycji stojącej do celu nieruchomego. Jeśli o mnie chodzi, to przyciskam kolbę do ramienia, dłonią podtrzymuję magazynek, opierając łokieć na ładownicy przy pasie, bo tak jest wygodnie. Ale jeden z instruktorów zwrócił mi uwagę: „Co ty wyprawiasz? Ręka na łożę, pochylić się do przodu” – rozkazał. Nie protestowałem, nie dyskutowałem, że mój sposób jest lepszy, że zawsze tak robiłem. Kiwnąłem głową i zrobiłem, jak kazano.

Niektórzy postępowali inaczej, upierali się przy swoim. „Nie, tak jest lepiej” – wyklócali się. Uważałem, że to bez sensu, bo to nam powinno zależeć, żeby się dostać do Pułku, a nie odwrotnie.

Byli też faceci, którzy uważali, że ich szczególne umiejętności stanowiąc będą wielki kapitał, ale deesowcy ściągali ich bezlitośnie na ziemię.

„Jeśli w kompanii potrzebny będzie określony specjalista, to wyślą kogoś na szkolenie. Nasze zadanie polega na tym – wyjaśniali nam – żeby wypuszczać stąd ludzi odpowiednio przygotowanych, o określonych cechach osobowościowych, zdolnych do współdziałania z innymi w zamkniętym środowisku i w warunkach ekstremalnych. To podstawa. Dopiero później, już w kompanii, można mówić o specjalizacji”.

Opowiadano mi o takim jednym facecie ze szkockiej jednostki, zakwalifikowanym po poprzednich eliminacjach. Otóż kiedy zaczęło się szkolenie w zakresie obsługi broni, facet zaczął narzekać: „Gównu mnie to obchodzi. Przerabiałem to już w batalionie. Dajcie mi tylko HK i czarny kombinezon”.

Instruktor oczywiście usłyszał, ale nie zareagował. Prowadził wykład jak gdyby nigdy nic, ale zapamiętał sobie, że jest taki „Rambo”. Po pewnym czasie faceta wzięto na bok i odesłano na „peron czwarty”.

Dzwoniłem do Debbie co tydzień, a od czasu do czasu pisałem listy. Przyznam jednak szczerze, że Debbie nie była u mnie na pierwszym miejscu. Zależało mi przede wszystkim na tym, żeby załapać się ostatecznie do Pułku, a wcześniej zakwalifikować się na obóz szkoleniowy w dżungli, a poza tym uważałem, że u Debbie wszystko jest w najlepszym porządku: pracowała, miała towarzystwo i tak dalej. Ale rozmowy przez telefon były jakieś takie sztywne.

„Wszystko w porządku?” – pytałem.

„Tak – zbywała mnie – nic się nie dzieje, chodzę do pracy, nudzę się i nic nie robię”.

Nie szkodzi – myślałem sobie. W końcu życie się jakoś ułoży. Dostaniemy mieszkanie, skończą się kłopoty.

Tymczasem zaczęliśmy się przygotowywać do obozu w dżungli, dowiadaliśmy się, jak postępować w tropikach i dlaczego właśnie tak, a nie inaczej; jak urządzać LUP – *Lying-up Point* – bazę wyczekiwania; jak działać w zwykłych, a jak w trudnych warunkach; jak pokonywać przeszkody wodne; jak urządzać zasadzkę. Chodziliśmy na poligon i poruszaliśmy się – czy to na polu, czy w lesie – tak jak w dżungli. Ktoś nie zorientowany mógłby pomyśleć, że ma do czynienia z bandą idiotów, widząc, jak przemykamy pod drzewami.

„W bazie wyczekiwania – wykladał deesowiec – korzysta się z hamaków, które wieszają się możliwie nisko nad ziemią, ale tak, żeby tyłkiem nie szurać po podłożu. Nad hamakiem przywiązujemy pałatkę. Jeśli trzeba, śpi się na ziemi, ale jeśli to nie jest konieczne, lepiej spać wygodniej. Żołnierz wyspany, wypoczęty, a co najważniejsze, nie pogryziony przez różne tropikalne świnięta, jest skuteczniejszy. Im człowiek świeższy, tym lepiej wykonuje zadania”.

Niektórzy korzystają w dżungli ze śpiworów z goretexu. To też ma swoje zalety. Jest sucho i nie moknie się na deszczu. Mokre rzeczy trzyma się na zewnątrz, bo i tak nic im nie pomoże. Żołnierz, który dba o siebie, wystrzega się robactwa, jest cenniejszy taktycznie. Nie oznaczało to, że mamy się zachowywać jak maminsynki, ale też nie powinniśmy udawać twardzieli, których nic się nie ima. Chodzi o zdrowy rozsądek, bo cóż po twardzielu, kiedy po paru minutach szlag go trafia.

„W dżungli można przebywać miesiącami bez żadnych negatywnych skutków. W istocie las tropikalny stanowi znacznie lepsze środowisko niż wiele innych, w których przyjdzie wam działać. W dżungli w razie potrzeby znajdziecie jedzenie, nie brak tam wody, macie naturalną osłonę i nie grożą wam kłęski żywiołowe. Krótko mówiąc, w dżungli jest wszystko, co konieczne, więc nie trzeba się bać. Należy się tylko oswoić i próbować urządzić jak najlepiej”.

Poddaliśmy się niezbędnym szczepieniom, wypełniliśmy plik stosownych dokumentów. Byłem zachwycony. Miałem wrażenie, że stopniowo zaczynam wrastać w Pułk.

Powoli zaczął się tworzyć bardziej towarzyski klimat. Starłem się jednak nie ulegać fałszywemu poczuciu bezpieczeństwa, cały czas pamiętałem, że jeszcze nic pewnego; że w każdej chwili mogę dostać „czwórkę”, że ciągle

jeszcze jestem pod lupą, że obserwują mnie i zastanawiają się, czy mnie wziąć, czy nie. Czekają mnie jeszcze długie miesiące, a podlizywanie się deesowcom przy herbacie niczego nie daje.

Wszystko, czego nas uczono, oparte było na autentycznych doświadczeniach, sprawdzonych w życiu.

Ćwiczyliśmy taktykę walk w dżungli, to zaś wcale nie polega na tym, żeby natychmiast zacząć strzelać. Najpierw trzeba przeprowadzić zwiad, zebrać informacje, przegrupować się i dopiero uderzyć większą siłą.

„W czasie wojny na Malajach – mówił jeden z deesowców, weteran z tamtych czasów – mnóstwo czteroosobowych patroli przenikało przez linie przeciwnika, nie prowokując starć, a to dlatego, że nieprzyjacielskie posterunki sądziły, iż tak niewielka grupa to zapewne zwiad, i czekały na zasadnicze siły”.

W dalszym ciągu dbaliśmy o kondycję fizyczną. W sali gimnastycznej dawano nam rzeczywiście wycisk. Jeśli o mnie chodzi, to ćwiczyłem chętnie i z prawdziwą przyjemnością, przede wszystkim dlatego, że nie stosowano żadnej formalnej dyscypliny. Uważano, że nie jest to potrzebne. Jak ktoś nie chciał brać udziału w zajęciach, mógł w każdej chwili wyjść z sali. Nikt nie nakazywał nam sprzątanía pomieszczeń, a mimo to utrzymywaliśmy wzorowy porządek, bo tego od nas oczekiwano i to mi się podobało. Byłem zbudowany atmosferą w jednostce.

Na tym etapie mogliśmy przebywać wyłącznie w rejonach szkolenia. Nie mieliśmy jeszcze dostępu do pomieszczeń zajmowanych przez kompanie liniowe, ale i tak czułem się częścią systemu. W stołówce nie oddzielano nas już od żołnierzy jednostki, spotykałem więc znajomych czy to z Irlandii, czy z eliminacji. Nie odmawiali pogawędki przy herbacie. Któregoś dnia spotkałem Jeffa. Był teraz w oddziale antyterrorystycznym. Wciąż wyglądał młodo.

– Jeszcze tutaj? – zagadnął. – Kiedy lecicie do dżungli?

– Za dwa, może trzy tygodnie.

– Już wiesz, kto będzie waszym instruktorem?

– Nie mam pojęcia, ale wkrótce mają nas podzielić na patrole.

Nazajutrz zdawaliśmy całą masę przeróżnych testów. Najpierw ze znajomości języka. Rozejrzałem się po sali oceniając, który z chłopaków będzie najlepszy w te klocki. Wybór padł na Jake’a – Amerykanina. Wiedziałem, że zna *farsi* – znaczy perski – a nawet potrafi czytać te ichnie robaki. „Mózgowiec” – pomyślałem i zacząłem przesuwając się w jego stronę, bo chciałem sięść obok niego. Ale akurat zachciało mi się lać i kiedy wróciłem, nie było już miejsca. Ze dwudziestu chłopaków wpadło na ten sam pomysł. Usiadłem, gdzie było wolne, i jak wszyscy ściągnąłem cały test od Jake’a.

Następnie sprawdzano szybkość reakcji. Dano nam do rozwiązania testy dla pilotów, głównie działania arytmetyczne. Na każde kolejne mieliśmy półtorej minuty. Zadania były dość skomplikowane – pierwiastki, potęgi, średnie matematyczne – i na znacznie wyższym poziomie aniżeli to, czego się uczyłem z matematycznych elementarzy w bibliotece w Peckham. Potem były takie zadania na inteligencję. Wątpię, aby moje odpowiedzi zakwalifikowały mnie do MENSY.

Zastanawiałem się, co będzie, jeśli oblejemy. Wywałą nas? Pomyślałem jednak, że przecież jesteśmy żołnierzami, a nie uczonymi, i przestałem się przejmować. A zresztą z upływem czasu wszystkie te egzaminy zamieniły się w farsę. Wszyscy ściągali od wszystkich, z czego deesowcy musieli sobie zdawać sprawę.

Od samego początku wbijano nam do głowy zasady podejmowania decyzji. Decyzje trzeba podejmować szybko. Na korytarzu w bloku szkoleniowym wisiała taka plansza przedstawiająca stado owiec w zagrodzie, a pod nią był podpis: „Stać na czele albo słuchać, tylko nie przeszkadzać”.

Właśnie, chodzi o to, aby nie dzielić włosa na czworo, tylko podejmować decyzję, dobrą albo złą, ale jasną decyzję. Przy tej właśnie okazji zrozumiałem, że co się stało, to się nie odstanie.

W południe w stołówce zachowywaliśmy się jak gromada uczniów po egzaminach.

– A co ci wyszło w szesnastym zadaniu?

– Dwieście pięćdziesiąt.

– O kurwa, a mnie całkiem inaczej.

Nie wiem, jakie były wyniki testów, ważne, że nazajutrz wszystkim bez wyjątku wydano sprzęt na wyjazd do dżungli: tropikalne mundury, plecaki, moskitiery, pałatki i takie różne rzeczy. Czułem się, jakbym wygrał los na loterii.

Po południu miano nas podzielić na patrole i powiedzieć, kto będzie naszym instruktorem. Każdy chciał dostać się do drużyny, w której byli chłopcy znający już dżunglę, sądząc, że w takim zespole będzie łatwiej.

Jako plutonowy piechoty zostałem dowódcą jednego z patroli. Był w moim zespole Raymond – kombatant z Falklandów. Przez ostatnie pół roku służył jako kapral w Belize, w 2. pułku spadochronowym. Miał potężną grzywę kruczych włosów i niesłychany zarost. Dwie godziny po goleniu wyglądał tak; jakby nigdy nie miał brzytwy w ręku. Wiedział, jak się buduje prycze z gałęzi i w ogóle jak poruszać się w dżungli, co było ważne, bo ja nie miałem o tym pojęcia. Jedyna „dżungla”, jaką w życiu widziałem, to park w Kew Gardens. Miałem wtedy siedem lat i zapamiętałem tylko to, że moi koledzy kupowali sobie lody, a ja nie, bo nie miałem pieniędzy.

W skład naszego patrolu wchodził także Mal, starszy kapral z Royal

Anglians. Pochodził z Londynu, był tego samego wzrostu co ja i miał podobną budowę. Miał też strasznie duże zęby, chyba największe na świecie, ale z paroma brakami. Ciągle się śmiał i zawsze trzymał peta w gębie. Kojarzył mi się z Tommym Atkinsem, takim szwejkim z czasów pierwszej wojny światowej. Niczym się nie przejmował, lecz jak się do czegoś wziął, to robił fachowo i akuratnie. Gdyby nie był w wojsku, to pewnie handlowałby na Portobello Road. Poza tym okazał się największym niechlujem, jakiego widziałem w życiu. Wyglądał, jakby go kto posmarował klejem i wrzucił do śmietnika, ale był przy tym dobrym żołnierzem. Jeśli miało się wrażenie, że jest skończonym leniem, to tylko dlatego, że wszystko robił jakby od niechcenia, lecz piorunem.

Natomiast Tom – kapral z 29. kompanii komandosów, wchodzącej w skład Royal Artillery, będącej w dyspozycji Royal Marines – był całkiem inny, ciągle napięty, podniecony, a przy tym strasznie śmieszny. Od czasu Dave’a nie spotkałem takiego komicznego faceta. Miał potwornego zezę. Kiedy patrzył, dajmy na to na buty, to wydawało się, że zerka na księżyc. Był najwyższy z nas, miał prawie dwa metry i sylwetkę ciężarowca. Strasznie głośno mówił. Podejrzewam, że ogłuchł, służąc w artylerii. Wszyscy artylerzyści to głuchulce.

W dalszym ciągu dzwoniłem i pisałem do Debbie, opowiadając, jak jest fajnie. Byłem chyba ślepy i głuchy albo nie potrafiłem czytać między wierszami w jej listach. Nie przyszło mi do głowy, że baba musi się śmiertelnie nudzić. Ja byłem w Anglii, robiłem ciekawe rzeczy, a ona siedziała w Niemczech i nudziła się jak mops. Niewiele mnie to jednak obchodziło. Szykowałem się do wyjazdu do Brunei.

## 11

W marcu odlecieliśmy do Brunei trasą przez Hongkong. Wyglądałem przez okno, gdy samolot podchodził do lądowania na lotnisku Kaitak. Po zwrocie maszyna zeszła tak nisko nad ziemię, że widziałem ludzi na ulicach, a nawet mogłem zerknąć do mieszkań.

Zakwaterowano nas w bazie wojskowej niedaleko lotniska. Wypłacono diety na wyżywienie, z czym jeszcze w wojsku się nie spotkałem. Oczywiście szmal poszedł nie na żarcie, ale na nocną wyprawę do miasta. Za resztę, gdy wracaliśmy już do bazy, kupiłem torebkę frytek. Byłem zachwycony. Jest fajnie – myślałem sobie – i jeszcze dają szmal, nie dam się wyrzucić.

Wiele słyszałem o Hongkongu, ale nawet nie marzyłem, że kiedyś się tu znajdę, więc chciałem się napatrzeć, bo nie wiadomo, czy trafi się jeszcze podobna okazja. Miasto tłumne, gwarne, pełne życia, neonów i sklepów. O dziesiątej wieczorem ruch na ulicach jak w dzień. My też nie myśleliśmy o śnie. Zdrzemniemy się w samolocie, w drodze do Brunei.

Raymond znał Hongkong z czasów, gdy z pułkiem spadochronowym stacjonował na Nowych Terytoriach.

„Nie ma sprawy, wszystko wam pokażę, zabawimy się, jak za dawnych, dobrych lat”.

No i pokazał nam turystyczne atrakcje cenione przez wojsko, czyli głównie bary, takie jak: John Bull czy Ned Kelly's Last Stand. Kupiłem sobie kilka kaset i parę koszul. Wędrowałem po mieście trochę jak we śnie, oglądając bambusowe rusztowania przy nowo wznoszonych budynkach, wspaniałe wieżowce i chińskie chaty tuż obok nich. Rychło poczuliśmy

zmęczenie. Usiedliśmy na chodniku, racząc się frytkami czy czymś takim, co kupiliśmy od ulicznego sprzedawcy. A w ogóle to miałem wrażenie, że znalazłem się w samym środku filmu z Jamesem Bondem.

Rano, złachani, powlekliśmy się na lotnisko, na samolot rejsowy do Brunei, gdzie znajduje się ośrodek wyszkolenia tropikalnego Armii Brytyjskiej. Na niebie ani jednej chmurki, leciliśmy nad niezliczonymi wysepkami, rozsiyanymi na Morzu Chińskim. Gapiłem się przez okno, chłonąc wspaniałe widoki. Rychło błękit morza zamienił się w zieleń łąd. Jak okiem sięgnąć, widać było tylko gęste korony drzew.

Gdy tylko wyszedłem z samolotu, zaraz coś mnie użarło. Wilgoć i żar niemal zbiły mnie z nóg. Ze wszystkich pot lał się strumieniami. Dżinsy i koszule można było wyjąć. Z okien samochodu widać było prymitywne chaty na palach. Nad wieloma górowały anteny telewizji satelitarnej, a pod niektórymi stały błyszczące, nowiutkie mazdy, a wszystko wśród zieleni. Dżungla wciskała się do przydomowych ogródków, jakby chciała odzyskać utracony teren.

Pierwszego dnia pobieraliśmy broń i pakowaliśmy rzeczy. Nazajutrz mieliśmy wyruszyć w dżunglę. Co najmniej połowa tego, co przywieźliśmy ze sobą, zostanie w bazie, bo – jak nam powiedziano – cały sprzęt i rzeczy osobiste trzeba będzie dźwigać na własnym grzbiecie.

Poradzono nam, abyśmy korzystając z okazji najedli się świeżych warzyw i owoców. Nafaszerowałem się więc melonami i sałatą. Za salę wykładową służył stary blaszany barak z wentylatorem pod sufitem. Jeden z instruktorów wygłosił krótki wykład o tym, jak wystrzegać się zmij i co robić w razie ukąszenia, a w istocie zrobić można niewiele – przede wszystkim nie dopuścić do tego, aby jad wędrował sobie z krwią.

„I starajcie się upolować gada, który was ugryzł – brzmiała ostateczna rada – bo wtedy wiadomo będzie, jaką dać surowicę. W przeciwnym wypadku sprawa robi się gówniana”.

Wieczorem przeszedłem się po obozie. Przystawałem tu i ówdzie, aby posłuchać głosów dżungli. Tropikalny las brzmiał mniej więcej tak, jak sobie wyobrażałem: brzęczały owady, popiskiwały małpy, a chwilami rozlegały się skrzeki i ryki innych zwierząt. Czulem w sobie lekki niepokój. Za dwanaście godzin zacznie się wielki egzamin.

Ranek wstał przepiękny. Niebo czyste. Gorąco. Z plecakami i resztą sprzętu załadowaliśmy się do śmigłowców typu Huey, które miały nas wywieźć daleko w dżunglę. Przelot trwał dobre czterdzieści pięć minut. Niebo błękitniało, a dołem ciągnęła się zwarta masa zieleni. Patrząc z góry, widziałem tylko korony drzew, wzgórze i mgły. Widok był naprawdę wspaniały. Myślałem sobie, że jeśli nawet mnie nie zakwalifikują do Pułku, to i tak tego widoku nikt mi nie odbierze.



Zaczęliśmy się zniżać. Zmienił się odgłos łopat wirnika, tnących powietrze. Siadaliśmy na niewielkiej polance wśród dżungli, gdzie usunięto drzewa, aby urządzić lądowisko. Patrząc w dół, widziałem facetów z największymi brodami w świecie. Śmigłowiec zszedł niżej i wszystko skryły fontanny kurzu, liści i gałęzi podrywanych w górę ciągiem powietrza od wirnika.

Przez otwarte drzwi buchnęło gorąco i spaliny. Powitał nas jeden z chłopaków z plutonu kwatermistrzowskiego, który zjechał tu trzy tygodnie wcześniej, aby zorganizować obóz. Powiedział, żeby iść za nim. Z pokładu helikoptera wszystko wyglądało inaczej niż na ziemi. Zagłębiliśmy się w tropikalny las. Miałem wrażenie, że w upalny dzień wszedłem do cieplarni, w której zamknięto wszystkie okna. Po hałasie, jaki nam towarzyszył w czasie lotu i podczas lądowania, otoczyła nas niemal kompletna cisza, przerywana świergotem ptaków i krótkimi uwagami przewodnika. Zacząłem się pocić jak mysz, z trudem oddychałem.

Po drodze trzeba było przeprowić się przez rzekę. W poprzek nurtu rzucono parę pni, improwizując rodzaj mostu. Obok zobaczyłem chatę z liści palmowych i kilku tubylców. Pułk od dawna, od wojny na Borneo, utrzymywał przyjazne kontakty z miejscowym ludem Ibanów.

„To poczciwi ludzie – tłumaczył deesowiec – zatrudnimy ich do budowy *atap*, chat krytych strzechą, na potrzeby dowództwa. W jednej z takich chat będzie wasza sala wykładowa. Tubylcy pomagają nam także w ukazywaniu spraw warunkujących przetrwanie”.

Gdy tak paradowaliśmy przed facetami siedzącymi w kucki, palącymi spokojnie papierosy, zdałem sobie sprawę, że znalazłem się w całkiem innym świecie. Przez przynajmniej miesiąc, czy chcemy, czy nie, będziemy odcięci od cywilizacji; zdani na siebie. Podniecała mnie taka perspektywa.

Patrząc na dżunglę zastanawiałem się, jak ludzie mogą żyć w takim zamkniętym, zielonym półmroku. Gęste korony palm zasłaniały niemal całkowicie promienie słoneczne. Wilgotność powietrza sięgała dziewięćdziesięciu procent. Było gorąco i duszno. Pociłem się strasznie i bez przerwy żarły mnie jakieś świnięta. Miałem wrażenie, że wszystkie insekty z całego świata zawzięły się na mnie. Patrzyłem zazdrośnie na Ibanów. Półnadyz siedzieli sobie spokojnie przed chatami, szczęśliwi jak towarzystwo na plaży.

„Szkola”, w której zarządzono zbiórkę, to dwa pnie do siedzenia pod strzechą z palmowych liści. Zdjęliśmy plecaki, a po chwili zjawił się deesowiec na wstępną pogadankę przy herbacie.

Każdy patrol będzie miał swojego instruktora. W obozie instruktorzy mieszkają oddzielnie, ale w terenie instruktor będzie stale z nami. Następnie wysłuchaliśmy krótkiego wykładu na temat podstawowych zasad poruszania

się w dżungli.

Po pierwsze, zawsze trzeba mieć przy sobie *golock*, czyli maczetę. Po drugie, nie wolno ruszać się bez broni i podstawowego oporządzenia, a więc tego wszystkiego, co nosi się na pasie i na uprzęży. Zdejmując pas, na przykład w czasie wykładów, nie rozstajemy się z maczetą, którą przywiązujemy linką. *Golock* jest podstawowym narzędziem przetrwania: karmi, zabezpiecza, chroni.

„Nigdzie w dżungli nie wolno chodzić samemu – ostrzegają deesowiec – zawsze parami, bo łatwo się zgubić. Wystarczy wyjść pięć, dziesięć metrów poza teren obozu i już można stracić orientację. A więc nawet po wodę do rzeki macie chodzić w dwójkę. Nie wolno odmawiać pomocy koledze, który akurat musi pójść po wodę. Jedyne miejsce, gdzie wolno iść samemu, to latryna, która zresztą jest tuż obok”.

Przywieźliśmy ze sobą sporo dodatkowych rzeczy, tyle ile udało się pomieścić w plecakach: zapasowe manierki, skarpetki na zmianę i jeszcze jakieś gówna. Tymczasem niewiele z tego rzeczywiście się przyda.

„W dżungli potrzebne są tylko dwa ubrania, mokre i suche objaśniał instruktor. – Śpi się w suchym, a chodzi w mokrym. Nie ma sposobu, żeby w ciągu dnia nie przemoknąć do nitki. W dżungli nie ma pór roku, na okrągło jest mokro i gorąco. Pada dwa razy dziennie. Gdy poczujecie wiatr, to znaczy, że za chwilę lunie. Jeśli nawet uda się wam schować przed deszczem, to i tak wasza odzież będzie mokra od wilgoci. Przede wszystkim trzeba dbać o to, by nie przemokł sprzęt. W tym celu owijają się go w nieprzemakalne płachty. Podwójnie, bo jak raz coś przemoknie, to już nie ma siły. Nic tu nigdy nie wysycha”.

Następnie objaśnił, jak z gałęzi zbudować ramę na hamak:

„Bierze się dwa drągi i ustawia na kształt litery A. Nie muszą być grube, ale ważne, żeby wytrzymały obciążenie. Wystarczą gałęzie o średnicy od pięciu do siedmiu centymetrów. Dwie takie litery A łączy się dłuższym drągiem, na którym zawieszają się hamaki. Nad hamakiem mocuje się pałatkę, która ma osłaniać od deszczu. Pod pałatką zawieszają moskitierę, siatkę chroniącą przed komarami i innym świństwem. To nie z powodu nadmiernej ostrożności i niech się wam nie wydaje, że moskitiera jest tylko dla wydelikacowanych maminsyneków. Jak przez noc pożą was moskity, to rano będziecie się czuć fatalnie, a to znaczy, że operacyjnie staniecie się mniej skuteczni. A w ogóle należy dbać o siebie. Żołnierz musi być wypoczęty. To nie żarty, to rozsądek. Owszem, zdarzy się, że trzeba będzie wleźć w gówno. Jak trzeba, to trzeba, ale nie wolno gnoić się bez potrzeby. Tak więc należy urządzać się wygodnie, jak tylko się da”.

Pod hamakiem można zbudować sobie z gałęzi rodzaj ławy na plecak i rzeczy. Ziemia jest ciągle wilgotna i pełna różnego świństwa, mrówek,

skorpionów i tym podobnych bestii, co kąsają bez litości. Im mniej tego tałatajstwa dostanie się do rzeczy, tym lepiej, bo przecież rano trzeba to wszystko wziąć na grzbiet.

Deesowiec pokazał nam rejonu obozu przeznaczone dla nas.

„A teraz macie ogarnąć się, uporządkować. W razie kłopotów meldować się u mnie”.

„Ogarnąć się” znaczyło zbudować konstrukcje na hamaki. Raymond uporał się z tym w niespełna godzinę. Naciął jeszcze gałęzi na ławę pod hamakiem.

– Wytrzyma to ze dwa dni – zauważył – zanim zagłębi się w ziemię. Wtedy buduje się od nowa.

Mnie nie szło tak szybko jak jemu. Miałem jeszcze sporo roboty. Wreszcie się udało. Rozpaliliśmy kuchenkę. Nastawiliśmy wodę na herbatę w puszcze po granatach. Mieściła ze dwa i pół litra. Nasza pierwsza herbata w dżungli. Poczulem się bardziej swojsko.

Rozmawialiśmy o tym, co nas czeka. Wiedzieliśmy, że instruktorzy będą pilnie obserwować i oceniać, kto się nadaje, a kto nie.

– Musimy sobie pomagać, a nie utrudniać – wygłosiłem sentencję.

– Ty jesteś szefem – burknął Mał z nieodłącznym petem w gębie – więc zapierdalaj – wypuścił kłęb dymu.

Czas wracać do „szkoły”. Wzięliśmy, co trzeba: sprzęt, maczety i broń. Na odprawę przyszła cała kadra instruktorska. Zabrał głos szef wyszkolenia.

„Rano i wieczorem obowiązuje w obozie stan gotowości. Zaczyna się pół godziny przed świtem i pół godziny przed zmierzchem, wtedy nie wolno oddalać się z rejonów. Poczta raz na tydzień. Świeże zaopatrzenie też raz w tygodniu. Obowiązuje was zakaz wstępu do rejonów zakwaterowania kadry instruktorskiej. W razie potrzeby meldować się głośno i czekać na zezwolenie. A teraz rozejść się. Zbiórka jutro o ósmej”.

Spakowaliśmy plecaki i przez godzinę trwaliliśmy w pogotowiu, z bronią przy ramieniu, obserwując teren. Dzień miał się ku końcowi i nagle dżungla rozbrzmiała wieloma głosami.

– Koncert o zachodzie słońca – Raymond znał się na rzeczy zaraz będzie zmierzchać.

Z nadejściem nocy zaczął się istny desant wszelakiego latającego świnstwa. Miałem wrażenie, że wszystko, co żyje, lata i kąsa, rzuciło się prosto na mnie. Nałożyłem grubą warstwę kremu przeciwko owadom na twarz i ręce, co jednak niczego nie zmieniło. Chmury owadów kręciły się w powietrzu i atakowały z zapalem jak stukasy. Wśród ciągłego brzęczenia insektów dały się słyszeć jeszcze inne odgłosy dżungli. Chłonałem to wszystko z zachwytem, oczywiście z wyjątkiem ukąszeń.

Po godzinie zabraliśmy plecaki i wróciliśmy do rejonów. Należało

oszczędzać baterie w latarkach, więc zapaliliśmy świece. Rozpaliłem ogień, nastawiłem wodę. Chłopcy wrzucili torebki z gulaszem do wspólnego kotła.

Mał, jak zawsze spokojny i pewny swego, rozciągnął się na ziemi z nieodłącznym petem. Tom miał tysiące pytań, taki już był pobudliwy. – Rano stan pogotowia – przypominał. Jednym okiem łypał na żarcie, drugim na buty.

Wszyscy byliśmy raczej zmęczeni po nie przespanej nocy w Hongkongu i wyczerpani nowym otoczeniem. Jeszcze się nie zaaklimatyzowaliśmy, dokuczaly ukąszenia, każdy był spuchnięty. Marzyłem, żeby wreszcie wyciągnąć się w hamaku.

Zdjąłem mokre rzeczy, ułożyłem je na półce z gałęzi pod hamakiem. Ubrałem się w suche ciuchy i – na wszelki wypadek – adidasy. Nie wiadomo, jakie niespodzianki mogą szykować deesowcy, więc w razie czego nie będę latał boso. Wsunąłem się pod moskitierę i słuchałem, jak gra dżungla. Muzykowały świerszcze, wtórowały im inne owady, a dołem w ściółce szemrały jeszcze jakieś leśne istoty.

Zacząło padać. Co za cudowne uczucie – leżeć sobie w hamaku i słuchać, jak krople uderzają w pałatkę.

Nie mogłem zasnąć. Wierciłem się i kręciłem, myśląc o tym, co mnie czeka. Trzeba przetrwać miesiąc w dżungli i mieć nadzieję, że wszystko będzie dobrze, że ostatecznie zostanę zakwalifikowany do Pułku. Chyba wszyscy myśleli o tym samym i wszyscy leżeli niespokojnie. Tylko pod moskitierą Mała jarzył się ogień papierosa. W końcu ogarnął mnie sen. Nagle Tom poderwał się na równe nogi.

– Spóźniliśmy się. Wpół do siódmej. Wstać! – wrzasnął. Chłopaki wyskakiwały z hamaków, zbierały sprzęt z błotnistej ziemi. Wciągnąłem na siebie mokre ciuchy, rozglądając się za instruktorem. Jeśli przyłapie nas w wyrach, będzie źle. Dostaniemy minusy za brak samodyscypliny.

Mał na stojąco wkładał buty. Stracił równowagę i przewrócił się. Niedopałek z sykiem wpadł w błoto.

Tom wciąż alarmował, gdy odezwał się Raymond:

– Uspokój się, do kurwy nędzy. Jest ledwie północ, a nie szósta. Popierdoliło ci się.

Miał rację. Tom w ciemnościach źle odczytał czas na zegarku. Nie można powiedzieć, abyśmy myśleli o nim z sympatią, kładąc się z powrotem do hamaków.

Pierwszy wykład poświęcony był dbaniu o higienę osobistą w dżungli. „Z samego rana – wyjaśniał instruktor – trzeba pokryć skórę i odzież warstwą ochronną środka przeciwko owadom. Posmarować twarz, ręce i całe ubranie.

Uprzedzam, że środek jest silny, rozpuszcza plastik”.

Pokazał nam swoją busołą. Był w dżungli od trzech tygodni i wystarczyło, żeby z tarczy zlały oznaczenia. Środek przeciwko owadom wyżarł wszystko i takim świństwem mieliśmy smarować sobie skórę.

„Następnie trzeba połknąć paludrin – tabletkę przeciwko malarii”. W dalszej części wykładu poinstruowano nas, jak przygotowuje się lądowiska dla śmigłowców i przesieki, z których śmigłowiec może zabrać człowieka na wyciągu. W razie wypadku, na przykład złamania nogi, należy opatrzyć ofiarę, usztywnić chorą kończynę, przygotować miejsce, gdzie ze śmigłowca można spuścić linę, i czekać na przybycie pomocy.

„Przygotowując stałe lądowisko – objaśniał – można podkładać ładunki wybuchowe pod drzewa w taki sposób, aby padały w określoną stronę. W miarę możliwości lądowisko urządzamy na wzniesieniu. Ma to praktyczne znaczenie. Wysadzane w powietrze wyższe drzewa pociągają za sobą mniejsze, co ułatwia i przyspiesza pracę. Ładunki wybuchowe używane w tym celu nazywamy *packet echo*. Na żądanie śmigłowce dokonają zrzutu stosownego zestawu narzędzi: ładunków wybuchowych, pił i świrdrów, czyli rzeczy niezbędnych do przygotowania lądowiska”.

Któregoś dnia odbyły się zajęcia praktyczne. Tom z desperacją oglądał potężne drzewo, które mieliśmy wysadzić w powietrze za pomocą ładunku PE4.

– Myślisz, że jeden wystarczy? – zagadnął.

– Weźmy więcej.

– Zgoda – potwierdziłem – nie ma się co obcyndalać. Weisnęliśmy dodatkowo dwa ładunki w dziury pod pniem. Teoretycznie powinno używać się minimum tego, co trzeba, ale to nasze drzewo było rzeczywiście zajebiste.

– Jesteś pewien, że będzie OK?

– A co?!

Zamontowaliśmy odpowiedni kabel do detonatora i dołączyliśmy do reszty chłopaków. Zgodnie z planem ładunki miały być odpalane po kolei, aby spokojnie oceniać wyniki ćwiczenia.

Na początek poszło drzewo Raymonda i Mala. Keith – nasz instruktor – wydawał polecenia: „Podłączyć kabel do zapalnika i ognia”.

Zrobili jak trzeba. Włączyli prąd, iskra dotarła do spłonki, inicjując wybuch.

Huknęło. Drzewo zległo jak należy. Nic nam nie spadło na łby.

– Dobra robota. Następny.

To była nasza kolej. Podłączyliśmy kabel do urządzenia odpalającego.

– Uwaga. Ognia!

Łupnęło tak, że ziemia zadrżała. Drzewo uniosło się w górę jak rakieta i zniknęło z pola widzenia.

– Ileście tego gówna podłożyli? – wściekł się instruktor.

– Wedle regulaminu, słowo daję – odparłem.

– Nie róbcie mnie w chuja! – wrzasnął Keith. Rzucił się do skrzynki z ładunkami. Była prawie pusta.

– Dupy mogło nam wywalić – złościł się. Czekałem, że zaraz zacznie nas opierdalać, ale się uspokoił. – Przynajmniej wiecie już, jak odpalać. Zaliczone – uśmiechnął się. Po raz pierwszy przekonałem się, że deesowiec też potrafi się śmiać.

Następnego dnia poszedłem z chłopakami na dalszy ciąg tych samych ćwiczeń. Na miejscu nie było jednak ładunków wybuchowych. Ich przygotowanie należało do zadań instruktora.

– Trzeba pójść do obozu i postarać się kogoś znaleźć, bo inaczej nie zmieścimy się w czasie – zdecydowałem.

Oczywiście pamiętałem o zakazie wstępu do rejonu zakwaterowania kadry. Przystanąłem na skraju i zawołałem. Żadnej odpowiedzi. Postanowiłem więc zaryzykować i wszedłem do środka. W końcu to nie nasza wina, że ładunków nie było tam, gdzie powinny być.

Zrobiłem błąd. Napatoczył się szef kompanii i zaraz zaczął mnie obsobaczać.

– Co tu robicie? Nie wiecie, że nie wolno wam tu przebywać?

– Tak, ale nie mamy ładunków, a czas ucieka – tłumaczyłem. – Bez materiałów wybuchowych nie wykonamy zadania. Wołałem, ale nikt nie odpowiadał, więc wszedłem.

Wydawało mi się, że racja jest po mojej stronie i pewnie tak było, ale jako kandydat, bo ciągle jeszcze ważyła się sprawa naszego przyjęcia do Pułku, powinienem raczej zmilczeć, wysłuchać pokornie wymyślań i tyle. Byłem jednak głupi i zacząłem się stawiać. Jedyna nadzieja, że facet machnie ręką.

Jednym z głównych zajęć były marsze na orientację. Na mapie obszarów pokrytych dżunglą jest niewiele szczegółów, w zasadzie tylko poziomicę i rzeki. Musieliśmy się więc nauczyć, jak poruszać się przy tak skąpych danych, a co istotniejsze, jak określać pozycję.

„Można korzystać z różnych instrumentów – objaśniał deesowiec – na przykład zorientować się w położeniu za pomocą wysokościomierza, ale tak naprawdę, to wszystko sprowadza się do mapy, busoli i obliczania przebytej drogi”.

Przeprowadziliśmy też sporo ćwiczeń z ostrą amunicją, bezpośrednio w terenie, na tak zwanych leśnych alejach, czyli zwyczajnie w rzecznych dolinach. Instruktor wybierał stosowne miejsce i ruszaliśmy na patrol. Zadanie polegało na tym, aby błyskawicznie rozpoznawać i likwidować cel. Posuwaliśmy się w szyku bojowym. Deesowiec pociągał za sznurki i raptem w gęstwinie ukazywał się cel...

„Macie wykonać jakieś zadanie. Dotrzeć w określone miejsce. Posuwacie się w terenie – tłumaczył – jest was niewielu. Nagle natraficie na przeciwnika. Może to być zwiad albo szpica większego oddziału. Taktyka polega na rażeniu przeciwnika ogniem, błyskawicznym odskoku i ponownym marszu do określonego celu”.

Strzelania w „leśnych alejach” były rzeczywiście doskonałym ćwiczeniem, szalenie realistycznym i zupełnie niepodobnym do zajęć w piechocie, bo w zwykłym wojsku nie urządza się czegoś takiego ze względów bezpieczeństwa. Tymczasem tylko w takich warunkach – w naturalnym środowisku i przy użyciu ostrej amunicji – można stworzyć prawdziwie bojowe warunki.

Najpierw ćwiczyliśmy taktykę działania w pojedynkę. Każdy z nas musiał iść na czele zwiadu. Kiedy przyszła moja kolej, aż zeszywniałem z napięcia. Ruszyłem wzdłuż rzeki, z bronią gotową do strzału. Wypatrywałem ukrytych celów, a jednocześnie zerkałem pod nogi, żeby się nie wywalić na jakimś korzeniu czy innym draństwie.

– Stop! – krzyknął instruktor. Kurde, co spieprzyłem?

– Popatrz w prawo.

Spojrzałem, rzeczywiście przeoczyłem cel. Po prostu nie zauważyłem. Trzeba jeszcze bardziej skupić uwagę.

– Wracaj i od początku.

Za drugim razem już się nie zagapiłem. Posłałem serię.

Następnie ćwiczyliśmy taktykę działań parami. Deesowiec omówił założenia:

„Wasz dziesięcioosobowy patrol wpadł w zasadzkę i uległ rozproszeniu. Staracie się dotrzeć do punktu wyjścia, do swoich. Posuwacie się wzdłuż rzeki. Pytania? Nie ma. No to do roboty”.

– Pójdę przodem – uprzedziłem Mała.

Ruszyliśmy. Ja pierwszy, Mał za mną. Cele starannie ukryto i rzeczywiście niełatwo było je wypatrzeć. Niektóre stacjonarne, inne ukazywały się niespodziewanie, uruchamiane przez instruktora. Zatrzymałem się za drzewem, przycupnąłem, omiotłem wzrokiem teren, przesunąłem się do przodu, Mał za mną.

Dziesięć metrów przed sobą zobaczyłem rozpadlinę, a za nią mignął cel. Z miejsca posłałem serię.

– Przeciwnik od czoła! Strzelałem ogniem ciągłym.

Mał dołączył z prawej i też rozpoznał ogień. Gdy tylko usłyszałem, że Mał włączył się do akcji, skoczyłem do tyłu. Zająłem nową pozycję i zacząłem strzelać. Wtedy Mał przerwał i cofnął się jednym skokiem. Potem ja powtórzyłem manewr.

– Za mną, za mną.

Skryliśmy się za drzewami na brzegu rzeki. Cała akcja nie trwała dłużej niż piętnaście sekund.

– Stop! – krzyknął instruktor.

Każdą akcję omawialiśmy zaraz na miejscu. Dyszeliśmy z Malem, z trudem łapiąc oddech. Wszystko trwało co prawda krótko, ale napięcie dawało się we znaki. Używaliśmy ostrej amunicji. Trzeba było cały czas uważać.

Dżungla była znacznie bardziej wyczerpująca niż wszelkie sprawdziany w czasie eliminacji. Większe napięcie, większa presja. Zdawałem sobie sprawę, że dopiero teraz rozstrzygają się nasze losy, że jesteśmy pod ciągłą obserwacją, a przełożeni decydują, czy się nadajemy, czy chcieliby mieć nas w swoich pododdziałach, czy mamy konieczne cechy charakteru, właściwą postawę. Trudne i wyizolowane środowisko dżungli, gdzie wszyscy zależą od wszystkich, to ostateczna próba, podczas której ujawnią się nasze słabości.

„Dlaczego postanowiłeś uskoczyć w to miejsce, a nie w tamto komentował instruktor. – Spójrz na ten pień. Jest znacznie solidniejszy, da lepszą osłonę przed pociskami kaliber siedem sześciziesiąt dwa”.

Keith kazał nam podejść do celu, czyli do tarczy symbolizującej przeciwnika. Pod koronami drzew wciąż unosił się dym i woń kordytu. Pociągnąłem łyk wody z manierki i pilnie słuchałem uwag.

„Cel zobaczyłeś za późno. Niemal nań wlaźłeś. Cofnij się kilka metrów i sam się przekonaj. A widzisz! Tymczasem trzeba być szybszym niż przeciwnik, bo od tego wszystko zależy. W jaki sposób to osiągnąć? Ćwiczyć i jeszcze raz ćwiczyć. A teraz sprawdzimy celność”.

Na tarczy ani śladu kul. Obaj z Malem pudłowaliśmy haniebnie. „Strzela się, aby zabić. Inaczej nie ma sensu – rzekł Keith. Dobrze, że kierowaliście ogień ciągly, bo to zapewniło wam osłonę w czasie wycofywania się, ale sprawa polega na tym, by przeciwnika wyeliminować, nie dać mu szansy pociągu”.

Stopniowo przeszliśmy do taktyki działania w pełnym, czteroosobowym składzie patrolu. Przodem szedł zwiadowca. Obserwował teren, robił kilka kroków, zatrzymywał się, znów sprawdzał wzrokiem i ponownie posuwał się ostrożnie do przodu. Dochodząc do wzniesienia, za którym rozciągała się niewidoczna, martwa strefa, dawał znak pozostałym, a sam, z bronią gotową do strzału, zakradał się cichaczem pomiędzy drzewami. Sprawdzał teren i jeśli wszystko było OK, wskazywał, że można iść. Pozostali szli w szyku, osłaniając skrzydła. Zawsze trzeba zakładać, że zwiadowca coś może przeczucyć i że przeciwnik zaatakuję z flanki bądź z tyłu.

Jeff – z Kompanii D – dał mi jedną radę: „broń w pogotowiu, oczy otwarte”. Muszę przyznać, że taki wolny marsz, kiedy waży się każdy krok, jest niezwykle wyczerpujący, wymaga szalonego napięcia.



W wolnych chwilach trzeba było powtarzać materiał z poprzedniego dnia. Mal uczył się błyskawicznie i właściwie niczego nie musiał wkuwać. Kładł się, kopał pety i żłopał herbatę. Zazdrościłem mu z całego serca. Też bym tak chciał, ale tymczasem nie nauczyłem się jeszcze alfabetu Morse'a i nie mogłem sobie pozwolić na bezczynność. W każdej wolnej sekundzie wkuwałem kreski i kropki.

Dżungla bardzo ogranicza swobodę poruszania się. Gęsta roślinność, głębokie koryta strumieni, strome wzniesienia, szerokie, rwące rzeki i inne naturalne przeszkody sprawiają, że szalenie trudno przedzierać się na przelaj. A jednak trzeba, bo na wzniesieniach i na utartych szlakach zawsze czyha niebezpieczeństwo. Tam zasadza się przeciwnik.

W czasie marszów przelajowych stosowaliśmy technikę „chodzenia w poprzek”. Do przodu, do tyłu, do przodu, do tyłu. Unikaliśmy wzniesień. Taki marsz pochłania więcej czasu, ale jest znacznie lepszym rozwiązaniem taktycznym: unika się zasadzek, nie zostawia śladów, nie wpada na przeciwnika.

„Idąc przez dżunglę nie tniemy roślinności. Gałęzie, krzewy odsuwamy, przechodzimy i odsuniętą roślinność pozostawiamy na pierwotnym miejscu. Pogoń orientuje się według śladów pozostawionych »na parterze«, czyli odcisków stóp na ziemi, i »na piętrze«. Jeśli zauważycie pajęczynę między drzewami, nie zrywajcie, omijajcie ją. Jeżeli ścigający nie poczuje na twarzy nitek pajęczyny, od razu będzie wiedział, że ktoś tędy szedł”.

Nerwy z wolna nam puszczały. Zaczynaliśmy się złościć jeden na drugiego, zwłaszcza w czasie marszów na orientację. Orientowanie się w dżungli to trudna sprawa. Nie ma mowy, aby tak jak w otwartym polu obliczyć azymut, wyznaczyć dozór i iść przed siebie. Bez przerwy trzeba sprawdzać pozycję. Z powodu gęstej roślinności i jeszcze gęściejszej, skrywającej niebo korony liści nie można dostrzec, czy teren przed nami obniża się, czy idzie w górę. Schodząc ze wzniesienia, należy uważnie wytyczać kierunek, bo w razie pomyłki trzeba zawsze wrócić na poprzednie miejsce, zastanowić się, jeszcze raz określić pozycję i wysłać zwiad, żeby mieć pewność, gdzie się naprawdę jest. Wysłała się dwóch chłopaków, żeby sprawdzili, czy w danym kierunku znajduje się na przykład rzeka i czy płynie, tak jak się zakłada, z lewej strony w prawo, czy akurat odwrotnie. Jeśli coś takiego trzeba robić parę razy na godzinę, ludzie zaczynają się zwyczajnie wkurwiać. Tak właśnie było. Zaczęło wyraźnie „trzeszczeć”. Sam starałem się zachować spokój. Powoli – upominałem siebie – najpierw zwiad, bo to jest konieczne.

Po dwóch, trzech dniach marszu w dżungli wyczerpywały się siły

fizyczne. Tymczasem w obozie trzeba było przystępować do testów pisemnych, pisać plany działań i tak dalej. Poddawano nas ciągłej presji. Liczył się czas. „Mamy jeszcze pięć minut – powiedział instruktor – więc zrobmy jeszcze to i to”.

W czasie omawiania ćwiczeń nie szczędzono nam gorzkich słów. „No, toś spierdolił. Przegapiłeś cel. Czemu, do kurwy nędzy, nie patrzysz tam, gdzie trzeba? Szedłeś przodem, więc to twój zasrany obowiązek”.

Któregoś dnia wyczerpały się moje możliwości.

Przeszliśmy pewnie dwakroć tyle kilometrów, ile trzeba, bo bez przerwy słyszeliśmy tylko do przodu, do tyłu, do przodu, do tyłu, zwiad, zwiad, zwiad. Zadeptaliśmy dżunglę na śmierć. Kiedy przyszła moja kolej czytania mapy, obliczyłem sobie, że jesteśmy na najwyższym wzniesieniu i stosownie do tych obliczeń wyznaczyłem kierunek marszu. I zaraz się okazało, że z prawej wyrasta większe wzniesienie, co oznaczało, że popełniłem błąd w obliczeniach. Byłem w kropce. Zatrzymałem oddział. Raymond z Małem powinni pójść na zwiad. Wystarczyło na nich spojrzeć, żeby wyczytać niechęć w oczach.

– Tuż pod tym wzniesieniem powinien być strumień płynący z lewa na prawo. Jeśli nie, to najwidoczniej spieprzyłem sprawę.

Raymond z Małem poszli sprawdzić. Nie było ich dobre pół godziny. Gdy wrócili, wydarłem się na nich:

– Aleście się pieprzyli!

– A co – odburknął Raymond – posiedzieliśmy nad wodą, żeby ochłonąć.

Było gorąco jak diabli, duszno, pociłem się straszliwie i śmierziałem okropnie. Pot rozpuszczał krem przeciw moskitom i maź szczypała boleśnie w oczy. Można nałożyć nie wiadomo ile kremu, ale świństwa i tak będą zreć. Deesowcy bez słowa obserwowali nasze reakcje i wydawało się, że moskity wcale się ich nie mają i w ogóle zachowywali spokój jakby nigdy nic. My zaś przedstawialiśmy sobą obraz nędzy i rozpacz. Przemoczeni, utyłani, a w dodatku czekał nas jeszcze jeden marsz na orientację.

Zastanawiałem się w cichości ducha, na czym polega tajemnica przetrwania w dżungli. Jak się tu urządzić? Jedyne przyjemne momenty, to zasiadanie w obozie wieczorem do wspólnego kotła, kiedy nie lało. Gdy padał deszcz, wsuwałem się do hamaka i słuchałem uderzeń kropel o pałatkę.

Tęskniłem za Debbie. Naprawdę. W dżungli człowiek czuje się taki bezbronny, nie ma przed kim się wyzalić, wygadać. Poza tym potrzebna mi była świadomość, że ktoś jest i czeka. Pisywałem do niej regularnie, starając się podzielić tym, co się dzieje. „Mam nadzieję, że zdam. Wtedy wszystko się ułoży. Zamieszkamy w Herefordzie. Kupimy dom i wszystko będzie dobrze”.

Dżungla była cięższą próbą niż ostatni tydzień eliminacji, i to znacznie cięższą. W czasie sprawdzianów wystarczy zacisnąć zęby i przejść przez

góry. Tu poddawani byliśmy nie tylko presji fizycznej, ale i psychicznej. Uczyliśmy się, musieliśmy się wykazać i przyswoić cały ogrom wiadomości.

Sprawdzano nas w krańcowych warunkach. Nie oszczędzano, wystawiano na próbę, dociskano do muru, a potem znowu od początku. A jednak uczyliśmy się. Z każdym dniem byliśmy lepsi, ale ciągle w głębi duszy myślałem o tym, że deesowcy patrzą i obserwują, że oceniają nie tylko moje umiejętności taktyczne i praktyczne, ale także mój charakter i osobowość: czy potrafię funkcjonować w tej zamkniętej społeczności, czy wtopię się w kompanię. Widziałem to w ich oczach. Widziałem, że bez przerwy oceniają. Czy facet dobrze znosi krytykę? Czy jest chętny do nauki, czy zadaje rozsądne pytania, czy pyta tylko po to, żeby się popisać.

„W dżungli – mawiał Peter, nasz główny instruktor – jest pełno jedzenia. Od żuków i pajaków po korę z drzew. Jeśli wpadnie wam coś w rękę, czego nie znacie i chcecie sprawdzić, czy nadaje się do jedzenia, to dobrze jest potrzeć tym skórę i obserwować reakcję. Kolejny krok, ale nie zaraz, tylko po paru godzinach, to potrzeć owym czymś wargi i znów obserwować reakcję. Następnie sprawdzamy końcem języka i wreszcie pocieramy dziąsła. Jeżeli nie wystąpią żadne niepokojące objawy, żujemy kawałek i oczekujemy jakis czas. Jeśli wszystko jest w porządku, ryzykujemy i jemy”.

Siedzieliśmy nad rzeką, niedaleko wioski Ibanów, naprzeciwko lądowiska śmigłowców, na drugim brzegu. Słońce odbijało się w wodzie. „Ryba, takich do dziesięciu centymetrów, w ogóle nie trzeba czyścić, zwyczajnie smaży się je w całości” – pouczał instruktor.

Wspomniał też o roślinie, którą nazywają kapustą z dżungli. Przypomina miniaturowe drzewo, pod korą ma wspaniałą, jadalną miąższ. Smakuje jak miękka kapusta, a z kory można zaparzyć coś w rodzaju herbaty.

„W czasie wykonywania zadania powinno się unikać jedzenia takich stworzeń, jak jaszczurki czy węże, chyba że nie ma innego wyjścia, wtedy mówi się trudno. Ale w ogóle to należy spożywać pokarm o dużej wartości odżywczej, aby mieć siły na wykonanie zadania, a poza wszystkim stosując pełnowartościowe jedzenie, unika się chorób i różnych przypadłości. Bo wyobraźcie sobie, że dostajecie sraczki i co? Jesteście wyłączeni na dwa dni! Przebywacie gdzieś w terenie, zdani wyłącznie na siebie, i zaczynacie żreć jaszczurki. Skutek jest jeden - dostajecie nieżyty i nie jesteście w stanie wykonać zadania, a z pewnością nie na sto procent. I jeszcze jedno, otóż zbieranie pożywienia w dżungli zajmuje cenny czas i wymaga energii, którą trzeba oszczędzać na wykonanie zadania, więc lepiej wziąć ze sobą zapas wody i jedzenia”.

Siedzieliśmy w pełnym oporządzeniu. Ibanowie przyglądali się nam ciekawie. Rozpalili parę ognisk i piekli to i owo. Wcześniej pokazali nam sieci na ryby i przeróżne sidła na zwierzęta. Mieliśmy się nauczyć robić te

rzeczy, ale nie muszę dodawać, że nie bardzo nam się to udawało.

Jeden z Ibanów znalazł gniazdo termitów. Wziął je na patyk i opuścił tuż nad wodę. Owady zaczęły wylazić z gniazda, co znęciło gromadę ryb.

Peter opowiadał nam o jeszcze innych pożytecznych roślinach, co było ciekawe i zajmujące, zwłaszcza że ni stąd, ni zowąd postawił nam parę kartonów piwa. Po raz pierwszy ktoś z kadry instruktorskiej okazał nam trochę życzliwości.

Raz w tygodniu dostawaliśmy „świeże” jedzenie, na przykład jajko i parówki. Pewnego dnia kazano nam najpierw zjeść „świeżyzną” i wrócić na wykład dwie godziny przed zachodem słońca.

Fajnie było gotować przy świetle dziennym. Wszyscy się nazarli jak baki, a potem syści i zadowoleni stawili się o określonej godzinie gdzie trzeba i jak trzeba, to znaczy w pełnym oporządzeniu, z bronią i nieodłącznymi maczetami. Rozsiadłem się, aby wysłuchać wykładu, ale myślami byłem już gdzie indziej. Planowałem, że zaraz po zajęciach zajmę się sobą, a zwłaszcza odparzeniami na ramionach i po wewnętrznej stronie ud. Zamierzałem posypać chore miejsca talkiem, wyciągnąć się na hamaku i przejrzeć notatki.

Tymczasem, gdy tylko deesowiec rozpoczął wykład, ziemia zatrzęsła się od wybuchów. Wszędzie wokół latały odłamki i pociski.

„Atak na obóz! Atak na obóz! Alarm!”

Wypadliśmy z szałasu, jak kto stał. Wokół unosił się dym, w powietrzu fruwały różne gówna.

Zaskoczenie było kompletne. Dobiegał właśnie końca trzeci tydzień kursu i zaczynaliśmy wreszcie oswajać się z warunkami panującymi w dżungli. Właśnie wtedy urządzono nam nocny alarm na dwadzieścia cztery fajerki.

Pognałem na miejsce zbiórki. Mieliśmy oczywiście żelazne porcje, więc z jedzeniem nie było źle. Gorsza sprawa ze spaniem, bo przecież w warunkach bojowych nie ma mowy o hamakach. Trzeba spać na ziemi. Niektórym może się wydawać, że to nic takiego, bo w dżungli tak czy owak oblażą człowieka różne świństwa, ale jak pomyśleć o skorpionach i węzach, to każdemu może odechcieć się spać. Nie ma co udawać twardziela. Ćwiczenia zarządzono między innymi po to, abyśmy „posmakowali” nocy w dżungli. Na dodatek zaczęło padać, tak że tę noc każdy długo popamięta.

Innym razem, w czasie pięciodniowych ćwiczeń, zdążyliśmy właśnie na umówione miejsce, skąd należało nadać meldunek do dowództwa. Szliśmy wolno w szyku bojowym, był wieczór, kończył się długi dzień. Ślaniałem się ze zmęczenia, a na dodatek lało jak z cebra.

Kiedy zasiadłem, aby zaszyfrować meldunek, zaczęła mi drzeć ręka. W chwilę później poczułem drzenie głowy. Nie byłem w stanie skupić wzroku. Z

całej siły chciałem się opanować, ale bez skutku. Z każdą minutą było gorzej. Próbowałem pisać, lecz nie mogłem utrzymać ręki, a wzrok coraz bardziej mi się rozmazywał.

Od razu rozpoznałem przyczynę.

Nasz pobyt w dżungli wiązał się z dużym wysiłkiem fizycznym i psychicznym. Dźwigaliśmy spore ciężary na grzbiecie i znajdowaliśmy się pod ciągłą presją. Organizmy walczyły o zachowanie stosownej temperatury ciała. No i właśnie, aby utrzymać stałą temperaturę, trzeba dbać o równowagę, trzeba odprowadzać tyle ciepła, ile organizm produkuje. Jeśli wytwarza więcej ciepła, niż jest w stanie wydalić, wtedy temperatura ciała rośnie. Organizm reaguje na to w ten sposób, że kieruje więcej, krwi ku tkankom podskórnym, bo tamtędy właśnie wydala się ciepło. Ów mechanizm działa bez zarzutu, jeśli temperatura ciała jest wyższa niż temperatura otaczającego nas powietrza. W dżungli ciało absorbuje ciepło, a jednocześnie pocąc się pozbywa się jego nadmiaru, ale proces ten ma swoje granice. Dorosły człowiek może wypocić około litra płynów w ciągu godziny, co rzeczywiście dość skutecznie ochładza organizm, lecz tylko w suchym środowisku. Jeśli w otaczającym nas powietrzu wilgotność przekracza siedemdziesiąt pięć procent, a tak jest w dżungli, pot nie paruje i ciepło nie jest odprowadzane z organizmu.

Pociliśmy się jak myszy, ale pot nie parował. Temperatura ciała stale rosła, a organizm wydalał coraz więcej potu. Jednocześnie włączał się jeszcze jeden mechanizm obronny organizmu, mianowicie zwiększała się ilość krwi w naczyniach podskórnych. Serce musi podolać wzmożonemu wysiłkowi i zaczyna bić szybciej, a zarazem tłoczy coraz mniej krwi do organów wewnętrznych, także do mózgu. Krew, która tam trafia, ma już podwyższoną temperaturę, czego mózg nie toleruje. Pojawiają się bóle głowy, zawroty, zaburzenia myślenia i niezrównoważenie emocjonalne. Wraz z potem wydalaną jest też mnóstwo soli mineralnych. Następuje odwodnienie organizmu.

Problem polega na tym, że już po paru łykach jakiegoś napoju przestaje się odczuwać pragnienie, gdy tymczasem parę łyków to za mało, aby uzupełnić deficyt płynów w organizmie. Bywa, że mimo odwodnienia organizmu nie odczuwa się pragnienia, bo cała uwaga skupiona jest akurat na czymś innym. I tak właśnie stało się ze mną. Dowodziłem patrolem, żyłem w ciągłym napięciu, chciałem się wykazać i jak idiota nie pamiętałem o konieczności uzupełniania płynów.

„Kiedy się odlewacie – uczył nas deesowiec – obserwujcie szczyny. Żółte, ostro woniące sygnalizują odwodnienie. Jeśli chce wam się łać co kilka minut i mocz ma jasną, przezroczystą barwę, to bardzo dobrze, bo oznacza to, że organizm po prostu wydala nadmiar płynów. Nie ma groźby

przedawkowania, bo nadmiar zawsze jest wydalany. Solidne, jasne szczyny świadczą, że wszystko jest w najlepszym porządku”.

– Kurwa mać – powiedziałem do Raymonda – zacznym się kończyć.

Przerwaliśmy marsz i wszyscy zaczęli doprowadzać mnie do porządku. Raymond dał mi pastylki regulujące poziom płynów i coś słodkiego. Nastawił wodę i wlał we mnie sporo słodkiej herbaty. Na szczęście nikt z instruktorów niczego nie widział. Wina za odwodnienie organizmu spadała na mnie. W pół godziny doszedłem do siebie, ale lekcję zapamiętałem.

Po powrocie do bazy musieliśmy pokazać plecaki. Sprawdzano plastikowe torebki z gównem. Chodzi o to, że w czasie wykonywania zadania nie wolno zostawiać żadnych śladów, także resztek wydalanych przez organizm, więc kupę wali się do torebek, a urynę gromadzi w plastikowych kanistrach.

Właśnie sprawdzano poprzedni oddział.

– Mało gówna – zauważył deesowiec – macie zatwardzenie czy co?

Facet coś tam wyjąkał na usprawiedliwienie. Wyjaśnienie zostało przyjęte do wiadomości.

Czasami myślałem sobie, że lepiej byłoby, gdyby nas zwyczajnie opierdalano, wówczas sprawy stałyby się jasne. Tymczasem działo się inaczej. Instruktorzy zawsze wszystko dokładnie wyjaśniali. Tłumaczyli, dlaczego na przykład nie należy srać w rejonie działania. Oczywiście dlatego, że przeciwnik z miejsca się zorientuje, co jest grane. Pokazali nam nawet, jak walić kupę do torebki. Ale reszta należała do nas. Świadoma dyscyplina!

Chodziliśmy czasem z nimi na przegląd rejonów, w których operowaliśmy w ciągu dnia, aby poznać swoje błędy.

„Widzicie ten ślad na drzewach? Trzeba umieć rozróżniać miękką i twardą korę. Na miękkiej zostają ślady, na twardej nie”.

I po takim wykładzie oczekiwali, że nie powtórzymy już tego samego błędu. Błąd oznaczał, że nie jesteśmy w stanie nauczyć się albo zwyczajnie się nie nadajemy.

Na zakończenie kursu odbyły się tygodniowe ćwiczenia obejmujące absolutnie wszystkie elementy, jakie przerabialiśmy, a więc: patrolowanie, rozpoznanie bezpośrednie, koncentrację oddziału, przygotowania do zasadzki, działania z zasadzki, odskok i odwrót, odnajdywanie ukrytych magazynów sprzętu niezbędnego w czasie odwrotu z rejonu działania. Może się bowiem zdarzyć, że przed właściwą operacją będziemy przenikać na teren przeciwnika, czyli do obcego państwa, i zakładać tajne magazyny żywności, amunicji i materiałów wybuchowych, a to po to, aby do wykonania konkretnego zadania przystąpić bez dodatkowego obciążenia. Uczyliśmy się więc, jak zakładać takie kryjówki i jak je oznaczać, aby w razie potrzeby inne patrole mogły z nich skorzystać.

W tej końcowej fazie szkolenia przedstawialiśmy sobą oplakany stan. Wszyscy byliśmy nieprawdopodobnie brudni. Skórę twarzy mieliśmy zniszczoną od kremu maskującego. Nie ogoleni, z miesięcznym zarostem, w ubraniach nie zmienianych od samego początku wyglądaliśmy naprawdę nędznie.

Jednej sprawy nie opanowałem jak należy, a mianowicie przygotowywania konstrukcji z gałęzi pod hamak, i do jednej rzeczy nie przywykłem – do mokrego ubrania. Pół biedy, gdyby było tylko wilgotne! Ale ono było zabłocone, pełne najprzeróżniejszego śmiecia, a po nocy, zeszywniało, boleśnie ocierało skórę.

Cały czas nosiliśmy na sobie uprząż na niezbędny ekwipunek. To także powodowało bolesne odparzenia. Próbowałem różnych sposobów. Chodziłem bez portek, aby nie odparzać ud, raz po raz poprawiałem ubranie, żeby nie ocierało skóry. Nic nie pomagało. Trzeba było się po prostu pogodzić z faktem, że jest jak jest, gówniano.

Po ostatnich ćwiczeniach zgrupowaliśmy się wszyscy nad rzeką. Rano mieli zjawić się Ibanowie na pirogach z motorkami. Popłyniemy z nimi do wioski w dole rzeki, skąd zabierze nas śmigłowiec. W rejonie ćwiczeń nie było stosownego lądowiska.

Wyglądało to jak na jakimś filmie. Płynęliśmy pośród gęstej dżungli i nagle przed nami rozpostarła się spora polana. Zobaczyliśmy gromadę kur, jakieś świny i kozy. Obok wioskowej szkółki terkotała prądnica. Nad lepiankami Ibanów wznosiły się anteny telewizyjne. Dzieciaki chodziły tylko w majtkach, nauczycielka zaś ubrana była jak wszystkie jej koleżanki na całym świecie.

„Pamiętajcie – uprzedzał nas instruktor – że w wiosce trzeba zaraz zgłosić się do miejscowego kacyka, złożyć mu wyrazy uszanowania i w ogóle. Kto wie, czy jeszcze tu kiedyś nie wrócicie, więc lepiej zaskarbić sobie jego sympatię”.

Po raz pierwszy od wielu dni chłopcy mogli wreszcie zapalić. Rozsiedli się na brzegu i wzajemnie częstowali papierosami. Szef też wyciągnął paczkę. Poczęstował Mała. Ja nie palę i trochę żałowałem, że nie biorę udziału w tej wspólnocie.

Siedziałem i popijałem z manierki. Zdawałem sobie sprawę, że nic więcej nie da się zrobić, że albo zdałem, albo... Szczerze przyznam, cieszyłem się, że dżungla już za mną.

Reszta dnia zesła nam na czyszczeniu broni i sprzętu oraz napychaniu brzechów. Wieczorem było grillowanie. Instruktorzy postawili parę kartonów heinekena, kucharze smażyli steki i kielbaski.

„Kto wie, czy tu jeszcze wrócicie – rzekł instruktor – więc nie żałujcie sobie”.

Tak też było. Wypiłem trzy heinekeny i urznąłem się. O północy zebrało mi się na wymioty. Rzygnąłem i poszedłem spać, mając wrażenie, że cała dżungla wiruje mi nad głową.

W stolicy Brunei dali nam jeden dzień wolny. Ponieważ jest to kraj muzułmański, więc z gorzałą nie było najlepiej. Serwowali ją tylko w jednym barze w hotelu, ale wszyscy byliśmy tak zlachani, że brak gorzały specjalnie nam nie przeszkadzał. Wybrałem się na zakupy z Malem, Tomem i Raymondem. Nakupowaliśmy pirackich kaset, walkmanów, aparatów fotograficznych i zegarków. Sklepikarze wyglądali jak umundurowani, wszyscy w koszulkach z Davidem Cassidy.

Schudłem dobre siedem kilogramów, ale to jeszcze nic, bo taki jeden Kanadyjczyk, który w czasie eliminacji torował nam drogę w śniegu, wyglądał jak zamorzony głodem Biafrańczyk, a to dlatego, że z gorliwości w ogóle sobie nie gotował, bo chciał się zahartować.

Przez miesiąc siedzieliśmy w gąszczu, nie widząc słońca. Byłem więc blady jak wymoczek, podrapany, poodparzany i ciągle brudny. Mogłem się szorować nie wiadomo ile, a i tak miałem czarno za paznokciami i ciemne plamy na ciele, bo jak się drapałem po ukąszeniach, to brud wierał się głęboko w skórę. Krótko mówiąc, wyglądałem jak nieboskie stworzenie.

Ponownie mieliśmy kilka godzin dla siebie w Hongkongu, a dalej, do Londynu, poleciliśmy czarterem British Caledonian. W kabinie, niedaleko nas, rozsiadło się czterech osiłków w kolorowych, hawajskich koszulkach, dżinsach i mokasynach. Miny mieli takie, jakby świat do nich należał. Pomyślałem sobie, że pewnie znacznie przyjemniej spędzali czas na Dalekim Wschodzie. Byli może w Bangkoku na sekswakacjach albo – też niewykluczone – szmuglowali narkotyki.

Zacząłem właśnie przysypiać, gdy ta kolorowa czwórka przypieprzyła się do Dave'a – jednego z naszych instruktorów, który siedział w pierwszym rzędzie w kabinie. Zastanawiałem się, co zrobić, ale Dave był szybszy.

– Panowie – uśmiechnął się – wspaniale macie koszule. A jak poszła robota, w porządku?

– Nie ma sprawy.

Nie byli to przemysłowcy, jak mi się wydawało, ale czwórka naszych.

Faceci wracali po wykonaniu zadania gdzieś na Dalekim Wschodzie. I znów pomyślałem, że muszę się dostać do Pułku.

Tymczasem jeden z nich zapytał Dave'a, czy mogą się z nami zabrać z Londynu.

– Macie swój transport?

– Coś się da zrobić – odparł Dave.



Zaczęliśmy rozmawiać. Po raz pierwszy w życiu gadałem z chłopakami z kompanii.

– Jak ci było?

– Czy ja wiem, dobrze – odpowiedziałem trochę bez sensu.

– Powiedzieli ci już, czy zdałeś? Nie wygłupiaj się, Dave, powiedz mu, nie bądź wał.

Dave jednak nie puścił pary.

Do Herefordu dotarliśmy w piątek rano. Mieliśmy czas wolny do soboty.

„Zbiórka o ósmej w kompanii szkolnej” – zapowiedział szef. Tego wieczoru wszyscy dali sobie w gaz. Kto wie, ilu z nas zostanie, a ilu spędzi ostatnią noc w Herefordzie. Zjawiliśmy się rano, na kacu, cuchnący przeżartym piwem i gorzałą.

„Kurs przetrwania zaczyna się w poniedziałek o wpół do ósmej usłyszeliśmy na powitanie. – Szczegóły na tablicy. Tymczasem następujący kursanci zgłoszą się do dowództwa kompanii szkolnej”.

Zapanowała cisza. Siedzieliśmy w trzech rzędach. Ja w ostatnim. Zaczął czytać. Pierwszego wymienił Mała. Nie wierzyłem własnym uszom. Po mojemu to Mał był dobry, nawet bardzo dobry, starał się. Musiałem wstać, żeby go przepuścić. Spojrzeliśmy po sobie. Nie zdążyłem usiąść, gdy padło nazwisko Raymonda, a zaraz potem Toma. Wszyscy z mojego patrolu. Nie usiadłem, bo i po co. Pewnie zaraz usłyszę także swoje nazwisko.

Nie usłyszałem. Przyszło mi na myśl, że być może szef wywołuje tych, co przeszli, a reszta, czyli tacy jak ja, dostanie „czwarty peron”.

Z dwudziestu czterech ludzi, którzy byli w dżungli, zostało nas ośmiu. Szef spojrzał nam głęboko w oczy.

– W porządku – powiedział – spisaliście się. Kolejny etap za wami. A teraz kurs przetrwania. Poniedziałek, wpół do ósmej rano. Są chorzy? Kontuzjowani? Nie ma. I pamiętajcie, to jeszcze nie koniec.

A więc zdałem! Udało się. A kurs przetrwania to pestka. Nie ma siły, bym coś zawałił.

– No to kończymy – oznajmił instruktor – możecie się rozejść. Zostają McNab i Forbes. Szef chce was widzieć.

O kurczę, o co chodzi?

Wszyscy wyszli, a myśmy zostali. Szef najpierw porozmawiał z Forbesem. Forbes był oficerem. Rozmowa dotyczyła jego nowych obowiązków. Potem zwrócił się do mnie.

– No, McNab, domyślasz się, o co chodzi?

– Nie mam pojęcia.

– Otóż zdałeś, ale musisz się pilnować.

– Dlaczego, nie rozumiem?

– Pyskaty jesteś. Lepiej naucz się słuchać i nie odszczekuj się.

W dalszym ciągu nie rozumiałem. Przecież tak starałem się nie podpaść. W końcu przypomniałem sobie incydent z materiałami wybuchowymi. Trzeba było zacisnąć zęby i nie odpowiadać, ale, jak głupi, chciałem postawić na swoim. No i podpadłem. Na szczęście instruktorzy uznali, że w ogóle mam, co trzeba, a w sprawie pyskowania wystarczy, że zwrócą mi uwagę, bym się pilnował.

Tak też będzie, słowo daję.

## 12

Zaraz zatelefonowałem do Debbie. Też się ucieszyła, że mi się udało. Powiedziałem jej, co mnie jeszcze czeka – trzytygodniowy kurs przetrwania, ale to pestka, bo na pewno zdam.

Podczas pobytu w dżungli bardzo za nią tęskniłem i w ogóle, ale po powrocie do Anglii wszystko znów się odmieniło, jak dawniej zająłem się wyłącznie własnymi sprawami. Debbie nie rezygnowała z posady, bo jeśli miałbym nie zdać, to przecież będę musiał wrócić do Niemiec. Tymczasem nawet nie zapytałem, jak jej się wiedzie. Myślałem tylko o sobie.

Z mojej grupy została ledwie ósemka: ja, George z saperów, taki jeden oficer z pułku Household Cavalry, jeden spadochroniarz, dwóch radiotów, artylerzysta z Royal Artillery i Jake – Amerykanin ze Special Forces, sił specjalnych. Odkomenderowano go do SAS razem z kolegą na trzyletni staż, ale też musieli zaliczyć wszystkie sprawdziany. Jake zdał, a ten jego kumpel odpadł zaraz na początku.

Na kurs przetrwania kierowano ludzi ze wszystkich rodzajów wojsk, facetów, którzy mogą z racji służby dostać się do niewoli. Stosowne przeszkolenie przechodziły załogi samolotów i śmigłowców, zwiadowcy z dywizji spadochronowej, chłopcy z marines i z Royal Artillery, bo – wiadomo – zawsze mogą wpaść w ręce przeciwnika.

W porównaniu z dżunglą były to niemal wakacje, ale lojalnie uprzedzono nas, że ciągle jeszcze możemy być wywaleni i że taką decyzję mogą podjąć faceci z JSIW – *Joint Services Interrogation Wing* specjalnej jednostki śledczej. Szef kompanii szkolnej cały czas powtarzał, że klamka jeszcze nie

zapadła i wszystko może się zdarzyć.

Johnny Dwugrzebieniowiec, który miał już to wszystko za sobą i został wcielony do Pułku, opowiadał mi, jak to było na jego kursie, a przerabiał go zimą.

„Dwóch chłopaków wylądowało w szpitalu. Ja odmroziłem palce u rąk i nóg. Jeśli trafisz na dobrą pogodę, to małe piwo, zdasz jak nic. Pamiętaj tylko, żeby dobrze się kryć”.

Podstawowe szkolenie przerabialiśmy w Pułku. Tak więc uczono nas, jak określać czas według słońca, jak gromadzić wodę i jak zdobywać jedzenie. Wkładano nam do głowy, że zawsze trzeba sobie obliczać, ile energii wydatkuje się na zdobycie jedzenia, i kalkulować, ile uzyska się z tego, co się zdobędzie. To bardzo ważne równanie. Na placu ćwiczeń pokazano, jak budować kryjówki. Była tam stała wystawa tego typu rzeczy, a więc szalasy z liści, z gałęzi, darni, a nawet ze starych worków plastikowych. Mając w pamięci złe doświadczenie z budową konstrukcji na hamak, wiedziałem, że szalasy nie będą moją mocną stroną.

Owszem, wszystko to mogło być ciekawe, ale chyba nie dla mnie. Chciałem tylko zdać i mieć z tym święty spokój.

Słuchaliśmy wykładów byłych jeńców wojennych, począwszy od tych, którzy przeszli przez obóz w Colditz w czasie drugiej wojny światowej i obozy na Dalekim Wschodzie, a także więźniów z Korei i Wietnamu, a skończywszy na ludziach, których komuniści usiłowali przekabacić na swoją stronę. Zwłaszcza opowieści kobiet z SOE – *Special Operations Executive*, oddziałów dywersyjnych z czasów ostatniej wojny – sprawiały ogromne wrażenie. Po minimalnym przeszkoleniu zrzucono je ze spadochronami w Holandii albo we Francji. Dostawały się do niewoli. Przechodziły nieprawdopodobne tortury. Wszystkim szczęki opadały, gdy usłyszeli, na czym to naprawdę polegało, a ja wręcz nie mogłem uwierzyć, że może zdarzyć się coś tak nieludzkiego.

„W niewoli gwałcono mnie, palono ogniem, ciągle bito” – opowiadała jedna z kobiet.

Trzymano ją w izolatce, na mrozie, katowano bez przerwy, ona zaś opowiadała nam o swoich przeżyciach spokojnie, jak o wyprawie po zakupy. Sądzę, że to właśnie świadczy o tym, iż człowiek potrafi znieść znacznie więcej, niż nam się wydaje. Sam jednak zastanawiałem się, jak bym się zachował się w podobnej sytuacji.

Wykładał też pewien amerykański lotnik, którego zestrzelono nad Choisin w Korei. Wyglądał zwyczajnie. Miał zieloną kurtkę załoganta bombowca, z pamiętkową baretką jeniecką. Łatwo można było sobie wyobrazić, jak wyglądał za młodu – piegowaty blondas. Miał szczęście. W niewoli trafił do pokazowego obozu. Trzymano go w celi, ale przynajmniej nie głodzono.

Więzienie odbiło się na jego psychice. Owszem, przetrwał, po zwolnieniu wrócił nawet do służby i dopiero wtedy – jak powiadał – zaczął się problem.

– Miałem – mówił – ogromne poczucie winy. Długo nie mogłem ludziom spojrzeć w oczy, wstydziłem się, że mnie w sumie traktowano nieźle, podczas gdy wielu innych cierpiało w niewoli prawdziwe katusze.

Na to poderwał się emerytowany kapral z naszej piechoty. Na oko miał pięćdziesiąt lat.

– Nie powinien pan mieć poczucia winy – protestował. – Ja na przykład chciałbym być w takim obozie.

Opowiedział nam swoją historię. Głodzono go i próbowano indoktrynować. Dostał czerwonki. Leczył się węglem z ogniska. Potem pędzono go przez całą Koreę Północną zimą, na bosaka. Wielu jeńców padło po drodze. Jemu się udało. Wrócił do domu. Był w okropnym stanie, bez zębów i kompletnie zniszczony psychicznie. Odseparował się od rodziny i został sam jak palec.

– Dziś mam to już za sobą – mówił – ale za skarby nie kupię niczego, co ma coś wspólnego z Koreą.

To przypomniało mi mojego własnego ojca. Otóż jego brat zginął w japońskim obozie jenieckim. Czterdzieści lat po wojnie mój stary nigdy nie kupił niczego, co pochodziło z Japonii.

– A jak właściwie pan przetrwał?

– Nie mam pojęcia – odparł stary kapral – wiedziałem tylko, że nie chcę umierać.

– A podpisałby pan tak zwane przyznanie się do winy i tego typu papiery, gdyby w obozie tego zażądano?

– Bez wahania, jeśli w ten sposób mógłbym zdobyć żarcie i buty na nogi. Przyznałbym się do wszystkiego, czego by chcieli. Słuchaliśmy tych ich idiotycznych wykładów i potakiwaliśmy, że racja i w ogóle. Tak było, bo taka była cena jedzenia.

Jeden z wykładowców opowiadał, że w jego życiu ogromną rolę odegrała religia. W niewoli odnalazł Boga.

Kiedy jednak o te same sprawy zapytaliśmy innego byłego jeńca, który spędził cztery lata w niewoli Vietcongu, odpowiedział nam tak: „Religia? A pewnie, że odegrała wielką rolę. Jak dostałem czerwonki i bez przerwy ze mnie leciało, to podcierałem się kartkami z Biblii”.

Organizowano nam również wycieczki i spotkania z ciekawymi ludźmi. I tak zabrano nas kiedyś na wieś, w pobliżu Ross-on-Wye, gdzie mieszkała pewna staruszka, która знаła się na ziołach. Miała wspaniały ogródek i mnóstwo najprzeróżniejszych suszonych roślin. Śmiesznie to wyglądało, gdy gromada osiłków z napięciem chłonęła to, co mówiła drobna, wielce podeszła w latach kobiecina.

W ramach praktyk odbywaliśmy dwu-, trzydniowe ćwiczenia w terenie. Budowaliśmy szałas, rozpalaliśmy ogień, szukaliśmy jedzenia, zakładaliśmy wnyki i tak dalej. Kursanci ze zwykłych jednostek zachwycali się tym wszystkim. Dla niektórych było to najważniejsze wydarzenie w życiu. Po kursie zostaną instruktorami w swoich macierzystych batalionach i pułkach. Będą uczyć technik przetrwania. Jeśli o mnie idzie, to – jak powiadam – chciałem zwyczajnie mieć to z głowy.

Wśród instruktorów był taki jeden wsiowy drągał, czerwony na pysku, z rękami jak łopaty. Od lat uczył tego samego, a mianowicie, jak rozpalać ogień. Był strasznie dumny ze swoich umiejętności i w ogóle uważał, że to niezwykle ważna sprawa. No i zaczął pocierać dwa kawałki drewna. Bez skutku.

– Chwileczkę, chłopaki, zaraz zobaczycie.

I znów nic.

– Jeszcze trochę.

Tarł i tarł jak wariat i nic z tego nie wychodziło. Tymczasem zaczynały się już kolejne zajęcia. Po jakichś dziesięciu minutach facet przyleciał do nas cały szczęśliwy.

– Zapaliło się! – krzyczał. – Chodźcie zobaczyć!

No i musieliśmy pójść podziwiać ten jego sukces, żeby go nie urazić. Podczas kilkudniowych ćwiczeń w terenie, kiedy sypialiśmy we własnoręcznie zbudowanych szałasach, zaczęliśmy wyrabiać takie różne rzeczy, które będą potrzebne w czasie końcowego, tygodniowego sprawdzianu: odzież ze skór, narzędzia i broń z patyków i kamieni. Godzinami szyliśmy kurtki z worków plastikowych i czapki z króliczej sierści. Ja sam raczej się do tego nie przykładałem, robiłem tylko tyle, ile trzeba, żeby zdać.

Pewnego razu przywieziono na poligon sporą skrzynkę.

„No, chłopaki – oznajmił sierżant sztabowy – czas na pieczone. W tej skrzyni są kurczaki. Jeden na sześciu. Jeśli któryś nie złapie, będzie musiał zebrać”.

Kazano nam zejść ze wzgórza w dół i dopiero wtedy wypuszczono ptaki ze skrzyni. Na rozkaz rozpoczęliśmy polowanie, każdy na własną rękę. Co za widok. Ściągnąłem panterkę i przykryłem nią pierwszego kurczaka, na którego się natknąłem. Wieczorem upiekłem go na ognisku i podzieliłem się z trzema kumplami.

Rybacy-klusownicy uczyli nas łapać łososie. Na te same zajęcia przyszedł taki stary dziwak, strażnik wodny na całe hrabstwo Hereford. Twarz miał pomarszczoną jak wyschnięte jabłko, wyświechtaną kurtkę puchową i kraciastą czapkę, która na oko miała jeszcze więcej lat niż jej właściciel. Jego słowa świadczyły o tym, że dawno stracił poczucie rzeczywistości.

„Możecie zarzucać sieci, gdzie tylko chcecie” – mrugał porozumiewawczo i śmiał się do siebie. Przypominał sobie pewnie jakieś śmieszne wydarzenia z dawnych lat, bo raptem, całkiem poważnie, ostrzegł nas: „W pubie, wicie, trzeba zawsze siadać plecami do ściany”.

Boki można było zrywać.

„On rzeczywiście jest trochę dziwny – przyznał później instruktor – ale na rybach się zna”.

Po dwóch tygodniach teorii i niezbędnej praktyki nadszedł czas na prawdziwy egzamin.

W czteroosobowych grupach mieliśmy ukrywać się w terenie przez siedem dni, posuwając się wedle wyznaczonych punktów, na wzór i podobieństwo zbiegłych jeńców, którzy też się przemieszczają z meliny na melinę w okupowanym kraju. Jedyłą pomocą był zwykły kompas. Prócz tego mogliśmy mieć mapę, ale sporządzoną własnoręcznie: cała Walia na kawałku jedwabiu spadochronowego wielkości chusteczki do nosa. Powiedziano nam, że w czasie wykonywania prawdziwych zadań będziemy czasami korzystać z podobnych, drukowanych map, częściej jednak trzeba będzie polegać na tym, co samemu uda się sporządzić.

Uprzedzono nas, że w terenie, przez który będziemy się przedzierać, wszyscy mieszkańcy wiedzą, o co chodzi. Zaproszono ich bowiem tradycyjnie na przyjęcie w Pułku, poinformowano, że będą odbywać się ćwiczenia, i zaapelowano o składanie meldunków, jeśli zobaczą kogoś podejrzanego. Pouczono ich jednocześnie, że powinni obchodzić się z nami brutalnie, bo tylko w ten sposób czegoś się nauczymy.

Do ścigania „zbiegów” wyznaczono całą kompanię gwardzistów ze śmigłowcami, samochodami i psami. Żeby chłopcy się nie lenili, to każdemu obiecano dwa tygodnie urlopu za schwytanie „zbiegłego jeńca”.

W oznaczonym dniu stawiliśmy się w kompanii szkolnej na przegląd sprzętu. Wolno zaś było mieć tylko to, co się samemu zrobiło w czasie ćwiczeń oraz niewielkie, blaszane pudełko po tytoniu, a w nim: kawałek żyłki, zapasowy kompas, tabletki do uzdatniania wody, trochę magnezji do rozpalania ognia, szkło powiększające, heliograf i... kondom. To ostatnie wcale nie „na wszelki wypadek”. Z gumki można zrobić procę, można ją wykorzystać do zbierania wody albo nadmuchać i wtedy przydaje się do pływania.

Sprzęt sprawdzono i umieszczono w ubikacjach, które miały być naszymi przebieralniami, nas zaś wysłano na badanie lekarskie.

– Rozbieraj się – powiedział lekarz – ciuchy wrzuc do kosza. Kazał mi jeszcze podpisać, że zgadzam się na badanie. Włożył gumową rękawiczkę, zanurzył palec w wazelinie.

– Pochylić się, palce do podłogi.

Wprawnym ruchem wsadził mi palec do dupy sprawdzając, czy nie ukryłem tam czegoś do żarcia.

Sprawa w ogóle była poważna. Żandarmi z psami kontrolowali, czy ktoś czegoś gdzieś nie schował, i pilnowali, żebyśmy nie opuszczali terenu. Ja zaś wiedziałem, jak to wszystko będzie wyglądać i poczyniłem odpowiednie przygotowania. W spluczce w sraczu schowałem tabliczkę czekolady, orzechy i rodzynki – oczywiście w szczelnej, plastikowej torebce.

– Muszę się odpryskać – poprosiłem żandarma o pozwolenie wejścia do toalety.

Zajrzałem do spluczki. Pusto.

Tydzień wcześniej przygotowaliśmy też z George'em schowki z żarciem w terenie. Nie wiedzieliśmy oczywiście, gdzie dokładnie zostanie wyznaczony rejon ćwiczeń, ale próbowaliśmy odgadnąć. Nakupiliśmy puszek i innych rzeczy i poutykaliśmy to w różnych dziurach. Miejscowy supermarket zarobił na nas krocie.

Tymczasem wydano nam stare sorty mundurowe z czasów drugiej wojny światowej – battledressy, płaszcze i buty – załadowano na samochody i ciemną nocą wyruszyliśmy na punkt. Dopiero tam powiedziano, gdzie jest „melina”, w której mamy się zameldować następnej nocy. A w ogóle to powinniśmy poruszać się wyłącznie pod osłoną ciemności. Szliśmy – przypomnę – w grupach czteroosobowych.

W mojej byli: facet z korpusu instruktorów wychowania fizycznego i dwóch lotników z marynarki wojennej – jeden strasznie napuszony. Wszystkich kandydatów do SAS rozdzielono. Spojrzałem na moich partnerów i od razu postanowiłem, że zmyję się z tego towarzystwa przy pierwszej okazji. Osobiście nic przeciwko nim nie miałem, ale uważałem, że w pojedynkę dam sobie lepiej radę. Gdy tylko zjawią się gwardziści, daję nogę.

Maszerowaliśmy całą noc z zachowaniem wszelkich środków ostrożności. Z nastaniem świtu staraliśmy się znaleźć najlepszą możliwie kryjówkę – gęste krzaki, zarośla, czy coś podobnego. O zmierzchu ruszyliśmy dalej, do „meliny”, gdzie czekał „agent”, aby podać namiar na następny punkt. W prawdziwych warunkach bojowych taki „agent” chciałby się nas pozbyć jak najszybciej, w obawie o własne bezpieczeństwo, więc, aby uprawdopodobnić sytuację, naszych „agentów” ściągali chłopcy z ARF – *Airborne Reaction Force* – jednostki szybkiego reagowania.

Zbliżając się do umówionego punktu, zatrzymywaliśmy się. Jeden szedł na zwiady, reszta czekała w ukryciu. Staralem się być wśród tych, którzy czekali w kryjówce. Zwiadowca ponosi większe ryzyko. Mogą go złapać. Po uzyskaniu informacji od „agenta” zwiadowca przekazywał je reszcie i ruszaliśmy dalej.



O sprzeczcie już wspominałem. Powinniśmy po drodze zakładać wnyki na zające i tym się żywić, ale jako że mieliśmy spory szmat drogi do przebycia, to machnęliśmy na to ręką. Dla większego bezpieczeństwa nie rozpalaliśmy ognia. Byliśmy więc coraz bardziej głodni. Tymczasem z jednego z punktów kontrolnych nasz zwiadowca – był nim wtedy facet od wychowania fizycznego – przyniósł plastikową torbę z żarciem. Był dumny jak paw.

– O kurwa, co to jest? – jęknął, gdy zajął do środka. Zerknąłem mu przez ramię.

– Flaki. Mój dziadek coś takiego jadał. Bardzo pożywne.

Wpieprzyliśmy na surowo i nie minęła godzina, gdy jeden z lotników z marwoja zaczął się łamać.

Od początku czułem, że w tym towarzystwie daleko nie ujdę. Ten od wufu przełaził przez ogrodzenia na polach w taki sposób, że ślepy zauważyłby ślady i w ogóle poruszał się jak czołg. Nikt mu nigdy nie powiedział, że nawet śpiesząc się, trzeba zachować ostrożność, nie zostawiać śladów. On zaś kroczył tak, że ziemia się trzęsła. W każdej więc chwili ścigający mogli nas namierzyć. Im nic nie zrobiją, ale dla mnie może to oznaczać koniec marzeń o Pułku.

Faceci z marwoja w ogóle nie mieli pojęcia, jak poruszać się w terenie, czemu trudno się dziwić, nie ich broszka, a w ogóle nie zależało im na tym, czy zaliczą kurs, czy nie. W każdym bowiem wypadku wracali do siebie, do jednostki, do ukochanego kasyna. Więc też szli, nie zachowując żadnych środków ostrożności. Poza tym cała trójka, nie wyłączając osiłka od wufu, szła na ostatnich nogach.

„W razie czego – przypomniałem im rozkazy – rozdzielamy się i spotykamy w punkcie alarmowym”.

Czekaliśmy właśnie na stanowisku kontrolnym, które wyznaczono na niewielkim wzniesieniu z widokiem na mostek nad strumieniem, na absolutnym zadupiu. W cieniu było przeraźliwie zimno. Rozłożyliśmy się w niewielkim zagłębieniu i umówiliśmy się, że będziemy czuwać po dwóch na zmianę, żeby złapać trochę snu. Otuliłem się płaszczem, gdy nagle usłyszałem warkot śmigłowca. Nie przejąłem się, bo wiedziałem, że z góry i tak nie można nas zobaczyć. Zacząłem drzemać, gdy nagle... „Stać! Nie ruszać się!”

Dwójka, co miała trzymać wartę, też przysnęła. Niech ich diabli. Kątem oka zobaczyłem, że otaczają nas gwardziści uzbrojeni w styliska od łopat. O kurwa – zmartwiałem. Podniosłem ręce do góry, ziewnąłem – że niby jestem zaspany – wstałem wolno na nogi i... rzuciłem się do ucieczki.

Gnałem co sił, ale zaraz dopadło mnie czterech chłopa, ubezpieczających tych, co nas wytropili. Zwalili mnie na ziemię, jak w rugby. Starąłem się wyrwać, ale jeden z nich przycisnął mi kark styliskiem. – Nie ruszać się.

Trzymał mocno, zaciskając kajdanki. Potem postawili mnie na nogi.

– Nazwisko?

Podąłem nazwisko i numer.

– Stopień?

Też podałem, jak również datę urodzenia. Zaciągnęli mnie do śmigłowca.

– Dobra nasza – cieszyli się – mamy urlop.

Helikopter ledwie się wznosił i zaraz zaczął lądować w – jak się domyślałem – punkcie zbornym, gdzie ściągano wszystkich „jeńców”. Zdarli ze mnie ciuchy, zawiązali oczy. Stałem pod ścianą, w samych tylko spodenkach. Ścisłej rzecz biorąc, kazano mi stanąć jakieś dwa kroki od ściany, wyciągnąć ręce i oprzeć się o mur, tak że w istocie stałem pochylony pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Nie było to specjalnie trudne, ale rychło ręce i ramiona zaczęły boleć.

Później kazano mi klęknąć na ziemi, z rękami nad głową. Z tym już było gorzej, ale najgorzej się czułem, gdy polecili usiąść po turecku, z rękami złożonymi na karku i prosto jak struna.

W pewnej chwili, gdy znów kazali klęczeć, odwiązali mi oczy. Zobaczyłem przed sobą sierżanta, szefa naszej kompanii szkolnej.

– Koniec ze mną? – spytałem żałośnie, pamiętając, że właśnie jemu stawiałem się w dżungli.

– Nie, kutasie. Wsiadaj do śmigłowca i uważaj.

Był akurat w dobrym nastroju. Należał kiedyś do gwardzistów i cieszył się, że jego koledzy nieźle sobie poczynają.

Dołączyli mnie do trójki lotników z marwoja. Nie było wśród nich facetów, których znałem, ale wyglądali na równie fajtapowatych. Byłem zrozpaczony. Nie mogłem sobie pozwolić na jeszcze jedną wpadkę.

Nocą zśliśmy właśnie wzdłuż ściany lasu, gdy z przodu i z lewa dobiegły nas jakieś wrzaski. Rzuciliśmy się do ucieczki. Wedle regulaminu powinniśmy zaraz spotkać się na umówionym, alarmowym punkcie kontaktowym, ja jednak postanowiłem olać regulamin i dalej ruszyłem w pojedynkę.

W ciągu dnia wszystko było w porządku. Ukryłem się i tyle. Od czasu do czasu rozlegał się warkot śmigłowców, co mnie specjalnie nie martwiło. Poczulem się gorzej, gdy usłyszałem szczekanie psów. Pościg był blisko, ale wierzyłem, że mi się uda. Dziś wiem coś, czego nie wiedziałem wtedy, a mianowicie, że gdyby mnie schwytano, to dano by mi popalić. Dostałbym w łeb, spętano by mnie i miałbym za swoje.

Chwilami wychodziło słońce, ale w ogóle to było zimno. Nie pomagało otulanie się płaszczem. Po kilku dniach w terenie byłem przemoczony i przemarznięty.

Próbowałem się zdrzemnąć, ale budziłem się co chwila i cały czas

nadsłuchiwałem, co się dzieje.

Nadeszła wreszcie ostatnia noc. Zdawałem sobie sprawę, że lada chwila instruktorzy zdradzą moją pozycję. Kłopot bowiem z tym, że na koniec trzeba jeszcze przejść przez próbę przesłuchania. Wiedziałem, że nie będzie to łatwe. Po pierwsze potrwa jakiś czas, a po wtóre trzeba się obejść bez jedzenia. Postanowiłem więc odpowiednio się przygotować.

Namierzyłem w pobliżu stary budynek. Upewniłem się, że mieszka w niej para starszków z dwudziestoletnią – mniej więcej – córką. Wyglądało na to, że nic mi tam nie będzie grozić. Zapukałem do drzwi.

– Dzień dobry, czy mógłbym dostać trochę chleba?

Z miejsca zorientowali się, z kim mają do czynienia. Upredzano przecież mieszkańców w całej okolicy.

– Chciałbyś coś zjeść? No to wchodź.

Co zrobić? Wejść, czy nie. A jeśli mają telefon?

Wszedłem. Był to przepiękny stary, dębowy dworek, z kominkiem, wypełniony smakowitymi zapachami rozchodzącymi się z garnka na piecu. Usiadłem za stołem. Gospodyni podała miskę gulaszu z miętą. Patrzyła przyjaźnie, jak pałaszowałem chyba ze trzy miski i splukiwałem gardło przepyszną gorącą herbatą z cukrem. Na deser dano mi talerz świątecznego ciasta z marcepanem. Zeżarłem do ostatniej kruszynki i jeszcze parę kawałków wpakowałem do kieszeni. Marzyło mi się, żeby posiedzieć przy ogniu albo wręcz wziąć gorącą kąpiel, ale trzeba było iść dalej. I tak już wiele zaryzykowałem. Podziękowałem moim gospodarzom z całego serca, zapewniając, że kiedyś, gdy będzie okazja, odwdzięczę się z nawiązką, i ruszyłem w drogę.

Kilka godzin później, w pobliżu punktu kontrolnego, chciałem dojeść ciasto, lecz byłem przeżarty i zemdlilo mnie. Niechętnie, ale musiałem wyrzucić cały zapas, bo nie powinni mnie z tym złapać.

Natrafiałem na instruktora, który kazał mi czekać.

– Za chwilę będzie ciężarówka. Zawiezie cię do następnego punktu kontrolnego.

Gadaj zdrów – pomyślałem – wiem, co jest grane. W ciężarówce było już kilku chłopaków. Nikt nic nie mówił, wszyscy doskonale wiedzieli, co ich czeka. Jeśli o mnie chodzi, to byłem zadowolony, że pierwszy etap mam za sobą, i spokojnie czekałem na drugiego.

Parę godzin później wylądowaliśmy w jednostce w Herefordzie, ale w tej jej części, której do tej pory nie znałem. No i zaczęło się.

Kłapa ciężarówki otworzyła się z hukiem i od razu zaczęto nas poganiać.

„Wychodźcie! Obrócić się! Na ziemię! Ręce na kark!” – rozległy się ostre krzyki.

Niewiele widziałem. Słyszałem tylko, że zabierają ludzi i gdzieś tam

ciągną. W pewnym momencie spętano mi ręce z tyłu i zawiązano oczy. Po chwili złapano mnie z dwóch stron pod ramiona i zaczęto wlec, brutalnie, bez słowa. Poczulem, że schodzimy gdzieś w dół, idziemy po betonie i wchodzimy do jakiegoś wnętrza.

Tam rozkuto mi ręce, zdarto ubranie i usadzono na gołej ziemi. Usłyszałem szum. Zorientowałem się, że to nadmuch powietrza z wentylatora, a więc zamknięto mnie w pomieszczeniu bez okien.

Zacząłem dygotać z zimna. Dwóch facetów przyniosło jakieś dresy. Pomogli mi włożyć to na siebie i znów usadzili na ziemi. Kazali siedzieć po turecku, ale sztywno i równo, z rękami na karku. Całą uwagę skupiłem na tym, aby zachować siły.

A wokół siebie słyszałem jęki, postękiwania i jakieś szmery. Nikt nic nie mówił. Od czasu do czasu wywlekano kogoś na przesłuchanie.

Po jakiejś półgodzinie przyszła moja kolej. Dwóch osiłków złapało mnie pod ramiona i powlekło, ale nie na przesłuchanie, jak myślałem. Zaciągnęli mnie do innego pomieszczenia, kazali oprzeć ręce o ścianę i zaczęli kopać w kostki, tak że po chwili wspierałem się o ścianę pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Nie było to łatwe. Ręce zaczęły mi drętwieć, starałem się temu zaradzić, nieznacznie ruszając palcami i próbując się przysunąć do muru, ale zaraz zjawił się strażnik, dał mi kopa w kostki, a dłonie przycisnął płasko do ściany.

Ręce bolały jak cholera, a jednocześnie trzeba było naprężyć mięśnie, żeby nie upaść. Kłąłem w duchu na ból, na zimno i na głód, który lada moment da o sobie znać. Jedyną pociechą była myśl o tym, że to już naprawdę ostatni etap. Jeśli przejdę, dostanę się do Pułku, jeśli nie, to do nikogo nie będę mógł mieć pretensji, tylko do siebie. A więc trzeba to jakoś wytrzymać. Nie ukatrupią mnie, to przecież tylko ćwiczenia.

I znów mnie gdzieś powlekli. Tym razem kazali siedzieć po turecku, prosto jak struna, z rękami na plecach. Gdy tylko próbowałem nieco się pochylić lub zgarbić, żeby ulżyć obolałym mięśniom, podnosili mnie brutalnie, gdzieś wlekli i znów sadzali na ziemi.

Wszystko to bez jednego słowa, w absolutnym milczeniu. Słyszałem tylko kroki, gdy podchodzili do mnie, aby chwycić pod ramiona. Czasami stawiali mnie pod ścianą, jak na początku, ale w innej pozycji, równie zresztą męczącej. Po kilku godzinach takiego traktowania musiałem wkładać sporo wysiłku, aby zachować przytomność umysłu i powtarzać sobie, że wszystko będzie w porządku, że cała ta zabawa ma nam dać pewne doświadczenie, nie tylko zresztą nam, także przesłuchującym, bo chyba nie chodzi tylko o to, aby nam dać w kość. Oficerom śledczym też przyda się praktyka, analiza własnych reakcji na widok ludzi, których od tygodnia poddawano ogromnej presji.

W miarę upływu czasu niektórzy chyba zaczęli wierzyć, że to nie zabawa, a rzeczywistość. Tak przynajmniej mogłem wnosić z odgłosów, jakie do mnie dochodziły. Ze dwie, może trzy osoby zaczęły raptem jęczeć i skamleć, że nie dadzą rady ani minuty dłużej.

„Mam dość!” – rozległ się wrzask, a echo poniosło się po całym pomieszczeniu. Wydawało mi się, że rozpoznaję głos czterdziestoletniego kapitana łączności, który na początku stale się wymądrzał. Nie rozstawał się ze szczoteczka do zębów.

„Nie potrzeba pasty – mawiał – popatrzcie tylko na mnie, jakie mam białe zęby, a to dlatego, że bez przerwy je szczotkuję. Dwadzieścia cztery lata w wojsku, cały czas w linii i co... zdrowe zęby. Dlatego, że zawsze mam przy sobie szczoteczka do zębów” – pouczał.

„Mam dość, nie wytrzymam dłużej!” – wrzeszczał teraz i cholerował. Usłyszałem pośpieszne kroki i faceta zabrano, ku mojemu zresztą zadowoleniu, bo po pierwsze, gadał bez przerwy i wiecznie się wymądrzał, a po wtóre, zawsze to dobrze, że ktoś odpada. Moje szanse rosną.

Niewykluczone, że facet nie miał takiej motywacji jak my, ubiegający się o przyjęcie do Pułku. Mówiono mi jednak, że zdarza się, iż nawet na tym ostatnim etapie można dostać „czwarty peron”.

W rzeczy samej egzamin był szalenie wyczerpujący fizycznie, a nade wszystko psychicznie. Tak zresztą powinno być. Więcej potu na ćwiczeniach, mniej ofiar w polu. Cała ta zabawa polegała przecież na przygotowaniu nas na najgorsze. Oczywiście nie było mowy o biciu, łamaniu rąk, rażeniu prądem, ale, niezależnie od tego, ćwiczenia zorganizowano tak, że sami zaczęliśmy wątpić, czy rzeczywiście uda nam się to wytrzymać.

Znów postawiono mnie pod ścianą, w taki sposób, że ledwo trzymałem się na nogach. Ale starałem się. Wiedziałem, że jeśli upadnę, to wszystko zacznie się od nowa.

Raz po raz słyhać było kroki, zabierano i przyprowadzano ludzi. Wreszcie przyszła kolej na mnie. Chłopcy, którzy wzięli mnie pod ręce, wonieli kawą. Sądziłem, że znów zawloką mnie gdzieś i każą siedzieć na gołej ziemi lub stać pod ścianą, ale tym razem było inaczej. Starałem się stąpać ostrożnie gołymi stopami, lecz i tak wyróżnałem się o jakiś próg czy coś takiego. Wprowadzili mnie do jakiegoś wnętrza, szliśmy długim korytarzem, potem wkroczyliśmy do pokoju, gdzie usadzili mnie na krześle.

– Zamknij oczy. – Zdjęli mi przepaskę. Siedziałem z głową opuszczoną do ziemi. Usłyszałem, że dwójka strażników wychodzi.

– Otwórz oczy.

Podniosłem głowę. Za biurkiem siedziało dwóch facetów. Pomieszczenie było niewielkie, ściany białe, biurko puste. Żadnych szczegółów, niczego, na czym można by oprzeć wzrok.

Moi „prześladowcy” mieli na oko po czterdzieści lat. Jeden z nich, siwowłoso, ubrany w czarną koszulkę polo, wyglądał nader poważnie. Obaj zresztą patrzyli na mnie z wyraźną pogardą.

– Nazwisko?

– McNab.

– A dalej?

– Andrew McNab.

– Numer?

– Dwadzieścia cztery-czterdzieści-osiemdziesiąt osiem-osiemdziesiąt osiem.

– Stopień?

– Plutonowy.

– Jednostka?

– Na to pytanie nie mogę odpowiedzieć.

– Jednostka?!

– Nie mogę odpowiedzieć.

– Co, do kurwy nędzy, nie możesz? Mamy cię w rękach i chcemy wiedzieć, z jakiego pieprzonego pułku jesteś. Nie chcesz nam pomóc, co? Numer?

Powtórzyłem.

– Stopień?

– Plutonowy.

– Co robiłeś w chwili zatrzymania?

– Nie mogę powiedzieć.

– Odpowiadaj, bo będziesz miał kłopoty, rozumiesz?

– Nie mogę powiedzieć.

– A więc, co robiłeś w tej okolicy?

– Nie mogę powiedzieć. – Jesteś z sił lądowych?

– Nie mogę powiedzieć.

– Numer wskazuje, że jesteś z sił lądowych. Powtórz numer.

– Dwadzieścia cztery-czterdzieści-osiemdziesiąt osiem-osiemdziesiąt osiem.

– A widzisz, numer sił lądowych.

– Nie mogę odpowiedzieć.

– Posłuchaj synu, jeśli nie odpowiesz, narobisz sobie kłopotów.

Rozumiesz?

– Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

– Niech ci będzie. Tymczasem podpiszesz się na zawiadomieniu dla Czerwonego Krzyża, że jesteś zdrow i cały. Bez podpisu nie ma jedzenia, rozumiesz?

– Nie mogę tego zrobić.

Skoczyli na równe nogi i zaczęli razem wykrzykiwać:

– Wstać! Baczość! Co ty sobie, kurwa, myślisz?

Obeszli mnie dookoła i zaczęli wydziwiać.

– Głupi jakiś. Głupi jak chuj. Nie rozumiesz pytań czy co?

– Na to pytanie nie mogę odpowiedzieć. – Wiedziałem, że wolno mi podać tylko cztery kardynalne informacje: nazwisko, numer, datę urodzenia i stopień. Nic więcej. Jeśli mi się uda wytrwać, to sprawę mam z głowy.

Głównie mówił ten w czarnej koszulce polo. Teraz zwrócił się do swego kolegi.

– On chyba naprawdę jest głupi, spójrz tylko na niego, kretyn. Masz matkę? – to ostatnie zdanie skierowane było do mnie.

– Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

– Nie możesz? Założę się, że nawet nie wiesz, kim była twoja matka.

– Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

– Bo była zwyczajną kurwą i dlatego nie wiesz.

– Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

Szczerze powiem, że przesłuchanie nie robiło na mnie większego wrażenia. Gorzej było, gdy kazali stać pod ścianą albo siedzieć w kucki, z rękami nad głową. Tu zaś było ciepło, mogłem sobie siedzieć w miarę wygodnie, odwiązali mi oczy. Cały czas powtarzałem sobie w myślach: nazwisko, numer, data urodzenia i stopień. Nic więcej, a będzie OK.

Oni tymczasem zaczęli odgrywać znany numer: jeden jest niby zły, a drugi dobry i życzliwy. Podsunęli mi pod nos jakiś papier, żeby podpisać.

– Przykro mi, nie mogę.

– Numer?

– Dwadzieścia cztery-czterdzieści-osiemdziesiąt osiem-osiemdziesiąt osiem.

Przesłuchanie trwało około godziny.

– W porządku. Siadać, zamknąć oczy – powiedzieli wreszcie. Zawiązano mi oczy, ale nie ruszano z miejsca. Domyślałem się, że coś piszą, ale nikt nie mówił ani słowa. Usłyszałem szcęk otwieranych drzwi i wywleczono mnie na korytarz. Zza sąsiednich drzwi dobiegały odgłosy innego przesłuchania.

Co to, kurwa, ma znaczyć?

Po chwili poczułem pod stopami goły beton, znak, że ponownie znalazłem się w „poczekalni”. Znów ustawiono mnie pod ścianą, kopnięto parę razy w kostki, każąc oprzeć się na rękach.

W „poczekalni” był spory ruch. Raz po raz ktoś padał na ziemię ze zmęczenia. Strażnicy reagowali natychmiast. Cała faza przesłuchań i wyczekiwań trwała ponad dobę. Przesłuchujący byli naprawdę dobrymi aktorami. Zaczynali łagodnie, niemal przyjaźnie, by po chwili zmienić front i ton. Wtedy wymyślali i wyzywali.

Siedziałem na ziemi z rękami na karku, wyprostowany, i tylko ukradkiem pozwalałem sobie na nieznaczny zmianę pozycji, by ulżyć obolałym mięśniom. Czułem, jak wszystko we mnie drętwieje, nie wyłączając mózgu. Gdy tylko próbowałem opuścić nieco ręce, zaraz zjawiał się ktoś, kto przywoływał mnie do porządku.

Po jakimś czasie znów zostałem zawleczony na przesłuchanie. Podciągnąłem nogi, żeby nie stąpać po żwirze, tak że chłopcy musieli mnie wręcz nieść.

Doszliśmy na miejsce. Złapano mnie za włosy, ściągnięto przepaskę. Zamknąłem oczy.

– Patrz na mnie, przyjacielu – usłyszałem. Głos był młody, z wyraźnym londyńskim akcentem. Jego właściciel okazał się rudy, piegowaty i młodszy od wszystkich, którzy się mną zajmowali do tej pory.

– Przepraszam, przyjacielu, ale coś tu się popieprzyło i musimy sprawdzić co i jak. Numer?

Podąłem.

– Nazwisko? Też podałem.

– No właśnie, a piszesz się Mc czy Mac?

Zbił mnie z pantaląku. Nie miałem pojęcia, czy takie pytanie mieści się w kanonie, czy nie.

– Nie mogę odpowiedzieć.

– Nie wygłupiaj się. Muszę zrobić porządek w papierach. A więc „N” duże, czy małe?

– Nie mogę odpowiedzieć.

– Trudno. Data urodzenia.

Podąłem.

– W porządku, pisownię nazwiska ustalimy później, a tymczasem, coś ty właściwie robił? Tu w tych papierach wszystko popieprzyli, a więc?

Nie dałem się nabrać. Stary numer z pozornie życzliwym przesłuchującym, w dodatku rówieśnikiem. Nie mogłem natomiast oderwać oczu od kanapki z serem i kubka kawy na biurku.

– Trzeba to jakoś wyprostować – rzekł przesłuchujący. – A więc zacznijmy od początku. Numer?

Pamiętałem z macierzystej jednostki Green Jackets dowódcę Kompanii A. Wcześniej był oficerem operacyjnym w Pułku. Otóż prowadził on z nami podobne ćwiczenia i dał nam jedną radę, że „zawsze trzeba korzystać z każdej okazji, żeby zdobyć coś do jedzenia. Co połkniecie, to wasze”.

Spojrzałem łakomie na kanapkę. Cóż więcej mogą mi zrobić? Znów ustawić pod ścianą, scholerować? A niech tam, a przynajmniej żołądek będę miał pełny.

Nad kubkiem unosił się obłoczek pary, to znaczy, że plyn był jeszcze



ciepły. Niech się dzieje, co chce – pomyślałem i sięgnąłem po zarcie i kawę.

Chłopak był kompletnie zaskoczony. Dał znak, do pokoju wpadła straż, ale było już za późno. Połknąłem.

– Smakowało? – młody wciąż grał rolę życzliwego wujka.

– Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

Później wzięli mnie w obroty ci sami dwaj faceci, co na początku. Między przesłuchaniami kazali stać pod ścianą albo siedzieć na ziemi, w niewygodnej, męczącej pozycji, więc przesłuchania były prawdziwą ulgą.

– Jesteś głupi – usłyszałem, gdy zawleczono mnie przed oblicze owej dwójki – dawaliśmy ci szansę, nie skorzystałeś, teraz za to zapłacisz. Ściągaj portki.

Rozebrałem się.

– Numer?

– Dwadzieścia cztery-czterdzieści-osiemdziesiąt osiem-osiemdziesiąt osiem.

– Jeszcze raz, wolno.

Wykonałem polecenie. Kazali jeszcze raz powtórzyć. W czasie wykładów powiadano nam, że zawsze należy stwarzać pozory, że jest się wykończonym, że goni się ostatkiem sił. Jeśli jest się rannym, to też trzeba to wygrywać. Powtarzając numer, cedziłem słowa tak wolno, jak tylko się dało. W pokoju przesłuchań było niemal ulgowo w porównaniu z „poczekalnią”. Nie musiałem stać, nikt mnie nie popychał.

Kazano mi skakać, to znaczy podskakiwać na palcach. Rozgrzałem się. Wtedy moi „prześladowcy” wyszli z pokoju, rzucając na odchodnym, że mają absolutnie dość mojej głupoty.

W drzwiach minęli się z dwiema kobietami. Jedna raczej przed trzydziestką, przystojna, w okularach, druga chyba po czterdziestce. Obie ubrane w dżinsy.

– Zdejmij gacie – usłyszałem rozkaz. Zdjąłem.

– Popatrz, jakiego ma małego – zaśmiała się starsza w głos. – Co ty z tym robisz? A może udajesz takiego twardziela, żeby zwyczajnie ukryć, że masz taką... miniaturkę. Mój mały palec jest większy. Żadna nie byłaby zachwycona. Jak ci się to podoba? – To ostatnie pytanie skierowała do swojej partnerki.

– Co? Nic nie widzę!

Chciały znaleźć słaby punkt, ale ja nie zamierzałem się przejmować. Poza tym w pokoju panował chłód i w tej temperaturze nawet Rambo nie miałby co pokazać.

Myszę, że dla wszystkich była to okazja, aby poznać siebie lepiej, swoje słabości i swoje mocne punkty. Ja przynajmniej tak to widziałem. Wymysły i przekleństwa nie robiły na mnie specjalnego wrażenia. Kiedy stałem w

„poczekalni”, słyszałem, jak inni zaczynają się łamać. „Pierdołę – krzyczał ten i ów – mam dość tego gówna”. W porównaniu z tym, co może nas spotkać w rzeczywistości, nasza „niewola” nie była wcale złą, niemniej jednak wymagało to sporo wysiłku fizycznego. Powtarzałem sobie w myślach, że to tylko ćwiczenie i że wcześniej czy później musi się skończyć.

Tymczasem zaciągnięto mnie na kolejne przesłuchanie. Usadzono na krześle, zdjęto przepaskę z oczu. Zobaczyłem przed sobą filiżankę dymiącej zupy i szefa kompanii szkolnej.

– Poznajesz mnie?

Na wszelki wypadek zmilczałem. Cholera wie, czy to nie trik.

– W porządku. To już koniec ćwiczeń. Poznajesz mnie? Jeśli tak, to dobrze, jeśli nie, to posiedzimy sobie dopóty, dopóki sobie nie przypomnisz.

Miał białą opaskę na rękę. Przypomniałem sobie, uprzedzano nas, że biała opaska będzie oznaczać koniec ćwiczeń.

– Tak, poznaję.

– No to jedz zupę.

Później, z udziałem „przesłuchujących” odbyło się omówienie ćwiczeń.

Pochwalili mnie, że trzymałem się czterech podstawowych informacji, ale dodali, że numer z kanapką i kawą nie był stosownym posunięciem.

– Nie zrobiłbym tego w innych okolicznościach – wyjaśniłem. – Wiem, że w prawdziwej niewoli mogłoby to się źle skończyć, ale to były ćwiczenia, chciało mi się jeść, więc skorzystałem z okazji, bo czemu nie.

– A jak się czułeś fizycznie? Czy rzeczywiście byłeś tak wyczerpany, jak starałeś się nam udowodnić?

– Nie, udawałem.

– Ile razy cię przesłuchiowano?

– Sześć.

Źle. Pomyliłem się o jeden raz. Zrobiłem też błąd w ocenie czasu. Wydawało mi się, że cała ta zabawa trwała czterdzieści godzin, o dziesięć godzin dłużej niż w rzeczywistości.

– Co sądzisz o przesłuchujących? Orientowałeś się, do czego zmierzają? Nie miałeś momentów załamania?

Odparłem prosto z mostu, że przynajmniej część przesłuchujących wiedziała, jak dobrać się do mojej skóry. Zawodowcy.

– Agresywni, brutalni, ale można się było tego spodziewać mówiłem. – Wszystko razem było dość wyczerpujące fizycznie i psychicznie, ale oczywiście zdawaliśmy sobie sprawę, że wcześniej czy później sprawa się skończy, bo przecież to tylko gra. Gdyby naprawdę tak było, to nie wiem, czy wytrzymałbym dużo dłużej.

No i w ten sposób wzięliśmy ostatnią przeszkodę. Wyglądaliśmy jak weterani toru przeszkód, z tygodniowym zarostem, kołtunem na głowie, cuchnący, z podkrążonymi oczami, co jednak na nikim w jednostce nie robiło żadnego wrażenia.

Wykąpałem się i zaraz poszedłem do stołówki na stek z frytkami. Było już tam kilku kursantów, reszta nadciągnęła później. Gadaliśmy, dzieliliśmy się wrażeniami. Nie wszystkim się udało. Jeden z chłopaków opowiadał, że stał właśnie pod ścianą, gdy poczuł, że zaczyna mu się zsuwać przepaska. Wiedział, że choć to nie jego wina, to za coś takiego dają „czwarty peron”. Próbował nieznacznie poprawić i wtedy przepaska zsunęła się do końca. Wylali go z miejsca za nieprzestrzeganie regulaminu. Nie było to chyba sprawiedliwe, ale też nikt nie mówił, że droga do Pułku jest łatwa i prosta.

Nazajutrz wieczorem wybraliśmy się do pubu. Chcieliśmy pogadać we własnym gronie, odprężyć się i w ogóle. Porównywaliśmy wrażenia.

„No więc – opowiadał Dave, spadochroniarz, gdy doszliśmy z moją grupą do jakiegoś gospodarstwa. – Założyłem OP, *Observation Post*, punkt obserwacyjny. Nie zauważyłem niczego podejrzanego. Poszedłem do okna i zacząłem nasłuchiwać. Telewizor grał, ale mimo to słyhać jakieś rozmowy, jakby w środku było sporo ludzi. Zerknąłem przez okno i wyobraźcie sobie, że w chacie siedziała chyba cała kadra kompanii szkolnej. Oczywiście zaraz daliśmy nogę”.

Mieliśmy wolny cały weekend. Zapowiedziano nam, że w poniedziałek od rana rozpocznie się dalsze szkolenie. Zaczynaliśmy się czuć trochę jak u siebie, choć w dalszym ciągu obowiązywała nas bardzo oficjalna forma zwracania się do naszych instruktorów, a zwłaszcza do szefa kompanii szkolnej. Oznaczało to, że jeszcze nie jesteśmy w Pułku.

Był w pobliżu taki pub, gdzie urządzano szwedzki stół z kielbaskami i bagietkami. Tam właśnie wybraliśmy się w niedzielę z George'em, żeby zwyczajnie dać sobie w szyję. Wracając postanowiliśmy odwiedzić takiego jednego faceta, którego znaliśmy z Green Jackets. Służył w Kompanii D. Jego żona pracowała w hurtowni piwa Red Stripe. Nie powiem, posiedzieliśmy i zmoczyliśmy mordy, że aż hej.

Najlepszy dowód, że nie zdążyłem dobiec do łazienki i puściłem pawia po ścianach.

Próbowałem posprzątać, ale nie dałem rady. Zwaliłem się ze schodów.

– Przepraszam – wyjąkałem – ale chyba muszę już iść.

Rano czułem się okropnie. Poszedłem na Kompanię D, żeby „uzupełnić” zyciorys.

– Kurczę – rzekł kumpel – żona dostała szału.

Zaraz polecałem do kwaciarni, kupiłem duży bukiet, dołożyłem do tego bombonierkę i powlokłem się na „miejsce przestępstwa”, licząc zresztą na to,

że nikogo nie zastanę. Rzeczywiście pani domu nie było.

Położyłem kwiaty i czekoladki na progu, w drzwi wcisnąłem kartkę. *Bardzo mi przykro z powodu mojego zachowania i kłopotów, jakie narobiłem. Mam nadzieję, że zechce mi pani wybaczyć. To się już nigdy nie powtórzy. Łączę najlepsze życzenia – i podpisałem – George.*

## 13

Zadzwońiłem do Debbie, aby powiedzieć, że chyba jednak zdałem i dostałem się do wymarzonego Pułku.

Ucieszyła się. Ja też, co oczywiste, byłem bardzo zadowolony. A jednak zajęty własnymi sprawami nie zastanawiałem się, że jej może być bardzo trudno. Siedziała w Niemczech, nie mając żadnej pewności, czy zdam i co będzie dalej. Nie widziała mnie od miesiący, a gdy dzwoniłem, to mówiłem tylko o sobie. Byłem strasznym egoistą. Pisywałem do niej ze dwa razy w miesiącu, dzwoniłem raz w tygodniu, ale nigdy nie zdobyłem się na to, żeby zapytać, jak się czuje. Być może dlatego, że bałem się prawdy.

Dalszy ciąg szkolenia polegał na wyrabianiu pewnych podstawowych umiejętności niezbędnych w kompaniach liniowych.

Na wstępie przeszliśmy kurs CT – *Counter-terrorist* – działań antyterrorystycznych. Na pierwszy wykład kazano nam przyjść po cywilnemu. Poczułem się dziwnie. Po raz pierwszy chyba przyszło mi stawić się na służbę bez munduru. Powiedziano nam, że instruktorami będą specjaliści z CRW – brygady działań kontrewolucyjnych a nie, jak do tej pory, kadra kompanii szkolnej.

Pierwszym wykładowcą był niejaki Ted. W Green Jackets, gdzie kiedyś służył i gdzie go poznałem, nazywano go Ted Belly – Misio Brzuchacz – bo ciągle, acz bezskutecznie, walczył z dodatkowymi kilogramami. Obecnie był w CRW. Wysoki, raczej miły londyńczyk, z czupryną niczym łąn zboża albo

raczej jak rabarbar po uderzeniu pioruna, bo jakkolwiek się starał, zawsze miał zmierzwione włosy.

„Dziś – zaczął – wuj Ted nauczył was wszystkiego o gnatach dziewięciomilimetrowych. W razie wątpliwości nie wstydzicie się, zadawać pytania, wuj wszystko wyjaśni. Dziś teoria, a resztę tygodnia spędzimy na strzelnicy. Pistolet Browning, dziewięciomilimetrowy, przez wielu nie doceniany, odgrywa ważną rolę w Pułku” – mówił Ted.

Jest to niezwykle skuteczna broń o dużej sile ognia i zaskakująco sporym zasięgu, a przy tym łatwa do ukrycia. W Pułku używa się jej do różnych zadań: ochrony VIP, akcji antyterrorystycznych i rozmaitych tajnych operacji. W oddziałach specjalnych pistolet ten jest drugą podstawową bronią każdego żołnierza.

Musieliśmy przerobić całą teorię, poznać, jak się rozkłada pistolet do czyszczenia, jak się go składa, a także przyswoić sobie praktyczne szczegóły konstrukcji broni. Dowiedzieliśmy się, co się zmieni, jeśli podpiłować iglicę w pewien określony sposób, i jaki uzyska się efekt, jeżeli nieco inaczej nastawi się mechanizm spustowy.

Uczyliśmy się prawidłowej postawy podczas strzelania i właściwego chwytu broni. W jednym i drugim wypadku przepisy pułkowe różniły się od tego, co przyjęło się w innych formacjach, ale też Pułk miał spore doświadczenie bojowe, podczas gdy w zwykłym wojsku nie jest z tym najlepiej. Ja – na przykład – w czasie całej służby w Green Jackets strzelałem z pistoletu może ze dwa razy. Ted pokazał nam, jak dobywać pistolet z różnych kabur, jak wyciągać broń spod marynarki, aby nie zwracać na siebie uwagi, jakie marynarki nosić i w jaki sposób.

Ćwiczyliśmy strzelanie z różnych pozycji, na trzydzieści pięć i na pięćdziesiąt metrów, w tłumie. Strzelania odbywały się codziennie od wpół do ósmej rano do zmierzchu i aż do skutku, to znaczy, aż nabraliśmy takiej wprawy, że strzelaliśmy celnie, bez mrużenia oka. Rano fasowaliśmy pojemnik z herbatą, suchy prowiant i całą ósemką jechaliśmy na strzelnicę. Wszystkim bardzo się podobało.

Wydawało mi się, że jako plutonowy piechoty wiem już dużo. Tymczasem znalazłem się w zupełnie nowym świecie. Uświadomiłem sobie, że czeka mnie jeszcze sporo nauki, że jestem ledwie na początku długiej drogi, i to drogi pod górę.

– Po powrocie na kompanię – radził instruktor – stańcie sobie przed lustrem i ćwiczcie wyciąganie pistoletu z kabury. Nie wstydzicie się, nikt nie będzie się śmiał.

No i rzeczywiście po kolacji poszliśmy do ubikacji, ustawiliśmy się przed lustrami jak należy i wtedy zjawił się Ted z chłopakami.

– Wariaci czy co? Co wy robicie?

Speszyliliśmy się, patrząc na puste ręce, w których niby to mieliśmy dzierżyć broń. Chłopcy wykpiłi nas bezlitośnie.

Ostatniego dnia Ted oznajmił, że trzeba się zabawić.

Wziął tarcze, na jednej namalował kółko wielkości dziesięciopensówki, na drugiej puszkę coca-coli, na trzeciej jeszcze coś większego, no i zaczęliśmy strzelać na czas i z różnych odległości, np. seria trzech strzałów w pięć sekund, w odległości pięciu metrów od celu. Stopniowo powiększaliśmy dystans. Za każdym razem składaliśmy do banku po piątce dla najlepszego.

Przyszła kolej na szkolenie minerskie. Poznaliśmy różne materiały wybuchowe. Pokazano nam trochę z tego, co znajdowało się w kompanii. Jeszcze później nauczyliśmy się zasad łączności i obsługi sprzętu.

„Każdy meldunek, z każdego miejsca na kuli ziemskiej – mówił instruktor – trafia bezpośrednio do Herefordu, ale musicie się sporo nauczyć, zwłaszcza o różnych rodzajach anten, bo to nie jest tak, jak się ogląda na filmach. To nie jest tak, że agent, dajmy na to w Katmandu, z nadajnika wielkości paczki papierosów gada sobie z centralą w Anglii. Sprawy mają się zupełnie inaczej, wszystko zależy od częstotliwości, pory dnia i rodzaju anteny”.

Zapoznano nas z różnymi działami i służbami Pułku, od centrum szkolenia po Stowarzyszenie Pułkowe. Nie pokazano nam tylko tak zwanych szarych stref. Stwierdzono, że o tym dowiemy się później, w stosownym czasie.

Tak minęły trzy tygodnie i nadszedł termin kursu spadochronowego w słynnej bazie lotniczej Brize Norton pod Londynem. Nie byłem tym specjalnie zachwycony, wolałbym od razu dostać przydział do konkretnej kompanii, ale cóż, jak trzeba, to trzeba. Pocięczałem się tylko tym, że większość drogi do Pułku miałem już za sobą. Na tym etapie nikt mnie już nie wyrzuci, chyba że złamię kark albo narażę na szwank swoją opinię.

W tym też czasie wybrałem sobie kompanię, do której chciałem się dostać. Sprawa nie była prosta. Facet z Gwardii mógł dostać przydział do Kompanii G, ale jeśli idzie o inne kompanie, to decydowało wcześniejsze przygotowanie i potrzeby poszczególnych pododdziałów. Osobiście chciałem dostać się do Kompanii D, między innymi dlatego, że służył w niej Jeff, a także dlatego, że kompania stacjonowała obecnie w Herefordzie, gdyż była wyznaczona do akcji antyterrorystycznych. Sprawy z Debbie nie układały się najlepiej. Nieco głębiej wczytywałem się w jej listy z Niemiec i zaczynałem zdawać sobie sprawę, że dziewczyna ma zwyczajnie dość. Zapewniałem ją, że jak tylko zostaną ostatecznie przyjęty do Pułku, to zaraz zorganizuję jakieś mieszkanie. Jak się jednak okazało, Kompania D nie była mi przeznaczona. Razem z trzema chłopakami przydzielono mnie do Kompanii B, ale nie od razu.

Chłopcy, którzy przeszli szkolenie spadochronowe, otrzymali już odznaki

pułkowe i zostali wcieleni do określonych pododdziałów. Reszta, łącznie ze mną, meldowała się właśnie w Brize Norton. Znaleźliśmy się w królestwie RAF, daleko od Pułku, jakby na wakacjach, ale jak to z wakacjami bywa – szybko zaczęły się dłużyć.

Najpierw przez miesiąc uczyli nas zasad, które – jak się później okazało – można było o kant dupy potłuc. Ale co się dziwić, RAF szkoli setki ludzi, więc nie ma czasu na indywidualne podejście. Brize Norton jest molochem, który „sztancuje” swoje produkty.

Były także dobre strony. RAF słynie z tego, że ma najlepsze zaplecze rekreacyjne w całym wojsku. Miejskowa dyskoteka NAAFI nazywała się Starlight Club – Klub Pod Gwiazdami – i co wieczór pełno tam było młodych ludzi w dzinsach, pustynnych butach i brązowych podkoszulkach. Któregoś dnia dwóch takich początkujących spadochroniarzy zaczęło tańczyć ze sobą. Nazajutrz rano kazano im się zameldować w pełnym oporządzeniu.

– Smith i Brown, wystap – padł rozkaz. – Smith, tańczyłeś wczoraj wieczorem?

– Tak jest.

– Z kim?

– Z nim.

– A ty, Brown, tańczyłeś wczoraj? Z kim?

– Z nim.

Kapral polecił wszystkim czekać i gdzieś poszedł. Wrócił po chwili z deską do prasowania pod pachą. Następnie dał komendę baczność i zaczął tych dwóch nieszczęśników walić po głowie w takt zdania: spa-do-chro-nia-rze-nie-tań-czą-ze-so-bą.

– Tak jest – brzmiała zdyscyplinowana odpowiedź.

Wiara ryła ze śmiechu. Pomyślałem, że w RAF traktują rekrutów dokładnie tak jak nas w Winchesterze.

Przyznano nam wreszcie odznaki spadochronowe i udaliśmy się do Herefordu na wręczenie insygniów Pułku.

W wyjściowych mundurach czekaliśmy przed „Kremlem” – budynkiem dowództwa. Muszę przyznać, że byłem dumny z siebie i przeżywałem tę chwilę. Taki dzień pamięta się do końca życia.

Zjawił się sierżant i przywitał się ze wszystkimi.

– Gratuluję. Za chwilę pójdziecie do dowódcy, dostaniecie odznaki, zostaniecie oficjalnie przyjęci do Pułku i otrzymacie przydziały do pododdziałów. Dam wam jedną radę. Otóż w kompanii rozejrzyjcie się uważnie, z pewnością znajdziecie kogoś, kto waszym zdaniem uosabia wszystkie cechy żołnierza SAS. Starajcie się go naśladować, bierzcie



przykład, ucicie się. Niech wam się nie wydaje, że już zjedliście wszystkie rozumy, a świat leży u waszych stóp, bo tak nie jest. Gęba na kłódkę, patrzeć i słuchać.

No i wprowadzono nas do gabinetu dowódcy. Na biurku leżał stosik beżowych beretów. Pułkownik zwyczajnie rozdał nam po jednym i to wszystko. Żadnych przemówień, żadnych uścisków dłoni, żadnych celebracji.

– Łatwiej to zdobyć, niż utrzymać – powiedział tylko, wręczając berety. – Życzą powodzenia.

I po uroczystości.

Kazionne berety były dość obskurne, więc z miejsca zafundowaliśmy sobie inne, znacznie lepszej firmy. Wojskowy fason nakazuje, żeby nakrycie głowy prezentowało się jak należy.

Razem z George'em zameldowaliśmy się w kancelarii Kompanii B. Mijało właśnie niemal dokładnie pół roku od pamiętnego tańca na górze Fan. Pierwszym facetem, na którego natknęliśmy się w sztabie, był Danny – błądy, chudy, bez cienia zarostu – pisarz kompanii, który wyglądał na, góra, szesnaście lat. Wszystkie kompanie były w rozproszeniu, to znaczy, że żadna nie występowała w Herefordzie w pełnym składzie, co zrozumiałe, bo Pułk cały czas wykonywał liczne zadania i chłopcy w większych lub mniejszych grupach krążyli po świecie. Tylko pisarze kompanijni ogarniali cały ten ruch, bo przypisani byli na stałe do sztabów w Herefordzie i tylko od nich można było się dowiedzieć czegoś konkretnego. No i właśnie w sztabie przyjął nas Danny, pisarz.

– Miło was widzieć – przywitał się uprzejmie. – Poza mną i paru chłopakami, co się objają, nie ma tu nikogo. Idźcie do izby tradycji, spróbujemy coś z wami zrobić.

Przez cały dzień szwendaliśmy się z George'em z miejsca na miejsce, nie mając nic do roboty. Kompania była w terenie, a wszyscy inni zajmowali się własnymi sprawami. Wystrojeni w mundury, czuliśmy się dość głupio, bo chłopcy, którzy byli na miejscu, chodzili zwyczajnie, w dresach.

W sali tradycji pełno było najprzeróżniejszych plakietek, fotografii, ale nie tylko. Na ścianach wisiał na przykład cały zestaw kałasznikowów, od modelu AK47, który zdobyto jeszcze w walkach na Borneo, po modele najnowsze.

Zjawilo się paru facetów z kompanii.

– Co, nowi? Właśnie dostaliście przydział? Fajnie. Ja nazywam się Chris. Wybieracie się na „wycieczkę”?

Wszyscy sprawiali wrażenie autentycznie cieszących się, że zdaliśmy. Nie było tak jak w moim dawnym batalionie, gdzie starzy traktowali nowych per noga. Ci tutaj dobrze wiedzieli, czym musieliśmy się wykazać, żeby się dostać do Pułku.

– Nie wiem – odparłem na pytanie – nie mam pojęcia, czy jedziemy, czy nie.

Danny też jeszcze nie wiedział. W cichości ducha myślałem sobie, że lepiej byłoby nigdzie nie jechać. Teraz, kiedy osiągnąłem to, na czym tak bardzo mi zależało, chciałem jakoś uporządkować sprawy z Debbie. W rozmowach przez telefon czuło się, że wyrasta między nami mur. Niby wszystko było w porządku, żadnych awantur, nic w tym rodzaju, ale w istocie nie wiedziałem, co ona właściwie myśli. Debbie rozumiała chyba, czym dla mnie były starania o miejsce w Pułku, ale z drugiej strony miała dość tego ciągłego bycia na drugim miejscu. Chciałem zorganizować mieszkanie na jej powrót z Niemiec, ale tymczasem jak się właśnie okazało – czekał mnie paromiesięczny wyjazd za granicę. Nie miałem pojęcia, jak Debbie zareaguje.

Zasłaliśmy z George'em do magazynów. Oddaliśmy dotychczasowy sprzęt z kompanii szkolnej i pobraliśmy wszystko, co się należało w kompanii liniowej. Niestety wyfasowane rzeczy były nowiutkie, prosto spod igły. Wyglądaliśmy więc głupio, jak z żurnala.

– Zgłoście się jutro – oznajmił Danny – może już będzie coś wiadomo.

Była ledwie dziesiąta rano.

– A tymczasem co mamy robić? – spytałem.

– Co chcecie – wzruszył ramionami Danny – możecie iść do miasta i w ogóle.

No właśnie, raz jeszcze potwierdziło się, że w Pułku jest inaczej niż w zwykłym wojsku. W zwykłej jednostce śleczano się w koszarach, jeśli nawet nie było nic do roboty.

Kiedy zameldowaliśmy się nazajutrz rano, powiedziano nam tylko: „Malezja, czwartek”.

Spakowaliśmy więc cały nowiutki, błyszczący ekwipunek, łącznie z butami do chodzenia po dżungli, butami, których już nie zdążyliśmy rozchodzić, i w czwartek załadowaliśmy się do samolotu. Nie załatwiłem mieszkania dla Debbie. Mogłem tylko mieć nadzieję, że sprawy same się ułożą podczas mojej nieobecności.

Obóz znajdował się niedaleko od Kuala Lumpur – stolicy Malezji – jakieś dwie godziny jazdy, ale nas, czwórkę nowych, przewieziono tam śmigłowcem nazajutrz po przylocie do stolicy, gdzie jeszcze wyfasowaliśmy niezbędny w dżungli sprzęt. Chłopcy z kompanii siedzieli tu już czas jakiś. W nowym mundurze i w ogóle czułem się jak zakonnica w burdelu: ani nie rozumiałem, co do mnie mówią, bo każdy obóz ma swój własny żargon, ani nikogo z miejscowych nie znałem. Tymczasem nikt tu nie nosił gwiazdek i belek, wszyscy mówili sobie po imieniu, trudno było się zorientować, kto jest kto,

ale – pomny rad sierżanta – trzymałem mordę na kłódkę i tylko słuchałem.

Kompanijny obóz wyglądał podobnie jak baza w Brunei, gdzie byliśmy na szkoleniu. Mniej więcej pośrodku znajdował się sztab i dowództwo, a poszczególne plutony rozlokowały się wokół. Dostrzegłem znane mi z niedawnych doświadczeń konstrukcje w kształcie litery A, a na nich wisiały hamaki. Była też niewielka siłownia pod gołym niebem; z tarcz strzeleckich porobiono w niej podesty do ćwiczenia skłonów. Stoły i siedziska w części socjalnej wykonano z resztek drewnianych skrzyń. Tu i ówdzie nad hamakami wisiały po dwie, trzy pałatki spięte razem – znak, że właściciele trzymają się w grupie i wspólnie gospodarują.

Wszyscy byli mocno zarośnięci, z przetłuszczonymi, dawno nie strzyżonymi włosami. Niektórzy leżeli w hamakach z książką w rękę, inni gotowali coś na prymusach. Wszyscy z regulaminowym sprzętem na szelkach, z bronią i nieodłączną maczetą.

Przywitał nas medyk.

– Większość stanu jest w terenie. Zajmiemy się wami po ich powrocie, a tymczasem zapraszam na herbatę.

Właśnie popijaliśmy z kubków, gdy zjawił się dowódca ze swoim orszakiem.

– Cześć – powiedział – fajnie, że jesteście. Akurat mamy wakaty w czterech plutonach – przyjrzał nam się uważnie. – Ty mi wyglądasz na nurka – to do George’a. George znał się raczej na wspinaczce niż na nurkowaniu.

– Wolałbym do plutonu górskiego.

– W porządku – brzmiała odpowiedź – idź do górskiego. Ty – zwrócił się do następnego z nas – pójdziesz do zmechanizowanego, a ty wyglądasz mi na skoczka. – To ostatnie zdanie odnosiło się do mnie i oznaczało, że dostałem przydział do plutonu desantowego. – Poczekajcie tu, zaraz po was przyjdą – ruszył ze świtą w swoją drogę.

Po chwili zgłosili się faceci z plutonów. Chłopcy rozeszli się, tylko ja jeszcze czekałem, rozglądając się ciekawie dookoła. Patrzyłem na łącznościowców, na sanitariuszy krzątających przy prowizorycznych stołach pod pałatkami. Raz po raz ktoś podchodził do mnie, żeby zamienić parę słów.

– Jak się masz? W porządku? Do którego plutonu?

– Powietrznodesantowego.

– O cholera, fajnie, pieprzeni lodziarze. Masz oczywiście okulary przeciwsłoneczne?

Nie zdążyłem zapytać, o co chodzi z tymi okularami, bo oto pojawił się drągal, metr osiemdziesiąt z kawałkiem, o potężnej kłacie, z rękami jak bochny, w których M 16 wyglądał jak zabawka. Szedł śmiesznie na palcach.

– Ty jesteś Andy? Jestem Tiny, Mały, z siódmego plutonu. Załatwimy co trzeba i pójdziemy do chłopaków.

W nowych butach, wypchniony, świeży, czułem się jak uczeń pierwszy dzień w nowej szkole. Ruszyliśmy. Rozglądałem się pilnie za jakimś błotem, aby umazać te nieszczęsne błyszczące nowością obuwie.

– A przedtem gdzie byłeś? – dopytywał się Mały, gdy zaczęliśmy wspinać się na wzgórze.

– W drugim batalionie...

– Co ty powiesz? Ja też byłem w drugim batalionie spadochroniarzy.

– Ja w Green Jackets. Mały stanął jak wryty.

– To co ty, u diabła, tu robisz?

– Nie wiem, powiedzieli, że mam pójść do waszego plutonu.

– Kurwa mać. Czekamy na uzupełnienie od osiemnastu miesięcy i przysyłają nam zajęcia.

W życiu nie czułem się tak głupio. Tymczasem doszliśmy do niewielkiej polany na wzgórzu, gdzie był nasz rejon. Wokół wisiały hamaki, w środku paliło się ognisko, przy którym rozsiadło się ośmiu ludzi – cały pluton.

– Mamy nowego – oznajmił Mały – nazywa się Andy McNab, z Green Jackets, nie wiadomo dlaczego go przysłali – rzucił w stronę chłopaka, który wyglądał na szefa. Ten był o pół głowy niższy od Małego, mówił cicho, ale niczego nie owijał w bawełnę. Sądząc z akcentu, pochodził z Yorkshire. Nazywał się Colin.

– Jestem z wojsk spadochronowych – przywitał się.

Rany boskie – pomyślałem – czy w całym siódmym plutonie nie ma nikogo, kto nie byłby spadochroniarzem? Zapoznałem się z pozostałymi chłopakami.

– Nosh.

– Frank.

– Eddie.

– Mat.

– Steve.

– Al.

– Rozlokujesz się tam – Colin pokazał miejsce – idź i zrób sobie ramę na hamak.

Zrzuciłem plecak, wziąłem maczetę, ruszyłem na skraj polany. Wicie już, że w całym swoim życiu miałem tylko robiłem coś podobnego, a teraz na oczach nowych kolegów miałem zmajstrować drugą taką konstrukcję. Niewiele pamiętałem z Brunei. Cały w nerwach zabrałem się do przycinania odpowiednich gałęzi, ale prawdziwy kłopot zaczął się później. Co jedną ustawiłem we właściwej pozycji, to druga się przewracała. Bóg jeden wie, co koledzy pomyśleli, widząc, jaki jestem niezdamy, a przecież się starałem, chciałem zrobić dobre wrażenie. Miotąłem się jak opętany, a łózko ciągle było w prozku, oni zaś siedzieli spokojnie przy ognisku, gadali, palili,

patrzyli na mnie i skrobali się w głowę.

Gdy wreszcie skończyłem, zaczęło się zmierzchać. Nie widać było, aby zarządzono czuwanie. Nie chciałem się nikomu narzucać, więc manifestacyjnie ziewnąłem parę razy, przeciągnąłem się i wałnąłem spać. Koledzy gadali przy ogniu do późnej nocy. Pomyśleli pewnie, że jestem odludek.

Nazajutrz rano zagotowałem herbatę, coś tam zjadłem. Potem odszukałem Małego.

- Co teraz? – zapytałem.
- Przygotuj się i idziemy.
- To znaczy kiedy?
- Jak przyjdzie pora.

Colin wziął mnie do swojego patrolu. Wyglądało na to, że wszystko, co robi, robi z przekonaniem. Postanowiłem trzymać się blisko niego. Colin będzie moim wzorem.

Zadanie polegało na patrolowaniu ścieżek w dżungli, mniej więcej tak, jak robiliśmy to na kursie w Brunei. Tu też patrolowaliśmy dwójkami i czwórkami oraz ćwiczyliśmy taktykę potyczek.

W 1948 roku wybuchło na Malajach powstanie komunistyczne i w dalszym ciągu prawie tysiąc dwustu partyzantów, pod wodzą niejakiego Chin Penga kryło się w górach na granicy z Tajlandią. Była to do tej pory jedna z najdłuższych wojen w dziejach Azji, raczej niezbyt krwawa, choć w czasie antychińskich zamieszek w Kuala Lumpur w 1969 roku zginęło sporo ludzi.

W Singapurze stacjonował batalion z Nowej Zelandii. Prowadził operacje w sporej części Malezji, ale z jakichś politycznych przyczyn nie mógł działać w północnej części kraju, tam więc my świeciliśmy obecnością.

W czasie patrolu z Colinem zauważyliśmy cel. Wiedziałem, co robić. Puściłem serię, odwróciłem się na pięcie i zacząłem umykać. Colin tymczasem wypalił cały magazynek, szybko zmienił na nowy i parł do przodu.

- Co ty, u diabła, robisz? – rzucił za mną przez ramię.
- Tak nas uczono.
- O kurwa.

Okazuje się, że każda kompania miała swoją własną taktykę. Nie tylko kompania, także poszczególne plutony. Przez resztę dnia Colin ganiał mnie po terenie, aż się nauczyłem, że do każdego celu strzela się, ile wlezie. Przyznam, że byłem zadowolony, bo co prawda okazało się, że mam pewne braki, ale pokazałem, że jestem chętny do nauki. Wydawało mi się, że Colin też tak sądzi i że z wolna zaczynam być akceptowany w plutonie.

Któregoś wieczoru przy ognisku dali mi po raz pierwszy „koktajl owocowy”. Tak w kompanii nazywano mieszankę rumu z cukierkami.

Słuchałem pogaduszek, nie bardzo rozumiejąc, o czym mowa, bo chłopcy używali sporo nie znanych mi fachowych terminów i dziwnych wyrażań. Musiałem poprosić o tłumaczenie.

Okazało się, że mówiono o budownictwie. Colin remontował dom i narzekał na ceny drewna.

– Czterdzieści pięć funtów za metr to złodziejstwo. Gdzie indziej biorą czterdzieści trzy.

Słuchałem uważnie, przyglądałem się i tak w kilka dni poznałem swoich kolegów.

Nosh miał sylwetkę sportowca, choć raczej rzadko ćwiczył czy biegał. Szanował się. Pasjonowało go wszystko, co miało związek z lataniem. Zaliczył ponad tysiąc skoków z opóźnionym otwarciem spadochronu. Robił na mnie wrażenie wybitnie inteligentnego. Siedział, dłuwał w nosie, pierdział i bekał, ale jak już coś powiedział, to jakby cytował „Economist”, a wiecie, jakie to mądre pismo.

Frank Collins o ryżych włosach, mniej więcej tego samego wzrostu co ja, pochodził z Północy, mówił cicho, ale dobitnie, bez ogródek walił to, co myślał. Bardzo religijny, taki co to na nowo odkrywa Kościół, przez co wszyscy bardzo mu dokuczali. Ktoś postarał się o egzemplarz *Holy Blood, Holy Grail* – takiej obrazoburczej książki odsłaniającej tajemnice chrześcijaństwa – i wszyscy pilnie czytali, szukając argumentów, żeby niszczyć Franka, a w dodatku sprawdzali stosowne cytaty w Biblii, co rzeczywiście wyglądało przekomicznie. Gromada osiłków w sercu dżungli, czytająca Biblię i porównująca fragmenty z inną książką.

Ala Slatera poznałem wcześniej. Nie osobiście. Otóż występował on w 1983 roku w serialu telewizji BBC pt. *Paras* („Spadochroniarze”). Grał kaprała ostro szkolącego rekrutów. Wysoki, ponad metr osiemdziesiąt, szczupły, prezentował się jak oficer. Pamiętam, jak w filmie pokrzykiwał: „Najważniejsze, żeby was nikt nie zauważył”.

W obozie miał takie specjalne siedzisko na worku z ryżem. Z tym ryżem to było tak, że właśnie na dzień przed naszym przybyciem dostarczono świeżą żywność. Al zamówił dużą torbę ryżu, mając na myśli kilo czy półtora, gdy tymczasem, ku zaskoczeniu wszystkich, przysłano pięćdziesięciokilogramowy worek. Al z miejsca go zawłaszczył i używał jako fotela. Od czasu do czasu sięgał do środka po garść lub dwie ryżu do gotowania. Jedliśmy go przez całe dwa tygodnie: z cebulą, z suszonym mięsem, z rybą i Bóg wie z czym jeszcze, Al zaś zjeżdżał tyłkiem coraz niżej.

Wraz zaopatrzeniem dostarczono także pocztę. Al odłożył książkę, otworzył kopertę i zaczął tarzać się ze śmiechu na swoim worku ryżu.

– Chyba dają mi coś do zrozumienia – wyjaśnił pokazując, co zawierała: trzy kartki papieru, ołówek i zaadresowaną kopertę z znaczkiem.

Któregoś dnia przy herbacie Nosh wystąpił z nowym pomysłem.

– Powinniśmy – powiedział – urządzić sobie solarium, aby wreszcie włożyć okulary przeciwsłoneczne. Chodzi o honor siódmego plutonu.

Nie miałem pojęcia, o czym mówi.

Kilka dni później, gdy kręciliśmy się po obozie, Nosh uznał, że czas przejść do czynów. Z petem w zębach i maczetą w dłoni jął milczkiem okrążyć sporą palmę na skraju naszego biwaku. Po chwili rozległo się głośnie lupanie.

– Co ty, kurwa, robisz? – zainteresował się Colin.

– Solarium – Nosh podrapał się w jaja. – Jeśli uda mi się położyć to drzewo tak, jak myślę, to padnie w stronę rzeki.

– Dasz radę?

– Możesz mi zaufać.

Jeżeli drzewo przewróci się w przeciwną stronę, to akurat na nasz biwak. Nosh łupał cały dzień, wreszcie pień zaczął trzeszczeć.

– Odsuń się – ostrzegł Mata. – Na wszelki wypadek – dodał – bo może coś spieprzyłem.

Nie bardzo wiedzieliśmy, gdzie się ewakuować. Drzewo było rzeczywiście spore. Stanęliśmy gromadą i patrzyliśmy.

Pień zatrzeszczał groźnie i zaczął się przechylać. Padł o centymetry od legowiska Mata.

– No i co – zawołał Nosh – fachowa robota!

Miał rację. Wśród gęstego listowia otworzyła się spora przestrzeń, przez którą zaświeciło słońce. Siódmy pluton włożył okulary przeciwsłoneczne.

Jedzenie odgrywa ważną rolę w wojsku. Nie chodzi tylko o kalorie i energię, ale także o to, że gotowanie to jedna z tych nielicznych czynności, którą każdy może wykonać, jak chce.

O żarciu mówiło się dużo i często. Ważne było, jak gotować, z jakimi przyprawami. Jedzenie stało się rozrywką, urozmaicało monotonię służby. Niektórzy łowili ryby, aby uzupełnić dietę, inni zakładali wnyki i łapali rozmaitą zwierzynę, z której gotowali gulasze.

Al Slater mył się kiedyś w rzece i nagle usłyszeliśmy serię strzałów. Zaraz poleciliśmy na brzeg, by zobaczyć, co się dzieje. Ujrzelśmy Ala i węża... Wąż oczywiście był już nieboszczykiem. Przyrzadziliśmy go na kolację. Smakował gówniano, chyba że połało się go obficie sosem tabasco.

Mały i Eddie zaprzyjaźnili się z pewnym stworem, którego za skarby nie chcieli utłuc, nie mówiąc już o spożyciu. Był to skorpion; nazwali go Stan. Mieszkał w dziurze tuż pod hamakiem Małego. Lubił mielonkę, bo tym go karmili.

Pewnego razu byliśmy w terenie na parodniowym patrolu, gdy zaczęło lać jak z cebra. Byłem przemoczony do nitki. Deszczówka spływała strumieniami ze skołtunionych włosów i kapała z brody. Nakryłem się pałatką i w kucki próbowałem zagotować wodę na herbatę.

Kiedy wstałem, żeby rozprostować kości i poprawić oporządzenie, poczułem, że coś zsuwa mi się po nogach. Nie przejąłem się tym zbyt, bo w dżungli bez przerwy oblażą człowieka różne świństwa. Ale gdy pod jajami zrobiło mi się raptem ciepło i mokro, postanowiłem spojrzeć, co jest. Ściągnąłem portki i spodenki. Całe krocze miałem we krwi. O kurwa. Nie było to co prawda nic groźnego, skaleczenie podskórne, ale wyglądało okropnie.

Nie bardzo wiedziałem, co się stało. Ściągnąłem portki do końca i wreszcie zobaczyłem: na butach siedziała najtłuściejsza w świecie i najbardziej nażarta... pijawka! Dostała się jakoś pod ubranie, przyczepiła mi się do kutasa, opija krwią i dopiero odpadła. Pijawka w momencie ukąszenia wydziela pewną znieczulającą substancję, a także coś, co zapobiega krzepnięciu krwi. Nic się więc nie czuje, a człowiek spływa krwią. Z przerażeniem pomyślałem, że może do mojego skarbu przyczepiło się więcej pijawek. Poprosiłem jednego z chłopaków, żeby mnie obejrzał i sprawdził.

A moja oprawczyni leżała sobie spokojnie, nażarta i szczęśliwa, ja zaś zastanawiałem się, co z nią począć. Wreszcie popsikałem ją środkiem na owady. Zwinęła się i zdechła biedaczka.

Krwawiłem długo i został mi po tej przygodzie ślad, jakby po przypaleniu papierosem. Będę to nosił do końca życia. Nie kryję, że przeżycie nie należało do przyjemnych, zwłaszcza że chłopcy długo jeszcze kpili ze mnie twierdząc, że pijawka była zdecydowanie większa, aniżeli ów „fragment”, na którym biesiadowała.

Był z nami na stażu pewien Amerykanin. Nazywaliśmy go Piła Łańcuchowa, Dan Dan. Służył w Delta Force. Dobiał czterdziestki i był strasznym twardzielem, a przynajmniej za takiego chciał uchodzić. Czy trzeba, czy nie, załatwiał wszystko biegiem i w ogóle popisywał się. Przywiózł ze sobą piłę motorową i ciągle nawijał, że może ściąć to czy tamto, jeśli ktoś chciałby sobie coś zbudować lub zmajstrować.

Uważał, że hamak to dobre dla mięczaków. „Dla mnie wystarczy ściółka” – głosił.

Nie minął tydzień i był zlachany. Nie korzystał nawet z pałatki. Zbudował rodzaj wigwamu z gałęzi i liści. Rezultat był taki, że zrywał się klnąc w



środku nocy, gdy dobierały się doń różne leśne świnstwa. Cały był pogryziony, ale nie chciał się poddać.

Przyszedł ktoś ze sztabu, oferując mu pałatkę.

– Nie, nie potrzebuję – odparł Dan.

Aż pewnego dnia jeden z nas podejrział, na czym sprawa polega. Dan oczywiście skorzystał z pałatki, ale zamaskował ją liśćmi, żeby nikt się nie domyślił. Mamy cię, gnojku.

Dan w ogóle żył jakby w innym świecie. Kiedyś Mały przygotowywał coś, co nazywaliśmy zasadzką typu A. Chodzi o minę, którą umieszcza się w określonym miejscu i która wybuchą, gdy się na nią nastąpi. Mały znał się na minerce. Dan tymczasem zmajstrował sobie domowym sposobem minę przeciwpiechotną, używając do tego mydelniczki. Poprosił Małego, żeby ją wypróbował. Ładunek typu A, ten nad którym pracował Mały, składa się z osiemnastu mniej więcej kilogramów PE – *plastic explosive* – plastiku, pięciu lub sześciu granatów moździerzowych, kaliber osiemdziesiąt jeden milimetrów, oraz min przeciwpiechotnych. To wszystko razem daje rzecz o potężnej sile wybuchu. Dan uparł się, żeby do tego dołączyć tę jego mydelniczkę. Wybuch zniósł cały szczyt wzgórza, zrównując jakieś dwadzieścia metrów kwadratowych terenu, który po eksplozji wyglądał jak lądowisko dla helikopterów.

– Jak tam moja mydelniczka? – dopytywał się Dan.

– Widziałeś kiedyś, jak mysz pierdoli słonia? – odparł Mały.

Nasza „wycieczka” dobiegła końca. Dano nam sześciodniowy urlop. Sporo chłopaków wybrało się do Tajlandii i na zwiedzanie słynnej kolei birmańskiej. Reszta miała pojechać do Singapuru na zaproszenie Nowozelandczyków. Dan nie mógł się wprost doczekać wyjazdu.

Kiedy dotarliśmy do bazy w pobliżu Kluangu, sierżant, szef kompanii, urządził przyjęcie – postawił piwo i żarcie. Wszyscy wiedzieli, że najpierw obowiązek, potem przyjemność, więc zabrali się przede wszystkim do czyszczenia broni. Wszyscy, ale nie Dan.

Do mnie należała wtedy obsługa karabinu maszynowego, który był na naszym stanie. Obowiązek czyszczenia „etatowej” broni spoczywa na wszystkich, a nie tylko na obsługującym. W moim dawnym batalionie, w Green Jackets, kapral musiał tego pilnować i wyznaczać chłopaków do czyszczenia. Tu panowały inne zwyczaje. Zaraz przyszedł Mały i zaczął mi pomagać, po nim jeszcze ktoś i było naprawdę fajnie. Czuję, że jestem w zespole, w grupie. Byliśmy razem już od dwóch miesięcy, ale ja ciągle jeszcze na okresie próbnym, co oznaczało, że jeśli chłopcy mnie nie przyjmą, to mogą mnie wypieprzyć.

Tymczasem Dana Piły nigdzie nie było widać. Wlał w siebie parę litrowych butelek heinekena i zwyczajnie się uwalił. Nie zadbał o sprzęt, najpierw dał w szyję, bo wydawało mu się, że to bardziej po męsku. Owszem, miło jest wypić co nieco po robocie, zając się grilllem, na wszystko przychodzi stosowna pora. Każdemu z nas się marzyło, żeby lyknać, a potem pójść do miasta, ogolić się i ostrzyc jak należy. Nikt nie chciał się uwalać jak stodoła, bo po prostu szkoda dnia.

Nieprzytomnemu Danowi zrobiliśmy fajne zdjęcie, żeby kiedyś powiesić w kompanijnej sali tradycji. Schlany Dan leżał na ziemi. Grubo później ktoś nam powiedział, że dwa tygodnie po powrocie do Stanów Dan zastrzelił syna sąsiada za to, że próbował przeskoczyć przez jego płot. Wcale się nie dziwiłem, dobrze go poznałem.

W końcu poszliśmy sobie do miasta, do Kluangu. Pierwszy raz w życiu byłem na Malajach, chciałem się rozejrzeć, a przede wszystkim chciałem pójść do fryzjera. Łaziliśmy we czwórkę, raz po raz natykając się na kolegów. Fundnęliśmy sobie pieczonego kurczaka, posiedzieliśmy w barze, słuchając muzyki. Potem odwiedziliśmy jeszcze jakiś bar, coś zjedliśmy i wzięliśmy jeszcze po piwie. Pod koniec chłopcy zaczęli się wykruszać i o drugiej nad ranem zostaliśmy z George'em sami, nie bardzo pamiętając, jak się idzie do obozu.

– Weźmiemy taksówkę – rzekł George.

– Jaką taksówkę?

Wiedzieliśmy tylko, że obóz jest na wzgórzu. Ruszyliśmy w drogę.

– Trzeba gwizdnąć auto – odezwał się George po chwili.

– Powieszą nas za to.

Uszliśmy paręset metrów, gdy zobaczyliśmy wielką, czerwoną trójkolową riksę.

– Wspaniale.

George zajął miejsce na siodelku, ja z tyłu, bo była to taka riksza do przewozu towarów, z czymś w rodzaju sporego bagażnika z tyłu. Droga zaczęła bieć stromo w górę i George nie dawał rady pedałować, więc zleźliśmy i pchaliśmy nasz wehikuł. Tak dotarliśmy do bazy. Brama była zamknięta.

– Zostawimy pojazd i przejdziemy przez płot – zaproponowałem. Parę minut później byliśmy już w łózkach.

Rano, gdy staliśmy w kolejce po szmal, w kancelarii zjawił się starszy sierżant.

– Jest tu George? – spytał.

– Tak jest.

– Czy ty korzystałeś z rikszy wczoraj w nocy?

– Być może...

– Przypomnij sobie i odstaw pojazd na miejsce. Kto wie, może ktoś z tego żyje. Nie wolno lekceważyć miejscowych ludzi.

George spojrział na mnie. Wzruszyłem ramionami i zaśmiałem się. Zobaczyłem tylko, jak zaczyna dreptać do miasta. Zjawił się po godzinie z wielkim workiem zielonych warzyw.

– Fajna pamiętka – zauważyłem.

– Pierdol się. Jesteś mi winien dziesiątaka – odpalił George. – Pedalowałem do miasta, kiedy zahaltował mnie właściciel, który tu niedaleko sprzedaje zieleninę. Nie dał się spacyfikować, dopóki nie kupiłem całego towaru.

Później pojechaliśmy do Singapuru. Zaraz pierwszego wieczoru urządziliśmy sobie maskaradę. Każdy miał się przebrać w najbardziej idiotyczną koszulę, z takich co to wciska się turystom. Żadnych wiatrówek, tylko hawajskie koszule.

Niektórzy przywieźli je ze sobą, reszta spędziła cały dzień w Singapurze na poszukiwaniach stosownego odziewku.

Lekko nawalony wlałem do jakiegoś sklepu.

– Macie hawajskie koszule?

– Hawajskie? A zna pan Małego? To dopiero facet.

Wcisnęli mi jakiś koszmar z oranżowym zachodem słońca, zieloną palmą i wielkimi fioletowymi kwiatami.

„Wycieczka” była dla mnie ze wszech miar udana. Miałem szczęście, trafiłem do kompanii, która była w pełnym niemal składzie. Bywa bowiem tak, że przez rok albo dwa nie można poznać kolegów, bo akurat wykonują zadania w różnych zakątkach świata.

To prawda, że jeszcze nie całkiem zostałem zaakceptowany, ale przynajmniej poznaliśmy się nawzajem i miałem wrażenie, że wszystko jest chyba na dobrej drodze. Mależję będę pamiętał do końca życia, a przynajmniej dopóki nie zniknie ów mały ślad, jakby od papierosa – pamiętka po biesiadzie, którą moim kosztem urządziła sobie pijawka.

## 14

Pierwszy rok służby w Pułku był okresem próbnym. Po Selekcji cofnięto nam nasze stopnie wojskowe, z zachowaniem dotychczasowej gaży. Byłem więc szeregowcem z pensją plutonowego, niestety mniejszą niż żołd szeregowca SAS.

Warunkiem otrzymania gaży należnej w służbach specjalnych było zdobycie określonej specjalizacji, na przykład w zakresie łączności, minerstwa, służby sanitarnej czy znajomości języków. Na początek zawsze wymaga się ukończenia stosownego kursu łączności. To podstawa, chodzi o to, aby każdy wiedział, jak wezwać pomoc w razie czego.

Trzeba też opanować różne sposoby przemieszczania się do określonego miejsca w rejonie działania. Chłopcy z plutonu zmechanizowanego muszą umieć prowadzić najprzeróżniejsze typy samochodów, nurkowie – znać się na sprzęcie pływającym, faceci z plutonu „górali” muszą umieć łązić po górach, a my – z powietrznodesantowego musimy wiedzieć, jak się skacze ze spadochronem, tak aby wylądować w ściśle wyznaczonym miejscu.

Bez określonej specjalizacji nie ma mowy o gaży SAS, ale sprawa nie jest prosta. Chodzi o to, że niemal bez przerwy wykonuje się działania w terenie i zwyczajnie nie ma czasu na pójście na kurs, a bez kursu nie ma szmalu. Sytuacja jak z *Paragrafu 22*.

Wkrótce po powrocie z Malezji mieliśmy rozpocząć szkolenie w zakresie działań antyterrorystycznych. Jeden pluton skierowano do Irlandii Północnej, pozostałe trzy miały stanowić jednostkę antyterrorystyczną. Do Irlandii wyznaczono nasz, siódmy.

Przed wyjazdem nie przewidziano żadnych specjalistycznych kursów w jednostce, ale otwierała się możliwość zdobycia pewnych kwalifikacji w „przenikaniu”. Nie załatwi to co prawda sprawy gaży, ale pozwoli mi wreszcie pojąć, co chłopcy z plutonu mają na myśli, mówiąc o pilotach, przęzłach, czaszach i różnych takich rzeczach.

Ludzie przyzwyczaili się kojarzyć SAS z samochodami terenowymi na pustyni albo z facetami w czarnych kominiarkach, spuszczałymi się na linach z dachu jakiejś ambasady, albo wreszcie ze spadochroniarzami w pełnym oporządzeniu, wyskakującymi głęboką nocą z samolotu. W rzeczywistości jest trochę inaczej, a jeśli idzie o skoki, to podobnie jak wszystko w naszej służbie, nie są one sztuką dla sztuki, ale sposobem przemieszczania się z punktu A do punktu B.

Wyszkolony skoczek w SAS musi umieć desantować się z całą grupą, w nocy, w masce tlenowej i z pełnym oporządzeniem ważącym ponad pięćdziesiąt kilogramów. Musi wiedzieć, jak sterować spadochronem, aby nie stracić z oczu „zrzutu” – pojemnika, w którym znajduje się jego własny, dodatkowy sprzęt albo coś, co trzeba dostarczyć w określone miejsce. Cały desant musi trzymać się razem. Jeśli bowiem spieprzy się fazę „przenikania”, to konsekwencje narastać będą lawinowo.

Warto też dodać, że skakanie ze spadochronem szalenie wciąga. Mieliśmy w Pułku prawdziwych mistrzów w tej dziedzinie – facetów, których powoływano do reprezentacji Wielkiej Brytanii na międzynarodowe zawody spadochronowe.

Kurs spadochronowy trwa sześć tygodni. Zapewnia, że tak powiem, podstawowe umiejętności w tym zakresie. Reszty nauczę się w plutonie. Ten, na który zostałem zapisany, obejmował dwa tygodnie szkolenia w Anglii, kolejne dwa tygodnie w Pau, francuskiej bazie wojskowej w Pirenejach, i powrót na ostatnie dwa tygodnie do Anglii. Bywało, że cały sześciotygodniowy kurs organizowano w Stanach Zjednoczonych. Wszystko zależało od pogody. Nie było bowiem sensu, aby kosztowne samoloty stały uziemione, bo akurat jest gówniana pogoda. Rozsądniej i taniej jest wywieźć kursantów razem z instruktorami RAF gdzieś, gdzie świeci słońce.

W Brize Norton było jeszcze fajniej niż za pierwszym razem, kiedy odbywałem tu podstawowe szkolenie. Ćwiczyło tylko pięciu kursantów: ja i czterech chłopaków z SBS – *Special Boat Service* – odpowiednik naszego Pułku w marynarce wojennej. Mieliśmy doskonałe stosunki z instruktorami, z których większość należała do reprezentacyjnego zespołu Falcons – takiego jakby cyrku lotniczego. Doskonale wiedzieli, że wiele spraw, które kładli nam do głowy, zestarzało się i przeżyło, ale co robić, wszystko regulowały przepisy. Złościła mnie trochę taka nauka dla nauki, bo wydawało mi się, że na zaawansowanym poziomie powinno być inaczej. Tymczasem było, jak

było. Znacznie później dowiedziałem się, że podręczniki i regulaminy dotyczące spadochroniarstwa zwyczajnie nie nadążają za rozwojem techniki w tej dziedzinie sportu. W Pułku stale śledziliśmy te rzeczy, szukając sposobów wykorzystania nowinek sportowych do celów wojskowych.

Pierwsze dwa dni to szkolenie na ziemi, zapoznavanie się ze sprzętem. Potem skoki. Pierwszy z klasycznym spadochronem PB6 z okrągłą czaszą, następnie z „TAP – model bardzo zbliżony do sportowych Para Commander, choć też wcale nie najnowocześniejszy, bo umożliwiał jedynie zwroty w poziomie.

Nadszedł trzeci dzień kursu. Załadowano nas do transportowca Herkules C130. Niech się dzieje wola nieba – myślałem w powietrzu – najważniejsze, żeby się nie wygłupić. Skoczę oczywiście, żadna sprawa, byle tylko niczego nie spieprzyć. W cichości ducha powtarzałem sobie cały regulamin skoków.

„Nawet zawodowcy, faceci, którzy skaczą od lat, tak właśnie robią – zapewniali instruktorzy. – W samolocie powtarzają sobie szczegóły, na przykład jak w razie awarii pozbyć się zasadniczego spadochronu, jak otworzyć rezerwową. To nie strach, lecz rozsądek”.

Zmrużyłem oczy i liczyłem w myślach: sto jeden, sto dwa, sto trzy, sprawdzam czasę, bo tak właśnie się robi po opuszczeniu samolotu. Czasza nie wypełnia się? Odcinamy spadochron, otwieramy zapasowy.

Na wysokości tysiąca ośmiuset metrów zrobiło się zimno. W powietrzu mniej tlenu niż na ziemi, głowa robi się jakby lżejsza. W samolocie panuje ogłuszający hałas. Jeśli się chce coś powiedzieć, trzeba krzyżeć.

Będziemy skakać razem z instruktorami. Każdy ze swoim. Przyszła moja kolej. Stałem przy luku rufowym, na palcach, twarzą do wnętrza samolotu, mniej więcej jak na trampolinie. Instruktor trzymał mnie za rękę, patrząc prosto w oczy. Czekaliśmy na sygnał. Pęd powietrza targał kombinezonem. Trzy i pół tysiąca metrów niżej rozciągało się Oxfordshire.

– Uwaga!

A więc to już. Padną jeszcze dwie komendy. Instruktor przyciągnie mnie lekko do siebie, a następnie odepchnie w otchłań.

– Gotów.

Pochyliłem się do przodu.

– Skok!

Skoczyłem do tyłu.

Nie odrywałem wzroku od luku. Widziałem, jak instruktor opuszcza samolot o ułamek sekundy po mnie. Jedna sekunda to w przeliczeniu mniej więcej dwadzieścia metrów różnicy w przestrzeni, więc instruktor skoczył mi niemal na łeb.

Pierwsze kilka skoków miało nas nauczyć utrzymać stabilną pozycję w powietrzu, bez przechylania się czy koziołkowania.

Udało się.

Patrzyłem przed siebie, czyli w stronę ziemi. Uczono nas, że należy wybrać sobie określony punkt i starać się nie zmieniać pozycji w stosunku do niego. Trzeba też obserwować wysokościomierz i na pułapie tysiąca pięćdziesięciu metrów otworzyć spadochron. Zacząłem się obracać w lewo. Nie skorygowałem ruchu. Wskazówka wysokościomierza doszła do tysiąca pięćdziesięciu. Pociągnąłem za klamrę. Czasza otworzyła się z hukiem, szarpnęło mną, miałem wrażenie, że nagle zatrzymałem się w powietrzu.

Spojrzałem w górę, skontrolowałem czaszę. Wszystko jak należy, na swoim miejscu. Złapałem linki sterujące, spojrzałem w dół i na boki sprawdzając, czy nie ma w pobliżu innych spadochronów.

Obserwowałem z góry autostradę do Oksfordu. Widziałem auta, ludzi, domy i kilka osób przy *DZ – Drop Zone* – lądowisku. W powietrzu panowała absolutna cisza, byłem jak zawieszony w przestworzach, ale nagle ziemia zaczęła pędzić mi na spotkanie. Wylądowałem, przeturlałem się na bok, „zgasilem” czaszę. Już po wszystkim. Teraz do samochodu. Pół godziny jazdy na lotnisko, do C130.

Początki były jednak ciężkie, choć zadanie polegało jedynie na tym, aby nauczyć się manewrować w powietrzu. Skakaliśmy tylko w kombinezonach, bez sprzętu, masek tlenowych, bez broni. Kiedy umieliśmy już utrzymać stabilną pozycję w powietrzu, przyszła kolej na manewry: obrót o trzysta sześćdziesiąt stopni w poziomie, w lewo i prawo oraz obroty w pionie. Następnie uczyliśmy się prawidłowych reakcji po opuszczeniu samolotu, a także co robić w razie utraty orientacji, jeśli wyskoczy się w sposób nieprawidłowy.

W takich właśnie przypadkach należy najpierw rozłożyć ręce i nogi. To stabilizuje pozycję. Nie jest to trudne do wykonania, tak przynajmniej sądziliśmy do czasu, gdy przyszło nam wykonać ten sam manewr w pełnym oporządzeniu.

Uczyliśmy się, jak przygotowywać, jak pakować i wreszcie jak mocować „bagaże”, a więc sprzęt i ekwipunek. Później, już po powrocie do Pułku, przekonaliśmy się, że to, co nam wykładano na kursie, miało się z praktyką. Uczono nas bowiem, że po otwarciu spadochronu trzeba cały bagaż spuścić pod siebie na trzymetrowej linie. Kłopot z tym, że jeśli akurat ma się w plecaku jakiś delikatny sprzęt, to przy zastosowaniu tej metody łatwo o uszkodzenie w momencie zetknięcia z ziemią. W Pułku mieliśmy inną metodę. Po otwarciu spadochronu ostrożnie przemieszczaliśmy plecaki w dół, wieszając je na stopach, a tuż nad ziemią zrzucaliśmy je i swobodnie gasiliśmy spadochron.

Uczono nas także, jak używać aparatów tlenowych. W samolocie, w czasie dolotu, nie oddycha się tlenem z butli, aby nie wyczerpywać zapasu.

Korzysta się z systemu pokładowego. Na własne „zasilanie” przechodzi się dopiero podczas skoku. Uczyliśmy się tego w praktyce, pod okiem specjalisty, który sygnalizował, kiedy trzeba odłączyć się od systemu pokładowego i przejść na tlen z butli.

Kolejne skoki, do których nas przygotowywano, nazywano „skokami na symulację tlenową”. Skakaliśmy z trzech i pół tysiąca metrów, a więc z maksymalnego pułapu, na którym można jeszcze przebywać bez tlenu. Jak na razie robiliśmy to bez broni.

Wykonywaliśmy również skoki nocą. To naprawdę wspaniała sprawa. Cudownie wyglądają światła na ziemi, gdy stoi się w otwartym luku samolotu.

No i nadeszła pora na skoki nocą w pełnym oporządzeniu. Spadochrony wyposażano w specjalne urządzenie AOD – *Automatic Opening Device* – wyzwalacz automatyczny, który otwiera spadochron na określonej wysokości. Przed skokiem trzeba było go odpowiednio nastawiać, wedle danych meteo, dotyczących ciśnienia, bo jego działanie oparte jest, podobnie jak działanie wysokościomierzy pokładowych, na pomiarze ciśnienia powietrza. Było to takie zabezpieczenie na wszelki wypadek, gdyby ktoś stracił przytomność w powietrzu, wpadł w korkociąg albo zderzył się z innym skoczkiem. Uruchamiało się na wysokości tysiąca pięćdziesięciu metrów.

W kompanii opowiadano sobie straszne historie o chłopakach, którzy wpadali w korkociąg, co zdarza się najczęściej w czasie skoków z obciążeniem. Sprzęt trzeba odpowiednio zamocować, zwrócić uwagę, aby był równo rozmieszczony, bo inaczej może być źle. Wystarczy nie dopięty pasek albo obluzowany pojemnik, żeby pęd powietrza zrobił swoje. Człowiek zaczyna się obracać i trzeba się bardzo namęczyć, by ustabilizować pozycję. Korkociąg zaś ma to do siebie, że wiruje się coraz szybciej.

Kiedyś przydarzyło się to jednemu chłopakowi z Kompanii D. Zaczął wirować, spadał na łeb, na szyję. Wyszedł z tego, ale kosztem wielkiego wysiłku. Popękały mu naczynia krwionośne w gałkach ocznych. Długo jeszcze przypominał wampira o czerwonych oczach.

Ćwiczyliśmy również wszystkie fazy skoku, który wymaga użycia tlenu, ale ciągle jeszcze skakaliśmy z wysokości, przy której nie trzeba używać maski tlenowej. Ćwiczyliśmy nocne skoki, ze sprzętem i bez. Nadszedł czas wyjazdu do Francji.

W Pirenejach treningi nabrały tempa. W czasie szkolenia w Anglii lądowisko wyznaczano poza bazą Brize Norton i sporo czasu zabierał powrót na lotnisko. W Pau skakaliśmy prosto na pasy startowe, gdzie już czekała maszyna, żeby nas wywieźć z powrotem w górę.

Przepisy RAF ograniczają liczbę skoków do trzech w ciągu dnia z uwagi na groźbę niedotlenienia organizmu na skutek przebywania na wysokości



trzech i pół tysiąca metrów. Objawia się to silnym znuzeniem, które może doprowadzić do błędów w ocenie sytuacji i postępowaniu. Można temu zapobiec, korzystając z masek tlenowych, ale na to nie mieliśmy wpływu. Decydował RAF.

Po powrocie z Francji przeszliśmy badania w centrum medycznym RAF w Luffingham, a przy okazji wygłoszono nam wykład o niedotlenieniu i jego skutkach i w ogóle o zdrowiu. Bardzo ważną sprawą jest dobry stan uzębienia. Niedokładnie zrobiona plomba, pod którą pozostała odrobina powietrza, może wręcz eksplodować na dużych wysokościach. Gdy ciśnienie zewnętrzne spada, a tak jest na wysokich pułapach, drobina powietrza pod plombą rozsada ząb. Sam widziałem coś takiego ze dwa razy. Okropny widok. Zwiększa się również ilość gazów w przewodzie pokarmowym. W samolocie pierdzieliśmy bez przerwy.

Zamykano nas w komorach kompresyjnych, w których stopniowo obniżano ciśnienie, jak na dużych wysokościach. Organizm otrzymywał coraz mniej tlenu. Kazano nam pisać w tych komorach tabliczkę mnożenia i narysować świnię i słonia. Słoń wyszedł mi okropnie, miał nieproporcjonalnie wielkie ślepia. W miarę jak zaczynało brakować tlenu, pojawiały się kłopoty z tabliczką mnożenia. Mózg nie chciał pracować. Gdy pozwalano włożyć maskę tlenową, wszystko wracało do normy. Jeśli chodzi o słonia, to dodam, że w ogóle nie umiem rysować.

Do końca naszych dni w wojsku będziemy przechodzić coroczne badania w Luffingham. Taki jest warunek. Co roku będą nas prześwietlać, pouczać i zaglądać nam w uszy. Uszy są bardzo ważne. Reagują na najmniejszą zmianę ciśnienia.

Na zakończenie kursu trzeba było wziąć udział w zbiorowym skoku, nocą, w pełnym oporządzeniu, z wysokości siedmiu i pół tysiąca metrów. Pomyślne wykonanie tego zadania dawało nam stosowne uprawnienia, ale zaraz po powrocie do jednostki człowiek przekonywał się, że znów trzeba zaczynać od początku. Nonsens polegał na tym, że w RAF korzystano z zupełnie innego sprzętu niż ten, który znajdował się w jednostce. W ciągu paru dni będę musiał przerobić więcej niż przez sześć tygodni w RAF.

Prawdziwe życie zaczyna się, gdy trzeba skoczyć z aparatem tlenowym, z radiem, bronią, np. GPMG, i prawie pięćdziesięcioma kilogramami sprzętu. Czasem ma się na plecach zapas amunicji, bo akurat coś takiego jest potrzebne chłopcom na dole, albo dźwiga się nie tylko plecak, ale także płytę oporową mózdzierza, a wiadomo, ile to waży. W czasie wykonywania zadań człowiek musi mieć na sobie tyle różności, że ledwie się rusza. Cała sztuka polega na tym, aby lecieć jako tako równo i nie odłączyć się od reszty.

W plutonie przestawialiśmy się z HALO – *High Altitude Low Opening* – skoków z dużej wysokości, z opóźnionym otwarciem spadochronu, na HAHO

– *High Altitude High Opening* – skoki z dużej wysokości, lecz z natychmiastowym otwarciem. Te pierwsze są niebezpieczne, zwłaszcza nocą. Samolot musi nadlecieć bezpośrednio nad rejon zrzutu. Spadochron – wiadomo – otwiera się z hukiem, więc na niskiej wysokości może zaalarmować przeciwnika, którego chcemy zaskoczyć. Ta druga technika pozwala na desantowanie się z dużych wysokości i w znacznej odległości od celu, nawet do osiemdziesięciu kilometrów. Skok z wysokości dwunastu tysięcy metrów z odpowiednim spadochronem i radiowym namiernikiem można zakończyć lądowaniem w promieniu piętnastu metrów od celu, nawet w złych warunkach pogodowych i w nocy.

Do takich skoków trzeba mieć odpowiednie wyposażenie, aparaty tlenowe, ogrzewane skafandry, podobnie jak astronauty, bo temperatura powietrza na tych wysokościach spada do minus czterdziestu stopni, a szybowanie z prostokątnym spadochronem na odległość osiemdziesięciu kilometrów może trwać godzinę.

Nowa technika – HAHO – wypiera tradycyjne skoki z opóźnionym otwarciem. Można skakać, dla niepoznaki, w obrębie cywilnych korytarzy powietrznych. Na radarze nie widać spadochronu. Oddział antyterrorystyczny, wykorzystując tę technikę, może całkowicie zaskoczyć przeciwnika, na przykład porywaczy, którzy gdzieś tam na jakimś lotnisku opanowali samolot i pilnie obserwują wszystko, co się dzieje w pobliżu. Tymczasem oddział spada jak grom z jasnego nieba. Ta technika pozwala też na niezwykle precyzyjne lądowanie w ściśle określonym miejscu.

Pod koniec kursu nadszedł list od Debbie. Właśnie zamieszkała w Herefordzie. *Jestem sama* – pisała – *i sama spędzam większość czasu*, a ja jak idiota uwierzyłem w każde słowo. Byłem zbyt zajęty własnymi sprawami.

## 15

Poinformowano mnie, że mam jechać z plutonem do Irlandii Północnej, ale przedtem muszę przejść kurs przygotowawczy.

Takie szkolenie może trwać parę dni lub pół roku, w zależności od konkretnego zadania. Na wyjazd do Irlandii szkolono nas przede wszystkim w zakresie CQB – *Close Quarter Battle* – walki wręcz.

„Po pierwsze – mówił instruktor – musicie doskonale poznać broń krótką, z której korzystamy na tamtym terenie, wiedzieć, jak się posługiwać tą bronią w czasie wykonywania tajnych zadań. Podczas szkolenia zasadniczego po Selekcji nauczyliście się już podstaw, opanowaliście strzelanie z pistoletu, dowiedzieliście się, jak się broń nosi, jak się ją dobywa. Teraz chodzi o coś więcej. Będziemy ćwiczyć do skutku, aż broń stanie się częścią waszego ciała”.

Jednocześnie uczono nas zasad walki wręcz – mordobicia – jak niektórzy to nazywali. Zrazu wyobrażałem sobie, że wyszkolą nas na karateków z co najmniej czarnym pasem, ale karate to sport, a w sporcie obowiązują pewne zasady, reguły i ograniczenia. W wypadku CQB chodzi wyłącznie o to, aby przeciwnika zneutralizować możliwie szybko i skutecznie, bez szkody dla siebie. W Irlandii Pułk nie występował jako zwarta jednostka bojowa, zadanie polegało na prowadzeniu tajnych operacji: neutralizacji bądź eliminacji przeciwnika, w zależności od okoliczności.

„Tak więc musicie nauczyć się, jak działać w obliczu zagrożenia, zwłaszcza w szczególnych warunkach: w zaułkach, w pubach, w samochodzie, podczas wsiadania lub wysiadania”.

Ważniejsze jeszcze jest to, jak rozpoznać zagrożenie. Sprawa bowiem nie sprowadza się do tego jak, ale kogo zneutralizować. Pomyłka może drogo kosztować.

Nie jest też tak, że w każdej sytuacji od razu sięga się po broń. Zawsze trzeba pamiętać o tym, że użycie broni może zdekonspirować jakąś większą operację, którą przygotowuje się od dłuższego czasu, i wystawić na niebezpieczeństwo innych ludzi. Jeśli coś da się załatwić pięścią, kolaniem, głową i nogą, tym lepiej. Po broń sięga się w ostateczności.

„Jest ogromna różnica – ciągnął instruktor – między strzelaniem do nieruchomych obiektów w terenie a działaniem w tłumie, kiedy wokół jest pełno spanikowanych ludzi, a obiekt też rozpoczyna ogień”.

Mick wykladał „mordobicie” od lat. Był średniego wzrostu, lekko zezowaty, z zadartą do góry brodą. Przypominał mi Puncha – garbatą kukielkę, od której wziął nazwę znany tygodnik satyryczny – czego oczywiście nie powiedziałbym mu za żadne skarby, bo coś niecoś o nim wiedziałem. Mick pochodził z rodziny walijskich zabijaków. Jego stary, choć stuknęła mu już osiemdziesiątka, ciągle zagląda do pubów, szukając okazji do bójkii. Jeszcze w szkole Mick zakwalifikował się do reprezentacji Walii w gimnastyce, ale musiał zrezygnować, bo ojciec nie dawał mu pieniędzy na dojazdy na treningi. Wtedy zajął się boksem i był nawet w drużynie narodowej. Za młodu zarobił sporo szmalu na kradzieżach, głównie w sklepach, później jednak wspólnik wystawił go do wiatru i Mick skończył bez grosza w mieszkaniu komunalnym.

Na ćwiczenia praktyczne jeździliśmy cywilnymi, nie oznakowanymi samochodami; w dżinsach, podkoszulkach, z pistoletami za pasem. Ćwiczyliśmy zaś w wielkim betonowym pomieszczeniu przypominającym schron. Było mroczne, zakurzone, na ziemi leżało trochę mat gimnastycznych, z sufitu zwisały worki treningowe, a na ścianach umieszczono tarcze. Do szkolenia w mordobiciu nic więcej nie trzeba.

„Wszystko, co wam kładę do głowy – mówił Mick – opiera się na dwudziestosiedmioletnim doświadczeniu, z tym jednak, że pierwsze dwadzieścia pięć lat, które poświęciłem na szlachetną sztukę walki, można uznać za stracone. Przy moim wzroście i wadze znajomość paru chwytów i trików nie daje nic w konfrontacji z kimś, kto jest o głowę wyższy i pięćdziesiąt kilo cięższy. Jeśli dostaniecie w mordę od kogoś, kto waży sto dwadzieścia kilo, to nakryjecie się nogami, bo nie ma innej możliwości. Jeśli rąbnie was jakiś konus, to najwyżej może zabołec, ale cios, za którym idzie stukilowa masa ciała, musi ściąć z nóg, choćby nie wiem co”.

To, czego się uczyliśmy, było mieszaniną bijatyki, pewnych chwytów i trików bokserskich oraz kontrolowanego użycia broni. Jeśli dojdzie do starcia z kimś przed barem w Belfaście, to ów ktoś nie będzie się uprzejmie kłaniał i

nie będzie przestrzegał zasad szlachetnej walki na pięści. W ruch pójdzie wszystko: pięści, nogi, kolana, łokcie, zęby. Krótko mówiąc, mieliśmy opanować metody brudnej walki. Gdyby przyciśnięto nas do ściany gdzieś w Irlandii i zaczęlibyśmy popisywać się chwytami w stylu Bruce'a Lee, zaraz by nas zdemaskowano. „Patrzcie, co on umie, coś tu śmierdzi” – taka byłaby reakcja. Jeśli zaś zadziałamy jak chuligani, wtedy każdy pomyśli, że to zwykła bójka, wzruszy ramionami, nie domyślając się, że jest to akcja sił specjalnych.

„Po walce nie stojcie na miejscu, czekając na owację. Należy spierdalać tak szybko, jak się da”.

Taktyka obejmowała zwykle zasady: szybkość, zdecydowanie i element zaskoczenia.

„Gdy już się podejmie decyzję, to trzeba iść na całego, walić ze wszystkich sił i załatwić sprawę jak najszybciej. Jeśli będziecie się wahać, znajdziecie się na ziemi, a wtedy ktoś na was skoczy i będzie trudno, nie mówiąc już o tym, że może się zwalić na was jakiś stukilowy osiłek – Mick wskazał palcem na Małego – powiedzmy, że to on przyciska mnie do ziemi. Co mogę zrobić? Co najwyżej odgryźć mu nos i spierdalać, gdzie pieprz rośnie”.

Uczyliśmy się zasad użycia broni w trudnych sytuacjach: w zwarcu, gdy zepchną nas pod ścianę albo wcisną w kąt, w windzie, w tłumie. Trzeba umieć strzelić natychmiast po dobytciu broni. Nie ma mowy o regulaminowej pozycji strzeleckiej. Ważne jest tylko jedno – absolutna pewność, że trafi się w cel, to zaś wymaga praktyki, bo inaczej można samemu się postrzelić. Pod koniec dnia byliśmy mokrzy od potu, brudni i zakurzeni. Dla chłopców była to powtórka, dla mnie pierwsza lekcja nowej sztuki, którą byłem totalnie zachwycony.

Pokazano nam też, jak się wywijać z trudnych sytuacji, gdy jest się na muszce. Na filmach widywałem takie sceny, kiedy przykładano komuś pistolet do piersi z okrzykiem: „Nie ruszać się, bo strzelam!” W rzeczy samej wyjście z czegoś takiego wcale nie jest skomplikowane. Wystarczy uderzyć w rękę trzymającą pistolet. Wystarczy przesunąć się o piętnaście centymetrów i już jest się poza zasięgiem ognia.

„A więc – mówił Mick – najpierw trzeba łupnąć i natychmiast starać się przewrócić atakującego na ziemię, wyrwać mu pistolet i zdecydować, czy zabić, czy zbiec”.

Na tym etapie szkolenia ćwiczyliśmy różne sytuacje. Na przykład ktoś zachodzi nas od tyłu z okrzykiem „Ręce do góry!” Trzeba wtedy starać się złapać faceta za kark i użyć jako tarczy, podczas gdy samemu rozpoczyna się ogień.

Po kilku dniach takich ćwiczeń wszyscy nosiliśmy ślady bójek siniaki,

zadrapania i tym podobne pamiątki. W dalszej kolejności nauczyliśmy się, jak się bić i jednocześnie strzelać. Może bowiem zdarzyć się taka sytuacja, że trzeba będzie strzelić do kogoś w tłumie i w ciasnym pomieszczeniu, na przykład w sklepie. Trzeba więc umieć rozepchnąć tłum albo go okrążyć. Musieliśmy się liczyć również z taką ewentualnością, że rozpoczynamy ogień, a jednocześnie szukamy wzrokiem wybranego celu, trzymając w szachu cały tłum.

Może się zdarzyć, że zaczepi nas przypadkiem gromada facetów, my zaś uznamy, że lepiej nie podejmować walki, tylko wycofać się. Jeśli jednak okaże się, że są to terroryści, a nie kilku rozrabiaków z pubu, smakujących okazji do bójki, to trzeba ich załatwić. Decyzję należy podjąć bez wahania.

„Kto się zastanawia, dostaje w czapę – mawiał Mick – ważna jest szybka decyzja. W każdej sytuacji trzeba najpierw postanowić, co się robi. Kto tego nie uczyni – zginie”.

Opowiedział nam o pewnym facecie z Pułku, który wykonywał jakieś zadanie w Londonderry i w związku z tym musiał wejść na teren pewnego osiedla mieszkaniowego, a konkretnie – Shantello. Był sam. Pistolet schował za pas z przodu. W pewnym momencie zauważył, że idzie za nim trzech mężczyzn. Nie wiedzieli, kim jest, ale zorientowali się, że to obcy. Spostrzegli go, jak wysiadał z samochodu.

„W zaułku rzucili się na niego od tyłu. Padając przekręcił się, bo – pamiętajcie – jak ktoś was popchnie, to nie wolno padać na kolana, trzeba przekoziółkować, przekręcić się do pozycji, z której można strzelać”.

Tak więc ten nasz facet przekręcił się przez ramię, kątem oka zobaczył, że dwóch gości trzyma go na muszce, wyciągnął piorunem broń i załatwił obu. Trzeci dał nogę. Cała akcja trwała ledwie dwie sekundy. I to jest właśnie przykład umiejętnej walki wręcz, bo facet wiedział, jak się przewrócić po popchnięciu, i właściwego posłużenia się bronią. Tylko w ten sposób można uratować życie.

„Musicie też wiedzieć, do czego wasz przeciwnik w Irlandii jest zdolny – ciągnął Mick – i nie trzeba na ten temat dużo mówić. Dość przypomnieć sobie, jak wyglądały ofiary »Rzeźników z Shankill«, żeby zrozumieć, iż nikt nie będzie się patyczkował. Ci faceci mogą potraktować was wiertarką, kamieniami lub łomem”.

Powiedziano nam, że wielu mieszkańców Irlandii Północnej ma broń i lubi się nią popisywać, ale w konkretnej sytuacji liczy się zamiar i zdecydowanie. Jeśli śmiało podejdzie się do faceta z bronią, to da ją sobie odebrać, bo sam nie wie, kiedy strzelić i czy strzelić.

Mick kładł nam do głowy, że jeśli już sięgamy po broń, to po to, by jej użyć. Nigdy nie wygłasza się groźb, których nie chce się spełnić.

„Ważne jest nie tylko jak – mówił Mick – ale i kiedy: Zamiar i decyzja

znaczą tyle, ile umiejętności. W Irlandii co pięć minut powstaje sytuacja, w której chciałoby się sięgnąć po broń. Ważne jest więc, czy istotnie mamy zamiar jej użyć czy nie. Bez tego łatwo zginąć, a co gorsza, można zdekonspirować całą operację. Wyobraźcie sobie ciągnął – że ktoś was zaczepia. »A pan kto?« – zapyta i może się zdarzyć, że cała ulica zacznie was obserwować. Istotne jest, aby okazać pewność siebie, a zarazem obojętność. Wiara w siebie to wasza najważniejsza broń”.

W Irlandii jest tak, że raz po raz człowiek może znaleźć się w obliczu całej gromady facetów, dlatego że jest obcy. „A ty, kurwa, czego tu szukasz?” – zaczepią. Jeśli się strefi, opuści wzrok, zawaha, to tylko pogorszy sytuację. Wyczują, że coś jest nie tak. A więc co robić?

„Wyciągnąć pistolet – radził Mick na koniec – a warto skorzystać z jeszcze innej broni. Zwyczajnie, obrzucić ich chujami, najlepiej dobrym irlandzkim akcentem. W dziewięciu przypadkach na dziesięć to załatwia sprawę”.

Szkolenie zabrało sporo czasu. Uczyliśmy się technik i taktyki obserwacji, rajdowego prowadzenia auta, strzelania z pędzącego pojazdu i celowania do jadącego auta. Bardzo mi się to wszystko podobało.

## 16

Odebrano mnie z lotniska w Belfaście i zawieziono na miejsce. Zapachy i dźwięki przypomniały mi Crossmaglen. Tu też wszystko przepelniała woń smażonych jajek, talku oraz muzyka i ciągle wrzaski. Podobnie jak w Crossmaglen, ulicami włościły się gromady wiecznie głodnych psów.

– Skończyły się wakacje? – rozległ się znajomy głos i głośnie pierdnięcie.  
– Czas najwyższy. Uprzedzono nas zresztą, że zjawi się jakiś wał z Green Jackets.

– Jak się masz, Nosh.

Właśnie wyszedł ze swojego pokoju, zmierzwiony, w dżinsach, klapkach i wyświechtanym podkoszulku, jak zwykle z petem w zębach.

– Herbaty? – ruszył przodem.

Poszedłem za nim do kantyny. Imbryk z wrzątkiem wyglądał tak, jakby bulgotał dwadzieścia cztery godziny na dobę. Obok stało duże pudło z biszkoptami z NAAFI oraz puszki z kawą i cukrem.

– Co słychać u lodziarzy?

Zdażyłem już rozszyfrować tajemnicze przezwisko. Pluton desantowy był stałym przedmiotem żartów. Powiadano, że niech tylko pojawi się kamera, to desantowcy zaraz ustawiają się do zdjęcia, zawsze w przeciwsłonecznych okularach, zawsze opaleni, co wiązało się z ich rodzajem służby. Otóż w czasie ćwiczeń czy szkoleń chłopcy z plutonu górskiego zaszywali się w górach, ci od płetwonurków zanurzali się w mętnych wodach albo wiosłowali gdzieś w deszczu i mrozie, a my – desantowcy – spokojnie czekaliśmy na dobrą pogodę, wykonywaliśmy po parę skoków i fajrant. Wbijaliśmy się w



dżinsy i zadowoleni szliśmy na lody. Był wszakże wyjątek: pluton desantowy Kompanii G, znany jako oddział Lonsdale'a. Ci bez przerwy klócili się między sobą. Kiedyś nawet skoczyli sobie do oczu na stacji benzynowej, bo nie mogli się dogadać, kto ma wysiąść i zatankować.

– Widziałeś się już z kimś? – spytał Nosh. – Operacyjny jest na górze. Rzeczy możesz zostawić tutaj. Chuj wie, gdzie cię zakwaterują, chyba ze Steve'em, ale idź na górę i zobacz, co tam zdecydowali. Małemu gwizdnęli motocykl w Londynie. Nie może tego przeżyć. Zapytaj go, do tej pory o niczym innym nie jest w stanie mówić, taki jest wkurwiony. A co gorsza, zakwaterowali go ze mną, czego też nie może znieść. No to leć, zaraz będą dawać *Blockbusters* w telewizorze.

Nosh, jak przekonałem się wieczorem, gdy dostałem wyrko w pokoju Steve'a, ciągle był tym samym, wiecznie dłubiącym w nosie odszczepieńcem rodzaju ludzkiego, tkwiącym we własnym zafajdanym świetle. Jeśli nie podobało mu się coś, co właśnie oglądał w telewizorze, ukręcał kulkę z zawartości nosa i strzelał w ekran. Chyba niewiele mu się podobało, bo na ekranie widniały liczne dowody niezadowolenia.

– Postanowił nauczyć się grać na gitarze – powiedział mi Frank. – Całymi dniami gra *Duelling Banjos*. To znaczy wydaje mu się, że gra. Uszy pękają.

– A skoro o tym mowa – rzekł Steve – to ostrzegam cię, żebyś nie zaglądał do tej jego gitary.

– A to dlaczego?

– Nie zaglądaj i już.

Oczywiście zajrzałem. Chyba tylko cud sprawił, że Nosh w ogóle jeszcze miał nos, jeśli wziąć pod uwagę ilości „kóz” nagromadzonych we wnętrzu gitary.

Poza pierdzeniem, dłubaniem w nosie i brzdąkaniem na gitarze Nosh miał jeszcze dwie życiowe pasje: jajka i grzanki z pastą jarzynową. Co wieczór zachodził do kuchenki, gotował jajka, piekł grzanki, następnie wracał do siebie, rozwiązywał krzyżówkę, oglądał telewizję, wypalał papierosa, puszczał pierda i szedł spać.

Był z nami także Johnny Dwugrzebieniowiec z plutonu morskiego. W dalszym ciągu miał przyłizaną fryzurę. Ostatni raz widziałem go w barze w Herefordzie. Ubrany był wtedy w czarny golf, żółtą koszulę i czarne spodnie. Próbował poderwać dziewczynę. Podeszedł do niej, mrużąc oczy jak Robert de Niro.

– Ma pani najpiękniejsze w świecie oczy.

Była to najśmieszniejsza zaczepka, jaką w życiu słyszałem, a jednak pół godziny później Johnny wsiadał już z tą damą do taksówki. Colin dowodził plutonem, kiedy jechałem do Malezji. Tutaj także był małomówny, jakby cierpiał przy każdym wypowiedzanym słowie. Mówił co najwyżej: „dobrze”

albo „gówno” i tyle.

Ena poznałem w czasie pierwszej Selekcji, ale wtedy on zdał, a ja nie. Był więc w Pułku o sześć miesięcy dłużej niż ja. Wywodził się z Queen’s Regiment – osobistej gwardii królowej – co było raczej rzadkością w naszej jednostce. Wszyscy zwracali się doń tak, jakby wykrzykiwali komendy na paradzie i nie wiedzieć dlaczego wołali: „trzy królowe, trzy królowe” na jego widok. Eno był szczupły i niski, a przy tym wspaniale biegał i nieźle dawał sobie radę w triathlonie. Wypalał paczkę papierosów dziennie, co jednak wcale mu nie szkodziło. Kiedyś na mistrzostwach stanął na starcie z papierosem w zębach. „Muszę się napalić” – powiedział. Podobnie jak Colin, trzymał język za zębami, nie podniecał się, a do rozmowy trzeba było go zmuszać.

Był jeszcze Szkot, którego też poznałem w czasie Selekcji. Ten nigdy się nie obijał, przeciwnie – do wszystkiego się przykładał, zarówno do roboty, jak i zabawy. Mieliśmy kiedyś taką kompanijną imprezę, nasz Szkot poprosił do tańca żonę pułkownika.

– Zechce pani zatańczyć?

– Z przyjemnością.

Poszli na parkiet, a Szkot ni stąd, ni zowąd wyciągnął maskę Michaela Jacksona i zaczął uczyć pułkownikową jego kroków.

Frank Collins to uosobienie spokoju. Nie krzyczał, nie denerwował się. Steve powiedział mi, że Frank był jednym z najmłodszych żołnierzy w Pułku w akcji na ambasadę w 1980 roku. Zaraz na początku oblężenia znalazł się na dachu budynku z grupą atakującą. Siedzieli tam w czarnych kombinezonach, czekając na rozkaz. Wszyscy w ogromnym napięciu, ale nie Frank. Wziął ze sobą poduszkę i spokojnie drzemał, podczas gdy inni strasznie się podniecali. Pasjonował się wspinaczką, wioślarstwem, skokami ze spadochronem i religią. Miał przydomek „Joseph”, bo jak święty o tym samym imieniu z powodzeniem zajmował się stolarstwem.

„Jeśli jest spokojnie i nic się nie dzieje, nie zobaczysz Franka powiadał Nosh – bo jak nie ma zajęć w jednostce, to Frank cały czas poświęca rodzinie”.

Chodził do miejscowego składu drewna i produkował jakieś tam stoły i szafki, które zamierzał zabrać ze sobą do domu. W istocie były to całkiem fajne rzeczy.

Któregoś dnia leżałem na łóżku, drapałem się w tyłek popijając herbatę, kiedy zjawił się Frank.

– Nudzisz się? – zapytał.

– Nie mam nic do roboty.

– Chciałbyś coś poczytać?

– A co?

- Taką fajną rzecz, w której jest wszystko: seks, gwałt, intryga i w ogóle.
  - No to dawaj, poczytam.
- Frank skoczył do siebie i przyniósł... Biblię.

Na początek pobytu w Irlandii musiałem zapoznać się z kilkoma nowymi typami broni. Korzystaliśmy wtedy głównie z automatów Heckler & Koch oraz lekkich karabinów maszynowych Brenna, kaliber 7,62, i z GPMG.

Jeśli idzie o broń krótką, to wyposażono nas w browningi i walthery PPK, znane jako „gnaty z dyskoteki”, bo były zgrabne, małe i łatwe do ukrycia. Gdy wychodziłem na miasto po służbie i nie chciało mi się brać browninga, to zawsze mogłem zatknąć walthera za pas.

Większość chłopców miała też na stanie M16, granatniki 203, HK53, 5,56 mm, albo MP5. Tak więc była możliwość wyboru broni stosownej do wykonania konkretnego zadania, decydując, co w danym przypadku ważniejsze: możliwość ukrycia gnata czy siła ognia.

Któregoś dnia zaszedłem do magazynu broni pogadać z Małym. Broń sprawdzało się codziennie, a tego dnia służbę w magazynie miał właśnie Mały. Opowiedział mi parę ciekawych rzeczy.

– No więc – zagadnąłem – jak to jest z tą nową polityką likwidowania przeciwnika? – Spodziewałem się, że rzuci jakąś liczbą, z której będzie wynikać, że skoszono już dziesiątki terrorystów.

– Gdyby tak było – odparł – to nikt by nas tu nie wysyłał. Siedzielibyśmy w domu, a terrorystów już dawno diabli by wzięli. Tymczasem jest inaczej. Wiemy, gdzie się kryją, ale co z tego. Gdyby dano nam zielone światło, mogliśmy ich wykurzyć.

– Jasne.

– Ale widzisz, jak to jest. Na czymś takim właśnie potyka się władza. Nie można nikomu kazać strzelać tak, żeby tylko zranić – ciągnął Mały – bo do tego trzeba by mieć – czy ja wiem – laserowe celowniki, czy coś w tym rodzaju. Co innego teoria, a co innego życie. Pamiętam, jak to było po akcji na ambasadę. Faceci z telewizji pytali: „A czemu nie postrzeliliście go w nogę?” i w ogóle głosili podobne głupstwa. Jak się ma cel w odległości stu metrów, to niewiele da się zrobić. Można sobie myśleć: „no to postrzelę go w nogi”, a i tak widzi się na muszce tylko cień człowieka, który w dodatku strzela do ciebie, więc trzeba go po prostu położyć i tyle. Tu nie chodzi o politykę. Człowiek reaguje na sytuację i nic więcej, a te wszystkie mądre komentarze wygłaszają faceci, którzy nigdy nie mieli broni w ręce.

Zdawałem sobie sprawę, że jeśli ktoś będzie mnie trzymał na muszce, to nie będą się zastanawiał i mierzył, dajmy na to w nogi, żeby tylko zranić, bo co z tego, że go zranię, skoro on w dalszym ciągu może mnie zastrzelić. Nie

trzeba więc żadnej specjalnej polityki, strzela się, bo taka jest ludzka reakcja na zagrożenie, bo człowiek ratuje swoje życie i życie ludzi, za których jest odpowiedzialny.

Mój współlokator, Steve – kombatan z Falklandów i uczestnik akcji na ambasadę – wywodził się z korpusu uzbrojenia wojsk powietrznodesantowych. Korpus bazował w Aldershot, a jego zadaniem były zrzuty ciężkiej broni i amunicji. Steve był żonaty, miał dwoje dzieci, pochodził z Gloucester i mówił z wyraźnym akcentem z Północy. Był nieco ode mnie niższy, ale znacznie potężniejszy, grał w rugby w wojskowej drużynie reprezentacyjnej, przez co stracił wszystkie przednie zęby. Po raz pierwszy widziałem go w samolocie, kiedy wracaliśmy z Hongkongu. Był jednym z owej czwórki pasażerów w krzykliwych koszulkach, tych, o których pomyślałem, że są przemytnikami narkotyków. Jak większość chłopców z plutonu, pasjami lubił oglądać *Blockbusters* w telewizji. Miał przy tym pewien denerwujący nawyk. Otóż na widok samolotu, wszystko jedno jakiego, nieodmiennie powiadał: „Widzisz tę maszynę, otóż w pięć minut przelatuje ona więcej kilometrów, niż my ujdziemy przez cały dzień”.

Clive był kawalerem, służył kiedyś w Royal Engineers – w korpusie saperów – i też brał udział w wojnie o Falklandy i w akcji na ambasadę. Pilnował swego nosa, uprawiał kolarstwo i biegi. Miał cały stosowny sprzęt kolarski, nie wyłączając wspaniałych koszulek. Wieczorami lubił napić się piwa i wypalić cygaro. Był wspaniałym długodystansowcem, choć przy jego wzroście, a był naprawdę wysoki, wydawało się to niemożliwe. Ruchy miał takie jakby nie skoordynowane, a jednak biegał rzeczywiście szybko. Na Nowy Rok Bulmer urządził bieg na dziesięć kilometrów. Clive stanął na starcie razem z kilkoma innymi zawodnikami z Kompanii A. Trenowałem biegi i byłem w niezłej formie. Pomyślałem sobie, że fajnie będzie dać mu łupnia. Wystartowaliśmy. Na trasie nie widziałem Clive’a, denerwowałem się, że może deptać mi po piętach i szykowałem się, żeby przyspieszyć, gdyby próbował mnie wyprzedzić. Ale przed metą, gdzie trasa wiodła w dół, zobaczyłem go... na rowerze. Okazało się, że skończył już bieg i właśnie jedzie sobie do domu.

Plutonem dowodził Ken – starszy sierżant. Nie było go z nami w Malezji. Pochodził z południowej Anglii, wcześniej służył w wywiadzie i, podobnie jak Mick, pasjonował się walką wręcz. Znali się zresztą z Mickiem od małego. Kiedy Mick, jeszcze w cywilu, był w strasznym dołku i marzył w kwaterekowym mieszkaniu w Walii, to któregoś dnia zwalili mu przed domem pół tony węgla. Mick wyleciał na dwór protestując, że nie ma pieniędzy i w ogóle, ale węglarz pokazał mu kwit, z którego wynikało, że dostawa została opłacona przez niejakiego Kena z Herefordu. Mick nigdy mu tego nie zapomniał i stale opowiadał, jak to Ken uratował mu życie.

Ken był wspaniałym dowódcą. Nie popisywał się, nie puszył. Gdy czegoś nie wiedział, to otwarcie się przyznawał i pytał o radę. Był wysoki i nie miał zębów. Przednie stracił na ringu, występując w drużynie narodowej. Łatwo było poznać, kiedy jest pijany, bo szczeka wypadała mu z hukiem na stół. Miał zwyczaj mówić szybko i jakby agresywnie, jak prezenter wiadomości radiowych. Żartowaliśmy sobie z niego mówiąc: „Hej, Ken, przeczytaj wiadomości”, a on odpowiadał: „Chcecie się bić”, niby też żartem, ale jednak poważnie. Zdarzało się, że ten i ów chodził z podbitym okiem, zwłaszcza gdy zaczynał dokuczać jego psu, bo Ken przywiózł ze sobą psa, wielkiego dobermana. Kiedy wychodził w teren, wykonać zadanie, ostrzegał, żeby go nie przekarmiać, bo już swoje dostał. Mały brał wtedy całą tacę parówek i faszzerował bestię tak, że nie mogła się ruszać z przejedzenia. Braliśmy ją na ręce i kładliśmy Kenowi do łóżka. Gdy wracał, pies spał mocno, popierdując przez sen.

Fraser – sierżant – miał spore doświadczenie, co przydawało się wtedy, gdy trzeba było koordynować akcję z innymi służbami, na przykład z załogami śmigłowców. Jego zadanie polegało na trzymaniu ręki na pulsie. Poznałem go w czasie pierwszej Selekcji, był wtedy instruktorem. Spotkaliśmy się ponownie w Malezji.

Stale z niego żartowano. Podobnie jak Steve, Fraser służył wcześniej w korpusie uzbrojenia wojsk powietrznodesantowych. Później był w brygadzie spadochronowej. Złościł się, gdy przypominano mu pierwszy etap kariery, kiedy to przygotowywał zrzuty ciężkiego sprzętu.

Któryś z chłopaków wcisnął mu kiedyś śledzia w grzejnik elektryczny. Śmierdziało okropnie. Fraser swego czasu uprawiał zawodowy boks, z czego wyniósł złamany nos i stłuczone uszy, które po licznych walkach zrobiły się wielkie jak kalafiory. W dalszym ciągu spędzał sporo czasu w sali gimnastycznej, bijąc w worek treningowy. Uwielbiał oglądać boks w telewizji. Pewnego wieczoru zapowiadano właśnie transmisję jakiegoś ważnego spotkania na ringu i Fraser, żeby mu nikt nie przeszkadzał, zamknął się u siebie w pokoju. Przygotował sobie kilka puszek piwa i stos kanapek. Ale z oglądania boksu nic nie wyszło, bo w jego telewizorze ciągle zmieniały się kanały. Strasznie się złościł. Nie wiedział biedak, że wszystkie odbiorniki w całej bazie miały identyczne piloty i że to my przełączaliśmy mu kanały, stojąc za oknem i ciesząc się jak dzieci, którym udało się spłatać figla.

Fraser, fioletowy ze złości, postanowił pójść na piwo. Najpierw jednak poszedł do łazienki, żeby się ogolić, i kiedy wziął mydło do golenia, to po paru ruchach z mydła wylazła tłusta... krewetka. Ktoś w tajemnicy przeciął mydło, wydrążył środek, włożył skorupiaka i starannie zakleił. Fraser wyleciał z łazienki wściekły jak diabeł i zaczął miotać się po obozie, klnąc na czym świat stoi. Nawet niewinni ludzie, nie mający nic wspólnego z naszymi

żartami, zamykali się u siebie, chichocząc z radości.

„Solidny strzał” przyszedł do Pułku z łączności. Pochodził z północnej Anglii. Wszyscy mu zazdrościli, bo był przystojny i taki swój chłop. Miał zdrowe zęby, bielutkie jak śnieg, ćwiczył podnoszenie ciężarów i trochę biegał. Miał tylko jeden kłopot. Czasami ciężko mu było chodzić, bo tyle kobiet rzucało mu się na szyję. Do Pułku dostał się pół roku przede mną. Zdobył doświadczenie na Falklandach, ale do Irlandii trafił po raz pierwszy. Był zabawny i dość pewny siebie. Ksywa „Solidny strzał” wzięła się stąd, że jego ulubioną bronią była strzelba Remingtona, do której stosowano różne rodzaje amunicji, a wśród nich coś, co nazywaliśmy właśnie solidnym strzałem, a był to po prostu rodzaj breneki. Solidny nie rozstawał się z remingtonem, więc przezwisko przyłgnęło do niego. Miało jednak pewien podtekst. Solidny był bowiem dość gruboskórny i nigdy nie żartował. Taki już był.

Eddie miał takie hasło: „pracuj, nie obijaj się, a przeżyjesz jeszcze jeden dzień”. Wcześniej służył w brygadzie spadochronowej, był na Falklandach i brał udział w akcji na ambasadę. Mieszkał w jednym pokoju z Alem Slaterem, który – tak jak go zapamiętałem z dżungli – był strasznie poważny i rzeczowy. Miał przydomek Mr Grumpy – Nerwus – co kiedyś wypisano mu na drzwiach.

Szkot mieszkał z Johnnym Dwugrzebieniowcem. Ktoś kiedyś wydrukował specjalną ulotkę i wywiesił im na drzwiach: „Salon fryzjerski Johnny and Szkot – głosiła. – Mycie i płukanie: 2,50, specjalna płukanka Johnny’ego: 1,50” i tak dalej, z ilustracjami polecającymi fryzury *a la* Engelbert Humperdinck z lat sześćdziesiątych. Nuda to okropna rzecz.

Tak oto przedstawiał się nasz pluton. Z wyjątkiem Starego. Stary zajmował się głównie koordynacją i reprezentował nas na zewnątrz wobec innych pododdziałów i służb. Wkrótce zresztą wyjechał, nie wiadomo, czy w nagrodę, czy za karę, czy dlatego, że w mydle do golenia miał za dużo krewetek.

Wreszcie trafiła się robota. Z kubkami herbaty zebraliśmy się w sali odpraw. Na ścianach wisiały mapy – generalki i sztabowe – tablice i coś tam jeszcze. Nosh fukał, ponieważ Solidny odgadł, jak skończy się kolejny odcinek *Blockbusters*. Usiedliśmy, gdzie kto mógł, na fotelach i krzesłach.

Eno z Noshem zapalili. Zjawił się Ken ze Starym, przynieśli plik papierów.

– Wygląda na to, że jest coś – zaczął Ken – szykuje się zamach na pewnego majora z UDR, *Ulster Defense Regiment*, Brygady Obrony Ulsteru. Ma to nastąpić na przedmieściu Portadown. Wedle tego, co ów major słyszał, chcą go załatwić, gdy będzie jechał do pracy. TCG, *Tasking and Coordination Group*, grupa planowania i koordynacji, ma to jeszcze

potwierdzić. Właśnie rozmawiają z tym majorem, aby upewnić się, czy facet mówi prawdę. Jeśli wszystko się potwierdzi, trzeba będzie, żeby ktoś był z nim w aucie. Al, podjąłbyś się? Zastanów się i przemyśl. Decyzja należy do ciebie.

Wszyscy, jak jeden mąż, spojrzeliśmy na naszego pana Nerwusa.

– Tak, czemu nie – odparł bez zmużenia okiem.

– Będziemy faceta ubezpieczać, począwszy od jutra od północy. Rano rozejrzycie się na miejscu. Powrót do bazy na drugą. Szczegóły ustali Fraser. Miejmy nadzieję, że do jutra dowiemy się więcej i otrzymamy konkretne rozkazy.

Wróciliśmy do siebie.

– Kiedy terroryści rozpoczną ogień – rzekł Steve poważnym tonem – Al i ten facet znajdą się w opałach. Trzeba będzie ich osłaniać.

Ken, Fraser i Stary zabrali się do rozpracowywania szczegółów.

Musieli wziąć wiele elementów pod uwagę. Po pierwsze, ustalić, co naprawdę szykuje przeciwnik. Czy, na przykład, chce wysadzić w powietrze samochód majora? Czy chcą do niego strzelić z bliskiej odległości? Czy niebezpieczeństwo zagraża też rodzinie? Na jaką osłonę facet liczy? Czy chce się ukryć, czy przeciwnie – funkcjonować normalnie, jak gdyby nigdy nic? Wielu wybiera tę drugą możliwość, zwłaszcza ludzie z dziećmi, nie chcąc raptem zmieniać ich trybu życia.

Nazajutrz rano Fraser podzielił nas na dwójki i ruszyliśmy samochodami na rozpoznanie. Najpierw okrążyliśmy dom owego majora z UDR, następnie przejechaliśmy całą trasę, jaką pokonywał codziennie, jadąc do pracy. Dom stał na wzgórzu, więc droga wiodła w dół, gdzie łączyła się z szosą do Dungannon. Niewiele było do oglądania, chodziło tylko o to, by zapoznać się z terenem, sprawdzić przecznice. Fraser postarał się, aby większość z nich zablokowano, więc ruch w okolicy był niewielki.

O drugiej zameldowaliśmy się na kolejną odprawę. Ken ze Starym wrócili właśnie ze sztabu w Armagh.

– No to – powiedział Ken – zaczynamy. Facet nie łże, niczego nie wymyśla, mówi jak na spowiedzi, rzeczywiście szykuje się zamach. Według ustaleń TCG ma do tego dojść w drodze do pracy, jak zresztą facet mówił. A więc działamy według planu. Al, podtrzymujesz to, co mówiłeś wczoraj?

– Nie ma sprawy.

– W porządku. A więc początek akcji o czwartej rano. Al udaje się do domu majora. Reszta, podzielona na trzy grupy, zajmuje odpowiednie miejsca. Pierwsza grupa – na rondzie przy szosie Dungannon, gdzie dowiezie ich samochód z dwuosobową załogą. Samochód zostaje w pobliżu i osłania grupę na rondzie. Kto z kim i jakim samochodem jest wypisane na tablicy. Dwa inne samochody będą osłaniać Al'a. Pierwsze auto to moja lancia,

kryptonim Bravo. Drugie to renault, kryptonim India. W lancii jedzie załoga trzyosobowa, łącznie ze mną, w renault cztery osoby.

Sprawdziłem na tablicy. Wyznaczono mnie na kierowcę renault. – Najpierw wyruszają Bravo oraz India. Al jedzie ze mną. Zostawiamy go przed domem majora. Al wchodzi, my ubezpieczamy dom od zewnątrz. Godzinę później na pozycje wychodzi grupa zabezpieczająca rondo. Zakładam, że do zamachu dojdzie raczej w pobliżu ronda, bo dalej szosa wiedzie prosto do miasta. Najbardziej prawdopodobne miejsce to rejon skrzyżowania z drogą na Henderson.

Na rondzie zbiegały się szosy M 1, Coalisland i Dungannon, dalej zaczyna się rodzaj trasy szybkiego ruchu. Do ronda major dojeżdżał stosunkowo pustą wiejską drogą.

– Ekipa na rondzie występuje w mundurach. Melduje o wszystkim, co widzi. Jeśli dojdzie do zamachu, zamyka ruch. India jedzie za saabem Ala i ubezpiecza go od tyłu. Al przez cały czas utrzymuje łączność i melduje o wszystkim, co się dzieje. Ja krążę w pobliżu. Dowiemy się, czy w okolicy notowano ostatnio jakieś kradzieże samochodów. Dostaniemy stosowną listę.

Zamachowcy użyją najpewniej ciężarówki lub furgonu, bo z czegoś takiego znacznie wygodniej kierować ogień, a poza tym, jeśli zdecydowaliby się staranować saaba – dość mocne auto – to muszą dysponować czymś rzeczywiście dużym.

– Działamy elastycznie, w zależności od rozwoju wydarzeń ciągnął Ken – najważniejsze to osłaniać Ala.

Jeżeli do niczego nie dojdzie, saab dojeżdża do miejsca pracy majora i natychmiast wraca, a my ubezpieczamy powrót.

– Są pytania?

– Czy wiemy, ilu będzie zamachowców? – spytał Eno.

– Nie mamy żadnych informacji na ten temat, ale można przyjąć, że będzie ich co najmniej trzech: kierowca i dwóch strzelców. Wszystko może się zacząć pod samym domem, nasze zadanie polega na tym, aby to uniemożliwić. Al – ciągnął Ken – jak chcesz, to możesz włożyć kamizelkę kuloodporną, natomiast major musi mieć kamizelkę bez żadnej dyskusji.

– W porządku – rzekł Al – przymierzę. Jeśli nie będzie przeszkadzać, to włożę.

– Pamiętaj, że przez cały czas meldujesz przez radio, co się dzieje. Jednocześnie będziesz nas słyszał. Jeśli padnie rozkaz, zjeżdżasz z szosy. Reszta należy do nas. Jeśli zobaczysz furgon albo ciężarówkę z przodu, wal w nią. Pamiętaj, że jedziemy cały czas za tobą i z miejsca możemy opanować ciężarówkę. Ruszamy o drugiej. Do tego czasu niczego specjalnego nie przewiduję – zakończył Ken.

W akcjach tego typu liczy się zarówno to, czego nas uczono, jak i



stosunki międzyludzkie. Al musi mieć absolutne zaufanie do ludzi, którzy go będą osłaniać. Musi też odpowiednio wpłynąć na swojego podopiecznego – majora z UDR – upewnić go, że wszystko jest w porządku, że nic mu nie grozi, a w razie czego ma obowiązek chronić go. Z nas wszystkich Al miał najtrudniejsze zadanie. Nie tylko bowiem będzie musiał błyskawicznie reagować na zagrożenie, ale także zapanować nad człowiekiem, którego ochrania.

W czasie planowania i przygotowań wspólnie – to znaczy dowódca i my – opracowaliśmy optymalne warianty działań zabezpieczających Ala i jego podopiecznego. Przeanalizowaliśmy wszystkie możliwe scenariusze: taranowanie saaba z przodu, atak z tyłu, z boku, a także to, co zrobimy, jeśli atakujący zatarasują drogę i zmuszą Ala do zatrzymania saaba. Uzgodniliśmy również sposób postępowania, gdyby do ataku doszło w momencie wsiadania do samochodu lub wysiadania z niego.

– Nic się nie martw – powiedział Ken do Ala – będziemy osłaniać wyjście z domu. Niech facet sprawdzi auto, tak jak to zwykle robi.

– Nie ma sprawy – potwierdził Al.

Najdogodniejszy moment do zamachu następuje w chwili, gdy obiekt wychodzi z domu. Kolejna sposobność to przejazd na trasie, a ostatnia okazja pojawia się wtedy, kiedy obiekt wysiada z auta po przybyciu na miejsce. Terroryci dokładnie sprawdzają plan dnia i nawyki ofiary. Wszystko bowiem odbywa się wedle pewnego schematu. Wiadomo między ósmą a ósmą trzydzieści obiekt wychodzi z domu, żegna się z rodziną, wsiada do auta i rusza. Jedzie na ogół tą samą trasą. Powrót do domu też odbywa się według pewnego stałego porządku. Praca kończy się zazwyczaj o tej samej godzinie. Zawodowy terrorysta zawsze bierze pod uwagę takie rutynowe czynności i organizuje napad tam, gdzie w określonym czasie obiekt na pewno jest. Tak samo działają kidnaperzy.

Al przymierzył kilka różnych rodzajów kamizelek kuloodpornych, ale z żadnej nie był zadowolony. Odznaczały się pod ubraniem, więc dał sobie spokój. Miał prawo, decyzja należała do niego.

O drugiej byliśmy gotowi. Broń w samochodach. Wziąłem karabinek samoczynny HK53 kaliber 5,56. Koledzy zabrali pistolety maszynowe MP5, kaliber 9 lub 5,56. Bronią w pewnym sensie było także auto, które miałem prowadzić.

Dwóch chłopaków – ci, którzy wystąpią w mundurach – wzięło karabiny M 16. W obozie, w centrum łączności, zostanie Fraser z dwoma oficerami wywiadu. W samochodach mieliśmy prowiant i picie. Zapowiadał się długi dzień.

Zebrałiśmy się ponownie w sali odpraw. Wszyscy mieli pistolety z zapasowymi magazynkami, radiotelefony, a także skórkowe rękawiczki i

okulary ochronne, na wypadek gdybyśmy stracili szyby w samochodach. W okularach można dalej spokojnie jechać.

– Są pytania? Jeśli nie, to ruszamy. – Ken dał sygnał do rozpoczęcia akcji.

Zająłem miejsce za kierownicą renówki. HK53 położyłem na podłodze, łufą w stronę dżwigni biegów. Sprawdziłem radiostację.

– Tu India, jak mnie słyszycie?

– W porządku, India, słyszę.

– Tu Delta, jak mnie słyszycie? – Kryptonim Delta należał do patrolu pieszego, który po drodze wysiądzie na rondzie.

– Tu Bravo, zgłaszam się.

Ruszyliśmy. Cały czas meldowaliśmy Fraserowi o położeniu. Nasz samochód był pierwszy. Minęliśmy dom majora.

– India do Bravo. Dom czysty – zameldowałem.

– Tu Bravo – odezwał się Ken – podjeżdżam.

Lancia zatrzymała się przed domem. Al wysiadł jak gdyby nigdy nic. Otworzył drzwi, zniknął w środku.

– Tu Bravo, przesyłka na miejscu. – Ken ruszył spod domu. – Tu Delta, zrozumiałem.

– Tu India, zrozumiałem.

Teraz pozostawało tylko czekać. Usłyszeliśmy jeszcze, że Al sprawdza swoją radiostację. Wszystko zapięte na ostatni guzik.

Zaparkowałem w wąskiej uliczce jakieś trzysta metrów od domu majora. Czekaliśmy pijąc kawę, gryząc biszkopty. Mieliśmy w aucie podręczny noktowizor i co pewien czas jeden z nas sprawdzał okolicę. Nic się nie działo. Siedzieliśmy w ciemności.

Co pół godziny Ken kontrolował łączność.

– Uwaga wszystkie stacje, tu Bravo, jak mnie słyszycie?

– Delta.

– India.

– Tu Bravo, w porządku, bez odbioru.

Było dość chłodno. Przemarzły mi stopy i zacząłem dygotać z zimna. Zapiąłem się pod szyję. Chłodny powiew wiatru uświadomił mi, że nie domknąłem okna. Zaczęło ogarniać mnie znużenie. Chciałem, żeby już było rano i po robocie.

Wpół do ósmej zaczęło świtać.

– Tu Bravo, ruszam – zameldował Ken.

Od tej chwili lancia będzie kręcić się po okolicy, sprawdzając, czy nic się nie dzieje. Wkrótce Al wyjdzie z domu. Właśnie odezwał się przez radio.

– Łączność, sprawdzamy.

– Tu Bravo, słyszę cię.

– Za pięć minut wychodzę.

– Bravo, zrozumiałem, wychodzisz za pięć minut.

Chłopcy w lancii nie zauważyli niczego podejrzanego. Dalszy plan przewidywał, że lancia ruszy przodem, za nią auto Ala, a my będziemy ubezpieczać tył.

– To ja, wychodzimy – zameldował Al.

– Tu Bravo, wychodzisz. Delta, India, proszę o potwierdzenie.

Włączyłem silnik. Chłopcy chwycili za broń. Nikt nic nie mówił. Zaczynały się schody.

– Jestem przy drzwiach.

– Bravo, jesteś przy drzwiach. Wszystkie ekipy, potwierdzić odbiór.

– Delta, potwierdzam.

– India, potwierdzam.

– Idę do auta.

– Bravo, zrozumiałem.

– Otwieram drzwi do garażu.

– Bravo.

– Podopieczny sprawdza wóz.

– Wsiadamy.

– Bravo.

– Zapala silnik.

– Bravo.

– Uwaga, ruszamy.

– Bravo, ruszacie.

– Tu India, też ruszamy – zameldowałem.

– Bravo, zrozumiałem, ruszacie.

Al przemknął obok nas. Jechał najnowszym modelem saaba. Ruszyłem za nim, nieco z boku, aby dokładniej go osłaniać przed ewentualnym ostrzałem.

Cały czas meldował o tym, jakie widzi auta, podawał ich numery rejestracyjne, liczbę pasażerów, oznajmiał, co ma przed sobą, co za sobą, z jaką szybkością jedzie, co mijają po drodze.

Odezwał się Ken:

– Widzę żółtą furgonetkę na skrzyżowaniu. Stała dziwnie długo. Znaki firmowe Enterprise Ulster. Ruszyła w stronę szosy Dungannon. Zniknęła z pola widzenia. Odbiór.

Wszystkie ekipy potwierdziły odbiór. Natężyliśmy uwagę. To mogło być to.

Ken dotarł akurat do ronda, zatrzymał lancię. W tym właśnie miejscu miał puścić Ala przodem. Rozglądaliśmy się za żółtą furgonetką.

Al w dalszym ciągu spokojnie meldował o wszystkim. Trzeba mieć talent, by mówić do ukrytego mikrofonu tak, żeby nikt się nie zorientował.

Gdyby w tej chwili żółta furgonetka pojawiła się przed saabem, Al

jechałby dalej, bez najmniejszego wahania. Po pierwsze po to, by zdezorientować przeciwnika. Jeśli by zwolnił albo zaczął się cofać, napastnicy z miejsca pomyśleliby, że coś im grozi. Po wtóre dlatego, że tak było bezpieczniej. Jak tylko z tyłu furgonetki wysunie się lufa lub lufy, Al dociśnie do dechy i uderzy saabem w furgon. Jeśli wskutek tego furgonetka się zatrzyma, to w porządku, wypadamy z aut i strzelamy. Jeśli nie, Al hamuje, odrywa się od furgonetki, wyskakuje z saaba, sam rozpoczyna ogień albo zwyczajnie daje nogę. Wziął ze sobą tylko pistolet. Gdyby się więc okazało, że napastnicy mają karabiny G3, niewiele by mu to pomogło. Lepiej staranować furgonetkę i wytrącić ich z równowagi. Trzeba to jednak zrobić umiejętnie, żeby samemu nie odnieść obrażeń.

– Widzę renault pięć, z naprzeciwka. Minął mnie. Sierra pięćdziesiąt, pięćdziesiąt pięć – meldował Al. Sierra pięćdziesiąt, pięćdziesiąt pięć oznaczało, że jedzie z prędkością od pięćdziesięciu do pięćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę. Dostosowałem prędkość naszego wozu, żeby utrzymać stosowny dystans.

– Bravo, potwierdzam. Sierra pięćdziesiąt, pięćdziesiąt pięć. – Ken uczynił to samo.

– Zbliżam się do mostu Vennera.

– Potwierdzam.

– Jestem na moście.

– Potwierdzam.

Jeżeli głos w eterze brzmi spokojnie, wszyscy reagują podobnie. Jeśli ktoś zaczyna krzyczeć i rzuca mięsem, zaraz udziela się to pozostałym. Al minął właśnie rondo, gdzie mieliśmy ukryty posterunek, którego zadaniem było odcięcie napastnikom ewentualnej drogi odwrotu. My trzymaliśmy się za saabem, wystarczająco blisko, aby go osłaniać, a jednocześnie zachowując taką odległość, by nie wzbudzać niczyich podejrzeń.

– Bravo, zatrzymałem się przy szosie do Henderson.

Najpierw saab minął lancę, po chwili – my. Największe niebezpieczeństwo było za nami. Teraz zamachowcom będzie znacznie trudniej. Trochę się złościłem, że nic się nie stało, ale w naszej służbie już tak jest, człowiek się przygotowuje, a potem okazuje się, że na próżno.

Na Dungannon Al przyspieszył. My też. W tym momencie usłyszeliśmy meldunek chłopców z ronda.

– Uwaga, furgonetka wraca. Pewnie przegapili obiekt. Tylne okna otwarte. Jadą na ciebie, Bravo.

– Jadą na mnie, biorę ich, czekajcie.

Lancia znajdowała się po drugiej stronie ronda. Żółta furgonetka mknęła w jej kierunku pełnym gazem. Wyglądało na to, że terroryści istotnie przegapili saaba i nawet nie spostrzegli, że jest już daleko na szosie

Dungannon. Zapewne stracili głowy i bali się, że ich szefowie dobiorą im się do skóry, bo zmarnowali okazję.

Ken widział już wóz i chciał go załatwić.

– Jadę w niego. Trzymać się – zapiął pasy bezpieczeństwa. Chłopcy wcisnęli się w fotele, czekając na uderzenie.

Furgon zbliżał się coraz bardziej. Jego kierowca strzelił nagle przez przednią szybę. Oba samochody skręciły, unikając zderzenia. Ken zahamował z piskiem.

Z furgonetki wciąż strzelano. Posypała się szyba w lancii i chłopcy rzucili się na podłogę. Furgonetka minęła lanię o centymetry. Zaczął się ostrzał przez tylne drzwi.

Trójka naszych powinna teraz wyskoczyć z samochodu i rozpocząć ogień. Nie było mowy o pościgu, nie było czasu na manewry. Tymczasem serie z furgonetki strzaskały tylną szybę lancii i chłopcy zaczęli strzelać, ale taktyka nakazywała, by jak najszybciej odskoczyć od auta, bo w jego stronę kierowano najsilniejszy ogień.

– Wysiadać, wysiadać – wołał Ken.

Eno, który siedział z tyłu, raził ogniem, czekając, aż dwóch pozostałych wyskoczy z wozu.

Ken był przypięty pasami, bo pierwotnie miał zamiar uderzyć lanią w furgonetkę. W istocie to one uratowały mu życie. Eno tymczasem spokojnie strzelał seriami po trzy pociski. Brakowało tylko nieodłącznej paczki papierosów, a wyglądałby jak na poligonie. Ken otworzył drzwi i chciał wyskoczyć na zewnątrz, ale zapomniał o odpięciu pasów. W tym momencie trzy pociski trafiły w otwarte drzwi lancii dokładnie tam, gdzie Ken stanąłby, gdyby udało mu się wysiąść.

W chwilę później cała trójka zdążyła już wyskoczyć z auta. Ken wydawał rozkazy przez radiostację, dwaj pozostali ciągle strzelali.

– Kontakt z nieprzyjacielem. Furgonetka jedzie prosto na skrzyżowanie. India, odbiór.

– Tu India, widzę go.

Gdy tylko usłyszeliśmy, że furgonetka pędzi w naszą stronę, zawróciliśmy w kierunku ronda. Błyskawicznie włożyliśmy okulary i rękawice. Było oczywiste, że terroryści zaczęli strzelać do naszego auta.

Dostrzegliśmy już lanię Kena. Chłopcy ogarnęli się i właśnie wsiadali. Żółta furgonetka grzała pełnym gazem. Ken zamierzał zawrócić lanię i osłaniać nas. Nacisnąłem pedał do dechy.

Daliśmy ognia. Pasażer z przodu zapiera się nogami, pasażer z tyłu strzela między kierowcą a pasażerem z przodu, oczywiście przez przednią szybę.

Lufa HK53 była na wysokości mojej głowy. Zadygotałem, gdy poszła seria z armalite 5,56. Z lufy buchnął płomień, paląc mnie w policzki. Za

każdym strzałem chcąc nie chcąc przymykałem oczy.

Szybka popękała, ale była klejona, więc nie wypadła. Prowadząc musiałem przechylać się w prawo, żeby cokolwiek widzieć. Pędziliśmy w stronę furgonetki.

W aucie pełno było odłamków szkła, ręce miałem we krwi. Musieliśmy krzyżeć, bo inaczej nie dało się porozumieć. Staralem się prowadzić równo, żeby chłopcom ułatwić celowanie.

– Szybciej, bo nam ucieknie.

Dusiliśmy się od prochu. Wiatr z gwizdem wdzierał się do środka przez spękaną szybę. Wszyscy krzyżeli.

Ken ze swoimi chłopakami uruchomili lancję, a właściwie to, co z niej zostało, i jechali w naszą stronę.

– Bravo do Indii, będę próbował cię osłaniać.

Furgonetka zaczęła się oddalać.

– Skręca w lewo, skręca w lewo.

Zauważyłem również, że samochód skręca. Musiałem zwolnić, żeby nie wypaść z wirażu. Lancja jechała za nami. Skręciliśmy w lewo, ale okazało się, że to była droga pod wiadukt. Wycofałem.

– Gdzie ona się podziała?

Zaczęliśmy zawracać w płataninie rozjazdów. Zatrzymaliśmy się, co chwila pytając przechodniów, czy nie widzieli furgonetki.

– Pierwsza przecznica w prawo czysta. – Pierwsza w prawo czysta.

– Sprawdzam następną w lewo.

– Następną w lewo.

Czułem, że straciliśmy ślad, ale trzeba było sprawdzić wszystko do końca, terroryści bowiem mogli się kryć wszędzie. Al zatrzymał wóz w połowie drogi do Dungannon i na razie czekał.

Całe osiedle wyległo, żeby zobaczyć, co się dzieje, ale widzieli jedynie dwa auta z powybijanymi szybami i facetami z bronią.

Wszyscy przeżyliśmy niepowodzenie. Bravo ostrzelane, nasz ogień bez efektu. Ważne jednak, że wyszliśmy żywi, że nie zastrzelono Ala i jego podopiecznego, że nikt nie został ranny. Miarą sukcesu jest wykonanie zadania bez strat, bo jeśli nawet uda się osiągnąć cel, ale ktoś zginie, to – według mnie – jest kłeska.

Al Slater wykonał dobrą robotę. Wiedział, na co się naraża, wiedział też, co musi zrobić, jeśli chce wyjść cało: osłonić podopiecznego z UDR i samemu stawić czoło niebezpieczeństwu, a więc utrudniać działania napastnikom do chwili, kiedy dołączymy do niego i przejmemy ciężar walki.

– Jesteście głupi – kpił z nas wieczorem – nie rozumiem, czym się tak martwicie. Miałem całkiem udaną przejażdżkę do Dungannon.

Al wykazał wiele odwagi, dostał za to medal. W czasie akcji działał tak, a

nie inaczej, bo taka to była robota. Nie miała nic wspólnego z poświęcaniem się za „królową i ojczyznę”. Al z całą pewnością nie traktował tego w kategoriach bohaterskiego czynu, czy czegoś takiego. Myślał po prostu, że trzeba się spiąć, aby nie wpaść w gówno. Nie zastanawiał się, że może zginąć. Gdyby było inaczej, wybrałby sobie inne zajęcie.

Zawód traktowaliśmy poważnie. Zналиśmy cenę życia, rozmawialiśmy o tym, ale bywało też inaczej, kiedy śmialiśmy się, urządzając licytację rzeczy po poległym koledze; dochód przekazywaliśmy rodzinie. Nie miało to nic wspólnego z brawurą czy bohaterstwem. Tak zwany bohater dostałby kopa w tyłek. Pułk nie potrzebował bohaterów, bo bohaterowie są nieprzewidywalni i narażają innych na niebezpieczeństwo. Chodzi o to, żeby przeciwnik ginął za ojczyznę, a nie my.

Operacja się nie udała. No cóż, zdarza się, nie bolało mnie to zbyt długo, bo tak czy owak ta wojna jeszcze potrwa.

Niestety, jak się dowiedzieliśmy później, nie obyło się bez ofiar. W potyczce z terrorystami zginął niewinny człowiek – Frederick Jackson. Dostał przypadkowo, od nas.

Furgonetkę znaleziono w zaułku, gdzie porzucili ją terroryści. Dalej uciekali pieszo, a później porwali inne auto. W furgonetcie była strzelba, radiostacja i puste magazynki od automatu. Terroryści byli przygotowani na każdą ewentualność. Gdyby udało im się zbliżyć do celu, użyliby strzelby. Do rozpoczęcia ognia z daleka potrzebne były automaty.

Z lekcji wyciągnęliśmy wniosek, że niezbędna jest nam broń wielkokalibrowa, ale łatwa do ukrycia. Karabiny SLR były za duże, aby korzystać z nich w samochodzie, a zresztą kaliber 5,56 mm jest za mały, nie można nim zatrzymać pojazdu przeciwnika. Doraźny wybór padł na argentyńskie FN ze składaną kolbą, które Pułk zdobył na Falklandach. Były niezłe, ale liczyliśmy na G3, kaliber 7,62 mm, firmy Heckler & Koch.

W jakiś czas później mieliśmy prawdziwą zabawę.

W rejonie Fermanagh dochodziło w tym czasie do licznych zamachów głównie na funkcjonariuszy ulsterskiej policji i sił samoobrony. Terroryści zjawiali się przed upatrzonym domem, pukali do drzwi i w momencie gdy zaintrygowany lokator wychodził na próg, wpadali do środka, rozpoczynali ogień, a następnie zbiegali z miejsca zdarzenia pieszo albo autem. Nasz plan, obliczony na kilka nocy, polegał na tym, aby małymi grupkami zasadzić się na terrorystów w najbardziej zagrożonych miejscach.

W zależności od sytuacji mieliśmy czuć albo w środku, w domach, albo na zewnątrz, czekając na nadejście zamachowców. O wyborze taktyki decydowało ukształtowanie terenu, rodzaj budynku i otoczenia.

Wyznaczonego wieczoru znalazłem się z trzema kolegami w domu pewnego człowieka, który wedle naszych ocen mógł być najbardziej prawdopodobnym obiektem zamachu. Dom był wolno stojący, na uboczu, od najbliższego sąsiada dzieliło go co najmniej czterysta metrów.

Dowodził Frank, a w składzie naszej grupy był jeszcze Eno oraz pewien oficer, którego nazywaliśmy Szeferem „S”. Aby nie budzić podejrzeń, zajechaliśmy pod dom furgonetką, z paroma kartonami piwa, niby to w gości do znajomego.

Nasz gospodarz, czterdziestoparoletni, dowcipny, sympatyczny facet, robił wrażenie człowieka nie przejmującego się niczym. Może dlatego, że w całym domu pełno było broni gotowej na powitanie nieproszonych gości.

– Wstawimy wodę na herbatę, chłopcy – powiedział – posiedzimy, obejrzymy telewizję. Dla mnie to nic nowego, od lat żyję w zagrożeniu, a to, że będziecie mnie chronić przez parę dni, niczego w istocie nie zmienia. Nie traktujcie tego wszystkiego zbyt poważnie, choć oczywiście też jestem ciekaw, co się zdarzy, ale chłodno dziś, więc pewnie nikt nie przyjdzie.

Dom był bardzo ładny. W kuchni zrobiło się parno od piecyka i gotującej się wody. Gospodarz zaprotestował, gdy wyjęliśmy własne kanapki i termosy.

– Odłóżcie to, zrobimy sobie przyzwoitej herbaty, a w piecyku mamy co nieco.

Noc była spokojna i mroźna. Fajnie było siedzieć w ciepłe i opychać się dobrymi rzeczami, zamiast tkwić gdzieś w krzakach. Frank z Szeferem „S” i gospodarzem oglądali telewizję w salonie, my z Enem siedzieliśmy w ciemności przy przeszklonych drzwiach kuchennych. Niewidoczni dla nikogo z zewnątrz, rozparliśmy się na fotelach, z bronią w pogotowiu. Taki sposób prowadzenia wojny bardzo mi odpowiadał.

Nie było mowy o tym, że terroryści mogą zjawić się od frontu, bo w tym domu w ogóle nie używano drzwi frontowych i wszyscy o tym wiedzieli. Z kuchni zaś doskonale widać było ścieżkę, z której terroryści będą musieli skorzystać, bo raczej podejda od strony pól, niż podjadą, a gdy już przyjdą, to wpadną w sidła.

– Marzę o papierosie – szepnął Eno.

– Rzuciłbyś palenie. Wydajesz tylko pieniądze i śmierdzisz.

– Pewnie masz rację, ale przyzwyczaiłem się. Chyba jednak kiedyś rzucę.

Nagle nocną ciszę zakłócił Fraser.

– Do wszystkich – odezwał się przez radio – zbierać manatki. Rozkaz dowództwa. Mamy natychmiast. stawić się w motelu Drumrush. Nie wiem, o co chodzi, ale szefostwo chce mieć wszystkich na miejscu. Dam wam znać, jak się dowiem czegoś więcej, a tymczasem ruszamy.

– Jedziemy – Frank potwierdził odbiór.

Żałowaliśmy się do furgonetki.



– Szef zajmie się mapą, ja będę prowadził, Andy z Enem siadają z tyłu – rozkazał Frank.

Gospodarz, funkcjonariusz sił samoobrony, pomachał nam na pożegnanie.

– Nie martwcie się o mnie. Mam więcej broni, niż myślicie. Do zobaczenia.

– Kilka minut temu – oznajmił Fraser przez radio – na komisariacie w Kesh odebrano telefon z ostrzeżeniem, że w motelu Drumrush podłożono ładunki wybuchowe. Dzwoniła kobieta, powiedziała, że zamach przygotowała miejscowa brygada IRA w odwecie za to, że Drumrush obsługuje sukinsynów z sił bezpieczeństwa.

Pogoda była okropna, gęsta mgła ograniczała widoczność do dwudziestu, trzydziestu metrów, a gołoledź dopełniała reszty. Powyżej pięćdziesięciu kilometrów na godzinę koła zaczynały się ślizgać. Trzeba było zwolnić. Lepiej jechać czterdzieści na godzinę, niż rozbić się i stracić dwadzieścia pięć procent składu.

Z rozmów radiowych dowiedzieliśmy się, że dwie pozostałe grupy dotarły już na miejsce i zaczynają przeczesać teren i że w okolicy kręci się podejrzana furgonetka obcej marki, w kolorze niebieskim.

– Założę się, że to podstęp – odezwał się Eno – ci faceci specjalnie chcą, abyśmy wszyscy zjawili się w jednym miejscu, bo coś knują.

Samochód wpadł w poślizg na zakręcie.

– Nie ma co pędzić – machnął ręką Frank – zwolnimy, lepiej dojechać późno niż wcale.

Milczeliśmy czekając na kolejne meldunki radiowe.

Odezwał się Al. Z Eddiem i Clive'em natknęli się właśnie na niebieską furgonetkę marki Toyota.

– Stoi bez świateł na poboczu. Drzwi lekko uchylone, nikogo nie widać, ale coś tu chyba śmierdzi.

– Zablokujcie drogę – odezwał się Ken przez radio – zaraz tam będziemy i zobaczymy, co jest grane.

Ken ze swoimi jechał z przeciwnej strony niż Al, co oznaczało, że droga z obu stron została odcięta. Furgonetka stała na poboczu. Wciąż jednak nie było nic wiadomo.

Al zatrzymał auto i wraz z Clive'em rozciągnęli kolczatkę na szosie. Takie urządzenie rozrywa opony, gdy się na nie najedzie.

– Czy jest jakaś przecznica, którą mogłem przeoczyć? – pytał Ken Frasera. Chciał się upewnić, czy między naszym autem a nimi jest jakaś ulica czy droga.

– Nie ma. Wszystko obstawione.

W dalszym ciągu posuwaliśmy się wolno po oblodzonej nawierzchni. Oczami wyobraźni widziałem, co się dzieje na miejscu. Eddie nasłuchiwał.

Otworzył usta, aby nie przetykać śliny i nie zakłócać ciszy. We mgle i ciemności dźwięk niesie się daleko i Eddie chyba coś usłyszał, ale nie był pewien, więc poprosił Clive'a, aby też nadstawił uszu. Clive wyłączył radio, żeby lepiej słyszeć.

Rozległy się kroki w ciemności. Dziwna sprawa.

– Stać, ręce do góry, siły bezpieczeństwa – zawołał Eddie półgłosem, gdy podejrzany zbliżył się na jakieś dziesięć metrów.

– To tylko ja – odezwał się wyraźnie speszony głos. Mówiący miał zapewne nadzieję, że trafił na patrol z miejscowego garnizonu. Grał na czas, szukał jakiegoś przekonującego wytłumaczenia nocnego spaceru na odludziu, a może czekał na posiłki.

– Nie gadać, nie ruszać się, bo strzelam, rozumiano?

Clive z HK53 gotowym do strzału ruszył w stronę podejrzanego. Ten zaczął uciekać.

Al skoczył do samochodu po flarę, żeby oświetlić teren. Wypalił z raketnicy i mglista noc zamieniła się w równie mglisty dzień.

Clive z Eddiem posłali serie, mierząc w lewo i prawo od zbiega, który dał susa przez rów i płot i zaczął biec przez pole.

Noktowizory niewiele dają we mgle. Jeszcze chwila, a zbieg zniknie z pola widzenia.

– Kontakt z nieprzyjacielem, uwaga – zawiadomił nas Ken przez radio. Serca zaczęły nam bić mocniej.

– Kurwa mać, zaczęło się! – krzyknął Szeff. – Trzeba się pośpieszyć.

– Bez sensu – wyraził swą opinię Frank.

Miał rację, ale ja też poczułem bezsilną złość, że nie ma nas na miejscu.

Podobnie jak my, Ken też nie wiedział, co naprawdę dzieje się u Clive'a, Ala i Eddiego. Stał w miejscu, nie podjeżdżał bliżej, aby nie dostać się pod ich ogień. Wiedział zresztą, że jeśli potrzebna im będzie pomoc, to dadzą znać.

Tymczasem tuż obok Clive'a i jego chłopców zaczęło się dwóch członków IRA. Zapewne słyszeli wszystko, ale na razie się nie ujawniali. Dopiero gdy flara poszła w górę i Clive z Eddiem dali ognia, oni też zaczęli strzelać... do Ala.

Clive i Eddie dopadli zbiega, który uznał widocznie, że nie ma szans, i się zatrzymał.

– Ręce do góry, twarzą do mnie, zbliżyć się – rozkazał Clive.

Facet wyszedł na szosę i padł jak długi.

– Teraz cię zrewiduję. Jak tylko drgniesz, to strzelam, rozumiano? – ostrzegł Clive.

Eddie krzyknął do Ala, żeby przyniósł kajdanki z wozu. Faceta trzeba zakuć i oddać policji.

My zaś dojeżdżaliśmy właśnie na miejsce, meldując położenie Kenowi. Flara wygasła i wszystko znów spowija ciemność.

Al nie reagował na polecenie, więc Eddie z Clive'em zaczęli wlec podejrzanego do wozu. Gdy doszli, Eddie poprosił Clive'a, żeby mu pottrzymał broń.

– Wezmę kajdanki – wyjaśnił.

Clive trzymał faceta na muszce. W drugiej ręce miał automat Eddiego.

W tej właśnie chwili Eddie zobaczył Ala.

– Uwaga, do wszystkich. Al dostał. Potrzebny śmigłowiec. Sprowadźcie śmigłowiec.

– Zrozumiałem – potwierdził Fraser. – Al ranny, Al ranny.

Dla pewności powtórzył dwa razy, aby w bazie wiedziano, jaką krew przygotować do ewentualnej transfuzji.

– Tak, Al – odezwał się gorączkowo Eddie. – Niech przyślą śmigłowiec. Natychmiast, natychmiast.

– Natychmiast – powtórzył Ken – bez względu na pogodę. Niech natychmiast startuje.

Łącznościowcy z dowództwa już wywoływali śmigłowiec na innej częstotliwości, ale maszyna żadną miarą nie mogła wystartować przy takiej pogodzie. Dowództwo dało znać, że zaraz wyślą karetkę, a Fraser przekazał wiadomość Clive'owi i Eddiemu.

– Nie przyleci śmigłowiec. Nie da rady w tej mgle. Będzie karetka. Czekajcie.

Al dostał serię w klatkę piersiową i ramiona. Eddie wyciągnął opatrunek z auta i chciał mu zrobić kroplówkę.

Sytuacja była podła. Al załatwiony, a w pobliżu, w ciemności, kryli się terroryści. My zaś i Ken byliśmy ciągle daleko od miejsca zdarzenia. Facet, którego Clive z Eddiem zatrzymali, wszystko słyszał. Uznał widać, że sytuacja jest nieciekawa, bo raz jeszcze postanowił dać nogę. Rzucił się na Clive'a. Ten puścił automat Eddiego, aby facetowi przyłożyć w łeb.

Spóźnił się. Facet dał nura w mrok, chwyciwszy HK53 Eddiego.

– Ma broń! Ma broń! – krzyknął Clive. Wraz z Eddiem puścili się w pogoń.

Eddie wyciągnął pistolet. I on, i Clive zaczęli strzelać. Zbieg padł. Podbiegli do niego. Sprawdzili puls. Pulsu nie było. Wrócili do Ala. Al też już nie żył.

– Kontakt z nieprzyjacielem – meldował Ken na wspólnej dla wszystkich częstotliwości.

– Jesteśmy jakieś dwie minuty od was – zameldował Frank zatrzymując wóz, blokując drogę.

Chodziło o to, aby skontrolować wszystkie auta jadące od strony, gdzie

byli Clive i Eddie. Pomyślałem sobie, że dobrze się stało, iż na tę akcję włożyliśmy mundury. W pobliżu była bowiem baza sił bezpieczeństwa. W tym chaosie cywilne ubranie mogłoby nas drogo kosztować.

I właśnie ujrzelśmy reflektory. Daliśmy znak, żeby kierowca się zatrzymał.

– Dobry wieczór. – Frank podszedł do auta, wygłaszając zwykłą formułę: – Prawo jazdy proszę. Skąd pan jedzie, dokąd? W porządku, dziękuję, droga wolna.

Ani kierowca, ani pasażerowie nie domyślali się, że podczas gdy Frank przeprowadza niby to zwykłą kontrolę, ja cały czas trzymam ich na muszce M 16, a Eno mierzy z LMG, gotów rozpocząć ogień przy najmniejszym podejrzanym ruchu.

Zaczelśmy posuwać się do przodu, ale trzeba by naprawdę niezwykłego trafu, aby wpaść na trop. Należało jak najszybciej zamknąć cały rejon.

Fraser zażądał przez radio, aby miejscowy oddział sił szybkiego reagowania zablokował okolicę. Mieliśmy nadzieję, że zamachowcy, którzy podkładali bomby w motelu, są gdzieś w pobliżu i że uda nam się osaczyć ich jak zające.

Z rozmów radiowych wynikało jedno: dowódców mamy dużo, a wykonawców stanowczo za mało. Z tych pierwszych kilku wyładowało w rowach, gdy ich land rovery wypadły z oblodzonej drogi. Wiedzieli tylko, że mamy straty i że w okolicy grasują terroryści. Zapanował chaos nie do opisania i istniała zupełnie realna groźba, że dostaniemy się pod ogień własnych sił.

Od czasu do czasu z dali dobiegały krótkie serie. Za każdym razem dopytywaliśmy się o dokładniejsze dane przez radio, chcąc ruszyć na pomoc. Fraser powstrzymywał nasze zapęły. „Spokojnie, zostać na miejscu”. Było wielce prawdopodobne, że terroryści w dalszym ciągu są w okolicy, ale oddziały szybkiego reagowania wprowadziły tyle zamieszania, że jeszcze trochę, a nie będzie kogo szukać.

Ken zezłościł się, wziął radiostację i nie przebierając w słowach, zaczął zaprowadzać porządek.

– Zawiadomcie oddziały szybkiego reagowania – odezwał się na ogólnej częstotliwości – żeby nie ruszały z miejsca i nie rozpoczynały ognia bez wyraźnego rozkazu. Żadnych patroli, żadnych ruchów, mają siedzieć w wozach i czekać. Teren zabezpieczamy my.

Byliśmy ciepło ubrani, ale mimo to ręce i nogi przemarzły mi do kości. Na złodowacialej nawierzchni trudno było stać, nie mówiąc już o marszu.

– Siły szybkiego reagowania meldują o podejrzanym ruchu w zaroślach nad rzeką – odezwał się Fraser. – Czy jest tam ktoś z naszych? – upewniał się.

Cisza.

– Pójdziemy z Andym – zaoferował się Frank.

– Zrozumiałem, idziesz z Andym. Ken, słyszysz?

– Tu Ken, zrozumiałem.

– Ty, Andy, pójdziesz przodem. Obserwuj zarośla przez noktowizor. Ja osłaniam cię z tyłu. Wykurzymy drabów – rzekł Frank. Włączyłem noktowizor, wziąłem głęboki oddech i ruszyłem przed siebie.

Panowała niesamowita cisza, tylko mróz trząsał pod stopami. Szedłem pochylony, z bronią przy ramieniu, gotową do strzału. Staralem się oddychać możliwie cicho. Frank posuwał się jakieś pięć, może siedem metrów za mną, obserwując teren w prawo ode mnie, też z palcem na spuście.

Słuchawkę radia miałem włączoną i pilnie nasłuchiwałem, żeby wiedzieć, gdzie jest reszta naszych.

Tymczasem na szosie rozbłysły światła karetki pogotowia. Choć była stosunkowo daleko, to niebieski promień „koguta” wyławiał nas z ciemności z okrutną regularnością. Ale mi się trafiło – pomyślałem. Posuwaliśmy się skokami. Co kilka kroków przystawałem, omiatałem teren noktowizorem i znów ruszałem do przodu. W każdej chwili z zarośli mogła paść seria. Niemal fizycznie czułem, jak pociski rozrywają mi ciało. Nie było to przyjemne uczucie.

Wzdłuż gęstwiny nad brzegiem rzeki biegły głębokie rowy melioracyjne. Było ciemno jak w dupie, widoczność słaba, z daleka dobiegał hałas. Gdzieś tam krążą terroryści, którzy przed chwilą ostrzelali naszych chłopców. Są najpewniej wystraszeni, marzą, żeby się wyrwać, mają broń.

Dopiero po dobrych dwudziestu minutach zdałem sobie sprawę z rzeczywistej groźby. Jeśli dojdzie co do czego, to podziurawią mnie jak kaczkę, a Frank będzie bohaterem, bo pewnie ich załatwi, wiedząc, gdzie są.

Nie natrafiliśmy jednak na terrorystów.

Po kilku dniach poszczególne fragmenty zaczęły układać się w spójną całość.

Okazało się, że mieliśmy do czynienia z jakimś Mac Giolla Bridem, byłym żołnierzem armii Republiki Irlandzkiej i znanym terrorystą, którego już raz zatrzymano na gorącym uczynku w 1979 roku. To właśnie jego bojówka zaplanowała zamach na motel. Plan polegał na umieszczeniu bomby, ukrytej w beczce po piwie, w zagłębieniu przed wejściem do budynku. Tak też zrobiono. Kiedy nas zawezwano przez radio, bomba już była na miejscu.

Pierwszy, jak wiadomo, zjawił się Al. Terroryści usłyszeli nadjeżdżające auto i ukryli się tuż przy szosie. Na nieszczęście Al zatrzymał się dokładnie na ich wysokości. Gdy flara poszła w górę, terroryści mieli go na widelcu.

Al zdołał jeszcze strzelić, zanim padł.

Terrorystyci zaczęli się wycofywać w stronę rzeki. Jeden z nich wskoczył do wody i przeszedł na drugi brzeg. Rzeka nie była zbyt szeroka, wszystkiego sześć, siedem metrów, lecz wezbrana i miejscami utworzyły się głębie. Drugiemu z terrorystów się nie udało. Utonął, a woda poniosła ciało.

Byliśmy bardzo zżyci z sobą i wszyscy dotkliwie odczuliśmy śmierć Ala Slatera. Niełatwo jest pogodzić się ze stratą kogoś, kogo dobrze się zna, a jeszcze gorzej, kiedy już nic nie można zrobić. Ale życie jest życiem. Po dwóch dniach wszystko wróciło do normy.

Zbliżały się święta, szykowała się wielka uroczystość, na którą zaproszono miejscowe grube ryby z policji i innych instytucji, z którymi mieliśmy do czynienia.

Jeden z gości, policjant imieniem Freddie, który stracił rękę w wypadku, miał taką szalenie nowoczesną protezę z napędem elektrycznym. Dość powiedzieć, że mógł sterować sztucznymi palcami w taki sposób, że potrafił podnosić rozmaite przedmioty. Ale od czasu do czasu urządzenie buntowało się i zaczynało żyć własnym życiem, jak na starym filmie z Frankensteinem. Strasznie nas to podniecało.

Zastanawialiśmy się, jaki dać mu prezent pod choinkę. Były różne propozycje, ale stanęło na pamiątkowej plakietce. Wtedy jednak zaprotestował Ken:

– To gówniany pomysł – powiedział – wymyślę coś lepszego.

No i zjawił się na uroczystości, dźwigając elegancko opakowany pakiet.

– Mamy tu coś dla ciebie, Freddie – oznajmił – co wyrazi naszą wdzięczność za pomoc i współpracę, a w dodatku przyda ci się znacznie bardziej, niż jakaś gówniana plakietka na ścianę. Jest to bardzo praktyczny prezent.

– Bardzo wam dziękuję – odparł Freddie i zaczął rozwijać pakunek, co trwało i trwało, bo Ken wykonał wszystko naprawdę starannie. Fred aż się spocił, zanim zdjął kilka warstw papieru i odplątał niezliczone wstążki. Wreszcie prezent ukazał się w całej krasie. Była to puszka oliwy do maszyn.

Freddie bez mrugnienia okiem zawiązał rękaw koszuli i zaczął oliwić swoją protezę.

Na tradycyjnej licytacji rzeczy należących do Ala kupiłem marynarkę. Za nową dałbym znacznie mniej, ale przecież nie o to chodzi.

Najbardziej śmierć Ala przeżył Frank Collins.

– Straciłem wielu kumpli w czasie siedmiu lat w Pułku, ale z tą śmiercią nie mogę się pogodzić – mówił.

Był to dlań rzeczywiście wstrząs, coś, co ostatecznie pchnęło go w stronę

religii. Wkrótce potem Frank opuścił Pułk z zamiarem zostania klechą. Najpierw jednak chciał odbyć stosowne studia w kolegium biblijnym, więc zastawił dom i zaciągnął się jako najemnik w Sri Lance, żeby zarobić.

Wytrzymał ledwie dwa tygodnie. Gdy spotkałem go w Herefordzie, opowiedział mi dlaczego:

„Oni w ogóle nie rozróżniają dobra od zła. Myślą tylko, jak załatwić Tamilów. Niektórzy z naszych słuchaczy – Frank szkolił tam lokalne wojsko – dopuszczali się strasznych czynów. Choć płacili naprawdę dobrze, postanowiłem wrócić do domu”.

Później zatrudnił się jako ochroniarz w Atenach, pracował też dla szefa domów towarowych Harrodsa – Mohammeda Al-Fayedego – bo Arabowie już dawno wykupili firmę. Kiedy zaś odłożył potrzebną sumę, zgłosił się na taką kościelną Selekcję i zdał. Po dwóch latach studiów otrzymał koloratkę, czy jak to się nazywa, i został wikarym całą gębą, i to podobno bardzo dobrym.

Debbie dostała pracę w Herefordzie, a ja milcząco zakładałem, że jest zadowolona. Powiadam milcząco, ponieważ ani jej nie widziałem, ani z nią na ten temat nie rozmawiałem.

Owszem, dzwoniłem do niej, gdy tylko nadarzała się okazja, ale opowiadałem jedynie o sobie, nie pytając nawet, jak ona się czuje. W dalszym ciągu wszystko w moim życiu postawione było na głowie. Liczył się tylko Pułk. Chłonałem każdą chwilę służby. Byłem strasznym egoistą. Małżeństwo zaczęło się rozpadać i bez wątplenia z mojej winy. Gdy nie miałem służby, to gnałem do miasta na spotkanie z kumplami. Debbie była zawsze na drugim miejscu, co musiało jej w końcu dopieć. Ja tymczasem byłem tak głupi i zapatrzony w siebie, że zacząłem namawiać ją na dziecko, choć nie potrafiłem zadbać o nią. Ale – jak krety – nie zdawałem sobie sprawy z własnej nieodpowiedzialności. Nie uświadamiałem sobie nawet, że małżeństwo idzie w rozsypkę. Zbyt pochłaniała mnie żołnierka. Kombinowałem właśnie, w jaki sposób dostać się na kurs minerski.

## 17

„Poznacie różne techniki sabotażu, działań dywersyjnych i niszczenia określonych celów – mówił instruktor, otwierając sześciotygodniowy kurs minerski – bo główne zadanie Pułku to niszczenie bazy przemysłowej przeciwnika, gdyż o sile danej armii decyduje właśnie zaplecze przemysłowe. Ataki na ośrodki produkcyjne mają także ogromne znaczenie psychologiczne, obniżają morale ludności, co też się liczy w bilansie sił”.

Były to fascynujące sprawy i nie mogłem się doczekać, kiedy to wszystko się zacznie. Pamiętam, że jeszcze jako dziecko z lubością oglądałem w telewizji wysadzanie domów i podobnych obiektów. Trochę z tego nauczyłem się w czasie Selekcji, ale chciałem wiedzieć więcej.

Kurs odbywał się na miejscu, w batalionie szkolnym, w którym poza Selekcją prowadzono szkolenie w zakresie taktyki i właśnie dywersji. Te ostatnie sprawy wykladał Joe, który kończył dwuletnią służbę w batalionie i naprawdę znał się na rzeczy. Techniki sabotażu i dywersji porównywał do zabiegów z lancetem lekarskim, bo przy ich umiejętnym zastosowaniu można przeprowadzać operacje „chirurgiczne”, jak na przykład zerwać most albo linię kolejową, zniszczyć elektrownię wodną lub rafinerię, wyłączyć z produkcji stocznię, wysadzić w powietrze służę, zniszczyć samolot.

Uczyliśmy się między innymi, jak zrywać radiowe i naziemne kanały łączności, zarówno wojskowe, jak i cywilne.

„Laicy nie wyobrażają sobie, ile szkód można zadać przy użyciu jednego kilograma plastiku – mówił Joe. – Zniszczenie źródła zasilania w energię daje taki sam efekt, jak zmasowany nalot na jakiś zakład przemysłowy”.



Prowadzenie działań dywersyjnych wymaga znajomości technik wywiadu i kontrwywiadu.

Przez dwa pierwsze tygodnie uczyliśmy się abecadła nowej specjalności. Jak papugi powtarzaliśmy bez końca, co należy, a czego nie wolno. Poznawaliśmy skład różnych mieszanek wybuchowych. Joe wbijał nam te wiadomości do głowy, słusznie zauważając, że w czasie wykonywania zadań nie ma mowy o zaglądaniu do notatek. Wkuwaliśmy więc wszystko na pamięć, co dla mnie, który ze szkołą zawsze byłem na bakier, nie okazało się taką łatwą sprawą.

Poznaliśmy rozmaite rodzaje materiałów wybuchowych, stosowanych w armii brytyjskiej i nie tylko brytyjskiej. Jednocześnie informowano nas, co i gdzie można zwyczajnie kupić.

Potem uczyliśmy się je stosować. Sabotaż przemysłowy niemal zawsze sprowadza się do cięcia stali. Nigdy nie dzieje się tak jak na filmach z Hollywoodu, kiedy to rozlega się straszny huk, pojawia się wielka ognista kula i wreszcie most się wali. Cała sztuka w tym, aby wyrządzić maksimum szkód przy użyciu minimum materiałów. Im mniej materiału, tym łatwiej go transportować i ukryć.

Chcąc zniszczyć most, trzeba wiedzieć, gdzie podłożyć ładunek tak, aby konstrukcja zawałiła się w efekcie pod własnym ciężarem. Żeby zniszczyć budynek, należy go tylko lekko wytrącić z równowagi, a reszta dokona się sama.

No i wreszcie najistotniejsza sprawa – nauka wysadzania różnych obiektów, od linii telekomunikacyjnych, przez elektrownie, po pociągi i samoloty. Cele osiąga się wtedy, kiedy obiekt nie nadaje się do remontu, a jeśli już, to ewentualna naprawa musi trwać maksymalnie długo i powinna być maksymalnie uciążliwa. Niszczenie nie musi oznaczać usunięcia obiektu z powierzchni ziemi. Wystarczy odrobina materiału wybuchowego w jakimś szczególnie czułym miejscu, aby wywołać reakcję łańcuchową. Jeden zniszczony tryb niszczy pozostałe, maszyna niejako popełnia samobójstwo. Cała zaś trudność sprowadza się do tego, by wiedzieć, gdzie jest ów czuły punkt, a potem, by dotrzeć doń i po wykonaniu zadania ewakuować się w bezpieczne miejsce.

Liczne obiekty przemysłowe, zwłaszcza magistrale komunikacyjne, wznosi się z betonu, więc uczyliśmy się także, jak sobie z tym radzić. Beton wymaga wyjątkowo dużo materiału wybuchowego. W praktyce możemy spotkać się z różnymi zadaniami. Aby zniszczyć most, wystarcza na ogół zerwanie przęsła, ale bywa, że trzeba także wysadzić w powietrze podpory, aby całkowicie uniemożliwić odbudowę obiektu, bo jak wskazuje przykład Kalifornii, gdzie występują trzęsienia ziemi, zerwany wiadukt da się naprawić w dwa tygodnie.

Sporą fabrykę, a nawet całe miasto można unieruchomić, niszcząc pojedynczą podstację energetyczną. W czasie wojny nic nie będzie proste. Punkty strategiczne będą pod szczególną ochroną, ale Pułk szykował się nie do wielkiej wojny, lecz do działań na małą skalę: walk partyzanckich czy rewolucyjnych. Jeśli wyznaczony cel okaże się szczególnie chroniony, to trzeba będzie stosować specjalne techniki. Można na przykład podłożyć ładunki o opóźnionym działaniu. Wybuch może nastąpić za miesiąc, albo – w teorii przynajmniej – nawet za pięć lat. Podłożony ładunek można odpalać na przeróżne sposoby, a przy dzisiejszej technice daje się to uczynić z dowolnego miejsca na kuli ziemskiej.

W ramach szkolenia kazano nam rozpracować jeden z mostów w okolicy Herefordu. Najpierw należało poznać obiekt. Pojechaliśmy na miejsce, obejrzelśmy most, przeprowadziliśmy pomiary, zrobiliśmy zdjęcia i wszystko co trzeba, żeby sporządzić stosowny raport, określający sposób przeprowadzenia „akcji”. Podczas gdy inni uganiali się po moście z taśmami mierniczymi i kamerami, Bob – najbardziej pewny siebie facet, który zawsze wszystko wiedział najlepiej – spokojnie dreptał, mierząc długość konstrukcji własnymi stopami. Lubił się popisywać.

– Na wojnie nie będziecie mierzyć obiektu całówką – mówił z wyższością – wystarczy więc obliczyć krokami... dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa – przechadzał się po moście, a potem rozłożył się na trawie i jak gdyby nigdy nic zaczął się opalać.

– Wymierzyłeś już, Bob? – zainteresował się instruktor.

– Mam swoje sposoby.

Przez całe popołudnie wygrzewał się na słońcu, popijał herbatę, podczas gdy cała reszta związała się jak w ukropie. Po powrocie do jednostki zaraz poszedł spać, a ja ślęczałem do drugiej nad ranem. Nazajutrz, świeżutki niczym po urlopie, zjawił się w sali wykładowej, spoglądając na wszystkich z góry.

Instruktor zebrał prace do oceny. Większość wypadła nieźle, ale palma pierwszeństwa przypadła... właśnie Bobowi. Jego raport był najlepszy.

– Martwiłem się tylko – rzekł instruktor do Boba – że dostaniesz porażenia. Cały dzień wylegiwałeś się na słońcu...

– Ale praca jest w porządku, prawda? – upewnił się Bob.

– Bez zarzutu, poza jednym drobnym szczegółem.

– Nie rozumiem.

– Wszystkie zdjęcia mostu zrobiłeś w deszczu!

– Pewnie obiektyw zamókł – Bob udawał, że nie rozumie kpiny.

Jak się okazało, Bob w tajemnicy poświęcił cały poprzedni weekend na pomiary i obliczenia właśnie po to, by później, gdy wszyscy się pocili nad wykonaniem zadania, móc się popisować nonszalancją. I udałoby mu się,

gdyby nie pewien drobiazg – deszcz, który padał w poprzednią sobotę i niedzielę.

Uczono nas także, jak zbierać i opracowywać informacje, krótko mówiąc, poznawaliśmy różne techniki sporządzania dokumentacji wywiadowczych, jak na przykład robienia zdjęć z ukrycia, fotografowania w podczerwieni. Może się bowiem zdarzyć, że zadanie wykonywać będziemy, udając turystów albo biznesmenów. Trzeba więc wiedzieć, jak ukryć materiał i sprzęt. Uczyliśmy się również robienia zdjęć przy użyciu potężnych teleobiektywów, bo może zaistnieć taka sytuacja, że nie da się podejść do interesującego nas obiektu i wtedy niezbędna jest umiejętność fotografowania celów ze znacznych, nawet parokilometrowych odległości.

Gdy mamy do czynienia z obiektem silnie chronionym, ważne jest, aby umieć ocenić siły przeciwnika, to znaczy poznać ich liczebność, sprawność. Trzeba też wyszukać i wskazać najlepszy sposób podejścia do obiektu i drogę odwrotu. Wszystko to nie tylko na własny, że tak powiem, użytek, ale także do ewentualnego wykorzystania przez innych, bo może się zdarzyć, że nam przypadnie w udziale przygotowanie akcji, a jej realizacja będzie już dziełem innej grupy. Kurs dywersji obejmował naprawdę wiele tematów, bo sprawa jest bardziej skomplikowana niż to, co ogląda się na filmach, w których Clint Eastwood czy Sean Connery rzucają ładunek wybuchowy przez płot i tyle.

Nie mniej ważną sprawą było udzielanie pierwszej pomocy: jak opatrywać rany, złamania, jak wyprowadzać ofiarę z szoku, jak podawać kroplówkę. To podstawowe umiejętności w naszej profesji. Trzeba umieć ratować życie. Rzecz jasna sanitariusze przydzielani do patroli mają znacznie większą wiedzę i umiejętności, znają się na chirurgii, umieją przeprowadzać pewne zabiegi w warunkach polowych, diagnozować choroby, ordynować i podawać leki. Chodzi o to, aby pododdziałom znajdującym się w terenie zapewnić dużą samowystarczalność i samodzielność. Jeśli do każdego rannego wzywalibyśmy śmigłowiec, wtedy nie ma mowy o tajnej operacji.

Nasi medycy odgrywali wielką rolę w kampanii na rzecz zjednania „serc i umysłów” mieszkańców tak zwanego Trzeciego Świata. Na przykład w latach siedemdziesiątych w Omanie na Półwyspie Arabskim Pułk poświęcał sporo czasu opiece nad miejscową ludnością. Prowadzono badania, przepisywano leki, ale nie tylko. Bywało, że nasi medycy odbierali porody i przeprowadzali operacje. Lecz w naszych apteczkach pierwszej pomocy było więcej leków i instrumentów medycznych niż w niejednym miejscowym szpitalu. Problem zaczął się wtedy, gdy sława naszych ludzi rosła, a miejscowi setkami, nawet tysiącami zgłaszali się do naszych punktów medycznych z absolutnymi drobiazgami, jak na przykład z wrośniętym paznokciem u palca lewej nogi.

„Wyleczyliśmy kiedyś – opowiadał mi jeden z naszych chłopaków po powrocie z dżungli – parę przypadków infekcji stóp, czy czegoś takiego, i wkrótce potem zaczęły się zgłaszać do nas całe wsie. Ten się skaleczył, tamten zadrapał, wszyscy chcieli, żeby ich leczyć. Nie dawaliśmy rady, odmówić nie było można, wreszcie wpadliśmy na pomysł. Gdy zgłosił się pewien tubylec z zadrapaniem naskórka na stopie, urządziliśmy całe widowisko, że niby jedynym ratunkiem będzie amputacja. Przygotowaliśmy stół, noże, z całym nabożeństwem. No i facet strzelił. Kiedy już miał iść pod nóż, uznał, że niepotrzebna mu pomoc medyczna, i zwyczajnie dał nogę. Dopiero wtedy odetchnęliśmy, bo pacjentów nagle ubyło”.

Słyszałem wiele podobnych, zabawnych historii od chłopców, którzy kończyli kurs sanitarny.

Medycy szkolili się najpierw w jednostce, w Herefordzie. Przez sześć tygodni uczyli się podstaw: robienia zastrzyków, kroplówek, podawania leków i tak dalej. Jeśli idzie o lekarstwa, to musieli wykuć łacińskie terminy, co wcale nie było łatwe.

Kolejne dwa tygodnie spędzali w Londynie w Klinice Chorób Tropikalnych, bo Pułk wykonywał mnóstwo zadań właśnie w tropikach. Potem wracali do Herefordu na dalszy ciąg teorii, a na koniec wyjeżdżali na staże do szpitali w całym kraju, głównie oczywiście na chirurgii i ostrych dyżurach, bo teoria teorią, ale najważniejsza jest praktyka. Asystowali więc przy składaniu do kupy ofiar wypadków drogowych i bójek po pijanemu.

Niektórzy tak przejmowali się swoją rolą, że popadali w hipochondrię. Tak było z Rodem z Yorkshire. Pierwsze dwa tygodnie stażu w szpitalu odbył jak należy na oddziale powypadkowym. Później zaś zajmował się wyłącznie sobą. Przeprowadził wszystkie badania i doszedł do wniosku, że z sercem jest coś nie tak.

Hipochondrykiem bez wątpienia był Charlie. Mając trzydziestkę, zrezygnował ze służby w Pułku, wyjechał do pracy za granicę, później wrócił i po raz drugi w życiu zgłosił się na Selekcję. Zdał i został najstarszym w świecie kapralem. Byliśmy kiedyś razem na ćwiczeniach i, jak to zwykle bywa, piliśmy z chłopakami herbatę ze wspólnego kubka. Charlie był wstrząśnięty.

– Nie zdajecie sobie sprawy, czym to grozi – ostrzegał.

– To prawda – odezwał się ktoś – gdy przebywałem na Dalekim Wschodzie, to złapałem amebę. Schudłem piętnaście kilo.

– To straszne. A kiedy to było? – zainteresował się Charlie. – W zeszłym miesiącu.

– Ty brudasio! – wrzasnął Charlie przerażony, a my wybuchnęliśmy śmiechem, bo dał się wpuścić w maliny. Jeszcze długo wspominał, że łatwo się zarazić jakimiś chorobami, gdy pije się ze wspólnego naczynia, i zawsze

parzył sobie własną herbatę.

Pod koniec tygodnia zaczęłam go.

– No i jak, masz amebę?

– Nie, ale wy na pewno złapiecie jakieś świństwo.

– Nie mów.

– A tak, bo codziennie szczam wam do herbaty.

Ze stażów wszyscy byli zadowoleni – Pułk, bo chłopcy zdobywali doświadczenie, a i szpitale, bo przydawała się każda para rąk do pracy. Jeden z naszych pojechał na praktykę do szpitala miejskiego w Birmingham, gdzie na ostry dyżur przychodziły dziesiątki poturbowanych pijaków i jeszcze więcej osiłków, którym wydawało się Bóg wie co. Popisywali się przed pielęgniarkami, zaczepiali salowe i w ogóle dawali wszystkim popalić, tak że trudno było sobie poradzić.

Pat przyglądał się temu wszystkiemu z bezsilną złością, bo naszym stażystom kazano trzymać język za zębami, robić swoje i nie zwracać na siebie uwagi. A jednak któregoś dnia nie wytrzymał, gdy taki jeden król życia zaczął dobierać się do siostry.

Poszedł do niego. „Odpierdol się” – usłyszał.

Niewiele myśląc, Pat dzielił go bykiem tak, że facet padł jak długi, a gdy trochę oprzytomniał, zaczął wzywać policję.

Policja, owszem, była, bo właśnie radiowóz przywiózł jakiegoś pijaka. Zajrzeli do pokoju, zobaczyli, o co chodzi.

„Chyba nic złego się nie dzieje” – dali do zrozumienia „bohaterowi”, że lepiej będzie, jeśli się uspokoi.

Na tym się jednak nie skończyło, bo kumpla tego faceta, z dość paskudną raną na czole, trzeba było zawieźć na blok operacyjny. Ten też uważał, że cały szpital należy do niego. Kłął, obrażał wszystkich i w ogóle. Pat z pielęgniarką wtoczyli nosze do windy, ale zatrzymali ją w połowie piętra.

„Słuchaj, serdeńko – rzekł Pat – powiem ci, co masz zapisane w gwiazdach. Jest z tobą źle, kończysz się i wykitujesz, jeśli zaraz nie znajdziesz się na stole. Więc wybieraj, albo zamkniesz tę swoją jadaczkę, albo postoiemy tu jeszcze trochę”.

W Pułku ceniliśmy ludzkie życie. Kiedyś, po pewnej akcji, której szczegóły pominię, nasi chłopcy natknęli się na rannego nieprzyjaciela. Dostał w nogi i było z nim źle. Nasi opatrzyli go, nie szczędząc środków, których sami mogliby potrzebować, zabrali na lądowisko, wezwali śmigłowiec i odesłali do szpitala.

Innym razem znowu jeden z naszych medyków wybrał się na mecz. W pewnej chwili zauważył, że zawodnik dławi się własnym językiem i że sprawa jest groźna. Skoczył na boisko i uratował biedakowi życie. Zanim ktokolwiek się zorientował, co się dzieje, dał nogę, żeby czasami sprawa nie

nabrała rozgłosu. Żałował tylko, że przez to stracił ciekawy mecz.

Jak się przekonałem, ludzie, którzy zdają sobie sprawę z niebezpieczeństwa, są szczególnie ostrożni. Nie dziwiło mnie więc, że dzieci moich kolegów miały mniej swobody niż inne. Ojcowie po prostu wiedzieli, czym może grozić nieostrożność. Wystarczy, że na człowieka najedzie auto z prędkością czterdziestu pięciu kilometrów na godzinę, żeby był koniec.

## 18

Podczas służby w Pułku jakoś tak się działo, że albo skądś wracałem, albo właśnie gdzieś wyjeżdżałem. Skutek był taki, że z Debbie żyliśmy właściwie osobno.

„Nigdy cię nie ma – skarżyła się – i nigdy w domu nie usiedzisz. Jak nie służba, to latasz na spotkania z kolegami”.

„To się zmieni – zapewniałem ją nieszczerze. – Teraz co prawda wyjeżdżam na trzy miesiące, ale po powrocie wszystko się ułoży”. W rzeczy samej moje małżeństwo niewiele mnie obchodziło.

Pałem się do wyjazdu, bo wyruszaliśmy całą kompanią do Omanu na ćwiczenia w działaniach bojowych na pustyni. Większość kolegów była już na Bliskim Wschodzie, więc wyjazd wiele dla mnie znaczył, bo nie chciałem być gorszy, a poza tym historia Pułku miała swój początek właśnie na Bliskim Wschodzie, gdyż tam go sformowano w czasie drugiej wojny światowej. Później przez wiele lat stacjonował w Omanie.

Z tamtych historycznych czasów przetrwały podstawowe zasady operacyjne: mobilność, orientacja w każdej sytuacji, taktyka i sprzęt dostosowane do konkretnych warunków, działanie głównie pod osłoną nocy, doskonała znajomość broni. Zamysł ćwiczeń w Omanie polegał na tym, że gdyby doszło do jakiegoś konfliktu w tym regionie, to nowi znać będą przynajmniej abecadło działań w środowisku pustynnym.

Początek pobytu w Omanie był zwyczajnie nudny. Kwaterowaliśmy w namiotach, daleko od ludzi, za drutami, w zamkniętym obozie, którego nie wolno było nam opuszczać. Przez pierwsze trzy dni nie działo się dosłownie

nic ciekawego, jeśli nie liczyć codziennych występów Małego, który budził się rano z okrzykiem: „ale nudy!”

Łaziliśmy do kuchni, w której paru miejscowych kucharzy piekło podpłomyki, a potem szwendaliśmy się po obozie aż do znudzenia. Trzeciego dnia zaczęliśmy manifestować niezadowolenie. Pojawił się transparent z napisem: „Podkop plutonu 8”. W kancelarii złożyliśmy zapotrzebowanie na konia do gimnastyki, zaznaczając na formularzu, że musi być drewniany, pusty w środku i tak duży, żeby mogło się w nim schować co najmniej trzech ludzi. Pluton górski ozdobił bramę do obozu napisem: „Stalag 13”.

Było ciepło, wręcz gorąco, ale niejaki Gibbo, weteran wojny w Omanie i w ogóle bywalec tych okolic, łąził od rana w grubej kurtce dewetynowej i narzekał na zimno.

Wokół obozu rozciągała się pustynia płaska jak stół, w dali widać było nagie góry, na niebie zaś ani jednej chmurki. Kiedyś nocą spojrziałem w niebo i aż mnie zatkało z wrażenia. Ciemna otchłań pełna była migoczących gwiazd, jak dobre ciasto rodzyneków.

Wreszcie coś zaczęło się dziać. John zorganizował hueya i przez trzy czy cztery dni ćwiczyliśmy skoki ze spadochronem. Nigdy przedtem nie skakałem z helikoptera. Wrażenie jest zupełnie inne niż wtedy, gdy się skacze z samolotu. Nie ma wiatru zatykającego dech, jest cicho i czuje się, jak z każdym metrem człowiek leci coraz szybciej w dół. Wspaniała sprawa.

Później zaczęliśmy krążyć po pustyni w nowiutkich land roverach, studziesiątkach, którymi właśnie zastąpiono dawne, o znacznie mniejszym rozstawie osi, a więc mniej wygodne. Nowe miały też solidne uzbrojenie w postaci działek pięćdziesięciomilimetrowych. Wyznaczono mnie do drużyny moździerzy. Celowniczym był Nosh, ładowniczym Steve, a ja byłem tym trzecim – chłopakiem do wszystkiego. Pilnowałem amunicji i dbałem o to, aby zatykać uszy przy wystrzale. Ogniem kierował Colin.

Udaliśmy się na poligon odległy o parę kilometrów, zabierając ze sobą górę amunicji, a na pewno więcej niż zwykły batalion zużywa w ciągu dziesięciu lat.

Wciąż jeszcze postrzegałem Pułk i naszą kompanię w różowych kolorach, co nie znaczy, że nie docierały do mnie takie różne sprawy. Otóż zaczęło się mówić o sierżancie, szefie kompanii, i o „sałacie”. Nie od razu się zorientowałem, że „sałata” to po prostu szmal. Otóż nasz sierżant hojną ręką wyznaczał kary grzywny, te zaś szły do wspólnego worka. Za te pieniądze kupowało się między innymi napoje. Zawsze mieliśmy pod ręką pełną lodówkę. Kto chciał, brał sobie butelkę oranżady czy czegoś takiego i wpisywał na kartce numer swojego konta w NAAFI, a pod koniec tygodnia regulował rachunek. I co się okazało? Sierżant sprowadzał napoje z dwustuprocentowym narzutem za fatywę.



W czasie ćwiczeń w strzelaniu towarzyszyło nam aż czterech ogniomistrzów. Pośród stanowisk ogniowych rozpinali parasole plażowe, rozsiadali się w cieniu, z lodówkami turystycznymi i wałówką. My tymczasem radziliśmy sobie całkiem nieźle. Dość powiedzieć, że trafialiśmy bez pudła w wyznaczone cele. W czasie nocnych strzelań używaliśmy pocisków oświetlających na zmianę ze zwykłymi, żeby kierownictwo mogło podziwiać nasz kunszt. Sprawa wcale nie była łatwa, wymagała precyzji, bo przecież chodziło o to, by wybuch zwykłego pocisku następował jeszcze w całej krasie amunicji oświetlającej. Faktem jest, że po dwóch tygodniach treningu byliśmy naprawdę dobrzy w te klocki.

Któregoś dnia John zapowiedział pięciodniowe manewry dla całej kompanii, z użyciem moździerzy i studziesiątek. Mieliśmy ćwiczyć natarcie, a co ważniejsze, z ostrą amunicją. Najpierw wyruszył pluton zmechanizowany. Czołówka zajęła pozycje na wzniesieniu, skąd mogła osłaniać resztę. Ćwiczenia prowadził osobiście dowódca kompanii.

My pozostawaliśmy w ukryciu, poza zasięgiem ognia. Wysłano kilku zwiadowców na motocyklach. Mieli wyznaczyć drogi podejścia, określić cele, a nade wszystko odnaleźć nieprzyjaciela. Patrole piesze natomiast miały ustalić, czy uda się zająć pozycje na wzgórzach. W takim terenie jak pustynia zawsze chodzi o zdobycie pozycji w punkcie, z którego jest jak najlepsza widoczność.

My tymczasem czekaliśmy na rozwój wydarzeń. Popijaliśmy herbatę, Nosh dłużył w nosie. Oficerowie wysunęli się do przodu, zaraz za pierwszym rzutem kompanii. W chwili rozpoczęcia natarcia dadzą nam sygnał i wtedy wkraczamy do akcji. Zadanie kierujących ogniem polega też na wyznaczaniu dozorów.

No i pierwszy rzut nawiązał kontakt z nieprzyjacielem. Rozległy się strzały, a zaraz potem otrzymaliśmy sygnał przez radio:

– Uwaga, kontakt, kontakt.

Zeskoczyliśmy z wozów i zaczęliśmy ustawiać moździerze. Zналиśmy kierunek natarcia, orientowaliśmy się, gdzie są nasi, z grubsza wycelowaliśmy działa i czekaliśmy na precyzyjniejsze koordynaty.

Nasze zadanie polegało na maksymalnym rażeniu ogniem, aby, po pierwsze, przygwoździć przeciwnika do ziemi, a po wtóre, zadać możliwie duże straty, a tym samym zlikwidować opór i oczyścić drogę pododdziałom biorącym bezpośredni udział w natarciu.

Samochody ze studziesiątkami wychodziły na pozycje. Część kompanii pozostawała w rezerwie, na wypadek gdyby trzeba było uzupełnić siły rzutu nacierającego. Dowódca wydawał rozkazy przez radio, ale tak naprawdę to zasady natarcia są stare jak świat, nie zmieniły się przynajmniej od czasów szarzy lekkiej kawalerii.

Pod osłoną moździerzy i korzystając jednocześnie z naturalnego ukształtowania terenu, nacierający zblizali się do linii nieprzyjacielskich. Niektórzy pieszo, inni samochodami, w zależności od terenu. Nasze zadanie polegało na wyeliminowaniu ognia nieprzyjaciela.

Donośność pocisku moździerzowego zależy od dwóch rzeczy: kąta podniesienia i mocy ładunku prochowego. Taki ładunek ma kształt krążków. Jest ich siedem, a zakłada się tyle, ile w danym momencie zarządzi oficer ogniowy. Jeśli powie: „Trójka!”, zakładam trzy krążki. A potem ustawia się odpowiednio kąt podniesienia. To zaś, co się dzieje, gdy pocisk uderzy w cel, zależy od jego rodzaju. Są pociski o opóźnionym bądź natychmiastowym działaniu, rozpryskowe czy na przykład dymne.

Oficer ogniowy stwierdził, że nieprzyjaciel skrył się w budynkach, co oznaczało, że pociski należy uzbroić w zapalniki opóźniające, tak aby wybuchły dopiero we wnętrzu budynku, a nie w momencie uderzenia.

Dowódca kompanii podciągał pododdziały na pozycje wyjściowe, ale do natarcia ruszą dopiero po stłumieniu ognia nieprzyjaciela, to zaś należało do nas.

W momencie kiedy nacierający osiągną FAP – *Final Assault Position* – postawę wyjściową, obezwładniający ogień z moździerzy trzeba skierować na dalszą rubież. Decyzja należy do dowódcy kompanii, który podejmie ją bądź na podstawie własnej obserwacji, bądź opierając się na radiowych meldunkach sytuacyjnych. Co do nas, to niczego nie widzieliśmy, strzelaliśmy wedle podawanych nam koordynat.

Nosh ze Steve'em czekali w napięciu na dane dotyczące kierunku i kąta podniesienia. Oficer ogniowy wyliczył wszystko na podręcznym komputerze i dał komendę:

- Kierunek jeden-sześć-cztery. Wykonać natychmiast.
- Kierunek jeden-sześć-cztery – powtórzyl Nosh.
- Kąt podniesienia jeden-dwa-dwa-osiem!
- Kąt jeden-dwa-dwa-osiem.

To samo powtórzyła obsługa sąsiedniego moździerza.

- Numer jeden, gotowy – zameldował Nosh.
- Numer dwa, gotowy.

Typowe komendy, nic nadzwyczajnego, choć trochę inaczej niż w „zwykłym” wojsku.

Teraz ja zacząłem pilnie słuchać. Następne komendy będą dotyczyć rodzajów pocisków, a to moja działka.

- Uwaga, dwa pociski, trójka.
- Dwa pociski, trójka – powtórzyłem i zrobiłem, co trzeba. Podałem ładunki Steve'owi. Ten tylko czekał na końcową komendę. Wszystko poszło gładko. Kąt podniesienia, kierunek, ładunek prochowy. Gotowe.

– Jedyńka, ognia!

Wrzuciliśmy kolejno dwa pociski. W momencie odpalenia płyta oporowa moździerza osiada w ziemi. Dobrze jest wtedy stanąć na niej, aby przyspieszyć proces i ostatecznie ustabilizować całe urządzenie. Jeśli bowiem płyta oporowa nie siedzi mocno w gruncie, moździerz odbija, a przez to pocisk nie trafia w cel. Po pierwszych dwóch odpaleniach trzeba odpowiednio skorygować kierunek i kąt podniesienia. Tymczasem padła kolejna komenda: „ognia!”

Wykonaliśmy i w tej to chwili na naszych oczach oficer ogniowy zaczął nawiewać, krzycząc wniebogłosy.

– Co się, kurwa, dzieje? – zdziwiłem się.

– Chuj go wie – rzekł Nosh.

W dalszym ciągu nie miałem pojęcia, co się stało, ale skoro oficer ogniowy daje nogę, to ja też... i dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że nasz przelozony ucieka... przed naszym pociskiem, który, jak zobaczyłem kątem oka, wznosił się w górę prosto jak świeca, a to, co leci w górę, musi w końcu spaść, a w tym wypadku prosto na nas.

Nagle wszyscy dostali skrzydeł, nawet faceci ze sztabu zaczęli gnać ze wzgórza na łeb, na szyję. Motocykliści gorączkowo zapalali maszyny. Nikt z nich do końca nie wiedział, o co naprawdę chodzi, ale wszyscy czuli, że coś jest nie tak. Kiedy ma się do czynienia z ostrą amunicją, to w podobnych sytuacjach nie ma lepszego wyjścia, jak dać nogę.

Biegliśmy jeszcze, gdy granat łupnął o ziemię jakieś sto metrów od nas. Pieprznięło, ale na szczęście nikt nie odniósł obrażeń.

Oficer ogniowy słono za to zapłacił, co tylko ucieszyło sierżanta. My zaś nie dawaliśmy mu spokoju do końca pobytu na pustyni.

Później znów trafiła się okazja, żeby poskakać ze spadochronem. Stałem się już chyba pełnoprawnym członkiem drużyny lodziarzy. Zaraz po wylądowaniu zrzuciałem kombinezon, paradowałem w krótkich majtkach, opychając się frytkami, gotów do następnego skoku.

Właśnie czekaliśmy na lotnisku polowym na maszynę transportową C130, która miała przylecieć z Maskatu, znaczy stolicy Omanu. Krajobraz był tu zupełnie inny niż wokół naszego pierwszego obozu: łagodne wzniesienia i wydmy, na których przyjemnie będzie lądować ze spadochronem, niewielkie kamienne warownie na szczytach wzgórz i wioski, jakby żywcem przeniesione z czasów krzyżowców, słowem historia, ale nie zmurszała. To jest to – pomyślałem – właśnie o to mi chodziło, tak sobie wyobrażałem życie w wojsku.

„Dziś ćwiczymy skok ze sprzętem – oznajmił John. – Cały pluton, nocą, z

pułapu dwadzieścia pięć. – Oznaczało to desant całej grupy z blisko ośmiu tysięcy metrów, z ciężkim sprzętem w pojemnikach.

Siedzieliśmy w cieniu, pod ogonem transportowca, była szósta i właśnie zaczynało zmierzchać.

„Bagażem zajmują się Steve, Andy i Mat”.

A więc we trójkę będziemy holować pojemniki. Ucieszyłem się. Wiedziałem, jak to się robi, ale nigdy przedtem nie powierzano mi takiego zadania.

Pojemnik spoczywa na wózku, w czeluści kadłuba. Gdy zapali się zielone światło – sygnał do skoku – wyrzucamy go na zewnątrz. Sztuka polega na tym, aby skoczyć natychmiast za nim, i to całą trójką jednocześnie.

Na podejściu do miejsca zrzutu pobieraliśmy tlen z systemu pokładowego. Osobiste butle tlenowe włączymy w ostatniej chwili. Plecaki trzymaliśmy tymczasem pod nogami; gdy przyjdzie pora, przyczepimy je do uprząży spadochronu pod tyłkiem. Na razie krążyliśmy nad lądowiskiem nabierając wysokości.

Zerknąłem na wysokościomierz – nieco ponad sześć tysięcy metrów. Padła komenda, żeby się przygotować. Pchnąłem plecak za siebie, przypiąłem do uprząży. Po kolejnym sygnale podejdziemy do tylnego luku klapy, a kiedy zobaczymy sygnał oznaczający, że zaraz zapali się zielone światło, włączymy tlen z butli. Tymczasem czerpaliśmy jeszcze z systemu pokładowego. Wszystkie znaki i sygnały dawano ręką. W masce tlenowej trudno rozmawiać. Klapa rufowa zaczęła się otwierać.

Przesunęliśmy się do tyłu, w stronę rampy, kołysząc się jak kaczki pod ciężarem sprzętu, broni, plecaków i spadochronów – siedemdziesiąt kilogramów na osobę. Ja dzwigałem jeszcze karabin maszynowy, dodatkowe dwanaście kilo. Stałem po lewej stronie pojemnika, Steve po prawej, Mat z tyłu. Pchnęliśmy wózek na sam skraj rampy, koła dotknęły hamulców, które w stosownym momencie wyszarpuje się, pociągając za linkę. Reszta plutonu zajęła już pozycje do skoku. Wszyscy skupieni, niemal jeden na drugim, bo sprawa polega na tym, aby wyskoczyć jednocześnie. Oprócz naszego plutonu do skoku szykowało się trzech chłopców z Kompanii A, która właśnie kończyła pobyt na Bliskim Wschodzie, ale skoczkiwie, dowiedziawszy się o desancie, zrezygnowali z przepustki i zabrali się z nami.

Steve pochylił się, zaparł nogami, gotów pchnąć pojemnik. Załogant podniósł dwa palce w górę na znak, że jesteśmy na podejściu i za dwie minuty skaczemy. Wszyscy po kolei powtórzyli gest. Dotknąłem ramienia Steve'a. Kiwnął głową, że wie. Załogant chwycił za linki, które zwolnią hamulce pod pojemnikiem. Patrzyliśmy na czerwone światło przy rampie. Gdy się zmieni na zielone, skaczemy.

Maszyna zakołysała się. Chyba ostatni manewr przed podejściem. Trzeba

było mocno się trzymać, żeby nie stracić równowagi. Załogant przesunął palcem po gardle i zakręcił kółko, znak, że coś się nie udało i trzeba zrobić jeszcze jeden krąg.

Powtórzyłem znak, Steve potwierdził, że rozumie, potem opuścił głowę. W czasie manewrów zaczęło rzucać.

Steve wsparł hełm o pojemnik. Wszyscy byliśmy znużeni. Ciężar, który każdy dźwigał, wrzynał się w ramiona, ręce bolały od trzymania, gdy samolot manewrował na podejściu.

Znów dano znak, że jeszcze dwie minuty...

Dotknąłem Steve'a. Żadnej reakcji. Potrząsnąłem go za ramię. Znowu nic. Nie miałem pojęcia, co się dzieje, dopiero po chwili przyszło mi na myśl, żeby sprawdzić butlę z tlenem. Wskazówka ciśnieniomierza była na czerwonym polu.

Dałem znak załogantowi, pokazując palcem butlę i Steve'a. W odpowiedzi rzucił coś do interkomu, samolot zaczął ostro nurkować. Klapa rufowa uniosła się w górę. Przez moment zapanowało zamieszanie, ale zjawiał się podoficer odpowiedzialny za tlen. Zaciągnął Steve'a do konsoli pokładowej. W ostatniej chwili. Steve ciężko dyszał. Podoficer podał mu tlen. Śpieszył się i pocił. Butle to była jego działka.

Zeszliśmy na trzy i pół tysiąca metrów, a więc poniżej strefy niebezpieczeństwa. Trzeba było zrezygnować z desantu, ale samolot nie mógł lądować w ciemności na miejscu. Zawrócił w stronę Maskatu, co nikogo specjalnie nie zmartwiło.

Hotel był wygodny, restauracja wytworna, w kącie brzdąkał pianista, stoły nakryte krochmalonymi na sztywno obrusami. Francja, elegancja, wszyscy w wieczorowych strojach, tylko my – desantowcy – spoceni, w kombinezonach i dość ponurzy.

„Nie ma się czym przejmować – rzucił Mat – nic się stało. Steve i tak jest bezmózgowcem, więc niedotlenienie nie może mu zaszkodzić”. Roześmialiśmy się i to przełamało zły nastrój.

Okazało się, że Steve otrzymał uszkodzoną butlę, co oczywiście nie przeszkodziło nam nazywać go głupim wałem, który bał się skoczyć.

Fascynowało mnie życie miejscowej ludności, a zwłaszcza ich obyczaje. Czasami wręcz nie wierzyłem własnym oczom. Faceci pili coca-colę, żuli gumę Wrigleya, jeździli klimatyzowanymi land cruiserami, ale ich sposób myślenia był zupełnie inny od naszego. Nieraz rozmawialiśmy z nimi, zapraszaliśmy na herbatę. W całym wojsku nie ma jednostki, która okazywałaby mniej uprzedzeń niż nasz Pułk, co niewątpliwie wiąże się z faktem, że służą w nim ludzie wywodzący się z wielu różnych środowisk, klas, a nawet z różnych krajów, wyznających rozmaite religie. W Pułku nikt nigdy nie wyrażał się źle o tubylcach. Jak moglibyśmy przeprowadzać

wspólne operacje z przeróżnymi partyzantami i w ogóle, gdybyśmy ich mieli za głupców? A zresztą w wielu wypadkach ci ludzie pochodzą z miejsc o bogatszej kulturze i dłuższej historii niż nasza, a co ważniejsze, nie wstydzą się swojego pochodzenia i nie odcinają od swoich korzeni. Chociaż Zachód postrzega ich jako zacofanych, w porównaniu z nimi jesteśmy po prostu profanami. Trzeci Świat nie jest ani brudny, ani podły. To my narzucamy im naszą własną pseudokulturę coca-coli, pepsi i džinsów, kosztem ich tradycji, często starszej i mądrzejszej od naszej. Jeśli idzie o wiarę i przekonania religijne, nikt w Trzecim Świecie nie traktuje tych spraw tak lekko jak my.

Arabowie w Omanie mają takie święto, które nazywają *haflas*. Zbiera się cała gromada, pieką kozę i uczują na pustyni. Zajeżdżają land cruiserami, rozkładają dywany na piasku, rozpalają ognisko. Czasami przywożą nawet niewielki beczkowóz z wodą. Wszystko odbywa się według odwiecznego rytuału, zwierzę szlachtuje się zgodnie z zasadami islamu.

Z przyjemnością zasiadałem do takiej uczy, zwłaszcza że obowiązywał pełny luz. Kto chciał, to siedział, kto się znudził – wstawał. Żadnego protokołu. Najadłeś się, to cześć.

Któregoś dnia nabraliśmy apetytu na świeże mięso. Zrzuciliśmy się po trzy riale i paru chłopaków kopnęło się do miasta. Reszta rozłożyła dywany na piasku, rozpaliła ognisko i szykowała się do biesiady. Minęło południe, miało się już ku wieczorowi, gdy rozległ się znajomy warkot i w tumanie kurzu zajęchała dostawcza toyota, a na niej nasz oczekiwany posiłek. Spętany sznurami, wyglądał żałośnie. Chłopcy kupili... młodego wielbłąda.

Rzeź odbyła się wedle rytuału. Część mięsa postanowiliśmy ususzyć na słońcu, reszta wylądowała w kotle, by po godzinie znaleźć się na talerzach w towarzystwie ryżu. Biesiada była liczna. Setka nas rozsiadła się na dziesięciu dywanach pod rozgwieżdżonym niebem. Każdy dostał kopiasty talerz. Ucztowaliśmy do rana, bijąc pianę.

Nasi arabscy znajomi, jak zresztą wszyscy tubylcy w krajach, w których przychodzi nam działać, zapragnęli pokazać się z najlepszej strony, dać świadectwo bogatej kultury i w ogóle. Danie z wielbłąda to rarytas. Gotowanie ryżu to sztuka, nie mówiąc już o tym, że trzeba umieć wybrać stosowne partie mięsa. W niektórych wsiach za prawdziwy przysmak uchodzi kielbasa z kozy. Przyrządza się ją w bardzo osobliwy sposób. Otóż zbierają się stare kobiety, żują kozinę, aż zmięknie, i taką przeżutą masę umieszczają w kozim jelicie. Całość dzielą jakby na serdelki i gotują. Kiedy poczęstowano mnie czymś takim, wdzięczny byłem losowi, że nie dane mi było wcześniej zobaczyć całego cyklu produkcyjnego. Zjeść musiałem, bo nie wolno odmówić.

Sierżant tymczasem zgromadził spory fundusz z naszych „dobrowolnych składek” i nadszedł czas, aby to spożytkować.

– Urządzimy sobie pieczenie w grillu na plaży w Maskacie – zapowiedział.

Impreza była na dwadzieścia cztery fajerki. Najpierw rozegraliśmy mecz rugby z reprezentacją miejscowej kolonii Brytyjczyków. Wygraliśmy. O zmierzchu zebraliśmy się wszyscy w klubie na plaży, gdzie już czekało zimne piwo i płonęły węgle pod pięcioma czy sześcioma rusztami. Raczyliliśmy się bez ograniczeń. Wszyscy chcieliśmy odbić sobie na sierzancie... za jego zdzierstwo.

Atrakcją było także słuchanie miejscowych plotek. Opowiadano nam na przykład, co wydarzyło się w jednej z miejscowych baz wojskowych, w której działali nasi doradcy. Magazynierem był tam stary Arab – inwalida, bez oka i nogi – emeryt wojskowy, którego za zasługi zatrudniono do liczenia koców, żeby sobie dorobił. Całe życie spędził w wojsku. Akurat był pobór i w bazie kręciło się dużo młodego wojska. W każdej wolnej chwili chłopcy urywali się do rodzinnych wiosek, podróżując autostopem.

Któregoś dnia stary magazynier zaproponował pewnemu rekrutowi, że chętnie go podwiezie. Kilka godzin później chłopak przywłókł się z powrotem do obozu. Skarżył się, że Arab go zgwałcił.

Oficerem dyżurnym był Brytyjczyk. Wezwał chłopca i wysłuchał całej historii, a następnie posłał po magazyniera i wysłuchał jego wersji, a jeszcze później skonfrontował ze sobą obu bohaterów i wydał wyrok.

Magazynier poszedł siedzieć na ładne kilka lat. Natomiast młodzieńcowi oficer ów powiedział: „Popatrz tylko na niego: stary jest, słaby, bez oka i nogi. Ty zaś jesteś młody i silny, co znaczy, że się chyba nie broniłeś!” i wlepił mu sześć tygodni odsiadki, aby zapamiętał.

Przyjęcie miało się ku końcowi, gdy nasz sierżant zaczął nagle zwracać wszystkim uwagę, żeby nie pili tyle, bo warto coś zabrać ze sobą do domu, do Anglii. W odpowiedzi usłyszał, żeby się odpieprzył, bo osuszemy wszystko.

No i wtedy zrobiło się nieświeżo. Miejscowa drużyna rugby zaczęła się napażać z naszą i po chwili do bijatyki włączyła się reszta. W tym to momencie zjawiły się zaproszone wcześniej siostry z miejscowego szpitala. Ledwie zeszyły na plażę, usłyszały, że mają wypierdalać, bo nikt nie ma czasu. Oburzone odwróciły się na pięcie, i słusznie.

Sierżant kazał zamknąć bary, wygasić ruszty, chłopcy uspokoili się i zlegli pokotem na plaży. Rano Mały otrząsnął się z piachu i na dzień dobry zaryczał: „ale nudy”.

Na zbiórce kompanii sierżant zapowiedział surowo, że więcej takich imprez nie będzie, ani tu, ani nigdzie, bo jesteście nieodpowiedzialni. Wtedy jeden ze starszych kolegów wygarnął mu prosto z mostu:

„Jak pan to sobie wyobraża, szefie? Wyciska pan z nas mamonę, ograbia na napojach opowiadając, że będzie z tego fundusz na imprezę, a gdy już jest

impieza, to lata pan z ozorem, żeby nie pić i w ogóle”.

Po powrocie do domu, do Herefordu, dano nam parę dni wolnego, ale kazano stawić się w jednostce we wtorek o ósmej, bo dowódca ma z nami do pogadania. Mieliśmy nadzieję, że pochwali nas za niezsmarnowanie trzech miesięcy.

Pułkownik zjawił się o ustalonej godzinie w towarzystwie dowódcy kompanii i sierżanta.

– Dostałem pismo, z którym chcę was zapoznać – powiedział. List był podpisany przez jakąś grubą rybę z rządu. Wyrzucano nam nieodpowiednie i hałaśliwe zachowanie na plaży w Maskacie. Ktoś z tamtejszych naszych rodaków miał widać znajomości na wysokich szczeblach.

Przeczytawszy cały list, pułkownik zwrócił się krótko do sierżanta:

– Do cywila! – Przeniósł wzrok na dowódcę kompanii. – Pan też powinien być zwolniony, ale niestety nie mam nikogo na zastępstwo. – Na koniec zwrócił się do nas: – Jest wniosek o rozwiązanie Kompanii B. Jeśli przejdzie, to będziecie mieli za swoje. – Po tych słowach wyszedł.

O kurwa – pomyślałem – jestem tu ledwie rok i już wpadłem w gówno po uszy.



## 19

Po powrocie do domu opowiedziałem o wszystkim Debbie. Mieliśmy już mieszkanie, które Debbie urządziła. Znalazła pracę w Herefordzie, cieszyła się z powrotu z Niemiec i wszystko byłoby dobrze, gdyby nie moje widzimisię. W dalszym ciągu dostrzegałem tylko czubek własnego nosa. Byłem strasznym egoistą. Niby miałem wszystko, o czym marzyłem – Pułk, bliską mi osobę – a jednak szukałem dziury w całym. Bardziej niż dom pociągały mnie spotkania z kumplami na mieście.

– To straszne – podsumowałem opowieść – mogło się naprawdę źle skończyć.

– Co ty powiesz? – Debbie chyba wcale nie słuchała. – Muszę już iść do pracy.

Patrząc, jak wsiada do samochodu, uświadomiłem sobie, że dziewczyna ma swoje życie i niewykluczone, że ja tylko jej przeszkadzam, ale zaraz przestałem się nad tym zastanawiać, kumple czekali, trzeba było zorganizować coś na wieczór.

Na weekend wybraliśmy się z wizytą do siostry Debbie. Mieszkała na piętrze, nad sklepem matki, i żeby dostać się na górę, trzeba było przechodzić między półkami z zieleniną i owocami. Jeszcze gorzej było w nocy, bo siostra zamykała drzwi, a klucz zabierała ze sobą. Przez całą sobotę czułem się nieswój i nie mogłem znaleźć sobie miejsca, a wieczorem, gdy usłyszałem szcęk klucza w zamku, pomyślałem, że to mnie gryzie. Po chwili jednak zdałem sobie sprawę, że przyczyna moich niepokojów jest znacznie głębsza, że moje małżeństwo znalazło się w ślepej uliczce i to za moją sprawą.

Jednocześnie nie miałem najmniejszej ochoty niczego naprawiać, bo nie było sensu. Gdy tylko to sobie uprzytomniłem, zaraz, bez owijania w bawełnę, powiedziałem Debbie, co myśle:

– Wiesz, mam dość i nie chcę tu dłużej być.

– Ach tak? – uśmiechnęła się znad lustra. – No to rano wyjedziemy, bo teraz już za późno.

– Nie rozumiesz. Chcę wyjechać sam, rzucić to wszystko.

– Co? – uśmiech znikł z jej twarzy, gdy dotarła do niej brutalna prawda. Zaczęła płakać, co tylko wnerwiło mnie jeszcze bardziej. Trzeba to przeciąć raz na zawsze, bo nie daj Boże jeszcze zaczniesz się gadka o dzieciach.

Wrzuciłem parę rzeczy do torby, zszedłem na parter i wyskoczyłem przez okno, bo drzwi były zamknięte na klucz. Od tego czasu widziałem Debbie tylko raz.

Przeniósłem się do koszar. Zacząłem odkładać pieniądze na dom. Było ciężko, bo nie dostawałem jeszcze gaży według stawek sił specjalnych. W koszarach mieszkało nas niewielu, głównie tacy jak ja lub faceci, którzy mieli rodziny w innych miastach. Także nowi. Pokój miałem więcej niż skromny. Kumpel podarował mi czajnik, paczkę herbaty i mleko. Taki był początek. Miałem też stare renault piątkę, bez ważnej rejestracji i bez tablicy rozdzielczej. Musiałem ją kiedyś wymontować, żeby naprawić instalację elektryczną, i tak już zostało.

Pod koniec roku, a był to już 1985, dowiedziałem się, że znów mam wyjechać za granicę. Nie zmartwiłem się. Wyjadę, zapomnę, wszystko się samo ułoży. Ciągle jeszcze byłem jak dziecko, które myśli, że wystarczy zamknąć oczy, a kłopoty znikną. Z drugiej jednak strony nowy przydział wcale mi się nie uśmiechał, ba, wręcz mnie wkurwił, bo miałem jechać na koniec świata.

Na odprawie opowiedziano nam co nieco o Belize, bo tam właśnie miałem jechać. A więc jest to dawny Honduras Brytyjski, kraj niewielki, wszystkiego dwadzieścia trzy tysiące kilometrów kwadratowych, tyle co Walia. Leży nad Morzem Karaibskim, w Ameryce Środkowej, tuż pod Meksykiem, jak się patrzy na mapę. Ludność – sto siedemdziesiąt tysięcy, głównie Murzyni mówiący po angielsku oraz hiszpańskojęzyczni uciekinierzy z sąsiedniego Salwadoru. Liczba tych ostatnich stale rośnie.

W XVIII wieku brytyjscy koloniści z Jamajki zaczęli wycinać tu lasy na drewno i z wolna opanowali całe terytorium, do którego pretensje zgłaszała też sąsiednia Gwatemala – jakby prawny sukcesor Hiszpanii, która swego czasu sprawowała tu rządę. Ale w 1859 roku podpisano stosowny układ, w którym Gwatemala uznawała suwerenną władzę korony brytyjskiej nad

Belize, czyli ówczesnym Hondurasem Brytyjskim. W układzie wszakże był jeden istotny punkt, zobowiązanie, że wspólnymi siłami zbuduje się drogę przez dżunglę łączącą Gwatemalę z wybrzeżem. Jakoś nigdy tego nie zrobiono, przez co Gwatemala zaczęła głosić, że układ jest nieważny, a w 1945 roku do gwatemalskiej konstytucji dopisano nawet klauzulę, że Honduras Brytyjski stanowi integralną część Gwatemali. Coś podobnego głosiła Argentyna w sprawie Falklandów. Kiedy w latach sześćdziesiątych wszystkie dawne kolonie brytyjskie zyskiwały niepodległość, Gwatemala podniosła raban. W 1963 roku skoncentrowała wojska na granicy, a Wielka Brytania w odpowiedzi wysłała do Belize swoje oddziały, aby odparły ewentualną napaść.

Mimo to w 1972 roku Gwatemala znów zaczęła się szykować. I tym razem Londyn odpowiedział zdecydowanie, wysyłając w pobliże okręty wojenne z kilkoma tysiącami ludzi, a trzy lata później, w 1975 roku, po kolejnej demonstracji siły ze strony Gwatemali, RAF wysłał do Belize eskadrę harrierów.

Wreszcie w 1980 roku Gwatemala zgodziła się uznać niepodległość Belize, pod warunkiem że wreszcie zbuduje się tę nieszczęsną drogę przez dżunglę. W Belize wybuchły zamieszki, zginęli ludzie. Gwatemala nie ratyfikowała układu, wycofała uznanie. W tej sytuacji brytyjski garnizon pozostał w Belize na stałe i właśnie ja z kilkoma kumplami mieliśmy doń dołączyć.

Kiedy patrzy się na mapę Belize, widać przede wszystkim gęstwinę poziomic, co oznacza, że teren jest mocno pofałdowany. Widać też sporo zielonego koloru – to dżungla. Dróg mało, a te co są, to pozał się Boże. Jak miałem się rychło przekonać na własne oczy, w miastach i osiedlach nie ma kanalizacji, środkiem ulic płyną rynsztoki, a tubylcy nie darzą nas szczególną sympatią. Opowiadano mi nawet, że jednemu z naszych odrąbano rękę w czasie napadu rabunkowego.

Brytyjski garnizon składał się z batalionu piechoty, oddziałów wsparcia i artylerii, eskadry harrierów, tuzina chłopaków z Pułku oraz jeszcze z SBS. Ci ostatni występowali pod nazwą Kompanii F. Dowcipnie rychło przerobili nazwę na Szwadron F, bo akurat szedł w telewizji amerykański serial z Dzikiego Zachodu, w którym był taki Szwadron F, złożony z samych zakutych łbów.

Do Belize trafiłem w lipcu. Spotkałem kilku znajomych chłopaków: Brenekę, Szkota, Johnny'ego Dwugrzebieniowca. Johnny miał wkrótce wracać do Anglii.

„Ani się obejrzyysz, jak będziesz miał tego po dziurki w nosie” usłyszałem od niego na powitanie.

Miał rację. Wszyscy kłęliśmy garnizon w żywy kamień. Mieszkaliśmy w

blaszanym baraku pod półokrągłym dachem, bez klimatyzacji, do czego tylko ostatni idiota może dopuścić. Zaraz na początku kupiliśmy elektryczne wentylatory, których w ogóle nie wyłączyliśmy, bo nie byłoby czym oddychać. Za całe umeblowanie służyły żelazne łóżka i żelazne szafki na rzeczy. Zamieszkałem w jednym pokoju z Breneką. Od pierwszej chwili nie mówiliśmy o niczym innym, jak tylko o tym, że trzeba wyprostować świat i zarobić wreszcie trochę szmalu. Obok mieszkał Des Doom. Całymi dniami walił w worek treningowy. Za każdym razem ogłaszał, czyją to mordę właśnie obija. Miał sporą wyobraźnię, a tors i ramiona całe w tatuażach.

„Kiedy byłem kawalerem – powiadał – to na podryw mówiłem dziewczynie, że jak się będzie nudzić, to może sobie »mniej« poczytać”. Miał wkrótce pójść do cywila, bo mu się znudziło i chciał robić co innego. Był w Pułku ledwie cztery lata i jego raport o zwolnienie potraktowano jak zdradę. Za karę, choć nikt tego głośno nie powiedział, wysłano go do Belize na pełną rotację. Nic dziwnego, że walił w te swoje „mordy dnia”.

W jednostce mieliśmy basen, ale kąpiel w nim była wzbroniona, bo ktoś kiedyś do niego nasrał, wyrażając w ten sposób protest przeciwko temu, że jedni mogą korzystać, a inni nie. Poza workiem treningowym, który zaanektował Des, były jeszcze zaimprovizowane sztangi. Nie wiadomo kto wpadł na pomysł, żeby nalać betonu do puszek po ogórkach, wetknąć poprzeczkę i w ten sposób zmajstrować sztangę. Ważne, że była.

Nasz pluton stanowił część garnizonu i musieliśmy podporządkować się wszystkim garnizonowym przepisom i obyczajom. W zajmowanym przez nas baraku znajdowała się między innymi kantyna podoficerska, ale niedostępna dla większości z nas, bo trzeba było być co najmniej kapralem. Choć nas tam nie wpuszczano, to żądano od nas składki na jej utrzymanie. Pojebana sprawa.

Tak więc byli wśród nas lepsi i gorsi, co mnie oburzało, bo nie po to wstępowałem do Pułku.

Na trzy tygodnie, na zastępstwo, przyjechał Mały. Był kapralem, więc mógł chodzić do kantyny podoficerskiej, ale olał i chodził z nami do zwykłej stołówki. Po paru dniach zwrócono mu na to uwagę. Koniec końców została nas czwórka „trędowatych”, co zresztą wyszło nam na dobre, bo w kuchni żołnierskiej hinduscy kucharze gotowali najlepsze w świecie curry.

Jedno z naszych stałych zadań polegało na niesieniu pomocy ofiarom wypadków lotniczych. Gdy jakaś maszyna, cywilna czy wojskowa, spadła gdzieś w dżungli, wyruszaliśmy śmigłowcem Puma na poszukiwania. Opatrywaliśmy rannych, przygotowywaliśmy lądowisko dla helikopterów transportowych, co oznaczało, że trzeba było wysadzać w powietrze kilka albo kilkanaście drzew, aby zrobić miejsce.

Nie było to jednak takie proste, jak mogłoby się wydawać. Czasami

desantowaliśmy się bezpośrednio na miejsce wypadku, czasami obok, gdzie od impetu spadającej maszyny legły drzewa i powstało wygodniejsze dojście. Gorzej było, gdy katastrofie ulegała jakaś niewielka awionetka, a już najgorzej, kiedy wszystko jeszcze stało w ogniu. Należało się przygotować na wszelkie okoliczności. Ćwiczyliśmy więc technikę desantów w dżungli, z całym bagażem koniecznego sprzętu.

Czterech spośród nas pozostawało na dyżurze, reszta wychodziła w teren na tygodniowe lub dwutygodniowe patrole. Osobiście wolałem to drugie, bo w garnizonie nie było dosłownie nic do roboty. Mogliśmy co najwyżej trenować biegi i czekać na najważniejszy punkt dnia: herbatę z kanapkami o jedenastej.

Zastanawiałem się często, co ja takiego zrobiłem, że muszę tu tkwić pełne pięć miesięcy. Czulem się jak wyrzutek i przestałem się dziwić, że wszyscy migali się jak mogli przed wyjazdem do Belize.

Jedynym wytchnieniem od porażającej nudy były ćwiczenia desantowe. Na miejsce katastrofy w dżungli zabiera się całą furę sprzętu i materiałów: pojemniki z wodą, instrumenty medyczne, prądnicę, zapas paliwa, żywność, namioty, nie mówiąc już o plecakach z osobistym wyposażeniem. Wystarczy tego na dwa land rovery.

Desantowaliśmy ze śmigłowców Puma. Ćwiczenia zaczynały się zawsze podobnie.

„W to samo miejsce?” – pytał pilot, patrząc szyderczo na górę sprzętu.

„Czemu nie?” – odpowiadałem i zaczynałem ładować bagaż, podczas gdy piloci stali sobie spokojnie, popijając colę i debatując, która załoga będzie miała dyżur w święta, bo na Boże Narodzenie chcieli się wybrać samochodem do Cancun.

My tymczasem czekaliśmy, żeby wreszcie włączyli silniki i wystartowali, bo w górze będzie nieco chłodniej. W Belize albo leje jak z cebra, albo grzeje jak w piecu.

Tymczasem na start, żeby popatrzeć, wylegało paru chłopaków z Royal Engineers – oddziału saperów. Ci to urządzili sobie obóz jak się patrzy: zrobili bar, ruszt, zmajstrowali ławy i stoły. Było to rzeczywiście najfajniejsze miejsce w całej jednostce. Czasami żałowałem nawet, że nie ukończyłem szkoły, bo wtedy mogliby mnie przyjąć do saperów.

Śmigłowiec startował, zataczał krąg i zatrzymywał się w zwisie trzydzieści metrów na boiskiem. Kibice-saperzy, w szortach i klapkach, sięgali po mrożoną colę i przygotowywali sobie plansze z ocenami, jak sędziowie na lodowisku.

Dwóch moich kolegów stało przy otwartych drzwiach śmigłowca, a ja wyrzucałem za burtę tak zwany taran. Ćwiczyłem z Terry'm i Joem Ferragherem. Terry był w plutonie górskim, a przedtem służył w piechocie

morskiej. Wołaliśmy na niego Grubas, choć wcale nie należał do tłuściochów, ale miał największe bary na świecie. A ponieważ był raczej niskiego wzrostu, więc wyglądał jak kwadratowy.

Natomiast faceci z SBS mieli prezencję, że tylko zazdrościć. Wysocy, przystojni, aniśmy się do nich umywali. Co do Grubasa to uznaliśmy, że wstąpił do Pułku tylko dlatego, że nie był wystarczająco przystojny, by dostać się do SBS. Faktem jest, że mordę miał zakazaną.

Joe był olbrzymem. Ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i ponad sto kilo żywej wagi, a przy tym taki milczek, że trudno było z niego coś wycisnąć, ale kiedy już zaczynał kłapać dziobem, to bez końca. Usposobienie miał łagodne jak baranek, jeśli pominąć jego zachowanie w jednym wypadku. Otóż kiedyś, gdy był za granicą, w jego domu zamieszkali dzicy lokatorzy. Joe udał się do nich z wizytą. Po dziesięciu minutach oświadczyli, że nie będą korzystać z prawa zasiedzenia. Joe posłał im później kwiaty do szpitala na znak, że nie żywi żalu.

Ów „taran”, o którym wspomniałem, to dość proste urządzenie: zwój liny w obciążonym worku. Wyrzuca się to z pokładu śmigłowca, lina rozwija się, a worek przebija gęstwinę tropikalnego lasu i tym sposobem można zejść po linie na ziemię, co zresztą wymaga pewnych akrobatycznych umiejętności.

Otóż schodzący przypina się do liny stalowym karabińczykiem w kształcie ósemki. Trik polega na tym, żeby poddawać linę od dołu i wtedy spokojnie można zjeżdżać. W razie czego facet ubezpieczający zjazd od dołu naciąga linę i wtedy karabińczyk blokuje się w miejscu. Ale pierwszy zjeżdża bez ubezpieczenia z dołu i czasami zdarza się, że spada jak kamień. Po czymś takim ręce wyglądają jak odarte ze skóry.

No i właśnie najpierw na ziemię zsunął się Joe, a za nim Grubas. Saperzykibice wystawili noty za styl.

„Gorzej niż konkurencja miesiąc temu, ale zwis śmigłowca jest z pewnością lepszy”.

Nie mogłem tego słyszeć, ale przypuszczałem, że taki właśnie był ich komentarz, gdy sięgali po kolejną butelkę zimnej coli i obracali się do słońca, aby opalenizna była równa, jak należy.

Chłopcy zjechali na dół, czas spuścić sprzęt i bagaże. Technika podobna. Na raz-dwa-trzy spychałem ciężki pojemnik na karabińczyku, a chłopcy, naciągając lub zwalnając linę, regulowali tempo zjazdu ciężaru. Na koniec schodziłem ja i śmigłowiec odlatywał do bazy. Piloci śpieszyli się, aby zdążyć na herbatę o piątą po południu. Po porannej herbacie było to drugie najważniejsze wydarzenie dnia w garnizonie. My ładowaliśmy się do land roverów, saperzykibice wracali do siebie, wymieniając po drodze uwagi, że na przykład Kompania D jest lepsza w te klocki od nas.

W pozostałe dni chodziliśmy na patrol, zbieraliśmy informacje i

szkowaliśmy się na wypadek napaści ze strony Gwatemali. Wyrusaliśmy grupami po czterech lub sześciu. Śmigłowiec podrzucał nas w pobliże granicy i penetrowaliśmy teren przez dziesięć dni, a czasami przez dwa pełne tygodnie, i to bardzo mi się podobało.

Miejscowa gospodarka opierała się na uprawie grapefruitów, marihuany, a poza tym na prostytucji i obsłudze brytyjskich jednostek. Z marihuany pochodzi, jak się dowiedziałem, trzecia część dochodu narodowego Belize. Owszem, czasami policja przeprowadzała spektakularne akcje, puszczając z dymem tę czy inną plantację, aby władze miały alibi i mogły głosić, że walczą z narkotykami, ale był to tylko pozór. Jedną spalono, dwadzieścia innych plantacji zostawało. Marihuana dawała szmal, więc nikt na serio z tym nie walczył. My też nie, bo to nie nasza sprawa. A w ogóle to wszyscy przymykali oczy, godząc się z faktem, że w tej części świata handluje się narkotykami i już.

Mniej więcej godzinę jazdy od nas mieszkał niejaki Gilbert, Indianin. Miał kawałek ziemi, z którego utrzymywał dość liczną rodzinę, a dorabiał sobie ucząc nas, a zwłaszcza pilotów, sposobów przetrwania w dżungli. Pomagał nam także w szkoleniu podoficerów nowo przybyłych jednostek, a oni z kolei uczyli swoich ludzi, jak radzić sobie w dżungli. Batalion w Belize był jednostką operacyjną i chłopcy wcale nie mieli lekko. Nam zaś szkolenie piechociarzy dawało poczucie, że przynajmniej robimy coś pożytecznego.

Na całą chatę Gilberta składało się trochę bloków z siporeksu i kawał falistej blachy. Panował w niej gwar, bo rodzinę, jak powiadam, miał liczną. Jedną izbę dzieliła na dwie części zasłona ze starych koców. Po jednej stronie sypiał pan domu, po drugiej ośmioro drobiazgu. Na podwórku był kran, a w kącie sławojka. Gilbert był gościnny. Zawsze częstował nas kawą i dawał coś do zjedzenia, my rewanżowaliśmy się butelką czegoś dobrego. Całe życie mieszkał w dżungli i zawsze miał coś ciekawego do opowiedzenia lub pokazania. Kiedyś podzielił się z nami swą opinią o narkotykach i handlu z Amerykanami:

„Dla nas to żaden problem. Chcą używać, to ich sprawa, a nasi chętnie zarobią. Gdybyście pojechali dalej tą drogą, jakieś pół godziny stąd, zobaczylibyście, że szosa raptem się rozszerza, pobocza są oczyszczone, nie ma dziur. Tam właśnie nocami lądują awionetki po towar i nikogo to nie obchodzi, bo, jak powiadam, chcą jankesi ćpać, niech sobie ćpają”.

Zdecydowanie wolałem chodzić na patrole. Do plecaka ładowało się zarcie na cały czas pobytu w dżungli. Jadaliśmy jeden solidny posiłek dziennie, głównie ryż lub makaron, a w każdym razie coś, do czego trzeba dodać tylko wody, bo tej w dżungli nie brakuje.

Na zmianę, jako suche ubranie, wziąłem podkoszulek i szorty-dynamowy, takie jakie w latach pięćdziesiątych wydawano urzędnikom administracji

kolonialnej w Azji Południowo-Wschodniej, skarpetki i adidasy. Miałem jeszcze tak zwany koc kosmiczny, pałatkę i hamak. W sumie niewiele rzeczy, ale im mniej, tym lepiej, bo człowiek się tak nie umęczy.

To wszystko było w plecaku, reszta sprzętu mieściła się w pojemnikach na pasach i szelkach. Miałem więc TACBE – *Tactical Beacon Radio* – osobisty sygnalizator położenia – zapasowe magazynki, apteczkę pierwszej pomocy, żelazne porcje jedzenia oraz trzylitrowe manierki z wodą. Dbałem, żeby zawsze były pełne, i zawsze wrzucałem do środka tabletki odkażające. Woda była podła, a o herbacie lepiej nie mówić. Zgodnie z regulaminem służby patrolowej każdy z nas miał piętnastometrowy zwój liny nylonowej i karabińczyk, bardzo zresztą przydatny do pokonywania przeszkód wodnych, a przekraczaliśmy mnóstwo strumieni i rzek. Technika była prosta. Jeden z nas, przewiązany liną, puszczał się wplaw, przedostawał się na drugi brzeg i ubezpieczał liną resztę. Warto dodać, że rzeki były wartkie i wcale szerokie.

Poza tym, o czym już wspomniałem, miałem jeszcze dwie jednorazowe strzykawki z morfiną, maczetę, zegarek, kompas i mapę. Maczetę, taką jakich używają oddziały Gurkhów, a nie kazonną, nosiłem na lince przy pasie. Woląłem właśnie gurkhowską, bo była lepiej wyważona, miała cięższy brzeszczot, przez co cięła lepiej od standardowej, którą nazwaliśmy cepem, bo tak mniej więcej działała. Większość chłopaków starała się więc o maczety z Brunei lub – jak ja z Nepalu, bo wchodziły w drewno jak piła łańcuchowa.

Oprócz osobistego ekwipunku na patrole zabieraliśmy oczywiście radiostację i spory zapas lekarstw oraz instrumentów medycznych a także, gdy patrolowaliśmy granicę, instrumenty i urządzenia potrzebne do prowadzenia obserwacji.

W warunkach wysokiej wilgotności powietrza i przy upale nie powinno się dźwigać więcej niż piętnaście kilo. W praktyce limit ten często przekraczaliśmy, choć naprawdę staraliśmy się ograniczać wszystko do minimum. Ze sprzętów kuchennych braliśmy tylko metalowy kubek i teflonowy rondel do gotowania ryżu.

Jeśli idzie o broń, to na patrol w dżungli najchętniej zabieraliśmy albo M 16, albo granatniki 203, bo nie wymagały czyszczenia, a nikomu nie chciało się tracić sił na pucowanie broni.

Jeden z chłopaków wyznawał zasadę, że broni w ogóle nie należy czyścić.

„Wiem, że można na niej polegać, że jest niezawodna, więc po co?” – pytał nie bez racji, bo jeśli broń strzela, znaczy wszystko w porządku.

Pewne nasze obyczaje mogły śmieszyć nie obeznanym z życiem w dżungli. Nosiliśmy na przykład przepaski na czole, co temu i owemu mogło się kojarzyć z Rambo i filmową modą. Tymczasem była to bardzo praktyczna rzecz. W dżungli, wiadomo, człowiek smaruje się świństwem przeciwko



owodom i poci się jak mysz. Dzięki przepasce pot zmieszany z owym ostrym świństwem nie zalewał oczu, a to ważne.

Kiedy tylko zachodziliśmy do jakiejś wioski nad granicą, mieszkańcy pierchali w popłochu. Chodziło o to, że często gęsto zaglądali tu Gwatemalczycy, grozili bronią, uprowadzali kobiety. Miejscowi nie rozróżniali, które wojsko jest swoje, a które obce, i na wszelki wypadek, widząc ludzi w mundurach, zaszywali się w dżungli.

Na całą wieś składało się kilka drewnianych chat, pośród których w błocie tarzały się świny, dreptały kury i biegały dzieciaki. Te niczego się nie bały. Było im wszystko jedno, czy mają do czynienia z nami Brytyjczykami – czy z Gwatemalczykami. Łasiły się, żeby im coś dać. Wzruszały mnie, choć ani w ząb nie rozumiałem, co do mnie mówią. One zresztą mnie też nie rozumiały, ale bawiliśmy się świetnie. W niektórych wioskach widziało się generatory prądotwórcze na ropę, a czasami spotykało ochotników z Amerykańskiego Korpusu Pokoju. Młodzi ludzie, współcześni misjonarze, uczyli zasad higieny i w ogóle oświecali tubylców, którzy żyli tak samo jak ich przodkowie przed wiekami. Amerykanie chwalili się, że dzięki nim warunki w wielu wioskach ulegają poprawie. Być może, ale wraz ze zmianą trybu życia pojawiały się nowe problemy: nie znane do tej pory choroby, nowe obyczaje i wierzenia. Wioski traciły duszę. Dzieciaki zaczynały nosić dzinsy i palić amerykańskie papierosy, a kiedy dorosły, uciekały do miast.

Przychodząc do wioski, najpierw składaliśmy wizytę miejscowemu kacykowi. Rytuał zawsze był ten sam. Fundowaliśmy piątkę, pytaliśmy, co słyhać, jak idzie i czy nie znajdzie się miejsce na nocleg. Na co on pomrukiwał w podobnym tonie, po czym zapraszał nas do siebie. Rewanżowaliśmy się w rozmaity sposób. Czasami dawaliśmy mu kolorowe pismo, a czasami coś z żywności. Chata wodza pełniła zarazem funkcje wiejskiego magistratu i tam właśnie przystępowaliśmy do akcji „zjednywania serc i umysłów”. Gdy tylko tubylcy zwiedzieli się, że to nie Gwatemalczycy, tylko życzliwi im Brytyjczycy, zaraz zaczynali przychodzić „do lekarza”. Opatrywaliśmy skaleczenia, ocieraliśmy dzieciakom nosy i w ogóle. Nie szafowaliśmy lekarstwami, bo ci ludzie do nich nie nawykli. Dać takiemu dwie aspiryny, to zaraz go rozłoży. Częściej sięgaliśmy po placebo. Dawaliśmy na przykład łyżeczkę przegotowanej wody z taką miną, jakby to było nie wiadomo co. Odchodzili szczęśliwi i zadowoleni.

W krytej strzechą chacie zawsze panował tłok. Wszyscy mieszkali razem – rodzice, dzieci, dziadkowie, wnuki oraz inwentarz. W środku ciemno było od dymu. W kącie wznosiło się gliniane palenisko z kawałkiem blachy, na której piekli placki *tortillas*. Podstawą wyżywienia była kukurydza. Najpierw

wypalali ogniem szmat dżungli, potem karczowali w pocie czoła i tak powstawały kukurydziane poletka.

Żyli w wielkim prymitywie, ale ja ich podziwiałem i polubiłem. Cieszyłem się, gdy po powrocie do danej wioski po jakimś czasie widziałem zagojone rany, które sam opatrywałem, i śmigające za piłką dzieciaki, które kiedyś były chore, leciały przez ręce.

Oczywiście nasze obowiązki nie sprowadzały się wyłącznie do leczenia chorób i opatrywania skaleczeń. Wypytywaliśmy ludzi o Gwatemalczyków: czy przekraczają granicę, czy zjawiają się we wsi. Dbaliśmy o dobre stosunki z miejscowymi, w zamian zyskiwaliśmy nie tylko interesujące nas informacje, ale wiele praktycznych rad, na przykład: gdzie są rybne rzeki, jakie rośliny w dżungli nadają się do jedzenia i tak dalej.

Współpracowaliśmy ściśle z załogą eskadry harrierów. Po drugiej stronie granicy wyznaczaliśmy cele, takie jak elektrownie i stacje uzdatniania wody, na wypadek gdyby doszło do konfliktu. Po zidentyfikowaniu celu wywoływaliśmy eskadrę. Puszczaliśmy w górę pomarańczowe balony, które wznosząc się nad gęstwinę liści, stanowiły punkty orientacyjne dla załóg samolotów. Sprawdzaliśmy łączność z samolotami.

Jako leniwy z natury, lubiłem wędrówki po dżungli, bo kosztowało to niewiele wysiłku. Większość czasu gawędziliśmy z tubylcami, a najważniejsze było to, że w dżungli człowiek nie wydawał pieniędzy. Ciągle jeszcze zbierałem na dom, więc ścibiłem grosz do grosza. Nie pisałem nawet listów, żeby nie wydawać na znaczki, a skoro nie pisałem, to i nie dostawałem.

W rok po mnie do Pułku przyszedł niejaki Sandy. Jeszcze będąc uczniem podpadł w cywilu i „schował się” w wojsku jako kadet. Był z pewnością inteligentny, bo listy pisał wiecznym piórem. Wzrostem i wagą byliśmy mniej więcej równi, z tym że on był nieco gorzej zbudowany, ale za to przystojny, czego mu zazdrościłem. Miał straszną czuprynę, włosy jak poskręcane zardzewiałe druty. Był już raz w Belize z batalionem, zanim zgłosił się na Selekcję, więc teraz nudził się strasznie. Mówił, że jest jeszcze gorzej niż za pierwszym razem.

Poznałem go na kursie spadochronowym w Brize Norton. Miał wtedy wypadek. Zderzył się w powietrzu z instruktorem. Wyglądało to nieciekawie. Spadochrony splątały się. Z trudem wylądowali. Sandy otrząsnął się i chyba nie protestował. Nie było sensu skarżyć się na instruktora, bo człowiek by tylko podpadł.

Kiedyś po dwutygodniowym patrolu, gdy już wyczyściliśmy broń, co zawsze robi się w pierwszej kolejności, poszliśmy razem pod prysznic na wielkie mycie i pranie. Pierze się wszystko, mundur, pasy, oporządzenie, a na końcu szoruje się siebie.

– Załatwisz wóz na święta do Cancun? – spytałem, gdy staliśmy pod prysznicem.

– Jeszcze muszę ustalić z Joem, kto będzie miał służbę. Ale pewnie da się wynająć land rovera i możemy jechać.

Po powrocie z patrolu pod prysznic wchodzi się najpierw w mundurze i butach. Mundur pierze się na sobie, potem myje się buty, na koniec człowiek rozbiera się i szoruje własne ciało.

To nie wszystko. Trzeba jeszcze oczyścić skórę z kleszczy i rozmaitego świństwa, które przywiera do ciała w dżungli. Trudno to robić samemu. więc prosi się o pomoc i rewanżuje tym samym.

– Ty – rzekł Sandy – zobacz, bo mam chyba jakieś kleszcze na plecach.

Wypiął się tyłkiem do mnie, pochyliwszy się nad umywalką, a ja zacząłem dłużyć kleszcze, obaj golutcy jak nas pan Bóg stworzył. I właśnie wtedy zjawił się jakiś oficer z RAF. Chciał się pewnie odlać, ale zawrócił na pięcie i poleciał do dowództwa z donosem, że pod prysznicem widział właśnie dwóch pedałów. Nie powiem, czas jakiś trwało, zanim wyjaśniliśmy co i jak, ale już do końca pobytu w Belize, ilekroć widziałem tego oficera, zawsze posyłałem mu całusa.

W pobliżu miasta Belize – kraj i port nazywają się tak samo – jest wspaniały lokal o nazwie Raoul's Rose Garden. Zrazu wydawało mi się, że to musi być taka typowa kolonialna wytworność, gdzie podają herbatę w filiżankach, kanapki z ogórkiem, a w kącie brzdąka ktoś na pianinie. W rzeczywistości był to typowy środkowoamerykański kurwidolek, w którym orkiestra gra non stop i non stop tną moskity. Całe szczęście, że żołnierzom nie wolno było tam chodzić, ale zakaz wstępu niewiele pomagał. Chłopaki bez przerwy łazili do burdeli, łapiąc nieprawdopodobnego syfa, a co gorsza, zakochując się jak nie w tej, to w innej kurwie, które by wszystko dały, żeby tylko wyjść za mąż i dostać brytyjski paszport.

Za moich czasów podstawą garnizonu był batalion Royal Marines – piechoty morskiej. Codziennie rano, o wpół do siódmej wyganiano chłopaków na pięciokilometrową zaprawę wokół jednostki i prawie codziennie można było obserwować ten sam obrazek – podczas gdy dwustu chłopca latało w kółko, do jednostki wracał akurat jakiś pijaczyna z kurwą przy boku. Dwieście rąk pokazywało, gdzie się zgina dziób pingwina.

Jeden facet z intendentury nie bacząc na nic, ożenił się z miejscową damą. Indianką zresztą. Była drobna jak pięć minut, ale śliczna. W swoim przekonaniu nie była kurwą, tylko zwyczajnie, zarabiała pieniądze. Oczywiście zabrał ją do Anglii, gdzie dawała dupy każdemu, kto tylko nosił mundur. Nie za darmo, ma się rozumieć. Małżeństwo naturalnie rozpadło się, dziewczyna po roku wróciła do Belize, do pracy u Raoula. Z dumą pokazywała zdjęcia z Anglii: „To ja przed kantyną, a to podczas zakupów w

Yorku”.

W piątki w kantine podoficerskiej organizowano tak zwane wieczory dla wszystkich. W istocie chodziło o przyciągnięcie miejscowych dam. I rzeczywiście przychodziły tłumem, wystrojone, pachnące. Nie dla rozrywki, ale na darmowy poczęstunek o dziesiątej wieczorem.

My tymczasem, „trędowaci”, nudziliśmy się jak mopsy, gapiąc się bezymyślnie na obracający się wentylator. Jeden z chłopaków dostał właśnie list od dzieci. Narysowały mu psa na spacerze. Zwierz bardziej przypominał faceta z dużym nochalem niż psa.

„Daj mi to. Powieszę na ścianie – powiedziałem: – Sam zresztą też się powieszę, jak tak dalej pójdzie. Kurwa, założę stryczek i już”. Szkot dostał list od narzeczonej. Pisała, żeby się wypchał. Rozpaczał, ale co mógł zrobić?

Postanowiliśmy go trochę rozruszać. Z butelki rumu i puszki ananasa zrobiliśmy poncz. Poszliśmy do niego do pokoju i zaczęliśmy bić pianę. Zza ściany dobiegał gwar przyjęcia w kantine podoficerskiej, do której nam nie wolno było zaglądać. Około wpół do dwunastej mieliśmy mocno w czubie.

– Idziemy do Raoula – zaproponowałem.

Wyciągnęliśmy z wyra kaprała zawiadującego taborem samochodowym, żeby zorganizował land rovera. Kiedy dotarliśmy do klubu Raoula, było tam już kilka osób z przyjęcia w kantine, też zresztą nawalonych jak stodoła. Paru sierżantów dobierało się do damskiego personelu, a jeden, artysta widać, usiłował pokazać orkiestrze, jak się gra w stylu Mungo Jerry. Zrobiło się nieświeżo i Raoul zadzwonił po żandarmów.

Zjawili się dwóch, kaprali zresztą, i kazali nam opuścić lokal. W żandarmerii awansują wręcz rekrutów, żeby przydać im powagi, ale my mieliśmy ich w dupie. Ofiarowali się, że odwiozą nas do jednostki, co byłoby rozsądne, ale kazaliśmy im wypierdzielać.

Z sierżantami poszło im łatwiej, bo wiadomo, jak kto dochrapał się stopnia, to boi się go stracić. Z nami było gorzej, bo po pierwsze nie mieliśmy nic do stracenia, a po wtóre uważaliśmy, że nie robimy nic niestosownego i po trzecie wreszcie, nie należeliśmy do towarzystwa z jednostki. Musieli nas przekonywać i błagać dobre pół godziny, nim zgodziliśmy się wyjść. Odwieźli nas na miejsce, a jak wspominałem, mieszkaliśmy w tym samym baraku, w którym znajdowała się kantyna podoficerska. Zaraz obok mieściło się kasyno dla oficerów.

Noc była gorąca, więc rozebraliśmy się do rosołu. Burdel zrobił się nieprawdopodobny, wszędzie wałały się rzeczy. We łbie mi huczało, w końcu uznaliśmy, że trzeba coś zjeść.

Nastawiłem co nieco na prymusie. Tymczasem chłopcom jeszcze bardziej odbiło i zdjęli nawet spodenki.

Akurat kończyła się impreza w kasynie, panowie oficerowie z żonami

zmerzali do domów, przechodząc, niestety, koło nas, a my, jak powiadam, lataliśmy z jajami na wierzchu, co strasznie ich oburzyło. Nie tylko to, także bałagan. Prymus przewrócił się, tu i ówdzie płonęła trawa, a my chichotaliśmy zachwyceni.

Jeden z oficerów zwrócił nam uwagę:

– Uważam, że powinniście się uspokoić.

– Pierdol się – ofuknął go Sandy.

Choć byłem nawalony, to jednak zdałem sobie sprawę, że na tym na pewno się nie skończy.

Rano miałem kaca jak stąd do Londynu, łeb mi pękał. Zrobiłem sobie kompres i zawołałem na chłopaków, że czas zadbać o porządek. Jakoś uładziłyśmy teren wokół baraku, kiedy wezwał nas do raportu bezpośredni przełożony, a był nim akurat szef mojej macierzystej kompanii.

– Doigraliście się – zaczął nas opieprzać.

Stańło na tym, że my wpłacimy coś na fundusz kompanijny, a on zobaczy, czy da się coś zrobić. „Dobrowolne” składki okazały się wcale niebagatelne. Trzem z nas kazano zapłacić po trzysta funtów, dwóm pozostałym po dwieście pięćdziesiąt. Zwłaszcza mnie i Sandy’ego szarpnęło mocno, bo obaj ciułałyśmy na mieszkanie, i to do tego stopnia, że oszczędzaliśmy na wszystkim, nawet na mydle. Zbieraliśmy resztki w umywalni, żeby nie wydawać na nowe. Goliliśmy się zużytymi nożykami, a nawet gromadziliśmy puste butelki po coli, żeby sprzedać w skupie po dwa centy sztuka.

Przyznam, że byłem zrozpaczony – tyle szmalu poszło na marne – ale jak to w życiu bywa, trafiła się właśnie okazja, żeby zarobić coś na boku.

A było tak, że pewien łącznościowiec z Pułku – poznałem go na Borneo – poszedł do cywila i kupił sobie hotel na San Pedro, niewielkiej wysepce na Karaibach. Wciąż jednak utrzymywał z nami kontakt i właśnie zadzwonił, skarżąc się na kłopoty. Wysepka niby w porządku, ale gości mało, bo odstrasza ich zasiarczona woda. Ale – oznajmił właśnie odkrył, że nieco głębiej, pod pokładem zasiarczonej wachy, jest całe podziemne jezioro wody czystej jak kryształ.

– Nie stać mnie na studniarzy – powiedział – bo zdzierają, ale – dodał – gdyby tak podłożyć parę lasek dynamitu, czy czegoś takiego, to nie trzeba by wiercić studni, bo woda trysnęłaby sama.

– Pewnie tak – odparłem, wietrząc okazję.

Z Desem i Breneką wygrzebaliliśmy z magazynu co trzeba ze starych zapasów i pewnego piątku po południu załadowaliśmy arsenał, który miał nam przynieść majątek, na pneumatyczną motorówkę Gemini, z podwieszanym silnikiem Yamaha, i rzeką spłynęliśmy do morza.

Do wyspy San Pedro nie było daleko, ale jednak leżała za horyzontem. Za

całą podstawę nawigacji mieliśmy zwykłą turystyczną mapę o marnej skali oraz kompas i właśnie korzystając z takich instrumentów, zamierzaliśmy trafić na miejsce – skrawek lądu w bezmiarze Morza Karaibskiego.

Po kilku godzinach napotkaliśmy frachtowiec idący kursem do portu Belize. Kapitan zawołał, czy nie potrzebujemy pomocy. Staraliśmy się ukryć przed jego wzrokiem całą tę naszą zbrojownię.

– W porządku, dziękujemy! – odkrzyknęliśmy.

Pewnie wziął nas za terrorystów, ale zapytał jeszcze, dokąd zmierzamy.

– Na San Pedro.

Złapał się za głowę i dał „cała naprzód”.

Skierowaliśmy się najpierw na nieco bliższą Hick’s Island. Tam wzięliśmy nowy namiar już na San Pedro. Do wyspy dotarliśmy na resztkach paliwa. Jakąś damulkę na plaży zapytaliśmy, jak trafić do hotelu naszego znajomego.

– Jeszcze kawałek – uśmiechnęła się zachęcająco – miło panów poznać.

Na udzie miała wytatuowanego motyla, szkoda tylko, że udo i cała reszta liczyła najmarniej pięćdziesiąt lat.

Wyspa była naprawdę ładna. Zamieszkiwali na niej głównie zwariowani Amerykanie, którzy postanowili bratać się z naturą. Nasz znajomy, niski facet z wielką białą brodą, ucieszył się na nasz widok, a jeszcze bardziej na widok dwóch buteleczek, które zakupiliśmy w kantynie, nie szczczędając kosztów.

Zaraz następnego dnia zaczęliśmy kopać. Szło nam marnie. Co wykopaliśmy dziurę, to ziemia osuwała się i trzeba było zaczynać na nowo. Nie było czym zabezpieczyć dołu. A tymczasem musieliśmy się wkopać na jakieś pięć metrów, bo tam, wedle gospodarza, zalegała warstwa słodkiej wody. Zabrakło nam może pół metra, może metr, kiedy uznaliśmy, że dosyć, że więcej się nie da. Założyliśmy ładunki. Des odpalił.

Chyba mieszkańcy całej wyspy przyszli popatrzeć, jak Angole dobierają się do wody. Głupio nam było, gdy huknęło, pieprznięło i... nic. Ponowiliśmy próbę i znowu nic. A więcej ładunków wybuchowych nie mieliśmy.

– Mówią, że zasiarczona wacha jest bardzo zdrowa – zażartowałem, radząc gospodarzowi, żeby zamienił swój hotel na sanatorium i reklamował kąpiele lecznicze.

Przez resztę czasu szwendaliśmy się smętnie po wyspie, po czym wróciliśmy do siebie, równie biedni jak wyruszyliśmy.

W tropiku, zwłaszcza w dżungli, drobne skaleczenie może stać się problemem. Grzybica, pasożyty i klimat sprawiają, że ciało nie chce się goić. Najpierw wzięło Grubasa. Po jakimś patrolu wrócił z zapaleniem wątroby. Wyglądał jak cień człowieka. Wylądował w szpitalu.

Niedługo po wyprawie na San Pedro coś mi się stało w nogę. Kolano spuchło jak piłka, a przy każdym ruchu coś wyciekało spod skóry. Staw skrzypiał jak nie naoliwione wrota.

Nie chciało się zagoić i ja też trafiłem do izby chorych. Kazano mnie ewakuować do domu. Ucieszyłem się. Zbliżało się właśnie Boże Narodzenie. Pomyślałem, że dobra nasza, zwłaszcza że miano po mnie przyjechać, bo takie były przepisy, że chorzy nie mogą podróżować sami. Oczekiwałem więc, że lada dzień zjawi się pielęgniarka, a im dłużej o tym myślałem, tym bardziej wspólna podróż przez Waszyngton do Londynu i Herefordu wydawała się atrakcyjna. Siostra pewnie będzie młoda, przystojna, taka powiedzmy Bo Derek, a najmarniej Raquel Welch. Będzie mnie trzymać za rękę i z troską pochylać się nade mną. Zaręczyny odbędą się w podróży.

Spakowałem rzeczy i byłem gotów do drogi. Leżałem w izbie chorych, kiedy zjawiała się ta moja wymarzona eskorta. Miała wąsy i wielki brzuch napuchły od piwa. Przysłano po mnie pielęgniarkę, a nie Bo Derek. Takie to moje szczęście.

Ze szpitala w Woolwich wypuszczono mnie po trzech dniach, tak że na święta byłem już w Herefordzie, gdzie czekała na mnie wiadomość, iż owszem, mogę wpłacić zaliczkę na dom. Pozostawał tylko drobiazg. Musiałbym zebrać i sprzedać w skupie co najmniej dziesięć tysięcy butelek po coli, żeby zostać właścicielem.

## 20

Cztery kondygnacje: parter, piętro, facjata i suterena, słowem typowy dom Westbury. Miał kosztować dwadzieścia pięć kafli, ale zbiłem pięćset funtów i byłem dumny jak paw uznając, że mam talent do biznesu, bo umiem się targować.

W środku pustka, gołe ściany i tyle, ja zaś nie miałem pieniędzy, żeby się zagospodarować. Zrezygnowałem nawet z gazu, by coś zaoszczędzić. Gotowałem na prymusie, stawiając go w zlewie, bo w kuchni nie było innych sprzętów. Czajnik przyniosłem z koszar.

Na pierwszego kupiłem kuchenkę mikrofalową, telewizor i stereo. Resztę kawalerskiego gospodarstwa stanowiło krzesło, łóżko i porcelanowy kot na kominku, odziedziczony po poprzednim lokatorze.

Ogródek był zapuszczony. Nie mając kosiarki ani w ogóle niczego, musiałem pożyczać od znajomych, żeby zaprowadzić jaki taki porządek. Pranie nosiłem do koszar i tam też się stołowałem, choć czasami chodziłem do pubów, gdzie dają darmowe kiełbaski do piwa, lub kupowałem co nieco w chińskiej restauracji na wynos. W dalszym ciągu jeździłem starym renault pięć, ale było mi dobrze. Uważałem się za szczęściarza, czerpiąc z sukcesów pani premier Margaret Thatcher.

Około Bożego Narodzenia poznałem Fionę. Przygadałem ją w barze – Właśnie kupiłem dom w pobliżu jednostki, pod czwórką – dodałem, wymieniając nazwę ulicy.

– Niemożliwe – zaśmiała się – ja mieszkam pod dwójką. Jesteśmy sąsiadami.



Urodziła się w Hampshire. Do Herefordu przeniosła się za narzeczonym, ale coś tam nie wyszło. Nie chciało jej się wracać do rodziców, więc wynajęła mieszkanie i zaczęła pracować.

Wysoka, o długich kasztanowych włosach, dość pewna siebie, ale razu mi się spodobała, z wzajemnością, bo zaczęliśmy ze sobą chodzić. Wszystko mi się układało: nowy dom, kuchenka mikrofalowa, nowa narzeczona, czego jeszcze chcieć? Ale akurat wtedy się okazało, że nasza kompania wyjeżdża do Afryki.

Opozycja wobec władz Republiki Południowej Afryki i uprawianej przez nich polityki apartheidu skupiała się wokół ANC – *African National Congress* – Afrykańskiego Kongresu Narodowego, który co prawda osłabł po aresztowaniu na początku lat sześćdziesiątych Nelsona Mandeli i innych członków kierownictwa, ale zaczął odzyskiwać siły, zwłaszcza po zamieszkach w Soweto, do których doszło w 1976 roku. Za każdym razem, gdy władze w Pretorii przykręcały śrubę, wprowadzając nowe zakazy, liczba członków i sympatyków ANC rosła. W 1980 roku ANC rozpoczął udaną serię zamachów bombowych, między innymi na zakłady chemicznej przeróbki węgla na ropę.

W grudniu 1982 RPA napadła na sąsiednie Lesotho. W Maseru zabito czterdziestu dwóch działaczy ANC. W maju 1983 roku przed siedzibą południowoafrykańskiego Ministerstwa Obrony wybuchła bomba. Zginęło dziewiętnaście osób, a dwieście – nie tylko białych, ale i Murzynów – zostało rannych. Akcja zamachów bombowych nasiliła się po zamieszkach w latach 1984-1986. Rosła liczba ofiar.

W czerwcu 1985 roku wojska południowoafrykańskie najechały na stolicę Botswany, Gaborone. Spłądrowano wiele domów, zabito dwunastu ludzi podejrzanych o przynależność do ANC. Władze w Pretorii twierdziły, że Botswana udziela schronienia bojówkarzom ANC, którzy z jej terytorium prowadzą akcje terrorystyczne przeciwko RPA, o czym miały świadczyć liczne ostatnio napady na białych plantatorów mieszkających w rejonie przygranicznym. Władze Botswany odrzucały oskarżenia twierdząc, że czynią wszystko, co w ich mocy, aby wykluczyć działalność ANC na swoim terytorium, i zwróciły się o pomoc do Londynu.

Sir Geoffrey Howe, ówczesny minister spraw zagranicznych, podjął stosowne decyzje i do Botswany skierowana została jedna z kompanii naszego Pułku, w sumie osiemdziesięciu ludzi. Mieliśmy szkolić miejscowych, aby mogli przeciwstawić się nieproszonym wizytom ze strony Wielkiego Brata. Wybranych żołnierzy i oficerów BDF – *Botswana Defense Force* – Botswańskich Sił Obronnych, mieliśmy uczyć między innymi taktyki kontrataków, aby mogli stawić czoło oddziałom południowoafrykańskim naruszającym granice kraju. Bazę zorganizowano na północy, daleko od

granicy z RPA, i zapewniono nas, że nie będziemy brać bezpośredniego udziału w walkach z SADF – *South African Defense Force* – Siłami Obronnymi Afryki Południowej.

Jednocześnie Botswana otrzymała pomoc wojskową ze Stanów Zjednoczonych, w wysokości dziesięciu milionów dolarów, za które zakupiono pewną liczbę śmigłowców, co wydatnie miało podnieść mobilność oddziałów. Amerykanie szkolili też miejscowe siły bezpieczeństwa w zakresie działań kontrwywiadowczych, aby Botswana mogła neutralizować południowoafrykańskich agentów, którzy przenikali na jej terytorium. My zaś mieliśmy uczyć Botswanańczyków taktyki działań przeciwko oddziałom partyzanckim spod znaku ANC.

Operacja była tajna do tego stopnia, że podróż na miejsce odbyła się etapami i „pod przykrywką”. Najpierw z Brize Norton odlecieliśmy do Kenii, całą kompanią zresztą, bo na tym etapie nie było co ukrywać. Do Kenii bowiem dość regularnie udają się nasze wojska. Ale w Kenii mieliśmy się podzielić na grupy i dalszą podróż do Botswany odbyć różnymi szlakami, przez różne kraje afrykańskie i niejednocześnie.

Nasza sześciuosobowa grupa miała wyruszyć na końcu. Czekać na kolejkę, zabijaliśmy czas. Paru chłopaków wybrało się nawet na safari. Ja skumplowałem się z pewnym Szkotem o imieniu Ben i we dwóch wybraliśmy się do słynnej restauracji *Carnivore*, w której za parę pensów można jeść tyle mięcha, ile się zmieści. Nazarłem się jak nigdy i dwa dni spędziłem w łóżku, bo się strulem.

Wreszcie przyszła nasza kolej. W szóstkę poleciliśmy samolotem do Zairu, a stamtąd do Zambii, gdzie było pełno Rosjan. Wyglądali jak karykatura Elvisa Presleya – przetłuszczone włosy, baki prawie do końca policzka, workowate ubrania i plastikowe buty. Ohyda.

Na lotnisku gapiliśmy się na siebie nawzajem. Rosjanie doskonale wiedzieli, kim jesteśmy, my wiedzieliśmy, że oni też nie przybyli tu dla przyjemności. Oficjalnie występowaliśmy jako siedmioosobowa drużyna rugby na tournée po krajach afrykańskich. Na szczęście nikt się nami nie zainteresował. Jeśli o mnie chodzi, to o rugby nie miałem zielonego pojęcia i nie odpowiedziałbym na najprostsze pytanie, a zresztą legenda i tak nie trzymała się kupy. Drużyna niby siedmioosobowa, a tymczasem było nas sześciu.

Gdy przyszedł czas, żeby wsiąść do samolotu, okazało się, że będziemy podróżować z Ruskimi, czterema oficjalami i kapelą muzyki pop, rzekomo odbywającą tournée koncertowe po wszystkich jednostkach wojskowych. Sądząc jednak po tym, jak perkusista stukał paluchami o stolik w samolocie,

znał się na muzyce tak, jak ja na rugby.

Wreszcie usiedliśmy na niewielkim ładowisku gdzieś pośrodku Botswany. Było tam już kilku naszych, niektórzy, jak zobaczyłem, z kontuzjami. Fraser miał złamany obojczyk i rękę na temblaku. Przybył razem z naszym dowódcą. Wsiadliśmy do paru samochodów i pojechaliśmy na punkt zborny, urządzony, jak niemal zawsze, w hangarze lotniczym.

W ciągu kilku następnych dni nadciągnęła reszta. Część podróżowała przez Zimbabwe i ci wyglądali w porządku, jeśli nie liczyć Toby'ego Lysonia. Podobno stracił włosy w wieku dziewięciu lat. W każdym razie chłopcy mieli po drodze wolny dzień właśnie w Zimbabwe i postanowili się poopalać. Łysy wlaź na dach w hotelu, rozłożył się na słońcu i zasnął. Efekt był taki, że spalił się na węgiel. Z łysiny i pyska skóra zślizła mu całymi płatami.

W oczekiwaniu na dalsze rozkazy łodziarze zorganizowali siedmioosobowy turbośmigłowiec Islander i zaczęliśmy skakać, aby oswoić się z miejscowymi warunkami. Znowu poczułem smak podniebnej przygody. Windowaliśmy się na trzy i pół tysiąca metrów i fru w dół.

Trwało to trzy, może cztery dni, aż wreszcie przyszła moja kolej, żeby wystąpić w roli „wisielca”. Islander to niewielka maszyna, a drzwi do kabiny ma wyjątkowo wąskie, nam tymczasem zależało, żeby desantować się całą grupą, a że – jak powiadam – skakaliśmy z trzech i pół tysiąca metrów, trzeba było oderwać się od samolotu niemal jednocześnie. W tym celu wypracowaliśmy specjalną technikę polegającą na tym, że kilku „wisielców” wychodziło na zewnątrz kabiny i trzymając się różnych uchwytów na kadłubie, czekało, aż, wszyscy będą gotowi do skoku.

Miałem „wisieć” z tyłu kadłuba. Wylazłem przez lewe drzwi, prawą ręką złapałem się czegoś przy tylnym stateczniku, a lewą nogą opierałem się o próg. Coś mi jednak nie wyszło i odpadłem od maszyny daleko przed miejscem zrzutu, a co gorsza – nad miastem.

Otworzyłem spadochron niemal natychmiast, licząc, że uda mi się tak manewrować, że przynajmniej wyląduję na przedmieściu. O tym, żeby dolecieć do wyznaczonego miejsca zrzutu, w ogóle nie mogło być mowy. Wiał dość korzystny i w miarę silny wiatr, ale szybko zacząłem tracić wysokość. Sytuacja zrobiła się paskudna. Pchało mnie w stronę linii wysokiego napięcia, pod którą biegła ruchliwa ulica. Druty udało mi się jakoś ominąć, ale ulicy – nie. Wylądowałem, dość twardo zresztą, między pędzącymi samochodami. Przez chwilę straciłem orientację, gdy czasza opadła mi na łeb. Czulem tylko, jak mnóstwo dłoni zaczyna targać tkaninę, i słyszałem okrzyki zdziwienia i radości. Pomyślałem, że jeszcze chwila, a rozniosą mój „parasol” na strzępy.

– Dobra nasza! – krzyknąłem, bo nic innego nie przyszło mi do głowy.

– Dobra nasza! – odpowiedział mi chór młodych głosów. Zwinąłem spadochron i w towarzystwie chyba setki czarnoskórych chłopaków usiadłem na krawężniku, czekając na transport do bazy.

– Dobra nasza? – wszczęli rozmowę moi nowi przyjaciele.

– Dobra nasza.

Tak sobie gawędziliśmy, aż zjawił się samochód z bazy. Przez kilka dobrych dni nikt nie wołał na mnie inaczej, jak „dobrynasz”. Tymczasem zaczęliśmy się urządzać w nowej bazie. Jedni wyciągnęli dmuchane materace, inni rozwiesili hamaki, każdy organizował sobie swój własny kąt. Bazą były stare, na wpół zrujnowane baraki o dziurawych ścianach, z których sypał się tynk. Żałość brała, ale cóż, cała Afryka tak wygląda. Zrobiliśmy prowizoryczną instalację, włączyliśmy prądnice, wieczorami można było czytać. Dostałem od Fiony *Grail Romances*. Jak może pamiętacie, jakiś czas temu przeczytałem *Holy Blood, Holy Grail*, głównie zresztą po to, by mieć argumenty przeciwko Frankowi Collinsowi, w sprzeczkach na tematy religijne, ale przy okazji rozsmakowałem się w historii średniowiecza. Fiona spostrzegła to i fundnęła mi stosowną lekturę.

W okolicy, w której stacjonowaliśmy, notowano liczne fakty naruszania granicy przez oddziały południowoafrykańskie, które właśnie tędy przedostawały się do Angoli. Miejskowa ludność traktowała nas z ciekawością. Nie wiedziała, kim jesteśmy i skąd przybywamy, a zresztą każdy biały z bronią koczował jej się z intruzami z RPA.

Tubylcy setkami przychodzili pod nasz obóz, gapili się przez druty, zebrali o podarki. Dawałem im czasem trochę słodyczy, jakąś puszkę czy cokolwiek z żelaznych porcji. Brali łapczywie, jakby umierali z głodu. Nie można im było narzucić.

Do obozu tymczasem zajechał... lodziarz. Pewnie usłyszał, że w mieście stanął słynny pluton kolegów po profesji i wyprawił się z daleka. Swoją drogą samochód lodziarza na takim zadupiu to czysty surrealizm.

Przez tydzień przygotowywaliśmy się do zadań i zapoznawaliśmy się z afrykańskimi warunkami. Wysłuchaliśmy między innymi prelekcji specjalisty, niejakiego Gilberta, o węzłach i zmiągach.

Przyniósł ze sobą cały ogród zoologiczny gadów i pokazywał nam, które są jadowite, a które nie.

„Są dwa sposoby postępowania w wypadku ukąszenia przez zmię – wywodził. – Pierwszy polega na tym, aby opatrzyć ranę i zastosować surowicę, drugi sprowadza się do tego, żeby się położyć i spokojnie czekać na śmierć”.

Staliśmy ciasnym kołem, a Gilbert wyjmował z worków poszczególne okazy. W pewnym momencie któryś wymknął mu się z rąk, a wyglądał strasznie zawzięty. Zaczął szaleć na ziemi, strzelając jadem na wszystkie

strony. W ułamku sekundy kilkadziesiąt osiłków z SAS pierzchno w panice gdzie tylko się dało, czepiając się gałęzi, wskakując na samochody, wspinając się na płot okalający obóz. Zmija, nie znalazłszy żywego celu, zaczęła gryźć oponę. Nie mam pojęcia, czy bydlaka złapano, czy nie, bo z wysokości samochodu lodziarza, na który się wspiałem, nic nie było widać.

Miejscowi zaczęli dawać nam się we znaki ciągłym nagabywaniem o podarunki, a gdy się odmawiało, potrafili być mocno złośliwi. Nawykli do tego, żeby dostawać. Cały świat słał pomoc mieszkańcom Afryki, ci zaś uznali, że im się to po prostu należy. Najlepszą pomocą byłaby oświata, ale to wymagałoby wysiłku, więc zagranica szła na łatwiznę, śląc na przykład sześćset ton pszenicy, co w istocie niczego nie załatwiało, co najwyżej uspokajało sumienia, podczas gdy w Botswanie i podobnych krajach wyrastało całe pokolenie żebraków.

Mając dość ciągłego nagabywania o prezenty, postanowiliśmy coś z tym zrobić. Wzięliśmy więc kostki suchego spirytusu do prymusa, unurzaliśmy je w dżemie i ułożyliśmy apetycznie na talerzu. Słyszac „daj, daj”, częstowaliśmy nachałow naszym specjałem. Brali łakomie i zaczynali jeść, by po chwili dławic się i pluć z obrzydzenia. Nikt nie zgłaszał się po repetę.

Nasz pluton desantowy, jak wiadomo, nie miał chwilowo nic do roboty. Trochę czasu poświęciliśmy na czyszczenie broni, ale generalnie objaliśmy się jak nigdy, dbając co najwyżej o kondycję. Mieliśmy worki treningowe, sztangi i różne takie maszyny do ćwiczeń siłowych. Utarło się, że cykl ćwiczeń obejmuje bieg wokół obozu, a potem kolejno: dwie minuty na siłowni, dwie minuty prawych prostych i sierpowych na worku treningowym, sztanga i to samo od początku.

Pozostałe plutony zaczęły już wychodzić w teren. Wreszcie zapadła decyzja, aby dołączyć nas do plutonu dziewiątego, który ćwiczył w górach Tsodilo, po drugiej stronie Kalahari. Podróż na miejsce zajęła nam trzy dni.

Drugiego dnia zatrzymaliśmy się pośrodku pustyni w miejscu, gdzie krzyżowały się dwa trakty. Wznosiła się tam lepianka z dumnym napisem Cafe. Właściciel, staruszek chyba osiemdziesięcioletni, wylegiwał się w hamaku. Weszliśmy do środka. Ani stołów, ani krzeseł, ani światła, tylko parę butelek fanty na półce i stara wywieszka reklamująca... sok jabłkowy Bulmera z Herefordu. Fanty nie kupiliśmy, bo nie da się jej pić bez zmrózenia, a skoro nie było światła, to nie było też lodówki, ale wytargowaliśmy od właściciela reklamę soku z Herefordu, którą zaraz wmontowaliśmy w tablicę rozdzielczą land rovera.

Wreszcie popołudniem trzeciego dnia dotarliśmy do biwaku dziewiątki. Okolica wyglądała przedziwnie. W pewnym miejscu pośród pustyni płaskiej jak stół wyrastało raptem pasmo górskie.

– Uczyłem się o tym w szkole na lekcjach geografii – rzekł Mały. – Tu

właśnie odkryto setki malowideł naskalnych sprzed tysięcy lat.

Rzeczywiście czuło się jakąś tajemnicę w atmosferze.

Tymczasem większość chłopców z dziewiątki wspinała się w górach i właśnie, gdy zajechaliśmy na biwak, rozeszła się wieść, że doszło do wypadku i akurat ściągają ofiarę. Pech dotknął Toby'ego Łysonia. Weteran z Falklandów i Irlandii Północnej, człowiek, który uczestniczył w wielu akcjach, zeskoczył z metrowej skały tak nieszczęśliwie, że uszkodził sobie kręgosłup i wylądował na noszach.

Cierpiał bardzo i trzeba było dać mu morfinę.

Mały kazał jednak sanitariuszowi wstrzymać się z zastrzykiem. Pogrzebał w plecaku i wyjął aparat fotograficzny.

– W porządku, możesz zaczynać – powiedział do medyka, uwieczniając oblicze Łysonia skrzywione z bólu.

Będzie pamiątka do izby tradycji Kompanii B.

Eno wywoływał bazę morse'em, żądając natychmiastowego przysłania śmigłowca. Jak zawsze spokojny, opanowany, jakby nic specjalnego nie zaszło. Opowiadano mi, że kiedyś zawiadomiono go o zamordowaniu siostry, a on powiedział tylko: „Chyba muszę pojechać do Londynu”. W żadnej sytuacji nie okazywał zdenerwowania.

Zaczęła się psuć pogoda. Niebo zaciągnęło się ołowianymi chmurami, wzmógł się wiatr, zanosilo się na ulewę. Burza mogła wykluczyć przylot śmigłowca. Łysonia nieco podratowaliśmy, ale trzeba było jak najszybciej odesłać go do szpitala.

Leżał na noszach, bez butów. Buty stały obok. Nosił ten sam numer co ja.

– Ty – powiedziałem – nie będziesz ich już potrzebował, może byś mi je dał?

W odpowiedzi usłyszałem, gdzie mnie ma i gdzie mogą sobie włożyć te jego wibrany.

Dostaliśmy potwierdzenie, że śmigłowiec wystartował, ale zdarzyło się nowe nieszczęście.

Miało się już ku zachodowi, a tymczasem nie widać było Joego Ferraghera i Alana, oficera, nowego dowódcy plutonu. Ten i ów zaczął pomrukiwać o nieprzygotowaniu nowego szefa, gdy nagle ktoś zauważył światło wysoko w górach. Przez lornetkę widać było człowieka na skalnej półce. Z tej odległości nie udało się niczego stwierdzić, ale sytuacja wyglądała nieciekawie.

Eno znów usiadł do radiostacji. Trzech czy czterech chłopaków skoczyło do samochodu. Wzięli sprzęt, radiotelefony i popędzili w góry.

W tym to momencie zjawił się śmigłowiec. Wylądował nieopodal, nie było jednak możliwe, aby poleciał na pomoc dwójce w górach. Za daleko i zbyt niebezpiecznie.

Burza jakoś nie nadchodziła, ale pogoda wciąż była niepewna. My, lodziarze, nic nie mogliśmy pomóc, nie znaleźliśmy się na wspinacze. Czekaliśmy więc w napięciu na rozwój wydarzeń.

– Łykniemy herbaty, wyładujemy sprzęt – rzekł Charlie. Z tego wszystkiego nawet nie zrzuciliśmy plecaków z samochodów.

Ivor zameldował przez radio, że dotarł do chłopców w skale i prosi, by reszta poszła jego śladem. Wychował się wśród górali i laził po skałach jak kozica. Najpierw był pancernikiem. W Pułku załapał się na Falklandy i brał udział w akcji na ambasadę.

– Joe nie żyje – zameldował krótko. – Starego ściągną Harry i George. Ja próbuję znieść Joego. – Zażądał tylko, aby wyjść mu naprzeciw.

Zacząło się przejaśniać, wyglądało na to, że burza przejdzie bokiem, choć trochę pokropiło. Pilot śmigłowca powiedział, że nie wystartuje nocą, więc nie można było czekać na ciało Joego, trzeba było odesłać Łysonia, bo to w tej chwili była gardłowa sprawa. Postanowiliśmy jednak jeszcze trochę poczekać.

Po dwóch godzinach zjawił się śmiertelnie zmęczony Ivor. Ręce i nogi miał poranione do krwi. Włożył wiele wysiłku, żeby ściągnąć zwłoki Joego w dół. Najgorzej było na przewieszkach. Uważam, że powinien dostać medal. Położyliśmy ciało na nosze i zdążyliśmy zanieść na lądowisko.

Joe zginął, gdy puścił karabińczyk na jednym z haków. Zwyczajnie odpadł od skały i poleciał jak kamień. Dowódca, który wspinał się razem z nim, starał się, jak mógł, zjechał na linie w miejsce upadku Joego, ale na ratunek było za późno.

Charlie dobrał się do zapasu służbowego rumu, nad którym pieczę trzymał właśnie Joe.

– On już nie będzie tego potrzebował. Walniemy, chłopaki, za niego.

Łykaliśmy jak należy. Dowódca wyszedł z wypadku bez szwanku, choć oczywiście bardzo to przeżył. Śmierć najbliższego współpracownika, a Joe był najstarszy stopniem z nas wszystkich, to nie najlepsza sprawa na dzień dobry, zwłaszcza że biedak wyobrażał sobie pewnie, iż obarczamy go winą za wypadek, choć nawet nam to do głowy nie przyszło. Tak czy owak, długo nie zagrzeżał miejsca w plutonie górskim. Po trzech miesiącach przeniósł się do nas, desantowców. Widać lubił lody.

Rozsiedliśmy się pod baobabem, wielkim drzewem o gałęziach jak korzenie i kwiatach jak gwiazdy, popijaliśmy rum i gadaliśmy o tym i owym.

– Buszmeni – rzekł Mały – traktują baobab jak świętość. Powiadają, że jak się zerwie kwiat baobabu, to człowieka pożre lew. Te góry to dla nich też święte miejsce. Nie wolno tu zabijać żadnych zwierząt.

– A właśnie – odezwał się ktoś z dziewiątki – Joe upolował wczoraj antylopę...

Dla miejscowych śmierć Joego nie była zaskoczeniem. Myślałem o tym nocą, leżąc w śpiworze pod rozgwieżdżonym niebem. Nie boję się śmierci. Każdy kiedyś musi umrzeć. Chciałbym tylko, jak już mnie to spotka, żeby stało się to szybko i bez bólu. Nie odnosiłem się do śmierci w kategoriach wiary, ale w głębi duszy wierzyłem jednak, że coś tam jest po drugiej stronie, jakieś miejsce, gdzie wszystkiego się dowiem, na przykład jak naprawdę smakowały lody Love Heart, których nie dane mi było spróbować, i na czym polega wielka tajemnica życia.

A zresztą zawsze wydawało mi się, że pisana jest mi śmierć w młodych latach. Takie miałem przecucie, nawet jako dziecko, że dożyję najwyżej pięćdziesięciu pięciu lat i koniec. Niemniej jednak, gdy trafiła się okazja, kupiłem sobie ubezpieczenie emerytalne.

Śmierć kolegów przygnębiała mnie na jakiś czas, potem wszystko wracało do normy. Śmierć nie wywoływała we mnie głębszych uczuć, chyba że koledzy ginęli lub tracili zdrowie w jakichś szczególnych okolicznościach, a zwłaszcza gdy działo się to niejako przypadkiem. Zdarzało się, że ludzie ginęli na ćwiczeniach, wielu utopiło się w dżungli, najwięcej ofiar było w czasie przepraw przez rwące rzeki w tropikach. Czasami myślałem sobie, że może niepotrzebnie prowokujemy los. Gdyby jednak wszyscy tak myśleli i gdyby ten punkt widzenia przeważał, Pułk straciłby jeden ze swoich atutów, jakim jest szkolenie w warunkach bardzo zbliżonych do bojowych.

Ciało Joego trzeba było przewieźć do RPA na samolot British Airways do Londynu, co mogło nastąpić dopiero za parę dni. Barry, nasz magazynier, umył i przygotował zwłoki, a następnie opróżnił zamrażarkę i umieścił w niej Joego. Jednocześnie zorganizował wyzerkę, bo szkoda było mięcha i w ogóle wszystkiego, co trzeba było wyjąć z lodu. W stosownym czasie przewieziono ciało do RPA, ułożono w trumnie i odesłano do domu.

Tymczasem mieliśmy swoje zadania do wykonania. Islander, obracając kilka razy, przerzucił nas w rejon wielkiego rozlewiska rzeki Okavango. W rzeczy samej był to prawdziwy labirynt jezior, rzek i strumieni w pobliżu regionu nawiedzanego przez wojska RPA. Dołączyliśmy do plutonu szóstego, który działał tam już od trzech tygodni.

W buszu, a tak właśnie wyglądał tamtejszy krajobraz, do starć dochodzi na bliską odległość, góra pięć, sześć metrów. To oczywiście dyktuje wybór broni – bierze się tę, która jest najskuteczniejsza na krótki dystans: SLR, granatniki 203 i M 16 albo strzelby. Ja wybrałem dwieścietrójkę.

Botswańczycy byli wyposażeni w karabiny Galil – izraelski odpowiednik kałasznikowa 47. To bardzo dobra broń, prosta w konstrukcji, łatwa w obsłudze, niezawodna. Ma tylko jedną wadę, jest stosunkowo ciężka, wręcz



za ciężka dla niektórych.

Prócz broni braliśmy minimalną ilość sprzętu, tylko tyle, ile mieści się w plecaku. Podobnie jak w dżungli, tak w buszu potrzebne są dwa ubrania: suche i mokre oraz płachta namiotowa. Jeśli o mnie idzie, to wybrałem australijską, która da się zwinąć tak, że zajmuje naprawdę niewiele miejsca. Wziąłem także hamak i amerykańską podpinkę ocieplającą do pałatki. Poza tym w plecaku miałem jeszcze zapas wody, jedzenie, amunicję i apteczkę pierwszej pomocy.

Mieliśmy ćwiczyć taktykę działań ofensywnych w trudnych warunkach terenowych, na mokradłach. Udział brały dwa plutony. Obóz znajdował się na farmie, na której hodowano krokodyle, gdzieś na końcu świata albo na absolutnym zadupiu, jak kto woli.

Urządziliśmy się na kawałku suchego łądu wśród mokradeł i kęp papirusów, gdzie hipopotamy wydeptały dogodnie zejście do rzeki. Skorzystaliśmy z ich uprzejmości i tam właśnie cumowaliśmy nasze gemini – pontony z silnikiem. Łatwo je było wyciągnąć na brzeg i ukryć w zaroślach. W ogóle trudno byłoby nas tam znaleźć.

Na patrole wyruszyliśmy pod osłoną nocy. Spuszczaliśmy łodzie. Przodem jedna, jako zwiad, za nią reszta. Załogi dwuosobowe: sternik i nawigator. Sternikiem pierwszej był Breneka. Służył w plutonie morskim i znał się na rzeczy. Na minimalnych obrotach silnika zręcznie omijał przeszkody. Silnik był wyjątkowo cichy.

Z Breneką płynął dowódca plutonu, oficer, który przechodził Selekcję razem ze mną. Wywodził się ze zwiadu wojsk pancernych, dał się lubić. Kontrolował decyzje Breneki. Po powrocie z Botswany miał awansować do stopnia kapitana, czego szczerze wszyscy mu życzyli.

Płynęliśmy wolno. Jak wspominałem, yamahy na niskich obrotach są naprawdę ciche. Zbliżając się do celu, wyłączyliśmy silniki i zabraliśmy się do wiosł.

Z Sandym siedzieliśmy na dziobie drugiej łodzi. W tropikalnym kapeluszu skrywającym blond czuprynę Sandy wyglądał naprawdę bojowo. Nasze zadanie polegało na osłanianiu i ubezpieczeniu pierwszej łodzi, mającej przed nami w mroku. Taktyka nakazuje utrzymywanie sporej odległości między poszczególnymi łodziami, bo tak jest bezpieczniej, z drugiej strony trzeba się trzymać na tyle blisko, żeby nie stracić kontaktu wzrokowego, bo cała akcja weźmie w łeb.

Wiosłowaliśmy ostrożnie, nie śpiesząc się, gdy nagle ciszę przerwał huk, jakby coś wybuchło. Po chwili jeszcze raz, a wokół płynącej przodem łodzi woda się spieniła.

Dwójka w pierwszej łodzi zamarła. My też przestaliśmy wiosłować. Tylko prąd popychał łodzie do przodu. I znów pośród cisy rozległ się ryk, jakby

ktoś puścił w ruch maszynę parową. Po chwili jeszcze raz, wydawało się, że bliżej. Okropny ryk, a zaraz po nim od strony pierwszej łodzi padło rozpaczliwe „kurwa mać”, gdy nad powierzchnię wody wychynął wielki łeb i szczęki zacisnęły się na burcie.

Powietrze uszło z sykiem. Na szczęście ponton podzielony jest na kilka komór wypornościowych, więc uszkodzenie jednej nie było katastrofą.

Wyteżyłem wzrok, nie wiedząc jeszcze, co się dzieje, gdy znów powierzchnia wody się spieniła i tuż przed sobą zobaczyłem ogromne szczęki władcy tych okolic.

– Jasna cholera! – wrzasnął Sandy i rzuciliśmy się do wiosła. Pchnęliśmy ponton z taką siłą, że śmignął po rzece jak motorówka. Gdy straszne ryki jęły milknąć w oddali, zdałem sobie sprawę, że jestem cały mokry. Nie wiedziałem tylko, czy zalała mnie fala, czy spościłem się z przerażenia.

Nie można było płynąć przez hipopotamie królestwo, bo ryki niezadowolonych zwierząt skutecznie demaskowały naszą obecność. Należało poszukać innej drogi do wyznaczonego celu. W konsekwencji zostało nam niewiele czasu na przeprowadzenie operacji, która musiała zakończyć się przed brzaskiem.

Cel osiągnęliśmy. Dwójka z uszkodzonej łodzi przesiadła się do naszej, bo łatwiej było holować nadgryziony ponton bez obciążenia.

Nigdy przedtem nie uczestniczyłem w podobnej wyprawie bojowej. Boki zrywaliśmy ze śmiechu. Bo jak się nie śmiać, kiedy dwa najlepsze na świecie plutony uzbrojonych po zęby ludzi stają oko w oko z hipopotamem i dają nogę.

Pobyt w Botswanie trwał jeszcze trochę. Nauczyłem się, jak po afrykanerku brzmi „lepiej spierdalajmy”, a po botswanańsku „popatrz tylko na tę gazelę”.

Na koniec w bazie odbyło się wielkie przyjęcie. Piliśmy za Joego i rychło sytuacja wymknęła się spod kontroli. Na dachu hangaru wybuchł granat ćwiczebny, a po chwili jeszcze jeden, co spowodowało panikę wśród miejscowych, którzy myśleli, że zaczął się atak wojsk południowoafrykańskich.

– Dość tego – krzyknął szef kompanii – kto jeszcze raz rzuci, dostanie RTU – *Returned To Unit* – karny powrót do jednostki. Dwie minuty później znów pieprznięto.

Nasz sierżant zaczął szukać winowajcy. Nie znalazł, a my, choć widzieliśmy, kto się wygłupił, nie puściliśmy pary z gęby.

Nazajutrz dowódca zarządził zbiórkę.

– Daję wam czas do południa. Jeśli winowajca się nie zgłosi, cała kompania dostanie zakaz opuszczania koszar.

I znów nikt nie puścił pary.

– Okaze się, czy to mężczyzna, czy nędzna mysz – zakończył sprawę dowódca.

Tak narodziła się „Botswańska Mysz”. Oczywiście koszarniak nie był przyjemnością, a facet zasługiwał na karę. Trząśł się ze strachu, ale nikt nie pisał słowa. Być może było to z gruntu fałszywe i błędne poczucie lojalności.

Nikt nie zdradził nazwiska winowajcy, ale też facet miał za swoje. Nikt nie chciał z nim pracować, a w sali pamięci obok zdjęć Łysonia umieszczono kilka karykatur Botswańskiej Myszy, upamiętniając w ten sposób wyprawę do Botswany. Wiadomo, kto sieje wiatr, ten zbiera burzę.

## 21

Zgodnie z regulaminem służby jedna kompania SAS pełni stały dyżur bojowy w kraju. Taki dyżur trwa od sześciu do dziewięciu miesięcy, nie licząc miesięcy lub półtora przygotowań, w czasie których ćwiczy się z kompanią zdającą służbę, przejmuje obowiązki i przechodzi stosowne szkolenie, bo jeśli nawet poprzedni dyżur pełniło się względnie niedawno, dajmy na to półtora roku temu, to zawsze jest coś nowego do opanowania.

Dyżurną kompanię dzieli się na dwa zespoły: Czerwony i Niebieski. W obu są drużyny snajperów i szturmowe, co oznacza, że w razie czego kompania może prowadzić dwie niezależne od siebie operacje jednocześnie. Jeśli zajdzie taka potrzeba, mobilizuje się dodatkowe zespoły z innych kompanii.

Szturmowcy to faceci w czarnych kombinezonach, ci, którzy desantują ze śmigłowców i opanowują zagrożony obiekt. Na ogół działają w grupach czteroosobowych, choć nie jest to żelazna zasada. Siły dobiera się odpowiednio do zadań. Poszczególne grupy szturmowe mają swoje określone specjalności.

Grupa MOE – *Method of Entry* – penetrująca, przygotowuje ładunki wybuchowe potrzebne wszystkim pozostałym zespołom. Grupa łącznościowców dba o sprzęt i zapewnia kontakt ze wszystkimi placówkami Pułku na całym świecie.

Grupa sanitarna jest przygotowana do niesienia pomocy na miejscu i pod ogniem.

Jako pierwsza w rejonie akcji zjawia się z zasady grupa strzelców

wyborowych. Do jej zadań należy również rozpoznanie i bezpośrednia obserwacja obiektu.

Kompanią dowodzi oficer w stopniu majora, mając do pomocy szefa kompanii w stopniu chorążego.

Osobiście nie odczułem specjalnych trudów związanych ze służbą w stanie gotowości bojowej. Podobnie jak lekarze musieliśmy być gotowi na każde wezwanie. Wszyscy żołnierze otrzymali elektroniczne aparaty przywoławcze.

Nasz pluton – siódmy – wszedł w skład zespołu Czerwonych, z czego byłem rad, bo dowództwo miało bliżej do Niebieskich, więc jak było coś do załatwienia, z reguły zlecali to właśnie im. Nasz zespół kwaterował pięćdziesiąt metrów dalej i to nas chroniło przed upierdliwością sztabowców.

Codziennie rano zbieraliśmy się w sali odpraw. Większość była już po zaprawie porannej, biegach lub ćwiczeniach w sali gimnastycznej. Formalnie takiego obowiązku nie było, ale za brak samodyscypliny i gorliwości można było dostać bilet na „czwarty peron”.

Akurat nastąpiła moda na jeżdżenie na rowerze, więc rankami z bramy jednostki wysypywał się cały peleton kolarzy, jak na Tour de France. Co do mnie, to w ramach porannej zaprawy biegałem z domu do jednostki, tam brałem prysznic, parzyłem herbatę i meldowałem się w sali odpraw, która wyglądała jak pokój nauczycielski w szkole z lat siedemdziesiątych. Pod ścianami stały półki pełne zdezaktualizowanej prasy, krzesła wykładane plastikiem były wyjątkowo niewygodne, a kubki do kawy nosiły ślady wieloletniego użytkowania. W powietrzu stale unosiła się stęchła woń starej herbaty, kawy i papierosów.

Ze stołówek przywożono kilka termosów herbaty i suchy prowiant – bułki z czymś tam, frytki i batony. O ósmej byliśmy już po śniadaniu i zaczynało się omawianie dziennego planu szkolenia.

– Co dziś robimy, Gaz?

Gaz miał około trzydziestu pięciu lat i służył w Pułku „od zawsze”. Przedtem był w Green Jackets. Doświadczony, zwłaszcza w sprawach związanych z Irlandią, towarzyski, pasował do naszej kompanii jak ulał. Niedawno się rozwiódł. Ubrał się elegancko, nosił rzeczy tylko z najlepszych firm, sam szef kompanii nazywał go „Szampańskim Karolem”. Był przy tym rozsądny, z kategorii tych, z którymi nie można stracić. Wszyscy zabiegali o jego względy i bali się mu podpaść, bo jak nikt potrafił delikwenta wyprostować.

Piątego września 1972 roku ośmiu palestyńskich terrorystów z organizacji Czarny Wrzesień wdarło się w wiosce olimpijskiej w Monachium do

pomieszczeń, w których mieszkało jedenastu sportowców izraelskich. Dwóch zawodników zabili na miejscu, dziewięciu wzięli jako zakładników, żądając uwolnienia członków Organizacji Wyzwolenia Palestyny, więzionych w Izraelu, i działaczy Frakcji Czerwonej Armii, aresztowanych w Niemczech. Ponadto domagali się podstawienia samolotu, którym zamierzali odlecieć do Kairu.

Nie dysponując żadnymi siłami przygotowanymi do działań antyterrorystycznych, władze zachodnioniemieckie ustąpiły wobec żądań. Dwa śmigłowce przewiozły terrorystów i zakładników z wioski olimpijskiej na lotnisko wojskowe. W momencie gdy terroryści mieli wejść na pokład samolotu, strzelcy wyborowi rozpoczęli ogień. Widoczność była zła, odległość zbyt duża, więc terroryści zdążyli wysadzić w powietrze oba śmigłowce, zabijając dziewięciu zakładników.

Aby uniknąć podobnej tragedii, rząd brytyjski zwrócił się do naszego Pułku o stosowne przygotowania. Powołano batalion CRW – *Counter Revolutionary Warfare* – do prowadzenia operacji kontrewolucyjnych, z zadaniem szkolenia wszystkich żołnierzy w zakresie taktyki i techniki działań antyterrorystycznych.

W istocie CRW realizowało te same zadania, co wcześniej oddziały CT, z tym że program szkolenia został odpowiednio rozszerzony. Zadbano także o odpowiednią bazę.

W ramach szkolenia zapoznawaliśmy się między innymi z różnymi szczegółami londyńskiego metra i lotnisk, sprawdzaliśmy trasy przejazdu odwiedzających Londyn zagranicznych dygnitarzy. W dniach, w których CRW nie przewidywało żadnego programu, sami – kolejno wszystkie drużyny – musieliśmy opracowywać i realizować odpowiednie zajęcia. Polecenia były krótkie, na przykład:

„Harry, zorganizujesz zajęcia w budynku CQB”. Co to jest, o tym za chwilę.

Drużyna strzelców wyborowych ćwiczyła na poligonie albo dołączała do szturmowców. Osobiście uwielbiałem zajęcia na poligonie, zwłaszcza w lecie. Strzelaliśmy ze snajperskich PM, kaliber 7,62, fińską amunicją Lapua do tarcz w kształcie głowy. W czasie akcji zawsze celowaliśmy w głowę, z dwóch powodów. Po pierwsze terrorysta, jeśli ma choć trochę oleju we łbie, na ogół korzysta z kamizelki kuloodpornej, a po wtóre większość terrorystów jest na haju. Biorą narkotyki i są w takim napięciu, że jeśli się ich tylko zrani, to w dalszym ciągu są groźni. Nie przestają się ostrzeliwać albo zaczynają mordować zakładników. Więc wali się w łeb, żeby uniknąć ryzyka.

Na tarczach, które między sobą nazywaliśmy „łbami Hunów”, malowaliśmy kółko, mniej więcej w środku, w okolicach nosa, i od tego zaczynaliśmy sesje na strzelnicy. Strzelało się z dwustu metrów, po

uprzednim sprawdzeniu, czy celownik jest odpowiednio wyzerowany.

Potem strzelaliśmy z sześciuset metrów do celów ruchomych. Ćwiczyliśmy także obserwację i strzelanie w terenie zabudowanym.

Kiedy Pułk obarczony został odpowiedzialnością za zabezpieczenie antyterrorystyczne kraju, w jednostce powstało wiele nowych obiektów szkoleniowych, między innymi budynek CQB, zwany mordownią, w którym ćwiczyliśmy taktykę uwalniania zakładników, jak również techniki opanowywania zagrożonych obiektów, zawsze z użyciem ostrej amunicji. Ćwiczyliśmy w różnych zespołach, począwszy od podstawowego, w składzie czterech osób, skończywszy na rozwiniętych oddziałach z użyciem pojazdów i śmigłowców. Sam budynek CQB (to skrót od *Close Quarter Battle* – walka wręcz, bezpośrednie starcie) był budowlą parterową z korytarzem na przestrzał, z którego wchodziło się do kolejnych pomieszczeń, a te można było dowolnie aranżować w zależności od potrzeb albo założenia konkretnego ćwiczenia.

W środku unosiła się zastała woń prochu. Owszem, były wywietrzniki i wentylatory, ale zwyczajnie nie dawały rady wobec tej ilości amunicji, jaką odpalano w środku. Nawet przy włączonych wszystkich światłach wewnątrz pozostawało mroczne. Niektóre pomieszczenia oddzielone były kuloodpornymi szybami, aby umożliwić obserwację lub filmowanie przebiegu ćwiczenia.

No i przyszła nasza kolej na zorganizowanie ćwiczeń w CQB. W mojej drużynie był Dave, Grubas i Tim, nowy chłopak, tuż po Selekcji. „Przećwiczymy działania w zespole trzyosobowym – proponowałem. – Ty, Grubas, weź tylek w troki i idź przygotować pomieszczenie”.

Przygotowanie polegało na stosownym przemeblowaniu, zabarykadowaniu dojścia i zmianie oświetlenia w taki sposób, aby stworzyć jakby nową całość i nową sytuację. Jednocześnie Grubas będzie grał rolę zakładnika, a w miejsce terrorystów rozstawi „lby Hunów”.

No i zaczęliśmy. Zbliżyliśmy się do drzwi. To trudna faza, trzeba zachować absolutną ciszę, aby zapewnić sobie element zaskoczenia. Kolejna faza to neutralizacja terrorystów. Ta musi przebiegać błyskawicznie. Dave i Tim umieścili pod drzwiami ładunek wybuchowy. Cofnęliśmy się, ale tylko tyle, ile wynosiło minimum bezpieczeństwa, bo jeśli chce się wykorzystać element zaskoczenia, to trzeba wdrzeć się do pomieszczenia, gdy tylko wejście stanie otworem po wybuchu. Ćwiczyliśmy to wielokrotnie, oswajaliśmy się z odpalaniem ładunku wybuchowego z bezpośredniej odległości.

Staliśmy w pogotowiu, skupieni, gotowi skoczyć do przodu w ułamku sekundy po eksplozji.

Panowała całkowita cisza. W tej ciszy szmer powietrza przenikającego przez pochłaniacz maski przeciwgazowej wydawał się strasznie głośny.

Staralem się oddychać płytko, żeby tylko nie zdradzić się żadnym dźwiękiem.

Sprawdziłem latarkę, pistolet, upewniłem się, czy wszystko jest na swoim miejscu, odbezpieczyłem broń. Jako numer jeden, wdieram się do środka pierwszy, gdy tylko drzwi ustąpią po wybuchu i z miejsca dają ognia. Tim i Dave wpadają zaraz za mną.

Maska pozostawia dość duże pole widzenia. Wzrok skierowałem przed siebie. Cisza. Słysząc tylko oddech. Czolo pokryło się potem.

– Uwaga, wszystkie jednostki – rozległo się w słuchawce – gotowi, naprzód.

Tim odpalił ładunek. Wpadłem do środka, z bronią gotową do strzału. Ciąg dalszy to kwestia doświadczenia i praktyki. Terrorysty żadną miarą nie będą nam niczego ułatwiać. Sytuację trzeba rozpoznać w mgnieniu oka i być gotowym na każdą ewentualność. W pomieszczeniu mogą panować ciemności, ale równie dobrze mogą palić się światła, droga może być wolna lub zabarykadowana.

Za moimi plecami podążał Dave, numer drugi. Miał o tyle trudniejsze zadanie, że musiał jednocześnie reagować na zastaną sytuację i na to, co ja robię.

Od wejścia zaczęliśmy strzelać. Dave seriami, ja wolę szybki ogień pojedynczy. Nie ma uniwersalnej zasady.

Strzelaliśmy z marszu. Istota polega na tym, aby razić ogniem aż do skutku. W czasie ćwiczeń walę w tarczę, aż zostają z niej strzepy. Mam wtedy pewność, że gdyby w tym samym miejscu stał terrorysta, to zostanie zlikwidowany. Nie będzie miał żadnych szans. Podczas pozorowanej akcji każdy z nas wystrzeliwuje do dwudziestu pięciu nabojęw. W warunkach operacyjnych zapewne nie padnie tyle strzałów.

Postąpiłem do przodu, nie odrywając palca ze spustu, pilnie obserwując całe pomieszczenie. Latarką wyszukiwałem kolejne cele. W prawdziwym starciu promień latarki byłby pewnie ostatnią rzeczą, jaką zobaczyłby terrorysta.

Zadanie Dave'a polegało na osłanianiu zakładnika i ubezpieczeniu Tima. Jego zaś obowiązkiem była ewakuacja zakładnika. Musiał więc wpaść do środka, bez broni, wrzasnąć: „wstać” i „za mną”, chwycić nieszczęśnika za co się da i błyskawicznie wyciągnąć na zewnątrz. Nie ma czasu na zastanawianie się. Cała tajemnica powodzenia tego typu akcji polega na tym, aby działać piorunem, w parę sekund. To z kolei wymaga wielu miesięcy, jeśli nie lat, ciągłych ćwiczeń.

Po akcji, w sali odpraw, odbywało się omówienie ćwiczenia.

– Chujowo – orzekł Grubas, gładząc czuprynę. – „Ty, Andy, nie zauważyłeś, że największe niebezpieczeństwo zagrażało ci z prawej. Spodziewałem się, że polecisz starym sznytem, więc ustawiłem cele trochę



inaczej. Powinieneś być zareagować, a tak się nie stało. Dajeś dupy, musisz powtórzyć.

Powtórzyłem z przyjemnością. Gdybym podobny błąd popełnił podczas prawdziwej akcji, nie byłoby mnie wśród żywych.

Po powtórcie zamieniliśmy się rolami. Kolejno każdy był „zakładnikiem”. Po „akcji” szczegółowo omawialiśmy jej wykonanie, czasami oglądaliśmy przebieg operacji na taśmie wideo, aby nie było żadnych wątpliwości. Popijaliśmy herbatę, która miała posmak prochu i ołowiu. Musiała mieć, skoro codziennie w budynku CQB wystrzeliwano ponad pięć tysięcy pocisków. Dym drapał w gardło i nos.

Ćwiczyliśmy różne warianty. Na przykład, sytuacja, w której raptem zacina się broń. Jest to chyba najgorszy traf, jaki może się przydarzyć człowiekowi stojącemu oko w oko z uzbrojonym terrorystą. Nie ma oczywiście czasu na usuwanie zacięcia. Jedyne możliwe reakcja to wyciągnąć pistolet, nie odrywając oczu od celu. I trzeba to uczynić maksymalnie szybko, bo stawką jest życie.

Jak powiedziałem, po kolei występowaliśmy w roli zakładników. Chodziło nie tylko o to, aby wszyscy ćwiczyli wszystkie elementy zadania, ale także o coś więcej, o nabranie absolutnego zaufania do kolegów. Trzeba bowiem wierzyć współtowarzyszom, kiedy siedzi się w mroku, a wokół świszcze ostra amunicja. Biorąc pod uwagę liczbę wystrzeliwanych codziennie pocisków – a zużywaliśmy więcej amunicji niż reszta brytyjskich sił zbrojnych razem wzięta – zdarzało się nam naprawdę niewiele nieszczęśliwych wypadków. Ale wypadki były, nie da się ich uniknąć, kiedy ćwiczy się w warunkach maksymalnie zbliżonych do rzeczywistych.

Z czasem nabraliśmy takiego zaufania do siebie, że wyczynialiśmy rzeczy zupełnie zwariowane. Był wśród nas chłopak imieniem Mel, pełnił służbę w CRW. Ufał kolegom do tego stopnia, że nie wahał się stawać w ciemności między dwoma „łbami Hunów”, w które nacierający zespół walił, z czego tylko się dało.

Mel był zresztą odrobinę zwariowany. Kiedyś, chcąc nas przekonać do nowego typu kamizelek kuloodpornych, powiedział, że udowodni ich klasę na własnym ciele. Włożył kamizelkę, załadował broń breneką i kazał strzelić do siebie. Kula zwała go co prawda z nóg, ale nic mu się nie stało. Uznał się za zwycięzcę w dyskusji. Inny przypadek dotyczył nowych hełmów z kevlaru, które właśnie nadeszły od producenta. Mel uważał, że są naprawdę pierwsza klasa. Pozostali byli nieco innego zdania.

– Nawet nie chodzi o to, że są nieco cięższe niż tradycyjne i niezbyt wygodne – argumentowaliśmy – ale najważniejsze pytanie brzmi, czy są pewne?

Mel włożył hełm.

– Kevlar to wspaniały materiał. Strzel mi w łeb z dziewiątki – zaproponował Mickowi Mordolejowi.

– Odpieprz się – odparł Mick – napij się lepiej herbaty, to może ci przejdzie.

Nikt nie chciał się zgodzić, więc pokaz z Melem w roli głównej się nie odbył. Jakies trzy dni później do Pułku nadszedł list od producenta nowych hełmów. Pytał w nim, co sądzimy o zaprezentowanej... makiecie. Okazało się bowiem, że mieliśmy do czynienia nie z gotowym hełmem, ale modelem, i chodziło wyłącznie o ocenę kształtu i wagi. Nie pamiętam, z czego zrobiono ową makietę. Na pewno jednak nie z kevlaru. Ktoś powiedział, że strzał i tak nic by Melowi nie zrobił, bo to zakuty łeb.

Pozorowaliśmy sytuacje, w których ktoś z naszych pada ranny w czasie akcji. Otóż w takim razie nie przerywa się operacji. Trzeba ją doprowadzić do końca, bo to jedyna szansa.

Ćwiczyliśmy bez końca różne scenariusze, w różnych obiektach, bo może się zdarzyć, że terroryści będą więzić zakładników na przykład w wieżowcu, ale równie dobrze mogą ich przetrzymywać w zwykłym bloku czy przyczepie kempingowej. Forsowanie wejścia do samolotu wymaga innego trybu postępowania niż wdzieranie się do budynku ambasady. Inaczej przeczesuje się statek, inaczej hotel. Każda sytuacja wymaga też innej amunicji. W pomieszczeniu zamkniętym nie powinno się używać klasycznych, pełnych pocisków, bo mogą się odbić rykoszetem. Stosuje się więc takie, które rozpryskują się, uderzając w cel.

Zajęcia praktyczne obejmowały również treningi w najprzeróżniejszego typu autobusach i samolotach. Ćwiczyliśmy forsowanie wejścia do zamkniętego pojazdu. Zapoznawaliśmy się z niektórymi szczegółami technicznymi, uczyliśmy się uruchamiać awaryjne środki ewakuacji pasażerów.

Bez przerwy rodziły się nowe pomysły.

A gdyby tak podejść do samolotu od ogona, wspiąć się i górą przejść do kabiny pilotów – błysnęła nam kiedyś taka myśl. Zaraz sprawdziliśmy ją w praktyce.

Musieliśmy szukać nowych rozwiązań już choćby dlatego, że nasi przeciwnicy też to robią, a poza tym pojawiały się nowe techniki. Podobnie jak grupy szturmowe, również drużyny strzelców wyborowych ćwiczyły na okrągło różne scenariusze. Jeden z nich, zwany IA – *Immediate Action* – natychmiastowa akcja, przewiduje rozpoczęcie operacji w trzydzieści minut od ogłoszenia alarmu. Doraźną akcją kieruje drugi zastępca dowódcy, podczas gdy szef opracowuje ostateczny plan operacji.

Cała sztuka w tym, aby plan był możliwy do realizacji w każdym momencie. Jeśli na przykład terroryści wzięli zakładników i właśnie

zaczynają ich likwidować, wtedy nie ma na co czekać. Z miejsca trzeba ruszyć do akcji, na podstawie choćby częściowego planu.

W związku z IA jedna drużyna była zawsze gotowa do wyruszenia na akcję w ciągu kilku sekund po ogłoszeniu alarmu. W pogotowiu stały też śmigłowce i samochody.

W dniach, w których odbywaliśmy ćwiczenia własne, staraliśmy się kończyć zajęcia w rozsądnym czasie po południu. Ćwiczyliśmy więc bez przerw. Później czyściło się broń, przygotowywało sprzęt na dzień następny i można było iść do domu. Nie wszyscy jednak szli. Niektórzy udawali się do siłowni lub na bieżnię, by szlifować formę, inni – jak ja – siadali nad kuflem, bili pianę lub debatowali o wynikach totka piłkarskiego, w którego graliśmy w ramach tak zwanej spółdzielni.

Jednym z zadań, na które musieliśmy być przygotowani w każdej chwili, były działania interwencyjne w Irlandii. Osobiście bardzo je sobie ceniłem, oznaczały bowiem pewną zmianę w monotonnej skądinąd służbie w jednostce.

Czasami, gdy do wykonania zadania potrzebny był niewielki zespół, wysyłano tych, którzy byli pod ręką lub zgłaszali się jako pierwsi. No i któreś soboty dostałem sygnał na pagerze, że właśnie się szykuje robotą. Wskoczyłem do swojej starej renówki, docisnąłem gaz do dechy i ruszyłem do Pułku. Gaz do dechy w moim aucie oznaczał, że rozwijałem zatykającą dech w piersiach prędkość siedemdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę.

Wiedziałem, że w jednostce już grzeją silniki w pumie i że za półtorej godziny mogę znaleźć się „za wodą”, jeśli tylko dojadę do Pułku jako jeden z pierwszych. Po drodze trzeba było przejechać przez most na rzece Wye i tam niestety otarłem się lewym błotnikiem o jakieś minimetro. Właściciel był strasznie upierdliwy, a ja nie mogłem mu powiedzieć, gdzie i dlaczego się śpieszę. Zanim skończyliśmy pisanie oświadczeń, nad jednostką zawarczał śmigłowiec i po chwili znikł za horyzontem.

Budynek CQB był najważniejszą bodaj atrakcją dla przeróżnych VIP wizytujących jednostkę i nie tylko dla VIP. Pokazy techniki forsowania wejścia i odbijania zakładników urządzano niemal bez przerwy. Dobrze, jeśli widzami byli na przykład szefowie policji albo celnicy, albo ludzie z instytucji, z którymi współpracujemy na co dzień. Ale pokazy w naszym wykonaniu urządzano dla przedziwnych grup, nie wyłączając drużyn rugby, zespołów lekarzy i pielęgniarek, a nawet rzemieślników, którzy remontowali śmieści pomieszczenia w jednostce. Powiadano, że ktoś załatwił sobie remont mieszkania naszym kosztem.

Goście zadawali zawsze głupie pytania:

„A ile kosztują rękawiczki, których pan używa?” – zapytano mnie kiedyś.

„Sto czternaście funtów – odpowiedziałem bez zmruczenia oka albo coś koło tego”.

Pokazy zaczynały nas nudzić do tego stopnia, że próbowaliśmy urozmaicać je żartami. W ramach pokazów odbywała się także prezentacja sprzętu polegająca na tym, że wytaczało się wozy z hangaru, a pełne wyposażenie układało na paletach przed nimi i pokazując poszczególne elementy sprzętu opowiadało się, do czego to służy i tak dalej.

Kiedyś mnie przypało w udziale prowadzić tego typu wykład. Na palecie rozłożyłem wszystko co trzeba: kamizelki kuloodporne, sprzęt do wspinaczki, broń. Obok postawiłem Grubasa w pełnym oporządzeniu. Ja trzymałem mowę, on demonstrował odpowiednie przedmioty.

Robiło to wrażenie. Grubas pokazywał pistolet, strzelbę oraz noże i jeszcze inne rzeczy, jakie każdy z nas utyka w różnych zakamarkach munduru.

Obok podobną prezentację prowadził kumpel z drużyny strzelców wyborowych. Nie zauważył nawet, kiedy między wyłożony na palecie sprzęt podrzuciłem mu zwykłą piłkę tenisową. Chciałem zobaczyć jego minę, gdy zacznie tłumaczyć, do czego to służy i jakie ma znaczenie operacyjne. Tak byłem tym zafrapowany, iż nie zauważyłem, że i mnie ktoś wyciął numer.

Gdzieś w połowie prezentacji dostrzegłem na swojej palecie... zniszczony but. Na szczęście nikt nie zwrócił na to uwagi. Tylko nasz stary zjebał mnie wzrokiem.

Tymczasem przeszedłem do palety z bronią i znów kłopot. Pośrodku, w centralnym miejscu, leżał plastikowy pistolet na wodę. I tym razem dopisało mi szczęście, bo nikt nie zapytał, co to jest. Gdyby stało się inaczej, pewnie musiałbym podnieść zabawkę i postać strumień wody w stronę dostojnych gości wyjaśniając, że tak właśnie załatwiamy przeciwników.

Pewnego pamiętnego dnia przyjmowaliśmy wizytę księcia i księżnej Walii oraz księżnej Yorku. Chodziło o to, aby zapoznali się z Pułkiem na wypadek, gdyby kiedyś mieli znaleźć się w sytuacji, w której musielibyśmy śpieszyć im na ratunek. Dla nas był to wielki dzień, zaszczyt i radość. Podejrzewam, że im też wizyta sprawiła przyjemność. Mogli się wyluzować, nie było prasy, nie musieli głaskać dzieci po głowach, przyjmować wiązanek kwiatów i starać się o podtrzymanie rozmowy.

Między innymi zaprezentowaliśmy im technikę forsowania wejścia do budynku nocą celem uwolnienia zakładników.

W CQB wysłuchali wyjaśnień o przebiegu ćwiczeń:

„Bywa, że trzeba działać w całkowitych ciemnościach, bo na przykład terroryści wyłączyli prąd...”

Po tym wstępie zademonstrowaliśmy NVG – *Night Viewing Goggles*,

noktowizory. To ciekawy sprzęt, ale trudny do opanowania. W noktowizorze wszystko jawi się jak na negatywie filmowym, zmienia się także perspektywa. Przedmioty wydają się nieco bliższe niż w rzeczywistości. Trzeba więc sporo ćwiczyć. W każdym razie chodzi się w tym dziwnie.

No i zaczęliśmy iść w stronę dostojnych gości. Bałem się, żeby się nie potknąć, czegoś nie spieprzyć, bo przecież mieliśmy się zaprezentować z najlepszej strony. Udało się. Gdy włączono światła, nad księżęcą parą stała drużyna szturmowa w pełnym oporządzeniu, z pistoletami maszynowymi wersji MP5SD. Bardzo im się to podobało.

Następnie zademonstrowaliśmy forsowanie wejścia do budynku, co miało praktyczny cel. Chodziło o pokazanie gościom, czego mogą oczekiwać, gdyby doszło do najgorszego.

Dostojni goście zajęli miejsca w range roverze i oglądali ćwiczenie jakby z naszej perspektywy. Otoczyliśmy budynek. Grupa szturmowa lądowała na dachu, spuszczać się na linach z pokładu śmigłowca. Helikoptery warczały, była masa ognia. W pewnym momencie maszyna śmignęła w górę i jeden z chłopaków w czarnym kombinezonie zwałił się na dach z wysokości prawie dwudziestu metrów. Nie można było stwierdzić, czy przeżył, bo pole widzenia zasłaniała dość wysoka nadmurówka na dachu.

Mówiono mi, że księżę Karol aż westchnął z przerażenia. „O Boże, on zginął” – miał powiedzieć.

Tymczasem niedoszła ofiara skoczyła na równe nogi i dołączyła do reszty. Było to zupełnie nieprawdopodobne.

Jeszcze później doszło do pewnego incydentu, w wyniku którego można powiedzieć, że Pułk miał swój udział w świecie wielkiej mody. Księżnej Dianie demonstrowano działanie *flashbangs* – granatów ogłuszających. Stosuje się je, aby wywołać panikę i zdezorientować przeciwnika, bo wybuchają z wielkim hukiem. No więc odpaliliśmy coś takiego. Niestety trafem odłamek nadpalił księżnej kosmyk włosów na czole. Zaczęliśmy żegnać się z wojskową emeryturą.

Księżna rzeczywiście miała wyraźnie nadpalone włosy. Kilka dni później zawodowi obserwatorzy życia Dworu zwrócili uwagę, że Diana ma nową, znacznie krótszą od poprzedniej fryzurę. Nie miała innego wyjścia, ale nie zgłaszano do nas pretensji. Na tablicy informacyjnej pojawił się napis: „Niniejszym zakazuje się osadzania żołnierzy Kompanii B w Tower – historycznym, królewskim więzieniu – za wypadki w czasie pokazów”.

Co zaś tyczy się faceta, który spadł ze śmigłowca w czasie szturm, to prawda wyszła wreszcie na jaw. Okazało się, że ze śmigłowca zrzucano manekina, a nasz superman ukrywał się za kominem i w stosownym czasie objawił się oczom zaskoczonych widzów.

Ćwiczyliśmy nie tylko akcje według różnych scenariuszy, ale także próbne alarmy i docieranie na miejsce wydarzenia. W zajęciach takich uczestniczyły osobistości, które mogą być obiektem napaści ze strony terrorystów.

Premier Margaret Thatcher była wielką entuzjastką Pułku. To przecież ona podejmowała decyzję o odrzuceniu żądań terrorystów w czasie napadu na ambasadę i na jej osobiste polecenie Pułk przystąpił do akcji.

Przyjeżdżała do Herefordu tak często, że mówiło się o wstawieniu w koszarach specjalnego łóżka dla szefowej rządu. Miałem wiele szacunku dla jej zdrowego rozsądku i poczucia humoru. Umiała się śmiać, a była przy tym naprawdę „żelazną damą”. Kiedyś w czasie pokazów w CQB, z użyciem ostrej amunicji, jeden z jej asystentów padł na ziemię ze strachu. Maggie spojrzała na niego z przyganą. „Wstawaj, głupcze” – syknęła.

Współpracowaliśmy ściśle z różnymi jednostkami policji. W ćwiczeniach brały udział różne osobistości, od pani premier w dół. Wszyscy bowiem musieli się nauczyć pewnych zasad. Chłopcy w czarnych kombinezonach niewiele wskórają, jeśli ci, których mają chronić, nie przerobią swojej lekcji. Między innymi odbywaliśmy i takie zajęcia, podczas których ministrowie schodzili do schronu pod siedzibą rządu i tam funkcjonowali. Chodziło o oswojenie wszystkich zainteresowanych z takim warunkami, jakie mogą powstać pod naporem wydarzeń.

Kilka lat temu w Stanach Zjednoczonych przeprowadzano podobne ćwiczenia, na które zaproszono naszych obserwatorów. Wszystko zorganizowano z wielkim rozmachem, uwzględniając także amerykańską Radę Bezpieczeństwa, organ doradczy prezydenta, który stanowi o użyciu wojsk. Problem wszakże polegał na tym, że rada wcale się nie zebrała. W czasie omawiania wyników ćwiczenia jeden z naszych wstał i oświadczył mniej więcej tak: „Wszystko poszło doskonale, poszczególne instytucje i organizacje wykazały dobry poziom współdziałania i właściwie nie ma żadnych problemów poza jednym. Gdzie mianowicie był prezydent?” Chodziło o to, że jak dojdzie co do czego, to właśnie prezydent i jego doradcy będą podejmowali ostateczne decyzje, więc powinni być do tego odpowiednio przygotowani.

U nas dzieje się jednak inaczej. Alarm dla nas jest jednocześnie alarmem dla premiera i jego otoczenia. Decyzje podejmuje się na górze, ale wszyscy wspólnie pracują nad rozwiązaniem kryzysu i w żadnej sytuacji Pułk nie działa w odosobnieniu, a w razie porażki nie staje się chłopcem do bicia. Jeśli sytuacja wymaga zdecydowanych działań z bronią w ręku, jeśli trzeba strzelać, to trudno. Jak trzeba, to trzeba, ale chłopcy w polu mają przynajmniej tę świadomość, że decyzje zapadły w gronie doświadczonych

osób.

Należałem kiedyś do zespołu „trzydziestu minut”. Byłem właśnie na zakupach, kiedy otrzymałem wezwanie na pagerze. Jeździłem wtedy motocyklem Yamaha 250. Przez pechowy most przejechałem bez kłopotów. Zatrzymałem się przed naszym hangarem. Wytaczano już wozy, ładowano amunicję, sprzęt, wszystko, co potrzeba.

Po przygotowaniu wozów zameldowaliśmy się w sali odpraw. Czekaliśmy gryząc chipsy. Tylko Łysoń nie jadł. Zawsze oszczędzał dla dzieciaków, czemu zresztą trochę się dziwiłem, bo wydawano nam dość podły gatunek chipsów, nie wiedzieć dlaczego, o smaku krewetek. Być może ktoś tam robił jakiś interes na boku albo kwatermistrzostwo miało kiepski gust.

Zjawił się szef kompanii.

– Jest robota. Przed godziną otrzymaliśmy polecenie wysłania czterech ludzi z zastępcą dowódcy do Irlandii Północnej, a przed chwilą otrzymaliśmy kolejne wezwanie. Andy, będziesz drugim zastępcą w tej operacji – powiedział na wstępie i przeszedł do omawiania zadania:

„W kwadracie sześć-trzy-dwa-cztery-pięć-sześć, mapa sto trzydzieści pięć, odbywa się spotkanie delegacji handlowej z Izraela. Rano do budynku wdarli się bojówkarze islamskiego Dżihadu i wzięli uczestników konferencji jako zakładników. Czekamy na wezwanie. Dowódca kompanii odleciał właśnie stodziewiątką (śmigłowiec typu Augusta) na miejsce wydarzenia. Drugi śmigłowiec, ze Steve'em, pierwszym zastępcą i dowódcą grupy strzelców wyborowych, czeka na start”.

Pęczniałem z dumy, ale też czułem na sobie ciężar odpowiedzialności, gdy jechaliśmy na lądowisko. W zwykłych warunkach nie miałbym co marzyć o objęciu funkcji drugiego zastępcy. Musiałbym jeszcze poczekać, mieć większy staż. Było to wyróżnienie. Nie wolno mi niczego spieprzyć.

Na lądowisku czekała na nas ekipa „uszatków” – oficerów wywiadu. Akcja na Prince's Gate dowodnie potwierdziła, jak ważne znaczenie ma rozeznanie wywiadowcze. Przed szturmem zwrócono się do fachowców z MIS o wywiercenie niewielkich otworów w ścianach budynku, otworów, przez które można by wsunąć do środka mikrofony i miniaturowe kamery, aby obserwować sytuację. Okazało się jednak, iż informacje o budynku są takie, że można je potłuc o kant dupy. Mur był grubszy, niż przypuszczano, i nie dało się nic zrobić. W rezultacie drużyna, która szturmowała budynek, do końca nie wiedziała, gdzie dokładnie przebywają terroryści i zakładnicy.

Od tamtego czasu Pułk zaczął zbierać informacje dotyczące szczegółów konstrukcyjnych budynków, które mogą być potencjalnym celem ataku terrorystycznego. Do pamięci komputera wprowadzano takie dane, jak

właśnie grubość ścian i murów, zabezpieczenia drzwi i tak dalej. Gromadzono też dane wszystkich typów samolotów cywilnych i wojskowych. Korzystaliśmy z przenośnych komputerów, przy użyciu których można było dotrzeć do bazy danych w każdym praktycznie miejscu i czasie. Załóżmy, że coś się dzieje w hotelu X. Na naszym komputerze można wyświetlić trójwymiarowy obraz wnętrza budynku, a potem uzupełniać o bieżące informacje dotyczące liczby osób w poszczególnych pomieszczeniach. Zapis komputerowy obejmował nawet sugestie co do sposobów forsowania wejścia. Jeśli w bazie danych nie było wiadomości o jakimś konkretnym obiekcie, to można było wprowadzić informacje z obserwacji, takie jak rozmieszczenie okien i grubość ścian, a komputer na tej podstawie „rysował” przypuszczalny układ wnętrza. Wydawało się, że „uszatki” miały plany i zdjęcia wszystkich istniejących obiektów: budynków, samolotów, statków i okrętów.

Lubię latać śmigłowcem ze Steve'em, pod warunkiem że nie zacznie gadać o squashu. Był zwariowany na tym punkcie. Grał rzeczywiście niezłe, a squash był popularną dyscypliną w Pułku. W czasie przerw obiadowych koszary wyglądały tak, jakby odbywał się jakiś wielki turniej squasha.

Dotarliśmy do celu. Był to spory majątek pod Liverpoolem: pałac pośrodku dużego, elegancko utrzymanego parku.

Wyładowaliśmy obok stodoziawki, która przyleciała przed nami. Na miejscu czekał oficer wywiadu, żeby poprowadzić nas do sztabu.

Cały teren otoczyły już jednostki policji. Były też straż pożarna i pogotowie. Sztab zainstalował się w starym budynku gospodarczym. W środku woniało pleśnią i kocimi szczynami. Pod powałą zwisiała pajęczyna. Ważne, że było światło. Dość spore pomieszczenie, dwadzieścia pięć metrów na dwadzieścia, podzielone ścianą na dwie izby.

Najpierw należało odnaleźć Jacka, dowódcę kompanii, co nie było trudne. Z daleka wyróżniał się wzrostem, barwą i nosem, przy którym wielki organ powonienia generała de Gaulle'a wyglądał jak drobina.

„Tu będzie sala odpraw, a obok kwatera. Na parkingu tylko wozy IA, wszystkie inne niech zjadą na trawnik. Zamykamy teren”.

W sali odpraw instalowali się oficerowie wywiadu i łącznościowcy. Przygotowano długie stoły, na których za chwilę zostaną wyłożone zdjęcia obiektu jak również terrorystów i zakładników. Ci pierwsi otrzymali kryptonim „Promienie Roentgena”, ci drudzy to „Jankesi”. Na ścianie wywieszono plany budynku, dostarczone przez policję. Steve z Jerrym, pilotem drugiego śmigłowca, zachowywali się najrozsądniej: postarali się o herbatę i dyskutowali o squashu, czekając na przybycie posiłków.

– Chodźmy do dowództwa po zezwolenie na obejrzenie obiektu – zaproponowałem.

Poszliśmy razem z dowódcą kompanii i Bobem, który dowodził drużyną



snajperów. Zapamiętałem go z Crossmaglen. Był pierwszym facetem z Pułku, jakiego poznałem. Obecnie awansował do stopnia sierżanta.

Dowództwo zajęło główny budynek. Dawny dwór został odnowiony i służył jako centrum konferencyjne, podobnie jak obiekt odległy o mniej więcej kilometr. Wnętrze urządzone luksusowo: puszyste dywany, piękne drewno, skórzane fotele. Teraz jednak przypominało bardziej plan filmowy z płataniną kabli telefonicznych, między którymi uwijali się policjanci i mnóstwo cywilów z identyfikatorami na marynarkach.

Między poszczególnymi sektorami stały posterunki. Po drodze trzeba było przejść przez kilka punktów kontrolnych. „Uszatek” dał nam odpowiednie przepustki, ale i tak na wejście do niektórych pomieszczeń musieliśmy uzyskiwać odrębne zezwolenie. Trudno było się w tym połapać. Jak zwykle na początku panowało zamieszanie.

Dowódca przedstawił nas damie w policyjnym mundurze, która należała do ścisłego kierownictwa akcji. Dała znać właściwym posterunkom, że zaraz się zjawimy.

Na razie wróciliśmy do naszej sali odpraw. Steve z pilotem skończyli już debatę o squashu i oglądali zdjęcia lotnicze obiektu, które właśnie nadeszły. Steve wyjął fajkę i zaczął nas truć. Fajka gaśła, więc co chwila rozpałał ją na nowo, puszczać kłęby dymu.

Dano nam radiotelefony, sprawdziliśmy słyszalność. Nasze aparaty pracowały w systemie wykluczającym podsłuch.

W drodze do obiektu kontrolowano nas kilkakrotnie. Chcieliśmy podejść maksymalnie blisko, sprawdzić szczegóły potrzebne do opracowania planu działania: trasa podejścia grupy szturmowej i dalszy rozwój akcji. Inicjatywa należała do nas i na tym polegała przewaga nad terrorystami.

Bob rozglądał się za stanowiskami dla swoich snajperów. Muszą być dobrze zamaskowane, niewidoczne dla przeciwnika, a jednocześnie usytuowane blisko celu. Moje zadanie, jako drugiego zastępcy, polegało na rozpracowaniu podejścia i dowodzeniu grupą szturmową przez pierwsze trzydzieści minut, w czasie których Stary będzie przygotowywał ostateczny plan działania.

Policyjne centrum operacyjne urządzone w paru przenośnych barakach. Pogoda była fatalna, padało, speszyłem się wchodząc do środka w zabłoconych butach. Wnętrze było dość spartańskie, panowało w nim przejmujące zimno. Policja nie szasta pieniędzmi podatników. Czuć było zapach kawy i dym papierosów. Włączono właśnie elektryczny grzejnik i z podłogi uniosły się tumany kurzu. Barak chwiał się przy każdym ruchu, bo nie zdążono jeszcze ustawić podpór.

W środku zebrał się tłum policjantów i ekspertów do prowadzenia negocjacji z terrorystami. Zapoznano nas z sytuacją, na podstawie mapy, i

przydzielono przewodnika, który poszedł z nami do pierwszego policyjnego stanowiska strzelców wyborowych.

Było mokro i zimno. Chłopak leżał w błocie bez żadnego zabezpieczenia.

– Od godziny czekam na zmianę – poskarżył się. Był wykończony.

– Widziałeś coś ciekawego?

– Nic. Okna są szczelnie zasłonięte i niczego nie widać, żadnego ruchu.

Kręciliśmy się wokół obiektu prawie godzinę. Obejrzałem wszystko dokładnie przez lornetkę. Spory budynek, w stylu przedwiktoriańskim, podobnie jak główny pałac. Szerokie, podwójne drzwi od frontu, parter, dwa piętra z sześcioma oknami rozmieszczonymi symetrycznie po obu stronach portyku, dach płaski, z dwoma świetlikami i półmetrową balustradą wokół. Żwirowany podjazd. W głębi budynki gospodarcze i garaże.

Naradzę się jeszcze ze Steve'em i facetami z wywiadu i będę gotów. Brnąc w błocie, żałowałem, że nie pomyślałem o gumowych butach.

Zatrzymałem się w miejscu, gdzie wkrótce rozlokują się nasi snajperzy, aby zastanowić się nad szczegółami operacji, za którą byłem odpowiedzialny. Grupa szturmowa podjedzie na pozycje wyjściowe samochodami. To proste, ale co dalej? Czy do obiektu podchodzimy pieszo? Raczej nie. Jest wprawdzie trochę krzewów, lecz za mało. Trzeba wyjść na otwarty teren, a to niebezpieczne i oznacza odkrycie kart przed przeciwnikiem. Pozostaje desant z powietrza lub szybki podjazd samochodu albo jedno i drugie jednocześnie.

Mieliśmy do dyspozycji dwie stodziewiątki. W każdej zmieści się sześć osób, a więc nie wszyscy. Zamierzałem zaatakować z kilku stron jednocześnie, aby zyskać przewagę i wykorzystać element zaskoczenia. Decyzja nasuwała się sama: bierzemy i śmigłowce, i samochody, chyba że w ostatniej chwili napłyną nowe informacje, wtedy plan trzeba będzie skorygować.

Tymczasem zaczęły nadjeżdżać pierwsze samochody z Herefordu. Chłopcy naprawdę pokonali trasę jak na wyścigach i właśnie zaczęli rozładowywać sprzęt. Wyjmowali broń, łomy, siekiery, tarcze, kamizelki kuloodporne, drabiny. Tylko z wozu MOE, którym transportuje się materiały wybuchowe, nie wyładowywano nic.

Chłopcy wiedzieli już, gdzie będą kwaterować. Pytali tylko, gdzie są sracze i gdzie można zagotować herbatę.

W sali odpraw zrobiło się tłoczno. Sprawdzano radia, telefony, połączenia. Siedziałem przy tablicy, wypisując kryptonimy i zadania poszczególnych zespołów. Im więcej się zapisze przed odprawą i formalnym wydaniem rozkazów, tym później łatwiej, bo chłopcy już się orientują, co do kogo należy.

Trzeba było mieć podzielną uwagę, bo bez przerwy ktoś zadawał jakies pytanie:

- Jaki chcesz mieć transport?
- Dwa range rovery i dwa śmigłowce.

Bob wyszedł zaprowadzić dwóch strzelców wyborowych na stanowiska. Za chwilę zaczną meldować przez radio o sytuacji wokół obiektu. W odróżnieniu od policyjnych snajperów, nasi mieli naprawdę znakomite wyposażenie: wygodne polowe kombinezony maskujące z goretexu, z warstwą ocieplającą, izolujące tak wspaniale, że można w nich cały dzień przeleżeć w błocie i nic. Miały tylko jedną wadę – były dość obszerne. Wygląda się w czymś takim jak w balonie. Ale na tę pogodę – wciąż padało i było zimno – okazały się wręcz idealne.

Zamieniłem jeszcze parę słów ze Steve'em i „uszatkim”, skończyłem wypisywanie rozkazu i mogłem się przebrać.

Wszyscy się już orientowali, na czym będzie polegać zadanie, jaki sprzęt będzie potrzebny i jakie są ograniczenia czasowe.

Zespół MOE analizował najświeższe wiadomości otrzymane od policji. Na tej podstawie i na podstawie planów budynku chłopcy już zaczęli przygotowywać odpowiednie ładunki wybuchowe do sforsowania okien. Okna były podwójne w ramach ze sztucznego tworzywa.

Każdy miał coś do zrobienia. Poszczególne drużyny przygotowywały sprzęt; jeszcze po cywilnemu. Łącznościowcy kontrolowali połączenia. Jedni wchodzili, drudzy wychodzili, panował gwar.

W czasie akcji uczestnicy drużyn szturmowych mają na sobie trzy warstwy ubrań. Najpierw wkładają specjalną, odporną na ogień bieliznę, coś podobnego do stroju kierowców samochodów formuły pierwszej. Na to kombinezon NBC (*Nuclear, Biological and Chemical*), zabezpieczający przed promieniowaniem oraz działaniem biologicznych i chemicznych środków rażenia, bo w czasie akcji możemy skorzystać z granatów gazowych. Wreszcie wkłada się czarny kombinezon sporządzony, podobnie jak bielizna, z chroniącego przed ogniem materiału. Obuwie to rodzaj adidasów sięgających powyżej kostki. Znakomicie nadaje się też do skoków ze spadochronem.

W kaburze na prawym udzie trzyma się broń osobistą – pistolet SIG, kaliber 9 mm. Wystarczy opuścić rękę i broń niemal sama wsuwa się w dłoń. W kieszeni na lewym udzie mieszczą się zapasowe magazynki do MP5 i siga.

Zrobiło się gorąco, a to jeszcze nie wszystko, co człowiek nosi na sobie. Na kombinezon wkłada się kamizelkę kuloodporną, a na nią kamizelkę z mnóstwem kieszeni na radio (stosujemy radiostacje ze słuchawką i mikrofonem przylegającym do krtani), materiały wybuchowe, opatrunek osobisty, nóż, siekierkę, granaty ogluszające i jeszcze to, co potrzebne jest do wykonania konkretnego zadania.

Nasza podstawowa broń to pistolet maszynowy MP5 Heckler & Koch, ze

względu na zalety konstrukcyjne. Działa podobnie jak karabin samopowtarzalny albo armalite. Zamek został tak zaprojektowany, że otwiera się z opóźnieniem, co różni MP5 od większości pistoletów maszynowych. Pistolet ten jest bronią znacznie bardziej niezawodną i ma znakomite wskaźniki szybkostrzelności. Produkowany jest, co też ma swoje znaczenie, w kraju, gdyż firma Heckler & Koch stanowi część koncernu British Aerospace.

Szczególna zaleta tych pistoletów maszynowych polega na tym, że przełącznik rodzaju ognia pozwala strzelać seriami trzystrzalowymi, a wiadomo, że jeśli idzie o broń automatyczną, pierwsze trzy do pięciu pocisków są najbardziej skuteczne.

Przy MP5 miałem halogenowe urządzenie celownicze, które można nastawiać na dowolne odległości. Urządzenie to rzuca bardzo silny snop światła, tak że w mroku można oślepić przeciwnika.

Zwykle przygotowuję sobie dwa magazynki, przyklejając jeden do drugiego taśmą samoprzylepną w taki sposób, że po wyczerpaniu pierwszego wystarczy tylko całość odwrócić i już można korzystać z drugiego. Nie ma potrzeby sięgać po zapasowy do kieszeni, co ma swoje znaczenie, gdy liczy się każda chwila.

Broń wyjątkowo wyposażona była w pas nośny. Zwykle z tego nie korzystamy, ale na operacje takie jak ta pas bardzo się przydaje. Łatwiej wspinać się na mury, wskakiwać do wozu i wyskakiwać z niego mając swobodne ręce.

Skórkowe rękawice i maskę przeciwgazową nałożę w ostatniej chwili. W pełnym oporządzeniu człowiek wyglądał jak Arnie z *Terminatora*. Do stałego wyposażenia należały jeszcze półautomatyczne sztucery z odciętą kolbą. Nazywaliśmy je „barclaycardami” – tak jak karty kredytowe największego banku w Wielkiej Brytanii reklamowane hasłem „Z naszą kartą wejdiesz wszędzie”, bo rzeczywiście, strzał z czegoś takiego w zamek lub zawiasy u drzwi otwierał drogę. Producent dostarczał „barclaycardy” w specjalnych kaburach. Te okazały się jednak nieporęczne. Wygodniej było nosić tę broń przytwierdzoną do pasa kawałkiem gumy.

Tuż przed odprawą rozstawiono składane krzesła, część chłopców rozsiadła się, inni stali. Wciąż było gwarno.

Gdy przystąpiłem do odczytywania rozkazu IA, wszyscy skupili się wokół mnie przy tablicy, na której znajdowało się kilka zdjęć obiektu w różnych ujęciach, także z lotu ptaka, oraz plany poszczególnych kondygnacji.

Od tej chwili nie będziemy już dyskutować.

„Akcja rozpoczyna się bezpośrednio po odprawie – zacząłem objaśniać, pokazując szczegóły na zdjęciach. – Obiekt. Budynek dwupiętrowy plus parter, razem trzy kondygnacje. Od frontu wejście główne, dwuskrzydłowe

drzwi czymś zasłonięte, więc szczegółów nie widać. Okna podwójne w ramach ze sztucznego tworzywa, wszystkie ze szczelnie zasuniętymi zasłonami. W środku za głównym wejściem znajduje się klatka schodowa. Przez świetliki na dachu można dostać się na korytarz górnej kondygnacji. Po odprawie wszyscy powinni zapoznać się z planem pomieszczeń i obejrzeć zdjęcia tylnej ściany budynku i elewacji bocznych. Na razie skupiamy się na fasadzie.

Sytuacja przedstawia się następująco: Sześć godzin temu bojówka islamskiego Dżihadu opanowała budynek, w którym właśnie miała rozpocząć się konferencja zorganizowana przez żydowską komisję do spraw handlu. Terroryci żądają uwolnienia pięciu członków swojego ugrupowania, skazanych na więzienie za próbę zamachu na ambasadę Izraela i odbywających karę w Parkhurst. Jak się ocenia, terrorystów jest nie więcej niż sześciu, a zakładników dwudziestu siedmiu. Nie mamy zdjęć terrorystów ani bliższych danych. Wiemy tylko, że jest wśród nich kobieta mająca, sądząc z głosu, około dwudziestu pięciu lat. Mówi niezłe po angielsku. Akcent wskazuje na Palestynkę z północnych rejonów. Terroryci najpewniej podzielili zakładników na mniejsze grupy i rozlokowali w różnych pomieszczeniach. Nie wiemy natomiast, jaką bronią się posługują, ale należy założyć, że używają broni automatycznej. Jeśli chodzi o czas, to rokowania z terrorystami zaczęły się o dziesiątej. Żądają, aby do szesnastej umożliwić im kontakt z którymś z więźniów w Parkhurst. Do szesnastej pozostało czterdzieści pięć minut”.

Następnie sprecyzowałem zadanie, zgodnie z regulaminem powtórzyłem to dwukrotnie:

– Nasze zadanie to uwolnić zakładników, powtarzam: uwolnić zakładników. A teraz wykonanie. Grupy szturmowe Czerwona Jeden i Jeden Alfa schodzą po linach z pokładu śmigłowca na dach. Wysadzają świetlik. Rejon operacyjny to górne piętro. Łącznik schodzi na półpiętra celem nawiązania kontaktu z grupą Dwa i Dwa Alfa. Steve, jakim kursem będziecie podchodzić do desantu?

– Z północnego zachodu wzdłuż linii drzew i dalej nisko nad parkiem.

– W porządku. Wozy potrzebują dwudziestu sekund, aby ze stanowisk wyjściowych dotrzeć do obiektu. Wylicz czas dolotu, abyśmy wszyscy rozpoczęli jednocześnie. Dwa i Dwa Alfa forsują okna na pierwszym piętrze. Dwójka, ty bierzesz okno po lewej. Dowozi was range rover Tango Jeden. Dwa Alfa wysadza okno po prawej stronie. Atakuje z wozu Tango Dwa. Rejon działania, także pierwsze piętro. Wyznaczenie łącznika do utrzymania łączności z Jeden Alfa, a następnie udajecie się w dół celem nawiązania kontaktu z grupą Trzy i Trzy Alfa. Trzy – trójką dowodzę ja – i Trzy Alfa forsują główne wejście. Trzy podwozi range rover Tango Jeden, Trzy Alfa

korzysta z Tango Dwa. Rejon działania na parterze. Nawiązuję kontakt z Dwójką. A teraz strzelcy wyborowi. Sierra Jeden i Dwa ubezpieczają oba wozy. Sierra Trzy i Cztery wysuwają się do przodu. Ubezpieczają akcję od tyłu obiektu. Grupa przejmująca zakładników rusza do środka natychmiast po sforsowaniu przez nas wejścia. Sprowadza zakładników w rejon drzwi. Służby medyczna i techniczna czekają na wezwanie. Po wezwaniu nawiązują kontakt z Trójką w rejonie wejścia. Tango Jeden i Dwa ruszają z tego punktu – pokazałem na mapie. – Od zakrętu do obiektu jest prawie sto pięćdziesiąt metrów. Po dotarciu na miejsce ubezpieczacie grupę szturmową i stanowicie rezerwę, na wypadek gdyby były ofiary. Wówczas trzeba będzie kogoś zastąpić. Jeśli nie, to przejmujecie zakładników. Są pytania?

Nie było.

– Czas. Bezpośrednio po odprawie zapoznajecie się z planami obiektu. Gotowość do rozpoczęcia IA: piętnasta trzydzieści pięć. Termin pierwszego ultimatum upływa o szesnastej. O piętnastej pięćdziesiąt wszyscy zajmują miejsca w wozach. Pełna gotowość, ale jeszcze bez masek przeciwgazowych. Przemieszczamy się do bazy wyjściowej. Pierwszy jedzie Tango Jeden. Ja pokazuję drogę. Bazę wyjściową osiągamy o piętnastej pięćdziesiąt pięć. O tej samej godzinie, czyli o piętnastej pięćdziesiąt pięć rozpoczyna się stan gotowości śmigłowców. Wszyscy na pokładach. Silniki uruchomione, rozgrzane. Jeśli nie otrzymacie innych poleceń, akcję kończycie o szesnastej dziesięć. Są pytania? Nie ma. To wszystko.

Na tym zakończyła się oficjalna odprawa. Zająłem się teraz rozdziałem zadań w mojej drużynie.

– Dave wysadza drzwi. Ja idę jako numer jeden. Tim – numer dwa, Grubas – numer trzy. Dave dołącza jako czwarty. Zajmujemy hall, następnie udajemy się w lewo i zajmujemy duży pokój. Stamtąd ruszymy do pomieszczeń przy klatce schodowej. Tim nawiązuje kontakt z Trzy Alfa, a następnie idzie pół piętra w górę na spotkanie z Dwójką. Pytania? Nie ma? No to sprawdzamy sprzęt i ładujemy się na wozy.

Niczego więcej nie trzeba było dodawać. Reszta spraw była jasna. Wyszliśmy na dwór do samochodów.

– Halo, Alfa, tu Trójka – sprawdziłem łączność. – Tango Jeden i Dwa ruszają na linię wyjściową.

– Tu Alfa, zrozumiałem. Ruszacie na pozycję wyjściową. Kryptonim Alfa należał do koordynatora akcji w naszym centrum łączności w sali odpraw. Alfa Jeden to nasz Stary.

Chłopcy zajęli miejsca w samochodach, gdzie kto mógł. Do linii wyjściowej towarzyszyła nam policja. Słyszał było śmigłowce szykujące się do startu.

Na pozycji wyjściowej zeskoczyłem z wozu, sprawdziłem, czy wszyscy

nakładają maski i repetują broń.

Wyskoczyli również kierowcy i zza węgła sprawdzili trasę, ostatnie i najtrudniejsze sto pięćdziesiąt metrów otwartego terenu.

– Alfa, tu Trójka. Trójka i Dwójka gotowi.

– Tu Alfa, zrozumiałem. Jedyńka, zgłoś się.

– Jedyńka gotowa – odezwał się pilot. W tle słychać było silnik grający na wysokich obrotach.

Dowódca kompanii z szefem sił policyjnych słuchali meldunków w centralnym punkcie dowodzenia. Nasz Stary wyjaśnił niektóre, mniej zrozumiałe terminy i oficjalnie potwierdził, że wszystko jest gotowe do rozpoczęcia IA – natychmiastowej akcji. Ostateczna decyzja należała do szefa policji. Podejmie ją, jeśli życie zakładników będzie zagrożone. Terrorysty postawili ultimatum: jeśli do szesnastej nie usłyszą swojego człowieka z Parkhurst, zaczną mordować zakładników. Odpowiedzialność za całą akcję spoczywała na policji, której my zapewnialiśmy wsparcie wojskowe.

W wozach i śmigłowcach nie wyłączano silników. Czekaliśmy tylko na sygnał.

Jeszcze chwila, a wybiję szesnasta, termin ultimatum. Strzelcy wyborowi wyczężyli uwagę.

– Alfa, tu Sierra Jeden. Widzę ruch w Białym Jeden Jeden, słyszę krzyki.

Wszystkie okna i drzwi otrzymały oznaczenia kodowe. Białe Jeden Jeden do okno na parterze, ostatnie po lewej stronie.

– Tu Alfa. Zrozumiałem. Ruch i krzyki w Białym Jeden Jeden.

Ponieważ rozmowy radiowe prowadziliśmy na wspólnej częstotliwości, więc usłyszeli wszyscy.

– Alfa, tu Sierra Jeden. Białe Jeden Jeden otwiera się... poczekajcie... tak otwiera się. Widzę kogoś w masce. Tak, to Roentgen. Mężczyzna w zielonej kurtce wojskowej. Ma kałasznikowa. Coś krzyczy i wymachuje w naszą stronę. Odbiór.

– Tu Alfa, zrozumiałem. Tango Jeden, zgłoś się.

– Tu Tango Jeden.

– Tango Dwa?

– Tu Tango Dwa.

– Jedyńka?

– Tu Jedyńka – zgłosił się Steve. W słuchawce wyraźnie słyszałem szum obracających się łopat wirnika śmigłowca.

– Alfa Jeden?

– Tu Alfa Jeden. Odbiór.

Zostały już tylko sekundy. Machinalnie sprawdziłem, czy wszystko mam na miejscu, czy magazynek tkwi mocno, czy pistolet nie wysuwa się z kabury.

Chłopcy, których zadaniem było wysadzenie drzwi i okien, sprawdzali ładunki. Przede wszystkim detonatory, zapalniki, połączenia.

Maski? Czy ściśle przylegają, czy między maską a kombinezonem nie ma miejsc nie osłoniętych. Gaz atakuje oczy, płuca i skórę. Rękawiczki? Czy są odpowiednio naciągnięte? Palce swobodne?

Czekaliśmy tylko na ostateczne hasło: „Gotowość”. Na razie poderwano śmigłowce.

– Jeden i Jeden Alfa, start!

– Tu Jedyńka. Zrozumiałem. Startuję. Odbiór.

Dowodzący akcją szef policji nie podjął ostatecznej decyzji. Poderwał śmigłowce, ale nie był to jeszcze sygnał do rozpoczęcia akcji.

I znów w słuchawce rozległy się meldunki strzelców wyborowych.

– Alfa, tu Sierra Jeden. Wciąż słyszę krzyki. Widzę ruch w Dwa Dwa, na piętrze. Jakby ktoś poruszał zasłonami w oknie. Tak, teraz dostrzegam twarz. Identyfikacja niemożliwa.

– Zrozumiałem.

Chłopcy szykowali granaty ogluszające. Odpalimy je zaraz na początku akcji, aby wywołać zamieszanie i zdezorientować terrorystów. Im bardziej, tym lepiej. Trzeba ich przestraszyć.

W dalszym ciągu nie było sygnału. Snajperzy na wysuniętych pozycjach meldowali o tym, co się dzieje.

Negocjatorzy – to wyjątkowa specjalność – starają się pewnie podtrzymać dialog z terrorystami, informując gestami rąk wszystkich obecnych w centrum dowodzenia.

My, na range roverach, pozostawaliśmy w ukryciu, mając świadomość, że jeszcze dwadzieścia sekund i... Siedzieliśmy bez ruchu, w milczeniu, bo trudno rozmawiać w masce gazowej.

Słuchałem pilnie, co się dzieje. Opuściłem ramiona, rozluźniłem mięśnie, nie chcąc tracić energii. To, co człowiek dźwigał na sobie, miało swoją wagę, więc lepiej nie tracić sił nadaremnie. Nie słyszeliśmy, jak i czym negocjatorzy chcą przekonać terrorystów, wiedzieliśmy wszakże, że w takich sytuacjach chodzi przede wszystkim o stworzenie atmosfery spokoju. Było oczywiste, że decydenci nie zgodzą się na żądania terrorystów. Nie będzie rozmowy z wzięzionymi w Parkhurst.

– Alfa, tu Sierra Jeden, Roentgen w Białym Jeden Jeden, kotara zasunięta.

– Tu Alfa, zrozumiałem.

Minął właśnie termin ultimatum. Dowodzący akcją szef policji zapewne odetchnął z ulgą, że udało się uniknąć najgorszego – terroryści nie zabili dwóch zakładników, tak jak grozili.

– Alfa Jeden do wszystkich. Odwołuję IA, powtarzam, odwołuję IA. Potwierdzić rozkaz.



Wszyscy po kolei zameldowali się przez radio. Zdjęliśmy maski, zabezpieczyliśmy broń. Eskortowani przez policję wróciliśmy do rejonu wyczekiwania. W sali odpraw były już załogi obu śmigłowców.

Oficerowie wywiadu postarali się tymczasem o więcej materiałów. Na ścianach wywieszono szczegółowe plany obiektu, łącznie ze schematem instalacji elektrycznej i wodociągowej, systemem wentylacji i kanalizacji, systemem zasilania w prąd – wszystkim, co potrzeba.

Wywieszono także kilka zdjęć Roentgena Dwa, który pokazał się w oknie. Postarała się o nie ekipa techników z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Wszystkie informacje, zdjęcia i plany mocowano pinezkami lub taśmą. W miarę jak zmieniała się sytuacja, zdezaktualizowane dokumenty zastępowano nowymi, dokładniejszymi.

Z papierowymi kubkami herbaty w ręku skupiliśmy się w kącie, gdzie zebrali się już chłopcy z zespołu Niebieskich. Wspólnie wysłuchaliśmy, co nowego ma do powiedzenia wywiad.

– Według stanu obecnego, negocjatorzy starają się o uwolnienie trzech spośród zakładników, w zamian za żywność. Ta trójka to: sześćdziesięciopięcioletni ogrodnik zatrudniony w majątku i dwóch jego wnuków w wieku sześciu i dziewięciu lat. Napływają zdjęcia zakładników. Wywiesimy je na tablicy wraz z rysopisami. Roentgen Dwa to mężczyzna, wzrost około metra osiemdziesięciu pięciu, waga w granicach dziewięćdziesięciu kilo. Na razie terroryści nie postawili nowego ultimatum. Pozostałe informacje znajdziecie na tablicach. Pytania?

Głos zabrał dowódca kompanii.

– Zespół Czerwonych pozostaje w pogotowiu na wypadek zarządzenia IA, do godziny szóstej rano. Podmiana zacznie się o piątej trzydzieści. Są pytania?

– Co z żarciem? – zainteresował się Grubas.

Nic nowego pod słońcem – zaśmiałem się w duchu. Wszyscy spojrzeli na szefa kompanii.

– O dziewiętnastej otrzymamy prowiant z jednostki. Później przechodzimy na wikt policji. Szczegóły wywieszę na tablicy. Nie będzie kłopotów z herbatą. Dopilnuję, żeby termosy były zawsze pełne. Mamy trudności z papierowymi kubkami. Byłoby dobrze, gdybyście je oszczędzali. Korzystajcie z własnych.

Wyszliśmy z sali odpraw, wyrzucając po drodze papierowe kubki do koszy, które kwatremistrzostwo poustawiało gęsto na całym terenie. Meldunki strzelców wyborowych transmitowano przez głośniki, żeby wszyscy wiedzieli, co się dzieje. W ogóle było gwarno. Rozmowy radiowe mieszały się z okrzykami nawołujących się ludzi. Zwożono dodatkowy sprzęt, instalowano grzejniki, bo panowało przejmujące zimno.

Nasza kwatery w pomieszczeniu obok też się zmieniła. Zespół Czerwonych porozkładał łóżka polowe i w ogóle zaczął się zagospodarowywać. Obok łóżek leżały kamizelki kuloodporne. Jedni dobywali z plecaków książki, inni walkmany, szykując się na dłuższe wyczekiwanie. Nam, będącym w pogotowiu do IA, nie wolno było zdejmować oporządzenia. Mogliśmy jedynie zsunąć maskę gazową i odłożyć broń. Rozłożyłem sobie łóżko polowe i śpiwór.

Na drzemkę było jednak za wcześnie, więc wyszedłem na dwór. Dwóch naszych rozmawiało z dwójką policjantów z ekipy zabezpieczającej teren.

– No cóż – chwalił się jeden z gliniarzy – ważne, że lecą nadgodziny – i zaczął wspominać, ile to za nadgodziny zarobił w czasie głośnego strajku górników. – Chłopcy kazali sobie nawet zrobić podkoszulki z napisami „DAS” – Dziękujemy Arthurowi Scargillowi.

Arthur Scargill był ministrem w rządzie pani Thatcher, odpowiedzialnym za negocjacje z przedstawicielami górników.

Zaszedłem do sali odpraw, żeby zobaczyć, czy jest coś nowego. Dowódca kompanii rozmawiał z Sierra Dwa, który obserwował obiekt z prawej strony.

– Dałbyś radę wrzucić gaz przez Białą Trzy Dwa? – pytał Stary.

– Sekundę, sprawdzę – przez moment w eterze panowała cisza. Po chwili Sierra Dwa zgłosił się ponownie. – Alfa Jeden, myślę, że tak, ale musiałbym przesunąć się jakieś dwadzieścia metrów w lewo.

– Zrozumiałem. Sierra Jeden – Stary wywołał kolejnego obserwatora – jak wygląda podejście do drabinki przeciwpożarowej na zapleczu?

– Sierra Jeden. Można podejść na jakieś sześćdziesiąt metrów. Dalej teren jest otwarty. Tyle stąd widać. Bliżej nie podchodziłem.

– W porządku, Sierra Jeden. Zaraz kogoś przysłę na rozpoznanie.

Stary szykował kilka różnych wariantów, w zależności od warunków: bezpośredni atak na obiekt, natarcie pod osłoną nocy i tym podobne. Plany będą gotowe, gdy decydenci na szczeblu rządowym uznają, że sprawa wymaga zdecydowanego działania, i przerzucą ciężar odpowiedzialności z policji na nas. Jeśli trzeba będzie, to Stary może nakazać sporządzenie modelu obiektu i na nim pokaże, co i jak będziemy robić. Czasami postępuje się jeszcze inaczej. Taśmą samoprzylepną zaznacza się na podłodze plan budynku i przeprowadza jakby próbę akcji. Biorą w niej udział dowódcy obu zespołów, a także najstarsi stopniem i stażem podoficerowie mający największe doświadczenie.

Sprawą oficerów jest wykorzystanie do konkretnej akcji umiejętności młodszych stopniem. Każde zadanie to także nauka. Trzeba wiele umieć, aby zostać dowódcą kompanii.

Pułk obywał się bez oficerów na stanowiskach dowódców plutonów. W naszym – siódmym – od lat już nie mieliśmy oficera. Dowodził nami jeden z

podoficerów i to w zupełności wystarczało. Na wyższych szczeblach oczywiście oficerowie byli potrzebni. Ktoś przecież musi koordynować działania, śledzić ruch pododdziałów w różnych zakątkach świata. Ponieważ każdy z młodszych oficerów ma szansę objęcia z czasem dowództwa kompanii, więc także w naszym interesie leżało, żeby nauczyli się możliwie jak najwięcej. Taki staż na niższym stanowisku jest dla oficerów jakby dalszym ciągiem Selekcji. Jeśli sprawdzą się w czasie trzyletniego kontraktu, mogą liczyć na awans na dowódcę kompanii. Jeśli im się nie uda, to także dlatego, że podlegli im podoficerowie i żołnierze nie okazali należytej pomocy. Tak więc edukacja oficerów to także nasza sprawa. Nie chodzi o to, aby dać im się we znaki, ale o to, aby nauczyli się jak najwięcej. Powiem, że to jest tak jak z rekrutami w Winchesterze. Jakiego wyszkolisz, takiego będziesz miał...

Natomiast jeśli idzie o plutony, to najważniejsi byli sierżanci. To oni dowodzili na co dzień i oni dbali o wszystko. Ich też sprawą było, aby oficer wiedział, co trzeba, i byśmy wszyscy pomagali mu, jak tylko się da.

Tymczasem nic specjalnego się nie działo, więc wziąłem książkę i położyłem się na łóżku. Czytałem *The Feudal Kingdom of England* („Królestwo Anglii w feudalizmie”).

Nadszedł czas na posiłek. Jak można się było spodziewać, przystali „gulasz desantowy” – ciapając z mięsa, kartofli i jarzyn. Były papierowe talerze, ale większość wyciągnęła własne, więcej się mieści. Zamiast puddingu dali po sześć kromek chleba.

Jadłem jeszcze, gdy zjawił się facet z łączności z informacją, że o dziewiętnastej trzydzieści odbędzie się odprawa dla obu zespołów. Wśród łącznościowców spotykało się najstarszych chyba na świecie kaprali i plutonowych. A to dlatego, że chcąc zostać w Kompanii 264 w Herefordzie, rezygnują z awansu.

Zebraliśmy się o wyznaczonej godzinie.

– W dalszym ciągu dysponujemy tylko zdjęciem jednego Roentgena – zaczął objaśniać sytuację „uszatek” – i w dalszym ciągu negocjacje w imieniu zakładników prowadzi kobieta.

Słysząc ją było w głośniku.

– Można trochę głośniej? – poprosił ktoś.

„Jeśli nie opublikujecie naszego oświadczenia w dzienniku BBC o dziewiętej, a w telewizji ITN o dziesiątej, zaczniemy likwidować jeńców. Udowodniłszy wam, że nie jesteśmy barbarzyńcami. Zwolniliśmy przecież starego z bachorami...”

„Robię wszystko, co w mojej mocy – odezwał się jeden z negocjatorów. – Ani wam, ani nam nie zależy, żeby połała się krew, prawda? Staram się, ale nie mogę niczego obiecywać. Musicie przyznać, że wszystko, co wam do tej

pory przyrzekałem, zostało zrealizowane. Musicie mnie zrozumieć, dać mi czas”.

„Ty chyba nie słyszysz, co mówię. Rozpocniemy likwidację jeńców, jeśli nie usłyszymy w BBC...”

Ktoś wyciszył głośnik.

– Jak usłyszeliście – ciągnął „uszatek” – uwolniono starca z dwójgim dzieci. Stary jest w szoku. Nie udało się uzyskać od niego żadnych informacji poza jedną, że terrorystów jest czterech lub pięciu i że jest wśród nich kobieta, tak mu się przynajmniej wydaje.

– Uwaga alarm! Natychmiastowa akcja! – krzyknął któryś z łącznościowców prowadzących nasłuch.

Rzuciliśmy się do wozów, włączając własne radiostacje. Broń gotowa. Maski pod ręką. Ruszyliśmy starym szlakiem na pozycję wyjściową. Chłopcy, których zadaniem jest sforsowanie wejść do obiektu, sprawdzali ładunki wybuchowe, podłączali detonatory.

– Alfa, Tango Jeden i Dwa na pozycji wyjściowej.

– Zrozumiałem. Jedyńka, co z wami?

– Tu Jedyńka. Silniki włączone. Wirnik się obraca.

– Zrozumiałem.

– Ruch w Białym Dwa Jeden i Białym Jeden Jeden – meldowano z punktów obserwacyjnych. – Słyszę krzyki na parterze. Nie umiem powiedzieć, w którym pokoju.

– Sierra Dwa, zrozumiałem.

Rozległy się dwie krótkie serie z automatów. Było jasne, że niebawem przystąpimy do akcji.

– Alfa Jeden do Jedyńki i Jeden Alfa. Start do rejonu wyczekiwania.

– Tu Jedyńka, zrozumiałem, startuję.

Z naszego miejsca nie było widać śmigłowców, ale wiedzieliśmy, że po starcie odlecą do rejonu wyczekiwania, skąd szum motorów nie będzie słyszalny dla terrorystów. Tam czekać będą na ostateczny sygnał do akcji. Tymczasem ściemniło się. Obaj piloci nałożyli noktowizory.

Dowódca akcji, szef policji, czekał zapewne na potwierdzenie, czy rzeczywiście terroryści zaczęli likwidować zakładników. Dwie serie z automatów, jakie usłyszeliśmy, to jeszcze nie dowód.

Ale oto rozwiały się ostatnie wątpliwości. Uchyliły się frontowe drzwi i na dziedziniec wyrzucono martwe ciało. Jednocześnie zawiadomiono, że za pięć minut zginie następny zakładnik, jeśli telewizja nie nada oświadczenia.

Komendant policji połączył się z rządowym sztabem kryzysowym. Zapadła decyzja.

– Alfa Jeden do wszystkich! – rozległ się w słuchawkach głos dowódcy kompanii. – Sprawdzić łączność!

Zameldowaliśmy się wszyscy po kolei.

– Alfa Jeden do wszystkich. Z tą chwilą przejmuję dowodzenie akcją. Obie Jedyńki, rozpocząć zbliżanie się do obiektu.

– Jedyńka, zrozumiałem, wykonuję.

Zaczęło się.

Śmigłowce leciały nisko nad koronami drzew. Drzwi po obu stronach otwarte. Po czterech ludzi na pokładzie. Będą wyskakiwać kolejno. Numer jeden stał w otwartych drzwiach, trzymając się oburącz liny. W decydującym momencie wyrzuci zwój z pokładu i zjedzie w dół, mnie więcej tak, jak strażacy zjeżdżają po słupie prosto do hangaru, gdzie stoją wozy.

– Trzydzieści sekund, trzydzieści sekund!

Był to ostatni moment, kiedy jeszcze można odwołać akcję.

Na stanowisku dowodzenia nasz Stary spojrzy teraz pytająco na swego partnera z policji. Ten zapewne skinie głową i...

– Alfa Jeden do wszystkich. Na mój rozkaz... gotowi... naprzód!

Wozy ruszyły. Do kogo dziś uśmiechnie się śmierć? Za zakrętem Tango Dwa przyspieszyło, podciągając do nas, tak że jechaliśmy obok siebie. Słychać było warkot nadlatujących śmigłowców. Leciały nisko, tuż nad drzewami, poniżej szczytu budynku. Podciągną w górę w ostatniej chwili. W otwartych drzwiach widać było niewielkie wysięgniki z linami. Gdy tylko maszyna zawisnie nad dachem, numer jeden kopnięciem wyrzuci zwój liny i natychmiast rozpocznie karkołomny zjazd.

Warkot się nasilał. Powietrze pchane potężnymi łopatami podnosiło zeschnięte liście i cały szajs, jaki zleżał na dachu. Śmigłowiec zawisł trzy metry nad celem. Ekspłodowały flary rozświetlające. W tym momencie piloci zdjęli noktowizory. W blasku flar ekran noktowizora bieleje i nic nie widać. Sterowali za pomocą instrumentów przymocowanych bezpośrednio do hełmofonów.

Śmigłowce kołysały się w zwisie nad celem, odchylając się nie więcej niż pół metra od punktu zero. Chłopcy opuszczali się na linach. Najtrudniejsze zadanie mieli do wykonania występujący jako numer trzy w jednym i drugim śmigłowcu. Każdy z nich dźwigał na plecach ładunek wybuchowy do sforsowania wejścia. Musieli uważać, żeby nic się nie stało.

Zjazd odbywa się błyskawicznie. Nie wolno czekać, aż poprzednik znajdzie się na dachu. W pewnym momencie widziałem cztery postaci sunące po linie jedna za drugą. Jednocześnie muszą bacznie obserwować, czy oblegani nie przystępują do kontrataku.

Sekundę później śmigłowce odleciały.

W górnym lewym oknie mignęła jakaś postać. Byliśmy spokojni. Sierra Jeden ma go na muszce. Jego zadanie polegało teraz na osłanianiu nas. W razie czego pośle, gdzie trzeba, jedną sztukę amunicji Lapua 7,62, mierząc

prosto w głowę.

W chwili wydania rozkazu gotowości do akcji dwóch pozostałych strzelców wyborowych, Sierra Trzy i Cztery, przesunęło się do przodu. Uzbrojeni w G3 ze zwykłymi celownikami, bo na krótki dystans nie stosuje się lunet, zabezpieczali skrzydła. Ich zadaniem będzie także likwidacja ewentualnych zbiegów, gdyby któryś z Roentgenów chciał się salwować ucieczką przez drzwi na zapleczu. A jeśli nawet zbiegom udałoby się zmylić naszych chłopców, to i tak trafią na policjantów otaczających ciasnym kordonem cały teren. Uciekinierzy nie mają szans. W każdym wypadku dopadną ich panowie Heckler i Koch.

W momencie kiedy range rover zatrzymał się u celu, eksplodowały pierwsze granaty ogłuszające.

Zeskoczyliśmy z wozów i ruszyliśmy do drzwi. Były zablokowane i ciągle jeszcze osłonięte kotarą czy czymś takim. Dave przymocował ładunek do lewego skrzydła drzwi. Wystarczy, żeby wywalić przeszkodę.

Przycupnęliśmy pod ścianą, obserwując okna. Gdyby ktoś musiał w tej chwili wychylić się z okna na zewnątrz, nie cieszyłby się widokiem zbyt długo.

Dave rozwinął kabel, sprawdził detonator. W razie czego krzyknąłby „pudło”, a my chwycilibyśmy za toporki, tak jak zrobił to Tiny w czasie akcji na ambasadę. Dave działał pośpiesznie, ale uważnie. Nie chciał, aby w momencie naciśnięcia zapalnika okazało się, że to właśnie pudło.

Wszystko gotowe. Tim, numer trzy, przygotował petardę. Decyzja należała do mnie.

– Naprzód!

Nasz ładunek i ładunek podłożony przez chłopców forsujących okno na piętrze eksplodowały jednocześnie. Skoczyłem do przodu.

Nad głową przeleciała petarda. Nie wolno czekać, aż wybuchnie. Liczy się każda chwila.

Hall był ciemny, pełen dymu od eksplodujących petard. Znowu wybuch. Fala zwiększonego ciśnienia boleśnie uderzyła w bębniarki uszne. Blask eksplozji oslepił. Ale takie właśnie „stałe elementy gry” ćwiczyliśmy po wielokroć. Na rękach nosiłem jeszcze świeże ślady od płonących odłamków.

Z prawej strony nacierała sąsiednia drużyna. Dostrzegłem to kątem oka, bo już skoczyliśmy do drzwi po lewej.

Moi chłopcy byli o ułamek sekundy szybsi. Z obu pięter dobiegał huk eksplodujących petard.

Ja też sięgnąłem po ładunek. Pokazałem koledze, który stał już pod drzwiami, że jestem gotów. Numer trzy kopnięciem otworzył drzwi. W tym momencie wrzuciłem petardę do środka.

Nie interesowało nas, co lub kto może kryć się w środku i co może się

stać w chwili sforsowania drzwi. Liczyła się szybkość akcji, a gdy działa się w takim tempie, nie ma czasu na rozważania o niebezpieczeństwie.

W pomieszczeniu paliło się światło. Petardy zrobiły swoje, w kącie pokoju zobaczyłem gromadę przerażonych ludzi. Nie było wśród nich nikogo w masce i z bronią.

I właśnie wtedy padła seria z MP5. Wśród ludzi w kącie nagle pojawił się kałasznikow.

Skierowałem promień celownika optycznego prosto na głowę właściciela i pociągnąłem za spust.

Jankesi krzyczeli w panice jak oszalali.

Tim, który osłaniał nas od tyłu, wrzasnął: „Na ziemię, na ziemię, padnij!” i wycelował automat w tłum. Tak trzeba, żeby wymusić posłuch, a poza tym w tłumie może się kryć terrorysta.

Tych, którzy nie usłuchali, brutalnie zmuszał do posłuszeństwa. Nie czas teraz na cackanie się.

Dave ruszył do przodu. Musiał usunąć przeszkodę – kanapę czy coś takiego. Zarzucił automat na ramię, wyciągnął pistolet.

– Gdzie są terroryści? Gdzie terroryści? – pytał Tim załęcznionych zakładników.

Tymczasem trzeba było oczyścić sąsiednie pomieszczenie.

– Na ziemię i nie ruszać się! – rozkazał Tim.

Wypadłem na korytarz. Minąłem naszego Numer Cztery, który zabezpieczał hall. Zajął stanowisko w rogu, skąd roztaczał się widok na cały korytarz i klatkę schodową.

Przy drzwiach sąsiedniego pokoju byłem pierwszy. Maska nawilgła od potu. Dyszałem ciężko. Tim stanął za moimi plecami. Podsunął mi pod nos petardę. Ruszamy, gdy tylko dołączymy do nas Dave Numer Trzy.

W pokoju nie było nikogo.

Z sąsiednich pokoiw dobiegały stanowcze krzyki. Tylko w ten sposób można wymóc posłuszeństwo na jankesach. W słuchawce też głośno. Krzyżowały się rozkazy. Dowódcy sekcji wydawali polecenia gestami. W całym budynku słychać było strzały i eksplodujące petardy.

Maska na twarzy stwarza poczucie zamknięcia w ciasnej przestrzeni. Byłem spocony jak mysz, brakowało mi powietrza. Starałem się wykonać, co do mnie należy, czyli dziesięć rzeczy naraz.

Ciągle nie mieliśmy jasności, czy między jankesami nie kryje się któryś z Roentgenów i czy – co się zdarza – jankesi świadomie nie ukrywają terrorystów. W psychologii nazywa się coś takiego syndromem albo zespołem sztokholmskim, a sprawa dotyczy szczególnej więzi między ofiarą a napastnikiem. Na razie wszystkich trzeba trzymać na muszce dopóty, dopóki się nie ustali, kto jest kto.

Tim ruszył schodami na piętro, ubezpieczony przez jednego z żołnierzy z sąsiedniej drużyny. Szedł ostrożnie, powoli, z pistoletem gotowym do strzału. Sprawdzał, czy na schodach nikt się nie kryje, a poza tym to właśnie on miał nawiązać kontakt z zespołem operującym na piętrze. Po chwili zameldował przez radio, że wszystko w porządku.

Od hasła „naprzód” minęły ledwie dwie minuty. Strzały umilkły, ale wciąż rozlegały się krzyki. W całym budynku pełno było dymu. Wszystkie zespoły po kolei meldowały przez radio o sytuacji.

– Mamy ranną kobietę – zgłosił Grubas.

Także jeden jankes w pomieszczeniu zdobytym przez nas trzymał się za nogę, skrzywiony z bólu.

– Tu Trójka – zameldowałem – mamy rannego. Potrzebny sanitariusz.

– Zrozumiałem, Trójka, macie rannego. Wysyłam sanitariusza.

Dave wyszedł na spotkanie z medykiem, ja zameldowałem o sytuacji. Tymczasem front budynku oświetlono reflektorami, ekipa odpowiedzialna za ewakuację zakładników szykowała się do ich przejęcia.

– Alfa Jeden do wszystkich. Wyprowadzić jankesów.

Zaczęliśmy wyprowadzać zakładników, przekazując ich z rąk do rąk. I znów trzeba działać szybko, bo tylko w ten sposób można nad nimi zapanować. Krzyczy się, wrzeszczy, popychając ich do przodu, wypychając na zewnątrz, gdzie już na nich czekają.

– Wstawać, wstawać, ruszać się, nie rozmawiać.

W istocie traktuje się ich równie zdecydowanie jak terrorystów.

– Milczeć, nie rozmawiać.

Broń trzymamy cały czas w pogotowiu.

Sierżant ustawił się w drzwiach, chwycił każdego przechodzącego zakładnika za włosy, i kierując mocny strumień światła prosto w twarz, pytał: „nazwisko?”

Dopiero usłyszawszy odpowiedź, puszczał delikwenta do wozu. Za chwilę całą tą spanikowaną gromadą zajmie się policja.

– Dwójka do Alfa Jeden. Mamy podejrzany przedmiot. Być może bombę. Oznaczamy i wycofujemy się.

Obok podejrzanego przedmiotu stawia się latarkę z żółtym migającym światłem. W podobny sposób oznacza się poległych. We mgle lub dymie żółte światło widać znacznie lepiej niż białe.

– Alfa Jeden, zrozumiałem, wysyłam saperów. Uwaga wszystkie jednostki, opuścić budynek, powtarzam: wszystkie jednostki opuszczają budynek.

Potwierdziliśmy rozkaz, nie bez uczucia ulgi. W parę minut wrócimy do siebie, do rejonu wyczekiwania. Potem jeszcze tylko krótkie omówienie i odjazd do Herefordu. Obowiązuje zasada, że do jednostki wraca się tym



samym środkiem transportu, którym się przybyło na miejsce. Dla mnie oznaczało to powrót śmigłowcem. Oby tylko Steve nie zaczął gadać o squashu.

Ćwiczenia przyniosły niezły wynik. Wypadliśmy dobrze, tak jak trzeba. Przygotowywaliśmy się do tego w pocie czoła, ćwicząc na poligonie, w budynku CQB, wspinając się na dachy, desantując z powietrza. Dawaliśmy z siebie wszystko... do ostatniego tchu.

Rzekomi terroryści byli naszymi kolegami z batalionu CRW – kontrrewolucyjnego. Kobieta, która im towarzyszyła, na co dzień pracowała w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Przygotowywali się w tajemnicy, szykując kilka wariantów własnych działań w zależności od spodziewanej reakcji drugiej strony, czyli nas i innych zainteresowanych instytucji.

Skuteczne przygotowanie do walki z terrorystami wymaga także umiejętności spojrzenia na operację niejako ich oczami. Niektórzy z nas, zwłaszcza chłopcy z CRW, nie mają sobie równych. W istocie z taką wiedzą i takimi umiejętnościami można by dokonać udanego zamachu stanu praktycznie w każdym kraju na świecie.

## 22

Z Fioną układało się naprawdę wspaniale. Któregoś dnia, przeglądając rachunki z elektrowni, co nie jest zbyt romantyczną czynnością, postanowiłem postawić kropkę nad „i”.

– Przestańmy się wygłupiać. Praktycznie i tak tu mieszkasz, więc przeprowadź się do mnie i już.

– Chętnie – odparła – ale pod warunkiem, że wszystko płacimy po połowie.

Jedno z nas kupuje pralkę, drugie odkurzacz – spodobał mi się taki pomysł. Mieszkając razem, będziemy mieć więcej czasu dla siebie. Wyprzedzając wydarzenia powiem, że skorzystaliśmy z tego w całej pełni.

Dom zaczął wreszcie wyglądać przyzwoicie. Kupiliśmy meble, wymieniliśmy drzwi, założyliśmy ogrzewanie jak należy, powiesiliśmy firanki. Było fajnie. Dzielnica też niezła i jeśli o mnie chodzi, wyobrażałem sobie, że będę tu mieszkał zawsze.

W czerwcu 1986 roku trafił się luźniejszy dzień. Poszedłem do jednostki na ósmą, a przed dziesiątą byłem już z powrotem w domu. Miałem zamiar wymienić tłumik w renówce. Wołałem pomęczyć się sam, niż płacić piętnaście funtów fagasowi w warsztacie.

Zajął mi to trochę czasu. Po południu, z kubkiem herbaty w rękę, usiadłem przed telewizorem. Fiony nie było. Poszła do lekarza.

– Chcę ci coś powiedzieć, Andy – odezwała się od progu, wracając do domu. – Nie mówiłam ci wcześniej, bo wołałam się upewnić, ale nie ma już wątpliwości. Jestem w ciąży.

Jakbym dostał prawym prostym od samego Mike'a Tysona.

– To dobrze. I co dalej?

– Nie wiem, czy to dobrze, czy źle. Nie mam pojęcia. A ty jak sądzisz, powinniśmy mieć dziecko? Bo ja myślę, że tak, jeśli i ty chcesz.

– Zgoda. Będziemy mieli dziecko.

Czy rzeczywiście powinniśmy? Teraz? Tego nigdy nie wie się na pewno. Bałem się, ale z drugiej strony ogarnęło mnie błogie uczucie, że wreszcie za moją sprawą stanie się coś naprawdę cudownego. Tak oto zostałem ojcem oczekującym przyjścia na świat dziecka.

W miarę jak ciąża się rozwijała, Fiona zaczęła odczuwać przeróżne dolegliwości. Dostała anemii, łatwo się męczyła. Bywało, że rano ledwie wstała, a już musiała się kłaść z powrotem do łóżka. Dobrze się składało, że akurat pełniłem służbę w kompanii alarmowej, bo każdą wolną chwilę mogłem spędzać w domu i opiekować się Fioną. Byłoby gorzej, gdybym był gdzieś w świecie. Wtedy trzeba by kogoś sprowadzić, żeby był z nią.

Pieniądzy mieliśmy mało. Choć byłem już starszym szeregowcem ramiona mi opadały pod ciężarem jednej belki – dostawałem żołd według najniższej stawki. Przyzwoite pieniądze zaczynały się dopiero od stopnia kaprała. Miałem nadzieję, że dostanę drugą belkę jeszcze przed urodzeniem dziecka. A jeśli nie, to trudno. I tak nic mi nie odbierze świadomości, że mam dom, rodzinę i że wkrótce będzie dziecko.

Około Bożego Narodzenia, kiedy Fiona była w siódmym miesiącu, dowiedziałem się, że w lutym mam wyjechać za granicę. Z kalendarzem w rękę wyliczyliśmy, że wyjazd nastąpi dokładnie nazajutrz po urodzeniu dziecka.

„Nie ma sprawy – powiedziała Fiona – posłuchamy, co mówią stare, doświadczone kobiety. A mówią, że wystarczy poskakać w kępie rabarbaru i dziecko rodzi się co najmniej dzień wcześniej. A poza wszystkim i tak może być wcześniakiem. Nie trzeba się przejmować”.

Później, w czasie badań kontrolnych, zapytała lekarzy, czy coś da się zrobić.

„Naręczony musi wyjechać na kilka miesięcy – tłumaczyła a chciałby być przy urodzinach”.

Martwiłem się, bo naprawdę chciałem być z nią w dniu urodzin dziecka. Było to dla mnie ważne, jak nic do tej pory, a wiedziałem, że jednostka nie będzie czekać z wyjazdem, aż dziecko starszego szeregowca Andy'ego McNaba zechce przyjść na świat.

Zacząłem przeglądać różne pisma, szukając rady.

„Dzień wcześniej trzeba zacząć rozmawiać z dzieckiem – objawilem Fionie »gwarantowany« sposób, podając jednocześnie kolejne cudowne lekarstwo, coś podobnego do soku ananasowego czy sosu Worcester. – Jak

się z dzieckiem rozmawia, opowiada o życiu, wtedy śpieszy się ono na świat”.

Życie tymczasem biegło swoim torem. W kwietniu 1986 w Bejrucie wprowadzono Johna McCarthy’ego, a w styczniu następnego roku porwano Terry’ego Waite’a. Zaraz potem prasa zaczęła spekulować, jakie w tej sytuacji zadania przypadną naszemu Pułkowi. Nie wykluczano, że możemy coś tam zdziałać na rzecz uwolnienia zakładników. Dwudziestego ósmego stycznia 1987 roku, tydzień po zniknięciu Waite’a, zebraliśmy się na zwykłej, porannej odprawie. Pogoda była podła, lało, wiał porywisty wiatr. Chłopcy przynosili gazety, jakieś pisma, w razie gdyby nie było nic do roboty. Jak zwykle popijaliśmy herbatę, biliśmy pianę i zastanawialiśmy się, czy po południu nie zorganizować zawodów sportowych.

Poćwiczyliśmy trochę w budynku CQB, potem posprzątaaliśmy u siebie, wreszcie uznaliśmy, że jednak warto wyjść na boisko.

Gaz przeglądał właśnie gazety.

– Kurwa mać – zawołał – to ciekawe.

„SAS w Bejrucie szuka Waite’a”, głosił tytuł w „Daily Express”. – Szkoda, że nie nasz pluton – westchnął Gaz – człowiek opaliłby się i w ogóle.

Nikt się specjalnie nie przejął tym, co napisała gazeta. Nigdy zresztą nie przykładaliśmy specjalnej wagi do spraw, które nie dotyczyły nas bezpośrednio.

– Można było się spodziewać, że go zahaltują – powiedziałem do Gazy, mając na myśli Waite’a. – Bukmacherzy przyjmowali zakłady, że pójdzie w ślady McCarthy’ego.

– Masz rację – odparł Gaz – i teraz ktoś będzie musiał zaryzykować życie, żeby go wyciągnąć z szamba.

Fiona źle znosiła ciężę i między innymi dlatego musiała pójść do szpitala na całe trzy dni przed spodziewanym rozwiązaniem. Chodziłem do niej w każdej wolnej chwili i bez przerwy nagabywałem pielęgniarki, żeby jej coś dały na przyspieszenie porodu.

– Niech się pan nie martwi, coś zrobimy.

W jednostce zameldowałem się u szefa kompanii. Powiedziałem, jaka jest sytuacja.

– Kiedy najpóźniej mogę stawić się we wtorek? – spytałem. Szef kazał sprawdzić rozkład.

– O której odlot, Danny? – zwrócił się do pisarza kompanii. Danny pogrzebał w papierach.

– Jeśli Andy wyjedzie stąd o trzynastej trzydzieści, to jeszcze zdąży na Heathrow.

Mieliśmy odlatywać rejsowym samolotem, a Heathrow – wiadomo – obsługuje prawie wszystkie połączenia zagraniczne z Londynu.

– Usłyszałeś? – rzekł szef. – Trzynasta trzydzieści.

– Tylko żebyś się nie spóźnił – dorzucił Danny. Pojechałem do szpitala.

– Wyjazd jutro o wpół do drugiej – uprzedziłem Fionę – czy urodzisz, czy nie, o trzynastej trzydzieści mnie nie ma.

– Trudno, ale nie przejmuj się, pogadam z lekarzem.

A ja tymczasem bardzo się przejmowałem. Naprawdę chciałem być na miejscu, gdy dziecko przyjdzie na świat.

– Trzymaj kciuki – powiedziałem Fionie na pożegnanie – i zrób coś.

Z Hampshire przyjechali jej rodzice, aby pomóc podczas mojej nieobecności.

„Jak zaczną się bóle, będziesz z nią do pierwszej, a potem ja cię zastąpię” – zaproponowała mama.

Pojechałem tymczasem do jednostki, żeby przygotować wszystko na wyjazd. Potem poszukałem chłopaków, z którymi miałem jechać. Johnny’ego Dwugrzebieniowca nie znalazłem, natomiast w siłowni byli Dave z Paulem Hillelem. Dźwigali sztangi, przekomarzając się wzajemnie.

Paul, zanim wstąpił do wojska, był krupierem w kasynie. Szalenie towarzyski, prowadził się okropnie – co wieczór impreza. Rano wracał do jednostki skacowany i złachany. Kiedyś, gdy byli z Grubasem gdzieś na Dalekim Wschodzie, wybrali się do miejscowej szulerni. Paul, choć specjalista, chociaż wiedział wszystko o kartach, zgrał się do nitki. Grubas uwalił się jak stodoła, ledwie widział na oczy, a wygrał majątek.

– Spakowałem swoje graty, leżą w kompanii, czy możecie je jutro załadować do wozu razem ze swoimi? – poprosiłem.

– Nie ma sprawy.

Pojechałem do domu i całą noc prześlęczałem przy telefonie, czekając na wiadomość ze szpitala.

Telefon milczał.

Zadzwoił rano, gdy właśnie brałem prysznic. Telefonował ojciec Fiony, że właśnie zaczęły się bóle.

– Ale nie musisz się śpieszyć. Wystarczy, jak przyjedziesz za godzinę – dodał.

Zjawiłem się w szpitalu w ciągu dziesięciu minut.

Fiona miała już regularne bóle. Wzięli ją do sali przedporodowej, nastawili radio, dali gazety. Bała się strasznie, a ja bałem się o nią.

– Jeśli się nie urodzi, zanim wyjedziesz, to trudno – powiedziała – ale miło, że jesteś ze mną. Kocham cię.

Po raz pierwszy, od czasu kiedy wstąpiłem do Pułku, nie miałem najmniejszej ochoty wyjeżdżać. Może później, za parę godzin, parę dni, byle

nie teraz. Strasznie chciałem zobaczyć tę istotkę, w której stworzeniu miałem swój udział. Nigdy wobec nikogo nie odczuwałem takiego przywiązania, jak wobec tego dzieciaka, którego jeszcze nawet nie ma na świecie.

O dziewiątej przyszła pielęgniarka z wiadomością, że ktoś telefonuje. Niech to szlag trafi! Spojrzeliśmy z Fioną po sobie. Oboje pomyśleliśmy o tym, że pewnie każą zaraz stawić się w jednostce.

Dzwonił Paul.

„Jest zmiana w planach – powiedział, a mnie jakby kto obuchem dał. On tymczasem zaśmiał się serdecznie. – Zmiana polega na tym, że wszyscy ruszymy o trzynastej trzydzieści. Poczekamy na ciebie”.

Bóle trwały. Nasiliły się koło południa. Fiona cierpiała bardzo. Zaczęła mi wymyślać od ostatnich. Podobno często tak bywa. A ja nie mogłem nic zrobić poza tym, że trzymałem ją za rękę. Wrywała się, to znów błagała, żeby wziąć jej dłoń. Sam nie wiedziałem już, co robić.

W ten sposób minęła godzina. Fiona pokrzykiwała i cholerowała, a ja miałem wyrzuty sumienia, że cierpi i że zaraz będę musiał ją opuścić. Z całą delikatnością i wrażliwością przyszłego ojca powiedziałem jej w pewnej chwili, żeby wzięła się w garść i coś zrobiła, bo za pół godziny muszę wyjść.

– Wiem – zbyła mnie.

Kwadrans po pierwszej przyszła jej mama.

– Muszę już iść – pochyliłem się, całując Fionę w czoło.

– Idź już, ty draniu.

Wskoczyłem do auta, popędziłem do jednostki, gdzie już na mnie czekali.

– I co?

– Gównu.

Ruszyliśmy do Heathrow. Wtuliłem się w kąt. Nie byłem w stanie rozmawiać z chłopakami. Na lotnisku zaraz poleciałem do telefonu.

– Jest coś?

– Kim pan jest?

– Ojcem!

– Proszę poczekać i nie odkładać słuchawki.

Czekałem wieczność, żeby się dowiedzieć: „nic”. Zamówiłem jeszcze jedną kawę. Chłopcy siedzieli w barze.

Gdy wezwano nas do samolotu, zatelefonowałem ponownie. Znowu nic.

Płynęły minuty. Przed wejściem do samolotu, w ostatniej chwili, spróbowałem jeszcze raz.

– Tu McNab.

– Chwileczkę. Matka chce z panem rozmawiać – usłyszałem stuk odkładanej słuchawki i śpieszne kroki.

– Właśnie jest – powiedziała mama, z trudem łapiąc oddech – urodziło się dosłownie parę minut temu.

– Wszystko w porządku? Rączki, nóżki na miejscu?

– Tak.

– A... co?

– Dziewczynka, jest śliczna, nie wiem, ile waży, ale wygląda wspaniale.

Dziewczynka! Kate – tak będzie miała na imię, bo tak się umówiliśmy z Fioną. Byłem oszołomiony, ogłupiały, a zarazem uradowany i podniecony. Jestem ojcem.

Na lotnisku tego dnia musiało być wyjątkowo dużo palących, bo poczułem, że oczy robią mi się dziwnie wilgotne.

– Urodziła? – spytał Paul, gdy wreszcie dołączyłem do chłopaków w samolocie.

– Tak, dziewczynkę.

– Gratulacje – Paul serdecznie uściśnął mi rękę. – I co, wspaniale uczucie?

Nawet on, który całe życie przebalował, rozumiał, co to znaczy mieć dziecko. Też miał córkę. Uwielbiał ją, czego do tej pory nie dostrzegałem. Ten facet, który wydawał się zainteresowany jedynie balowaniem i właściwie nic innego nie robił, tak naprawdę myślał tylko o jednym, o własnej córce. Wreszcie pojąłem, jak to się dzieje. Zrozumiałem.

Wyjazd w małym zespole miał tę zaletę, że podróżowaliśmy w business class. Natychmiast poprosiliśmy o szampana, żeby uczcić urodziny. Lot był długi, więc utylialiśmy się na dwadzieścia cztery fajerki.

Później całymi tygodniami wyczekiwałem na listy. Nie wolno było pisać do nas bezpośrednio. Wszystkie listy przechodziły przez Hereford, skąd wysyłano je pod adres ambasady, konsulatu czy jeszcze jakiegoś innego przedstawicielstwa w kraju, w którym przebywaliśmy, co musiało trwać jakiś czas, a tymczasem bardzo chciałem dostać zdjęcie mojej córki. W końcu otrzymałem dwa listy jednocześnie, grube, ze zdjęciami.

Dwugrzebieniowiec spojrzął mi przez ramię.

– Fajna!

– Pierdol się. Sam widzisz, że pomarszczona i tłusta. Ale jaka jest, taka jest.

Potem wszyscy po kolei obejrzeliby fotografię panny McNab, cmokając z zachwytem.

Robota okazała się gówniana. Tygodniami siedzieliśmy na zboczach pewnej góry, całe szczęście, że w części świata, której jeszcze nie znałem – zawsze trzeba doszukać się czegoś pozytywnego. Myślam jednak byłem w Herefordzie.

Do domu wróciłem pod koniec maja 1987 roku. Schudłem dwanaście

kilo, złapałem dyzenterię, ale to nic w porównaniu z Dwugrzebieniowcem, który nabawił się tyfusu. Tak przynajmniej powiedzieli mu w szpitalu. Dopiero po dwóch dniach uznali, że to nie tyfus, ale ślepa kiszka.

Najpierw oczywiście zajechaliśmy do jednostki zdać sprzęt i w ogóle. Grubas zatelefonował do żony, żeby po niego przyjechała. Obiecał, że podrzucą mnie do domu.

Fiona czekała w oknie, a gdy tylko zajechaliśmy, wyszła na ganek z zawiniątkiem w ręku.

Pocałowałem ją na dzień dobry i zaraz wziąłem dziecko. Spało opatulone w kocyk. Po raz pierwszy zerknąłem na buzię mojej małej i omal nie zemdlałem. Miała wyraźnie zdeformowaną górną wargę. Ale niech tam, była najśliczniejszym dzieckiem na świecie, choć z fełerną wargą.

– Co to jest? – spytałem Fionę pełen niepokoju. – Jakieś świństwo?

– Drobiazg – zaśmiała się. – Mała ssie wargę i tyle, nic jej nie będzie.

Grubas z Grubasową podeszli obejrzeć dziecko i tak się zachwycili, że przez kilka następnych lat nic tylko płodzili własne, jakby oszaleli. Wspaniale było bawić się z Kate. Godzinami mogłem patrzeć na jej malutkie rączki i cały czas z dumą myślałem, że jest moja, że to ja ją „wyprodukowałem”. Najbardziej nie podobało mi się, kiedy szła spać. Wolałem, żeby ze mną gaworzyła, ale rychło się przekonałem, że niemowlaki w jej wieku albo śpią, albo walą kupę w pieluchy.

Enowi i mnie zaproponowano dwuletni urlop i wyjazd na te dwa lata do „Det” – jednostki wywiadowczej w Irlandii Północnej. Byłem wtedy w drużynie MOE, a Eno w zespole strzelców wyborowych.

Akurat konserwowaliśmy sprzęt, czyściliśmy broń – jest jeden dzień specjalnie przeznaczony na takie czynności – kiedy zjawił się fagas ze sztabu i kazał się zameldować u dowódcy kompanii.

– Coś spierdolił się? – zaniepokoiłem się.

– Nie, nie o to chodzi.

Eno nawet nie mrugnął. Zawsze taki był, że nic po sobie nie dawał poznać. W ogóle niczym się nie przejmował i nie podniecał. Zamiast serca miał pewnie jakąś pompkę do krwi.

Stary, jak to Stary, siedział za biurkiem.

– Właśnie – odezwał się bez żadnych wstępów. – Co byście, chłopcy, powiedzieli, gdybym was zapytał, czy macie ochotę popracować ze dwa lata w Decie, za wodą oczywiście.

– Mowy nie ma – odpowiedzieliśmy chórem.

Szefostwo Detu kazało kiedyś jednemu z naszych obserwować z ukrycia facetów wchodzących do punktu przyjmowania zakładów na wyścigi w



Dungannon, a także wychodzących z niego. Tak się złożyło, że kryjówkę zdekonspirowały przypadkiem dzieciaki. Nasz człowiek uszedł cało, lecz nazajutrz ci z Detu zażyczyli sobie, żeby powtórzył operację, co było absurdem. Ale, jak powiedział oficer operacyjny Detu, „nieważne, że go namierzycie. On nie jest nasz”. John, gdy to usłyszał, a dowodził wtedy naszymi chłopakami, poleciał od razu z mordą do szefostwa Detu i dał im popalić.

Tymczasem okazało się, że nie tylko my otrzymaliśmy propozycję. Z podobną ofertą zwrócono się do wszystkich kompanii. Każda miała znaleźć dwóch ochotników. Ale ochotników nie było. Większość chłopaków powiedziała, że ma to gdzieś. Na koniec sam dowódca zwołał zbiórkę całego Pułku.

„Det nie jest kwestią wyboru – powiedział – przyda wam się taki staż, żeby odświeżyć pewne umiejętności. To prawda, że oni uczyli się od nas, ale teraz my musimy uczyć się od nich. Bez tego żaden z was nie będzie w pełni przydatnym żołnierzem, a tylko takich potrzebujemy”.

Dowódca to był naprawdę ktoś. Albo się go wielbiło, albo nienawidziło. Innych uczuć nie budził.

Kilka dni później znów kazano nam zameldować się u Starego. „Macie dwie możliwości – powiedział jak zwykle bez wstępu albo pojedziecie do Irlandii na dwa lata, albo fora ze dwora. Do Pułku zgłosiliście się na ochotnika, wiedząc, co to znaczy. Jeśli odmawiacie wykonania zadania, a Det to zadanie, to nie ma dla was miejsca w Pułku”.

I w ten sposób znalazłem się w Decie.

Dawniej, kiedy odpowiedzialność za zabezpieczenie wywiadowcze i kontrwywiadowcze w Irlandii Północnej dzieliły między siebie MI5 i MI6, sprawy miały się fatalnie i właściwie nikt nic nie wiedział. W tej sytuacji, w 1972 roku, wojsko powołało własną tajną jednostkę wywiadowczą do rozpracowywania Ulsteru.

Funkcjonowała ona pod kryptonimem „Czternastej Jednostki Wywiadu”, ale utarła się nazwa Det. Jeśli idzie o skład osobowy, to rekrutowano facetów ze zwykłych jednostek. Posyłano ich na kilkutygodniowy kurs, na którym uczyli się podstaw techniki zbierania materiałów wywiadowczych, łączności i organizowania siatki agenturalnej.

Starano się dobierać ludzi przedsiębiorczych, o mocnej psychice. Mniej liczyły się takie sprawy, jak siła i kondycja fizyczna, które na przykład u nas w Pułku miały pierwszorzędne znaczenie. Kandydatów dobierano spośród młodych oficerów i podoficerów, najlepiej przed trzydziestką, ze wszystkich rodzajów wojsk. Szukano zwłaszcza takich, którzy potrafiliby prowadzić długofalowe operacje wywiadowcze, często w bezpośrednim pobliżu tajnych ośrodków terrorystycznych.

Moim zdaniem w Decie w owym czasie myślano nie tylko o Irlandii Północnej, ale także o działaniach szerszych. Mówiono, że Det może prowadzić rozpoznanie na naszą korzyść we wszystkich zapalnych punktach globu, co według mnie było absurdem. Bo przecież szkolenie prowadzono wyłącznie z myślą o Irlandii Północnej, a co się tyczy rozpoznania dalekiego zasięgu, to jak można zdobywać informacje, nie znając parametrów naszych, dajmy na to śmigłowców czy moździerzy i nie wiedząc, co w związku z tym będzie nam potrzebne. Nic dziwnego, że do Det przyłgnęła ksywa „Walty”, od imienia i nazwiska Waltera Mitty’ego, a kto to jest Walter Mitty, każdy wie.

W Pułku postanowiono, że będziemy odbywać staże w Decie w ramach normalnej służby, co też nie było najrozsądniejsze. Do pracy w wywiadzie trzeba mieć pewne określone predyspozycje, a ja przynajmniej, i Eno też, nie mieliśmy nawet ochoty na testy. A w ogóle to czuliśmy niechęć do Detu. Det to „oni”, a my to „my”. Ale co robić? Wyznaczono czterech „ochotników”: Ena, mnie, Maca z Kompanii D i Boba z G.

Pierwszą osobą, na którą się natknąłem na miejscu, był Mały.

– Jestem tu od szkolenia. Możesz mówić do mnie „panie instruktorze”.

– Niech mnie pan w dupę pocałuje, panie instruktorze – odpalił Eno. Znaliśmy bowiem wszystkich, od instruktorów po kucharzy, słowem wszystkich ludzi Detu.

„Przez najbliższe pół roku będziecie mieli pełne ręce roboty – uprzedził nas prawdziwy instruktor. – Żadnych urlopów. Z koszar wychodzi się tylko na zadanie. Nie ma zadania, to siedzi się na miejscu. Dlaczego? Dowiedcie się we właściwym czasie”.

Spojrzelśmy po sobie. Każdy pomyślał to samo: o kurwa!

Przez parę pierwszych dni siedzieliśmy na dupie jak chuje. Wreszcie Mac nie wytrzymał.

– Zadzwońię po starą, niech przyjedzie po nas – oznajmił. Ubraliśmy się w dresy, że niby udajemy się na boisko pobiegać. Pokłusowaliśmy kawalek szosą, wsiedliśmy do auta i pojechaliśmy do Herefordu.

Innym razem zabraliśmy się z chłopakami, którzy akurat jechali w nasze strony na ćwiczenia. Wyjazd z koszar zaplanowaliśmy jak jakąś prawdziwą tajną operację. Kłopot mieliśmy tylko z tym, że chłopcy strasznie chichotali na bramie.

Tak się ułożyło, że niemal codziennie byłem w domu. Przyjeżdżałem około jedenastej wieczorem, wracać musiałem przed szóstą rano, ale się opłacało. Byłem wkurwiony na cały świat i pocieszało mnie jedynie to, że mogłem niektórych facetów robić w konia.

Trwało to miesiąc, aż szef Detu coś wyczuł albo dostał cynk. W każdym razie uznał, że trzeba przykręcić śrubę i przywołać nas do porządku. Nie

może być tak, byśmy sami sobie stanowili prawa i przepisy. Maca wyrzucono z kursu, co wkurwiło mnie jeszcze bardziej. Po dziesięciu latach w Pułku, gdzie człowieka traktowano jak dorosłego, cofnąłem się znów do punktu wyjścia i miałem tego dość. Mac ucieszył się z powrotu do jednostki, ale była to krótka radość. Powiedziano mu, że będzie musiał zacząć kurs w Decie jeszcze raz, od samego początku.

Obowiązywała nas tajemnica. Koledzy z kursu nie powinni wiedzieć, skąd jesteśmy, ale wszelkie starania w tej mierze można było potłuc o kant dupy. W rzeczy samej wśród kursantów było sporo ludzi, którzy przechodzili Selekcję razem z nami, ale z mniejszym powodzeniem, jak również sporo facetów z naszych macierzystych jednostek. Pewnego wieczoru siedziałem sobie z Enem i Bobem w stołówce, przeklinając na czym świat stoi. Właśnie weszło dwóch chłopaków z Kompanii G. Wzięli żarcie i spostrzegli nas.

– Cześć, Andy. Jak leci? – przysiedli się do nas. – No, jak jest u Waltów? Dali ci już tajny sprzęt?

– Dobrze jest – odpowiedziałem niepewnie. Chciałem im dać do zrozumienia, że nie zgłosiłem się na ochotnika, tylko mnie zmuszono do tego, bym był, kurwa, kowbojem.

– No, to do zobaczenia, chłopcy. Idziemy do miasta, a wy? – Spojrzeli na nas z politowaniem. – Będziecie pewnie polerować pistolety.

Poszli, a ja zaraz zapomniałem o tej rozmowie. Minął tydzień i przypadkiem spotkałem na sali gimnastycznej paru swoich, z Kompanii B. „Pamiętasz tych jeleni z G? – zapytali. – Dostali straszny wygawor i karę pieniężną, że z wami rozmawiali. Ktoś ich namierzył i stwierdził, że to was dekonspiruje”.

Jeszcze bardziej mnie to wkurwiło. W ogóle nic mi się nie podobało. Kurs był rzeczywiście podstawowy, co jest zrozumiałe, jeśli zważyć, że uczestniczyli w nim faceci z różnych jednostek, o różnym doświadczeniu. Wykłady zaczynały się od tak prostych rzeczy, jak: „to jest plecak”. Nigdy się tak nie nudziłem. Mówili o sprawach, które ja przerabiałem przez całe lata. Później jednak zaczęły się ciekawsze tematy, zupełnie dla mnie nowe. Uczyliśmy się różnych technik obserwacji i konspiracji, instruowano nas, jak sporządzać meldunki radiowe, aby przekazać maksimum informacji przy minimum słów. Jeśli idzie o szkolenie CQB, to było skromniejsze niż nasze. Uczono niemal wyłącznie ostrzeliwania się z pistoletu, co dla nas było małym piwem. Program dnia okazał się urozmaicony: strzelnica, obserwacja, obserwacja bezpośrednia, łącznie z technikami przenikania do zakładów pracy i domów. Nie brakowało momentów komicznych, gdy ktoś usiłował wejść przez okno i utykał w połowie drogi.

Każdy dostał tak zwaną operacyjną tożsamość – nowe nazwisko, ale na tę samą literę co prawdziwe. Imion nie zmieniano i w ogóle starano się, aby

nowe nazwisko było podobne do autentycznego, bo łatwiej zapamiętać. W sytuacjach, w których występowaliśmy pod nazwiskiem operacyjnym, zawsze stosowaliśmy pewien „chwyt”, żeby się nie pomylić. Polegał on na tym, że podpisywaliśmy się na przykład długopisem o innym kolorze albo piórem, które trzymało się w innej niż zwykle kieszeni.

Uczyliśmy się, jak niepostrzeżenie wejść do czyjś domu lub mieszkania i jak je przeszukać. Poznawaliśmy również techniki obserwacji i śledzenia. Bywa tak, że trzeba kogoś obserwować przez dłuższy czas, aby poznać jego obyczaje, nawyki, typowy rozkład dnia i tygodnia na przykład, czy chodzi w soboty z żoną do klubu – a wszystko po to, aby się zorientować, o jakiej porze i którego dnia można w miarę bezpiecznie wkraść się do jego domu i przeprowadzić tajną rewizję. Sprawa nie jest jednak prosta, bo powiedzmy, że facet zwykle wraca do domu około północy, więc najlepsza pora na wejście przypada między ósmą a dwunastą w nocy. No tak, ale co zrobić w lipcu, kiedy dni są dłuższe i zmrok zapada dopiero około dziesiątej? W takiej sytuacji lepiej wziąć na wstrzymanie, odczekać nawet parę miesięcy albo skorzystać z okazji, kiedy gość wyjedzie na dłużej, na przykład z wizytą do swoich starych.

Poznawaliśmy różne typy aparatów fotograficznych, także specjalne na podczerwień do zdejmowania numerów ewidencyjnych i reprodukcji dokumentów. To dopiero była technika. W porównaniu z nią to wszystko, czym się zachwycałem za młodu w sklepach sportowych w Peckham, wydawało się betką.

Nie było już czasu na nudę. Pracowaliśmy w napięciu. Sporo nerwów kosztuje na przykład operacja polegająca na sekretnym wejściu do cudzego domu. Trzeba działać metodycznie, niczego nie pomijać, bo najmniejszy błąd może kosztować czyjeś życie, a jednocześnie działa się pod niesłyszana presją czasu. W sumie nauczyłem się dużo, między innymi poznałem różne techniki planowania i przygotowania operacji, obserwacji i tym podobnych rzeczy. Uświadomiłem sobie, że odniosłem naprawdę wiele korzyści, i tylko czekałem, żeby swoje nowe umiejętności wypróbować w praktyce, za wodą.

Tuż przed wyjazdem pogadałem od serca z Fioną.

– Słuchaj – powiedziałem – mam pięć dni urlopu. Co myślisz o tym, żebyśmy się ochajtnęli?

– Czemu nie.

Właśnie, dlaczego nie. Byliśmy rodziną. Przeprowadziliśmy się do nowego osiedla na przedmieściu Herefordu. Wszystko układało się bardzo dobrze.

Moim drużbą był Dave, dowódca drużyny, w której służyłem w Green Jackets, gdy byłem w Keady. Spełnił obowiązek jak trzeba, a później zaczął podrywać świadkównę, przyjaciółkę Fiony.

Druhną była Kate. Właśnie nastąpiły pierwsze w jej życiu święta Bożego Narodzenia. Spędzaliśmy je nad morzem w południowej Anglii. Kate sypiała marnie, z czego byłem bardzo rad, bo nocą wyciągałem wózek, opatulałem ją jak trzeba i zabierałem na spacer nad morze. Zasyiała w wózku już po półgodzinie i tak łaziliśmy do szóstej rano. Przyglądałem się jej ślicznej twarzyczce i byłem dumny jak paw. Potem wracaliśmy do domu, Kate budziła się i robiła raban, więc pakowałem ją do auta, kładłem na tylne siedzenie i znów ruszaliśmy na spacer. Zerkałem przez ramię sprawdzając, czy wszystko jest w porządku, a Kate patrzyła na mnie z becika wielkimi, niebieskimi oczami. Bardzo to przeżywałem, chłonałem każdą chwilę. W ciągu następnych dwóch lat, jak się okaże, będę z nią w sumie tylko przez dwanaście tygodni.

„Atak techniczny”, a po naszymu *jarking*, polega na instalowaniu miniaturowych nadajników radiowych wewnątrz broni. Zaczęto to stosować w latach siedemdziesiątych, a taktyka polega na tym, że gdy służba bezpieczeństwa natrafia na magazyn broni terrorystów, faszkuje poszczególne egzemplarze specjalnymi „pluskwami”. Nadajnik zaczyna pracować dopiero wtedy, gdy terrorysta sięga po broń. Od tej chwili można więc śledzić jego ruchy.

Osiadłem w Decie i w istocie podobało mi się. Przydzielili nas z Enem do jednostki zabezpieczającej miasto Derry i jego okolicę. Codziennie o szóstej wieczorem odprawialiśmy „nabożeństwo”. Zbierali się wszyscy oficerowie operacyjni i omawialiśmy sprawy służbowe.

Zbliżała się Wielkanoc. Urządziliśmy sobie w bazie bar. Kupowaliśmy hurtem piwo i każdy mógł korzystać, zapisując tylko, ile i co wypił. Det sływał z imprez urządzanych w barze. Na wszelki wypadek przed imprezą zawsze wyjmowano okna, bo chłopcy naprawdę szaleli. Pustych puszek nie wyrzucało się, ale zbierało na specjalną okazję. I właśnie taka okazja zdarzyła się w miniony weekend, kiedy do jednostki przybyło dwóch nowych łącznościowców.

„Witamy w Decie” – rzekł dowódca jednostki, zapraszając ich na duży kufel guinnessa.

Wedle tradycji kufel trzeba wypić duszkiem, a w tym czasie wszyscy zgromadzeni bombardują delikwenta pustymi puszkami. Potem zaczęło się prawdziwe szaleństwo. Jeden z chłopaków nosił włosy a la Duran-Duran. Hodował tę swoją fryzurę pieczołowicie i był z niej szalenie dumny. Paru facetów złapało go za ręce i zaczęło się strzyżenie. Chłopak wrywał się i bronił. Wtedy wzięli dwie deski, złożyli na kształt krzyża, biedaka przywiązali i zostawili ukrzyżowanego na parę godzin.

Rozpoczęła się normalna służba i mieliśmy możliwość sprawdzenia w praktyce tego wszystkiego, co kładziono nam do głowy na kursie. Przeszukiwaliśmy domy, mieszkania i biura, zbierając interesujące nas materiały wywiadowcze. Jest to jednak przeżycie, gdy człowiek musi dostać się do cudzego mieszkania, znaleźć co trzeba i wyjść nie zauważony przez nikogo. Najtrudniej było w osiedlach mieszkaniowych, takich jak: Bogside, Shantello i Creggan. Przygotowywało się wejście całymi dniami, a czasem nawet tygodniami. Miesiąc przygotowań na trzydziestosekundową operację to jest coś.

Oczywiście IRA zorientowała się w końcu, co jest grane z bronią. Też nie są palcem robieni i też mają dojścia do sprzętu, jak na przykład skanerów, za pomocą których dość łatwo sprawdzić, czy broń jest trefna, czy nie. Dobrze wiedzieli, że zakładamy im podsłuchy i umieszczamy „pluskwy” w broni. Naturalnie IRA podejmowała odpowiednie kontrydziałania, na które my odpowiadaliśmy kontrydziałaniami i zabawa trwała dalej. Jedną z gier polegała na tym, że podsuwaliśmy im gówna zamiast materiałów wybuchowych do wykorzystania w ich tajnych wytwórniach bomb i min.

Kiedy w jednej z powieści autor napisał, że służba bezpieczeństwa faszkuje „pluskwami” nawet trumny członków IRA, aby podsłuchiwać, o czym rozmawiają żałobnicy na pogrzebie, to Irlandczycy zaczęli sprawdzać skanerami i katafalki, i trumny, a nawet nieboszczyków.

Tymczasem nastąpiło lato 1988 roku. Fiona zaczęła rozglądać się za nowym domem. Ceny akurat pięły się w górę jak oszalałe, na czym udało nam się wziąć wcale niezłą sumkę. Byłem zdania, że całe to niespodziewane bogactwo przeznaczymy na nowy dom i zafundujemy sobie coś naprawdę wielkiego.

I właśnie Fiona znalazła coś takiego na wsi, niecałe dziesięć kilometrów od Herefordu. Dom rzeczywiście był spory, większy od naszego poprzedniego, ale wymagał remontu. Dostałem pięć dni urlopu i udaliśmy się do wypożyczalni narzędzi. Pracowaliśmy od świtu do nocy. Za dnia – na zewnątrz, po zmroku – w środku. O czwartej trzydzieści malowałem drzwi od garażu, a o dwudziestej drugiej zrywałem stare tapety w salonie. Nie szczędziłem sił i czułem się szczęśliwy. Dom był wolno stojący, z trzema sypialniami, garażem i wcale sporym ogrodem. Jako dziecko mieszkałem zawsze w osiedlach komunalnych, jeśli pominąć pobyty u ciotki, a teraz dochrapałem się wspaniałego własnego domu na wsi. Miałem żonę, dziecko, a przyszłość jawiła się w różowych kolorach. Kate ledwie raczkowała. Uwielbiałem bawić się z nią i w ogóle nie spuszczałem z niej oka.

Któregoś dnia obstawialiśmy zakonspirowaną wytwórnię bomb IRA. Mieściła się w starym, remontowanym właśnie domu w stylu wiktoriańskim, z oknami zamalowanymi białą farbą. Wiedzieliśmy, że jest to tajna wytwórnia, bo poprzedniej nocy byliśmy z Dave'em w środku. Z bronią w rękę obejrzelśmy dokładnie całe wnętrze. W kuchni na betonie, bo nie było tam podłogi, stał młynek do kawy, nie taki domowy, ale duży, przemysłowy. Nie trzeba wielkiej wyobraźni, żeby się zorientować, do czego coś takiego służy. Wiedzieliśmy też, że lada dzień ktoś się tam zjawi, aby zająć się produkcją materiałów wybuchowych. Proch i podobne produkty szybko się starzeją i wietrzeją, więc bomby trzeba przygotowywać „na świeżo”. Nasze zadanie polegało na tym, aby to uniemożliwić.

– Jest dwóch, jeden w zielonej kurtce i niebieskich dzinsach, drugi łysy, ma czarne dzinsy i brązową kurtkę.

– Właśnie weszli do środka, odbiór.

– Tu Alfa, zrozumiałem.

Obserwacja ciągnęła się w nieskończoność. Raz po raz trzeba było ruszyć tyłek, przejść się koło domu i próbować obejrzeć, co się dzieje w środku, czy już kończą, czy nie wymknęli się niepostrzeżenie.

– Tu Delta, zaczynam fokstrota.

– Alfa, zrozumiałem, ruszasz do fokstrota.

Zacząć fokstrota, to znaczy przejść się przed domem. Wysiadłem z auta. Miałem na sobie dzinsy, adidasy i niebieską wiatrówkę lotniczą. O włosach lepiej nie mówić. Zapuściłem zgodnie z piłkarską modą: długie z tyłu, krótkie po bokach. W ogóle wyglądałem tak, jakbym dopiero co wstał z łóżka i siedł po zasilek dla bezrobotnych. Auto też wyglądało nędznie.

Operacja odbywała się w Derry, w połowie drogi między osiedlami Bogside i Creggan. Była zima, w powietrzu unosiła się woń palonego torfu.

Alfa – dowódca operacji – chciał, aby któryś z nas sprawdził uliczkę na zapleczu, między dwoma rzędami „szeregowców”. Padło na mnie, bo byłem najbliższy, a do tej pory jeszcze nie łaziłem.

– Delta, sprawdzam łączność.

– Tu Alfa.

Kiedy zbliżyłem się do celu, zobaczyłem dwóch na rogu. Wyglądali mniej więcej tak jak ja, jeśli pominąć pety w zębach i gazety w tylnych kieszeniach spodni. Siedzieli na murku niby tak sobie, ale równie dobrze mogli na przykład ubezpieczać kumpli, którzy urzędowali w obstawianym przez nas domu.

Pogoda zrobiła się podła, było zimno i mżyło, co mi bardzo odpowiadało. Mogłem bowiem wsadzić łapy do kieszeni, opuścić łeb i udawać, że gdzieś się spieszę.

Skręciłem w uliczkę. Nie była nawet brukowana. Na ziemi wałały się psie kupy, przed domami stały kubły na śmieci. Dwójka obcych nie zwróciła na mnie żadnej uwagi. Pomyślałem, że to chyba zwykli faceci, co czekają na otwarcie punktu totka.

Nie czułem się jednak najlepiej, mając ich za plecami. Maszerowałem, jakbym miał coś do załatwienia, nie oglądałem się. Patrzyłem w ziemię, udając lekko zamroczonego. Trzeba było grać swoją rolę do końca.

Skoro wyglądam jak wał, to muszę stosownie się poruszać. Za paskiem miałem browninga, dziewiątkę, z pełnym magazynkiem. Gdyby ci faceci zaczepili mnie albo o coś zapytali, starałbym się uniknąć odpowiedzi i nie dać się sprowokować.

– Tu Alfa, co u ciebie, Delta?

Nie mogłem oczywiście odpowiedzieć, bo dwójka obcych była za blisko. Nacisnąłem tylko dwukrotnie klucz.

– Alfa, rozumiałem.

Sygnał oznaczał, że u mnie wszystko w porządku.

Drzwi od podwórka w „naszym” domu były zamknięte, ale wyraźnie usłyszałem terkot maszyny do mielenia. To znaczy, że podjęto produkcję.

Raz po raz ktoś obok mnie przechodził, więc nie mogłem mówić do mikrofonu, słyszałem natomiast w słuchawce meldunki i rozmowy kolegów.

– Listopad do Alfy. Ruszam z miejsca.

Czyli Eno gdzieś idzie.

– Tu Alfa, rozumiałem. Delta, zgłoś się.

Znów dwukrotnie nacisnąłem klucz.

– Zrozumiałem. Minąłeś już dom?

Klik, klik.

– Młynek pracuje?

Klik, klik.

Wstąpiłem do sklepu na rogu, kupiłem karton mleka i „Sporting Life”. Czas teraz obejrzeć „nasz” dom od frontu.

– Lima do Alfy. Widzę Deltę. Idzie do swojego wozu.

– Zrozumiałem.

Znalazłem się w zasięgu wzroku Ricka, więc złożył stosowny meldunek. Rick służył w Decie od dawna. Był doskonałym oficerem operacyjnym. Często kłócił się z szefostwem, taki już był, że niczego nie owijał w bawełnę, ale też to, co mówił, miało sens.

– Delta, skończyłem.

Oznaczało to, że wsiadłem do swojego auta.

– Zrozumiałem.

Nacisnąłem gaz i ruszyłem z miejsca.

Przez następne dwie godziny nic się nie działo. W dalszym ciągu



oczywiście brałem udział w operacji, ale ponieważ widziano mnie na ulicy, przeszedłem teraz do drugiego rzutu. Obserwowałem okolicę, meldując o wszystkim, co zauważyłem.

Nie była to okolica z rodzaju tych, które polecają przewodniki turystyczne. Kilka miesięcy wcześniej zastrzelono tu jednego z naszych oficerów operacyjnych. W istocie poległ niedaleko miejsca, w którym obecnie tkwiłem. Robił dokładnie to, co ja teraz, to znaczy siedział w aucie, prowadził obserwację, czekał na rozkazy. Namierzyli go terroryści. Czymś się widać zdradził. Podeszli, wyciągnęli gnata i strzelili mu w łeb.

Zaparkowałem wśród samochodów stojących przed rzędem szeregowców w stylu wiktoriańskim, jakieś sto metrów od skrzyżowania z uliczką, przy której wznosił się „obiekt”. Wyciągnąłem gazetę, pogryzałem kanapkę.

Alfa wydawał rozkazy przez radio, rozstawiał ekipy, słowem zaciskał sieć, gdy nagle tuż obok mnie przemknęło auto z dwójką pasażerów. Przez ułamek sekundy mignęło mi przed oczami skupione oblicze. Ten człowiek wiedział, co się dzieje.

Włączyłem mikrofon, starając się ostrzec Alfę i pozostałych.

– Alarm! – krzyknąłem. – Uwaga, Charlie Jeden ucieka, Charlie Jeden ucieka!

Nikt mnie jednak nie usłyszał. Alfa wciąż okupował radio, wydając polecenia. Sam więc musiałem podjąć decyzję.

– Tu Delta, ruszam w pościg.

Nie wyłączając mikrofonu, ruszyłem z kopyta, żeby nie stracić z oczu zbiegów. Zależało mi tylko na jednym, aby się nie zorientowali, że są śledzeni. Co się działo za mną, nie miało najmniejszego znaczenia, ważniejsze było, abyśmy przechwycili bombę, którą właśnie wywożono z „obektu”, bo w grę wchodziło życie być może wielu osób. Dojechałem do skrzyżowania. Spojrzałem w lewo – nic. Skręciłem więc w prawo, w dół, w kierunku Bogside. Cały czas meldowałem przez radio: „Uwaga, alarm, Charlie Jeden zbiega w kierunku Bogside”, ale nie byłem w stanie wejść na sieć. Wreszcie się udało.

– Tu Delta, jadę w kierunku Bogside. Charlie Jeden zmierza w stronę Little Diamond.

Little Diamond to jedno z osiedli w Bogside.

– Tu Lima. Ruszam. Będę cię osłaniał – Rick. pełnym gazem jechał na pomoc.

U wjazdu do Bogside zbliżyłem się do samochodu zbiegów.

– Ścigany obiekt to sierra sześćdziesiąt, sześćdziesiąt pięć. Dwójka pasażerów. Jadą dalej – zameldowałem.

– Tu Alfa, zrozumiałem.

– Listopad, zrozumiałem.

Wszyscy gnali w to samo miejsce. Nie wolno stracić śladu.

Pasażer obrócił się i obrzucił mnie wzrokiem. Staralem się nie budzić podejrzeń. Udałem, że nie dostrzegam badawczego spojrzenia. Nie zamierzałem ich ani prowokować, ani tym bardziej doprowadzić do starcia już teraz, bo korzyść byłaby niewielka. Chciałem się dowiedzieć, gdzie jadą, bo w ten sposób odkryją przed nami kryjówkę.

Tymczasem zbieg nie odrywał ode mnie oczu.

– Delta. Potwierdzam, dwóch zbiegów, zachowują się niespokojnie. Były dwie możliwości: albo przewożą bombę na nową melinę, albo też zamierzają ją gdzieś podłożyć. W żadnym razie nie wolno ich stracić z oczu.

Miałem już spore doświadczenie i nabyłem wystarczająco dużo wprawy, aby mówić do mikrofonu bez poruszania ustami. Trzymałem się względnie blisko zbiegów, a jednocześnie starałem się nie budzić ich podejrzeń.

– Charlie Jeden skręca w lewo. Zatrzymuje się. Ścigany samochód wjechał między domy w Bogside. – Wchodzą chyba do pierwszego domu po lewej.

Znałem miasto na wylot. Studiowałem mapę, a później obszedłem je wzdłuż i wszerz. Wiedziałem, gdzie mieszkają terroryści, jak wyglądają ich dzieci, gdzie chodzą do szkoły, wiedziałem też, że uciekinierzy zatrzymali swój wóz w ślepych zaułku.

– Tu Delta, fokstrot – zameldowałem. Przejechałem obok zbiegów. Zatrzymałem się kawalek dalej, w miejscu znanym jako Rosville Flats, a osławionym masakrą w czasie tak zwanej krwawej niedzieli. Wyskoczyłem z auta. Liczyła się każda sekunda.

– Lima, fokstrot.

Rick wyskoczył ze swojego wozu, gdy tylko zbiegowie skręcili w osiedle. Szedł teraz w stronę zaułka, co wymagało nerwu, bo nie mógł wiedzieć, co go czeka. Faceci mogą być uzbrojeni, a równie dobrze mogą właśnie teraz odpalić ładunek.

Na placyku pośrodku osiedla stał kontener, w którym urządzono sklep. Wokół biegała gromada dzieci. Kobiety wieszały pranie na balkonach. Przy krawężnikach stało kilka aut. Nie było się gdzie ukryć, nie było tłumu, w który można by się wmieszać, a jednocześnie należało zachować wszelkie pozory, nie budzić najmniejszych podejrzeń, bo najważniejsze to wysledzić, gdzie dokładnie terroryści zamierzają zamelinować ładunek i kim naprawdę są.

Rick przeszedł obok sklepu w kontenerze. Zidentyfikował samochód zbiegów. Szedłem w ślad za nim, ubezpieczałem go, bo nie można wykluczyć, że dojdzie do starcia albo że cała ta manipulacja to po prostu pułapka.

– Uwaga – zameldował przez radio – Charlie Jeden zabiera ładunek.

– Delta, osłaniam cię.

– Lima, Charlie Jeden zmierza do szczytowego mieszkania po lewej, potwierdzam, ostatnie piętro po lewej.

W miarę jak zagłębiał się w zaułek, mógł mówić nieco swobodniej, bez obawy o dekonspirację.

– Lima do Alfę. Charlie Jeden przenosi ładunek na ostatnie piętro po lewej. Trzech weszło do środka, dwóch ubezpiecza z zewnątrz. Mieszkanie wygląda na opuszczone. Okna zabite dyktą.

– Alfa, zrozumiałem.

Tymczasem nasi ludzie otoczyli już okolicę i pilnie obserwowali wylot zaułka. Trzeba się liczyć z najprzeróżniejszymi możliwościami. Być może terroryści zatrzymali się tu na chwilę, aby uzbroid ładunek. Za moment mogą przenieść bombę do innego auta i ruszyć dalej. Nie wolno nam spuścić z nich oka. Nielatwa to sprawa w Bogside, ale się udało.

Zakończenie akcji było dość rutynowe. Policja otoczyła plac, specjaliści rozbili bombę, skonfiskowali ładunek. W prasie ukazała się niewielka wzmianka o „znalezisku”. Skrzydło „Tymczasowych” Irlandzkiej Armii Republikańskiej rozrzuciło jakieś ulotki, że to nieprawda i tyle. A jednak był to nasz sukces, sukces Detu, efekt wielu godzin obserwacji, penetrowania środowiska, zbierania strzępów wiadomości, aż ułożyły się w logiczną całość, bo tak to się odbywa, na tym polega walka z terrorystami. Gdybyśmy bomby nie zneutralizowali, zginęłoby zapewne wielu niewinnych ludzi.

To właśnie sprawiało, że czułem się potrzebny, że robota w Decie ma sens. Na tym polega prawdziwy profesjonalizm, choć ten i ów mógł się krzywić.

Doczekałem się awansu, dostałem drugą belkę. Sprawy układały się całkiem nieźle. Obaj z Enem zostaliśmy dowódcami drużyn w Decie i rozważaliśmy, czy nie zgłosić się na kolejne dwa lata, pamiętając, co mawiał nasz Stary: nikt nie będzie całkowicie wyszkolonym żołnierzem bez doświadczenia operacyjnego w Decie, bo – podkreślał – „tylko tam poznacie obie strony medalu”.

Wtedy gdy to mówił na pamiętnej zbiórce, nie wzięliśmy sobie jego słów do serca. Teraz jednak rozumiałem, jak głęboką miał rację. Dzięki stażom w Decie Pułk zyskiwał ludzi doskonale wyszkolonych, o doświadczeniu operacyjnym na najwyższym światowym poziomie, ludzi, którzy potrafią wszystko: obsługiwać karabiny maszynowe najprzeróżniejszych typów i w najprzeróżniejszych warunkach bojowych, penetrować obce środowisko, zbierać informacje. Byłem dumny, że mam w tym swój udział.

Któraś dnia z Enem, Brendanem i Dave'em Drugim śledziliśmy dwóch

mężczyzn zmierzających z Bogside do Creggan. Przenosili broń i radiostacje ukryte w plastikowych workach na śmieci.

– Uwaga, obiekt zatrzymuje się, powtarzam, obiekt stop – rozległo się w słuchawce.

Podejrzani stanęli gdzieś za rzędem szeregowców.

– Potwierdzam, obiekt stop – odezwał się znów Eno – zniknęli w jednym z ogródków. Sekunda... tak, ogrody dwadzieścia cztery, dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć.

Eno szedł uliczką i kątem oka zerkał za żywoplot.

– Ładunek umieszczają w piwnicy, powtarzam: broń chowają w piwnicy.

– Tu Alfa, zrozumiałem – potwierdził Brendan. Dowodził akcją z samochodu.

Namierzyliśmy ich trzy godziny wcześniej, prowadząc obserwację znanego nam obiektu w Bogside. Był to dom, o którym wiedzieliśmy, że znajduje się w nim melina z bronią. Bogside to istny labirynt: domy i domki z betonu i szkła w stylu lat sześćdziesiątych, kręte uliczki, zaułki, a wszystko zapuszczone, brudne i hałaśliwe. Psy ujadły przy śmietnikach, mamy i babcie nawoływały dzieciaki uganiające się na hulajnogach, notorycznie bezrobotni mężczyźni rozsiadali się na schodach, pałac i wyrzekając na życie. Był listopad, piętnasta trzydzieści i strasznie zimno.

Zależało nam na dokładnym ustaleniu, gdzie terroryści przenoszą broń z meliny. „Prowadziliśmy” ich całą drogę w Bogside, aż do Creggan.

Bogside wznosi się na zboczu wzgórza nad doliną, którą wypełnia miasto Derry. Creggan leży dokładnie naprzeciwko po drugiej stronie miasta, też na wzgórzu, z tym że wygląda zupełnie inaczej: długie rzędy szeregowców, schodzące tarasami w dół. Pośrodku skwer, sklepy, biblioteka publiczna. Zmierzchało, temperatura spadała, przy każdym oddechu z ust unosiły się obłoczki pary. Ubrany byłem w dżinsy, adidasy i ocieplaną kurtkę z demobilu, rodem z Niemiec. Nie strzyżone, przydługie, przetłuszczone włosy i kilkunniowy zarost sprawiały, że nie odróżniałem się od miejscowych. Miałem już doświadczenie. Operowaliśmy w tych okolicach od pewnego czasu, przypatrzyłem się, nawykłem, umiałem się wtopić w otoczenie. Gnata zatknąłem za pasek pod kurtką.

Teren był wyjątkowo niebezpieczny. Dochodziło tu do wielu starć. Zaśmiałem się w duchu na myśl o tak zwanej obserwacji biernej. Dobre sobie: biernie śledzić facetów transportujących broń z Bogside do Creggan i jeszcze sprawdzić, co w istocie zamierzają.

– Podchodzę bliżej – zameldował Eno przez radio.

– Zrozumiałem, Listopad, podchodzi bliżej – potwierdził Alfa. Najważniejsze to nie stracić tropu. Jeśli zamierzają przenieść broń gdzieś dalej, musimy wiedzieć gdzie. Jeśli zostawią ją w piwnicy, zakradniemy się w

nocy i zamontujemy „pluskwy”. W każdym razie chodzi o to, aby nie zgubić śladu. Problem polegał tylko na tym, że cały czas musieliśmy być w pobliżu, a tu, w Creggan, wszyscy mieli oko na obcych. Taka to już była okolica. Dwa tygodnie temu zabito tu żołnierza. Dostał kulę w łeb, ku nie skrywanej radości całego osiedla.

Eno ukrył się w kącie między garażem a żywopłotem. Jeśli ktoś go przepłoszy, uda, że wszedł tam za potrzebą, wzruszy ramionami i pójdzie dalej, chyba że dojdzie do wniosku, iż sytuacja wymaga użycia broni. Takich właśnie rzeczy uczono nas w ramach CQB – błyskawicznej oceny sytuacji.

Jeżeli nikt nie zwróci na niego uwagi, Eno będzie tkwił w miejscu nawet do północy. Bez ruchu, piętnaście metrów od obiektu. Brendan ubezpieczał go, siedząc nieopodal w aucie. Ja z Dave’em Drugim krążyliśmy po okolicy gotowi na każde wezwanie. Siedziałem za kierownicą ośmioletniego volkswagena GT.

Zatrzymałem wóz przy krawężniku. Była siedemnasta trzydzieści, paliły się latarnie uliczne. Z kominów unosił się dym, rozsiewając woń palonego węgla i torfu. Po drugiej stronie ulicy, pośród złomowiska starych samochodów, pasły się konie. Zaczęło padać.

– Delta do Alfy, fokstrot – zameldowałem, że wysiadam z auta.

– Alfa do Delt, zrozumiałem.

– Golf do Alfy: fokstrot. – Dave też zaparkował samochód i ruszył w ślad za mną do sklepu.

Kupiłem colę i gazetę. Dave Drugi wziął frytki. Zwyczajny sprawunek. Zamieniliśmy parę słów. Przypadkowe spotkanie przypadkowych ludzi.

Wróciłem do auta, pokręciłem się po osiedlu, zaparkowałem w innym miejscu i znów poszedłem się przejść. Była siódma.

– Uwaga – rozległ się w słuchawce głos Ena, jak zawsze spokojny, opanowany, wręcz beznamiętny – podjechały dwa wozy: Charlie Jeden i Dwa. – Podał numery rejestracyjne, markę i model. – Bravo Jeden, Dwa, Trzy, wychodzą. Bravo Jeden: długie włosy, dżinsowa kurtka, dżinsowe spodnie; Bravo Dwa: niebieska ocieplana kurtka ortalionowa, czarne spodnie; Bravo Trzy: zielona kurtka lotnicza. dżinsy. Mają się na baczności. Nie wygląda to na przypadkowe spotkanie – dorzucił. – Coś się dzieje.

Alfa potwierdził meldunek. Wszyscy chłopcy biorący udział w obserwacji uruchomili silniki, zaczęli krążyć wokół obiektu. Minęło dwadzieścia minut.

– Uwaga – odezwał się znów Eno. – Bravo Jeden i Dwa wychodzą, idą do wozu. Wkładają maski. Idą w moim kierunku. Możliwe starcie, powtarzam, możliwe starcie. – Wszystko to powiedział spokojnym, wypranym z emocji głosem, jak to Eno. – Wciąż idą w moim kierunku – meldował dalej.

My wszyscy, z ubezpieczenia, wyskoczyliśmy z wozów i zaczęliśmy posuwać się w stronę Ena. Trzeba było to robić spokojnie, nie zwracać na

siebie uwagi, nie dekonspirować Ena, bo sytuacja jeszcze była płynna. Może przejdą obok, może mają inny cel, a skoro tak, to naszą rzeczą będzie ich śledzić. Tymczasem byli tak blisko, że Eno nie mógł się odezwać. Alfa przejął inicjatywę.

– Alfa do Listopada.

Eno nacisnął dwukrotnie klucz.

– Wciąż idą w twoją stronę?

Klik, klik.

– W maskach?

Potwierdzenie i zapadła cisza.

Posuwałem się, jak mogłem najszybciej, byłem już u wylotu uliczki. Zdjąłem rękawiczki. Broń zawsze nosiłem za pasem na brzuchu. Mick opowiadał nam kiedyś, że jeden z naszych uratował się w czasie starcia w Shantello tylko dlatego, że gdy ścięli go z nóg, padł na plecy i był w stanie sięgnąć po broń, którą zatknął z przodu. A ja, w razie czego, lewą ręką podciągnę kurtkę, a prawą wyszarpnę gnata. Spojrzałem w głąb uliczki. Spodziewałem się, że trójka lada moment rozpocznie ogień, tymczasem nie widać było nikogo, żywego ducha. – Przeszli obok – odezwał się Eno – w stronę garaży.

Garaże osłonięte żywopłotem ciągnęły się po prawej stronie, patrząc ode mnie, i właśnie gdzieś tam maszeruje trójka zamaskowanych mężczyzn, bez broni – jak się domyślałem – bo broń była ciągle w piwnicy, a tam przecież nie zaglądali. Co, u licha, jest grane?

Brendan szedł z przeciwnej strony i posuwał się za garażami. Po meldunku Ena zawrócił, nie chciał stanąć oko w oko z zamaskowaną trójką. W tej sytuacji jednak miał ich za sobą. Dzielili go od nich ledwie dziesięć metrów.

– Idą za mną, uwaga, możliwe starcie – rzucił do mikrofonu. Postanowiłem zejść ich z tyłu. Eno był gdzieś po lewej.

– Mam ich przed sobą, przed sobą – odezwał się Brendan.

– Tu Delta, ubezpieczam cię.

– Tu Golf, jadę – zameldował Dave Drugi. Jego zadanie w tej chwili polegało na tym, aby jechać jak najbliżej nas, ubezpieczać z wozu, a w razie czego zapewnić błyskawiczną ewakuację. Tymczasem trzej mężczyźni parli naprzód. W eterze panowała teraz cisza. Uliczka, na której rozgrywał się dramat, była dość uczęszczana, więc nasza obecność w tym miejscu, niby przypadkowych przechodniów, nie powinna budzić podejrzeń. Na asfaltowej jezdni, pełnej dziur, wałały się śmieci, stare puszki, papiery. Zerknąłem w okna domów po lewej. Ktoś mył naczyńia, ktoś wycierał, zwykłe sprawy.

– Golf do Delty, sprawdzam.

Klik, klik.

– Wciąż są za garażami?

Klik, klik.

– Posuwasz się za nimi?

Klik, klik.

Garaże ciągnęły się na jakieś sześćdziesiąt, siedemdziesiąt metrów. Dochodząc do końca, trójka w maskach skręciła w prawo, Brendan poszedł dalej prosto.

– Bravo Jeden, Dwa, Trzy skręcili w prawo, na główną drogę – zameldowałem.

– Zrozumiałem – potwierdził Brendan – widzieli mnie, wracam do wozu.

– Straciłem ich z oczu. Idę sprawdzić.

Doszedłem do końca garaży i skręciłem w prawo w ślad za trójką mężczyzn. Kątem oka dostrzegłem, że właśnie otwierają ostatni z boksów.

– Mam. Bravo Jeden, Dwa, Trzy są przy ostatnim garażu. Bez masek. Schodzę.

Nie miałem wyjścia, nie wolno mi było zatrzymać się, musiałem iść dalej. Wytworzyła się groźna sytuacja. Nikt z nas nie miał ich teraz na oku. A jaki jest ich zamiar? Czy chcą wyprowadzić auto z garażu i gdzieś ruszyć?

Cała nadzieja w Davie.

– Tu Golf, mam ich – Dave zatrzymał auto niedaleko garażu, po drugiej stronie ulicy, przejął obserwację i meldował, że mężczyźni weszli do garażu, zapalili światło, że czegoś szukają w aucie, ale trudno powiedzieć czego. Wychodzą i zamykają garaż. – Udają się w stronę obiektu – dokończył.

– Listopad, mam ich – zgłosił się Eno. – Wchodzą do domu. Bez masek!

– Tu Alfa, zrozumiałem.

Nie mieliśmy pojęcia, co się właściwie dzieje. Tak się zresztą często zdarza: mamy facetów jak na dłoni, ale nie jesteśmy w stanie ocenić, do czego zmierzają i co planują. Nie potrafiliśmy sobie wyjaśnić, dlaczego zrazu włożyli maski, a następnie je zdjęli? Mogło to oznaczać, że zrezygnowali z jakichś planów, zorientowawszy się, że są pod obserwacją. Równie dobrze mogli po prostu coś ćwiczyć, ale jeśli tak, to dlaczego w maskach? Nie potrafiliśmy znaleźć odpowiedzi.

Wkrótce potem obserwację podjął inny zespół. Tak trzeba, bo na naszą czwórkę mógł już ktoś zwrócić uwagę, co w efekcie prowadzi do zdekonspirowania operacji.

W bazie dowiedzieliśmy się, że plany uległy zmianie, nie będzie „ataku technicznego”, ukrytą broń przejmie po prostu policja. Zrobiono to jeszcze tej samej nocy i już nigdy się nie dowiedzieliśmy, dlaczego trójka mężczyzn wyruszyła nocą na przechadzkę wokół domu, w maskach na twarzy.

Byli wśród nas tacy, co wniknęli w tę robotę tak bardzo, że decydowali się zostać na stałe. Inni w nieskończoność przedłużali kontrakt. Trafiali się też dziwacy, którym zupełnie pomieszało się życie ze służbą. Ja też czułem, że pogrążam się w tym wszystkim coraz bardziej. Podniecało mnie, gdy nocą w Bogside śledziłem zaprzysiężonych terrorystów, gdy szedłem ich śladem do pubu, gdy ukradkiem obserwowałem, jak wracają do domu. Robota tak nas wciągała, że nawet w wolnym czasie węszyliśmy po mieście, jak psy gończe. Nawykliśmy do tej pracy tak, że w niebezpiecznych dzielnicach czuliśmy się jak u siebie, ufając, że co jak co, ale własny nos nigdy nas nie zawiedzie.

Dave Pierwszy zaczął wyraźnie wariować. Kiedyś zalało mu pokój. Na dywanie zrobiło się jezioro. Wcale się tym nie przejął. Zamiast suszyć, zbierać wodę, ściągać dywan, skoczył do sklepu, kupił torebkę rzeżuchy i wysiał na podłodze. Potem nastawił grzejnik na cały regulator i czekał, aż na dywanie wyrośnie zielony kozuch.

– Wiesz – zapytał mnie kiedyś – jaka jest recepta na przetrwanie?

– ?

– Otóż nie wolno jeść niczego, co jest większe od głowy, co ma dziwną nazwę, pomidorów też nie wolno jeść.

Nieraz w czasie akcji sprawy przybierały tak niezwykle obrót, że człowiekowi mogło się wydawać, iż śni.

Kiedyś dostaliśmy wiadomość, że wieczorem, gdy będą zamykać puby, grupa terrorystów zamierza opanować kilka autobusów na dworcu, podpalić je i taką płonąca barykadą zablokować ulicę. Natychmiast postawiliśmy posterunki. W stosownej chwili dalszą akcję miała przejąć policja, a jeśli policja nie da rady, naszym zadaniem będzie załatwić wszystko do końca.

Było nas sześciu, podzieliliśmy się na trzy pary, zajęliśmy dogodne stanowiska obserwacyjne. Ja i Eno, uzbrojeni w MP5 i pistolety dziewiątki, zaczailiśmy się w krzakach tuż na skraju dworca autobusowego. Gdyby ktoś się na nas natknął, udawalibyśmy dwójkę pijaków pociągających z gwinta na świeżym powietrzu. I żeby nie było wątpliwości, zaopatrzyliśmy się w parę puszek taniego piwa, z gołymi babami zamiast etykiety. No i siedzieliśmy w krzakach, pieściliśmy te swoje Penelopy i Samanty, oczy i uszy mając szeroko otwarte. Właśnie zaczęto zamykać puby i ludzie stopniowo wsiadali do autobusów, a ten i ów maszerował do postoju taksówek. Krótko mówiąc, był to zwykły piątkowy wieczór. Nawaleni faceci usiłowali podrywać tłustawe dupencje, które zresztą bardziej interesowały się kolacją, niż tym, co ewentualnie nastąpi potem.

Dwie takie damulki zwróciły naszą uwagę. Zachowywały się wyjątkowo głośno, pokrzykiwały, chichotały, kopcily papierosy i raptem zaczęły iść w stronę naszej kryjówki, niby za potrzebą. Wydało nam się to podejrzane.

Daliśmy znać przez radio.



I dokładnie wtedy, kiedy podnieśliśmy alarm, obie „podejrzane” kucnęły jak gdyby nigdy nic, i na naszych oczach zaczęły, jak to mówią, łączyć się z morzem.

Innym razem dowodziłem akcją w okolicach Loch Neagh, wielkiego jeziora kilkadziesiąt kilometrów na zachód od Belfastu.

Na odprawie officer operacyjny zapoznał nas z sytuacją. Niewiele miał do powiedzenia:

„Gdzieś tu – zarysował na mapie spory krąg, obejmujący brzegi jeziora i szmat pól – jest wielki magazyn broni i sprzętu, ponoć tyle, że wystarczyłoby na całą jednostkę sił specjalnych. Będziemy szukać aż do skutku. Na razie zaplanujcie CTR, bezpośrednio rozpoznanie, na jutro wieczór”.

Wziąłem hasselblada – lustrzankę – i ruszyłem na lot rozpoznawczy śmigłowcem Gazelle. Z góry sfotografowałem całą okolicę jeziora. Jest rzeczywiście spore.

Ślęczeliśmy potem nad zdjęciami, próbując ustalić dozory, punkty orientacyjne i wyznaczyć ewentualne kryjówki.

Robota była syzyfowa. Rejon obejmował dobry kilometr kwadratowy, od jeziora w głąb łądu. Była pełnia lata. Noc o tej porze trwa ledwie sześć godzin. Na przeszukiwanie terenu zostaje jeszcze mniej, bo trzeba najpierw dotrzeć na miejsce, a przed świtem ewakuować się, nie zostawiając żadnych śladów. Nie wiadomo, jak długo operacja będzie trwać. Mamy szukać aż do skutku.

Pete, operacyjny, był eleganckim mężczyzną z kategorii tych, którzy wiedzą, co się nosi i gdzie bywa. Wyglądał wytwornie, zupełnie inaczej niż ja, który nosiłem się jak szmaciarz.

– To może potrwać nawet cały miesiąc – powiedział, polecając mi sporządzić listę ludzi i sprzętu, jaki będzie mi potrzebny. Dał mi na to parę godzin, do czwartej.

Przysiadłem fałdów. Rejon działania był na absolutnym pustkowiu. Wokół nie było nic. Nasuwało się pytanie, jak się tam dostać. Samochód wykluczony, śmigłowiec też, bo zaraz nas namierzą. Wyglądało na to, że jedynym rozsądnym wyjściem będzie przeprawa łodzią przez jezioro, a to mogą zrobić tylko nasi, z Pułku.

– Nie uwierzy pan – powiedziałem operacyjnemu – ale wszystko, co mi potrzeba, to dwie łodzie i kilku naszych chłopców.

Nic nie odrzekł, kiwnął tylko głową, lecz dwie godziny później oznajmił, że niebawem dołączy do nas drużyna morska z Kompanii A. Przylecą śmigłowcem, będą do mojej dyspozycji.

– To robota na sześciu ludzi – dalej walczyłem o swoje.

– W porządku. Z Dave'em jest was dwóch, wyznaczę jeszcze czterech. Tymczasem wskakuj do śmigłowca. Polecisz do Wessexu na spotkanie chłopców z A. I jeszcze jedno. W odwodzie będziesz miał dwa zespoły HMSU, policji zmotoryzowanej.

W sumie ponad setka ludzi będzie szukać zamelinowanej broni.

– Nie chcę być w twojej skórze, jak nie znajdziecie – ostrzegł Pete. W bazie sił specjalnych w Wessexie wrzało jak w ulu. Na miejscu był już oddział HMSU. Większość z nich to kumple. Bywaliśmy u siebie, lubiliśmy się i nie po raz pierwszy braliśmy udział we wspólnej akcji, choć częściej korzystaliśmy ze wsparcia wojska, a nie policji.

Kompania A była właśnie na dyżurze operacyjnym. Chłopcy załadowali dwa pontony z silnikami na pokład chinooka. Nie wiedzieli jeszcze, na czym ma polegać zadanie, ale byli zachwyceni, że mogą się wyrwać. Na razie kazano im czekać w bazie w Wessexie. Gdy dotarłem na miejsce, sprawdzali sprzęt.

Oddział HMSU zostanie oczywiście w bazie, jako odwód. Chłopcy akurat się rozpakowywali, ciesząc się z góry na szmal za nadgodziny. Liczyli, że operacja potrwa ze dwa tygodnie, a to sporo pieniędzy. Będą nas ubezpieczać z daleka, a w razie czego, gdy z Dave'em wpadniemy w jakieś gówno, błyskawicznie przyjdą nam z pomocą, pędząc na łeb, na szyję pancernymi wozami Sierra 4X4.

Tymczasem zwołałem wszystkich na odprawę.

– Ruszamy dwoma pontonami typu Gemini. W pobliżu rejonu jeden z was wpław sprawdza brzeg obserwując, czy wszystko w porządku. Po wylądowaniu załoga łodzi zostaje na miejscu. Ja z Dave'em Drugim oraz Rick i Eno ruszamy na rozpoznanie. Posuwamy się wzdłuż zarośli na północ – pokazałem szczegóły na mapie, objaśniłem także, gdzie są wybrane punkty orientacyjne. – Dochodząc do punktu, meldujemy przez radio, tak że przez cały czas będziecie wiedzieć, gdzie jesteśmy i w jakim kierunku posuwamy się dalej. Jeśli znajdziemy magazyn broni, to w zależności od czasu albo wywołujemy Ricka i Ena, aby założyli „pluskwy”, albo wracamy do was, a nazajutrz wieczorem wznawiamy akcję. Proste!

Cała operacja bardziej przypominała patrol bojowy niż typowe działania rozpoznawcze. Mieliśmy dwie łodzie z płetwonurkami. Dodatkowo po dwóch uzbrojonych funkcjonariuszy Detu w każdej łodzi.

Wszystko było gotowe. Chciałem ruszyć tuż przed zmierzchem, żeby zyskać na czasie, ale nic z tego nie wyszło. Na brzegu rzeki, którą mieliśmy spłynąć do jeziora, roilo się od wędkarzy, trzeba więc było poczekać, aż zapadnie noc i pójść do domu.

Rzeką płynęliśmy za pomocą wiosł. Silniki włączyliśmy dopiero na jeziorze. Była ciemna noc, żadnych świateł w pobliżu, miałem wrażenie, że

jestem na morzu. Sternicy mieli gogle noktowizyjne. W pewnej odległości od celu zastopowali silniki. Dwóch pletwonurków, oczywiście z bronią, zsunęło się do wody. Zapadła cisza.

Czerwony sygnał oznaczał, iż zwiadowcy dotarli do brzegu i sprawdzili, że możemy spokojnie dobić. Resztę drogi pokonaliśmy, wiosłując. Po przycumowaniu wzięliśmy plecaki, kamery fotograficzne, radiostacje i ruszyliśmy w drogę. Zakładałem, że pierwszej nocy niczego jeszcze nie znajdziemy, zorientujemy się natomiast w terenie, a nazajutrz rozpoczniemy bardziej systematyczne poszukiwania.

Okolo wpół do pierwszej dotarliśmy do miejsca, gdzie wśród pola stał opuszczony budynek, stara szopa czy coś takiego, ale murowana, z zaokrąglonymi węglami, kryta blachą. Kiedyś musiał to być całkiem solidny dom, teraz jednak dach przerdzewiał, cegły zaczęły się sypać, a wokół wałało się pełno śmiecia. Obok stał wrak ciągnika jeszcze z lat pięćdziesiątych. Tu i ówdzie z błota wystawały stare puszki po farbie, plastikowe worki po nawozach, jakieś szmaty i sam nie wiem, co tam jeszcze. Nieco dalej, jakieś pięćdziesiąt metrów za ruiną, wznosił się rząd czterech, może pięciu domostw, w których pewnie w dawnych czasach mieszkali dzierżawcy uprawiający ziemię. Czy jeszcze ją uprawiali, czy nie, nie mam pojęcia. Jedno mogę powiedzieć, że o własne domy raczej nie dbali.

Budynki też trzeba będzie przeszukać, ale nie teraz. Przeznaczony na to osobną noc. Tymczasem coś innego zwróciło moją uwagę, coś, czego nie widziałem wcześniej, bo widok zasłaniał wrak traktora. Otóż przy domu leżał stos plastikowych rur o sporej średnicy, takich jakich używa się do melioracji gruntu. Dziwne było, że z jednej strony bliżej domu – rury zatkało gazetami, a z drugiej wciśnięto po parę cegieł. Od góry zaś cały stos ostaniał kawał falistej blachy, który z pewnością nie znalazł się tam przypadkowo. Zrazu pomyślałem, że to jednak nie może być kryjówka, bo za bardzo rzuca się w oczy. Postanowiłem zapamiętać tylko miejsce i na razie pójść dalej. A zresztą szczegółowe oględziny rur zajęłyby zbyt dużo czasu, a chcieliśmy lepiej zorientować się w terenie. Poszliśmy. Robota była żmudna. Trzeba zaglądać i sprawdzać każdy napotkany pojemnik na wysypisku, czynić to dokładnie i ostrożnie, aby nie zostawić śladów.

– Wiesz co – szepnął w pewnym momencie Dave – a może byśmy jednak zawrócili i rzucili okiem na te rury, bo cholera wie...

Teren wokół, gdzie leżały rury, porastała dość wysoka trawa. Z prawej strony wyglądała na zdeptaną, co jeszcze o niczym nie świadczyło. Obejrzeliśmy znalezisko, jak tylko się dało, zapamiętując szczegóły, żeby później ułożyć tak, jak było. Zrobiłem kilka zdjęć i zabraliśmy się do roboty.

Najpierw należało ściągnąć blachy, co wcale nie było takie proste. Robota musiała być wykonana ostrożnie, bez hałasu, wszystko ułożone na ziemi w

określonym porządku, aby potem położyć dokładnie tak samo.

Jak tylko przystąpiliśmy do wyjmowania cegieł, którymi zatkało rury z jednej strony, zaglądaaliśmy niecierpliwie do środka. Trzeba było usunąć jeszcze po parę cegieł. Była to koronkowa robota, niczego nie wolno pomylić, bo najmniejszy błąd może ostrzec właścicieli.

Dave pracował powoli i systematycznie. Starannie oglądał każdą cegłę po kolei. Wyciągał ostrożnie i równie ostrożnie odkładał na stos. Za którymś razem dał mi znak, unosząc w górę kciuk.

– Bingo – szepnął – jeszcze nie wiem, co tam jest, ale chyba trafiliśmy.

Trzeba było zawiadomić chłopaków, bo na to tylko czekali.

– Alfa do Limy, jak mnie słyszycie, odbiór.

Bez odpowiedzi. Spróbowałem wywołać jeszcze raz. Ten sam skutek. Było tylko jedno wyjaśnienie: znajdowaliśmy się w martwym punkcie w stosunku do radia kolegów, którzy pewnie denerwują się, nie wiedząc, co się z nami dzieje, a jeszcze bardziej dlatego, że w razie potrzeby nie będą wiedzieć, gdzie nas szukać. Dochodziła już pierwsza trzydziści i praktycznie noc można uznać za straconą, bo gdybym teraz pobiegł do łodzi po chłopaków, to i tak nie zdążyliby założyć „pluskiew” przed świtem. Wyjście nasuwało się samo. Zostaniemy z Dave’em na brzegu, żeby mieć oko na melinę, chłopcy popłyną do bazy, wrócą nazajutrz i wtedy dokończy się robotę.

Zaczelśmy układać wszystko z powrotem. Dave wyciągał rękę jak chirurg po instrumenty w czasie operacji. Sprawdzenie, czy kryjówka nie jest zaminowana, a później dobieranie się do niej zajęło nam dobrą godzinę. Tyleż trwało układanie cegieł i blach na swoim miejscu.

– Widziałem w środku karabiny owinięte w plastik i jeszcze sporo innego sprzętu – szepnął Dave, gdy wracaliśmy na brzeg. Powiedziałem chłopcom, że zostajemy z Dave’em na miejscu i wytłumaczyłem co i jak.

– Co prawda nie mamy rady pilnować kryjówki, bo nie ma jak się ukryć, ale zyskamy na czasie co najmniej dwie godziny. Dobierzemy się do niej już o zmierzchu, a w razie czego będziemy mieli czym się bronić.

Przez cały dzień wylegiwaliśmy się w ukryciu, obserwując jachty na jeziorze. Spaliśmy na zmianę.

Mniej więcej dwie godziny przed zachodem słońca wywołaliśmy bazę przez radio, upewniliśmy się, że chłopcy ruszą z zapadnięciem nocy.

My też ruszyliśmy o zmierzchu. W domach paliło się jeszcze światło, gdy zaczęliśmy rozbierać rury. Magazyn był tak blisko domostw, że słyszałem szum spuszczonej wody w ubikacji.

A w rurach ukryto prawdziwy arsenał: kałasznikowy 47 i inne karabiny, radiostacje i sporo amunicji owiniętej w kominiarki. Pozostało nam tylko czekać na Ricka i Ena. Czas włócił się niemiłosiernie. Nie mieliśmy łączności,

bo – jak powiadam – magazyn znajdował się w martwym punkcie. Zbliżała się pierwsza i zacząłem się denerwować. O czwartej zaczyna świtać. Minęła druga, a chłopaków ciągle nie było widać. Postanowiłem, że jeśli nie zjawią się do trzeciej, trzeba będzie przełożyć akcję, co zresztą nie było najlepszym rozwiązaniem, bo odpakowaliśmy całą broń. Im więcej manipulacji, tym więcej śladów. Wreszcie dwadzieścia po drugiej chłopcy objawili się w mroku.

– Pieprzony silnik nawalił w połowie drogi – wyjaśnił Rick – dwie godziny wiosłowaliśmy. Coś straszego.

Eno tymczasem z właściwym sobie spokojem i dokładnością zaczął instalować „pluskwy”. Przy tych cechach charakteru wymarzony facet do tej roboty.

– Trzeba się śpieszyć, zaraz zacznie świtać – ponaglałem.

– Mamy odbitki zdjęć, które zrobiłeś wczoraj, zobacz – Eno podsunął mi zdjęcia wykonane w podczerwieni. Zaczęło świtać, gdy zabraliśmy się do usuwania śladów i układania wszystkiego na swoim miejscu. Koguty piał. Było już jasno, gdy wróciliśmy do łodzi, a słońce świeciło wysoko, kiedy wypłynęliśmy na jezioro, gdzie czekał zapasowy ponton, żeby wziąć nas na hol.

Służbę w Decie zakończyłem latem 1988 roku. W domu tymczasem wszystko się zmieniło. Nie umieliśmy znaleźć z Fioną wspólnego języka. Może dlatego, że tyle miesięcy żyliśmy osobno. Nie potrafiliśmy się porozumieć, ja zaś czułem się tak, jakbym wracał tylko do Kate.

Później znów gdzieś wyjechałem i wróciłem dopiero na Boże Narodzenie. Tęskniłem do Kate, ale do Fiony chyba nie. Próbowaliśmy porozmawiać poważnie. Oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że dzieje się źle, i oboje próbowaliśmy coś zrobić, ale nie wyszło. Dla mnie znów najważniejsza była służba, a nie dom i rodzina, co Fiona z Kate pewnie wyczuwały.

Eno również miał problemy i jego małżeństwo też się rozpadło. Powiadają, że podobnie jest w rodzinach policjantów i strażaków. Ja mogę tylko jedno powiedzieć, że jeśli idzie o chłopaków z Pułku, to bez przerwy się rozwodzą, żenią, znów rozwodzą i zawsze na tym samym tle. Istotą sprawy jest to, że każdy z nas włożył ogromnie dużo wysiłku i dużo poświęcił, żeby dostać się do Pułku. Jeszcze więcej poświęcenia i wysiłku trzeba, aby się w nim utrzymać, a to rodzi nieuchronne konflikty w domu.

## 23

Tym razem zespół liczył cztery osoby i właśnie słuchaliśmy, co Inteligentny ma do powiedzenia. Salę odpraw urządzono w przenośnym baraku, „Portakabin”. Na ścianach rozwieszono mapy, plansze oraz korkowe tablice na komunikaty i dokumenty. Za oknem świeciło słońce, ale nie było gorąco, a przynajmniej tak gorąco, jak mi się wydawało, że będzie w tym właśnie miejscu globu.

– No i tak to wygląda – kończył Inteligentny – na pytania szkoda czasu, bo i tak niczego więcej nie wiem.

– To znaczy, mamy coś zrobić, ale nie wiadomo co, gdzie i jak, dobrze mówię? A tymczasem mamy siedzieć na dupie i pierdzieć w stołek?

– Na to wygląda – powtórzył Inteligentny. – Na razie zapoznajcie się z materiałami na tablicy. Jutro wrócą z poligonu chłopcy z Kompanii G. Od nich będziecie przejmować obowiązki.

Rzuciliśmy okiem na zdjęcia miasta i bohaterów sprawy, bez większego zresztą zainteresowania. Twarze były doskonale znane, a nam zależało, żeby wyjść na powietrze i złapać trochę słońca.

Wyszliśmy więc na dwór w dzinsach, adidasach, podkoszulkach. Słońce świeciło ostro. Przy śmigłowcach, a stały tam chinooki i pумы, kręciło się paru chłopaków z obsługi.

– Na opalanie chyba jednak za chłodno – odezwał się James, jeden z naszej czwórki – ale pogoda w sam raz, żeby pobiegać.

– A gdzie? – machnąłem ręką w stronę ogrodzenia z drutu kolczastego. – Zamknęli nas jak zwierzęta w klatce.

– Rzeczywiście, można tylko w kółko, ale i tak nie mamy nic innego do roboty – odparł James.

Powlekleliśmy się na kwaterę, czyli do sąsiedniego baraku, gdzie zaraz po przyjeździe zostawiliśmy rzeczy, a przyjechaliśmy przed godziną. Cały mój sprzęt mieścił się w plecaku i nylonowym worku lotniczym, a najważniejszym elementem dobytku był walkman z kilkoma kasetami, na które przegrałem ulubione kawałki Madness, Sham 69, Elgara i *Jerozolimę z Ognistych Rydwanów*. Nie chciało mi się grzebać w plecaku, więc wywalilem wszystko na koję, jak leci. Przebrałem się do biegania.

Kłusowaliśmy z Jamesem wzdłuż płotu zerkając, jak chłopcy przy chinookach obżerają się lodami. Nieco dalej stanęliśmy jak wryci.

– Popatrz tylko – zawołałem na widok maszyny, o której, owszem, słyszałem, ale której nigdy na oczy nie widziałem. Ledwie sto metrów od nas stał sobie czarny, kanciasty samolot szpiegowski ze znakami USAAF – Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych. Budził respekt; właśnie taki geometryczny kształt sprawia, że maszyna jest niewidzialna dla radarów. Nie wiem dlaczego, ale obecność tej maszyny w tym miejscu i w tym czasie upewniła mnie, że nie przyjechaliśmy na darmo, że dojdzie do zapowiadanej operacji.

Pół godziny później, po prysznicu, poszliśmy wywiedzieć się, gdzie lotnicy załatwili sobie lody.

Udało się, a wieczorem zajęliśmy się sprzętem. Było go sporo. Kazano nam bowiem zabrać cywilne ciuchy, w paru zresztą zestawach, a także kilka typów kamizelek kuloodpornych; takie jakie nosi się na wierzch i te, które wkłada się pod koszulę, żeby nikt nie widział. Słowem, kazano nam się przygotować na różne warianty. To samo dotyczyło się broni. Mieliliśmy niezły arsenał: cztery M 16, parę karabinów snajperskich, kilka MP5, MP5K, MP5SD oraz parę pistoletów Welrod z tłumikami. Do tego trzeba doliczyć cały zestaw ładunków wybuchowych najprzeróżniejszych typów, od niewielkich do wysadzania drzwi, do sporych, za pomocą których można rozwalić dajmy na to mur. Tych zresztą nie przywoziliśmy, bo czekały na nas na miejscu. Przywieźliśmy natomiast gogle noktowizyjne i urządzenia na podczerwień do działań nocnych, jeśli taki będzie scenariusz. A jaki naprawdę będzie, tego nikt z nas nie wiedział. W istocie niczego jeszcze nie ustalono do końca, nawet charakteru akcji, to znaczy, że nie było wiadomo, czy wystąpimy niejawnie, w cywilnych ubraniach, czy otwarcie, w mundurach, czy ewentualnie – w czarnych kombinezonach jako oddział antyterrorystyczny.

A wśród wielu innych rzeczy mieliśmy także apteczki pierwszej pomocy, z plazmą i tym, co jeszcze trzeba na wypadek ciężkiego zranienia. Uporządkowawszy rzeczy, włączyliśmy wideo. Mieliliśmy do oglądania sześć

godzinnych kaset z *Fawltly Towers*.

Nazajutrz rano przejrzelismy gazety, wysluchalismy wiadomosci radiowych, zerknelismy na telewizje, bo nic innego nie bylo do roboty. Ponzniej zaś wynieslismy krzesla na dwor i rozsiedlismy się na sloncu.

Wczesnym przedpoludniem dwoma samochodami przyjechali nasi z Kompanii G. Byli na poligonie, cwiczylu nocne strzelanie. Pierwszy objawil się Tony, z którym się trochę kumplowalismy.

– Fajnie, że jesteście – przywital się.

– Wiesz, jak to jest. Kiedy się trafia przyzwoita robota, to człowiek korzysta z okazji.

– Pierdolisz, a poza tym robota jest chujowa. Nikt nic nie wie. Na szczęście za dwa dni wyjeżdżamy, a wy przejmiecie obowiązki.

– Naprawdę nic nie wiadomo?

– Nic.

W rzeczy samej wiedzieliśmy tylko tyle, ile powiedział nam Inteligentny, to znaczy, że Johna McCarthy’ego, Toma Waite’a oraz pewnego Irlandczyka nazwiskiem Brian Keenan, a także jakąś liczbę Amerykanów porwano w Bejrucie i więziono jako zakładników. Zachód zmobilizował wszystkie siły i węży, aby ustalić, gdzie dokładnie przebywają, gdy zaś się uda, wtedy do akcji wchodzimy my. Nasze zadanie polega na odbiciu zakładników i przewiezieniu ich w bezpieczne miejsce.

– Byłeś w mieście? – spytałem Tony’ego przy herbacie.

– Byłem, ale nic ciekawego. Nudno jak diabli. Paru naszych łączników w ambasadzie czy konsulacie, czy jak to się nazywa, wybiera odpowiednie LS – *Landing Sites* – miejsca lądowania. Trzymają rękę na pulsie i jak tylko coś się wyjaśni, mają dać znać.

– A coś się wyjaśniło?

– Gównu. Na razie wszyscy kręcą się w kółko. Normalnie. Za tydzień będzie raczej po herbacie. Jedno jest pewne, że coś jednak się zdarzy, bo po co by nas przysłało.

– Jak wygląda miasto?

– Zwyczajnie, tak jak widziałeś w telewizji. Ruiny, domy posiekane, a na ulicach prawie same mercedesy. Szczerze mówiąc, nie bardzo się interesowałem. Obejrzę sobie, gdy trzeba będzie, to znaczy, gdy powiedzą, że jest robota. A tak w ogóle, to robota zapowiada się całkiem zwyczajnie. Trzeba opanować dom i tyle. Jedyna korzyść, to że dostaliśmy darmowe okulary przeciwsłoneczne – na potwierdzenie wyciągnął parę wcale nie tanich okularów RayBan. – Niezłe, co?

– Skąd je masz?

– Kazionne. Cwiczylismy desant z chinooka i atak. Założenie było takie, że lądujemy tuż przy obiekcie. Śmigłowiec siada, otwiera się tylna rampa,



wyskakujemy. Jak wiesz, w środku w śmigłowcu jest ciemno jak u Murzyna. Siedzieliśmy więc na pokładzie, całą dwunastką, w pełnym oporządzeniu, z bronią – MP5 i G3 – gotowi wszcząć trzecią wojnę światową, rampa opada i dupa sałata. Pełne słońce, a my ślepi jak kocięta, nic nie widzimy. Sean krzyczy: „wysiadać”, a my pytamy, o co chodzi. On na to, że jesteśmy wały, a nie oddział specjalny. Być może, ale po prostu nic nie widzieliśmy. Zero trafień. Wreszcie pilot poszedł po rozum do głowy i wytłumaczył, że jak się wysiada z ciemnej kabiny, to tak musi być. Skończyło się na tym, że przydzielili nam okulary przeciwsłoneczne, takie same jak pilotom. Fajnie, choć mogłoby być lepiej.

– ?

– Bo to marka RayBan, a chcieliśmy Oakley Blades.

– Francja-elegancja, w głowach wam się przewróciło.

Cała ta opowieść dobitnie ilustruje nasz stosunek do zadań. A więc mamy zaatakować jakiś obiekt w Bejrucie i odbić zakładników. I co z tego? Nie ma się czym podniecać, dopóki Inteligentni nie ustalą, o jaki obiekt naprawdę chodzi, i nie potwierdzą, że zakładnicy są żywi, a tego jeszcze nie uczyniono. Skoro tak, to nie ma co się zastanawiać ani podniecać. Przecież nie będziemy latać z ozorem: „Widzicie, to my! Przyjechaliśmy na ratunek. Będziemy odbijać zakładników”. Na razie nie ma o czym mówić. Pogadamy, jak rzeczywiście będzie robota.

A samo wzięcie obiektu? Zasady są zawsze takie same. Nic nowego. Nowy jest tylko rejon działania. Wrogie otoczenie. I znów, co z tego? Mamy broń, kamizelki, śmigłowiec, a najważniejsze, że jesteśmy fachowcami. Nic więcej nie trzeba.

Chłopcy z G poszli odpoczywać, a naszą czwórkę wziął Sean.

– Zrobimy tak – powiedział. – Za dwa dni wasza grupa przejmuje obowiązki. Odsyłamy do domu czterech chłopców z Kompanii G. Reszta na razie zostaje, na wszelki wypadek. Obowiązują zwykłe zasady. Całkowita izolacja. Nie opuszczacie bazy. Poczta będzie dochodzić codziennie. Nie ma ograniczeń, jeśli idzie o korzystanie z telefonu. Codziennie rano baza wysyła kogoś po zakupy, więc jak coś będzie potrzebne, możecie zamawiać.

– A gdzie kwateruje załoga śmigłowców?

– W mieście, w hotelu.

– Gdzie tu sprawiedliwość? – zaprotestowaliśmy chórem. Zawsze jest tak, że nas trzymają za drutami, niby dla bezpieczeństwa, a piloci, którzy też o wszystkim wiedzą, mieszkają sobie na mieście.

– Zamykają nas jak zwierzęta – podsumowałem głośno.

Krótką odprawa wyczerpała oficjalny program dnia. Dalej nie było co robić. Owszem, w bazie mieli niewielką salę gimnastyczną, ile można jednak ćwiczyć. Złegłem na koi, słuchałem walkmana, przeczytałem gazetę. Potem

napisałem do Fiony: *Mam nadzieję, że ubezpieczenie wypłaciło już pieniądze. Kup, co chcesz.* Tuż przed moim wyjazdem wylałiśmy przypadkiem kubełek z farbą na dywan i należało się odszkodowanie. W postscriptum obiecałem, że po powrocie naprawię dach. Przeciekał w jednym miejscu, ale jak tylko zabierałem się do roboty, to akurat wzywano mnie do jednostki i tak to trwało tygodniami. Z dziury w dachu zrobiło się niemal rodzinne przysłowie.

Nazajutrz rano znów zebraliśmy się w sali odpraw. Tony oznajmił, że zostaje z trzema kumplami, bo do domu odsyła inną czwórkę. Podmiana była oczywiście rutynowa, tak zwykle się dzieje, ale nie byłibyśmy sobą, gdybyśmy nie skorzystali z okazji, żeby powiedzieć wałom z Kompanii G, że nas przysłali, a ich odsyłają właśnie dlatego, że są wałami.

W kącie ktoś zainstalował telewizor i wideo. Zjawił się Inteligentny.

– Obejrzycie – powiedział – kilka dzielnic Bejrutu, gdzie prawdopodobnie znajdują się zakładnicy. Nie jest to nic pewnego, ale pozwoli wam zorientować się w mieście.

Materiał nakręcili nasi, oddelegowani do ambasady w charakterze łączników. Zarejestrowali miejsca, gdzie ewentualnie można siadać helikopterem, a także charakterystyczne budynki, punkty strategiczne, posterunki i tak dalej. Zwrócili też uwagę na ruch uliczny w pobliżu potencjalnych obiektów naszego działania, bo to ważne, żeby wiedzieć, czy ulica jest uczęszczana, jakie są możliwe trasy dojścia i ewakuacji. Wszystko to sfilmowali z ukrytej kamery, a ponieważ kręcili z samochodu, obraz trząsał się niemiłosiernie, a czasami w ogóle znikał.

Działania niejawne w warunkach miejskich są dość trudne. Podstawowa zasada polega na tym, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Niby zwyczajnie się spaceruje, a w istocie wykonuje się zadanie. Jak to robić, to zależy od wielu czynników: klimatu, otoczenia, miejscowych obyczajów i warunków. Łatwiej ukryć się w wielkich miastach, takich jak Kair czy Bangkok, gdzie ludzie się nie znają, nikt na nikogo nie zwraca uwagi, ulicami przelewa się tłum, funkcjonuje transport publiczny i jest sporo miejsc ogólnie dostępnych. Wbrew pozorom w tłumie człowiek porusza się znacznie swobodniej. Bejrut był inny, trudniejszy. Mieszkańcy dzielili się na zamknięte klany rodzinne czy polityczne, a to utrudnia obcemu poruszanie się po mieście. Ruch jest bardzo ważny. Jak się stoi w miejscu, to zawsze ktoś może się zainteresować, podejść, zagadnąć, zadać pytanie.

Simon, chorąży z wywiadu, całe niemal życie spędził na Bliskim Wschodzie. Był dłuższy czas w Omanie, jako doradca w ichniej armii, służył też w Bejrucie, gdy oddziały brytyjskie wchodziły w skład sił ONZ. Mówił doskonale po arabsku. Z Pułkiem związany był od lat.

„O jednym powinniście wiedzieć. Ten kraj to istny polityczny labirynt. Jest tam tyle najprzeróżniejszych frakcji, grup, klanów i czort wie czego, że

jeśliby się coś stało, to znaczy któryś z was zostałby na placu, to możecie mi wierzyć, że wyląduje w jednej celi z Terrym Waite'em i święty Boże nie pomoże. Im szybciej więc sprawa zostanie zakończona, tym lepiej dla was. Bo w ogóle to najlepiej stąd wypierdalać do domu”.

Zastanawiałem się, co by było, gdyby mnie raptem wzięto jako zakładnika. Na początku pewnie byłoby źle, dostałbym w kość, ale potem... potem pewnie siedziałbym jak Waite i szczalibyśmy do jednego kubła. Nie znaczy to, że w ogóle bałem się, czy coś takiego, ale na wszelki wypadek wbiłem sobie do głowy adresy ambasad i konsulatów, jak również amerykańskiego uniwersytetu w Bejrucie i miejsc, gdzie gromadzą się zagraniczni korespondenci. Choć z drugiej strony nie sądziłem, abym kiedykolwiek dostał się do niewoli. Miałem broń, mnóstwo amunicji, a cała operacja, jeśli do niej dojdzie, zakończy się w piętnaście minut i żaden chuj nie zagrozi mi drogi do śmigłowca.

– A kiedy pojedziemy do Bejrutu, żeby się rozejrzeć? – ożywił się James.

– Właśnie załatwiamy z ambasadą. Nasi z placówki wszystko przygotowują, tak żeby nie tracić czasu. W najbliższych dniach załogi śmigłowców odbędą kilka lotów ćwiczebnych, zabierzecie się z nimi. Prowizoryczne lądowisko będzie pewnie na kortach Ambasady Amerykańskiej. Nasz wielki brat redukuje obecnie personel ze względu na oszczędności, ale robi to po cichu. Nam zależy na lądowisku, im zaś na tym, żeby wyglądało, że w dalszym ciągu mają dużo ludzi na miejscu, więc interesy się zbiegają. Zorientujemy się co i jak, a przy okazji wywieziemy trochę ich ludzi. Jak się sprawa rypnie, Amerykanie zawsze będą mogli powiedzieć, że odwołali niektórych swoich pracowników za pomoc udzieloną Brytyjczykom. Wszyscy będą zadowoleni. Tyle że na razie nic jeszcze nie ustalono do końca. Jest i taka ewentualność, że na miejsce akcji nie będziemy lecieć śmigłowcem, tylko pójdziemy w przebraniu. Decyzji nie ma.

Zwrócił się do chłopców z Kompanii G, że jeśli chcą, to mogą wyjść, bo słyszeli już to, co ma jeszcze do powiedzenia. Chodziło o zorientowanie nas w ogólnej sytuacji.

– Tak więc – ciągnął – są trzy możliwości. Pierwsza taka, że po otrzymaniu odpowiednich informacji i potwierdzeniu, że zakładnicy żyją, załatwiamy sprawę. W zależności od sytuacji działacie sami albo wzywamy posiłki. Według stanu na teraz zakładamy, że na miejsce akcji lecimy śmigłowcami, pumami albo chinookami, w zależności od konkretnych warunków. Atakujemy obiekt, odbijamy zakładników i ewakuujemy się tak samo, jak przybyliśmy. Najistotniejszy punkt to nie dolot, nawet nie atak, bo to przecież potraficie, ale co innego, a mianowicie pierwsza pomoc zakładnikom. Nie wiemy, w jakim są stanie. Być może trzeba będzie coś z nimi zrobić jeszcze w czasie lotu. Załadujemy więc niezbędne rzeczy. Nie

można wykluczyć, że będą potrzebne nosze. Jest też problem z uzupełnianiem paliwa. Jeśli polecimy chinookami, to nie ma sprawy, bo ten typ ma dodatkowe zbiorniki. Jeśli trzeba będzie użyć pum, wtedy musimy zapewnić tankowanie w Bejrucie. Myślmy o tym. Jedną z możliwości to skorzystanie z pomocy Amerykanów i uzupełnienie paliwa na morzu. Tak więc pierwszy ewentualny scenariusz jest dość prosty. Lecimy, odbijamy, wracamy, ale dopóty, dopóki nie ustalimy, gdzie przebywają zakładnicy, tę wersję trzymamy w rezerwie. Druga możliwość to lot do Bejrutu śmigłowcem, co nie wzbudzi specjalnych podejrzeń, bo ruch w powietrzu jest spory. Ale po wylądowaniu rozpoczyna się bardziej złożona akcja. Przenikamy w stronę obiektu w tajemnicy. Przewodnikami będą nasi z ambasady. Inna wersja tego samego scenariusza opiera się na tym, że z lądowiska ruszymy dalej jako zwarty oddział, w mundurach. Załatwiamy co trzeba i ewakuujemy się samochodami w najbliższe bezpieczne miejsce, skąd zabierają nas śmigłowce. Wszystko zależy od tego, gdzie jest obiekt. Tego wszakże jeszcze nie wiemy. Ostatnia wreszcie możliwość to akcja od początku do końca konspiracyjna. Przenikamy do Libanu najpewniej łodziami. Na miejscu przejmują nas nasi z ambasady. Szczegółów nie podaję, bo nic jeszcze nie jest ustalone.

– Nie ma nic lepszego, jak starannie zaplanowana akcja – zakpił James. – Niech żyje Kompania G!

– Nie ma co się wypinać – odburknął Sean – bo naprawdę nikt nic nie wie. Na razie jesteśmy tutaj. Będzie robota w Bejrucie albo nie będzie, zobaczymy, a tymczasem – machnął ręką w stronę naszej czwórki – marsz czyścić broń, potem na strzelnicę kalibrować celowniki. Później zgłosicie się do Tony’ego. Pozna was z czwórką wyjeżdżających. Przejmiecie od nich sprzęt medyczny i ładunki wybuchowe.

Nie przebierając się, w džinsach i adidasach, pojechaliśmy na strzelnicę. Sprawdziliśmy magazynki, przestreliliśmy broń. Nikt się specjalnie nie przykładał. Po pierwsze broń była i tak sprawdzona, a po wtóre śmiertelnie się nudziliśmy.

Potem wyczyściliśmy wszystkie MP5 i G3, a następnie poszliśmy do Kompanii G po sprzęt. Sprawdziliśmy wszystko: plazmę, opatrunki, składane plastikowe nosze, a także specjalne spodnie przeciwwstrząsowe. Wymyślili je Amerykanie i są rzeczywiście doskonałe. Otóż wkłada się to na dolną część ciała, pompuje, przez co wszystkie płyny fizjologiczne utrzymują się w górnej części ciała. Podstawowa zasada postępowania przy ciężkich zranieniach i wstrząsach polega na tym, aby powstrzymać wpływ krwi i uzupełniać ubytek płynów w organizmie.

Chłopcy z G cieszyli się z wyjazdu, ale na koniec spotkała ich mała przykrość. Wydawało im się, że okulary przeciwsłoneczne dostali na

własność, gdy tymczasem, kiedy wsiadali już do samolotu, zjawił się Sean przypominając, że „okulary stanowią wyposażenie kompanii, nie są prywatną własnością”.

Przez parę następnych dni szwendaliśmy się bez specjalnego zajęcia. Chodziliśmy do stołówki, biegaliśmy, żeby nie tracić formy, ćwiczyliśmy, przygotowując się na wszystkie możliwe scenariusze. W dalszym ciągu nie ustalono, gdzie znajdują się zakładnicy, ale musieliśmy się liczyć z tym, że w każdej chwili każą nam wsiadać do śmigłowca i ruszać, bo zadanie się nie zmieniało. Mamy odbić zakładników i jak najszybciej ewakuować się z nimi w bezpieczne miejsce. Nie wiedzieliśmy także, w jakim stanie będą nasi przysli podopieczni – wyczerpani, odurzeni czy też będą mogli ruszać się o własnych siłach. Trzeba więc było przygotować sprzęt na każdą ewentualność. Nie zapomnieliśmy nawet o nożycach do cięcia stali, bo nie można wykluczyć, że zakładnicy będą przykuci do ściany.

Pokazano nam komputerowo przetworzone fotografie zakładników, przedstawiające ich prawdopodobny obecny wygląd: z brodą, bez brody, wychudzeni, posiwiali, w okularach i bez nich, z ranami i bliznami. Chodziło o to, abyśmy mogli ich od razu rozpoznać.

Będziemy operować w nieprzyjaznym otoczeniu, stąd szczególnego znaczenia nabierał czynnik szybkości i zaskoczenia. Trzeba załatwić sprawę, zanim przeciwnik zorientuje się, co się dzieje. Bywa tak, że dziesięciominutową akcję przygotowuje się przez dziesięć długich miesięcy. Ćwiczy się i powtarza, powtarza i ćwiczy.

Dokonywaliśmy więc desantu z powietrza. Lot śmigłowcem, dojazd samochodami. Przewidywaliśmy sytuacje, w których każdy z nas dociera do celu osobno. To zresztą nic nowego. Stosowaliśmy tę taktykę w Irlandii. Niby nic się nie dzieje. Idą jacyś faceci, niby przypadkowi przechodnie, a raptem... łup i jatka. Dociera się do obiektu, załatwia sprawę i odwrót.

Desantowaliśmy także z morza. Dobijamy na plażę, tam już na nas czekają. Ładujemy się do auta, jedziemy gdzie trzeba. Śmigłowiec czeka w odwodzie i w stosownym momencie ląduje albo tuż obok, albo na przykład na dziedzińcu naszej ambasady, dokąd docieramy samochodami.

Ćwiczyliśmy też wariant najprostszy, to znaczy bezpośredni desant z powietrza prosto na obiekt. Zjeżdżamy po linach, forsujemy wejście, odbijamy zakładników, śmigłowiec w tym czasie wisi w powietrzu lub krąży wokół obiektu. Nasi ludzie na miejscu osłaniają nas, a później ewakuują się razem z nami.

W pewnej chwili zaczęło wyglądać na to, że operacja odbędzie się następująco: do Bejrutu lecimy śmigłowcem, lądujemy na terenie naszej ambasady, dalej przemieszczamy się samochodem. Docieramy do obiektu, odbijamy McCarthy'ego, Waite'a i kogo tam jeszcze znajdziemy na miejscu,

potem odwrót samochodami do ambasady. Startuje pierwszy śmigłowiec, natychmiast zjawia się drugi po resztę ludzi i trzeci, jeśli będzie taka potrzeba. Pierwszym odlatują zakładnicy. My lecimy ostatnim. Rozeszły się pogłoski, że jednak wystąpimy jako oddział zwarty, w mundurach, a później znów mówiono, że operacja będzie miała charakter niejawnny, co oznaczało, iż w pobliże obiektu przedostajemy się w cywilnym przebraniu, a dalej – normalnie. Forsujemy wejście...

Tymczasem wciąż brakowało podstawowych informacji. Jak wygląda obiekt? Jakie są drzwi? Co jest po ich drugiej stronie? To ważne. Drzwi wysadzamy, ale trzeba to zrobić tak, żeby uniknąć ofiar. Zadanie polega na tym, żeby uratować zakładników, a nie pozbawiać ich życia! Dysponujemy różnymi ładunkami. Trzeba wybrać odpowiedni.

Czekaliśmy na sygnał. Zawsze tak jest: pośpiech i czekanie, czekanie i pośpiech, a jednocześnie: ćwiczyć i sprawdzać, sprawdzać i ćwiczyć. Wreszcie coś drgnęło.

„Jutro – oznajmił Sean – załogi śmigłowców będą oblatywać trasę. Piloci przećwiczą lot w warunkach ograniczonej widoczności, z użyciem noktowizorów. Możecie się zabrać. W mundurach, ale bez broni. Nie zapomnijcie o dokumentach”.

Poszliśmy na lądowisko.

– Jak leci?

– Nudno. Hotel, nic nadzwyczajnego, a zresztą wszystkie kilkunastokilowe wyglądają tak samo.

– Niech was szlag trafi.

– Zazdrosny? Startujemy za czterdzieści pięć minut. Sprawdzamy trasę, przyrzędy, zwłaszcza noktowizory.

Byli gotowi. W kombinezonach, kamizelkach ratunkowych, bo trasa wiodła nad morzem. My też włożyliśmy kamizelki.

Lot przebiegł normalnie, nad morzem nic ciekawego. Bejrut też mnie rozczarował. Z góry wyglądał zwyczajnie, jak wszystkie inne miasta na Bliskim Wschodzie. Widzieliśmy światła w domach i smugi reflektorów samochodowych na ulicach. Nie mogliśmy natomiast zobaczyć, bo nie da się tego dostrzec gołym okiem, błysków namiernika na podczerwień, wedle którego pilot sterował maszyną, kierując się do centrum miasta.

Usłyszałem, że pilot redukuje obroty wirnika, zaczęliśmy schodzić w dół, a w chwilę później usiedliśmy na ziemi. Wirnik jeszcze pracował, gdy załogant otworzył drzwi. Zobaczyliśmy dwóch facetów z Kompanii G, łączników przy ambasadzie. To oni odpowiadali za lądowisko. Zjawili się jeszcze dwóch, też z Kompanii G. Ci przyszli po pocztę. Wzięli worek od załoganta i tyle było ich widać. Mogłem popatrzeć tylko na światła samochodu, którym odjechali. Zresztą nic więcej nie widziałem, bo

natychmiast wystartowaliśmy. Maszyna zatoczyła krąg i wzięła kurs na punkt, gdzie uzupełnimy paliwo.

– Ot i cała wycieczka do Bejrutu...

– Ale przynajmniej sprawdziliśmy czas dolotu – odparł James. Nazajutrz kpiono niemiłosiernie z naszej wielkiej wyprawy do Bejrutu.

„No i jak się miewa Terry Waite? Mówił coś?”

Niektórzy szczerze współczuli zakładnikom, a inni co najwyżej wzruszali ramionami, zauważając, że Terry Waite sam się wpakował w szambo.

„To się musiało tak skończyć, sam narobił sobie kłopotów”. Znow minęło kilka dni, gdy raptem o czwartej rano obudził nas dyżurny z nasłuchu.

„Alarm. Biegiem do sali odpraw. Zaczyna się”.

Nareszcie!

Narzuciliśmy coś na siebie i w sekundę byliśmy na miejscu.

– Wylot o ósmej – oznajmił Simon bez większych wstępów. Był w klapkach, podkoszulku, nie zdążył nawet przetrzeć okularów. Ustalono obiekt. Czekamy na potwierdzenie. Powinno nadejść lada chwila...

– A więc – przerwał mu Sean – ruszamy. Forsujemy wejście, zabieramy zakładników. Piloci już zawiadomieni, za chwilę się zjawią. I nie będziemy się patyczkować. Jeśli się da, lecimy prosto na obiekt. A teraz zasady: nie rozpoczynamy ognia, chyba że w ostateczności, ale w ogóle to unikamy strzelaniny. Zabieramy zakładników i dajemy dęba. Chodzi tylko o nich. Szczegóły omówimy, gdy nadejdzie potwierdzenie. Wedle tego, co wiemy, operacja może się odbyć tylko dziś. A więc przygotować się. I jeszcze jedno: wariant zielony.

W naszym języku „zielony” oznacza, że występujemy w mundurach i jawnie.

Wiadomość nie wywołała szczególnego napięcia czy podniecenia. Po wielu tygodniach oczekiwania, przygotowań i ćwiczeń marzyliśmy tylko o jednym, żeby wreszcie mieć to za sobą. Ubrałem się w kombinezon maskujący. Obuwie wzięłem lekkie, bo nie będzie żadnych marszów w terenie. Na ziemi spędzimy co najwyżej pół godziny. Do pojemników na szelkach wcisnąłem dziesięć magazynków z amunicją 7,62. Zdecydowałem się na G3 ze składaną kolbą, bo ma większą siłę ognia niż cokolwiek innego, ale na wszelki wypadek zapakowałem też MP5. Przyda się, gdyby w ostatniej chwili miało się coś zmienić.

W plecaku były dwa litry plazmy i cztery zestawy do podawania krwi. Resztę medykamentów i składane nosze zapakowaliśmy osobno. Na szyi miałem oczywiście *dog tag* – znak tożsamości, oraz legitymację w plastikowej oprawie, do której przywiązałem – to mój własny patent – dwie strzykawki z morfiną, tak na wszelki wypadek, bo raczej nie zakładałem, żeby były potrzebne. Morfiny nie stosuje się przy ranach postrzałowych piersi,

żołądka i głowy. A zresztą zanim nadarzy się okazja czy potrzeba użycia morfiny, to i tak będzie już po wszystkim i zaczniemy myśleć tylko o tym, żeby kupić parę flaszek w sklepie wolnocłowym przed odlotem do domu.

Gotowi do akcji zebraliśmy się w sali odpraw.

– Ciągłe czekamy na sygnał – oznajmił Sean.

Załogi śmigłowców też były gotowe. Na pasie startowym rozgrzewano silniki. Piloci w pełnym oporządzeniu bojowym.

Minął kwadrans.

– A może herbaty – przerwał ktoś milczenie.

– W porządku, możecie wyjść – zgodził się Sean – ale nie łązić po obozie.

Wszyscy mają być pod ręką.

– Skontrolujemy jeszcze łączność – przytomnie zaproponował ktoś od „drucików”.

Sprawdziliśmy, czy sieć funkcjonuje bez zakłóceń, czy słyszymy się wzajemnie. W czasie operacji naszym centrum łączności z bazą będzie śmigłowiec.

Dochodziła szósta. Siedzieliśmy popijając herbatę. Minęła ósma. Sean pozwolił nam pójść do stołówki. Wciąż czekaliśmy na sygnał. Nie pamiętam o której Sean nagle oznajmił, że operacja odwołana. „Odbój!”

Niech ich rudy byk... Było tak blisko.

Zostawiliśmy sprzęt w sali operacyjnej. Poszliśmy pobiegać, potem oglądaliśmy trochę telewizję, czytaliśmy gazety. Po południu zarządzono odprawę.

„Jest ostateczna decyzja, operacja odwołana. Dlaczego? Nie wiemy. Wracacie do jednostki”.

Spakowaliśmy sprzęt, co trzeba zdaliśmy do miejscowego magazynu. Dali nam dwa dni wolne. Postaraliśmy się o jakiś wóz i byczyliśmy się na plaży.

Szczerze przyznam, że nie przejęliśmy się zbytnio takim obrotem spraw. Tak to już jest w naszym zawodzie, że ćwiczy się do znudzenia i nic z tego nie wychodzi.

Wkrótce potem ukazał się artykuł w „Timesie” wielce krytyczny wobec władz, którym zarzucano, iż „zmarowano szansę” uratowania zakładników, na co zareagował rzecznik Ministerstwa Spraw Zagranicznych, oświadczając, że: „Rząd aktywnie i energicznie badał wszelkie możliwe rozwiązania, jakie dyktowała sytuacja, ale niestety okazały się one nie do przyjęcia w tych konkretnych okolicznościach”.

Nigdy się nie dowiedzieliśmy, co oznaczało określenie „konkretne okoliczności”. Jeśli chodzi o nas, to zrobiliśmy swoje, a że przy okazji pogzaliśmy się trochę na słońcu... ale to już inna sprawa.



## 24

W sali wykładowej zebrała się cała Kompania B. Bert, z wywiadu, objaśniał sytuację:

„Jak wiecie, Pułk bierze udział w rozmaitych akcjach związanych ze zwalczaniem handlu narkotykami. Współpracujemy z odpowiednimi instytucjami w Stanach Zjednoczonych, włączając w to DEA – *Drug Enforcement Agency* – agencję do zwalczania narkotyków. Jej przedstawiciele wielokrotnie gościli tu, w Herefordzie. Nasi ludzie uczestniczą w operacjach jednostek amerykańskiej Straży Wybrzeża przeciwko przemytnikom narkotyków. Jeśli idzie o działania w kraju, to mieliśmy i mamy swój udział w akcjach na rzecz likwidowania handlu narkotykami w Londynie, głównie zresztą przedsięwzięć związanych z IRA, która w ten sposób zdobywa fundusze na swoją działalność. Głównym rynkiem zbytu narkotyków są Stany Zjednoczone, ale Europa wcale nie pozostaje w tyle. W uboższych dzielnicach wielkich miast tworzą się prawdziwe centra handlu narkotykami i istnieje poważna obawa, że zjawisko to zacznie się jeszcze bardziej rozprzestrzeniać. Słowem, grozi nam epidemia narkotyków i w tej sytuacji zapadła decyzja na wysokich szczeblach rządowych o włączeniu do akcji zwalczania narkotyków rozmaitych instytucji Zjednoczonego Królestwa, w tej liczbie także nas. Tak więc – nie przerywając wykładu Bert rozwinął mapę Ameryki Południowej – oto wasz teren działania wskazał palcem na jedno z państw. – Sprawa jest ściśle tajna. Nie wolno wam o niej wspomnieć nawet w rozmowach między sobą na terenie jednostki, pod groźbą usunięcia z Pułku, zwłaszcza zaś nie wolno wymieniać nazwy kraju, o który chodzi. W dalszej części informacji

będę więc posługiwał się terminem »określony region latynoamerykański« – puścił do nas oko, ale po chwili spowaźniał i ciągnął dalej: Ani teren, ani sytuacja nie są łatwe. Nasz »określony region latynoamerykański« należy do najniebezpieczniejszych w świecie, jeśli pominąć kraje, gdzie toczy się wojna. Tylko w ubiegłym roku notowano tu dwadzieścia tysięcy morderstw! W jednym tylko mieście »określonego regionu« dokonano co najmniej trzech tysięcy zabójstw związanych z narkotykami. W rzeczy samej statystyczny mieszkaniec tego regionu w wieku od osiemnastu do sześćdziesięciu lat rzadko kiedy umiera w sposób naturalny. Do początku lat siedemdziesiątych produkcja narkotyków w Ameryce Łacińskiej była zjawiskiem marginalnym. Później jednak rozwinął się tam cały przemysł o rocznych obrotach idących w dziesiątki i setki miliardów dolarów, z własnymi hurtowniami i armią »narkogoryli«, strzegącą stanu posiadania. Całością rządzą kartele narkotykowe obejmujące producentów i dystrybutorów. One podzieliły między siebie cały rynek i podporządkowały sobie władze polityczne. Olbrzymie zyski zapewniają kartelom niemal całkowitą bezkarność. Z ich rozkazu morduje się policjantów, sędziów, wyższych oficerów wojska. Owszem podejmowane są pewne przeciwdziałania, ale nieskuteczne, a wysiłek okazuje się syzyfowy. Skuteczną walkę z narkotykami należy prowadzić u źródła. Jeśli tam odniesiemy sukces, jeśli uda nam się przynajmniej ograniczyć produkcję, będzie to miało korzystny wpływ także na to, co się dzieje u nas w kraju”.

Z dokumentów wywiadu amerykańskiego, z którymi Bert nas zapoznał, wynikało, że trzy „określone” kraje południowoamerykańskie dostarczyły, w jednym tylko 1988 roku, surowca wystarczającego na wyprodukowanie trzystu sześćdziesięciu ton czystej kokainy. Przy cenie rynkowej na poziomie czternastu tysięcy dolarów za kilogram nie oczyszczonej kokainy, tak zwanej trójki, czyli zawierającej trzydzieści procent czystego związku, dochód dostawców sięga piętnastu miliardów dolarów. A trzeba do tego doliczyć zyski z produkcji marihuany, którą również hoduje się i wytwarza w owych krajach. W istocie zyski karteli sięgają sum astronomicznych. Zarabiają bowiem nie tylko na produkcji surowca, ale także na handlu. Zysk wynosi dwanaście tysięcy procent na jednostce surowca! Taka jest różnica między ceną surowca a ceną, jaką płaci klient-narkoman za porcję narkotyku w mieście.

„Z dwustu kilogramów liści koki – ciągnął Bert – uzyskuje się kilogram surowej kokainy. To jest podstawowy produkt i to wytwarza się na miejscu”.

Plantacje zakłada się w odległych regionach. To pierwsze ogniwo w łańcuchu. Kolejnym są punkty skupu surowca. Są ich tysiące. W nich to dokonuje się wstępnej obróbki. Następnie koka w postaci „pasty” transportowana jest na prowizoryczne lądowiska w dżungli. skąd wysyła się

ją do laboratoriów. Z dwóch i pół kilograma „pasty” otrzymuje się kilogram handlowej kokainy, tę zaś poddaje się dalszej rafinacji i w tej formie wysyła do odbiorców.

Kartele postarały się o wykwalifikowany personel techniczny, głównie zresztą z Europy. Sprowadzono też stosowny sprzęt. Zorganizowano odpowiednie kanały przerzutu kokainy do Stanów Zjednoczonych i – niestety – także do Europy, gdzie stworzono stosowne centra dystrybucji.

„W jednym tylko Nowym Jorku liczba narkomanów wzrosła trzykrotnie w ciągu ostatnich dwóch lat, ze stu osiemdziesięciu tysięcy do sześciuset i są to raczej niepełne dane. Nie obejmują na przykład osób biorących heroinę, a takich jest coraz więcej, zwłaszcza wśród młodszego pokolenia klasy średniej. Ogrom problemu ilustruje najlepiej takie oto wydarzenie: otóż we wrześniu tego roku policji w Los Angeles udało się skonfiskować transport dwudziestu ton kokainy, co było rekordem, jeśli idzie o wielkość ładunku. Wartość towaru wynosiła dwa miliardy dolarów. Tymczasem nie odnotowano żadnego ruchu cen na rynku narkotyków. Oznacza to, że podaż kokainy jest tak wielka, iż strata dwudziestu ton nie ma większego znaczenia w bilansie”.

Jeśli idzie o nasz „określony region latynoamerykański”, to nie należy on do ścisłej czołówki producentów, ale też nie jest ostatnim na liście.

Walka z narkotykami toczy się na wielu płaszczyznach. Wywiera się nacisk na zainteresowane rządy, aby zwalczać plantacje koki za pomocą defoliantów. Dużą wagę przywiązuje się do fizycznej likwidacji „punktów skupu” i wstępnej przeróbki surowca.

„Skoro nie chcemy – kończył Bert – aby narkomania w naszym kraju przybrała takie rozmiary jak w Ameryce, to powinniśmy zacząć walkę u źródła, podejmując działania prewencyjne, wyprzedzające. Jeśli to się uda, zmniejszymy tym samym strumień narkotyków płynący do nas”.

Najpierw do wykonania zadania wyznaczono Kompanię G. My mieliśmy wkroczyć kilka miesięcy później, co wcale mnie nie martwiło. Lepiej jest bowiem przyjść na gotowe, niż robić wszystko od początku.

Tak więc zaczęliśmy się przygotowywać do przejęcia obowiązków w „określonym regionie latynoamerykańskim”. Pierwszą sprawą była nauka języka. Chodziło o podstawowy poziom, poznanie języka w takim stopniu, aby móc się porozumieć bez tłumacza, ale i tak sprawa nie była łatwa.

Godzinami siedzieliśmy w laboratorium językowym ze słuchawkami na uszach. Raz po raz ten i ów rzucał mięsem zwyczajnie, po angielsku. szedł na herbatę albo w ogóle wynosił się w diabły, bo mu nie szło. Co do mnie, to gdy już miałem gramatyki powyżej dziurek w nosie, chodziłem pobiegać. Zależało mi głównie na tym, żeby się nauczyć odmiany czasowników, bo

wiem z doświadczenia, z czasów kiedy uczyłem się suahili, że gdy się to opanuje, to już człowiek daje sobie radę. Co do hiszpańskiego, bo tego właśnie musieliśmy się uczyć, nie jest to szczególnie trudny język. Po paru tygodniach opanowałem go na tyle, że mógłbym się potargować o pomidory na rynku albo zapytać, kiedy odchodzi najbliższy pociąg.

Niektórym poszło znacznie lepiej, a trafił się nawet taki jeden, co potrafił mówić niemalże bez obcego akcentu. Postanowiłem, że będę się go trzymał. Zrezygnowałem jednak, gdy kiedyś usłyszałem, jak tą swoją niby nienaganną hiszpańszczyzną odezwał się mniej więcej tak: „Cześć słonko, o której kończy się pani wieczorem?” Akcent to nie wszystko.

Poza językiem przygotowywaliśmy się do wyjazdu jak do każdej innej operacji, gromadziliśmy sprzęt, sprawdzaliśmy broń, słuchaliśmy wykładów Berta o kraju i głównych postaciach związanych z kartelem.

Wywiad postarał się o miejscowe gazety i tygodniki. Konwersacje prowadziły z nami hiszpańskojęzyczne małżonki naszych kolegów, a było kilka takich mieszanych par. W sumie chodziło o to, aby zapoznać się z terenem działania na tyle, na ile się da. Rozeszły się plotki, że ten i ów z Kompanii B bierze nawet lekcje latynoamerykańskich tańców. W plotkach zawsze jest ژیذبło prawdy, a prawda polegała na tym, że kompania B miała opinię wielce zabawowej.

Zaczęli wracać chłopcy z Kompanii G. Zapoznawali nas z sytuacją. Generalnie potwierdzali to, czego nas uczono, ale też dodawali trochę od siebie, radzili, co można poprawić, na co zwracać szczególną uwagę.

Zadanie, które mieliśmy do wykonania, można podzielić na dwie fazy. Pierwsza polegać będzie na ocenie stopnia wyszkolenia miejscowych oddziałów policji (chodziło o jednostki skoszarowane), a w ramach następnej rozpoczniemy program doskonalenia taktycznego i operacyjnego, ucząc ich technik patrolowania, obserwacji, zwiadu i w ogóle wszystkiego, co potrzebne do identyfikacji i rozpracowania DMP – *Drug Manufacturing Plant* – punktów przerobu narkotyków. Zadanie wcale nie było łatwe.

„Większość DMP – mówił Tony z Kompanii G – znajduje się głęboko w dżungli. Są dobrze zabezpieczone i strzeżone, wyposażone na ogół w system podziemnych tuneli, zapewniający możliwość ucieczki w razie odkrycia. Wystarczy, że w pobliżu pojawi się policyjny czy wojskowy śmigłowiec, a facyci znikają pod ziemią i zanim oddział sił bezpieczeństwa wylądaje, nie ma już nikogo”.

Operacja była tajna od samego początku. Nawet przerzut kompanii odbył się w konspiracji. Nie znaczy to, że przenikaliśmy na „określony teren” jak agenci wywiadu, ale jednak obowiązywało nas zachowanie pewnej tajemnicy.

Z doświadczenia wiadomo, że im mniej hałasu wokół jakiejś operacji, tym więcej szans na jej powodzenie.

Najpierw na pokładzie transportowca C130 odlecieliśmy do St. John's na Nowej Fundlandii, gdzie mieliśmy przenocować. Warunki w wojskowym transportowcu są spartańskie. Rząd plastikowych ławek, półki na bagaż. Sprzęt „podróżuje” razem z pasażerami. Wyjąłem hamak, przywiązałem do jakichś wsporników kadłuba i wyciągnąłem się z książką w ręku i słuchawkami walkmana na uszach. Wszyscy zresztą zrobili to samo. Samolot wyglądał jak kubryk na średniowiecznym okręcie. Łysoniowi trafiło się miejsce przy ogonie. Owszem, sporo tam wolnej przestrzeni, ale też niebывały smród z ubikacji ostro sypanej chlorem i oddzielonej od kabiny kawałkiem zasłony.

W St. John's panowała prawdziwa zima, minus dwadzieścia, a my byliśmy w letnich ciuchach.

– Trzeba skoczyć do miasta i czegoś się napić – zaproponował Łysoń, gdy dotarliśmy do hotelu.

Ruszyliśmy jak na wyścigi, a mimo wszystko zanim dotarliśmy do miejscowego wodopoju, miałem na wąsach sople lodu, a Łysoń lodowisko na czaszce. Wszyscy byli sini z zimna.

Łysoń rzucił okiem na półkę z trunkami i zadecydował:

– Poproszę gorącą czekoladę.

Nazajutrz rano wystartowaliśmy do drugiego i ostatniego etapu podróży. Lądowaliśmy w nocy, w bazie wojskowej, z wygaszonymi światłami pozycyjnymi. Podczas kołowania naliczyłem ze trzydzieści różnych maszyn na lotnisku, głównie awionetek, niektóre z silnikami odrzutowymi, oraz parę starych dakot i junkersów 88.

– Skonfiskowali to facetom od narkotyków – wyjaśnił Tony. Stoją tu i rdzewieją.

Niezależnie od tego, co Bert kładł nam do głowy, wydawało się, że nasz „określony region latynoamerykański” okaże się ciepłym krajem o przyjemnym klimacie. Tymczasem znaleźliśmy się wysoko nad poziomem morza, gdzie nie ma mowy o tropikalnej pogodzie. Noc była wręcz mroźna. Nasz Stary i sierżant, którzy przybyli tu tydzień wcześniej i wyszli nam na powitanie, zwyczajnie dygotali z zimna, choć mieli skórzane kurtki.

Podzielono nas na dwie grupy.

– Jedziemy do obozu – oznajmił sierżant. – Niedaleko, dwadzieścia minut, jeśli nie ma ruchu.

– A jeśli jest? – spytał Łysoń.

– Wtedy jedzie się trzy godziny.

Niestety był ruch, ale i tak mieliśmy szczęście. Chłopców z drugiej grupy wysłano do obozu odległego o cztery godziny jazdy, „jeśli nie ma ruchu”.

Na miejsce, czyli do bazy tutejszej policji, dotarliśmy o brzasku. Obóz sprawiał całkiem przyzwoite wrażenie. Czysto, porządek, baraki stare, ale zadbane, tak to przynajmniej wyglądało na pierwszy rzut oka. Rzeczywistość okazała się zgoła inna. Wylądowaliśmy w nędznej, śmierdzącej, ciasnej szopie wielkości – powiedziałbym – naszej kawalerki. Za całe umeblowanie służyły prycze i stół. Był jeszcze prysznic, ale nie starczyło już miejsca na sprzęt i bagaże. Jak w łodzi podwodnej – przyszło mi na myśl.

– Sprzęt schowamy chyba pod prysznicem – mruknąłem do Gaza. – Ano, bo i tak nieczynny.

Nieczynne były także ubikacje, więc znalazło się miejsce na plecaki. Na razie rzuciłem śpiwór na pierwszą lepszą pryczę. Oto mój nowy „dom”.

Rankiem z Tonym zwiedziliśmy obóz. Tony’ego poznałem w czasie drugiej Selekcji. Ja wtedy zdałem, on nie, ale nie zrezygnował, zgłosił się na następny nabór i przeszedł.

Policja w „określonym regionie” była jednostką paramilitarną, jak się zresztą spodziewałem. Sprzęt głównie amerykański, choć zauważyłem też sporo nabytków z Europy. Uzbrojenie składało się z amerykańskich M16, izraelskich karabinów Galil, a także rosyjskich kałasznikowów. Pododdziały, które mieliśmy szkolić, wyposażone były głównie w galile, a te – jak wiadomo – wzorowane są na AK47, ale mają inną lufę i części drewniane.

– Doskonała broń – oceniał Tony – kłopot tylko z tym, że nasi gospodarze nie bardzo potrafią z niej korzystać.

Idąc przez obóz, przystawaliśmy raz po raz. Tony witał się ze znajomymi, przedstawiał mnie młodym ludziom w eleganckich strojach. Robili na mnie dobre wrażenie; otwarci, sympatyczni, towarzyscy.

– Całe to miejsce – uprzedzał mnie Tony – tylko na pierwszy rzut oka wygląda przyzwoicie. Jak poskrobiesz głębiej, przekonasz się, ile tu gówna. Warunki mieszkaniowe fatalne, żarcie poniżej wszelkiej krytyki, także wedle ich kryteriów.

Nie chciało mi się wierzyć, ale właśnie przechodziliśmy obok stołówki i zobaczyłem dwóch chłopaków – rzygali pod ścianą niczym młode koty, a odór niósł się jak z chlewu.

– Ci ludzie to elita, wybrańcy, co nie znaczy, że mają jakieś specjalne przywileje. Ale kandydatów do służby nie brakuje, bo lepsze to niż klepanie biedy z sześciorgiem rodzeństwa i jednym osłem na paru morgach ziemi. Tu przynajmniej dostają pensję i teoretycznie mogą utrzymać rodzinę.

Po tym, co zobaczyłem w stołówce, uznałem, że lepiej pozostać na własnym wickie. Jak zwykle przywieźliśmy ze sobą zapas puszek, makaronów i sosu curry.

Pryczę pode mną zajmował niejaki Billy z Kompanii G, blondynek o kręconych włosach, najmniejszy, a zarazem najbardziej agresywny facet w

całym wojsku. Rankiem, gdy tylko wygrzebał się ze śpiwora, nastawił maszynkę. Gotował wodę, przyrządzał owsiankę.

Zerkałem z wyżyny swojej przycy.

– I cóż takiego mamy dziś na śniadanko?

– Jesteś głodny? – zdziwił się Billy. – Całą noc pierdziałeś tak, jakbyś żarł tydzień bez przerwy.

– Wiesz, jak to jest po długiej podróży – wyjaśniłem uprzejmie i długo przymilałem się oczami, aż dał mi filiżankę czekolady i trochę płatków. I tak to trwało przez kilka dni, aż któregoś ranka, a właśnie o to mi chodziło, nie wytrzymał. Rzucił paroma chujami pod adresem leniwego wała, któremu nie chce się nawet zrobić śniadania, i zamierzył się na mnie maszynką. Zapomniał biedak, że jest rozpalona do białości. Rozszedł się swąd palonego ciała, a ja, nie bez satysfakcji, pomyślałem sobie, że przynajmniej przez pewien czas będzie nosił pamiątkę na łapach.

Ponieważ prysznic był nieczynny, musieliśmy się myć pod kranem na dworze, w lodowatej wodzie.

Rano było dość chłodno, później jednak, gdy słońce wspinało się wyżej, robiło się naprawdę pięknie. Uprzedzano nas, że z uwagi na wysokość nad poziomem morza przynajmniej na początku możemy mieć trudności z oddychaniem i że aklimatyzacja potrwa jakiś czas. Nie pamiętając o przestrodze, poszliśmy pobiegać w górach. Billy miał satysfakcję widząc, że brakuje nam sił. Bez przerwy i o wszystko chciał się ścigać. Cieszył się niczym dziecko, patrząc, jak łapiemy powietrze, a ślepia wylażą nam z orbit. „Wały się zesrały” – wołał zadowolony.

Zaczęli przybywać nasi „studenci”. Razem czterdziestu, może pięćdziesięciu chłopca o manierach i postawie bramkarzy z nocnego klubu. Chodzi o to, że w Ameryce Południowej jest kult *macho*, takiej swoiście pojmwanej męskości. Trzeba to będzie ująć w karby i przekuć w coś pożytecznego.

Siedzieliśmy pod ścianą, obserwując tłumek przybyszów.

– Puszają się tak, że za chwilę pękną – zaśmiał się Billy – ale poczekajcie.

Zerwał się z miejsca i zaczął ich musztrować. Było na co popatrzeć; półtorametrowy konus, sięgający osiłkom ledwie do kolan, pomiatał nimi jak chciał.

Nie zdarzyło mi się, a mam pewne doświadczenie, aby rekruci, których mam szkolić, nie dawali mi do zrozumienia, że po pierwsze mają mnie gdzieś, a po wtóre, że i tak nic nie wskóram, bo mam do czynienia z twardzielami. Tym razem spotykaliśmy się także z niechęcią miejscowych dowódców, bo nasza obecność w pewien sposób podrywała ich autorytet, a przynajmniej tak im się wydawało. Należało więc podejść do nich z taktem, bez poklepywania po plecach, bez popisywania się, bo to nic nie daje.

Dowódców, nawet na najniższych szczeblach, powinno się traktować z szacunkiem, bo w ten sposób można ich zjednać. Jednocześnie cały czas trzeba zachowywać pewien dystans, bo zbyttnia fraternizacja też nie jest wskazana. Innymi słowy, wypada okazać sporo życzliwości i cierpliwości, mieć otwartą głowę, bo równie wiele my możemy nauczyć się od nich, jak oni od nas.

Nasi podopieczni prezentowali się fantastycznie. Ponakładali na siebie i ponawieszali, co się tylko dało: pasy, koalicyjki, szelki, bagnety i nieodłączne kolty, wielkie jak armaty.

Spojrzeliliśmy z Gazem po sobie, ale zmilczeliśmy. Woleliśmy nie zaczynać od stwierdzeń, że to i tamto to szajs i że lepiej od razu ten szajs zdjąć. To by nic nie dało, a mogłoby ich źle nastawić, a w konsekwencji utrudnić zadanie.

Każdy z nas dostał dziesięciu facetów, których będzie szkolił – uczył od podstaw, kształcił i rozwijał. Najpierw należało ich wyposażać w stosowny sprzęt. Wydaliśmy im więc plecaki, śpiwory z prześcieradłami, pokrowce, a co najważniejsze – kompasy. Zwłaszcza kompasami byli tak zachwyceni, jakby dostali prawdziwy skarb, choć żaden, nawet spośród oficerów, nie umiał się tym posługiwać, nie mówiąc już o czytaniu mapy. Ale kompas to było to! Dawał poczucie wyższości.

W ogóle trzeba było zaczynać od podstaw. Taktykę odłożyliśmy na później, bo najpierw należało nauczyć zasad posługiwania się bronią. Ich pojęcie o strzelaniu sprowadzało się do tego, żeby naciskać spust i puszczać serię, zresztą panu Bogu w okno.

„Świetnie – komentowałem – ale pozwólcie, że pokażę wam parę trików, jakie sam niedawno opanowałem”.

Baza znajdowała się na szczycie wzniesienia. Gleba była piaszczysta. Zbocza świetnie nadawały się na strzelnicę.

Pierwszą lekcję poświęciłem zasadzie oszczędzania amunicji.

„Nie wolno marnować nabojów, liczy się każdy z nich. Jeśli co pięć minut będziecie sięgać po nowy magazynek, rychło zabraknie wam amunicji. A wtedy co? Każdy może wam się dobrać do dupy”.

Potem uczyliśmy ich podstawowych postaw strzeleckich i zasad kontrolowanego, skutecznego ognia. Najpierw strzelali leżąc, potem z przykłąku, wreszcie stojąc. Staraliśmy się robić to spokojnie, bez nerwów, bez cholerowania, życzliwie, bo w ten sposób można liczyć na dobre wyniki.

I rzeczywiście, wkrótce chłopcy poczynali sobie wcale nieźle na strzelnicy, ku zazdrości kolegów – zwłaszcza wyższych stopniem z których pewnie żaden nie wiedział, jak naprawdę posługiwać się bronią. Dość powiedzieć, że widywałem w bazie i karabiny Galil, i M 16 nie oczyszczone nawet z fabrycznego smaru zabezpieczającego.



Któregoś dnia, gdy ze swoją grupą przerabiałem trzy pozycje i strzelanie na czas, na sto metrów, przybiegł facet z innej grupy, chyba w stopniu majora.

– Z moją bronią jest coś nie tak – narzekał. – Celuję dokładnie, a nie trafiam. Czy może pan coś zrobić?

Nie była to co prawda moja sprawa, ale wyzerowałem mu celownik jak należy.

– Niech pan sprawdzi – oddałem broń.

Był uszczęśliwiony jak dziecko. Już widział się w roli snajpera. Jeszcze w Winchesterze doszedłem do wniosku, że nie ma złych żołnierzy, są tylko marni instruktorzy. W każdym razie moi podopieczni nauczyli się strzelać, i to w miarę celnie. Inna kwestia, czy te ich umiejętności sprawdzą się w boju. Lepiej, żeby tak, bo od tego może zależeć nasze życie.

Przeszliśmy do kolejnej fazy szkolenia: ćwiczeń bojowych z użyciem ostrej amunicji. Kontakt z przeciwnikiem w dżungli ma na ogół charakter bezpośredni. Rzadko kiedy strzela się na odległość większą niż pięć metrów. Cała sztuka w tym, aby rozpoznać przeciwnika szybciej niż on nas i skutecznie go wyeliminować. Ćwiczyliśmy w górach. Najpierw taktykę działań w pojedynkę. Zadanie polegało na błyskawicznym rozpoznaniu celu, likwidacji i odskoku. Później to samo dwójkami. Rozpoznanie, strzał, odskok, odwrót. Przypomniały mi się czasy Selekcji.

Podczas rozmów przy posiłkach dowiadywałem się więcej o moich podopiecznych. Żyli marnie. Sądząc po prowiancie, jaki wyciągali na drugie śniadanie, w magazynach wojskowych grasowały szczury. Wszystko było nadgryzione, tylko puszkami ocalały. Żywili się więc puszkami.

Któregoś dnia, w czasie zajęć w terenie, zasiedliśmy do przygotowania czegoś do jedzenia i picia. Nastawiliśmy maszynki, my na makaron, oni na kawę. Pogoda była piękna, powietrze rześkie, a tak błękitnego nieba w życiu jeszcze nie widziałem.

– Podobno macie tu fantastyczną kawę, tak przynajmniej zapewniają w reklamach w telewizji – zagadnąłem. Wiedziałem, że są pewne gatunki, których nie wolno wywozić z kraju pod karą więzienia nawet do sześciu lat, co swoją drogą też wiele mówiło. „Region” zarzuca cały świat narkotykami, ale od kawy wara.

– Właśnie – wtrącił Łysoń – co radzicie kupić, gdy już będziemy wracać do domu?

– Najlepiej neskę – brzmiała odpowiedź i chyba słuszna, jak przekonał się później, próbując różnych miejscowych gatunków. Zaraz pierwszego dnia na zbiórce poprosiłem moich podopiecznych, żeby się przedstawili.

– Jose, jeden z trzech – rzekł któryś z nich, gdy przyszła jego kolej.

Rozmawialiśmy po hiszpańsku i nie zrozumiałem dobrze. Wydawało mi się, że chodzi o jakieś skomplikowane, wielocłonowe nazwisko, jak to jest w hiszpańskim obyczaju.

– Miło pana poznać, Potrójny Jose – skwitowałem jak głupi. Od tej chwili do chłopaka przyłączył przydomek „Trojaki”. Rozmawialiśmy o sytuacji w „regionie”, o wszechwładzy kartelu i o tym, dlaczego chłopci ulegają.

„To proste – wyjaśniano mi. – Rząd oferuje co najwyżej dwa dolary za akr kukurydzy. Tymczasem żyje się ciężko, nie ma ubezpieczenia, oświata kuleje i w ogóle. I kiedy do tego chłopca, żyjącego gdzieś na końcu świata w dżungli, przyjdzie człowiek z kartelu, zaoferuje mu siedem dolarów za akr i nie tylko to, także opiekę medyczną, szkołę dla dzieci, a nawet boisko we wsi, to jaka może być odpowiedź? Oczywiście zamiast kukurydzy chłop zaczyna uprawiać kokę, tym bardziej że nienawidzi *gringos*, znaczy Amerykanów ze Stanów. Skoro to idzie do Stanów, myśli sobie, tym lepiej, bo ja ich pierdołę”.

Policja ma świadomość przegranej batalii, a zresztą jedyną prawdziwą motywacją, która sprawia, że ludzie jeszcze się garną do szeregów policyjnych, jest chęć zabezpieczenia sobie znośnej egzystencji. Ważne, żeby wykarmić rodzinę, a że strumień narkotyków płynie do Ameryki, to sprawa Amerykanów.

Kartele miały za sobą społeczeństwo i nie ma się czemu dziwić. Gdybym ja był chłopem, też zakładałbym plantacje koki dla kartelu. Całe życie kręciło się wokół narkotyków. Koki i marihuany było tu tyle, że rosły nawet na poboczach dróg. Nierzadko można było spotkać policjanta, który brał liść koki i żuł z cukrem, bo koka dodaje sił, energii i dobrze wpływa na *macho*. Jak człowiek żuje kokę, będzie miał więcej sił, żeby zwalczać kartel. Jakoś nikt nie dostrzegł gorzkiej ironii w tym stwierdzeniu.

„Naszym życiem rządzi przemoc” – stwierdzali i opowiadali mi, jak to tajniacy bez najmniejszego powodu potrafią z zimną krwią zabijać bezdomnych z miejskich slumsów. Nocami w miastach bez przerwy rozbrzmiewają strzały.

Innym razem opowiedzieli mi o katastrofie autobusu:

„Było to mniej więcej miesiąc przed waszym przyjazdem. Autobus rozbił się na wiejskiej drodze w dżungli, a miejscowi zaraz zaczęli pładrować bagaże pasażerów, z których część jeszcze żyła. Nikt nie zajął się rannymi. Obdzierano zwłoki z kosztowności, wyciągano portfele z kieszeni ciepłych jeszcze trupów. Dopiero policjanci strzałami w powietrze rozproszyli tłum rabusiów – ciągnął Trojaki Jose. – I co zrobili? Dokończyli dzieła, to znaczy sami zaczęli rabować!”

„Ludzkie istnienie nie ma żadnej wartości – dorzucił ktoś inny liczy się tylko śmierć”.

Mieliśmy dwóch tłumaczy, którzy objaśniali sprawy techniczne. Jednym z nich był Bruce z Kompanii D, jednoręki inwalida. Stracił ramię w czasie jakiejś akcji. Pułk dbał o takich jak on. W jednostce służyło wielu inwalidów bez ręki, bez nogi, bez oka. W naszej kompanii było dwóch facetów, którzy razem mieli ledwie sześć palców. W sali tradycji wisiało ich zdjęcie ze wspinaczki. Widać na nim było, jak próbują zawiązać węzeł na linie, posługując się resztką palców. Zdarzało się, że ktoś po akcji wracał bez nogi albo posiekany jak sito. Był taki jeden bez ręki i bez oka. Spotykało się go na wszystkich Selekcjach. Zgłaszał się jako instruktor punktów kontroli.

Takie po prostu było nasze życie. Jak się tyle ryzykuje, biorąc udział w akcjach, to nie sposób uniknąć ani ran, ani chorób, które wcześniej czy później dadzą o sobie znać. Jeśli niepełnosprawnych nie zwalniano do cywila, to z dwóch powodów. Po pierwsze, żeby wszyscy mieli świadomość, iż w razie czego Pułk będzie o nas dbał, a po wtóre, po co odsyłać na emeryturę faceta, którego doświadczenie i wiedza przydadzą się w procesie szkolenia następców.

Stopniowo zaczęliśmy przechodzić do kolejnych zagadnień, a zwłaszcza do taktyki działań przeciwko DMP. Na tym etapie nie wiedzieliśmy jeszcze niczego konkretnego o obiektach, które przyjdzie nam niszczyć, więc zaczęliśmy od spraw podstawowych: sprzętu, zasad poruszania się w terenie i tym podobnych spraw, niby prostych, a jednak trudnych dla naszych podopiecznych. Nawykli oni na przykład do tego, że na biwaku w czasie operacji rozpalali wielkie ognisko, bo to i ciepłej, i jakby bezpieczniej. Nie pojmowali, że czasami warunkiem powodzenia operacji jest noc bez ognia, w wilgotnym śpiworze, i poranek bez gorącego posiłku. Uczyliśmy ich na własnym przykładzie. Nie szukaliśmy wygod. W takich warunkach zadzierzgają się prawdziwe więzy przyjaźni.

Tak więc odbywaliśmy wielodniowe marsze w terenie, w dżungli i na sawannie, ucząc ich, że o zmiernych urządza się biwak, wystawia warty, a świtem rusza się dalej. Zaczęło im się to podobać, bo to taka męska sprawa. Każdy chciał to przeżyć.

Całymi tygodniami uczyliśmy ich zasad prowadzenia obserwacji, jak się kryć, na co zwracać uwagę. Wysyłaliśmy ich w teren na kilka dni, aby wykonali konkretne zadania, a potem wspólnie analizowaliśmy raporty. Z czasem szło im całkiem nieźle.

Zapoznawaliśmy ich również z technikami bezpośredniego rozpoznania, konspiracyjnego zbierania materiałów wywiadowczych, przenikania do rejonu operacyjnego, obserwacji, oceny sytuacji i podejmowania trafnej decyzji oraz likwidacji celu. Można oczywiście zniszczyć aparaturę i chemikalia, ale większy efekt daje likwidacja fachowego personelu DMP. Kartelom trudniej bowiem będzie znaleźć nowych ludzi niż sprzęt.

Osobnym problemem była nauka czytania mapy. Między bajki można włożyć tezę, że tubylcy mają po prostu nosa, jeśli idzie o orientację w dżungli, że kierują się instynktem, a ten ich nie zawodzi. Prawda jest taka, że bez mapy orientują się po prostu wedle biegu rzek, poruszają się utartymi szlakami lub trzymają się wzgórz, skąd więcej widać. Z mojego doświadczenia z Bliskiego i Dalekiego Wschodu, z Azji i Afryki wynika, że miejscowi, owszem, znają najdogodniejsze szlaki, lecz są nimi zwykle ścieżki wydeptane przez zwierzęta. Zwierzęta zawsze wybierają najprostszą i najłatwiejszą drogę. Ale wystarczy takiego „specjalistę” przenieść w obce miejsce, a zacznie się drapać w głowę, nie bardzo wiedząc, co począć. Plemiona wędrownie na sawannie, co to niby przemierzają setki kilometrów, nie myśląc drogi, zwyczajnie idą w ślad za stadami zwierząt. Gdy te zaczynają błądzić, ludzie też się gubią.

Lekcje czytania mapy odbywaliśmy w stołówce, bo to jedyne miejsce, gdzie można było zebrać tych czterdziestu czy pięćdziesięciu „studentów”. Na mnie to lokum robiło odrażające wrażenie, bo cuchnęło strasznie. Rozkładaliśmy mapy na stołach i zaczynały się zajęcia.

„Oto kompas”. – Gaz pokazywał, jak wyznacza się azymut, a my, czyli kadra, krążyliśmy wokół stołu sprawdzając, pomagając, tłumacząc, w czym cała sztuka. Zajęcia były znużające i ciągnęły się bez końca. Musieliśmy korzystać z pomocy tłumaczy, co tylko wydłużało sprawę. Czasami nie wytrzymaaliśmy napięcia i albo śmieliśmy się histerycznie, albo kazaliśmy im wynosić się na pół godziny, żeby jakoś się opanować.

Czytanie mapy to nie nauka, ale sztuka. Nie da się jej opanować inaczej niż podczas ćwiczeń w terenie. Tak samo było z rekrutami, których szkoliłem w Anglii. Trzeba po prostu ćwiczyć.

Byli szczęśliwi, gdy wreszcie nauczyli się pracować z busolą. Jakby pana Boga złapali pod kolana. Oficerowie zwłaszcza zaczęli nas nagabywać, by podarować im kompas na zawsze. Zrobiła się taka moda, żeby nosić busolę na szyi.

Czekała ich prawdziwa, a nie wymyślona wojna, więc trzeba było sprawić, by posmakowali, na czym to polega. Ćwiczyliśmy w terenie, z ostrą amunicją, co miało tę dodatkową zaletę, że w razie czego gdyby się coś stało, gdyby ktoś na nas napadł – mielibyśmy się czym bronić. Zrazu nie bardzo im się to podobało. Bali się wypadku, ale po pewnym czasie przyzwyczaili się, bo przecież ostra amunicja to sprawa *macho* – męska rzecz. Obnosili się więc z bronią po całym obozie.

– Uważają, że nikt im nie podskoczy – zauważyłem.

– Zobaczymy – rzekł Gaz.

Wziął parę ładunków plastiku i zaminował kilka punktów w rejonie ćwiczeń. Przywołałiśmy następnie naszych „studentów”, kazaliśmy zająć

pozycje wyjściowe do ataku. „Rambo, Rambo” – cieszył się ten i ów.

Gdy poderwali się do natarcia, odpaliliśmy ładunki. Poszła fala uderzeniowa, odłamki fruwały w powietrzu, w górę tryskały fontanny piachu, a nasi bohaterowie przylgnęli do ziemi jak barany, bliscy płaczu. Dość skutecznie wypuściliśmy z nich powietrze. Rambo nie wrócił.

A jednak było to konieczne, bo tak czy owak przeżyją szok, gdy padnie pierwszy zabity, a ofiar będzie przecież więcej.

Co kilka tygodni nasi podopieczni otrzymywali dwudniowe przepustki. Zapraszali nas wtedy do siebie, my zaś wymawialiśmy się dyplomatycznie, uważając, że zbytne spoufalenie się może negatywnie odbić się na szkoleniu. Owszem, nie byliśmy od tego, żeby się zaprzyjaźniać, ale nie tak od razu, raczej stopniowo i bez uszczerbku dla zadań, które wykonywaliśmy. A poza wszystkim bardziej nam zależało na tym, aby w wolnym czasie skoczyć do miasta, zwiedzić coś, pójść po zakupy i w ogóle zabawić się.

Z wolna też doprowadziliśmy do tego, że stopniowo zdejmowali z siebie całe to operetkowe oporządzenie, wraz z pistoletami jak armaty. Przekonaliśmy ich, że w dżungli z czymś takim nie można się swobodnie poruszać. No i osiągnęliśmy to, że zaczęli wreszcie, przynajmniej z wyglądu, przypominać zawodowców.

Szkolenie taktyczne przynosiło pewne rezultaty. Ćwiczyliśmy taktykę natarcia na rozmaite cele i w różnych warunkach. Przygotowywaliśmy ich na wszelkie możliwe sytuacje. Zaczęliśmy wśród „studentów” szukać jednostek o pewnych określonych predyspozycjach, przydatnych do zadań, które będą wykonywać, a przede wszystkim do prowadzenia działań rozpoznawczych, połączonych z ewentualną akcją bojową, to znaczy identyfikacji obiektu, określenia jego położenia na mapie, zebrania maksimum informacji o obiekcie, a następnie likwidacji obiektu lub wprowadzenia stałej obserwacji.

Obserwacja wymaga pewnych szczególnych cech. Najlepiej nadają się osoby z natury spokojne, niepobudliwe, gdyż często gęsto spędza się długie godziny w ukryciu, w niewygodnej pozycji i w ogóle w rozmaitych warunkach. Obserwację prowadzi się najczęściej z kilku punktów naraz. Obserwator musi umieć zebrać jak najwięcej informacji i przekazać je do centrali, gdzie na ich podstawie powstają konkretne plany operacyjne. Do likwidacji DMP najlepiej przystąpić wtedy, kiedy istnieje możliwość zniszczenia sprzętu i wyeliminowania załogi.

Bywa tak, że obserwację prowadzi się przez dwa, nawet trzy tygodnie. Nie jest to łatwe zadanie. Działa się w ukryciu, w napięciu, w pełnej konspiracji. Kupę rżnie się do plastikowych worków, sika się do pojemników, żeby nie zostawiać śladów, a przez cały czas obserwator pozostaje w bezpośredniej bliskości obiektu.

Staraliśmy się spośród naszych podopiecznych wyłonić jednostki o

cechach przywódczych. Naturalnym przywódcą nie musi być ten, kto ma więcej belek czy gwiazdek na naramiennikach, bo do kolejnych stopni można dochodzić w różny sposób, niekoniecznie za to, że potrafi się kierować ludźmi.

Zadanie okazało się wyjątkowo trudne z uwagi na miejscowe obyczaje. Obowiązywały tu ściśle podziały społeczne. Trzeba więc było sporo dyplomacji. Potencjalnym dowódcom dawaliśmy po prostu większe pole do popisu, obarczając ich większą odpowiedzialnością. Przez wyróżnienie najzdolniejszych zyskiwaliśmy więcej szans na zwieńczenie naszej pracy sukcesem, ale liczyło się nie tylko to. Stawką było także nasze życie, bo przecież będziemy z tymi ludźmi współdziałać w warunkach operacyjnych. Najlepszym w mojej grupie okazał się Trojaki Jose.

Korzystaliśmy z każdej okazji, żeby wyrwać się do miasta. Wyglądało jak nowoczesna, międzynarodowa metropolia z dzielnicą wieżowców, wielkim centrum handlowym i luksusowymi hotelami. Ale też nietrudno było zauważyć, że w tym kraju, podobnie jak w wielu innych, tylko meliczni miejscowi żyli bogato. Ultranowoczesne drapacze chmur wznosiły się obok zapuszczonych nędznych lepianek. Na drogach było równie wiele luksusowych mercedesów jak dziur w nawierzchni.

To miasto okazało się zarówno najbrudniejszym, jak i najhałaśliwszym miejscem, jakie widziałem w całym swoim życiu. Śmieci wyrzucano, gdzie popadło, wszędzie: na ulicy, w autobusach, w restauracjach. Na cały regulator rżnęły głośniki. Nocami hałasowały dyskoteki. Hałas zdawał się być integralną częścią życia, a telewizorów nie dawało się ani wyłączyć, ani wyciszyć.

Jeszcze gorzej przedstawiał się ruch na ulicach. W życiu nie widziałem tyle złomu na jezdni i takiego braku kultury. Bez przerwy korki, a jak już kto utknął, to trąbił klaksonem, ile wlezie. Jeśli zaś droga była wolna, to wszyscy pędzili na złamanie karku. Tak samo zresztą za miastem. Widywałem autobusy pędzące pełnym gazem po górskich serpentynach. Takiej zbieraniny taksówek, począwszy od fordów z czasów prezydenta Kennedy'ego, do najnowszych japońskich mazd, nie widziałem w żadnym innym mieście. Nikt nie zwracał uwagi na światła uliczne. Jeździło się i na zielonych, i na żółtych, i na czerwonych. Nauczyłem się, że nawet na jednokierunkowej ulicy trzeba rozejrzeć się w obie strony, a przez jezdnię przebiegać sprintem.

Mieszkając w tym mieście bezprawia, nie roztawiliśmy się z bronią. Nie tylko my. Kiedyś jedząc śniadanie w hotelu, poczułem na sobie czyjś wzrok. Wzruszylbym co najwyżej ramionami, gdybym nie zauważył, że pod koszulami faceci mają ukryte gnaty. Po chwili zdałem sobie sprawę, że znam

te twarze. I rzeczywiście, byli to dwaj nasi dawni koledzy z Kompanii G. Nierzadko się zdarza, że w czasie wykonywania zadań, w jakimś zapadłym kącie świata, spotykamy znajomych. Na ogół udajemy, że się wcale nie znamy, bo przecież nie wiemy, co ich sprowadza, a i nam o naszym zadaniu nie wolno mówić, chyba że ktoś uczyni jakiś gest. Najpierw jednak trwa taki teatr bez słów. Tym razem moi znajomi podeszli do mnie.

– Jak leci?

– Tak sobie.

Podczas takich spotkań nigdy niczego nie mówi się od razu. Nikt zresztą nie śpieszy się z wynurzeniami, zwłaszcza na temat pracy.

Tak więc rozmawialiśmy półsłówkami, jak zawsze, gdy się spotka byłego kolegę z Pułku gdzieś na końcu świata. Obgadaliśmy znajomych, powspominaliśmy Hereford.

Na koniec zadałem wreszcie to jedno jedyne pytanie, które w ogóle się liczyło, nie spodziewając się zresztą, że usłyszę coś ponad „odpieprz się”.

– Co porabiacie?

– Robimy za ochroniarzy na północy, a ty ciągle służysz, czy gdzieś pracujesz?

– Podłapałem tu taką robotę, szkole ludzi. Szmal niezły, ale otoczenie do dupy – ciągnąłem grę.

– Ile? Można się załapać?

– Tyle, ile wynosi gaża plutonowego w Pułku.

Oni, jak się okazało, pracowali w ochronie, przeciwko kartelom. Zastanawiałem się, czy przypadkiem moi byli koledzy nie pracują jednak dla kartelu. Zarabiając górę pieniędzy, usprawiedliwiają się sami przed sobą, że narkotyki to nie ich sprawa. Jak kto chce ćpać, to niech ćpa. Powiadają, że dla kartelu pracuje wielu Kanadyjczyków i Amerykanów ze Stanów. Jankesi doradzają głównie w sprawach handlowych. Kartele dysponują bajecznymi pieniędzmi i pracując dla nich, można naprawdę dorobić się majątku. Ja jednak myślę, że to nie dla mnie.

Z kumplami umówiliśmy się za tydzień, ale do spotkania nie doszło, bo wydarzenia przybrały inny obrót.

## 25

Szło nam nie najlepiej. Co namierzaliśmy DMP, to okazywało się, że trafiamy w pustkę. Wiele do życzenia pozostawiały kwestie bezpieczeństwa. Kartele skorumpowały niemal wszystko i wszystkich. Zdarzało się, że śmigłowiec, który miał przerzucić oddział na miejsce akcji, specjalnie przelatywał nad „obiektem”, aby ostrzec kogo trzeba. Miałem wrażenie, że walczymy o przegraną sprawę.

Któregoś dnia Gaz przyniósł jednak lepsze wiadomości.

– Coś się chyba zmienia. Mamy namierzyć pewną fabryczkę na zachodzie. Przerzucimy was po cichu w pobliże, a dalej pójdziecie samodzielnie. Zidentyfikujecie obiekt, a następnie macie go zlikwidować. Śmigłowce przylecą dopiero po fakcie, a co najważniejsze, będziecie mieć bezpośrednią łączność z nami.

Przeszliśmy do mapy.

– Obiekt znajduje się gdzieś tutaj – Gaz pokazał obszar mniej więcej szesnastu kilometrów kwadratowych. – Wysyłamy cztery patrole. Wypadnie po cztery kilometry kwadratowe na oddział. Dowodzą: Tony, Andy, Rod i Terry. Zadanie: rozpoznać i zlikwidować cel. Najpierw rozpoznanie. Z chwilą gdy któryś z was trafi na obiekt, rozpoczyna bezpośrednią obserwację. Zdjęcia, wideo i szczegółowy raport radiowy na moje ręce. Ja wtedy organizuję śmigłowce. Obowiązuje tajemnica. Chłopcom możecie powiedzieć co i jak, dopiero po wyjściu w teren. Załogi śmigłowców będą w pogotowiu, ale o tym, gdzie i kiedy mają lecieć, dowiedzą się dopiero w ostatniej chwili. O szczegółach operacji wiemy tylko my i jeden człowiek w dowództwie.



Nie mieliśmy pytań. Chyba wszyscy byli zadowoleni, że wreszcie coś się dzieje.

– Trzeba tylko zidentyfikować cel – westchnął Rod.

Siedziałem na progu naszego baraku i patrzyłem na Wayne'a, który czarował policjanta, żeby dał mu się przejechać na koniu. Na moje oko zwierzę było chyba na prochach. Wayne zaś miał wszystkie cechy, których nie znosimy u bliźnich. Był wysoki, przystojny, inteligentny, a na koniach znał się od małego. Wychował się w siodle i uwielbiał konną jazdę. Na razie razem z wierzchowcem zniknęli za węglem, a gdy pojawili się za czas jakiś, Wayne był posiniaczony i podrapany. – Trzeba mieć moje pojebane szczęście – westchnął – żeby trafić na wałacha, który ćpa.

Każdemu z nas przydzielono czterech policjantów, uczestników szkolenia. Każdy patrol miał do przeczesań cztery kilometry kwadratowe. Czas akcji – do dziesięciu dni. Zadanie: zlikwidować zakład przeróbki narkotyków, sprzęt zniszczyć, unikać ofiar, załogę aresztować, zwłaszcza techników z Europy.

Na zbiórce nazajutrz rano Gaz powiedział słuchaczom, że wezmą udział w dwutygodniowych ćwiczeniach w terenie.

„Spakować sprzęt. Wyruszacie jutro w południe”.

Najpierw udaliśmy się samochodami do rejonu, gdzie zwykle przeprowadzaliśmy ćwiczenia, jakąś godzinę jazdy od bazy. Tam Gaz zebrał wszystkich chłopców i ujawnił, że tym razem nie chodzi o ćwiczenia, ale o prawdziwą operację.

„Nie udawało nam się do tej pory – ciągnął – bo były przecieki. Teraz będzie inaczej. Bezpośrednio stąd wyruszamy w rejon operacji. Zadanie polega na wytropieniu, rozpoznaniu i likwidacji DMP. Rezultat zależy tylko od was, od waszych wysiłków. Zostaliście starannie wyszkoleni, pobieracie przyzwoitą gażę, oczekuję więc, że dołożycie starań. Wiem, że potraficie, wiem, na co was stać. Powodzenie akcji przyniesie wam sławę, wzmocni wasz autorytet. Wystarczy, jeśli będziecie działać wedle naszych wskazówek. A teraz w drogę. Im szybciej wykonacie zadanie, tym szybciej wrócicie do domu”.

Swojej czwórce powiedziałem, że jest to być może operacja ostatniej szansy. Jeśli zakończy się niepowodzeniem, to powinni się liczyć z tym, że jednostka zostanie rozwiązana.

Chyba zrobiło to na nich wrażenie. Widziałem, że zmartwili się, wyobrażając sobie, że znów zostaną odesłani do drogówki, czy w ogóle na boczny tor.

Przywołałem na pomoc całą znajomość hiszpańskiego.

„A więc szukamy przetwórniki kokainy. Wiemy tylko tyle, że jest gdzieś na zachodzie, w rejonie liczącym z grubsza szesnaście kilometrów kwadratowych. Nie wiemy, czy jeszcze funkcjonuje, nie wiemy, czy są tam ludzie. Wszystko to musimy ustalić. Jeśli trafimy na ślad, rozpoczynamy obserwację i wzywamy pozostałe patrole, a następnie wspólnie ruszamy do natarcia. W odwodzie mamy śmigłowce i wojsko. Gdy któryś z pozostałych patroli trafi na ślad, daje nam znać, a my dołączamy do niego”.

Chłopcy byli niespokojni. Nigdy jeszcze nie brali udziału w takiej operacji. Dotychczas odbywało się to wedle jednego schematu: ładowali się do śmigłowców, lecili na miejsce i cała akcja kończyła się w kilka godzin. Teraz miało być zupełnie inaczej. Długa wyprawa w teren.

„Zmiana polega także na tym – ciągnąłem – że tym razem nie lecimy śmigłowcami. W rejon operacji jedziemy samochodami, a dalej marszem przez dżunglę. Unikamy spotkań z miejscową ludnością, aby nasza obecność w okolicy pozostała tajemnicą. Być może uda nam się znaleźć obiekt. Co wy na to?”

Odpowiedział mi dość nerwowo czwórógłos: „Tak jest”.

„Samo dotarcie na miejsce może zająć kilka dobrych dni, ale sprawa warta jest świeczki. Nie będziemy się śpieszyć. Mamy dość czasu, dość zapasów, wiemy, jak poruszać się w dżungli. Nie sądzę, abyśmy mieli jakieś szczególne trudności”.

Pokazałem im rejon na mapach, najpierw na generalce, potem na sztabówce. Cały czas pamiętałem, że moi podwładni nie są zawodowymi żołnierzami, więc dbałem również o takie przyziemne szczegóły, jak to, żeby posłać ich na stronę przed odprawą, by mogli skupić całą uwagę na zadaniu, a nie myśleć o pełnym pęcherzu.

Zachęcałem do zadawania pytań. Zależało mi, żeby poczuli się pewniej i swobodniej.

Na wstępie zarysowałem sytuację, przedstawiłem uwarunkowania polityczne i strategiczne, wyjaśniłem, jakie znaczenie ma przerwanie kanałów przerzutu narkotyków. Następnie szczegółowo opisałem rejon działania, wskazując na mapie wszystkie znane szczegóły: położenie nieczynnych i zlikwidowanych punktów przeróbki narkotyków, przypuszczalne pozycje przeciwnika i nasze.

Po scharakteryzowaniu warunków pogodowych wskazałem miejscowości, punkty orientacyjne, kierunek rzek. Jeśli coś się stanie i raptem oddział ulegnie rozproszeniu, chłopcy będą musieli sobie sami radzić, więc muszą wiedzieć o takich drobiazgach jak to, że trzymając się określonej rzeki, trafią na określoną wieś.

Przekazałem także niezbędne informacje o przeciwniku, nie ukrywając faktu, że miejscowi władcy kartelu czują się dość pewnie i będą się bronić,

gdy zaczniemy się do nich dobierać. Opisałem, jaką broń dysponują oddziały przeciwnika, jakie mają mundury.

Po omówieniu punktu „nasze siły” – ze wskazaniem, gdzie będą operować pozostałe trzy patrole – przystąpiłem do przedstawienia zadań, a więc: lokalizacja i rozpoznanie DMP w określonym kwadracie. Wszystko pokazałem na mapie, a zadanie, zgodnie z regulaminem, powtórzyłem dwukrotnie. Wreszcie przeszedłem do „wykonania”, zarysowując plan w kilku punktach:

„Punkt pierwszy to dotarcie. Udajemy się transportem samochodowym. Kokainę, jak wiecie, trzeba wywieźć, więc tajne zakłady przeróbki surowca zakłada się w pobliżu dostępnych szlaków komunikacyjnych, na ogół w promieniu od dziesięciu do dwudziestu kilometrów od drogi. Docieramy w pobliże rejonu działania, a dalej udajemy się pieszo. Może to zająć dwa, a nawet trzy dni, ale za to wam płacą. Poruszamy się w szyku bojowym. Przodem zwiadowca. Kierunek na mapie wyznaczam ja. Jeśli się okaże, że trasa wiedzie przez tropikalną dżunglę, maszerujemy tylko za dnia. Jeżeli warunki terenowe pozwolą, będziemy też przedzierać się nocą, ale sądząc z mapy, ograniczymy się raczej do dziennych marszów”.

Po kilku wspólnych tygodniach całkiem niezłe rozumieliśmy się z chłopcami. Szanowaliśmy się wzajemnie i chyba zadzierzgnęły się między nami więzy przyjaźni. W każdym razie mieli do nas zaufanie i nie kwestionowali naszych decyzji.

Za naszym przykładem pozdejmowali taśmy nośne ze swoich karabinów Galil. Podnóżki zamontowane na lufie przymocowali taśmą klejącą, aby nie hałasowały podczas marszu. Każdy miał w kieszeni spory kawał linki spadochronowej, za pomocą której zabezpieczaliśmy broń, gdy trzeba było pokonywać przeszkody wodne. Jeśli o mnie chodzi, to do kolby swego karabinu przymocowałem kompas typu Silva. Wieko osłoniłem, aby fosforyzująca igła nie zdradzała właściciela w nocy. Urządzenie było proste, ale poręczne.

Moi chłopcy próbowali zrazu łączyć po dwa magazynki naraz, na wzór i podobieństwo bohaterów filmów Olivera Stone’a. Wydawało im się, że tak właśnie przystoi prawdziwemu żołnierzowi na patrolu. Odradzałem im to jak mogłem. Pojedynczy magazynek z amunicją kaliber 7,62 jest dość ciężki, a co dopiero dwa. Niektórzy ledwie dźwigali broń, z dwoma magazynkami w ogóle by jej nie podnieśli.

My, z Pułku, wzięliśmy na patrol dziewięćmilimetrowe browningi, natomiast chłopcy przytroczyli do pasów pistolety Colty, czterdziestkipiątki, swoje ulubione sześciostrażalowce prosto z westernu. Nie pytałem dlaczego, bo pewnie nie usłyszałbym rozsądnej odpowiedzi.

Mieliśmy spory zapas materiałów wybuchowych do wysadzenia w

powietrze obiektu, a także plastik PE4 i amerykański C4 do wypalenia plantacji koki, jeśli taka znajdzie się po drodze. Do tego oczywiście zapas lontu, zapalniki, detonatory. Zabraliśmy także trochę min odłamkowych do działań defensywnych. Będziemy nimi zabezpieczać własne pozycje.

Kiedy odnajdziemy obiekt, przystąpimy do bezpośredniego rozpoznania. Ponieważ obraz mówi więcej niż tysiąc słów, zwłaszcza gdy ma się do czynienia z barierą językową, wzięliśmy przeto aparaty fotograficzne i kamery wideo, a także podręczne urządzenie do wywoływania zdjęć oraz przenośny monitor Sony. Wszystko po to, aby zebrać niezbędną dokumentację i móc pokazać obiekt pozostałym patrolom, gdy już będziemy się szykować do finału. Jeśli idzie o aparaty, to osobiście cenilem sobie nikona z transfokatorem i dodatkowym obiektywem dwudziestoosmiomilimetrowym do zdjęć w podczerwieni. Wziąłem także canona – aparat automatyczny, z dodatkowym filtrem na podczerwień do zdjęć nocnych. Co się tyczy kamery wideo, to wybraliśmy dość prosty model, bez samoczynnego nastawiania ostrości, gdyż automat ustawia ostrość zawsze na najbliższy względem obiektywu przedmiot, a w dżungli, zwłaszcza gdy filmuje się z ukrycia, owym najbliższym przedmiotem jest gałąź, liść czy jeszcze coś takiego, co włązi w pole widzenia kamery.

Nie zapomnieliśmy o noktowizorach. Mieliśmy dwa rodzaje: podręczne i montowane na broni.

Warto wspomnieć o tym, czego nie wzięliśmy, bo to też ma swoje znaczenie. Otóż skrupulatnie sprawdziliśmy bagaż osobisty, aby nie było takich rzeczy, jak rodzinne fotografie, adresy domowe i tak dalej. Tyczyło to szczególnie naszych policjantów. Kartel niejednokrotnie mścił się na najbliższych.

Ruszyliśmy popołudniem czterema ciężarówkami. Jazda trwała całą noc. Nastroj był poważny, nikt nie miał specjalnej ochoty na rozmowy. Ten i ów sięgał w ciemności po papierosa. I znów przypomniła mi się Selekcja i długie trasy do doliny Elan. Staralem się tymczasem oszczędzać siły. Będę ich potrzebował sporo w ciągu najbliższych paru tygodni w dżungli.

Podróż ciągnęła się jeszcze prawie cały następny dzień. Mijaliśmy wiele miast, miasteczek i wsi. Okolica stawała się coraz bardziej odludna, a szosa coraz bardziej zapuszczona. Tuż przed zmierzchem zatrzymaliśmy się na krótki wypoczynek.

– Pojedziemy tak jeszcze trzy kilometry – oznajmił Gaz – a potem dzielimy się na dwie grupy. Ja biorę dwa patrole, z wami pojedzie Wayne. W razie czego dajecie sygnał przez radio. Śmigłowce są w pogotowiu. Najważniejsze to oszczędzać ludzi. Do zobaczenia.

Ruszyliśmy. Ja z Wayne'em w pierwszym samochodzie. Jechaliśmy drogą szutrową pełną dziur. Miało się wrażenie, że resory lada moment puszczą.

Trzęsło zresztą tak niemiłosiernie, że nie dało się siedzieć.

O zmierzchu byliśmy na miejscu. Wyłączono silniki, przez chwilę panowała cisza, po czym przyroda znów zaczęła szumieć.

– Dalej idźcie sami – rzekł Wayne.

Wyładowaliśmy się. Chłopcy dość niechętnie, ale co mieli robić. Znów przypomniała mi się Selekcja.

– Dziś – oznajmiłem – nie będzie się działo nic specjalnego. Pomaszujemy kawałek i rozbijemy biwak.

Bez pośpiechu wyładowaliśmy sprzęt i plecaki i udaliśmy się w stronę lasu odległego o mniej więcej pół kilometra. Żegnał nas dźwięk uruchamianych silników. Po dziesięciu minutach i to ucichło. Zostaliśmy sami, a wokół panowała dostojna cisza.

Dyszałem ciężko. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny w ogóle się nie ruszałem. Mięśnie się zastały. Wkrótce jednak złapałem drugi oddech.

Było ciepło, powietrze wilgotne. Nocą las szumiał kakofonią dźwięków. Wiał lekki wiatr, między chmurami przeświecały gwiazdy. Czułem się niezłe. Niczego nam nie brakowało. Mieliśmy co jeść, co pić, a rychło zatrzymamy się na noc. Marzyłem, żeby wyciągnąć się w hamaku pod gołym niebem.

Rankiem, jako że nie groziło nam jeszcze żadne niebezpieczeństwo, pozwoliłem chłopakom rozpaścić maszynki i ugotować coś gorącego.

Był w moim patrolu niejaki Rodriguez, wysoki brunet w wieku dwudziestu dwóch lat, o niemal dziewczęcych, szalenie delikatnych rysach. Miał wyjątkowo długie rzęsy, palce jak u pianisty i zadbane paznokcie. Mówił cichym, miękkim głosem i bez przerwy za wszystko przepraszał. Ale był niezły i upatrzyłem go sobie na zwiadowcę.

– Będziesz szedł na azymut, Rodriguez, a my za tobą. Godzina marszu i odpoczynek. Oczy i uszy otwarte, a przede wszystkim pilnuj kierunku. Rozumiesz? Nie wolno nam zabłądzić, wszystko zależy od ciebie.

– Si, przepraszam, nie ma sprawy.

Zwiadowca wysuwał się do przodu na odległość wystarczającą do uprzedzenia nas o ewentualnym niebezpieczeństwie, ale tak, aby nie tracić kontaktu wzrokowego z patrolem. Od niego zależało tempo marszu. Gdy dawał znak, zatrzymywaliśmy się, gdy ruszał, my za nim. Zwiadowca to oczy oddziały.

Po godzinie zatrzymał się w rozpadlinie pod drzewem. Dołączyliśmy do niego. Zaparzyliśmy herbatę. Górą szalały ptaki; w chaszczach pojękiwały zwierzęta. Rozmawialiśmy szepsem.

– To nasza ostatnia gorąca herbata i nie mówcie nikomu, że sobie na nią pozwoliliśmy, przebywając już w rejonie operacyjnym. To będzie nasza

tajemnica.

Ująłem ich tym.

– No to ruszajmy dalej. Ale, chłopaki, mam nadzieję, że mnie nie zawiedziecie.

– Taaa jes...

Rodriguez w dalszym ciągu chciał iść jako zwiadowca. Zgodziłem się. Zwykle zwiadowców zmienia się co jakiś czas, bo to dość wyczerpująca funkcja. Zwiadowca po pierwsze toruje drogę, po wtóre musi pilnie baczyć na otoczenie, wypatrywać śladów. Obecność ludzi można odczytać z wielu różnych znaków. Niekoniecznie musi to być odcisk stopy na ziemi. Śladem jest na przykład liść odwrócony od słońca. Większość roślin w sposób naturalny kieruje się ku słońcu, jeśli więc zauważy się liść obrócony w drugą stronę, to jest to wyraźny znak, że ktoś przechodził, i to stosunkowo niedawno.

Zwiadowca musi także uważać na wnyki, wilcze doły i inne pułapki na zwierzynę. Nikomu się nie uśmiecha wpaść w potrzask. Najważniejsze zaś, to baczyć na znaki wskazujące, że w pobliżu może znajdować się DMP – cel naszej wyprawy. Sygnałem, że coś takiego jest w okolicy, mogą być liczne ślady stóp, obca woń, nienaturalne dźwięki. Jeśli zwiadowca dostrzeże ludzi, musi się kryć. Nie ma mowy o aresztowaniu, a tym bardziej o likwidacji. Trzeba się zorientować, skąd taki człowiek przybywa, pójść jego śladem, bo może doprowadzić nas do celu.

Dotarcie do wyznaczonego rejonu w dżungli zabrało nam dobre pół dnia. Byliśmy spoceni i przemoczeni, choć nie padało. Miałem nadzieję, że pogoda utrzyma się i nie będziemy biwakować w deszczu. Tymczasem przystąpiliśmy do systematycznego przeczesywania rejonu, posuwając się najpierw wzdłuż granic wyznaczonych kwadratów. Czasami odstępowaliśmy od tego, gdy trafiał się jakiś wyraźniejszy, charakterystyczny punkt w terenie. Co godzina zatrzymywaliśmy się na pięciominutowy odpoczynek. Trzeba było się jakoś ogarnąć i popić trochę. Manierki uzupełnialiśmy przy każdej okazji, gdy trafiało się źródło. A w ogóle to pić powinno się dużo. Nie wolno doprowadzać do odwodnienia organizmu. Moi ludzie zaprawiali wodę proszkiem cytrynowym, ja osobiście wolę czystą.

Pierwszego popołudnia chłopcy szli z zapałem, później jednak zaczęli okazywać oznaki zmęczenia. Na patrolu człowiek męczy się psychicznie, bo stale musi uważać i wypatrywać, a także fizycznie, bo dźwiga na plecach spory ciężar.

Na godzinę przed zmierzchem zaczęliśmy szukać miejsca na biwak. Najpierw jednak musieliśmy zatrzeć ślady, na wypadek gdyby ktoś nas śledził. Zwiadowcą tym razem był Gonzalo – „Gonz”. Dałem mu znak, żeby się zatrzymał.

– Gonz, trzeba znaleźć teren na biwak – szepnąłem mu do ucha. Uśmiechnął się szeroko, ukazując garnitur wielkich zębów z ciemnymi plamami od żucia tytoniu.

– Idź za mną – poleciłem.

Gonz nie wyglądał na swoje dwadzieścia cztery lata. Miał cerę jak niemowlę i bez przerwy się śmiał, trochę jak przyglup, a trochę chytrze. Nigdy nie wiedziałem, o czym naprawdę myśli, ale miałem nadzieję, że jest inteligentniejszy, niż na to wygląda.

Zatarcie śladów polegało na tym, że zatoczyliśmy krąg i wróciliśmy w to samo miejsce. To powinno zmylić ewentualnego przeciwnika. W dżungli nie sposób nie zostawić śladów. Trójce chłopaków kazałem poczekać, a z Gonzem ruszyłem nieco dalej, żeby wybrać miejsce na nocną bazę. Najważniejszą sprawą jest to, by łatwo było się w niej ukryć. Wszyscy marzyliśmy o wypoczynku.

Na miejscu rzuciliśmy plecaki i ułożyliśmy się w krąg. Należało wyznaczyć warty, a przede wszystkim solidnie się nasmarować środkiem odstrasającym owady. Moskity brzęczały jak eskadry samolotów. Noc w dżungli wyolbrzymia wrażenia. Stojąc na warcie, słyszy się jakby więcej i wtedy człowiek zaczyna sobie zdawać sprawę z tego, co go otacza. A dżungla żyje własnym życiem. Z mroku dobiegają odgłosy przebogatej natury.

O zmierzchu rozwiesiliśmy hamaki, rozpięliśmy pałatki. Wszystko w milczeniu. Każdy wiedział, co do niego należy. Czuwać będziemy parami.

Włożyłem suche ubranie, wyciągnąłem się w hamaku. Zasypiałem już, gdy zaczęło padać.

Godzinę przed świtem spakowaliśmy sprzęt. Pracowaliśmy bez pośpiechu, uważnie, unikając zbędnego hałasu, w milczeniu. O świcie ruszyliśmy.

Po dwóch godzinach zatrzymaliśmy się na krótko, aby połączyć się przez radio z centralą, zameldować położenie, opisać sytuację, przedstawić zamiary i wysłuchać ewentualnych rozkazów.

Nie było nowych poleceń.

W centrali naniósł naszą pozycję na mapę. W razie czego wiadomo będzie, gdzie znajdowaliśmy się o ósmej rano.

Chłopcy posilili się. Jedli cukier i wołowinę z puszki.

Przez kilka kolejnych dni nie działo się nic specjalnego. Patrolowaliśmy okolicę zgodnie z planem.

Raz czy dwa straciliśmy orientację: Zarządzałem wtedy odpoczynek, wyciągałem mapę.

– Sprawdzimy ostatnią znaną pozycję.

Analizowaliśmy położenie, wychodząc właśnie od tego punktu. Następnie wysłałem zwiadowców, a sam sprawdzałem wszystko według mapy.

– Tak – meldowali – pięćset metrów stąd na zachód jest strumień, płynie w tę i tę stronę.

Po takiej informacji byliśmy w domu.

Za trzecim razem, gdy zabłądziliśmy, wysłałem na zwiady Gonza i Trojakiego Jose.

– Pójdziecie w tym kierunku jakieś czterysta metrów, sprawdzicie, czy teren zaczyna się obniżać, bo jeśli tak, to znajdujemy się tu, na tej wyżynie – pokazałem na mapie. – Rozejrzyjcie się dokładnie, czy rzeczywiście wokół nie ma nic wyższego. Jeśli teren będzie się wznosił, to mamy kłopot. I jeszcze jedno... jakieś trzysta metrów stąd powinien być strumień płynący w prawo. Ruszajcie.

Gonz, jak to Gonz, uśmiechnął się od ucha do ucha i obaj zniknęli w zaroślach. Wrócili rychlej, niż oczekiwałem. Gonz miał dziwnie poważną minę.

– Zgadza się – szepnął mi do ucha – jesteśmy na wyżynie, dalej teren się obniża, ale – dodał z przejęciem – słyszeliśmy podejrzaną dźwięki. Coś tam jest.

Podzieliłem się rewelacją ze wszystkimi.

– Zrobimy tak: Gonz pójdzie przodem. Udamy się w miejsce, gdzie słyszał ruch. Tam się zatrzymamy i zastanowimy co dalej. Nie śpieszyć się, uważać.

Ruszyliśmy. Najpierw Gonz, ja za nim, potem reszta. Na razie nie słyszałem niczego podejrzanego.

W pewnej chwili Gonzales przystanął, dał mi znak. Podeszedłem do niego, sprzedając resztę, że mają zostać na miejscu.

– Jeśli wydarzy się coś nieprzewidzianego, usłyszycie. Jeśli nie, wrócimy przed zmierzchem. Macie tu siedzieć do jutra do południa, a potem wrócić nad rzekę. Idąc w prawo, dotrzecie do drogi. Na razie pilnujcie plecaków.

We dwójkę, z bronią, ale bez plecaków, zaczęliśmy się skradać przez zarośla. Cokolwiek było za drzewami, trzeba to dokładnie sprawdzić.

Gonz szedł przodem. Wypatrywał pilnie. Raz po raz odwracał się do mnie. Uśmiech znikł mu z twarzy.

Jakieś dwieście metrów od miejsca, gdzie zostawiliśmy plecaki, Gonz zatrzymał się i dał znak ręką.

Nie byłem formalnym dowódcą patrolu, tylko doradcą, powinienem więc zasugerować mu, aby przystąpił teraz do bezpośredniego rozpoznania obiektu. Zależało mi jednak na jak najlepszym wykonaniu zadania, a nade wszystko liczyło się bezpieczeństwo ludzi. Nakazałem mu przeto gestem, by mnie osłaniał, a sam zacząłem czołgać się dalej.



Posuwałem się wolno, centymetr po centymetrze, pilnie nasłuchując. To, co zobaczyłem po dwudziestu minutach skradania się przez gęste poszycie, przekroczyło najśmielsze oczekiwania.

Za krzakami otwierała się dość okazała wolna przestrzeń z kilkoma – trzema czy czterema – budynkami. Bez wątplenia zakład przeróbki koki, o czym dobitnie świadczył jeden wyjątkowo długi barak. W takich właśnie pomieszczeniach, na stołach, rozkłada się liście po wstępnej przeróbce. Pozostałe dwa budynki było nieco wyższe, ale mniejsze. Wszystkie kryte blachą, na którą narzucono gałęzie i liście, aby zamaskować przed widokiem z góry.

Dobiegły mnie głosy. Jakieś pytanie po hiszpańsku i odpowiedź w tym samym języku, ale jeśli mnie słuch nie mylił, to z wyraźnym południowoafrykańskim akcentem. Ludzkie głosy zagłuszał szum pracującego generatora.

Między barakami dostrzegłem człowieka. Nie był uzbrojony. Obserwowałem przez jakieś pół godziny, nie wierząc własnemu szczęściu. Był to pierwszy funkcjonujący zakład przeróbki koki, jaki widziałem w czasie całego pobytu. Nie chciałem niczego spieprzyć. Ze swojego stanowiska w zaroślach miałem dość ograniczone pole widzenia, ale słyszałem sporo. Trwałem bez ruchu, ku radości gromady moskitów, które bezkarnie lądowały mi na głowie. Nie ruszałem się, bo ruch jest najbardziej zdradliwy. Nie zmieniałem miejsca, bo na razie wystarczyło to, co już widziałem. Rzeczywiście natrafiliśmy na DMP.

Czołgając się, wróciłem do Gonza.

– Bingo – szepnąłem mu do ucha, co skwitował podnosząc do góry kciuk. Uśmiechnął się przy tym od ucha do ucha. Domyślałem się, co powiedziała by, gdyby mógł: „O kurwa, udało się”. Wycofaliśmy się.

– Mamy. To jest to – i opisałem im dokładnie, co widziałem i co słyszałem.

Ucieszyli się, choć miny mieli niewyraźne.

Tymczasem zmieniliśmy kryjówkę, aby nie narażać się na przypadkowe odkrycie, co zdekonspirowałoby całą operację.

– Jutro o świcie pójdę na rozpoznanie z Trojakim. Reszta czeka na miejscu. Jeśli nie wrócimy w ciągu dwóch dni, trzeciego dnia o świcie kierujecie się w stronę rzeki i dalej, z jej biegiem, ku szosie. Jeśli natomiast usłyszycie strzały, biegniecie na pomoc. Zrozumiano?

Czwarty chłopak w patrolu, na którego wołano El Nino, miał chyba dziewiętnaście lat. Niewysoki, góra metr siedemdziesiąt, chudy, nigdy nie patrzył nikomu prosto w oczy. Odwracał głowę, jakby się wstydził przyszczy, które niczym moskity gęsto pokrywały mu całą twarz. Z trudem nadażał za wszystkim, co się działo, a my ze swej strony staraliśmy się go oszczędzać.

Był w porządku, ale po prostu nie miał doświadczenia. Bardziej na miejscu byłby u mamy pod spódnicą. Z drugiej jednak strony rznął *macho*, narażając się na ostre kpiny całej reszty. Miałem wrażenie, że jest zadowolony z przydziału do grupy wyczekującej.

– Nie urządzamy biwaku, żadnych pałatek. Pilnować sprzętu. Pamiętajcie, że może to potrwać długo.

Zameldowałem o wszystkim centrali:

„Jeśli nie będzie innych poleceń, jutro rozpoczynam bezpośrednią obserwację obiektu” – oznajmiłem.

Kierownictwo operacji miało dwa wyjścia. Mogło zdecydować o przekazaniu naszego meldunku pozostałym patrolom podczas najbliższego kontaktu z nimi albo uznać, że lepiej poczekać na kolejne potwierdzenie z naszej strony. W tym drugim przypadku patrole stracą cenny czas. Ale nie był to nasz problem. My wiedzieliśmy, co mamy robić.

Musiałem teraz rozpracować szczegóły dalszej akcji: co zrobimy razem z Josem, jeśli przeciwnik odkryje naszą obecność i znajdziemy się pod ostrzałem? Co powinni robić chłopcy, gdy ktoś ich namierzy? Jak długo można pozostać w jednym miejscu? Na co się zdecydować, gdy któryś z nas wpadnie w ręce przeciwnika?

Zwiad bezpośredni może potrwać nawet do dwóch dni, w zależności od tego, co będzie się działo. W każdym wypadku wracamy przed zmierzchem, tak aby można było jeszcze ruszyć dalej, w inne miejsce, gdzie uda się założyć bazę i zabezpieczyć dojścia minami.

I oto znów znajdowałem się w sytuacji, kiedy teoria kłóci się z praktyką. Według teorii rozpoznanie powinniśmy przeprowadzić siłami całego patrolu, a następnie zlikwidować obiekt. Może rzeczywiście udałoby się tak zrobić, ale zdawałem sobie sprawę, że mamy tylko jedną szansę, i nie chciałem jej zmarnować.

Znajdowaliśmy się prawie pięćset metrów od obiektu. Zapadła noc. Trojaki Jose kręcił się i wiercił na swoim miejscu, najwyraźniej nie mógł usnąć. Reszta też jakoś posmutniała. Chłopcy sprawiali wrażenie zagubionych, trochę bez wiary we własne siły.

Ja też czułem niepokój. Wiedziałem, że jeśli damy się złapać, to trudno będzie się pozbierać. Smarowałem twarz i ręce środkiem przeciwko komarom i myślałem o swojej Kate. Obliczałem różnicę czasu i wyszło mi, że o tej porze Kate kończy chyba śniadanie albo szykuje się do przedszkola. Marzyłem tylko o jednym, żeby uporać się z robotą jak najszybciej. Załatwić, co trzeba, wrócić do bazy, wybrać się do miasta, zabawić się ze starymi kumplami z Kompanii G. Wiedziałem, że po tej operacji nieprędko znów wyślą mnie do dżungli.

– Bierzymy tylko niezbędne rzeczy – uprzedziłem Trojakiemu o świcie. – To co na sobie, karabiny, pistolety oraz kamery.

Sprzęt był odpowiednio przygotowany. Wszystkie powierzchnie, które mogłyby błyszczeć w świetle, zamalowaliśmy stosowną farbą. Ludzka skóra też odbija światło, i to niezależnie od rasy. Azjata, biały czy Murzyn, każdy świeci się w słońcu, więc trzeba się smarować kremem maskującym. Na początku patrolu, kiedy skóra była jeszcze stosunkowo czysta, krem spływał razem z potem. Teraz jednak, po kilku dniach bez mycia i golenia, trzymał się wspaniale.

Krem maskujący to nie indiańskie malunki wojenne. Nakładać trzeba starannie, nie tylko na czoło i policzki, także za uszami, na szyję i na kark, nawet na ręce. Ja osobiście smarowałem ręce do łokcia, żeby mieć pewność, że nic nie będzie widać, gdy rękaw mi się zawinie.

Po sposobie nakładania kremu maskującego można poznać zawodowca. Nie chodzi o to, by namalować sobie fantastyczne wzory jasnej i ciemnej zieleni oraz brązu. Sztuka w tym, aby zamalować całą skórę i zakamuflować rysy twarzy.

Sprawdziłem, jak poszło Trojakiemu, a on dokładnie obejrzał mnie.

– W porządku?

– W porządku – odparł z nutą niepokoju w głosie.

Była mniej więcej siódma, kiedy ruszyliśmy całym patrolem. Podzielimy się dopiero tam, gdzie urządzimy bazę. Przodem, jako zwiadowca, szedł Rodriguez. Posuwał się ostrożnie, przystawał co kilka minut, rozglądał się, nasłuchiwał. Ja zaś analizowałem w myślach, co nas czeka. A więc rozpoznanie. Zdawałem sobie sprawę, że muszę polegać przede wszystkim na sobie, że na Trojakiemu nie mogę zbyt liczyć. Co będzie, jeśli nas złapią? Doszedłem do wniosku, że do tego nie wolno mi dopuścić za żadną cenę. Dwie godziny później dotarliśmy na miejsce, to znaczy do punktu, z którego ja i Trojaki pójdziemy dalej, a chłopcy zostaną, osłaniając nas i czekając na nasz powrót. Zdjęliśmy plecaki. Odczekaliśmy pięć minut, żeby każdy mógł odsapnąć. Przepakowałem kamery do podręcznej torby, sprawdziłem, czy wszystko jest zabezpieczone, czy nic się nie obija, nie hałasuje. Upewniłem się, czy Trojaki wie, gdzie mamy opatrunki i apteczkę pierwszej pomocy. Dyskretnie sprawdziłem jego rzeczy, czy nie zabiera czegoś, co nie jest niezbędne.

– Oto nasza baza – rozpocząłem ostatnią odprawę. – Z Trojakim udajemy się w tym kierunku – pokazałem wyraźnie – a wracać będziemy z tego – znów pokazałem.

Powtórzyłem, kiedy mogą się nas spodziewać i co mają robić, gdyby się coś stało.

Czas ruszać. Spojrzałem na Josego.

Zdawałem sobie sprawę, że jeśli nas złapią, ja zapewne dostanę w kość. Wyładują się na mnie, po czym najpewniej wydadzą mnie za okup. Jego szanse przedstawiały się znacznie gorzej. Pocił się jak mysz. Policjantów wykańczano na miejscu, bez pardonu i litości. Kartel nie oszczędzał nikogo. Zabójstwa policjantów – jeszcze w czasie szkolenia zginęło ich wielu – miały odstraszać, świadczyć, że z kartelem nie ma żartów. Nierzadko znajdowano trupy funkcjonariuszy, poćwiartowane piłami łańcuchowymi, ze śladami tortur.

Rodriguez chciał powtórzyć instrukcje.

– A więc czekamy dwa dni, potem idziemy w stronę rzeki, tak? Przepraszam.

Od początku dawałem do zrozumienia moim chłopcom, że są kimś wyjątkowym, aby w ten sposób rozbudzić w nich niezbędną pewność siebie. Teraz też szepnąłem Trojakiemu, że wśród kolegów z patrolu on jest najlepszy.

– *Numero uno, comprende?*

Miałem nadzieję, że to pomoże mu opanować strach. Uśmiechnął się, ale bardzo niewyraźnie.

Ruszyliśmy bez pośpiechu. Mieliśmy czas, a pośpiech jest złym doradcą. Było parno, pot zmieszany ze środkiem na owady spływał do oczu. Nogi i buty miałem tak mokre, jakbym brodził w wodzie.

Operacja zwiadowcza w dżungli, a zwłaszcza rozpoznanie bezpośrednie, to nie przelewki. Trzeba podejść, jak sama nazwa wskazuje, bezpośrednio do obiektu, niemal wejść do środka. Celem jest dokładne rozpracowanie. Półśrodki nie wchodzi w grę.

Mnie osobiście rozpoznanie zawsze kojarzy się z taką dzieciinną zabawką, co to nakręca się i puszcza. Kiedy takie coś napotka przeszkodę, to odbija się, zmienia kurs i prze dalej. Tak samo będzie teraz z nami. Podejdziemy do obiektu i jeśli się okaże, że z punktu, do którego dotrzemy, niewiele widać, wycofujemy się, zmieniamy miejsce i znów posuwamy się do przodu, aż do skutku. A w ogóle, to trzeba obejrzeć obiekt ze wszystkich stron, sprawdzić drogi, jakie doń wiodą, przeanalizować zabezpieczenie, rozpoznać posterunki, zobaczyć, jak ubrani są wartownicy, jak uzbrojeni, czy są czujni, czy znużeni, młodzi czy starzy. Wszystko to bowiem będzie miało znaczenie, gdy rozpocznie się atak.

Trzeba też sprawdzić ślady na drogach dojazdowych. Dobrze wiedzieć, czy są świeże i czy na ich podstawie można ocenić, ilu ludzi przebywa w środku.

Niezbędna jest także znajomość zabezpieczeń chroniących obiekt płot, drut kolczasty, anteny, system łączności i ostrzegania, obecność samochodów

lub innych środków transportu.

Należy również ocenić kierunki ewentualnego ataku, wybrać miejsca na gniazda ogniowe, podjąć decyzję, czy atakować od razu, czy lepiej odczekać.

Trzeba wreszcie zorientować się, ilu mniej więcej ludzi przebywa w obiekcie, gdzie są kwatery, jak wygląda plan dnia.

Odpowiedź na te wszystkie pytania miałem uzyskać, leżąc w zaroślach, jakieś dwanaście metrów od celu.

Oddałem broń Trojakiemu i nakazałem gestem, żeby się nie ruszał, bo dalej będę posuwał się sam. Przesunąłem aparat fotograficzny na plecy i podczołgałem się do przodu.

Słyszałem warkot diesla napędzającego prądnicę, strzępy rozmów, radio. Muzyka pobrzmiwała głośniejsz, gdy otwierano drzwi do baraku. Dyszałem ciężko. Czołganie wymaga wysiłku. Unosiłem się na łokciach i odpychałem czubkami palców u nóg. Każdy taki manewr to przesunięcie się o piętnaście centymetrów. Do obrony miałem wyłącznie pistolet. Własny oddech wydawał mi się przeraźliwie głośny, gdy wsłuchiwałem się w pobrzmiwające dźwięki. Suche gałęzie zdawały się pękać z hukiem pod ciężarem ciała. Napięcie wyostrzało zmysły. Posuwałem się do przodu przez godzinę. Dalej już nie można było, za duże ryzyko. Mógł mnie zdradzić najmniejszy ruch. Ruch zwraca uwagę. Cały czas pilnie baczyłem, czy teren jest w jakiś sposób zabezpieczony, czy podłączono system alarmowy, a jeśli tak to jaki. Na podczerwień? Reagujący na zmianę ciśnienia? Byłem tuż przy obiekcie. Czas zacząć robić zdjęcia, przede wszystkim sfotografować ludzi, zwłaszcza o obcych rysach. W razie czego policja będzie miała dowód, że w tym szambie macza palce zagranica.

Dzień był słoneczny, było mi to na rękę. Widziałem dokładnie, co się dzieje, a w słońcu zarośla dają lepsze schronienie. Widziałem przed sobą budynki o różnych wymiarach, długie na dziesięć i osiem metrów, z desek, kryte blachą zamaskowaną gałęziami i liśćmi. Blacha była dość matowa, znak, że położono ją raczej dawno, a to z kolei prowadziło do wniosku, że fabryka też ma długą historię. W deskach na ścianach ziały spore szpary. Okna zabezpieczono siatkami przeciwko moskitom, tak samo drzwi, co świadczyło o nadmiarze ostrożności, skoro ściany i tak były dziurawe.

Dobiegały mnie na zmianę dźwięki muzyki, szczęk metalu, krzyki ludzi. Wydawało mi się, że ludzi nie ma dużo. Bardzo ostrożnie przesunąłem aparat z pleców przed siebie. Jeśli zapadnie decyzja o ataku, to chłopcom trzeba pokazać, co i jak mają brać. W razie będzie to pierwsze zdjęcie. Później sfotografuję cały obiekt dookoła.

Zdjąłem aparat z szyi. Osłoniłem go siatką przeciwko moskitom, co wcale nie przeszkadza w robieniu zdjęć, natomiast chroni przed odbłaskiem. Nastawiłem aparat, nacisnąłem migawkę. Żadnej reakcji. Spróbowałem

przesunąć film. Bezskutecznie. Coś się zacięło. Nie było czasu ani możliwości na to, by grzebać w środku. Odłożyłem aparat i zacząłem pilnie obserwować. Przeklinałem w duchu, że nie wziąłem kamery wideo, ale oszczędzałem baterie na później.

Nie ruszając się z miejsca, pilnie nasłuchiwałem, co się dzieje w środku. W polu widzenia miałem cztery budynki. Z lewej stał długi, niski barak. Widziałem mniej więcej trzecią część całości. Domyślałem się i takie przyjąłem założenie – że właśnie w tym baraku odbywa się produkcja. Z prawej miałem chyba kuchnię i pomieszczenia mieszkalne. Właśnie otworzyły się drzwi i wytoczył się facet, na oko pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat, w sandałach, szortach i wyświechtanym podkoszulku, z petem w zębach. Dźwigał stos garnków i rondli. Rzucił je na ziemię, obok kuchennych resztek, które walały się przy drzwiach.

Wyraźnie rozlegał się szum pracującego generatora prądu. Stał zapewne po drugiej stronie kuchni. Słyszałem jakieś strzępy rozmów, jakiś krzyk, ale poza starym kucharzem – bo był to chyba kucharz – nie widziałem nikogo. Muszę sprawdzić, ilu ludzi jest w obozie, jaką mają broń i w ogóle jak obóz jest zabezpieczony.

Po godzinie zacząłem się wycofywać. Poza tym, co opisałem, niczego więcej nie stwierdziłem. Może dlatego, że pora była wczesna, a może po prostu w obozie w ogóle niewiele się działo. Doczołgałem się do Trojakięgo. Ucieszył się. Pokazałem mu kamerę i przeciągnąłem palcem po szyi, dając do zrozumienia, że aparat nawalił. Również gestem poinformowałem go, że zmieniamy miejsce. Okrążymy obóz, posuwając się w prawo.

Pokonanie trzydziestu metrów zajęło nam dobre pół godziny. Znów dałem mu znak, żeby został na miejscu, a sam zacząłem się czołgać przez zarośla. Tym razem wychynałem na wprost pomieszczeń mieszkalnych i niemal natychmiast zobaczyłem człowieka o europejskich rysach. Był stosunkowo niski, metr sześćdziesiąt, w średnim wieku i właśnie wylewał wodę z miednicy. Włosy miał mokre, domyśliłem się, że przed chwilą zakończył poranną toaletę. Ubrany był tylko w szorty, nosił okulary przeciwsłoneczne. Zauważyłem, że ręce miał opalone, a tors i ramiona były blade. Twarz pokrywał zarost – na oko tygodniowy. W sumie wyglądał nędznie. Zapalił papierosa i wszedł z powrotem do środka. Mogłem być zadowolony: Stwierdziłem obecność co najmniej jednego cudzoziemca w obozie. Żałowałem, że nie mogę zrobić zdjęcia. Gaz da mi popalić.

Leżałem tak ze trzy kwadransy, gdy w polu widzenia pojawiło się dwóch ludzi. Pierwszy dźwigał karabin G3, ale starego typu, z wydłużoną lufą i drewnianą kolbą. Drugi nie był uzbrojony. Przeszli wolnym krokiem w stronę baraku produkcyjnego. Gadali i śmiali się jak gdyby nigdy nic, z czego można wnosić, że czuli się nader bezpiecznie.

Tak więc, pomijając kucharza, naliczyłem trzy osoby. Leżałem bez ruchu, ku radości komarów, które całymi gromadami pasły mi się na łbie. Czulem, że głowa zaczyna już puchnąć od ukąszeń, ale co miałem zrobić.

Wciąż pilnie nasłuchiwałem. Otworzyłem nawet usta, aby przełykanie śliny nie zagłuszało dźwięków dobiegających z obozu. Widziałem do tej pory mniej więcej dwadzieścia procent, ale w myślach próbowałem nakreślić obraz całości.

Ustaliłem, że prądnicą znajduje się między dwoma barakami, a na dachach zamontowano anteny: satelitarną i zwykłą. Ta pierwsza może służyć do odbioru telewizji, ale równie dobrze do łączności.

Słyszałem muzykę i odgłosy zwykłych, codziennych czynności: szcęk talerzy i garnków, strzępy rozmów, śmiech. Usłyszałem też rozmowę w obcym języku, jakby po flamandzku lub holendersku. Dokładnie nie potrafiłem ustalić, bo się na tym nie znam. A zresztą to nieważny szczegół, istotne było tylko to, że w obozie są Europejczycy.

„Czulem” już to miejsce i w wyobraźni mogłem sobie odtworzyć dość dokładny obraz tej strony obozu. Budynki sprawiały wrażenie solidnych, a całość funkcjonowała od dość dawna, o czym można wnioskować z faktu, że ścieżki i przejścia były mocno wydeptane.

Zauważyłem, że w środku coś zaczynało się dziać. Włączono drugi generator. Postanowiłem zostać na miejscu z pół godziny. Akurat w polu widzenia pojawił się jeszcze jeden biały. Ubrany w dość gruby podkoszulek, szedł w stronę baraku produkcyjnego. Po chwili z baraku mieszkalnego wyszło jeszcze dwóch – też cudzoziemców, sądząc z wyglądu. Nic nie mówili. Jeden z nich, czterdziestolatek, rozczesywał palcami włosy, widać ledwie wstał. Był znacznie wyższy od pozostałych. Miał na sobie amerykańskie spodnie mundurowe i podkoszulek. Długie blond włosy lśniły w słońcu – znaczy mokre albo tłuste. Drugi wyprzedzał go o dwa kroki, palił papierosa. Był młodszy. Mógł mieć około trzydziestki. Niósł skórzaną torbę. Chyba coś się szykuje.

Tak więc naliczyłem już sześciu ludzi, ale z pewnością było ich więcej. Nie wszyscy jeszcze wytoczyli się z baraku mieszkalnego. Trzeba więc poczekać. Muszę ustalić, ilu ich jest. Muszę także stwierdzić, jaką mają broń i ile. Do tej pory widziałem tylko jeden G3.

Odczekałem pół godziny, ale już nic się nie działo. Słyszałem muzykę i szcęk naczyń w kuchni. Wyglądało na to, że więcej się dzieje po drugiej stronie obozu. Wycofałem się więc. Trojaki rozplýwał się ze szczęścia na mój widok. Niecierpliwił się, czekając w samotności i nie bardzo wiedząc, co się dzieje. Kazałem mu jednak zostać, a sam zacząłem skradać się dalej.

Okrażałem obóz na czworakach, szukając dogodnego punktu obserwacyjnego. Dotarłem w pobliże rzeki, tej samej zresztą, wzdłuż której

moi chłopcy mieliby się w razie czego ewakuować z rejonu. Między rzeką a obozem natrafiłem na mocno rozjeżdżoną ścieżkę z mnóstwem śladów opon. Czyżby mieli samochód? Ruszyłem w dół, ku rzece. Odkryłem tam dwie pneumatyczne motorówki typu Gemini, z przyczepnymi silnikami. Ukryto je w zaroślach na brzegu. Nie udało mi się rozszyfrować śladów opon, ale wyglądało na to, że chodzi o coś, co dostarczono motorówkami i co służy raczej do transportu na miejscu.

Musiałem obejrzeć obóz z drugiej strony, aby dokładnie ustalić, ilu w nim przebywa ludzi, choć już wiedziałem, że raczej niewielu, bo barak mieszkalny wyglądał dość skromnie. Na razie wróciłem do Trojakiego.

– Idziemy na drugą stronę – szepnąłem mu do ucha. Kiwnął głową, że rozumie. Ruszyliśmy w drogę, wolno, ostrożnie. Zamieraliśmy dosłownie na każdy podejrzany dźwięk. Cały czas trzymaliśmy się w takiej odległości od obozu, aby słyszeć, co dzieje się w środku.

Kiedy dotarliśmy na drugą stronę, zdjąłem pas i uprząż ze sprzętem i znów zacząłem się czołgać bliżej obozu.

Wyglądało na to, że zaraz rozpocznie się praca w baraku produkcyjnym. Był on znacznie niższy od pozostałych, z otwartymi ścianami. Widziałem ludzi, słyszałem szum generatorów prądu. Słońce było już wyżej, a ziemia zaczęła parować.

Z lewej strony baraku produkcyjnego wznosił się jeszcze jeden budynek, chyba magazyn albo coś takiego. Tuż obok zobaczyłem trójkołowy traktorek z przyczepką.

Odczekałem dziesięć minut, wziąłem głęboki oddech i znów zacząłem się przesuwając do przodu. Słońce przygrzewało mocno. Czulem gorąco na plecach i karku. Zaniepokoiliem się, że mokre ubranie zacznie parować, co mogłoby zwrócić czyjąś uwagę.

Śmierdziałem. Po kilku dniach w tych samych ciuchach – bez mycia i w ogóle – cuchnąłem obrzydliwie. Byłem ubłocony, brudny, całe ciało swędziało okropnie. Moskity w dalszym ciągu miały używanie, a ja nawet nie mogłem się odpędzić od tych natrętów.

Dyszałem ciężko. Musiałem jednak posunąć się do przodu. Jeśli dziś nie zdobędę potrzebnych wiadomości, to trzeba będzie wrócić tu jutro. Po chwili dostrzegłem kolejną rzecz – starszy model M16 z trójkątną kolbą. Karabin był wsparty o traktor, z czego wniosek, że faceci w obozie nie są specjalnie czujni.

W dalszym ciągu nie wiedziałem, ilu ich jest. Część pewnie przebywała jeszcze w baraku mieszkalnym, a tymczasem z miejsca, w którym teraz byłem, widziałem tylko barak produkcyjny. Kurwa, powinienem jednak zostać tam dłużej.

Zacząłem się denerwować. Najchętniej bym się już wycofał, ale też nie



uśmiechał mi się ewentualny jutrzejszy powrót. Niepokoilem się o chłopców, którzy pewnie też się denerwują, wyczekując w kryjówe. Dobrze wiedziałem, jak to jest, kiedy siedzi się gdzieś na stanowisku obserwacyjnym, nie ogarnia obrazu całości i czeka bez końca. Nieraz przez to przechodziłem.

Wreszcie coś zaczęło się dziać. Zjawił się jakiś młody człowiek, usiadł na traktorze, zapalił papierosa, wystawił twarz do słońca. Dżinsy podwinął do kolan. Na nosie miał okulary przeciwsłoneczne, a stopy w adidasach, bez skarpetek. Jeszcze jeden.

Krzyknął coś do kogoś, kogo nie widziałem, poderwał się z miejsca i zniknął za rogiem baraku. Po chwili znów się pojawił. Szedł prosto na mnie. Bez broni, ale i tak serce podeszło mi do gardła. Patrzyłem w dół, aby nie ściągnąć jego uwagi swoim wzrokiem. Leżałem bez ruchu, starając się kontrolować oddech. Jeśli podejdzie bliżej, musi mnie zobaczyć. Co wtedy? Zastrzelić go? Uciec? Rzucić się na niego i obezwładnić? Nie miałem pojęcia. Uznałem, że lepiej niczego nie planować. Będzie, jak będzie. Jedno uznałem za pewnik, to nie był mój dobry dzień.

Pewne też było, że mnie nie widzi, bo sięgnąłby po broń. Wciąż jednak szedł w moją stronę. Im bliżej, tym większa możliwość, że w końcu mnie zauważy. Szykowałem się do skoku, gdy nagle skręcił w lewo ode mnie. Kurwa – pomyślałem – jeśli zagłębi się w dżunglę, natknie się na Trojakięgo. A może zwyczajnie lezie w krzaki, żeby się wysrać? Bzdura, muszą tu mieć jakiś szacz z odpływem do rzeki. Co on, kurwa, robi?

Przeszedł jakieś dwa metry ode mnie. Przymknąłem oczy i zamarłem. Słyszałem kroki, potem facet krzyknął coś do kogoś, kogo w dalszym ciągu nie widziałem, a zresztą wlepiąłem oczy w ziemię, nie podnosząc łba, wstrzymując oddech. Chciałem wyjąć pistolet. Broń miałem w kaburze pod pachą. Próba wyciągnięcia oznaczała ruch, a ruch jest zdradliwy. Dałem więc spokój. W razie czego przekręcę się na plecy i wyciągnę broń. Była zarepetowana. Wystarczy zwolnić bezpiecznik, z tym nie ma problemu. Jeśli rzuci się na mnie, zanim wystrzelę, odepchnę go nogami, zwałę i zacznę uciekać. Żeby tylko Trojaki przez pomyłkę nie zaczął do mnie strzelać.

Facet szedł gdzieś w lewo. Wrócił po chwili, niosąc niewielki karton. A więc po lewej jest jeszcze coś, jeszcze jeden magazyn, czy coś takiego. Tylko po co im magazyn na uboczu? A może są tam jeszcze jacyś ludzie?

On tymczasem podszedł do traktora, rzucił pudło na przyczepkę i rozerwał je. Wysypały się puszkki. Wziął jedną, otworzył, podniósł do ust. Jak na piwo albo sok, puszka była za mała. Po chwili dopiero uświadomiłem sobie, że to skondensowane mleko.

Po godzinie zdecydowałem się na odwrót. Nie działa się już nic interesującego, a zrobiło się strasznie gorąco. Nikt nie wychodził na zewnątrz. Niewiele też mogłem ustalić, co dzieje się w baraku produkcyjnym.

W sumie miałem już niezłe wyobrażenie o obozie, nie wiedziałem tylko, co jest po mojej lewej.

Serce mi waliło z podniecenia, że to my odkryliśmy ten cały interes w dżungli.

Wycofałem się do Trojakiemu. Dałem mu znak, że wszystko w porządku, założyłem uprząż ze swoimi gratami. Pokazałem palcem w lewo, wskazując, że tam trzeba pójść. Nie był zachwycony. Pewnie myślał, że już po wszystkim. Czas uciekał i jeśli wkrótce nie ruszymy do bazy, to trzeba będzie spędzić noc na miejscu. Zaczęliśmy ostrożny marsz. Teren stopniowo się wznosił. Dotarliśmy do drogi. Między drzewami przeciskały się promienie słońca. Było gorąco jak w łaźni. Tą drogą zapewne łąził facet, którego widziałem. Po lewej rozciągał się spory kawał płaskiego, równego gruntu. Wycofaliśmy się, a następnie łukiem ruszyliśmy w tamtym kierunku. Po jakimś czasie zatrzymaliśmy się. Znow zrzuciłem uprząż z gratami, wziąłem gnata w rękę i zacząłem się czołgać.

Na owej stosunkowo sporej płaskiej przestrzeni mieściła się dość duża platforma z desek – lądowisko śmigłowców. Stąd właśnie facet przyniósł karton z mlekiem. Widać nie wszystko z ostatniego transportu przeniesiono do obozu. Lądowisko to dobra wiadomość. W razie czego możemy sprowadzić odwody prosto na obiekt.

Spływałem potem. Świerszcze grały w trawach. Na wolnej przestrzeni głosy przyrody rozbrzmiewają inaczej niż w głębi lasu. Czuję powiew wiatru. Powietrze było wilgotne, jakby rozmazane. Chciało mi się wyjść i wyciągnąć na słońcu. Zamiast tego znow zagłębiłem się w wilgotną dżunglę.

Wróciłem do Trojakiemu. Pod osłoną zarośli, gdzie było względnie bezpiecznie, pozwoliłem sobie na kilka głębokich oddechów. Trojaki uśmiechał się z wyraźną ulgą. Zdawał sobie pewnie sprawę, że to już koniec. Przeanalizowałem w myślach, co wiemy, i doszedłem do wniosku, że nie ma sensu wracać jutro. Nie znałem tylko dokładnej liczby ludzi przebywających w obozie. Widziałem jedynie dwie sztuki broni. Ale zapewne będą się bronić. Chodziło o duże pieniądze. Poza tym faceci w obozie wiedzą doskonale, że siły atakujących też są ograniczone, więc mogą zechcieć przetrwać oblężenie.

Dałem znak Trojakiemu, że wracamy do naszych. Skwitował to z wyraźnym zadowoleniem.

Na miejscu podzieliłem się z chłopakami wszystkimi wiadomościami. Gdyby coś się stało, któryś zawsze przekaże informację dalej.

– Zostajemy tu na noc, jutro chciałbym pójść jeszcze raz.

Szczerki im opadły. Pomyślałem, że nie wolno ich traktować jak chłopaków z Pułku. Zmieniłem więc zamiar.

– OK. Nie zostajemy. Wycofamy się do miejsca, gdzie założymy bazę wyjściową.

Pojaśniali. Rodriguez pokazał cały garnitur zębów. Im dalej stąd, tym bezpieczniej.

Chciałem przekazać raport jeszcze tego samego dnia, ale gdy dotarliśmy na miejsce, zaczęło zmierzchać, więc postanowiłem, że dziś tylko napiszę, zaszyfruję, a nadam nazajutrz świtem. W raporcie muszę określić koordynaty miejsca, w którym będziemy oczekiwać na pozostałe patrole, a przede wszystkim opisać, co widziałem: Z chwilą przybycia patroli będziemy stanowić oddział bojowy. W meldunku do centrali poinformowałem także, że wyślę zwiadowców, by kontynuowali obserwację DMP. Nie dam im wszakże kamer, aby nie utrudniać zadania.

Cieszyłem się, że rychło zjawią się pozostali. Nasze zadanie polegało teraz na uzupełnieniu tego, co już wiemy. Ale kolejnego zwiadu nie mogłem już prowadzić osobiście, ponieważ najważniejszą sprawą obecnie było spotkanie z przybywającymi patrolami. Muszę więc zostać na miejscu.

Postanowiłem, że na zwiad wyślę Trojakięgo, bo zna teren, a do pomocy dam mu Rodrigueza. El Nino nie bardzo się nadawał, bo zadanie wiązało się ze zbyt dużym napięciem jak na niego, choć w końcu wszyscy będą się musieli tego nauczyć.

Przed zmierzchem zebrałem całą swoją gromadkę.

„Chłopcy – powiedziałem – dobra robota. Jutro wysyłamy meldunek. Wkrótce dołączą do nas pozostałe patrole. Pokażemy im, co i jak i wspólnie załatwimy sprawę. Jutro trzeba pójść i zebrać jeszcze więcej informacji. Głowiłem się, kto powinien wykonać to zadanie, ale sądzę, że będzie dobrze, jeśli zrobią to Trojaki z Rodriguezem. Pomyślcie o tym. To bardzo poważna sprawa”.

Powiedzmy, że byli dumni z wyróżnienia.

„Musicie ustalić, ilu jest ludzi, jaką mają broń. Musicie sprawdzić, czy przyplęły jakieś łodzie, czy przyleciał śmigłowiec, jaki jest ich plan dnia, o której jedzą kolację, słowem – wszystko. Ale najważniejsze to dowiedzieć się, ilu jest strażników (powiedziałem »narkogoryli«, bo posługiwaliśmy się takim właśnie terminem), tylko nie róbcie niczego na siłę. Musicie działać ostrożnie. Może uda wam się podsłuchać, o czym rozmawiają. Pamiętajcie, że od tego, czego się dowiecie, wiele zależy”.

Wieczorem spadł deszcz. Wszyscy pogrążyli się we własnych myślach. Rankiem Jose z Rodriguezem ruszyli na zwiad, ja zająłem się radiem. Czekałem na odpowiedź z dowództwa. Przed południem odezwał się Gaz informując, że wkrótce nakaże pozostałym patrolom dołączyć do nas, a ja mam zorganizować przyjęcie.

Przedstawił plan, wedle którego nazajutrz, między dziesiątą a dwunastą, marszem z południa, powinien zjawić się pierwszy patrol. Jeśli nie zdąży, to kolejne „okienko” będzie miał następnego dnia o tej samej porze. Podał mi

czasy pozostałych patroli, jak również rezerwowe „okienka”.

Podczas oczekiwania na ich przybycie zacząłem przygotowywać makietę obiektu. Oczyściliśmy kawałek gruntu, mniej więcej metr na dwa i z pomocą Gonza i Nina zrobiłem z piasku modele baraków, lądowiska, zazaczyłem rzekę, a potem rozsiadłem się, pogryzając sucharki z wodą.

Pogadałem z Ninem, który – jak widziałem – czuł się bardzo nieswojo. Być może wyobrażał sobie to wszystko inaczej i rzeczywistość raczej go przerażała.

– Skąd pochodzisz? – spytałem na początek i tak zaczęliśmy sobie gwarzyć.

Dowiedziałem się ciekawych rzeczy, jak na przykład tego, że miejscowa odmiana malarii jest mniej groźna niż południowoazjatycka. El Nino chciał być lekarzem, studiować medycynę...

– ...ale nie stać mnie na studia i dlatego znalazłem się tu – zwierzył się.

Siedziałem pod drzewem, słuchałem śpiewu ptaków. Byłoby naprawdę bardzo fajnie, gdyby nie smród. Śmierdziałem jak stary kozioł. Coś okropnego.

Dwie godziny przed zmierzchem wrócił Jose z Rodriguezem. Ja akurat miałem wartę.

– No, co widzieliście?

W odpowiedzi zasypali mnie gradem słów, z czego nic niestety nie rozumiałem.

– *Narco-guerilla?* – zacząłem przesłuchanie.

– *Si, ocho.*

Znaczy, jest co najmniej ośmiu strażników.

– *Fusilos?* – spytałem o broń.

– *Ocho.*

Zapytałem następnie, co strażnicy robią.

– *Cerveza* – zaśmiał się Rodriguez, machając wymownie ręką. A więc w obozie było ośmiu uzbrojonych miejscowych i trzech białych. Pokazując na makiecie, zwiadowcy dali mi do zrozumienia, że strażnicy nie robią niczego szczególnego, raczej się objają. Być może czekają na dostawę surowca albo przeciwnie, na śmigłowiec lub łódzie, które zabiorą gotowy towar. Ta ostatnia ewentualność była dość niepokojąca. Oznaczała, że w obozie mogą się znaleźć nowi ludzie.

Zanim jednak zacząłem się martwić, ciszę rozerwał huk wystrzału, wyraźnie od strony obozu. Ptaki z jazgotem poderwały się w powietrze, cały las raptem zaczął brzęczeć tysiącem dźwięków. Po pierwszym strzale rozległy się następne, a potem krótka seria, po niej jeszcze jedna. W końcu zapadła cisza, a po chwili znów usłyszeliśmy kilka pojedynczych strzałów.

Chłopcy nerwowo spojrzeli po sobie, a potem na mnie, jakby spodziewali

się wyjaśnienia. Błyskawicznie założyliśmy uprząże z gratami, ukryliśmy się za plecakami, z bronią gotową do strzału.

Nie miałem najmniejszego pojęcia, co o tym myśleć. W okolicy nie było żadnego innego patrolu, a więc nie mogła to być przypadkowa potyczka. O co, do cholery, chodzi?

Pięć minut później znów usłyszeliśmy dwa strzały, a potem jeszcze dwa. Ciągnęło się to może kwadrans, może dwadzieścia minut. Postanowiłem, że rano trzeba będzie pójść zobaczyć, co się stało. Może w obozie wybuchła sprzeczka, a możliwe też, że dobrała się do nich jakaś inna banda. Tak czy owak sprawa była niepokojąca.

Zastanawiając się dłużej, przyszło mi do głowy, że być może strażnicy strzelali z nudów albo ćwiczyli. Jedno tylko było pewne, broń mieli sprawną, co wcale mnie nie ucieszyło.

Tej nocy, w hamaku pod pałatką, nie mogłem zmrużyć oka. Odtwarzałem w myślach wszystko, co widziałem, zastanawiałem się, czy moja makieta jest dokładna, czy chłopcy zjawią się jutro. Patrol Terry'ego był stosunkowo blisko. Wiedziałem, że po sygnale on i jego chłopcy ruszą z kopyta, nie przejmując się specjalnie konspiracją. Choć nie mieli daleko, to jednak czeka ich ciężki marsz. Oczami duszy widziałem, jak z dżungli wyłania się przepocona, zmęczona gromadka.

Obudziliśmy się o świcie. Przycupnąłem przy makiecie, próbując obmyślić jakiś rozsądny plan działania, byśmy mogli rozpocząć akcję, gdy tylko zjawią się posiłki. O wpół do dziesiątej rozstawiłem posterunki, szykując się na przybycie patrolu Terry'ego. Terry zjawił się po godzinie. Widziałem go już z daleka. Przepocony, ciężko dyszał. Widać, że nie oszczędzał ani siebie, ani ludzi.

Terry miał dwadzieścia dziewięć lat. Wysoki blondyn o odstających uszach, duszą i ciałem oddany był rodzinie – żonie i dwojgu drobiazgu. Mówił takim zachodnim akcentem, jaki czasami słyszy się u niezbyt dobrych aktorów. Przedtem był w RAF. Gdyby nie wylądował w Pułku, zostałby księgowym. Wiele razy przekonywał mnie, że jako księgowy miałby się znacznie lepiej.

– Cześć koleś, jak leci? – przywitałem się.

– Jak krew z nosa.

– Wygląda, że się trochę zmęczyłeś. Kawał drogi na stare nogi.

– Po chuju – odparł, wspierając się na karabinie.

Nadciągnęła reszta jego chłopaków. Byli równie zmęczeni jak on, a tak spoceni, że nad głowami unosił się obłok pary.

– Rozłóżcie się tam, pod tym przekrzywionym drzewem, czasu jest dużo, więc możecie coś zjeść. Pogadamy później.

– W porządku. Rozlokuję chłopaków i zaraz wracam – odrzekł Terry.

Moi chłopcy wyraźnie się ucieszyli, widząc posiłki. Przybysze zaś byli zadowoleni, że skończył się forsowny marsz.

Zasiadłem do sporządzenia meldunku, który chciałem nadać wieczorem, mając nadzieję, że do tego czasu zjawią się wszystkie patrole. Jeśli nie, to mamy rezerwowy termin następnego dnia. Ważne, żeby przyszedli o umówionej godzinie. To podstawowa zasada bezpieczeństwa. Unika się groźby przypadkowej wymiany strzałów ze swoimi.

Stawili się o czasie. Pierwszy między wpół do pierwszej a wpół do trzeciej, ostatni między trzecią a piątą.

– Nadam teraz meldunek, a potem pokażę wam co i jak i naradzimy się co dalej.

Godzinę później zasiedliśmy wspólnie nad makietą. Objaśniłem im szczegóły i dodałem kilka słów komentarza:

– Wydaje się, że transport towaru odbywa się głównie rzeką. Widziałem dwie motorówki Gemini. Jest też lądowisko dla śmigłowców. W obozie przebywa ośmiu uzbrojonych ludzi. Mają broń kaliber pięć pięćdziesiąt sześć i siedem sześćdziesiąt dwa. Doliczyłem się trzech białych, Holendrów lub Niemców. Mamy więc wystarczającą przewagę. Dwudziestu na ośmiu. Ochrona jest raczej rozlazła. Łażą po obozie, a niektórzy są chyba nawet na hajju.

– Dobrze im tak – mruknął Terry. – Dwudziestu na ośmiu, damy radę bez problemu.

Rod rozpuścił trochę kawy w zimnej wodzie. Kubek krążył z rąk do rąk.

– To na dziś tyle. Zaczniemy o świcie.

Rod był najbardziej pedantycznym facetem, jakiego znałem, z wyjątkiem może Ena. Miał trzydzieści sześć lat, zawsze na luzie, ale zadbany. Nosił krótkie włosy i zawsze miał przy sobie wazelinę, bo – jak powiadał – pękały mu wargi. Smarował i dbał o usta jak o największy skarb. Tylko to go obchodziło, no może jeszcze jedno – zakupy. Uwielbiał dobre ciuchy.

Leżąc w hamaku, raz jeszcze przeanalizowałem sytuację i zadanie. Sprawa zdawała się dość prosta. Czterech z Pułku, szesnastu raczej nieźle wyszkolonych policjantów, element zaskoczenia po naszej stronie. Chciałem to już mieć za sobą.

Myśłami wybiegłem do Kate i rodziny. W domu trzeba jeszcze to i owo zrobić. Dach na garażu zaczynał przeciekać, umawialiśmy się też, że po moim powrocie odnowimy hall. Myślałem o zimie w Anglii. Lubię zimowymi nocami włóczyć się po mieście, patrzeć na wystawy. Muszę wybrać się z Kate do takiej jednej cukierni, gdzie samemu i można sobie zrobić mieszankę słodczy.

O świcie zameldowaliśmy Gazowi przez radio, że wszystkie patrole są już na miejscu. Nasz był tu najdłużej i w pewien sposób nawykliśmy już do

otoczenia, tak jak człowiek oswaja się z obcym domem. Choć minęło ledwie kilka dni, czuliśmy się tak, jakbyśmy siedzieli tu od tygodni.

Było w istocie dość nudno, ale zawsze to lepsze niż pośpieszna wędrówka przez dżunglę. Tymczasem w oczekiwaniu na sygnał do natarcia chłopcy przygotowywali sprzęt, czyścili broń. Niezbyt zresztą dokładnie. Wedle regulaminu należałoby ją rozebrać i przejrzeć wszystkie mechanizmy, ale jeśli broń jest zadbana, można to sobie darować. Wystarczy odrobina smaru. Dlatego chłopcy zwracali uwagę – i słusznie – na magazynki, bo większość zacięć ma właśnie związek z magazynkami. Sprawdzali więc, czy nie ma uszkodzeń. Nic więcej nie było do roboty. Czekając na dalsze rozkazy, można było odpocząć.

Nasi policjanci mieli spore zapasy cukru. Pochłaniali go całymi kilogramami. Żelazne porcje zawierały także mleko skondensowane. Kiedyś i w naszym wojsku racje żywnościowe zawierały mleko skondensowane w tubach. Później jednak zrezygnowano z tego, a szkoda. Korzystaliśmy więc z gościnności naszych podopiecznych. Pijąc kawę z ichnim mlekiem i cukrem zastanawialiśmy się nad sytuacją.

– Istota zadania polega na aresztowaniu personelu i likwidacji DMP – podsumował Rod, smarując, jak to on, usta wazeliną. Wiemy, że są tam trzej cudzoziemcy. Szkoda, że nie mamy ich zdjęć. Można przyjąć, że jako odpowiedzialni za techniczną stronę produkcji nie są uzbrojeni i nie będą stawiać oporu.

– A co wiemy o łączności DMP ze światem? – Tony zadał rzeczowe pytanie, częstując wszystkich cukierkami.

– Widziałem dwie anteny: zwykłą i satelitarną. Nie mam pojęcia, czy ta ostatnia służy do łączności, czy tylko do odbioru telewizji. Raczej do telewizji, choć pewności nie ma – odparłem. – Jeśli jednak uderzymy o świcie, to i tak nie zdążą nadać żadnej wiadomości, a gdyby nawet zdążyli, nie ma to większego znaczenia. Gaz w każdej chwili może przysłać posiłki. – Spojrzałem na Terry'ego. Rozśmieszył mnie. Znalazł węgry na brodzie, wycisnął i skrupulatnie badał rezultat operacji. – Jeden z baraków – ciągnąłem – wygląda na kuchnię. Zawiaduje nią dość wiekowy facet, na oko sześćdziesięcioletni. Nie ma broni. Tuż obok kuchni jest barak wyglądający na mieszkalny. Tak sędzę, bo ma własny generator.

– Jesteś pewny? – Terry wytarł palce o rękaw koszuli.

– Chyba tak, bo widziałem kilku ludzi wychodzących z niego, a jeden facet wyglądał jak po porannym myciu. W drugim baraku z całą pewnością odbywa się produkcja. Jest długi, stosunkowo niski, częściowo tylko osłonięty ścianami. Poza tym widziałem jeszcze budynek magazynu, ale nie wiem, co w nim składują. – Wypiłem łyk kawy, gestem wskazałem na makietę z piasku. – Całość nie jest chyba ogrodzona, bo nie zauważyłem

żadnego płotu. Wykarczowana polana i tyle.

– A z której strony podchodziłeś do obiektu? – spytał Rod.

– Z tej – pokazałem na makiecie – i z tej też jest dogodne dojście. Później podeszliśmy tu, pod lądowisko dla śmigłowców.

– Powiedz coś więcej o samym obiekcie. Czy teren jest udeptany, czy łatwo się poruszać. Upierdoliłem się wczoraj, łażąc po dżungli – odezwał się Tony.

– Polanę wykarczowano i wypalono wieki temu. Tu i ówdzie leżą co prawda resztki ściętych pni, ale to żaden problem.

– A budynki?

– Drewniane, z desek. Kryte blachą, na którą dla zamaskowania narzucono liści i gałęzi.

– Ściany, drzwi? Opisałem. – Wywalimy ładunkami wybuchowymi – ocenił Rod – żeby nikt nie uciekł.

– Właśnie, trzeba im dopierdolić – mruknął Terry. Przeszliśmy do oceny sił przeciwnika.

– Jak myślisz, będą się bronić? – Terry z upodobaniem wyciskał kolejnego wągra.

– Chyba tak, bo nie bardzo mają gdzie uciec, a poza tym chodzi o towar. To kupa szmalu. Dlatego mają uzbrojoną ochronę.

– Właśnie – wtrącił Rod – zanim spróbują ucieczki, będą walczyć. Ale trzeba będzie uważać, żeby nikt się nie wymknął. Mają automaty pięć pięćdziesiąt sześć i co najmniej jeden G Trzy, więc wiemy, jaką dysponują siłą ognia. Trzeba ich zaskoczyć w łóżkach, żeby uniknąć strat własnych, bo to najważniejsze. Zaraz potem wypieprzamy. Robią mi się zachciewajki, więc muszę wrócić do miasta. – Rod nawet w dżungli wyglądał znakomicie. Na luzie, fryzura bez zarzutu.

Przeanalizowaliśmy jeszcze mocne i słabe punkty przeciwnika. Jedno było pewne, faceci są bezwzględni, a jeśli idzie o taktykę, to zapewne wyznają kowbojskie zasady sztuki: walić dużo i ostro.

Zastanawialiśmy się jeszcze nad kwestią terenu. Chodziło nam o tak zwany dominujący punkt, którego opanowanie gwarantowałoby przewagę.

– Z tego, co widziałem, nie ma czegoś takiego. Może tylko lądowisko, które leży wyżej niż reszta, ale gówno stamtąd widać.

– A więc nie ma gdzie ustawić odwodów. Trzeba pójść na całość.

– Andy, a jak wyobrażasz sobie kierunki natarcia?

– Tu i tu – pokazałem na makiecie, którądy skradałem się do obozu – nie ma przeszkód. Na wschód od obiektu płynie rzeka, ale to też żadna przeszkoda, bo płytka po kolana, a prąd słaby. Wiem już, gdzie założyć bazę wyjściową i gdzie wyznaczyć linię natarcia. Pójdziemy chyba wszyscy razem, bo – jak powiadam – nie ma odpowiedniego miejsca na ulokowanie grupy



odwodowej.

– Niech i tak będzie – rzekł Tony – a myślicie, że potrzebujemy więcej ludzi?

– Chyba nie – uciał Rod – ruszmy o świcie i załatwimy skurwysynów jeszcze w łózkach.

– Właśnie – dorzucił Terry – wywalamy w powietrze drzwi i załatwiamy sprawę w dwie, trzy minuty.

Zgodziłem się, a następnie uzgodniliśmy, kiedy najwcześniej możemy przystąpić do natarcia.

– Nie ma powodów do zbytniego pośpiechu – rzekł Rod. – Jutro dopracujemy plan, damy chłopcom czas, żeby się ogarnęli, bo inaczej trzeba by ruszać jeszcze dziś przed zmierzchem.

Nikt nie miał innego zdania.

– Ruszamy więc jutro pod wieczór. Noc w bazie wyjściowej. Atak pojutrze o świcie – powtórzył Rod.

– Zaraz nadam meldunek. Myślę, że zaakceptują nasz plan, bo i tak gdy nadejdzie odpowiedź, będzie za późno na zmianę.

– Zamelduj, że jeśli idzie o sprzęt i materiały wybuchowe, to nic nam nie trzeba – podpowiedział Rod. – I dodaj, że natychmiast po opanowaniu obozu oczyszczamy lądowisko, więc Gaz ze swoimi ludźmi będzie mógł zaraz siadać.

Na koniec zajęliśmy się podziałem konkretnych zadań.

– A więc – zacząłem – główny cel to dwa baraki, w których przebywają ludzie. Poza tym trzeba pamiętać o łodziach na rzece. Nie wiem, czy przy łodziach ktoś czuwa, czy nie. Ważne jest jedno: jeśli będą uciekać, to tylko w stronę rzeki.

– Trzeba więc – rzekł Rod – odciąć im tę możliwość. Jeśli jednak są jacyś ludzie przy łodziach, to mogą nas zauważyć i podniosą alarm.

– Właśnie – zmartwił się Tony.

– Uważam więc – ciągnął Rod – że jeden patrol powinien opanować dojsście nad rzekę i odciąć drogę ewentualnym zbiegom.

Nie zapomnieliśmy także o przemyśleniu możliwej reakcji przeciwnika. Faceci są uzbrojeni i zapewne potrafią posługiwać się bronią. Trzeba się więc liczyć z tym, że będą ranni po naszej stronie i poczynić stosowne przygotowania. Mamy opatrunki i kroplówkę, będziemy dysponować lądowiskiem. W tej sytuacji ważne jest, aby w pogotowiu był śmigłowiec do ewakuacji rannych. Pilot nie musi na razie wiedzieć, gdzie i kiedy odbędzie lot. Kurs poda mu się w ostatniej chwili.

Jeszcze raz przedyskutowaliśmy ustalenia, zastanawiając się nad innymi rozwiązaniami. Ta faza planowania polega na krytycznym spojrzeniu na plan, przeanalizowaniu jego wad i zalet. Po zatwierdzeniu planu Rod wyda

stosowne rozkazy.

Tak więc działac̄ będziemy w czterech grupach: dwie atakuj̄ obóz, jedna odcina drogę nad rzekę, a pozostała osłania grupy szturmowe i zabezpiecza teren. Gaz ze swoimi ludźmi czeka w pogotowiu. W stosownym momencie ląduje, a wraz z nim przybywa ekipa, która zajmie się ostateczną likwidacją obozu, i ocywiście dziennikarze, którzy to wszystko uwiecznią.

Zbliżało się południe. Piąty dzień od momentu odkrycia przez nas obozu. Rod opracował rozkazy, co nie było łatwe ze względu na barierę językową. Nikt z nas nie znał dobrze hiszpańskiego, a chodziło przecieź o to, aby policjanci wszystko zrozumieli. Wkrótce zaczną samodzielnie prowadzić podobne operacje.

Zebraliśmy więc chłopców przy makiecie. Niektórzy słuchali z uwagą, inni byli wyraźnie znudzeni. Odprawę poprowadził Terry, bo stosunkowo najlepiej posługiwał się hiszpańskim.

„A więc – zaczął – obóz wygląda mniej więcej tak, jak widzicie. Jutro wyruszamy stąd i zakładamy bazę w pobliżu obozu. Trzy patrole zostają w bazie, ja ze swoim idę dalej. Nasze zadanie polegać będzie na zablokowaniu drogi nad rzekę. Do natarcia przystępujemy pojutrze rano. Patrol Roda atakuje ten barak, Tony bierze ten. Osłania ich patrol Andy’ego. O szczegółach powiedzą wam sami za chwilę. W obozie jest prawdopodobnie ośmiu ludzi. Nacieramy o świcie, gdy jeszcze śpią. Sprawa nie jest trudna, jeśli tylko zadziałacie tak, jak wam powiemy. Są pytania?”

Nie było. Chłopcy rozeszli się, a my we czwórkę raz jeszcze przedyskutowaliśmy cały scenariusz.

A więc Terry ze swoimi zajmuje pozycje na północnym skraju obozu i uniemożliwia ewentualną ucieczkę, bo przeciwnik, wedle wszelkiej logiki, może wycofywać się wyłącznie w stronę rzeki.

– Na razie – rzekł Terry – nie ruszamy łodzi, bo gdyby ktoś się napatoczył i zauważył, że coś majstrowano przy łodziach, mógłby podnieść alarm.

Ludzie Terry’ego obserwują rzekę i w razie czego zawiadamiają nas, że coś się dzieje. Nie można bowiem wykluczyć tego, iż właśnie rzeką przyplynie na przykład zmiana i naszą operację diabli wezmą.

Zaczeło padać i dalsza część debaty przebiegała w strugach deszczu. Terry ze swoimi działa niezależnie do reszty, więc zabiera cały swój sprzęt. Wyruszają możliwie najwcześniej, żeby zająć pozycje jeszcze za dnia i zorientować się w sytuacji. Jeśli napotkają przeciwnika, to na odgłos strzałów pozostałe trzy patrole nacierają od razu na obóz i idą Terry’emu z pomocą.

– Jak tylko wyjdziecie na pozycje – wtrąciłem – dajcie nam sygnał przez radio. Jeśli nie odbierzemy wiadomości, bo może się zdarzyć, że łączność będzie niemożliwa, zakładamy, że wszystko idzie zgodnie z planem.

Mieliśmy radiotelefony Motorola, które przeczornie przywieźliśmy ze sobą

z kraju. W otwartym terenie miały zasięg półtora kilometra, gorzej było w dżungli. Czasami udawało się nawiązać łączność, a czasami nie. Należało więc przyjąć, że jeśli nie usłyszymy strzałów, to nawet bez potwierdzenia przez radio zakładamy, że wszystko idzie zgodnie z planem.

Ustaliliśmy, że Trojaki pójdzie na rozpoznanie z Tonym i Rodem. Pokaże im dojścia i baraki. Po ich powrocie czekamy do świtu, a rankiem atakujemy.

– Oddział zabezpieczający drogę nad rzekę – ciągnął Rod – czeka na mój rozkaz. Jeśli nie będzie łączności radiowej, wyślę do was gońca. Gdy już weźmiemy oba baraki, Andy ze swoim patrolem zabezpiecza barak produkcyjny, a następnie udaje się na lądowisko. Daje mi sygnał, że wszystko w porządku, a ja wzywam wtedy Gaza. Kiedy Gaz wylądowuje, wracamy po plecaki do bazy i koniec akcji.

– No to – odezwał się Tony – czas nadać meldunek do Gaza, ogarnąć się i złapać trochę snu.

Zameldowaliśmy przez radio, co, kiedy i jak zamierzamy zrobić. Uzgodniliśmy, że sygnałem do lądowania śmigłowca będzie pomarańczowy dym. Rano będziemy na nasłuchu. Z miejsca postoju wyruszymy do bazy wyjściowej o dziewiątej.

Zajęliśmy się chłopcami. Wyjaśniliśmy, każdy swoim, szczegóły zadania.

„Kiedy dotrzemy na miejsce, ty – wskazałem na Trojakiego – pójdiesz z Tonym i Rodem na zwiad. To bardzo ważne i odpowiedzialne zadanie. Pokażesz im baraki i przejścia i w ogóle wszystko, co powinni zobaczyć...”

Był dumny z okazanego mu zaufania.

„Po waszym powrocie – ciągnąłem – czekamy do świtu i ruszamy. Trzymacie się mnie. Wszystko wam pokażę. Jeśli zobaczycie coś podejrzanego, nie strzelać, najpierw zawiadomić mnie. Ogień rozpoczynacie dopiero na mój znak lub wtedy, gdy ja zacznę strzelać. Rozumiecie?”

Skinęli głowami potwierdzająco, zadowoleni, że właściwie zdjąłem z nich wszelką odpowiedzialność. Raz jeszcze podkreśliłem, że nie wolno rozpoczynać ognia bez mojej wiedzy. Bałem się, żeby nie postrzelili kogoś z naszych.

– Chłopcy będą nacierać z waszej prawej strony – przypomniałem – ale wy strzelacie tylko na mój znak. W stosownym momencie podrywam was i idziemy do długiego baraku, a potem na lądowisko śmigłowców. Nic wam nie grozi. W razie czego, gdybyście coś zauważyli, krzyczycie »Padnij«. Sami możecie strzelać tylko w obronie własnej. Zrozumieliście? Rodriguez?

– Tak.

– Nino?

– Tak.

– Gonz?

– Tak.

– Trojaki?

– Tak.

– Po akcji przyleci Gaz ze swoimi ludźmi, my ładujemy się do śmigłowca, wracamy do domu i robimy sobie przyjęcie.

– Jejeje – szepnął Rodriguez z przejęciem, na co wszyscy się zaśmiali.

Podobali mi się i naprawdę ich lubiłem. Mieli poczucie humoru. Rozumieliśmy się bez słów. Chcieli już mieć to z głowy, wrócić do domu, zabawić się i w ogóle. Lubili wypić i potańczyć. Co do mnie, to z tańcami byłem na bakier, ale gorzały nie odmawiałem.

Moi koledzy mieli trudniejsze zadanie, tłumacząc swoim podopiecznym szczegóły akcji. Rod wyglądał śmiesznie, gdy dla większej jasności odgrywał wszystko jak na scenie, pokazując, gdzie który ma stanąć i co robić, gdy zaczną atak na barak. Deszcz ciągle padał. Część chłopaków wyciągnęła z plecaków służbowe sombrero. Przekonałem się, że warto coś takiego nosić. Znakomicie osłania twarz przed deszczem.

Zmierzchało się. Czuwaliśmy do zachodu słońca, a potem wyciągnęliśmy się w hamakach. Zjadłem co nieco z puszki, a jedną przehandlowałem za mleko. Myślami wybiegłem do Kate. Córka wiele zmieniła w moim życiu. Pamiętam jak to było, kiedy zaczynałem służbę w wojsku. Zupełnie nie rozumiałem kolegów, którzy w najgorętszych momentach potrafili wspominać rodzinę: „Mój mały ma jutro egzamin z muzyki. Oby mu poszło”. Dopiero teraz zacząłem sobie uświadamiać, że właśnie takie, niby drobne sprawy są naprawdę ważne. Zrozumiałem też, jak wiele tracę nie będąc ze swoim dzieckiem na co dzień. Przyrzekłem sobie, że zaraz po powrocie do domu wyjedziemy całą trójką na wakacje.

O świcie deszcz ustał. Kazałem chłopcom jeszcze sprawdzić broń, upewnić się, czy jest zarepetowana. Osobiście skontrolowałem, czy wszystko spakowali jak należy, żeby po drodze nie było niepotrzebnych hałasów.

We czwórkę usiedliśmy przy radiostacji. Czekaliśmy na sygnał od Gaza, żeby ruszyć.

– W porządku – odezwał się wreszcie – możecie iść. Śmigłowiec potrzebuje godziny na dół po waszym sygnale. Lądowanie na pomarańczowy dym. Jeśli do dziesiątej nie będzie sygnału, ładujemy na własną rękę.

Pół godziny później zmierzaliśmy w kierunku obozu. Przodem ja ze swoim patrolem, za nami Terry, a za nim dwa patrole szturmowe. Wszyscy byli podnieceni, a zarazem zadowoleni, że wreszcie zbliża się koniec operacji.

Na zwiadowcę wyznaczyłem Rodrigueza. Był bardzo dumny z zadania.

Zaraz zaczął brać namiar z kompasu, choć doskonale znał drogę, ale z kompasem był jakby ważniejszy.

Kiedy doszliśmy na miejsce, a więc do punktu, w którym postanowiliśmy założyć bazę wyjściową, pokazałem Terry'emu, gdzie powinien się kierować dalej. Wspólnie sprawdziliśmy wszystko na mapie.

– Pójdę prosto w stronę rzeki, a potem brzegiem w lewo. Dochodzę do łodzi i tam się zasadzam.

– W porządku – wtrącił Rod. Usta błyszczały mu od wazeliny. Dziwne, że w ogóle jeszcze mógł otwierać gębę, bo tyle tego było, że wargi mogłyby się skleić na amen. – Jesteśmy na nasłuchu od piątej do zmierzchu. Jeśli nie dacie znać, zakładamy, że wszystko jest w porządku. Nie zmieniacie pozycji, aż na mój sygnał jutro rano. W razie czego, gdyby nie było łączności, wyślę gońca. Śmigłowiec ląduje jutro o dziesiątej, bez względu na to, co się stanie. Jeśli do tego czasu nie zjawicie się w obozie, to cześć, ewakuujecie się sami.

Trzy pozostałe patrole rozsiadły się kołem, odpoczywając.

– Na nas też czas – odezwał się po chwili Tony. – Pójdziemy rzucić okiem na obiekt.

– Gotowy? – spytałem Trojakięgo.

– Tak jest.

Sprzedałem jeszcze jego sprzęt. Chodziło mi głównie o to, czy broń jest zabezpieczona, aby przypadkowy strzał nie zaalarmował przeciwnika. Trojaki ruszył przodem, a za nim Tony z Rodem. Trojaki co chwila przystawał, raczej nie z ostrożności, ale po to, by pokazać kolegom, jaki jest ważny. Tony ponaglił go i po chwili cała trójka zniknęła w gęstwinie.

Ich zadanie polegało w zasadzie na tym, aby sprawdzić, czy w obiekcie nic się nie zmieniło. Ewentualna zmiana sytuacji wymagała skorygowania naszych planów, a w najgorszym wypadku nawet odwołania akcji.

Tony z Rodem, jako dowódcy grup szturmowych, chcieli też na własne oczy obejrzeć dwa baraki, które jutro będą głównym celem akcji. Nie było ich pięć długich godzin. Nie mając nic specjalnego do roboty, nudziliśmy się w oczekiwaniu. Nie wolno było palić, nie było mowy o zagotowaniu wody, siedzieliśmy w milczeniu. Ten i ów podrzemywał, reszta żuła biszkopty, popijała z manierek i oganiała się od insektów. Myślałem o Herefordzie i chyba po raz pierwszy w życiu zatęskniłem do domu. Trzeba ściąć parę drzew w ogródku, bo korzenie mogą uszkodzić fundamenty. Myślałem też o tym, gdzie pojedziemy na wakacje po moim powrocie.

Znów zanosło się na deszcz. Szepnąłem chłopakom, żeby przygotowali pałatki, ale wolno, ostrożnie, bez hałasu.

Około wpół do piątej wrócili nasi zwiadowcy, przemoczeni i zgnojeni jak szczury.

– I jak? – spytałem.

Rod wypił najpierw pół manierki, a resztę wylał sobie na głowę. – W porządku: Drzwi wysadzimy, ale ty ze swoimi wyruszasz pierwszy. Musisz nas osłaniać, bo podchodząc do baraków, nie mamy się gdzie ukryć.

– Widzieliśmy kucharza – wtrącił Tony – później pokazał się facet uzbrojony w cara piętnaście (mniejsza wersja M Szesnaście). Nikogo więcej nie zauważyliśmy. Słyszać było prądnice, ale nie dostrzeżliśmy żadnego ruchu w obozie.

– Powinniśmy tam zostać i osuszyć się w baraku – zaśmiał się Rod krzywo. – Szkoda nas na tę dżunglę. Spójrz tylko, jak ja wyglądam.

Terry ze swoimi chłopakami miał jeszcze gorzej. My przynajmniej mogliśmy sobie pozwolić na rozwieszenie pałatek, a oni w tym deszczu trzęśli się pewnie jak wały.

Przygotowaliśmy radiostacje. Włożyliśmy słuchawki do uszu. Punktualnie o piątej, zgodnie z umową, włączyliśmy odbiór. Cisza.

Nie zmartwiliśmy się tym zbyttnio. Brak łączności mógł być spowodowany pogodą i odległością. Nic zresztą nie mogliśmy zrobić.

Tuż przed zachodem słońca Tony raz jeszcze spróbował wywołać Terry'ego.

– Tony do Terry'ego, jak mnie słyszysz?

Cisza. Słyszać było tylko ciężkie krople deszczu, bijące o pałatki. Dla dowództwa był to także najgorętszy okres. Gaz mobilizował ludzi i szykował do drogi. Powiedział, że lot zajmie im co najmniej godzinę. Wolałby zapewne całą akcję przeprowadzić własnymi siłami, ale nie było wyjścia, musiał zamówić śmigłowce już choćby po to, aby były w pogotowiu na wypadek, gdyby trzeba było ewakuować rannych.

Czekała nas męcząca noc. Nie zdejmowaliśmy oporządzenia. Drzemaliśmy oparci o plecaki. Ruszymy o szarówce, jak tylko rozwidni się na tyle, by nie deptać sobie po piętach.

Słuchałem brzęczenia owadów. Na dobrą sprawę nikt nie spał. Wszyscy myśleli o tym, co nastąpi z nastaniem świtu.

Temperatura nieco spadła, było mokro i nader nieprzyjemnie. Spojrzałem na zegarek: pierwsza. Kiedy znów zerknąłem na tarczę, wydawało mi się, że upłynęło pół godziny. Okazało się, iż minęło ledwie dziesięć minut. Zacząłem drzeć, ale budziłem się co chwila.

Na godzinę przed brzaskiem zbudziłem Rodrigueza i dałem mu znak, żeby poderwał resztę chłopaków.

Zrobiło się dość chłodno i niechętnie wylazłem spod pałatki. Na szczęście deszcz przestał padać. Zaczęliśmy się szykować. Na zarośnięte, brudne twarze nałożyliśmy sporą warstwę kolorowego kremu maskującego. Po tygodniu w dżungli przedstawialiśmy sobą nędzny obraz. Ubranie obłocone, włosy przetłuszczzone, zarost i w ogóle.

Ruszyliśmy, gdy zrobiło się na tyle jasno, że dało się widzieć drogę. Przodem szedł Trojaki, za nim ja z moimi chłopcami, a orszak zamykały drużyny Roda i Tony'ego.

Nie próbowaliśmy nawet wywoływać Terry'ego. Gdyby coś się stało, usłyszeliśmyby strzały, a pod tym względem noc minęła przecież spokojnie. Poza tym tak czy owak natarcia już nie odwołamy.

Wszyscy wiedzieli, co mają robić, każdy znał swoje zadanie, szliśmy więc w milczeniu. Trojaki doprowadzi nas na skraj obozu. Tam Rod i Tony przycupną ze swoimi ludźmi, czekając, aż ja ze swoimi wyjdę na pozycję, skąd będę mógł ich osłaniać.

No i doszliśmy. Dałem im znak, że to jest właśnie wybrane miejsce, dałem też znak Trojakiemu, że dalej ja pójdę przodem, bo tylko ja wiedziałem dokładnie, gdzie powinniśmy dojść. Teraz liczyła się przede wszystkim szybkość, więc posuwałem się do przodu dość żywo, nie bacząc nawet na szum odgarnianej gęstwiny. Broń trzymałem w prawej ręce, lewą torowałem sobie drogę, uważając tylko, czy nie zobaczę czegoś podejrzanego.

Wszyscy czekali z włączonymi radiostacjami na sygnał informacyjny, że jestem na umówionym miejscu, gotów osłaniać obie grupy szturmowe. Mój sygnał to czterokrotne włączenie klucza. Rod odpowie jednym naciśnięciem, a Tony dwoma.

Ostateczny sygnał dam ja, naciskając klucz dwukrotnie po cztery razy. Wtedy obie grupy szturmowe zaczną przekradać się do celu. W optymalnym wariacie powinny nie zauważone podejść pod same drzwi. Jeśli jednak ktoś podniesie alarm, wówczas ciężar potyczki spada na nas, na grupę osłaniającą.

Chłopcy z grup szturmowych – żeby mieć większą swobodę ruchów – zostawili sprzęt przy plecakach, oczywiście oprócz broni: karabinów, pistoletów i amunicji. Niektórzy przymocowali do luf urządzenie oświetlające Meglite. Przyda się, gdy chłopcy wdrą się do baraków, bo w środku będzie jeszcze ciemno, a dym i opary po wybuchu ładunków jeszcze bardziej utrudnią widoczność.

Jako pierwsi posuwali się dowódcy obu zespołów, a więc Rod i Tony, za nimi chłopcy odpowiedzialni za ładunki wybuchowe. W stosownym momencie Rod i Tony dadzą im znak, gdzie mają je umieścić. Minerzy podkradną się pod drzwi. Umocują ładunki, odejdą parę kroków, rozwijając przewód. Końcówkę podadzą dowódcom, którzy zamontują zapalniki i odpalą. Minerzy odpowiadają za prawidłowe zamocowanie kabli do ładunków. Nie może być pudła. Ładunki muszą odpalić za pierwszym razem.

Wyobrażałem sobie, jak to będzie: dwie głośne eksplozje i oba zespoły wpadają do baraków.

Tymczasem ze swoimi dotarłem na miejsce, tuż obok baraku produkcyjnego. Rozejrzałem się. Wszystko wyglądało tak, jak widziałem

podczas pierwszej obserwacji, z tą tylko różnicą, że ziemia była mokra, pokryta warstwą błota. Nie dostrzegłem traktora. Leżał natomiast karton po puszkach z mlekiem.

Zrobiło się jasno. Między koronami drzew widać było błękitne niebo bez jednej chmury. Zapowiadał się kolejny gorący dzień. Za parę minut błoto zacznie wysychać.

Panowała cisza, słychać było tylko szum generatorów. W zasięgu wzroku miałem kuchnię, zza której wзираł dach baraku mieszkalnego. Wiedziałem, że grupy szturmowe szykują się do skoku. Panowaliśmy nad sytuacją.

– Nino, uważaj na budynek po lewej – wydałem polecenie szeptem. – Rodriguez, ty odpowiadasz za odcinek od baraku do tamtego punktu. Rozpoczynacie ogień tylko w obronie własnej. Trojaki i Gonz, wy zabezpieczacie drogę na lądowisko... – nie dokończyłem, bo nagle rozległ się huk wystrzału.

Kurwa mać! Kiedy rozlega się nieoczekiwany strzał, człowieka przechodzą ciarki. Obejrzałem się. Nino wyglądał jak szczeniak czekający na karę, bo właśnie złał się na podłogę.

– Samo wystrzeliło – zaczął się usprawiedliwiać. Prawdopodobnie, gdy odwodził bezpiecznik, przypadkowo pociągnął za spust.

Rozszarpałbym go na kawałki, ale opanowałem się.

– Naprzód, naprzód! – krzyknąłem przez radio, a nieszczęsnemu policjantowi dałem znak, żeby zabezpieczył broń.

Cały plan akcji wziął w łeb. Nie było już sensu tkwić w miejscu. Poderwałem swoich chłopaków i ruszyliśmy do przodu, w stronę baraku produkcyjnego. Usłyszałem najpierw serię, a za chwilę od strony baraków mieszkalnych dobiegł odgłos pojedynczego strzału. Za mną biegł Rodriguez.

– Właż! – krzyknąłem.

Nie zrozumiał. Wyjaśniłem mu więc gestem, że ma wejść do baraku, a ja będę go ubezpieczał.

Całą długość budynku zajmowały stoły, na których leżało pełno jakichś tac. Z bronią gotową do strzału staliśmy w progu. Ponagliłem Rodrigueza.

– Stać, policja! – zaczął wykrzykiwać po hiszpańsku. Z daleka dobiegł głos Roda.

– Ruszać się! – krzyczał.

Strzały umilkły, słychać było tylko wrzaski i trzask przewracanych mebli. Coś zabręczało w radiu, ale nie rozumiałem.

W mroku dostrzegłem wielkie blaszane beczki, puste pudełka po papierosach i puszki po piwie.

Miałem nadzieję, że pozostała trójka z mojej drużyny ubezpiecza nas od tyłu. Chciałem tylko sprawdzić barak i iść dalej.

Tymczasem znów rozległy się strzały. Obejrzałem się. Zobaczyłem, że



ktoś biegnie ścieżką w stronę rzeki. Ponowne strzały. Domyśliłem się, że to moi: Nino, Gonz i Trojaki, ale żaden nie trafił zbiega. Nie szkodzi, za chwilę wpadnie na Terry'ego i jego ludzi.

Krzyknąłem do Gonza, żeby razem z chłopakami sprawdził magazyn. Podbiegli, ale bali się wejść do środka. Krzyczeli przed drzwiami, zerkali i tyle.

– Właźcie! – ryknąłem.

Po sekundzie zameldowali, że w środku jest pełno beczek, ale nie ma ludzi.

Z prawej dobiegały jakieś krzyki, lecz nie zareagowałem. Zostawiłem Nina i Gonza na miejscu, a z Rodriguezem i Trojakim pobiegłem w stronę lądowiska. Dyszałem ciężko, a od krzyku bolało mnie gardło.

Ważne było tempo, serce waliło mi jak młotem, pot spływał strumieniem po policzkach. Obejrzałem się, by sprawdzić, czy dwójka posuwa się za mną, jak kazałem. Na lądowisku uderzyło mnie słońce.

Zamierzałem oblecieć lądowisko dookoła, żeby sprawdzić, czy nikt nie kryje się w zaroślach. Nawet nie uprzedziłem moich dwóch podwładnych. Miałem nadzieję, że będą się mnie trzymać.

Lądowisko było czyste.

Słońce zaczęło palić. Błoto parowało i staliśmy po kolana we mgle, jak na scenie, na którą zza kulis wpuszczono dym. Od strony baraków dochodziły jakieś krzyki.

– Rod, odezwił się – włączyłem radio. Odezwał się dopiero po chwili:

– Melduj!

– Jestem na lądowisku. Wszystko w porządku, idę do ciebie.

– Zrozumiałem. Idziesz do mnie. Mamy rannego. Potrzebna pomoc. Bez odbioru.

To wyjaśniało krzyk. Wieść, że któryś z chłopaków dostał, sprawiła, że jeszcze bardziej byłem wściekły na Nina, bo to przez jego nieostrożność wszystko diabli wzięli. Nie mogłem wykluczyć, że część załogi obozu zdążyła zbiec.

Dobiegliśmy do baraków. Rod starał się opatrzeć rannego. Ten zaś, młody chłopak, wrzeszczał jak zarzynane prosię. Dostał w przegub, kula poszła dalej w stronę łokcia, rozrywając cały mięsień przedramienia. Nie umrze od tego, ale musiało go potężnie boleć. Cała reszta, zbита w gromadkę, patrzyła w przerażeniu.

Mieliśmy więc dwa problemy jednocześnie. Trzeba było pilnować zarówno ludzi w baraku, jak i naszych, którzy wyglądali tak, jakby chcieli ukryć się w dżungli, gdziekolwiek, byle dalej.

– Ruszać się! – krzyknąłem. – Zabezpieczyć barak. – Żeby dokładnie zrozumieli, o co mi chodzi, pokazałem gestem.

Rod miał wszystko, co trzeba, do opatrzenia rany.

– Muszę tylko zatamować krew. Ten idiota, gdyby przestał krzyczeć, zrozumiałby, że nic mu nie grozi.

Należało dać chłopakowi kropiówkę. Stracił sporo krwi i był w szoku, podobnie jak gromadka, która nań patrzyła.

Tony zaprowadzał porządek w baraku. Dość ostro, sądząc po odgłosach. Jego ludzie związali już więźniom ręce i właśnie zaczęli wyprowadzać ich na zewnątrz. Krzykiem i kopniakami zmuszali ich, by legli w błocie. Rewidując więźniów, nie szczędzili im przy tym szturchańców i ciosów kolbą. Nie było czasu, żeby interweniować, a zresztą po co. Formalne przesłuchania to już nie nasza sprawa. My mamy tylko sprawdzić, czy nie mają ukrytej broni, pilnować ich, aż nadciągną inni.

– Przy najmniejszym oporze kula w łeb – ostrzegł jeden z policjantów.

Dałem znak Tony’emu, że zajmę się ludźmi z drugiego baraku. Wnętrze wypełniały drewniane prycze, parę szafek z szufladami, na stołach stały dawno nie wyprózniane popielniczki i puszki piwa. Nigdy chyba nie otwierano tu okien. Śmierdziało potem i brudem. Na łózkach leżało kilku mężczyzn, twarzami w dół, z rękami na karku. Każdego pilnowało dwóch policjantów z bronią gotową do strzału.

Nic tu po mnie. Wyszedłem. Zawołałem Nina, żeby pomógł mi rozwinąć antenę i zacząłem przygotowywać meldunek. Gdyby udało się zrealizować pierwotny plan, meldunek brzmiałby normalnie: operacja zakończona, zatrzymano tyłu i tyłu ludzi, prosimy o śmigłowiec. W tej jednak sytuacji nadałem sygnał alarmowy: mamy ранego i żądamy, aby śmigłowiec lądował natychmiast.

– Masz łączność? Lecą? – upewnił się Rod. Wciąż zajmował się rannym.

– W porządku, czekam tylko na potwierdzenie.

Właśnie nadeszło. Śmigłowce już w drodze. Nie wyłączyłem jednak radia. Może być jeszcze potrzebne.

– Terry, odbiór – Tony wywoływał patrol Terry’ego przez radiotelefon.

– Tu Terry.

– Czekamy na was. Idźcie ścieżką.

– Zrozumiałem. Zabiliśmy zbiega. Przynieść zwłoki?

– Przynieść.

Tony uprzedził policjantów, że patrol Terry’ego nadejdzie od strony rzeki. Lepiej dmuchać na zimne. Wszyscy byli tak podnieceni, że mogło dojść do przypadkowej strzelaniny.

Terry też na wszelki wypadek wołał z daleka, żeby nie strzelać. Właśnie wyłonił się z gestwiny. Niósł zdobyczny G3, a dwóch jego ludzi ciągnęło trupa, z minami jak po udanym polowaniu.

Rzucili ciało na ziemię. Jeszcze z wycięsko kopnęli zwłoki, ale po

sekundzie miny im zrzedły, gdy dotarło do nich, że po ich stronie też jest ofiara.

Ranny się uspokoił. Rod zdołał już wkuć igłę. Życiu policjanta nic nie groziło, ale rana wyglądała paskudnie.

Tymczasem wyprowadzono jeńców: trzech strażników – „narkogoryli” – kucharz i cudzoziemiec. Wszyscy z rękami związanymi na plecach.

– Kurwa mać – mruknąłem do Tony’ego – mało. Widzieliśmy ośmiu. Udało im się uciec.

– *Gringos?* Gdzie są *gringos?* – Tony wymierzył solidnego kopniaka jednemu ze strażników, a po sekundzie w podobny sposób zaczął przesłuchiwać cudzoziemca. – Gdzie twoi kumple?! – wrzasnął, szarpiąc go za włosy.

Cisza.

– Posłuchaj no – przekonywał go Tony. – Jeśli uciekli do dżungli, mogą zginąć. Tam są nasi ludzie, będą strzelać. Powiedz, gdzie są, to uda się ich uratować.

Żadnej odpowiedzi. Jeniec milczał. Był to młody chłopak w wyświechtanym podkoszulku, ten, którego widziałem w czasie pierwszego zwiadu.

– Gdzie reszta, gdzie *gringos?* – Tony zajął się teraz kuchaczem. Ten zaczął coś mówić i machać rękami w stronę rzeki.

– Pierdoli – uciałem. Nie chciało mi się wierzyć, aby zbiegom udało się przemknąć niepostrzeżenie przez obławę. Ale stało się, jak się stało. Wszystko przez tego pierdolonego Nina. Byłem wściekły.

Właśnie dołączył do nas Rod. Do opieki nad rannym wyznaczył dwóch policjantów.

– Co się właściwie stało? – spojrzał na mnie z wyraźną przyganą. – Ten piździelec strzelił – kiwnąłem głową w stronę Nina, który zgnębiony siedział na progu baraku.

– Niech wypierdala, żebym go tu nie widział. Każ mu pilnować radia. – Rod wrócił do rannego.

– Powiem moim, żeby jeszcze raz przeczesali teren nad rzeką rzucił Terry – i niech przedziurawią łódzie, żeby zbiegowie nie mogli z nich skorzystać. Ten biały i tak nic nam nie powie. Wie, co jest grane, i wie, że wyjdzie z tego cało. Pierdolony kraj.

– W porządku – skwitował Rod – wyślij patrol. Trzeba by się czegoś napić.

Zdjąłem więzy kucharzowi. Rzucił się na kolana, ręce wznosił jak do modlitwy. Chyba myślał, że dam mu w czapę. Złapałem go więc za kark i pchnąłem w stronę kuchni.

– *Cafe!* – wrzasnąłem.

– *Cafe con leche!* – spojrzął na mnie osłupiały.

Zajął się nim Rodriguez. Pilnował, gdy stary włączał prądnicę i nastawiał wodę na kawę.

Tony na wszelki wypadek zaczął rozstawiać wartowników.

– Ty pilnujesz tego odcinka, ty tego, a ty będziesz miał oko na tamten – objaśniał.

Kucharz zaparzył kawę. Słońce stało już wysoko, zrobiło się parno. Kto mógł, krył się w cieniu. Oczy mnie szczypały, w ustach czułem niesmak, nie myte zęby potęgowały nieprzyjemne wrażenie. Ubranie zaczęło wysychać na słońcu. Skóra swędziała.

Nie byłem w najlepszym nastroju. Czułem się winny, że mój człowiek spieprzył sprawę. Może nie powinienem, ale jednak czułem się odpowiedzialny.

Nie wszyscy jeszcze wiedzieli, co się stało. Na wszelki wypadek kazałem Ninowi zniknąć z oczu. Dla jego własnego bezpieczeństwa.

– Wygląda trochę lepiej – Tony pochylił się nad rannym, który po morfinie nie czuł bólu – ale – dodał z krzywym uśmiechem przez jakiś czas nie będzie mógł walić konia.

Odwrociłem się, żeby chłopak nie widział, że się śmieję.

Rod usiłował coś wycisnąć z cudzoziemca, lecz bez skutku. Chłopak milczał. Zrewidowano go dokładnie, niczego jednak nie znaleziono. Zawodowiec, sterylnie czysty.

Poszliśmy rzucić okiem na baraki. Na półkach walały się sterty magazynów pornograficznych, obok leżało parę starych numerów „USA Today” i „Herald Tribune”, przy łózkach stały radia z zakresem fal krótkich. Nie było telewizora ani żadnych satelitarnych urządzeń nadawczych, więc zachodziliśmy w głowę, po co antena na dachu.

Policjanci dobrali się do zapasów w kuchni i palili zdobyczne marlboro, których parę kartonów znaleźli w baraku. Cały czas gadali, pewnie opowiadali sobie, jacy to byli dzielni.

Gdyby wśród jeńców byli ranni, oczywiście udzielilibyśmy im pomocy. Nie tylko dlatego, że to ludzka rzecz, ale także dlatego, że policjanci śmiertelnie bali się zemsty ze strony kartelu, który terrorem wymuszał posłuszeństwo. Z trzydziestki naszych słuchaczy zamordowano czterech, i to z rodzinami. Gdyby więc byli ranni pośpieszylibyśmy im z pomocą także z tego powodu, by do kartelu doszła wiadomość, że policjanci okazują ludziom mafii należyte względy.

Usłyszałem warkot nadlatujących śmigłowców. Skoczyłem na lądowisko, zapaliłem pomarańczową świecę dymną. Chodziło nie tylko o dokładne oznaczenie miejsca, ale również o pokazanie kierunku wiatru. Włączyłem radiotelefon.

– Andy do Gaza, Andy do Gaza, odbiór.

Cisza. Spróbowałem wywołać śmigłowce jeszcze raz i jeszcze, ale bez skutku, co zresztą nie miało znaczenia, bo z pokładu zauważono już dym i maszyny zaczęły się zniżać.

Rod ze swoimi ludźmi przyniósł rannego. Właśnie usiadł pierwszy huey. Wyskoczył Gaz, a za nim kilku policjantów, którzy przejmą od nas obiekt.

Gaz wyświeżony, pachniał mydłem i wodą kolońską. Za nim poważnie kroczyło dwóch komendantów policji.

– A więc, co mamy? – zwrócił się do mnie i w tej chwili zobaczył rannego. – Weźcie go do maszyny. Niech pilot zaraz startuje.

Tony polecił Terry’emu rozprowadzić nowo przybyłych policjantów, przede wszystkim zaś wystawić posterunek nad rzeką.

Oficerowie, którzy przylecieli z Gazem, zajęli się jeńcami.

– Ten wkrótce wyjdzie – rzekł jeden z nich, wskazując na cudzoziemca. – Nic mu nie grozi. Mamy takie przekupstwo w tym kraju, że wyjdzie migiem. Tak to już jest. Jedynym zyskiem będzie to, że przestanie istnieć ta oto fabryczka – gestem dłoni wskazał na barak.

Miał niewiele ponad trzydzieści lat. Wysoki, w okularach w złotej drucianej oprawie, mówił wyraźnym amerykańskim akcentem. Pewnie kształcił się w Stanach. Wyrażał się rzeczowo i miałem wrażenie, że poważnie traktuje walkę z narkotykami. Jego towarzysz był starszy, na oko dobiegał pięćdziesiątki i chyba znacznie bardziej realistycznie podchodził do sprawy, jakby wiedział, że walka z kartelem nigdy się nie skończy, a zwycięstwo jest raczej wykluczone. Zapalił papierosa i poszedł porozmawiać ze swoimi ludźmi.

Pięć śmigłowców przywiozło łącznie czterdziestu ludzi. Zajął się nimi młodszy z oficerów. Nie rozumiałem, o czym mówią, ale sądząc z gestów i min, policjanci z naszych patroli opowiadali o własnych, niewątpliwie bohaterских czynach.

Nowi poszli oglądać trupa. Paru kopnęło ciało.

Ja zaś podszedłem do Nina. Siedział przy radiu ze zwieszoną głową. Kazałem mu spakować sprzęt, bo lada chwila będziemy odlatywać. Spojrzał na mnie z wdzięcznością, jakbym mu dał wygrany los na loterii. Jego wzrok wyrażał mocne postanowienie, że tym razem niczego nie popsuje, że będzie dbał o radio, które powierzałem jego pieczy, jak o źrenicę oka.

– Do mnie! – Gaz zawołał dowódców patroli na krótką odprawę. – Koniec operacji. Obiekt przejmie teraz policja. Zbierzcie swoich chłopaków, sklarujcie sprzęt, potem przekąście coś w cieniu. Śmigłowce wrócą za chwilę po uzupełnieniu paliwa.

– Sprzęt już spakowany – zameldował Terry, wyraźnie ucieszony perspektywą powrotu do bazy.

My tymczasem z patrolami szturmowymi poszliśmy po plecaki. Gdy wróciliśmy, dołączył do nas Gaz. Nad kubkiem kawy wypytywał o przebieg wydarzeń.

Opowiedziałem mu o Ninie i strzale, który pokrzyżował nasze plany.

– Zaraz po powrocie do bazy trzeba go odesłać w pizdu – wtrącił Rod. – Chłopak nie będzie miał życia, gdy się wieść rozejdzie. Zaczną go obwiniać. Może być groźnie.

– Spróbuję to załatwić. – Gaz poszedł porozmawiać z oficerami. Wziąłem moich chłopców na bok i najlepiej jak umiałem, objaśniałem im, że nie wolno nikomu mówić, co się właściwie stało, bo wszyscy możemy mieć kłopoty. Pokiwali głowami, dumni, że powierzam im tajemnicę.

Znów rozległ się warkot nadlatujących maszyn.

– Jeńcy do pierwszego śmigłowca, wy do drugiego – zarządził Gaz. Poszliśmy na lądowisko. Trzeba było skontrolować, czy chłopcy rozładowali broń i schowali amunicję do plecaków. Wobec tego, co się stało, nie był to zbyt ostrożności.

Euforia opadła, gdy wreszcie załadowaliśmy się do maszyn. Zmęczenie dało znać o sobie. Zacząłem drzemać.

Po przylocie do bazy najpierw zajęliśmy się bronią i sprzętem, a później własnymi osobami, a jeszcze później, wykąpani i wyświeżeni, zebraliśmy się z chłopakami przy grillu. Było piwo, była whisky, był wspaniały nastrój.

– Musisz koniecznie odwiedzić moją wioskę – zapraszał Trojaki, mój nowy najlepszy przyjaciel. – To najpiękniejsze miejsce na ziemi – zapewniał.

– Eee tam – protestował Rodriguez – my mamy znacznie ładniejsze dziewczyny.

Chłopcy dali sobie mocno w szyję. Nina nie było. Zaraz po powrocie kazano mu się wynosić. Nie zdziwiłbym się, gdyby jeszcze tego samego dnia zaczął wypisywać mandaty na ulicy.

Nazajutrz około południa, we własnym już gronie, przystąpiliśmy do omówienia operacji.

– Po pierwsze trzeba lepiej poznać język – rzekł Terry.

– I przekonstruować bezpieczniki w karabinach Galil – wszedłem mu w słowo.

Gaz przekazał nam trochę szczegółów z przesłuchania jeńców. Okazało się, że na dzień przed operacją z obozu wyjechała dwójka cudzoziemców wraz z eskortą, co wyjaśniało, dlaczego w obozie było tylko pięć osób. Europejczyka, którego aresztowaliśmy, wypuszczono już za kaucją.

Następnego dnia nasi chłopcy rozjechali się do domów, gdzie zapewne witano ich jak bohaterów. My zaś pojechalśmy do miasta na całe trzy dni, na wyżerkę, po zakupy i na pogaduchy z byłymi kolegami z Kompanii G. Najszczęśliwszy chyba był Rod. Obejrzał się dokładnie w lustro i z

satysfakcją stwierdził, że fryzura trzyma się mocno, a na skórze nie ma ani jednego wągra. Pieprzony Narcyz.

## 26

Gdy tylko irackie zagony pancerne przekroczyły granicę Kuwejtu, co nastąpiło drugiego sierpnia 1990 roku o drugiej nad ranem czasu miejscowego, Pułk zaczął się szykować do wyjazdu na pustynię.

Niestety nie tyczyło to naszej kompanii. Patrzyliśmy więc z zazdrością, jak chłopcy z G fasują sprzęt i znikają. Kończył się właśnie nasz dziewięciomiesięczny dyżur w jednostce i z utęsknieniem czekaliśmy na podmianę. Tymczasem rozeszły się pogłoski, że podmiana albo się opóźni, albo w ogóle jej nie będzie. „Wciąż istnieje zagrożenie ze strony terrorystów w kraju – tłumaczono nam – jesteście potrzebni”. Ścisnąłem palce, aby jednak przysłano zmienników, a najlepiej tych walów z Kompanii G.

Moje małżeństwo z Fioną ostatecznie się rozpadło. Uznałem, że lepiej machnąć ręką i wyprowadzić się, niż narażać Kate na ciągle awantury w domu. Pomyślałem też, że lepiej załatwić to teraz, póki Kate jest mała i niczego nie rozumie.

Nie chciało mi się jednak mieszkać w koszarach. Skorzystałem więc z okazji, że jeden ze znajomych z Pułku wybierał się na studia i wynająłem od niego dom z prawem pierwokupu. W ten sposób ponownie wyładowałem w znanym mi osiedlu Westbury, w pobliżu jednostki, w czterokondygnacyjnym segmencie.

I znów zająłem się służbą. W dalszym ciągu byłem drugim zastępcą w plutonie, a pluton zamartwiał się, że jak tak dalej pójdzie, to nie załapiemy się na Zatokę.

– Pamiętam, jak to było z Kompanią A w czasie wojny o Falklandy –



zaczął wspominać Harry, gdy któregoś dnia siedzieliśmy beczynnie w hangarze. – Oni też byli wtedy na dyżurze i nie powąchaliby prochu.

W tej to chwili zjawił się Gaz, prowadząc dwóch nowych.

– Właśnie przeszli przez Selekcję – przedstawił ich. – To jest Bob, a to Stan. Bob pójdzie do snajperów, a ty, Andy, weźmiesz Stana. Andy wyda ci sprzęt – zwrócił się do Stana – i w ogóle pokaże co i jak, boś pewnie zielony.

– Chyba tak – odparł Stan wyraźnym nowozelandzkim akcentem. Obaj – Bob Consiglio i Stan – jak się wkrótce okaże, wywrą na nas duży wpływ. Przede wszystkim udzieli się nam ich entuzjazm. Nowi zawsze tacy są, napaleni i w ogóle.

Mniej więcej w tym samym czasie w miejscowym klubie sportowym zobaczyłem naprawdę wspaniałą dziewczynę. Zresztą trudno jej było nie zauważyć, ćwiczyła tuż obok mnie. Akurat zadano nam dość trudne ćwiczenia i ze wszystkich pot lał się strumieniami. Podziwiałem jej kostium.

Po pięciu, może sześciu wspólnych treningach, którejś soboty natknąłem się na nią w winiarni. Była z koleżanką, przysiadł się do nich taki jeden facet z Kompanii D. Dziewczyna wyglądała wspaniale. Po raz pierwszy zresztą widziałem ją w sukience.

Na razie jednak trzymałem się na dystans, ale gdy między stolikami zaczęła kręcić się kwiaciarka, kupiłem różę i posłałem „mojej” dziewczynie.

Po chwili podeszła do mnie, żeby podziękować. Uśmiechała się promiennie.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odrzekłem – a w ogóle, to chciałem zrobić na złość temu facetowi, co się do was przysiadł. – Ach tak? Skąd pan wiedział, że on mnie nudzi? Czyżbym miała do czynienia z Jamesem Bondem?

– Andy – przedstawiłem się. – Pani koleżanka, jak widzę, jest zachwycona towarzystwem. Nie powinna im pani przeszkadzać. Zapraszam, czego się pani napije, panno...?

– Jilly. Pilsa, jeśli pan uprzejmy.

Tak to się zaczęło. Przez pewien czas spotykaliśmy się w klubie, a po trzech czy czterech tygodniach sprawa rozwinęła się na dobre. W październiku zaproponowałem, żeby się do mnie przeniosła.

Dzień Zaduszny w Pułku to wielkie święto. Zjeżdżają się dawni żołnierze. Zjawiają się rodziny, narzeczone, sympatie, znajomi, słowem wszyscy, także rodziny i przyjaciele poległych. Na tę okazję chłopcy wbijają się w uroczyste mundury galowe, których zresztą poza tym jednym jedynym dniem niemal

nigdy się nie nosi. Co do mnie, to byłem po cywilnemu, bo wyznaczono mnie do ochrony imprezy.

Po nabożeństwie, które odbyło się w prowizorycznej kaplicy w sali gimnastycznej, wszyscy udali się na cmentarz. Złożono wieńce od poszczególnych kompanii i instytucji współpracujących z Pułkiem. Zarządzono minutę ciszy, a potem całe towarzystwo poszło do Klubu, gdzie przy drinkach pułkowi emeryci i kibice do późnej nocy wspominali stare dobre czasy.

Jilly i ja zostaliśmy na cmentarzu. Znajduje się on nie w jednostce, ale przy miejscowym kościele. W pułkowej kwaterze jest już niewiele wolnych miejsc.

– Jak nie skończą z wojnami, to trzeba będzie powiększyć działkę. Na tę moją uwagę Jilly tylko uśmiechnęła się ze smutkiem.

Prócz nas na cmentarzu było jeszcze parę osób, które przyszły złożyć hołd swoim bliskim, a między innymi pewien chorąży z Kompanii B, od paru lat w cywilu. W rzeczy samej po raz pierwszy widziałem go bez munduru. Nie przyniósł kwiatów, nie palił świeczek. Zatopiony we własnych myślach, przechadzał się tylko między rzędami mogił. Postawił kołnierz marynarki, bo było dość chłodno. Buty miał mokre od rosy.

– Pójdzie pan do koszar? – spytałem, gdy z Jilly przechodziliśmy obok.

– Mam to w dupie. Za duży tłum jak dla mnie. A poza tym nie o to chodzi. Zamiast bić pianę i popisywać się, wszyscy powinni przyjść tutaj.

Miał rację, ale tak to już było, że pułkowi kibice jakby zapominali, czemu właściwie służy to święto. Jeśli o mnie chodzi, to uważam, że tacy ludzie nie zasługują nawet na to, aby lizać buty chłopakom, którzy odeszli na wieczną służbę. Nasz pułkowy świat jest dość mały. Wszyscy się znają i nie ma w nim miejsca na popisy. Wiadomo, ile kto był wart i ile jest wart.

Myślałem o chłopcach, z którymi przyszło mi służyć. Byli wśród nich zamknięci w sobie introwertycy, którzy do tego stopnia cenili sobie samotność, że do sali gimnastycznej na ćwiczenia chodzili o pierwszej w nocy, gdy nikogo nie mogli już w niej spotkać. Ale byli też ekstrawertycy. Ci z kolei nie potrafili spędzić nawet chwili bez towarzystwa. Słowem, spotykało się różnych ludzi, jak w każdej większej zbiorowości. Jedni po sześciomiesięcznej wyprawie operacyjnej za granicę z miejsca lecieli do miasta, aby się zabawić, inni – przeciwnie. Pamiętam takiego chłopaka z Birmingham, z którym kiedyś wspólnie wracaliśmy z jakiejś akcji. „Nie mogę się doczekać, żeby wreszcie zająć się myciem okien we własnym domu” – zwierzył mi się.

A w ogóle to spotykało się najprzeróżniejsze postaci, od uczestników motocyklowych gangów Hell's Angels, po zbieraczy egzotycznych motyli, od Australijczyków i Nowozelandczyków, po chłopaków z Fidzi i Seszeli, od

ludzi z ambicjami, co studiowali wieczorami na Otwartym Uniwersytecie i zostawali nauczycielami i lekarzami, po tych, których urzekła zagranica i po odejściu do cywila emigrowali, zwłaszcza do krajów arabskich. Poznawali język, kulturę, na dobre wsiąkali w miejscowe społeczności.

W Kompanii B służył ciekawy facet – były kryminalista i były bokser. Zawodowo zajmował się wypychaniem zwierząt. Miał u siebie w domu wielką zamrażarkę, trzymał w niej truchła lisów i ryb oraz stosowne chemikalia. Przychodzili do niego klienci, żeby im wypchać ulubionego psa czy kota, który właśnie padł, albo coś egzotycznego, co właśnie przywieźli z zagranicy.

Wielu z nas urzekły skoki spadochronowe i w ogóle wszystko, co miało związek z lataniem. Taki Nosh, na przykład, kupił sobie w Stanach Zjednoczonych starą awionetkę Cessnę i samotnie przeleciał przez Atlantyk, co było nie lada wyprawą. Do kokpitu załadował zapasowy zbiornik paliwa. Ten w czasie lotu zaczął przeciekać, więc Nosh nałożył spadochron i zdemontował drzwi, tak żeby w razie czego móc wyskoczyć. Takie jednosilnikowe maszynki nie są oczywiście przystosowane do dalekich lotów nad morzem. Co ważniejsze, nie mają odpowiedniego radia, ale Nosh i z tym sobie poradził. Wziął kawał drutu, przyciął stosownie, żeby odbierać odpowiednią długość fal, obciążył cegłą i tak zaimprovizowaną antenę spuścił na zewnątrz. Udało się.

Inni znowu zasmakowali w boksie do tego stopnia, że sięgali po tytuły na międzynarodowych ringach. Wielu zajmowało się jeszcze innymi, rzadszymi dziedzinami sportu. Zwłaszcza chłopcy z plutonów górskich zaczęli się pasjami wspinać, marząc oczywiście o zdobyciu Mount Everestu.

A przecież byli wśród nas także najzwyczajni mężowie i ojcowie, którzy po powrocie z akcji strzygli trawniki, łatali dziury na dachu i głaskali kota, siedząc przed telewizorem.

Zasadnicza różnica między Pułkiem a zwykłym wojskiem, różnica, która stanowi o profesjonalizmie, polega chyba na tym, że my w Pułku wyraźnie oddzielamy służbę od zabawy. Praca to praca, a zabawa to zabawa. Po służbie każdy robi, co chce. Jeden daje w szyję, drugi strzyże trawę, jego sprawa. Ważne jest tylko jedno, że chłopcy wiedzą, kiedy zaczyna się służba, a kiedy jest czas wolny.

Do tych, którzy szczególnie lubią się zabawić, należą zwłaszcza górale ze Szkocji. Na Nowy Rok ubierają się w te swoje kraciaste spódniczki i koszule z żabotami i lecą w miasto. Ale tak w ogóle, to nasi chłopcy niczym specjalnym się nie wyróżniają. Gdyby ktoś zobaczył gromadę facetów z którejkolwiek kompanii na ulicy, mógłby pomyśleć, że to wycieczka szkolna.

Jeśli przy takiej różnicy temperamentów i osobowości nie dochodzi w Pułku do zasadniczych spięć i konfliktów, to dlatego, że w procesie Selekcji

eliminuje się facetów, którzy nie potrafią współdziałać z innymi w zamkniętym środowisku. Nie znaczy to jednak, że nie dochodzi do sporów i starć. Kiedyś, po dłuższym pobycie „za wodą”, Eno nawalił się jak stodoła. Było to akurat w czasie świąt Bożego Narodzenia i byliśmy w mieście. Eno, jak pamiętacie, nie jest specjalnie rostry, ale zaczął w barze zaczepiać mniej lub bardziej znajomych facetów z Pułku. Skakał im na plecy, klepał po głowie i uciekał w kąt. W końcu jeden nie wytrzymał i tak mu przyłożył, że Eno padł jak długi. Rano zadzwonił do mnie.

„Nie wiem – powiedział – który mi tak przyłożył, ale miał krzepę. Film mi się urwał”.

Po paru dniach okazało się, że był to jeden z naszych serdecznych kumpli.

„W porządku – rzekł Eno – dobrze, że to był swój”.

Liczy się kultura. Nie traktowaliśmy Pułku jako jednostki elitarniej. Byłoby to zresztą nieproduktywne. Nasza skuteczność zależy także od współdziałania z innymi jednostkami, jak na przykład z policją czy siłami bezpieczeństwa. Rola Pułku, jako oddziału strategicznego, polega na wzmacnianiu potencjału innych jednostek. Pamiętam, jak to było na przeróżnych kursach czy na stażach w innych jednostkach. Na początku nikt się do mnie słowem nie odzywał ze względu na pewną aurę tajemniczości, jaka otacza nasz Pułk. Zawsze jest tak, że to my musimy przełamywać lody, przekonywać, że jesteśmy normalnymi facetami, którzy, podobnie jak inni, w sobotę strzygą trawę i też lubią głaskać kota przed telewizorem.

Nie znaczy to jednak, że nie mieliśmy poczucia własnej wartości i profesjonalizmu. Ale to nie ma nic wspólnego z elitarnością. Służyliśmy w Pułku, uprawialiśmy żołnierską profesję, bo mieliśmy po temu określone predyspozycje i zależało nam na tym, aby swój zawód rozwijać i wykonywać jak najlepiej.

Ironia losu sprawia, że właśnie dlatego, iż chłopcy byli dobrzy w tym, co robili, bardziej narażali się na śmierć. Lecz nie może być inaczej, skoro nasz zawód sprowadza się do tego, że się strzela, a jak się strzela, to człowiek się naraża dokładnie na to samo. Krótko mówiąc, włączyliśmy w szambo, gdzie można stracić życie.

Zdarza się również, i to wcale nierzadko, że rozpoczęcie ognia oznacza porażkę, bo następuje dekonspiracja i nie ma mowy o wykonaniu zadania. Pułk nie jest wielką jednostką przeznaczoną do otwartych działań ofensywnych. Przeciwnie, działa w niewielkich grupach, wykonuje tajne zadania strategiczne i zbiera głównie informacje wywiadowcze.

Korzenie Pułku sięgają czasów drugiej wojny światowej i konfliktu na Malajach. Na obu tych teatrach chodziło właśnie o działania typu wywiadowczego i błyskawiczne, precyzyjne operacje dywersyjne, obliczone nie tyle na zadanie wielkich strat osobowych przeciwnikowi, ile na niszczenie

sprzętu, a zwłaszcza systemów łączności, a w konsekwencji na obniżanie morale wroga. W czasie drugiej wojny światowej większe znaczenie miało zniszczenie czterdziestu niemieckich samolotów niż likwidacja czterdziestu niemieckich żołnierzy. To właśnie czynił Pułk i w ten sposób ratował życie wielu żołnierzy wojsk alianckich.

Jeśli o mnie idzie, to dziś inaczej niż za młodu odnoszę się do zadawania śmierci. Po raz pierwszy zabiłem człowieka mając dziewiętnaście lat i była to wielka sprawa, bo niby po co wstąpiłem do wojska, jak nie właśnie po to. Dziś jednak patrzę inaczej i znacznie bardziej zależy mi na ratowaniu ludzkiego życia niż zadawaniu śmierci.

Nie chcę przez to powiedzieć, że popadam w rozpacz, gdy w czasie walki przeciwnik ponosi śmierć. Nie przyprawia mnie to o bezsenne noce, ale też nie jest powodem do dumy. Zdaję sobie sprawę, że człowiek, którego pozbawiłem życia, pozostawia po sobie sieroty, wdowy i nie utulonych w żalu rodziców, ale też wiem, że był dorosły jak ja i podobnie jak ja wiedział, co robi, narażając się dokładnie tak samo jak ja.

Nie spotkałem w Pułku, a także poza nim, nikogo, kto chętnieby się, że zabił tylu to i tylu ludzi. Jeśli już trzeba zadać śmierć, staramy się to zrobić szybko i sprawnie. Nie po to, by komuś oszczędzić cierpień, ale dlatego, że tak jest bezpieczniej dla nas samych. Im szybciej zlikwidujemy przeciwnika, tym mniejsze stanowi on zagrożenie. Walka to nie zabawa w chowanego. Tylko na filmach facet dostaje, a jeszcze łązi i opowiada dowcipy. W życiu jest całkiem inaczej. Jak się oberwie pociskiem kaliber siedem sześciziesiąt dwa, dajmy na to w ramię, to wiadomo, że można się z ręką pożegnać.

W czasie drugiej wojny światowej David Stirling, twórca i założyciel Pułku, wrzucił granat do zamkniętego pomieszczenia i zabił kilkunastu Niemców. Nie musiał tego robić, aby osiągnąć cel, i bardzo potem żałował. Mówił, że było to marnotrawstwo ludzkiego życia i miał sobie za złe.

Szliśmy do domu przez park. Zimny, listopadowy wiatr porywał zeschnięte liście i siekł nam deszczem w twarze.

– Uwielbiam taką pogodę, zwłaszcza że wiem, iż za chwilę w domu zasiądę w fotelu z filiżanką gorącej herbaty.

Jilly spojrzała na mnie. Była wyraźnie spięta.

– Tam, gdzie jedziesz, będzie gorąco, prawda?

– Co masz na myśli?

– Kuwejt. Nie powiesz mi, że tam nie jedziesz, skoro jest wojna.

Byliśmy ze sobą od niedawna, ale rozumiałem już, że dla jej dobrego samopoczucia jest lepiej, kiedy nie wie, gdzie i po co się wybieram. Jilly zresztą nigdy nie pytała, bo – jak mi kiedyś wyznała: „woli nie słyszeć

odpowiedzi”. Na ogół upewniała się tylko, kiedy wracam. Tym razem było inaczej. Doskonale wiedziała, gdzie mogą mnie wysłać.

Nie chciałem, aby między nami coś się popsulo. Moje poprzednie małżeństwa rozpadły się głównie na skutek mojego oddania służbie. Ten związek zdawał się inny, trwalszy. Czułem, że da się w nim pogodzić zawód z życiem rodzinnym, i zależało mi na tym, aby go utrzymać.

– Nie martw się – objąłem ją – prędeż naszą Żelazną Damę przepędzą z Downing Street, niż mnie wyślą gdziekolwiek.

A jednak mówiąc to, zacisnąłem kciuki, żeby nie zapeszyć.

\*\*\*\*\*